

**David Weber i Steve White**

# **Powstanie**

**Insurrection**

**Przełożył: Jarosław Kotarski**

**Wydanie oryginalne: 1990**

**Wydanie polskie: 2004**

**TMN**

# CZEŚĆ PIERWSZA

„Polityka jest czynnikiem rodzącym wojnę”.

Generał Karl von Clausewitz

*O wojnie*

## Rozdział I

# OSTRZEŻENIE SZTORMOWE

Ladislaus Skjorning spojrział na zegarek, zmarszczył brwi i ponownie rozejrzał się po korytarzu budynku Federacji. Mimo późnej pory kręciło się tu jeszcze parę osób, ale Greunera wśród nich nie było. A on nie miał zwyczaju się spóźniać. Było to tym bardziej dziwne, że w zakodowanej wiadomości z prośbą o spotkanie przekazał, że sprawa jest pilna.

Ktoś stuknął go w ramię, więc odwrócił się powoli, równocześnie wsuwając dłoń w szeroki rękaw wełnianej tuniki, w której miał ukryty niewielki pistolet. Przed nim stał mężczyzna w typowym nieformalnym stroju konserwatystów z planety Nowy Zurich, ale nie był to Greuner. Greuner był niewysoki, a ten człowiek prawie dorównywał wzrostem jemu samemu. A Skjorning mierzył dwieście dwa centymetry. Rzucił nieznanemu średnio życzliwe spojrzenia i wymierzył broń w jego brzuch, nadal jednak jej nie wyjmując.

– Pan Skjorning?

– Ano.

– Pan Greuner przesyła pozdrowienia i przeprosiny.

– Nie będzie przyjść w stanie? – spytał powoli Ladislaus. Jego twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

Niepoprawna składnia jego wypowiedzi typowa dla mieszkańców planety Beaufort, wywołała widoczną w oczach rozmówcy – pochodzącego z jednej z Planet Korporacji – pogardę, co Ladislaus zignorował kompletnie. Zapytał:

– Powód podał może być?

– Nagła choroba – odparł tamten i zacisnął usta, nie kryjąc zbyt, że go nie polubił.

Skjorning był nie dość że wysoki, to szeroki w barach i potężnie umięśniony, pochodził bowiem z planety o podwyższonej sile ciężenia i ostrym, zimnym klimacie. Nie to powodowało jednak niechęć jego rozmówcy, lecz wygląd jego dłoni należącej do pracownika fizycznego – z odciskami od sieci i harpuna – oraz przekonanie tamtego, że ma do czynienia z ograniczonym prostakiem.

– Groźnego nic, żywię nadzieję – skomentował olbrzym.

– Obawiam się, że raczej tak, gdyż na czas kuracji zdecydował się wrócić na Nowy

Zurich.

– Aha. Cóż... za fatygę jestem pana wdzięczny, panie...?

– Fouchet.

– Aha, Fouchet. Pana nie zapomnę, panie Fouchet – obiecał Skjorning i odwrócił się z ukłonem.

Po czym skierował się do ubikacji.

Fouchet obserwował, jak zamykają się za nim drzwi. Zrobił nawet dwa kroki ku nim, ale potem stanął, wzruszył ramionami i nie kryjąc pogardliwego grymasu, ruszył ku drzwiom. Ten tępak nie miał prawa stanowić zagrożenia, więc nie było sensu się nim dalej interesować.

Drzwi ubikacji powoli się uchyliły, a w szczelinie pojawiło się oko. Przyglądający się plecom odchodzącego Skjorning wsunął broń do przedramiennej kabury i westchnął z żalem.

Po czym wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

– Tak, panie Fouchet. Na pewno będę o panu pamiętał – powiedział cicho i zupełnie poprawnie.

\* \* \*

Fionna MacTaggart uniosła głowę znad ekranu komputerowego i zmęczonym gestem przetarła oczy. Spojrzała na zegarek i skrzywiła się – ziemskie dni były męcząco krótkie dla kogoś wychowanego na planecie o trzydziestodwugodzinnej dobie. Na dodatek powietrze było denerwująco rzadkie, przyciąganie irytująco małe, a ona czuła się znużona o tak wczesnej porze. Wstała, nałala sobie kubek kawy i uśmiechnęła się – kawa była jedną z niewielu rzeczy, których będzie jej brakować, gdy wreszcie wróci na stałe do domu, czyli na planetę Beaufort.

Rozległ się brzęczyk u drzwi, toteż nacisnęła przycisk zwalniający zamek. Gdy drzwi się otwały, ukazał się w nich brodaty olbrzym z pałającymi, błękitnymi oczyma. Ladislaus Skjorning.

– Cholera jasna, znowu nie sprawdziłaś, kto chce wejść! – zagrział w nienagannym standardowym angielskim.

– Zgadza się – przytaknęła spokojnie. – Nie będę sprawdzała, kto chce wejść, i nie będę witała gości z pistoletem laserowym w dłoni w samym sercu naszej enklawy. Nie dam się zwariować, Lad. Czasami wydaje mi się, że masz obsesję na punkcie bezpieczeństwa.

– Bo mam – warknął, opadając na jeden z foteli, i przymknął oczy. – Szkoda, że nasz przyjaciel Greuner jej nie ma.

Fionna zaniepokoiła się i tonem, i treścią jego wypowiedzi.

– Nie pojawił się? – spytała, podchodząc do fotela.

– Nie.

– Dorwali go? – upewniła się, zaczynając masaż ramion siedzącego.

– Dorwali. I wywieźli na Nowy Zurich... mam nadzieję. Po urzędasie z Korporacji, który

poczucie awansu albo pieniądze, można się wszystkiego spodziewać.

Poczuła, jak się odpręża pod jej palcami, więc przerwała masowanie i opasała ramionami jego potężne bary.

– Szkoda, że nie wiem, co chciał nam przekazać – mruknęła cicho.

– Też żałuję – odparł, marszcząc brwi – ale i tak wiele nam pomógł. I to nie dla pieniędzy... pomagał nam wbrew swoim, bo uważał, że tak jest słusznie i sprawiedliwie. Boję się, że teraz za to zapłaci... albo już płaci.

– Nic na to nie poradzimy, Lad – poklepała go po ramieniu, nadrabiając miną.

Ladislauś pokiwał smętnie głową. Nie zazdrościł jej – przewodniczenie delegacji Planet Pogranicza było ciężkim zadaniem. A teraz dodatkowo miała powody do zmartwienia: jedyne co wiedzieli o informacjach, które chciał im przekazać Greuner, to że były ważne, bo użył w wiadomości zwrotu „ostrzeżenie sztormowe”. Czyli hasła, które sam ustalił i które oznaczało jakieś naprawdę poważne posunięcie zaplanowane przez Planety Korporacji przeciwko Pograniczu.

– Dowiedziałem się o użytecznym drobiazgu – odezwał się, przerywając ciszę. – Nowy szef bezpieczeństwa delegacji z Nowego Zurich nazywa się Fouchet, jak mi się widzi. Wysoki, wredny, z gębą jak gotowana meduza. Niebezpieczny, choć ma gębę do pary z zadkiem.

Fionna zmrużyła oczy.

– Nowy szef bezpieczeństwa, mówisz? – powtórzyła.

– Oficjalnie na pewno takiego stanowiska nie zajmuje. Oni w ogóle takowych nie mają. Jest pewnie syndykiem komputerowym albo pełni inną fikcyjną funkcję. W rzeczywistości to szef bezpieczeństwa i specjalista od kłopotów... Gdyby był trochę głębszy albo trochę bardziej ciekawski, to mieliby wakat, bo właśnie skończyłbym wyduszać z niego, co zrobili z Greunerem...

– Lad, powiedziałam ci, że nie możemy działać w ten sposób! Już nas nazywają dzikusami i barbarzyńcami! Jeśli zaczniemy używać takich metod, to jak nas nazwą?!

– Nazwą jak mnie, mnie mało obchodzi – warknął, zapominając o gramatyce. – Jak mnie by nie złapali i śladów bym nie zostawił, by nie wiedzieli, kto go załatwił. Się przestępstwa szerzą, że aż strach. Nie ma w używaniu metod przeciwnika złego nic, jak długo skuteczne one są!

Fionna już miała go zrugać, ale zdążyła się ugryźć w język. Wychowali się razem na zimnych i wietrznych morzach Beauforta. Wiedziała, że granie wsiowego ciolka przed takimi jak Fouchet wyprowadzało go z równowagi. Wiedziała jednak także, że był w pełni świadom przewagi, jaką daje wcielenie się w taką właśnie rolę. W czasie służby w Marynarce Federacji nabrał ogłady i nauczył się posługiwać standardowym angielskim równie dobrze jak mieszkaniec którejś z Planet Wewnętrznych, natomiast gdy czuł się bezpieczny, a jednocześnie był w stresie, odruchowo wracał do sposobu mówienia wyniesionego z

dzieciństwa. Jak zresztą każdy. Specyficzna składnia rodem z Beauforta zwracała uwagę wszędzie. We flocie zrozumienie oznaczało przeżycie, toteż Lad szybko opanował standardowy angielski. Miał poczucie humoru i tępawego prostaczka z Pogranicza nauczył się udawać dla własnej przyjemności i rozrywki współtowarzyszy broni, a szło mu to tak dobrze, że mało która ofiara orientowała się w krótkim czasie, że dała się nabrać.

Potem, gdy został szefem bezpieczeństwa delegacji Beauforta wysłanej na Ziemię, ta umiejętność okazała się nader użyteczna. I rzadko kiedy denerwował się, że musi się do niej odwołać – ta reakcja wskazywała, że zżył się z Greunerem bardziej, niż sądziła, i złe wieści były dla niego prawdziwym ciosem. Właściwie trudno się było temu dziwić – niewysoki bankier narażał karierę, a prawdopodobnie i życie, by pomóc mieszkańcom planet, na których nawet nigdy nie był. I już na pewno nie będzie...

Poczuła pieczenie pod powiekami i zacisnęła dłonie na ramionach Lada, czekając, aż napięcie powoli opuści i ją, i jego...

\* \* \*

Salę wypełniał cichy, ale wszechobecny pomruk. MacTaggart uniosła głowę znad konsoli i spojrzała na wysokie podium znajdujące się na samym środku mającej kształt półkuli sali. Od jej miejsca oddalone było o ponad dwieście metrów, a od pierwszego rzędu foteli oddzielał je szeroki pas posadzki wykonanej z czarnego marmuru z białymi żyłkami. Mimo że od dwudziestu pięciu lat zasiadała w Zgromadzeniu, z czego dwadzieścia jako szefowa delegacji planety Beaufort, Komnata Światów nadal wywierała na niej wrażenie. Poznała smutne realia praktycznego funkcjonowania rządu Federacji i żałowała, że nie urodziła się wcześniej – wtedy, kiedy Zgromadzenie Legislacyjne Federacji Ziemskiej rzeczywiście reprezentowało interesy wszystkich planet członkowskich, a nie było jedynie przykrywką dla prywatnych interesów i wyzysku.

Miejsce jednak nadal wyglądało wspaniale. Ściany obwieszono flagami systemów planetarnych. W centrum znajdowała się olbrzymia flaga Federacji – złote słońce, wokół którego krążyła błękitna planeta z białym księżycem, a wszystko to na czarnym tle. Fionna poprawiła słuchawki sprzężone z mikrofonem i zmarszczyła brwi – Lad się spóźnił, a obrady miały się wkrótce zacząć...

Kątem oka dostrzegła ruch w przejściu prowadzącym do sektora, w którym siedziała, i odwróciła głowę w tym kierunku. Po czym starannie ukryła uśmiech – całe szczęście, że nikt ze znajomych nie odwiedzał Ziemi, bo widok Lada prącego przez tłum jak lodołamacz, i to z miną na wpół zawstydzoną, na wpół zirytowaną, wywołałby u nich ciężki szok.

Skjorning dotarł w końcu na miejsce, opadł z ulgą na fotel stojący po lewej stronie zajmowanego przez nią i zaczął gmerać przy słuchawkach, próbując podłączyć je do konsoli.

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytała cicho.

– Nie – odparł, prawie nie poruszając ustami. – Dostałem tylko potwierdzenie kodu.

Zmarszczyła brwi i otworzyła usta, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, rozległ się doskonale słyszalny w całej sali sygnał oznaczający, iż rozpoczęła się sesja Zgromadzenia Legislacyjnego Konfederacji Ziemskiej.

\* \* \*

Zdenerwowanie Fionny rosło w miarę trwania formalności związanych z otwarciem sesji. Delegacja Galloway's World zajmowała miejsce w pobliżu, a Simona Taliaferro nie było wśród jej członków. Delegacja Nowego Zurich była oddalona ledwie o dziesięć metrów od niej; wiedziała że Oskara Dietera także nie było na miejscu. Czegokolwiek by dotyczyło ostrzeżenie Greunera, ci dwaj musieli być zamieszani w całą sprawę, a najprawdopodobniej to oni ją wymyślili. Pochyliła się nad klawiaturą, ponownie sprawdzając, kto do jakiej komisji należy, jako że już dawno temu nauczyła się, iż przedstawiciele Korporacji to co najważniejsze uzgadniają na posiedzeniach takich niewielkich grup. Posiedzeniach odbywających się za zamkniętymi drzwiami.

To, co wyświetliło się na ekranie, potwierdziło jej przypuszczenia – obaj pochodzili z planet o licznych populacjach i mieli osobiste starszeństwo z uwagi na długość sprawowania funkcji w Zgromadzeniu. W połączeniu z zasadą „reprezentatywnego członkostwa”, którą przedstawiciele Korporacji przepchnęli dwanaście lat temu, pozwalało im to zasiadać w kilkunastu komitetach, komisjach i zespołach. Natomiast tylko do dwóch należeli obaj: do Komitetu Spraw Zagranicznych (przewodniczył mu Taliaferro) i Nadzoru Wojskowego (jego przewodniczącym był Dieter). Była to złowróźbna kombinacja.

Urzędnik zakończył formalności związane z otwarciem posiedzenia i ustąpił miejsca Davidowi Haleyowi, marszałkowi Zgromadzenia. Zgodnie z odwieczną tradycją był on mieszkańcem Ziemi i posługiwał się nienagannym standardowym angielskim. Niestety marszałek posiadał obecnie jedynie znikomą część tej władzy, jaką z założenia miał dysponować. Prawdziwa szkoda, w przeciwieństwie bowiem do większości delegatów z Planet Wewnętrznych Haley był na Pograniczu i doskonale wiedział, że silna nienawiść do Korporacji jest tam zjawiskiem powszechnym i dominującym. Niestety niewiele mógł w tej kwestii zdziałać.

– Panie i panowie, przewodniczący Komitetu Spraw Zagranicznych poprosił o sesję zamkniętą i uznanie jej za rozwinięcie posiedzenia komitetu – obwieścił Haley. – Czy ktoś jest przeciw?

Fionna nacisnęła klawisz i na pulpicie Haleya zaczęła pulsować jedna z kontroltek. Marszałek spojrział na nią, przeniósł spojrzenie na sektor zajmowany przez delegację planety Beaufort i jego twarz zniknęła z olbrzymiego ekranu zastąpiona twarzą Fionny. Jego oblicze było jednak nadal widoczne na ekranach konsol delegatów i jego głos rozległ się z głośników.

– Przewodniczący udziela głosu szanownej delegatce planety Beaufort.

W słuchawkach Fionny rozległo się bipnięcie oznaczające, że jej mikrofon został przełączony na głośniki.

– Panie marszałku, to wysoce nieregularne i dlatego chciałabym się dowiedzieć, dlaczego przewodniczący Komitetu Spraw Zagranicznych uważa utajnienie obrad za konieczne i dlaczego nie zostaliśmy o tym poinformowani wcześniej.

Twarz widoczna na ekranie jej konsoli nie miała uszczęśliwionego wyrazu – Haley naturalnie starał się ukryć emocje, ale zbyt długo go znała, by dać się zwieść.

– Mogę jedynie powiedzieć, że prośbę złożyli wspólnie przewodniczący Komitetu i minister spraw zagranicznych w związku ze sprawą najwyższej wagi – odparł. – To wszystkie informacje, jakie posiadam. Chce pani zgłosić oficjalny sprzeciw?

Fionna naturalnie miałaby ochotę to zrobić, ale rozsądek podpowiadał, że w ten sposób niewiele osiągnie, gdyż jedynie opóźni poznanie planów przeciwnika. Ponieważ na informacje z innego źródła w obecnej sytuacji nie miała co liczyć, nic by jej to nie dało.

– Nie, panie marszałku – powiedziała spokojnie. – Nie zgłaszam sprzeciwu.

– Czy ktoś jeszcze ma jakieś pytania lub zastrzeżenia? – spytał Haley.

Nikt się nie zgłosił.

Wobec tego Haley ogłosił utajnienie obrad.

Salę wypełnił przyciszony gwar, gdy Straż Marszałkowska wyprowadzała dziennikarzy, zamykała podwójne drzwi i uruchamiała system antypodsluchowy najnowszej generacji. Treść obrad miała pozostać tajemnicą, choć oczywiście istniała możliwość przecieku pochodzącego od któregoś z delegatów. Takie przypadkowe przecieki nie były niczym niezwykłym w ostatnich latach, choć niegdyś należały do prawdziwych ewenementów. Powodem był stały, choć powolny wzrost liczby mieszkańców Pogranicza, co z kolei powodowało wzrost liczby delegatów z tych planet. I umożliwiała im coraz skuteczniejszą walkę z dominacją Planet Korporacji w Zgromadzeniu. Kampania przecieków, pomówień i plotek stanowiła część tej walki i przybierała coraz ostrzejsze formy. Z początku prym wiodli delegaci Korporacji, ale delegaci Pogranicza uczyli się szybko i naprawdę pilnie. Tyle że tym razem przecieki nie wystarczą – świadczyło o tym dobitnie zniknięcie Greunera.

Obok Haleya pojawiły się dwie nowe postacie. Oskar Dieter, jak zwykle starający się pozostać w cieniu, i Simon Taliaferro, najbardziej zniechęcony człowiek na całym Pograniczu.

Taliaferro mógłby starać się o tekę premiera, ale jako przewodniczący delegacji miał znacznie większe pole manewru, a gdyby objął stanowisko szefa rządu, musiałby zrezygnować z obecnej funkcji. Poza tym jego wybór nie byłby przesądzony, gdyż głosowanie było bezpośrednie. A on był spadkobiercą jednej ze stoczniowych dynastii i użył swej pozycji, wpływów i pieniędzy do skonsolidowania Planet Korporacji. I do zduszenia handlu Pogranicza, doprowadził bowiem do tego, że 90% ładunków w całej Federacji przewoziły statki Korporacji. A 60% planet członkowskich leżało na obszarze Pogranicza i



cierpiało na tym procederze. Dlatego właśnie był tam powszechnie nienawidzony.

Gotów był więc na każdy chwyt, byle odsunąć dzień, w którym liczba delegatów z Pogranicza zwiększy się na tyle, by mogli zażądać rozliczenia za dwa wieki ekonomicznego wyzysku.

– Panie i panowie – odezwał się Haley. – Przewodniczący udziela głosu szanownemu Simonowi Taliaferrowi, delegatowi Galloway's World i przewodniczącemu Komisji Spraw Zagranicznych.

– Dziękuję, panie marszałku – Czarnoskóre oblicze Taliaferra na ekranie aż promieniało dobroduszością.

Był w tym taki fałsz, że Fionna skrzywiła się z niesmakiem.

– Szanowni członkowie Zgromadzenia, przynoszę wam wspaniałą nowinę! – perorował tymczasem Taliaferro. – Po miesiącach negocjacji mogę wam oznajmić, że zbliża się najdonioślejszy chyba moment w historii galaktyki. Prezydent Zhi i premier Minh otrzymali bezpośrednią wiadomość od chana, władcy Chanatu Oriony, dostarczoną przez posiadającego wszelkie niezbędne pełnomocnictwa wysłannika. Chan proponuje pełne połączenie Federacji Ziemskiej i Chanatu Oriony!

Wypowiadając ostatnie zdanie, coraz bardziej podnosił głos, aż w końcu przeszedł do krzyku.

Fionnę aż poderwało, ale jej wściekły gest przeszedł niezauważony w ogólnej wrzawie i zamieszaniu. Dopiero po paru sekundach uświadomiła sobie, że dobrze się stało – była przywódcą, choć nieoficjalnym, delegatów Pogranicza i powinna w swych publicznych wystąpieniach zachować spokój i rozsądek. Inaczej bardzo dużo straci propagandowo. Problem polegał na tym, że propozycja była nie do przyjęcia dla Pogranicza, o czym władze Planet Korporacji doskonale wiedziały. Jedyne ci liberalni i kochający biurokrację durnie z Planet Wewnętrznych mogli żywić złudzenia, że Pogranicze nie postawi sprawy na ostrzu noża.

Powoli opadła na fotel i zmrużyła oczy, kalkulując intensywnie. Taliaferro i jego kumple świetnie zdawali sobie sprawę, jak wygląda prawda, i posunięcie, które właśnie wykonali, było z ich punktu widzenia genialne. Chanat posiadał bowiem olbrzymie społeczeństwo absolutnie nie przyzwyczajone do jakiegokolwiek demokracji. Planety Pogranicza potrzebowały ponad stu lat, by ich ludność wzrosła na tyle, aby liczba delegatów zaczęła zbliżać się do liczby delegatów Planet Korporacji. Po tak olbrzymim zwiększeniu liczby ludności, jakie stałoby się faktem po połączeniu z Chanatem, Zgromadzenie musiałoby zmienić zasadę wyboru delegatów... Czyli podwyższyć liczbę wyborców przypadających na jednego delegata – co skutecznie pozbawiłoby na przynajmniej kilkadziesiąt lat Pogranicze możliwości osiągnięcia tego, co już prawie zdobyło.

Rodziło to ciekawe pytanie: kto tu komu co zaproponował. Jakoś wątpiła, by to Chan albo jego doradcy wpadli na ów pomysł. W sumie było bez znaczenia, czy zaproponowano

mu to otwarcie, czy też subtelnie doprowadzono jego ambasadorów do błędnego przekonania, że idea spotka się z radosnym przyjęciem w całej Federacji. I tak zresztą nie była w stanie dojść prawdy...

Nacisnęła klawisz, żądając udzielenia głosu, bez specjalnych nadziei na rychły sukces – pulpit Haleya musiał mrugać niczym pokaz fajerwerków. Wiedziała jednak, że Taliaferro odda jej głos, jeśli się zorientuje, że chce coś powiedzieć, bo będzie liczył, że w przypiływie wściekłości i zaskoczenia popełni jakiś błąd. Musiała przedstawić stanowisko Pogranicza w sposób dyplomatyczny i wyważony. Jeśli do głosu dojdą emocje pozostałych członków delegacji Pogranicza, z takim trudem stworzony blok rozpadnie się.

– Panie marszałku – głos Taliaferro zagłuszył tumult – oddaję czasowo głos szanownej delegatce z Beauforta!

Gwar ucichł błyskawicznie, gdy na olbrzymim ekranie pojawiła się twarz Fionny. Jej zielone oczy ciskały gromy, ale głos był spokojny, gdy się odezwała:

– Panie marszałku, jestem zmuszona uświadomić mojemu przedmówcy i części tu obecnych, że popełnili bardzo poważny błąd, jeśli spodziewali się, że wszyscy obywatele Federacji powitają ten pomysł z zadowoleniem. Nikt w Federacji nie darzy większym szacunkiem poddanych chana niż mieszkańcy Pogranicza. Walczyliśmy z nimi i wraz z nimi, podziwiamy ich odwagę, ducha i poczucie honoru. Przyznajemy, że mają powody do dumy: są pierwszą rasą, która odkryła teoretyczne podstawy podróży międzyplanetarnych z wykorzystaniem warpów, pierwsi stworzyli międzyplanetarne imperium i pierwsi zdali sobie sprawę ze skutków ślepego militarizmu i zrezygnowali z niego. Ale to nie są ludzie, a my jesteśmy przedstawicielami Federacji Ziemskiej, czyli ludzkiej! Jesteśmy przedstawicielami społeczności stworzonej w znacznej części po to, by z nimi walczyć, społeczności, która tę walkę wygrała i wywalczyła sobie drugą pozycję w znanej galaktyce. Chcę powiedzieć jasno i wyraźnie: Pogranicze nigdy nie wyrazi zgody na to całe tak zwane połączenie!

Po czym usiadła.

A w Komnacie Światów rozpętało się piekło.

\* \* \*

Łagodna, w pewien sposób nawet smutna muzyka przelewała się na podobieństwo falującego morza, stanowiąc doskonałe tło dla przyjęcia. Fionna uprzejmie witała gości, starannie maskując zmęczenie uśmiechem. I nie dając po sobie poznać, że wcale nie cieszy jej zdająca się nie maleć kolejka gości czekających na przywitanie. Ostatni tydzień był upiornie wyczerpujący. Sama dokładnie nie wiedziała, jakim cudem udało jej się utrzymać jedność w bloku delegacji Pogranicza. Nie chodziło o to, że komukolwiek podobała się propozycja przyłączenia; wręcz przeciwnie, sporo osób było na nią złych, że nie zajęła bardziej radykalnego stanowiska.

A nie zrobiła tego z prostego powodu – dwadzieścia pięć lat w Zgromadzeniu nauczyło

ją, że ani władza, ani mieszkańcy Planet Wewnętrznych nie rozumieją Pogranicza. Ci z Planet Korporacji znali swych sąsiadów znacznie lepiej, choć jak podejrzewała, nie w pełni zdawali sobie sprawę z tego, jak powszechną i silną niechęć w nich wzbudzają. Centrum było zbyt odległe od krańców, a jego mieszkańcy zdążyli zapomnieć, jak się żyje ze świadomością, że każdy atak zewnętrzny musi przebiegać przez ich system planetarny, nim dotrze do serca imperium. I albo zapomnieli, albo też nigdy nie doświadczyli, jak to jest żyć ze świadomością, że handel będący podstawą istnienia każdego społeczeństwa jest manipulowany, wykorzystywany i opanowany przez gotowych na wszystko w imię władzy i zysku prominentów z innych planet.

I właśnie dlatego stanowili poważne zagrożenie dla Pogranicza. Nowy liberalizm wynikał ze zbyt dobrego, sytego i spokojnego życia. Rozleniwiony i rozpuszczony „kwiat cywilizacji” łatwo można było przekonać, że na Pograniczu żyją prymitywne chamy niewiele lepsze od dzikusów i że należy dla dobra tychże prymitywów podjąć taką czy inną decyzję nawet wbrew ich woli, bo są zbyt głupi, by myśleć w kategoriach politycznych. A delegaci Korporacji byli elokwentni.

Dlatego wiedziała, że najważniejsze jest przekonanie delegatów, władz i obywateli Planet Wewnętrznych o dojrzałości Pogranicza. Albo przynajmniej o możliwości sensownej dyskusji z jego przedstawicielami. Z tego właśnie powodu nie mogła zająć bardziej radykalnego stanowiska – powiedzenie prawdy i wskazanie winnych byłoby wodą na młyn Dietera i Taliaferra, gdyż nie posiadała dowodów. Miała też pełną świadomość, że pozostali delegaci Pogranicza nie potrafili zachować zimnej krwi – ich wściekłość była zbyt duża. Ona spędziła lata na zdobywaniu pozycji i zaufania, wiedząc, że w końcu nadejdzie dzień konfrontacji, w której słuszny gniew będzie przeszkodą, nie pomocą.

Urodziła się i wychowała na Beauforcie. Na tej planecie odraza i nienawiść do Korporacji były chyba najsilniejsze. Zwiększone przyciąganie i ostry klimat nie tworzyły sprzyjających warunków dla kolonistów, mimo to o miejsca na statkach kolonizacyjnych stoczono zaciętą walkę, choć nie w dosłownym znaczeniu tego słowa. Na Beauforta chcieli się przenieść wszyscy mający dość traktowania ich nie jak istot ludzkich, ale trybików w maszynie, co było regułą na Planetach Korporacji. Dla nich świat tak biedny i odległy dawał nadzieję ucieczki przed manipulacją i kontrolą. Ci, którym się udało, wymknęli się spod władzy Korporacji i wielu z nich zginęło na powierzchni Beauforta. Tak wielu, że Biuro Kolonizacyjne zakazało na prawie sześćdziesiąt lat migracji na tę planetę.

Lata te Fionna знаła z relacji dziadków i rodziców. Były to ciężkie czasy, a nikt im nie pomógł: ani biurokraci z Centrum ani gryzpiórki z Korporacji. To właśnie w ciągu tych sześciu dziesięcioleci wykształcił się ów specyficzny dialekt. Z premedytacją odrzucono zasady składniowe, by odróżnić się od innych, podkreślić swoją odrębność. Bo ci, którzy przeżyli, nienawidzili reszty świata, a zwłaszcza Korporacji, naprawdę ucziwie.

A potem wszystko się zmieniło, gdy odkryto, że wykorzystanie w przemyśle

farmaceutycznym organizmu nader popularnego ssaka morskiego żyjącego w oceanach Beauforta, a nazywanego pseudowalem (skrót od pseudowieloryba), będzie mieć przełomowe znaczenie dla tegoż przemysłu. Tak przełomowe, że wstrząsnęło to ziemską medycyną. I nagle Zgromadzenie, Biuro Kolonizacyjne, władze Korporacji i wszyscy święci zaczęli się troszczyć o los tych, którzy przez ponad pół wieku nic dla nich nie znaczyli. Firmy z Planet Korporacji hurmem ruszyły na Beauforta.

I dostały po łapach.

Twarde warunki życia ukształtowały twarde charaktery. Rząd błyskawicznie uregulował prawny aspekt połowów na pseudowale i wykluczył z nich całkowicie wszystkie firmy spoza planety. Zablokował też możliwość tworzenia firm wspólnych, czyli inaczej mówiąc, zamknął drzwi przed nosem Korporacji. I nie ugiął się pod groźbą represji ekonomicznych. Represji, które po sześćdziesięciu latach niemal całkowitej izolacji wcale nie były straszne. W ten sposób po raz pierwszy od ponad stu pięćdziesięciu lat plutokraci z Planet Korporacji musieli tańczyć pod dyktando rządu planety Pogranicza.

Oczywiste było, że od tego momentu Beaufort stał im ością w gardle. A dla całej reszty Pogranicza był dowodem, że Korporacje można powstrzymać. Dlatego delegaci z tej planety cieszyli się takim szacunkiem. Fionna MacTaggart przez całe swoje zawodowe życie starała się pokazać, że Korporacje można nie tylko powstrzymać, ale i zmusić do ustępstw. Teraz miała okazję udowodnić to ostatecznie, ale było to niezwykle męczące i stresujące zadanie. Konfrontacja gonila konfrontację, a każda kosztowała ją nieco wysiłku i nerwów.

Nie była w najlepszym nastroju, a dobijało ją to przyjęcie. Jego termin został ustalony na długo przed wystąpieniem Taliaferra, toteż odwołanie go nie wchodziło w ogóle w grę. A coraz trudniej było jej zachowywać się uprzejmie wobec delegatów Planet Korporacji, zwłaszcza gdy zjawiało się ich wielu w jednym miejscu. I to, że dla nich spotkanie było równie niemiłe, nie stanowiło żadnej pociechy.

Zerknęła dyskretnie na zegarek – jeszcze dziesięć minut i będzie mogła przestać witać gości; ci, którzy przyjdą później, będą już spóźnieni. Krążenie po sali i rozmowy w małych, nieformalnych gronach były czymś zupełnie innym od oficjalnych wystąpień czy spotkań. Mniej męczyły, a sprawiały znacznie więcej satysfakcji. Dziesięć minut to nie aż tak długo...

A potem dostrzegła, kto ustawił się na końcu coraz krótszej na szczęście kolejki, i z trudem stłumiła przekleństwo.

Był to Oskar Dieter w towarzystwie ostatnio nieodłącznego Foucheta.

Bardziej poczuła, niż zobaczyła, że u jej boku zmaterializował się Ladislaus. Mógł grać tępego, ale zawsze był na miejscu, gdy go potrzebowała... chwilami żalowała, że znają się tak dobrze: przelotny romans z kimś tak silnym i uczciwym dobrze by jej zrobił, ale w tym konkretnym wypadku nie wchodził niestety w grę.

Na tych rozmyślaniach upłynęło jej kilka minut, w trakcie których stosownie uprzejmie powitała kilku nowo przybyłych gości. I stanął przed nią Dieter.

Nigdy go nie lubiła i wiedziała, że jest to uczucie odwzajemniane, Dieter bowiem w przeciwieństwie do swego współnika Taliaferra źle maskował emocje, a ona wiele razy dopiekleła mu do żywego podczas obrad. Nie zapomniał jej tego, a fakt, że była kobietą, jeszcze potęgował jego niechęć. Konstytucja Federacji zakazywała wprawdzie dyskryminacji płci, ale niepisany prawem na Nowym Zurichu była dominacja mężczyzn. Jej postawa była więc dla Dietera kamieniem obrazy nie tylko zawodowo, ale i prywatnie. Spotkanie było jednak publiczne i należało zachowywać pozory.

Dlatego uśmiechnęła się, wyciągnęła ku niemu dłoń i powiedziała:

– Miło mi pana widzieć, panie Dieter. Jak rozumiem, zamierza pan odegrać dużą rolę w jutrzejszej debacie?

– Pani MacTaggart. – Dieter skłonił się lekko, ignorując jej wyciągniętą dłoń. – W rzeczy samej zamierzam. Pani, jak słyszałem, również. I jak sądzę, jak zwykle będzie pani siłą obstrukcyjną.

Jego głos był zimny, a wzrok pełen pogardy.

Tego ostatniego nie widział nikt, kto nie stał tuż przed nim, to pierwsze było wyraźnie słyszalne i rozmowy w najbliższym ich sąsiedztwie zaczęły przycichać. Poczula, że Lad się sprężyła, i delikatnie dotknęła jego dłoni.

– Wolę określać swą rolę mianem adwokata interesów Planet Pogranicza, panie Dieter – odparła równie zimno. – My także mamy prawo przedstawiać nasz punkt widzenia i dążyć do realizacji tego, co uważamy za wartościowe i o czym marzymy.

– Wartości i marzenia? Brednie i bzdury! – warknął Dieter, czerwieniejąc nagle.

Fionnę na sekundę zamurowało – nikt mający odrobinę rozsądku nie zachowywał się w ten sposób publicznie.

– Tak, panie Dieter: my też mamy swoje marzenia i aspiracje. A co, może i to chcą nam ukraść Korporacje?

Cisza stawała się coraz większa, ale Fionna nie mogła sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jej słowa. Nie mogła też wyrażać się łagodniej – granie rozsądnej to jedno, okazanie słabości to coś zupełnie innego.

– Do niczego nam to niepotrzebne – prychnął Dieter. – Ładnie pani mówiła w czasie debaty jak na kogoś z Pogranicza, ale Zgromadzenie nie da się w nieskończoność oszukiwać barbarzyńcom i ksenofobom. Zbyt długo już stoicie na drodze cywilizacji.

Prawie wypluł te słowa i Fionnę olśniło, gdy poczuła jego oddech – Oskar Dieter był ućpany po czubki włosów mizirem rosnącym na Nowych Atenach. Musiał do reszty oszaleć, by w tym stanie przychodzić na przyjęcie, ale to był już jego problem. Odpowiedź zaś na jego atak była jej problemem.

– Może i jesteśmy barbarzyńcami, panie Dieter – odparła głośno i wyraźnie – ale na pewno lepiej niż pan wychowanymi!

Cisza była już taka, że jej głos rozbrzmiał naprawdę donośnie.

Obecni, choć cicho, ale wyrazili poparcie dla jej słów i ten pomruk spowodował, że Dieter do reszty stracił panowanie nad sobą. Nawet przez narkotyczne opary zdawał sobie mętnie sprawę, że strzelił poważną gafę, ale świadomość a zachowanie były dwiema różnymi sprawami. Jego mózg był chwilowo niezdolny do zapanowania nad odruchami.

– Dziwka! – syknął nagle. – Małpowałaś lepszych od siebie już za długo! Won do domu pilnować garów i robić bachory, żeby miał się kto babrać w tym gównie, z którego pochodzisz!

Cisza stała się prawie namacalna. Fionna zeszywniała, nie wierząc własnym uszom. Wrogość polityczna nie była niczym nowym, ale coś takiego?! Wszyscy pozostali także nie bardzo mogli uwierzyć w to, co usłyszeli, gdyż było to po prostu niewyobrażalne chamstwo. Nikt też najwyraźniej nie miał pojęcia, co właściwie należy zrobić.

A raczej prawie nikt, bo jedna osoba nie miała najmniejszych problemów ani ze zrozumieniem tego, co usłyszała, ani ze stosowną reakcją.

Ladislaus Skjorning strzelił otwartą dłońią Oskara Dietera w pysk, aż klasnęło. Siła ciosu posłała go na Foucheta i rozcięła mu kącik ust. Przez moment patrzył nieprzytomnie na napastnika, po czym wyprostował się, klnąc pod nosem.

Fouchet zaś błyskawicznym ruchem sięgnął pod marynarkę.

Ladislaus jeszcze nie skończył z Dieterem – w ciszy rozbrzmiał jego głos:

– Jesteś mi za to winien satysfakcję!

Dieter zamknął z trzaskiem usta, gdy z opóźnieniem, ale wreszcie zadziałał instynkt samozachowawczy. Znajdował się w enklawie delegacji z Beauforta, a enklawy były eksterytorialne, czyli w każdej obowiązywało takie prawo jak na planecie, z której pochodzili delegaci. Na planecie Beaufort zaś pojedynki były legalną codziennością. Spojrzał na brodatego olbrzyma i po raz pierwszy w życiu pojął, co to jest autentyczny strach przed śmiercią.

– Ja... ja... to oburzające! Barbarzyńskie! Chyba nie...

– Ano barbarzyńcami nas zwa! – przerwał mu Skjorning. – Ale od satysfakcji się nie wyłgasz za to chamstwo!

– Ja... nie! – wykrztusił Dieter.

– Nie?! – Ladislaus złapał go jedną ręką za kłapy i uniósł bez większego wysiłku. – To masz prawo nazywać nas barbarzyńcami, ale jaj, żeby czynem poprzeć słowa, to już nie masz? Jesteś na naszej ziemi i nasze prawo tu działa! Jesteś mój, tchórze!

– Puść go, Skjorning! – warknął Fouchet, nie wyjmując ręki spod marynarki.

Ladislaus przyjrzał mu się spokojnie i spytał cicho:

– Fionna?

– Panie Fouchet, znajduje się pan na terenie objętym jurysdykcją planety Beaufort – głos Fionny rozbrzmiał niczym gong w pełnej napięcia ciszy. – Jako przewodnicząca delegacji Beauforta rozkazuję panu trzymać obie dłonie na widoku. Puste!

Fouchet spojrział na nią pogardliwie.

I zbladł.

Za Fionną stanęli bowiem trzej liktorzy Zgromadzenia. Każdy miał kamienny wyraz twarzy, twardy błysk w oczach, a w dłoni pałkę głuszącą. Nie miał pojęcia, skąd się tam wzięli, ale doskonale wiedział, czyje rozkazy wykonują.

Powoli wyjął dłoń spod marynarki. Pustą.

– Dziękuję – oznajmiła lodowato Fionna i dodała miękko: – Puść go, Lad.

Przez moment wydawało się, że Lad nie posłucha, ale potem rozluźnił uchwyt i Dieter wyładował na podłodze, omal nie siadając na tyłku. Zdołał utrzymać się na nogach, ale nim złapał równowagę, usłyszał lodowaty głos Fionny:

– Panie Dieter, został pan wyzwany na pojedynek przez Ladislausa Skjorninga. Czy przyjmuje pan wyzwanie?

– Ja... NIE! Oczywiście że nie! To...

– Cisza! – głos Fionny ciął niczym bicz. – Odmówił pan przyjęcia wyzwania, do czego miał pan prawo. Moim zaś obowiązkiem jako przedstawiciela władz planety Beaufort na Ziemi jest poinformować pana o konsekwencjach. Nie jest pan już mile widziany na terenie Beauforta i nigdy już pan nie będzie. Proszę go natychmiast opuścić. Jeśli kiedykolwiek zjawi się pan tu ponownie, zostanie pan wyrzucony. Albo zabity bez ostrzeżenia i konsekwencji prawnych jako pozbawiony honoru tchórz!

Dieter gapił się na nią z otwartą gębą zupełnie jak wyjęta z wody ryba. Jeśli nie liczyć czerwonego odcisku dłoni na policzku, był blady jak trup. Rozejrzał się gorączkowo, ale na wszystkich otaczających go twarzach widział tylko wrogość. Nikt nie kwestionował decyzji Fionny. Zamknął usta.

I otworzył je ponownie.

– Jedno słowo, panie Dieter, a poproszę liktorów, żeby pomogli panu wyjść – powiedziała zachęcająco. – Teraz wynocha!

I Oskar Dieter posłusznie wykonał polecenie.

A obecni rozstępowali się przed nim jak wieki temu przed trędowatym.

\* \* \*

Analizując przebieg przyjęcia, Fionna miała pretensje do samej siebie tylko o to, że nie wyzwala Dietera na pojedynek. Miała do tego pełne prawo, a wstyd byłby większy. Ponieważ ją sparaliżowało, zrobił to Lad, który także miał do tego prawo. Na Beauforcie podobne zachowania nie były tolerowane, tak zresztą jak na większości planet należących do Pogranicza. Natomiast zaskoczyły ją skutki tego chamskiego wystąpienia.

Nawet bowiem delegaci Planet Wewnętrznych nie twierdzili, że reakcja Lada była zbyt ostra czy niecywilizowana. Federacja od dawna stosowała zasadę, iż nie można bezkarnie naruszać zasad żadnego społeczeństwa wchodzącego w jej skład; w innym wypadku

nietolerancja zniszczyłaby ją lata temu. Poza tym prywatnie mieszkańcy Centrum potępiali zachowanie Dietera. Nie tłumaczyło go nawet to, że był pod wpływem narkotyków, co w Centrum w odróżnieniu od Pogranicza stanowiło czasami okoliczność łagodzącą. Tym razem jednak granica została przekroczona. I w ten sposób spór Korporacje-Pogranicza nabrał dla delegatów Centrum zupełnie nowego znaczenia dzięki przypadkowi nadzwyczajnego chamstwa. Ich stosunek do Pogranicza stał się znacznie bardziej życzliwy.

Reakcja delegatów Pogranicza była jeszcze bardziej zaskakująca – zamiast wybuchu wściekłości nastąpiło zwanie szeregow. Pierwszego nie zdołałyby kontrolować, drugie wzmocniło jej pozycję. Nienawiść była wszechobecna, ale silniejszy okazał się szacunek dla niej i dla Lada.

Głupota Dietera zwiększyła jej autorytet tak wśród delegatów Centrum, jak i Pogranicza i natychmiast stało się to widoczne w przebiegu obrad – delegaci Korporacji powoli, lecz stale tracili w debacie grunt pod nogami i choć kwestia połączenia daleka była od rozstrzygnięcia, stanowisko Pogranicza coraz powszechniej uznawano za głos rozsądku i umiarkowania. Im więcej dni mijało, tym bardziej stosunek sił zmieniał się na jego korzyść.

\* \* \*

Simon Taliaferro nie udawał dobrodusznego, bo nie musiał – był w gabinecie jedynie z Dieterem i Fouchetem, którzy zresztą dopiero co weszli.

– Ty idioto! – powitał Oskara. – Jak mogłeś zrobić coś równie głupiego?!

– Nie byłem sobą – bąknął Oskar. – Zostałem sprowokowany!

– Czym?! Byłeś naćpany po uszy i to jedyny powód! Popatrz na tytuły gazet i powiedz mi, że było warto!

– Panie Taliaferro, gotowi jesteśmy przyznać, że został popełniony błąd, ale ruganie winnego nijak nie pomoże rozwiązać naszych problemów – spokojny głos Francois Foucheta był przeciwieństwem rozwścieżonego tonu gospodarza. – Oczywiście jest, że chce pan coś nam powiedzieć, inaczej by nas pan nie zapraszał. Proponuję zatem, żebyśmy przeszli do rzeczy i zastanowili się, czy nie uda się poprawić sytuacji.

Jego spokój podziałał na Simona, który wziął głęboki oddech i wyprostował ramiona.

– Masz rację, Francois – przyznał znacznie bardziej opanowanym głosem. – Nie będę już komentował tego... incydentu. Ale jego konsekwencje są nieproporcjonalnie złe, możecie mi wierzyć. Mam tu wyniki najnowszych sondaży: w zeszłym tygodniu przegłosowaliśmy sprawę bez problemów, teraz możemy o tym pomarzyć, a poparcie dla naszego pomysłu coraz bardziej słabnie.

Dieter otarł pot z czoła. W ciągu jednego upiornego tygodnia z pozycji drugiej co do ważności postaci wśród delegatów Planet Korporacji stoczył się prawie w niebyt. Wszyscy wiedzieli, że w imieniu władz Nowego Zurichu mówił Fouchet, i wszyscy też się spodziewali, że Dieter lada dzień zostanie odwołany, a Fouchet oficjalnie zajmie jego miejsce. Jego kariera



legła w gruzach, ale najbardziej bolało go co innego – to Fouchet namówił go wieczorem na wzięcie prochów... i dostarczył, jak się okazało, znacznie silniejsze niż te, których Dieter zwykle używał.

Mizir nie wywoływał wizji czy deformacji postrzegania rzeczywistości, toteż nie mógł wpłynąć na treść jego wypowiedzi – Oskar Dieter powiedział tylko to, co naprawdę myślał, w chwili braku samokontroli wynikającej z odurzenia. Był jednak własnymi słowami bardziej zszokowany niż Fiona MacTaggart. Bo ujawniły one patologiczną wręcz nienawiść do niej, z której istnienia nie zdawał sobie w ogóle sprawy. Natomiast musiał sobie z niej zdać sprawę Fouchet – i wmanewrował go. A najgorsze było to, że nie mógł go głośno o nic oskarżyć, bo w realiach Korporacji bardziej godnym pogardy od durnia był jedynie naiwniak.

– Te prognozy są pewne? – spytał Fouchet.

Taliaferro kiwnął głową.

– Są one oparte, jak sądzę, na pewnych stałych założeniach? – upewnił się Fouchet.

– Każde są, ale w tym przypadku niewiele parametrów może się zmienić. Wszystko sprowadza się do tego, że straciliśmy przewagę moralną i w otwartej debacie na temat tak wywołujący emocje jak połączenie przegłosują nas. I to nawet bez wywlekania kwestii ponownego przeliczenia stosunku delegatów. Cholera, pomyśleć, że taki przygłup jak Skjorning wpadł na jedyną rzecz, która mogła do tego doprowadzić!

– Nie wydaje mi się, że on jest rzeczywiście taki głupi – wtrącił Dieter.

– Oczywiście że ci się nie wydaje, bo jesteś kompletnym kretynem! – warknął Taliaferro.

– Ale się mylisz: on jest przygłupem. Zareagował fizycznie, odruchowo, tak jak zawsze reagował w podobnych sytuacjach. Fatalnie się złożyło, że była to akurat najlepsza reakcja z możliwych. Pechowo dla nas, bo dla nich to szczyt szczęścia.

– Zatem wszystko sprowadza się do Skjorninga i MacTaggart, tak? – powiedział z namysłem Fouchet.

Taliaferro przyjrzał mu się z uwagą.

– W sumie tak, choć nie sądzę, by on był równie ważny. Najistotniejsza jest MacTaggart: przez ćwierć wieku pracowała na poparcie i autorytet. Jest najlepszym politykiem na całym Pograniczu i oni o tym wiedzą, dlatego robią, co każe. Natomiast zaczynała już tracić pełną kontrolę i gdybym doprowadził do głosowania tak, jak zaplanowaliśmy, to według prognoz wygralibyśmy, bo w debacie oni wyszliby na narwańców. Cóż, teraz ci, którzy zawsze wyrażali się o nas jak najgorzej, są jeszcze bardziej wściekli, ale jej autorytet tak dalece wzrósł, że nikt nie odważy się nawet pisać bez jej zgody.

– To rozumiem – powiedział powoli Fouchet. – Chodzi mi o to, jak wyglądałyby nasze szanse, gdyby usunąć ją z tego równania.

– Bez niej rzuciliby się na nas jak wilki i byłaby to równie dobra sytuacja jak ta, gdyby nie stanowili spójnego frontu. Ale to niewykonalne: nie da się jej kupić, nie ma jej czym zaszantażować i nie sposób jej przestraszyć. Próbowaliśmy. Od piętnastu lat przewodzi

delegacji Pogranicza i nic nie możemy na to poradzić.

– Rozumiem... – Fouchet uśmiechnął się leciutko. – Ale wypadki chodzą po ludziach, prawda? A Granyork to nie jakaś tam zapyziała kolonia. Jesteśmy w samym środku Północno-Zachodniej Konurbacji, a to prawdziwa dżungla, z której pułapki nikt z Pogranicza nie zdaje sobie do końca sprawy...

Zapadła chwila wymownej ciszy.

– O czym ty mówisz? – spytał z niedowierzaniem Dieter. – Chyba nie sugerujesz...

– Nie słyszałem, żeby Francois cokolwiek sugerował – przerwał mu ostro Taliaferro. – Słyszałem jedynie jego teoretyczne spekulacje na tematy pozostające całkowicie poza naszą kontrolą. Tak na marginesie, ma on zresztą całkowitą rację: gdyby pani MacTaggart przytrafił się jakiś wypadek, to byłoby to dla nas szczęśliwe zrządzenie losu. Naturalnie tylko w sytuacji, w której nasi wrogowie nie byłiby w stanie... stworzyć... jakiegoś związku pomiędzy tym wypadkiem a nami.

– Oczywiście – zgodził się Fouchet.

\* \* \*

Fionna MacTaggart przyjrzała się krytycznie odbiciu swej twarzy w lustrze. Nie była już taka młoda, a urodą nigdy nie grzeszyła (przynajmniej we własnych oczach), ale wyglądała całkiem przyzwoicie. Kiwnęła głową swemu odbiciu i powiedziała cicho:

– Tak między nami, moja droga, lepiej żeby nikt nie wiedział, ile nas to kosztowało pracy.

Po czym uśmiechnęła się i sięgnęła po torebkę.

Była niewielka – wieczorowa, bo przecież do opery nie chodzi się z walizką.

Perspektywa spędzenia wieczoru w inny sposób niż na obradach Zgromadzenia naprawdę ją cieszyła. Planety Korporacji znalazły się w defensywie, ale to nie oznaczało, że ich delegaci zaprzestali walki. Teraz skupili się na odwlekaniu głosowania, choć nie potrafiła odgadnąć, co chcieli w ten sposób osiągnąć. Na pewno planowali coś paskudnego, ale nawet jeśli ona się tego nie domyśli, to Lad lub któryś z jego współpracowników z innych delegacji na pewno. W tej chwili czuła się radośniejsza niż kiedykolwiek od paru tygodni – opera powstała na Ziemi i w jej opinii nadal stała tu na najwyższym poziomie. A ona bardzo lubiła przedstawienia operowe.

Zważyła torebkę w dłoni – nie musiała zaglądać do środka, by stwierdzić, co w niej najwięcej waży. Krótkolufowy niewielki pistolet strzelający igłami o dwumilimetrowej średnicy i eksplodujących czubkach. Miała ochotę go zostawić, jako że Granyork był sercem supercywilizowanych Planet Wewnętrznych, ale doskonale zdawała sobie sprawę, jaka byłaby reakcja Lada, gdyby się o tym dowiedział.

Westchnęła i odłożyła torebkę, nie tykając jej zawartości.

Po czym uaktywniła interkom, wybrała numer Lada i poczekała, aż na ekranie pojawi się

jego twarz.

– Możesz wysłać po mnie wóz? – spytała.

– Mogę i wyślę, o ile nie zostawiłaś przypadkiem zabawki.

– Ja? – przysunęła otwartą torebkę do kamery. – Zadowolony?

– Możesz się śmiać, ale będę spokojnie odpoczywał, wiedząc, że masz broń, Fi – odparł z lekkim uśmiechem.

– Wiem, Lad – powiedziała miękko, zaskoczona, że użył zdrobnienia jej imienia. – Mogę sobie myśleć, że masz lekką paranoję, ale wybrałam cię na szefa bezpieczeństwa i będę cię słuchać tak jak dotąd. Jeżeli zechcesz, żebym poszła tam w zbroi i z granatnikiem, to pójdę.

– Byłbym znacznie szczęśliwszy, gdybyś tak zrobiła – odparł na poły tylko żartobliwie. – Ponieważ jest to niewykonalne... miłej zabawy.

– Dziękuję, Lad – zamrugła kokieteryjnie powiekami. – Dołożę starań, możesz być pewien.

I nacisnęła klawisz, kończąc połączenie.

\* \* \*

Dwadzieścia minut później komunikator Ladislausa rozćwierkał się ponownie. Lad uniósł głowę znad papierów, które studiował, i zmarszczył brwi. Uprzedził, że jest zajęty, więc musiało być to połączenie zewnętrzne. I to na jego zastrzeżony numer. Bez wahania nacisnął klawisz uaktywniający urządzenie i omal nie spadł z fotela, gdy na ekranie zobaczył spoconą gębę Oskara Dietera.

– Proszę wybaczyć nachalność, panie Skjorning. – Dieter wykorzystał jego osłupienie. – Ale musiałem się z panem skontaktować, bo... mam naprawdę ważną informację.

– Tak? – spytał zimno Ladislaus, równocześnie intensywnie myśląc.

Zgodnie z kodeksem honorowym i prawem Beauforta Dieter po prostu nie istniał. Co więcej, nie bardzo mógł sobie wyobrazić jakikolwiek temat, na który miałyby z nim rozmawiać. Ale Dieter także musiał być tego świadom, a więc w grę wchodziło coś naprawdę ważnego. Tylko co?

– Tak... i nie wiem, komu innemu miałbym to powiedzieć – dodał zdesperowany Dieter.

Skjorning dopiero w tym momencie zwrócił uwagę, jak cicho tamten mówi – zupełnie jakby się bał, że ktoś usłyszy.

– A informacja ta to?

– Zanim... zanim powiem, musi mi pan obiecać, że nie zdradzi pan źródła jej pochodzenia – oświadczył Dieter, ocierając mokre od potu czoło.

– Prosty jestem człowiek. Co...

– Panie Skjorning, proszę! Mógł pan oszukać innych, bo gra pan doskonale, ale przede mną naprawdę nie musi już pan dłużej udawać wsiowego głupka!

Ladislaus zmrużył oczy. W końcu komuś udało się go rozszyfrować. Cóż, po tylu latach

to niewielkie osiągnięcie, ale i tak szkoda. Natomiast nie wszystko było jeszcze stracone, bo Dieter nie sprawiał wrażenia, że ma ochotę z kimś się tą wiedzą podzielić. A jeżeli do tego chciał przekazać coś naprawdę istotnego...

– Zgoda, panie Dieter. Ma pan moje słowo.

– Dziękuję, panie Skjorning! – Dieter nawet nie próbował ukryć, jaką mu to sprawiło ulgę, a poza tym było widać, jak się zbiera na odwagę. – Panie Skjorning, zrobiłem z siebie idiotę tamtego wieczoru. Wiem o tym i pan wie, ale przysięgam, że nie miałem pojęcia, do czego to doprowadzi!

– O czym pan mówi? – Ladislaus zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy przypadkiem rozmówca i teraz czegoś nie zażył.

– Zniszczyłem wiele planów – Dieter mówił szybko i nieco bezładnie. – Jestem pewien, że wie pan, o czym mówię. Ale nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo zdesperowani stali się niektórzy z moich kolegów. Oni chcą ją zabić, panie Skjorning!

I oklapł, jakby powiedzenie tego jednego zdania załatwiało wszystko i zdejmowało mu olbrzymi ciężar z ramion.

Skjorning przyglądał mu się przez moment, niczego nie rozumiejąc.

A w następnym dotarło doń, co usłyszał.

– Mówi pan poważnie? Chcą zabić Fionnę MacTaggart?

– Tak! A raczej tak myślę. Na pewno wiem tylko tyle, że ostatnio niezwykle popularny stał się pewien temat. Byłem świadkiem rozmowy, jak ułatwiłoby to naszą sytuację, gdyby jej się coś przydarzyło... Próbowałem się sprzeciwić, ale... nie mam już takiej pozycji jak dawniej...

– Kto to ma zrobić i kiedy? – przerwał mu Ladislaus.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że pomysłodawcą jest Francois Fouchet. Nie znam żadnych szczegółów.

– To wszystko?

– Tak, choć... Francois wspomniał coś o tym, jak niebezpiecznym miejscem może się okazać Granyork.

– Cholera jasna! – jęknął Ladislaus i sięgnął do przycisku, ale nie nadusił go. – Dziękuję, panie Dieter. To, co między nami było, przestało istnieć.

Dieter uśmiechnął się słabo, słysząc formalne cofnięcie wyzwania.

– Dziękuję, ale przede wszystkim niech pan im nie pozwoli jej zabić! Nigdy nie sądziłem... – przerwał, machnął ręką i dodał z dawnym zdecydowaniem: – Dość! Niech pan ją chroni, panie Skjorning. I proszę jej powiedzieć... że przepraszam.

– Powiem. Dobrej nocy.

Ladislaus przerwał połączenie i natychmiast wybrał nowy numer, po czym spojrzał na zegarek. Przy odrobinie szczęścia i normalnym natężeniu ruchu Fionna powinna być dopiero w drodze do gmachu opery.

\* \* \*

– Chris, nie wierzę, że udało nam się dotrzeć tak szybko! – skomentowała Fionna, gdy wóz podjechał do krawężnika i stanął.

– Mnie też, szefowo – zgodził się młody członek jej osobistej ochrony, taksując wzrokiem elegancko ubrany tłumek przed budynkiem.

– I bardzo dobrze. Nie lubię szukać miejsca, gdy zaczynają gasić światła!

Chris Felderman wysiadł, obszedł pojazd i otworzył drzwi. Fionna wysiadła i ruszyła w ślad za nim ku masywnym drzwiom opery.

– Stój! Łapać złodzieja!

Oboje odwrócili się, słysząc te okrzyki, i zobaczyli wybiegającego z grupki gości młodego człowieka z damską torebką w garści. W ślad za nim biegł ochroniarz delegacji z Hangchow. Młokos przemknął o dwa kroki od Fionny, zostawiając goniącego wyraźnie z tyłu.

– Złap go, Chris! – poleciła. – To torebka madam Wu!

– Już się robi!

Felderman skoczył za młokosem, a ponieważ miał długie nogi i mięśnie przyzwyczajone do większego o dwie trzecie przyciągania, doganiał go z każdym krokiem. Dopiero w tym momencie Fionnę minął od początku ścigający złodzieja agent ochrony. Fionna obserwowała akcję ze sporym zainteresowaniem, gdy nagle poczuła mrowienie na karku. Odwróciła się i zbladła, widząc dwóch zbliżających się mężczyzn. Nigdy wcześniej ich nie widziała, ale wyraz ich twarzy i zachowanie natychmiast zaalarmowały jej instynkt samozachowawczy. Poczula panikę, bezsilność, a potem lodowaty spokój, gdy uświadomiła sobie, że dała się podejść jak amatorka.

Próba ucieczki nie mogła się powieść. Wiedziała też, że Chris nie zdąży na czas, podobnie jak i ochroniarz państwa Wu. Pozostawało jej tylko jedno – sięgnęła do torebki i złapała kolbę pistoletu. Nie traciła czasu na wyciąganie go – uniosła broń wraz z torebką, kciukiem przestawiając przełącznik na ogień ciągły.

Zabójcy pochodzili z planety Shilomh i nie wiedzieli, że cel będzie uzbrojony. Byli jednak doskonale wyszkolonymi zawodowcami o błyskawicznym refleksie. I w przeciwieństwie do Fionny byli gotowi.

Co prawda ona pierwsza nacisnęła spust, ale sekundę później wizg bijącego seria pistoletu zagłuszył łoskot dwóch pistoletów maszynowych normalnego kalibru.

\* \* \*

Fionna leżała na chodniku i jęczała z bólu. Nie wiedziała dokładnie, co ją boli, ale bolało jak diabli. Leżała w kałuży czegoś gorącego. Czuła, że ktoś delikatnie unosi jej głowę i wsuwa pod nią coś miękkiego.

Otworzyła oczy i zobaczyła twarz Chrisa Felderman a. Tylko nie bardzo wiedziała, dlaczego on płacze...

– Chris? – Głos był jej, ale nigdy jeszcze nie brzmiał tak słabo.

Coś pocięło jej z kącika ust. Po chwili zorientowała się, że to krew.

– Nic nie mów, proszę! Pogotowie jest już w drodze.

– Po... pogotowie? – zamrugła gwałtownie powiekami.

Coś przysłoniło jej oczy – jakaś mgła unosząca się z chodnika... to by się nawet zgadzało, bo robiło się jej coraz zimniej...

A potem wreszcie zrozumiała i uśmiechnęła się słabo.

– Wątpię... żeby... to... było istotne – szepnęła.

– Będzie dobrze! – uparł się Chris. – Na pewno będzie!

– Może... – Wiedziała, że to koniec, ale nie chciała mu robić przykrości. – Co... z...?

– Zabiłaś ich! – szepnęła z dumą. – Obu!

– Dobrze... – Mgła gęstniała, a jej było już bardzo zimno.

Ale ciemność czekająca za mgłą wydała jej się ciepła i zapraszająca, tylko wpierv musiała coś powiedzieć... Uśmiechnęła się do Chrisa, ignorując wycie policyjnych patrolowców, które zatrzymały się tuż obok, i złapała go za rękę.

– Po... powiedz Ladowi... że go kocham... – szepnęła. – I... że... dorwałam... ob...

A potem światło w jej wszechświecie zgasło na zawsze.

\* \* \*

Ladislaus Skjorning siedział w Komnacie Światów niczym granitowy głaz, a jego dusza była równie pusta jak okryty kirem fotel obok niego.

Zawiódł. Zawiódł mieszkańców i władze Beauforta, siebie i co najgorsze Fionnę. Bezpośrednio winny był Chris Felderman, który wykonał głupie polecenie, zamiast pozostać przy osobie, której miał pilnować i chronić, ale główną odpowiedzialność ponosił on sam. Dał się zwieść latom spokoju, jego czujność osłabła i wróg podszedł go jak amatora. Cała delegacja była w szoku, lecz pozostali jakoś zdołali normalnie funkcjonować.

On nie.

Cały czas miał przed oczyma wzburzone, purpurowe morza pod pomarańczowym słońcem, wspólne wyprawy i połowy, dzień, w którym przekonała go, by został szefem bezpieczeństwa delegacji, której przewodniczyła. Powiedziała mu, że potrzebuje kogoś, kto będzie chronił jej tyłek, kogoś, do kogo ma zaufanie. Zgodził się i przez dziesięć lat to robił. Dopóki nie wypuścił jej z jednym tylko ochroniarzem na ulice miasta, gdzie zastrzelono ją z broni maszynowej jak wściekłego psa.

Zgrzytnął zębami i nagle uświadomił sobie coś, co było tak jasne i oczywiste, że aż dziw, że wcześniej tego nie rozumiał.

Federacja nie była warta życia Fionny.

Czterysta pięćdziesiąt lat historii Federacji Ziemskiej sprowadzało się oto dziś do coraz większego bezprawia ukoronowanego politycznym mordem na zlecenie. I do cyrku odgrywanego w mauzoleum dawno martwych idei, w którym zasiadał rząd nie reprezentujący interesów prawie połowy wyborców.

Fionna była martwa. I razem z nią zginął jej sen o stopniowych zmianach. Bez niej blok Pogranicza pozbawiony przywódcy już się rozpadał, gdy pełni wściekłości delegaci próbowali połączyć zabójców ze zleceniodawcami, nie mając niestety żadnych dowodów.

Zabójcy pochodzili z Pogranicza. Choć wszyscy przypuszczali, kto ich wynajął, nikt tego głośno nie powiedział, bo nikt nie miał choćby cienia dowodu. On sam dzięki Dieterowi wiedział. Miał nawet nagranie rozmowy, ale nie mógł go wykorzystać, bo dał słowo. Zresztą nawet gdyby je złamał, nagranie nie utrzymałoby się jako dowód w sądzie. A więc nie było winnego, a wobec tego nie będzie i kary. A jeśli nie dojdzie do wymierzenia sprawiedliwości, blok Pogranicza rozpadnie się, rozsadzony bezsilną furją, i Korporacje wygra. Wiedział, że to nieuniknione, i był naprawdę zadowolony.

Wstał i wcisnął klawisz sygnalizujący, że chce zabrać głos.

Przemawiający delegat Xanadu sprawdził, kto mu przerywa, i powiedział wolno i wyraźnie:

– Panie marszałku, oddaję głos szanownemu delegatowi planety Beaufort.

Ponure oblicze Skjorninga wypełniło wielki ekran i w sali zapadła absolutna cisza. Lad zasiadał w Zgromadzeniu od dziesięciu lat, a teraz po raz pierwszy miał zabrać głos.

– Panie marszałku, chciałbym uzyskać wyjaśnienie pewnej kwestii prawnej – powiedział chrapliwie, nienagannym standardowym angielskim, wywołując szok większości obecnych.

– Słucham, panie Skjorning. – Haley należał do tych nielicznych, którzy nie okazali zaskoczenia.

– Panie marszałku, jeśli dobrze pamiętam, w 2357 roku niejaki Winston Ortler, delegat Galloway's World, został oskarżony o zamordowanie swej kochanki, obywatelki planety Ziemia. Czy tak było, panie marszałku?

Przez salę przetoczył się pomruk zdumienia.

Tym razem Haley został zaskoczony i to całkowicie.

Twarz Taliaferra wykrzywił zaś pełen wściekłości grymas.

– Tak... tak w rzeczy samej było. Ale nie postawiono mu formalnych zarzutów.

– Dokładnie tak jak nie postawiono ich zleceniodawcy zabójstwa Fionny MacTaggart – przerwał mu spokojnie Ladislaus. – Tyle tylko że w tamtej sprawie istniały przekonujące dowody winy, prawda? Ale koledzy mordercy zdecydowali, że jako delegat chroniony immunitetem nie ponosi odpowiedzialności karnej za żadne popełnione przestępstwo, zgodnie z treścią konstytucji.

– Tak, panie Skjorning, obawiam się, że tak właśnie było – przyznał cicho Haley i wziął byka za rogi: – Czy mogę spytać, dlaczego chciał się pan w tej kwestii upewnić?

– Może pan. – Ladislaus wyprostował się prawie na baczność. – Dlatego, panie marszałku, że w sprawie zabójstwa Fionny MacTaggart także nie będzie oficjalnego aktu oskarżenia, bo ten, który kazał ją zamordować, siedzi na tej sali!

Komnata Światów eksplodowała, gdy wreszcie padły głośno te słowa. Haley walił młotkiem, aż huczało, próbując opanować zamieszanie, ale Ladislaus przekreślił do oporu potencjometr głośnika i jego przypominający ryk głos przedarł się przez wrzawę.

– Fionna MacTaggart została zamordowana za wiedzą i zgodą Simona Taliaferro, gdyż uniemożliwiła kierowanej przez niego klice dalsze manipulowanie Zgromadzeniem! Jej zabójcy pochodzili z Pogranicza, ale zostali opłaceni pieniędzmi Planet Korporacji, a pomysłodawcą i zleceniodawcą mordu był Francois Fouchet.

W ciszy, jaka zapadła po jego pierwszych słowach, rozległo się jedynie kilka odruchowych protestów delegatów Korporacji, toteż zmniejszył siłę głosu, nim zaczął mówić dalej:

– Ale pomińmy to – powiedział dziwnie miękko. – My z Planet Pogranicza dawno już nauczyliśmy się, że nie warto zwracać się do tego Zgromadzenia z prośbą o sprawiedliwość, bo jest to narzędzie manipulatorów pozbawiających nas naszych praw. Ale i to pomińmy, bo nie o to chodzi, bo to już nie ma znaczenia. Kiedy Taliaferro zabił Fionnę, a wy z Planet Wewnętrznych pozwoliliście mu na to i nie zażądaliście, by ukarać winnych, tym samym zabiliście to Zgromadzenie. Jesteście cieniami zmarłych siedzącymi w sali duchów. Pewnego ranka obudzicie się i stwierdzicie, że jesteście tu całkiem sami...

Przerwał, zacisnął pięści, a na jego twarzy pojawiły się nagle uczucia: nienawiść i wściekłość.

– Tak się zaś ale składa, że raz, jedyny raz jeden tego zbiegowiska zasady będą dobre dla Fionny – warknął już nie w standardowym angielskim. – Bo raz jedyny z Pogranicza ktoś będzie tak musiał chroniony być jak z Korporacji!

I nim nie bardzo rozumiejący, o co mu chodzi, delegaci przestali się w niego wpatrywać z zaskoczeniem, przeskoczył niską barierkę oddzielającą miejsca zajmowane przez delegację z Beauforta i w paru długich krokach pokonał dziesięć metrów marmuru dzielące go od tak samo ogrodzonego miejsca, gdzie zasiadała delegacja z Nowego Zurichu.

Fouchet pierwszy zrozumiał, co się święci – zerwał się i sięgnął po broń w podramiennej kaburze, ale Ladislaus był szybszy. Dopadł go w tym samym momencie i zacisnął prawą dłoń na jego nadgarstku. Jego palce miały siłę imadła i kości pękły z trzaskiem wyraźnie słyszalnym w ciszy. Przerwało ją dopiero wycie Foucheta.

Ladislaus wyciągnął go przez barierkę jednym szarpnięciem, drugą ręką wymiół z fotela jakiegoś przeszkadzającego mu urzędnika i ryknął:

– Bo nawet z Pogranicza ktoś może tu sprawiedliwość znaleźć, jak ją sam wymierzy!

Lewą ręką złapał Foucheta za kark i uniósł, podczas gdy na prawo i lewo delegaci zrywali się z miejsc, by lepiej widzieć, co się dzieje. Dwaj liktorzy biegli w jego kierunku, ale nie



mieli cienia szansy, by zdążyć.

Fouchet zawył, czując, jak stalowe palce zacieśniają uchwyt na jego szyi, ale donośny głos Ladislausa zagłuszył go podobnie jak początek ogólnego tumultu.

– Bo tak składa się, że wasze zasrane prawo mnie teraz też daje całkowity immunitet nawet za to!

I błyskawicznym ruchem prawej ręki skręcił Fouchetowi kark.

## Rozdział II

# NARADA WOJENNA

– Moi drodzy! – Simon Taliaferro uniósł kielich i uśmiechnął się szeroko do siedzących przy stole. – Za zwycięstwo!

Zawtórował mu bezładny pomruk, uniesiono i opróżniono szkło. Oskar Dieter jako jedyny nie tknął kielicha. Przyglądał się zmrużonymi oczyma gospodarzowi i gotował się ze złości. Teraz widział jak na dłoni fałszywą dobroduszość i obłudę będące nieodłącznymi elementami zachowania Taliaferro i zastanawiał się, dlaczego wcześniej ich nie dostrzegł.

– Tak, moi drodzy – kontynuował Taliaferro. – Choć bardzo ubolewam nad śmiercią Francois Foucheta, jego morderstwo zapewniło nam wygraną. Dziś rano otrzymałem najnowsze prognozy, z których wynika jednoznacznie, że za dwa, góra trzy miesiące będziemy dysponowali wystarczającą większością głosów, by mieć pewność przegłosowania połączenia!

Tym razem pomruk aprobaty był głośniejszy. A Dieter poczuł lodowaty dreszcz przebiegający po plecach. Połączenie było ledwie pierwszym krokiem planu, który opracowali z Simonem lata temu, tyle że zawsze uważał go za ćwiczenie teoretyczne, coś na wszelki wypadek, czyli do wykorzystania w razie pojawienia się sprzyjającej okazji. I prawdę mówiąc, do końca nie wierzył, że im się uda. I okazało się, że poniekąd miał rację – nie udało się bez morderstwa.

Wpatrzył się ponuro w swój kielich. Tamtego dnia dziennikarze jak zawsze żądni krwi i sensacji zjawili się tłumnie i to przed pogotowiem, toteż mógł obejrzeć na ekranie obraz Fionny leżącej w kałuży krwi. Zabójcy byli bardziej zmasakrowani, ale krwi wokół nich było mniej – ktoś, kto ginie natychmiast, mniej krwawi.

Oglądał te obrazy z masochistyczną fascynacją. Próbował zapobiec zamachowi, ale nie zdążył, a na dodatek to jego własna głupota umożliwiła dokonanie go i równocześnie pozbawiła go możliwości zapobieżenia mu.

Uniósł głowę i uśmiechnął się gorzko – śmierć Foucheta przywróciła go chwilowo w szeregi autokratów Korporacji na Ziemi. Nie miał takiej władzy czy autorytetu jak poprzednio, ale znów był szefem delegacji Nowego Zurichu, toteż reszta musiała go

ponownie zaakceptować. Przynajmniej dopóki władze planety nie zastąpią go kimś nowym. Mimo to jednak był wyrzutkiem i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Ale właśnie dlatego ich fascynował. Już nie był jednym z nich – był splamiony porażką, jego kariera legła w gruzach i wkrótce miał się stać nikiem.

A żaden z jego dawnych towarzyszy nie miał pojęcia, jak dalece przestał być jednym z nich.

– Naturalnie czujemy żal z powodu okropnych wydarzeń, które do tego doprowadziły – perorował Taliaferro. – Ale trudno zaprzeczyć, że cały ten kryzys bardzo się nam przydał.

– Fakt – zadudnił Hector Waldeck, przewodniczący delegacji z Christophona i znany choleryk. – Połączenie zostanie przegłosowane, ale co ze Skjorningiem? Toż to dzikus i powinien zapłacić za to, co zrobił!

Dieter osłonił usta dłonią i skrzywił się pogardliwie, słysząc chórek przytaknięć. Byli tak święcie oburzeni postępkami Skjorninga, że rzygać mu się chciało. Zнали prawdę o śmierci Fionny MacTaggart, ale żaden się na ten temat nawet nie zająknął. Za to do potępienia Skjorninga byli pierwsi, hipokryci jedni!

Westchnął cicho, bo uświadomił sobie, że jeszcze nie tak dawno on sam wygłaszałby dokładnie takie same teksty jak Waldeck. Rozejrzał się po otaczających go pełnych oburzenia gębach i stwierdził, że naprawdę nie ma już z tymi ludźmi nic wspólnego. Ale uzmysłowił sobie też, że jest to niczym spojrzenie w lustro ukazujące niedawną przeszłość. Oni wcale nie byli gorsi od niego – tak jak on grali według jedynych reguł, jakie znali. Każdy sposób był dozwolony, byle wygrać i nie dać się złapać na oszustwie. Problem polegał na tym, że dla nich nadal była to tylko gra. Podniecająca gra o bogactwo i władzę.

Byli manipulatorami, bo mieli ku temu możliwość i sprawiało im to przyjemność. Dla nich Zgromadzenie Legislacyjne stanowiło fascynującą zabawę dającą olbrzymie możliwości, dzięki której mogli uzyskać jeszcze więcej pieniędzy, władzy i upajających tryumfów. Planety Korporacji wydały miliardy, nim opanowały posługiwanie się tą zabawą. Ładnych parę dziesięcioleci trwało także nauczenie się, gdzie należy nadusić i za co pociągnąć, nim zaczęła ona działać tak, jak sobie tego życzyli. A teraz ktoś chciał im odebrać tę zabawę, więc się temu sprzeciwili, tak jak umieli – skutecznie i bezwzględnie. Bo to też uważali za część gry.

Byli bardziej ślepi niż delegaci czy władze Planet Wewnętrznych, ponieważ planując i kombinując, Pogranicze postrzegali tylko jako przeszkodę, a jego mieszkańców nie traktowali ani jak współobywateli, ani nawet jak ludzi – dla nich były to pionki, karykatury, z których można tylko się śmiać i którymi odruchowo się gardzi.

– Hectorze, nie chcemy go karać, choć doskonale rozumiem twój gniew – wyjaśnił Taliaferro i nawet udało mu się zachować wszelkie pozory szczerości. – Jednakże musimy pamiętać, że można skorzystać na jego postępkach. Należy więc użyć go z pożytkiem dla nas, a nie poddawać się sentymentom.

– Pieprzenie! – warknął Waldeck. – Chcę, żeby gnojek stanął pod ścianą i dostał kulę w łeb! Musimy ścierwa nauczyć rozumu, zwłaszcza tych z Beauforta!

Kilkoro z obecnych uśmiechnęło się złośliwie. To właśnie firmy medyczne z Christophona najbardziej zawzięcie próbowały opanować rynek przetwarzania złowionych pseudowali i to z nich zrobił przykład dla innych rząd planetarny Beauforta. Waldeck i pozostali nie zapomnieli ani straty dochodów, ani policzka, jakiego im wymierzono. Nie przyjęli tego z godnością – nie umieli przegrywać, bo nie byli do tego przyzwyczajeni.

– Nie! – oznajmił ostrzej Taliaferro. – Mam zamiar sprzeciwić się jakimkolwiek próbom postawienia go przed sądem. Fakt, musimy się go pozbyć, ale zorganizujemy to bez żadnego procesu. Słyszałeś, co wywrzaskiwał? Jeżeli powtórzy to przed sądem, jego poplecznicy zaczną krzyczeć, że chcemy go skazać, by zatrzeć ślady i uciszyć go, a w to mogą uwierzyć ci durnie z Centrum. Poza tym jeśli odeślemy go do domu w hańbie, znacznie skuteczniej rozsadzimy jedność bloku Pogranicza, niż robiąc z niego męczennika. A na dodatek zyskamy aprobatę liberalów.

– Ale...

– Żadnych ale! – przerwał mu ostro Taliaferro. – Wszystkie prognozy są zgodne co do tego, że gdy tylko się go pozbędziemy, cała masa delegatów z Pogranicza zrezygnuje, wyrażając w ten sposób protest. Czyli sami usuną się z głosowania, dając nam absolutną większość. Ale jeśli zrobimy z niego męczennika, Pogranicze zaprze się, żeby go pomścić, i wrócimy do punktu wyjścia, zupełnie jakby MacTaggart zmartwychwstała!

– Nie podoba mi się to! – prychnął Waldeck.

– Mnie też, ale połączenie jest ważniejsze.

– Doprawdy? – spytał Dieter, zaskakując wszystkich, w tym i siebie.

Obecni spojrzeli na niego zdumieni i zaciekawieni. Wszyscy poza Simonem, bo w jego oczach była tylko pogarda.

– Ależ tak, Oskar – odparł Taliaferro głosem, jakim mówi się do wyjątkowo głupawego dziecka. – Pracowałeś równie ciężko jak my wszyscy, by do tego właśnie doszło.

Nie dodał: „dopóki nie straciłeś poczucia rzeczywistości”, bo nie musiał. Dieter zarumienił się, ale nie spuścił wzroku. Wręcz przeciwnie – rozejrzał się po obecnych z dziwnym spokojem i odwagą. Jedno i drugie uczucie było dlań nowością.

– Pracowałem – przyznał. – Dopóki nie zrozumiałem, ile to będzie kosztować.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się Amanda Sydon z Nowego Detroit.

Dieter spojrział na nią z obrzydzeniem – Sydon była gadem pozbawionym ludzkich cech. Idealnie pasowała pod tym względem do Taliaferra.

– Wiedziałabyś, o czym mówię, gdybyś zadała sobie trud zaakceptowania prawdy – powiedział spokojnie, w pełni kontrolując brzmienie głosu.

– Prawda jest taka, że ci z Pogranicza przez najbliższych dziesięć lat nie będą nawet wiedzieli, dlaczego im to spadło na łby. Mając większość po połączeniu, będziemy ustalali

warunki nowego przeliczania ludności na delegatów. Załatwiliśmy ich na dobre pięćdziesiąt lat i ani zipną! – oznajmiła Amanda z tryumfem.

– Pięćdziesiąt? – uśmiechnął się z wyższością. – Najwyraźniej nie znasz się tak dobrze na demografii, jak myślisz! To nie będzie pięćdziesiąt lat, moja droga. Jeżeli populacja Pogranicza będzie rosła w tym samym tempie co dotąd, a nic nie wskazuje, by miało być inaczej, potrwa to co najmniej sto pięćdziesiąt lat.

Sądząc po reakcjach, nie tylko ona po raz pierwszy usłyszała prawdziwą liczbę.

Spojrzał na Taliaferro i z satysfakcją stwierdził, że ten jest wściekły. A więc drogi Simon nie powiedział im wszystkiego, najwidoczniej uznając, że mogą dojść do podobnych co i on wniosków i przestraszyć się.

– Czyżby Simon ci o tym nie wspomniał? – spytał niewinnie. – Powinien, bo to trochę zmienia cały obraz, prawda? Pogranicze czekało dwieście lat na dzień, w którym będzie miało tylu przedstawicieli co my. Oni też potrafią prognozować i zdają sobie sprawę, że grozi im prawie drugie tyle bezsilności. Jak myślisz, jak zareagują?

– A jak mogą zareagować? – prychnął Taliaferro. – Nie będą mieli dość głosów, by temu przeszkodzić.

– Właśnie – przyznał Dieter i wstał.

Poczucie winy z powodu śmierci Fionny i własnego udziału w doprowadzeniu Federacji do tego kryzysu dodawało mu sił. To już nie była zabawa czy gra – gry są dla dzieci, dorośli mają swoje obowiązki, tylko nie wszyscy są tego świadomi. Gniew, wstyd i wyrzuty sumienia dały mu prawie wizjonerską odwagę – nagle zrozumiał, jak musiała czuć się Kasandra, ale wiedział też, że musi spróbować. Choćby po to, by dowieść samemu sobie, że ma jakiegokolwiek prawo zasiadania w tej samej Komnacie Światów, w której zasiadała jeszcze niedawno Fionna MacTaggart.

– Prawda jest taka, że możemy to zrobić – powiedział cicho. – Możemy użyć Skjorninga do rozsadzenia bloku Pogranicza i przepchnąć przez opozycję, która pozostanie, nowe zasady przeliczania. Tylko czy naprawdę jesteście tak ślepi, że nie widzicie, do czego to doprowadzi?

– Widocznie tak, więc nas oświeć, skoro nagle zyskałeś zdolność jasnowidzenia – prychnął Taliaferro, nie próbując już ukryć pogardy.

– Powiem ci – odparł spokojnie Dieter. – Do wojny.

– Do czego?! – roześmiał się Taliaferro. – Do jakiej wojny? Z bandą dzikusów bez grosza? Człowieku, sama Stocznia Taliaferro jest w stanie zbudować więcej jednostek niż całe Pogranicze razem wzięte! Nawet ci barbarzyńcy nie są aż tak głupi, by zadzierać z taką siłą!

– Tak uważasz? Nie zapominaj, że przewodniczę Komitetowi Nadzoru Wojskowego. Wiem, o czym mówię. Oni mogą walczyć i będą walczyć, jeśli wyrzucisz Skjorninga ze Zgromadzenia. Ale głównym powodem będzie coś innego. Połączenie to dla nich groźba, której nie mogą ignorować. Oni znają Chanat, walczyli z jego mieszkańcami i wiedzą, jakie

mogą być konsekwencje zrównania ich w prawach z ludźmi dla całej Federacji. I nie jest to żadna barbarzyńska ksenofobia, tylko znajomość realiów.

– I co z tego? – Taliaferro wzruszył ramionami. – To niech spróbują secesji, rozgnieciemy ich jak wszy i udowodnimy, że są barbarzyńcami! Po czymś takim ci z Centrum będą chcieli tak samo jak my usunąć ich ze Zgromadzenia. Na stałe!

Jego słowa nawet nie zaskoczyły Dietera za bardzo – podświadomie musiał się tego od dawna spodziewać, tylko wołał sobie tego nie uzmysławiać.

– Mój Boże! – westchnął. – Ty chcesz wojny!

– Nonsens!

Taliaferro odpowiedział zbyt szybko i zbyt lekceważąco.

I do części obecnych dotarło, że Dieter mówi prawdę.

– Do wojny nie dojdzie. – Taliaferro zmusił się do uśmiechu. – W najgorszym wypadku będzie trzeba spacyfikować parę systemów, ale to będzie typowo policyjna robota. A takie rzeczy już się zdarzały, prawda, Hector?

Co prawda rozruchy głodowe na Christophonie miały miejsce trzysta lat temu, ale wszyscy nadal o nich pamiętali, co potwierdziły reakcje obecnych.

– Federacja to przetrzymała i nikt z niej nie wystąpił ani nie został wyrzucony – dodał Simon. – I tak będzie również w tym wypadku. Pogranicze nie ma floty wojennej ani możliwości jej zbudowania. A my mamy jedno i drugie. Chodzi mi tylko o to, że jeśli okażą się tak głupi, jedynie wzmocni to naszą pozycję w ogólnym rozrachunku.

Widać było, że słowa Taliaferra przekonują obecnych – powiedział to, co jego sojusznicy chcieli usłyszeć: że wszystko jest w porządku i że nadal kontrolują grę. On wstrząsnął nimi, ale nie na tyle, by wyrwać z uścisku Simona. A to oznaczało, że nadal będą za nim ślepo podążać. Ugryzł się w język i zamiast odpalić ostro, powiedział spokojnie:

– Mylisz się. Nawet zakładając, że dojdzie tylko do pacyfikacji paru systemów, i tak będzie to punkt przelomowy i początek dzieła zniszczenia. Spacyfikować planetę, której rząd i mieszkańcy występują przeciw Federacji, to nie to samo co spacyfikować mieszkańców planety występujących przeciw własnemu rządowi. Zapominacie, że Federacja istnieje tylko dlatego, że chcą tego jej obywatele. Kiedy wystarczająca ich liczba przestanie tego chcieć, Federacja umrze... Zrobicie, co będziecie chcieli, ale ostrzegam was: sprzeciwię się temu tak oficjalnie na forum Zgromadzenia, jak i praktycznie.

Po jego słowach napięcie w pokoju wzrosło.

– Próbuj! – warknął Taliaferro, czerwieniejąc z gniewu. – Gdyby nie twoja głupota, już byśmy przegłosowali połączenie! Rób, co chcesz, i niech cię cholera! My nadal będziemy rządzić, podczas gdy po tobie zostanie tylko wspomnienie i wiesz o tym!

– Być może, Simon – zgodził się Dieter. – Najprawdopodobniej masz rację: nie zdołam was powstrzymać. Ale kiedy zmienicie Federację w koszary, w których spokojne życie stanie się już niemożliwe, pamiętajcie, że was przed tym ostrzegałem. Ja będę mógł powiedzieć, że

próbowałem temu przeszkodzić... A co wy będziecie w stanie powiedzieć?

– Jesteś prawie tak wygadany jak Skjorning! – odpalił Taliaferro.

– Nie, nie jestem równie elokwentny jak on, ale także mam rację.

Taliaferro machnął lekceważąco ręką, nie odzywając się, ale Dieter pod jego złością wyczuł też niepewność. Niewystarczającą jednak, by zrezygnować z zaspokojenia swych ambicji. Dieter rozejrzał się po pozostałych i zrozumiał, że przegrał. Próbował ich przekonać, ale nie chcieli go słuchać.

Teraz mógł już tylko z nimi walczyć.

Zamknął teczkę, a trzask zamków szyfrowych zabrzmiał niezwykle głośno w ciszy, jaka zapanowała w pokoju, po czym wyszedł w takiej samej ciszy, czując na karku wrogie spojrzenia.

Wiedział, że właśnie ostatecznie przypieczętował swój polityczny los, ale nie obchodziło go to. Istotne było tylko to, że stoczy swą ostatnią walkę w Zgromadzeniu i przegra.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi i powoli ruszył pustym korytarzem w stronę wind. Miał poczucie klęski, ale był zdecydowany walczyć do końca. O tym, że jego kariera legła w gruzach, wiedział już tamtego wieczoru, gdy obraził Fionnę MacTaggart i odkrył, że nie jest taki, jak sądził. Teraz po prostu dokona samozniszczenia, co wprawdzie nie zmaże jego winy, ale przynajmniej pozwoli mu żyć ze świadomością, że zrobił, co mógł. Późno, ale zrozumiał jednak, że ma obowiązek i prawo poświęcić samego siebie w imię sprawy, którą uznał za słuszną.

I dlatego wreszcie mógł chodzić z podniesionym czołem.

I tak też wyszedł z budynku w rozgwieżdżoną ziemską noc.

## Rozdział III

# ZMIANA ROZKAZÓW

Kapitan Li Han dowodząca krążownikiem liniowym Marynarki Federacji FNS *Longbow* wzruszyła z irytacją ramionami, czując, jak szwy jej kurtki mundurowej kolejny raz zsuwają się z ramion, przez co naszywka z głową smoka, symbol ojczystej planety, opuszcza się wraz z rękawem. Powinna stać nad tym cholernym krawcem z pałą, a nie wierzyć mu na słowo! Mundury to on może i umiał szyć, ale nigdy nie miał klienta, który ważyłby czterdzieści kilogramów oraz mierzył sto siedem centymetrów – i niestety było to widać.

Kuter zwolnił, rozpoczynając cumowanie, więc przestała się zżymać i poprawiła czapkę. Jak kiedyś wytłumaczono jej w akademii, sztuka polegała na tym, żeby nie dać po sobie poznać, że coś jest nie w porządku z mundurem. Jeżeli dowódca okrętu tego nie zauważa, to nikt nie zauważy. Oczywiście, o ile nie jest to rażące naruszenie przepisów mundurowych.

Drzwi służby otworzyły się, ukazując pokład hangarowy i wachtę trapową wyprężoną w postawie zasadniczej. Rozległ się elektroniczny świst bosmański i Han zrobiła pierwszy krok. Wśród członków załogi było niewielu ludzi nieorientalnego pochodzenia, jako że port macierzysty okrętu stanowiła planeta Hangchow na Pograniczu. Nie było też w niej nikogo, kto nie pochodziłby z Pogranicza; przemknęło jej przez głowę pytanie, czy którykolwiek z jej podkomendnych zdawał sobie sprawę, ile wysiłku kosztowało ją doprowadzenie do takiego stanu i dlaczego to zrobiła.

Miała nadzieję, że nie wiedzą i że nigdy nie będą zmuszeni się dowiedzieć.

Otrząsnęła się i ruszyła wzdłuż wyprężonego szpaleru. Hangchow miała o około 10% wyższą siłę przyciągania niż ziemską, będąca standardem na wszystkich okrętach Federacji, toteż Han poruszała się w zmniejszonej grawitacji pokładowej z wdziękiem tancerki. I jak zwykle przy podobnych okazjach starannie ukrywała złośliwy uśmiech, gdyż czubek jej czapki znajdował się poniżej ramion mijanych członków załogi, co naprawdę wyglądało zabawnie, choć nie zawsze akurat z jej punktu widzenia. Miniaturowe gabaryty odczuwała jako defekt od początku służby. Najprawdopodobniej na zawsze zostanie zapamiętana jako najdrobniejszy midszypmen, jaki kiedykolwiek studiował w akademii. A nie jako ktoś, kto ukończył ją z najwyższym wyróżnieniem, czyli mieczem honorowym, i w wieku trzydziestu



siedmiu lat został pełnym kapitanem, co też było niezłym osiągnięciem.

Oddała honory, weszła na pokład kutra i z ulgą opadła na fotel. Drzwi służby zamknęły się i jednostka zwolniła elektromagnetyczne cumy. Zaczęła się kolejna kurtuazyjna wizyta... tyle tylko że ta mogła okazać się ważniejsza niż większość dotychczasowych.

Kuter opuścił pokład hangarowy i Han przyjrzała się swej jednostce, wyraźnie widocznej przez okna przedziału pasażerskiego lewej burty. Elegancję jej kształtów podkreślała bryła *Skywatch 3*, fortu orbitalnego mieszczącego dowództwo obrony systemu Galloway's World. Blask gwiazdy typu G4 będącej słońcem systemu odbijał się od smukłych burt krążownika, zmieniając cofnięte w stosunku do kadłuba stanowiska dział energetycznych i pokładowe wyrzutnie rakiet w plamy mroku. Nawet zewnętrzne wyrzutnie i potężne silniki wyglądały na zgrabniejsze i lepiej dopasowane do kształtu jednostki, niż były w rzeczywistości. Okręty liniowe były lepiej uzbrojone, niszczyciele były szybsze, ale jedynie krążowniki łączyły szybkość, zwrotność i siłę, dając obraz groźnego piękna.

Westchnęła i odwróciła wzrok. *Longbow* był piękny, ale nie zmieniało to faktu, że był okrętem wojennym opracowanym i zbudowanym po to, by siać śmierć i zniszczenie wśród wrogów ludzkości. I to było jak najbardziej w porządku.

Natomiast to, że zbliżał się czas, w którym personel floty będzie musiał zdecydować, którzy ludzie są wrogami, było jak najbardziej nie w porządku. Prawdę mówiąc, było wręcz niewiarygodne.

Kuter wleciał w atmosferę planety i za oknem zaczął rosnać w oczach archipelag Jamieson, na którym znajdowała się czwarta co do wielkości stocznia floty. Była to jedyna baza floty nie posiadająca nazwy, dlatego mówiono o niej po prostu „Stocznia”. Tak przyjęło się od czasów pierwszej wojny międzyplanetarnej, kiedy to na Galloway's World znajdowały się wszystkie stocznie Marynarki Federacji. Teraz istniały większe, jak choćby Zephrain, ale nigdzie indziej nie budowano tylu statków i okrętów co tutaj. Kuter położył się w szeroki zakręt, przelatując nad niewinnie wyglądającymi kopułami kryjącymi wyrzutnie rakiet i stanowiska dział. Federation Navy z zasady wołała do obrony zamieszkanym planet wykorzystywać forty orbitalne, by oszczędzić ludności cywilnej strat wiążących się nieuchronnie z każdym użyciem nowoczesnych systemów uzbrojenia na masową skalę, ale w tym przypadku względy szeroko rozumianej profilaktyki przeważały. Poza tym cały archipelag był właściwie jednym wielkim celem – poza Stocznia i otaczającą ją bazą znajdowały się na nim: Stocznia Taliaferro, Kreuger Space Works, Vickers-Mitsubishi-Galloway's World, General Dynamics i z dziesięć innych wielkich zakładów zbrojeniowych. Wraz ze stoczniami orbitalnymi, w których budowano większe jednostki, tworzyło to największą koncentrację przemysłu w znanej galaktyce.

Kuter wytracił prędkość i obniżył lot, a za oknami błyskawicznie wyrosło lądowisko. Han patrzyła nań niewidzącym wzrokiem, gdyż jej myśli pochłaniało czekające ją spotkanie z dowodzącym bazą admirałem. Odetchnęła głęboko i spojrzała na zegarek – na szczęście

wylądowali dokładnie o wyznaczonym czasie.

\* \* \*

– Witam, kapitan Li. – Adiutant królujący w sekretariacie uśmiechnął się na jej widok. – Proszę usiąść, ostatnie spotkanie u admirała Rutgersa trochę się przeciąga.

Han zajęła wygodny fotel i odruchowo rzuciła okiem na zegarek. Miała nadzieję, że nie przeciągnie się zbyt długo, bo za dwie godziny jej okręt miał odlecieć na Christophona, a w ostatniej chwili zawsze wyskakiwała cała masa niespodzianek i nie cierpiących zwłoki spraw. Admirałowie, zwłaszcza dowodzący bazami flot, mieli władzę równą boskiej, toteż należało bez szemrania podporządkować się im i ich rozkładowi dnia. Ale podobnie rzecz się miała z innymi admirałami, a szczególnie tymi, którzy chcieli się dowiedzieć, gdzie to dany kapitan zmarnował godzinę czy dwie, bo o tyle spóźnił się z przybyciem do jego systemu planetarnego.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i Han odruchowo spojrzała na wychodzącego, po czym zerwała się na baczność, widząc na rękawie dystynkcje wiceadmirała. Wysoki, śniady mężczyzna o starannie przyciętej brodzie skinął jej przyjaźnie głową.

– Witam, kapitan Li.

– Dzień dobry, admirałe Trewayne.

– Kolejny petent do admirała, pani kapitan?

– Nie, sir. Przybyłam tylko pożegnać się przed odlotem.

– Aha! – mruknął Trewayne i odwrócił się.

Patrząc na jego szerokie ramiona, Han zastanawiała się, co też mogło znaczyć to „aha”. Całkiem możliwe, że wiedział więcej niż ona. Był najmłodszym wiekiem oficerem, jaki kiedykolwiek dowodził eskadrą monitorów, i nie ulegało wątpliwości, że jego kariera dopiero się rozwijała. Z całą pewnością czekało go któreś ze stanowisk w dowództwie floty, a być może i najwyższy stopień w Marynarce Federacji – stopień marszałka. Jeżeli krążyły jakieś nieoficjalne informacje, musiały dotrzeć do jego uszu znacznie szybciej niż do jej. A na dodatek wieść niosła, że ma on niespotykaną zdolność przewidywania przyszłości.

Nie znała go zbyt dobrze, choć przyjaźniła się z jego synem; zbyt duża była różnica wieku i stopnia. Natomiast komandor porucznik Colin Trewayne był praktycznie jej rówieśnikiem. Aktualnie był zastępcą dowódcy lekkiego krążownika *Ashanti* i też był znaną postacią we flocie. Wielowiekowa tradycja nakazywała, aby przyjmując patent oficerski, stać się osobą apolityczną. W pewnym sensie przysięga oficerska była równoznaczna ze ślubowaniem politycznego celibatu. Do niedawna przestrzegano tej zasady i wyjątki właściwie się nie zdarzały. Ian Trewayne pozostał wierny tej tradycji. Colin był przeciwieństwem ojca: zapalczywy i porywczy, nie krył swej sympatii dla Pogranicza, co jak wieść niosła, stało się powodem silnego rozdzwiewku między ojcem i synem.

Interkom na biurku adiutanta zaczął cicho. Adiutant zameldował się, wysłuchał

polecen i powiedział głośno, patrząc na oboje oficerów:

– Admirał Rutgers chciałby przyjąć państwa razem, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Han uniosła brwi, ale naturalnie nie odezwała się słowem – coś wisiało w powietrzu. Przepuściła przodem Trevayne'a, jak należało się to starszemu stopniem, i weszła za nim do gabinetu.

Admirał floty William Rutgers był masywnym mężczyzną, którego pochodzenia etnicznego nie sposób było domyślić się po wyglądzie. Han uśmiechnęła się ciepło, ściskając jego olbrzymią prawicę; niegdyś był szefem sztabu jej ojca, a prawie piętnaście lat temu jej instruktorem taktyki na piątym roku.

– Dziękuję wam obojgu za cierpliwość – powiedział Rutgers, siadając i nakazując im gestem, by zrobili to samo.

Han poczekała, aż Trevayne zajmie miejsce, nim sama usiadła. Czowała się nieco niezręcznie w obecności dwóch oficerów flagowych, zwłaszcza że świeżo przyleciała z własnego okrętu, na którym była pierwszym po Bogu. A raczej pierwszą.

– Nie ma za co dziękować, Bill – uśmiechnął się Trevayne. – Młodszy stopniem zawsze są cierpliwi. Albo nauczyli się doskonale to udawać.

– Chyba że są podobni do ciebie, Ian. – Rutgers potrząsnął głową z udawanym smutkiem.

Trevayne roześmiał się.

Zabrzmiało to całkiem naturalnie i pasowało zarówno do wygodnej pozy, jak i niedbałej elegancji jego munduru. Nie ulegało kwestii, że miał naprawdę dobrego krawca, co Han stwierdziła z niejaką zazdrością. Żeby tak się zachowywać w obecności pełnego admirała, trzeba było samemu być admirałem, choć niekoniecznie pełnym, byle jakimkolwiek. Ale potrzebne było jeszcze coś – i on to miał. Coś, co wykaczało poza przynależność do „dynastycznych rodów” floty, których członkowie od pokoleń służyli w Marynarce Federacji. Ojciec i dziadek Trevayne'a także doszli do stopni admirałskich, ale w jego przypadku chodziło nie tylko o urodzenie i talent, ale także o charyzmę. Wychował się w społeczeństwie, które nie tylko ceniło takie cechy, ale też oczekiwało określonych rzeczy po określonych ludziach. On sam się spodziewał, że będzie dowodził i że cały czas będzie sobą, a inni spodziewali się tego po nim. Fakt, że był doskonałym strategiem i dowódcą, po prostu potwierdzał słuszność tych obustronnych oczekiwań.

– Cóż, dziś mam całkiem dobry powód, żeby się spieszyć – wyjaśnił Trevayne. – Jutro są urodziny Courtenay, a jeszcze nie kupiłem dla niej prezentu. A twój chrześniak odlatuje jutro; powinienem zjeść z nim lunch i... w końcu porozmawiać z nim od serca.

Na moment zacisnął szczęki i widać było, że niełatwo przyszło mu to powiedzieć.

Han dołożyła starań, żeby udać, iż niczego nie zauważyła.

– Przykro mi, Ian. – Rutgers spoważniał nagle. – Zakupy lepiej zleć Natalii, a jeśli chodzi o Colina... Wiem, że sytuacja jest delikatna, i postaram się zostawić ci czas na lunch, ale nie jestem pewien, czy mi się uda... Twój urlop został odwołany.

Han wyprostowała się i odruchowo przybrała kamienny wyraz twarzy. Wiceadmiralskich urlopów nie odwołuje się z lada powodu.

– Rozumiem. – Trevayne patrzył na rozmówcę spokojnie, zbyt spokojnie, by uznać to za naturalną reakcję.

Han uzmysłowiła sobie, że to także była maska. Wszyscy nosili teraz maski, nawet we flocie.

– A wolno zapytać dlaczego?

– Wolno – przyznał ponuro Rutgers i spojrzął na Han. – Poprosiłem was razem, żeby się nie powtarzać, bo dotyczy to obojga. Nie sądzę, by było to potrzebne, ale na wszelki wypadek przypominam, że to, o czym będzie mowa, jest wyłącznie do waszej wiadomości, nie waszych podkomendnych. Jasne?

Oboje potwierdzili ruchami głów.

– No dobrze... Jak wiecie, Zgromadzenie od dnia zamachu na MacTaggart przypomina gniazdo szerszeni. Skjorning, mordując Foucheta, zamieszał w nim kijem... – Urwał, spojrzął na Han i uśmiechnął się jakby wbrew sobie. – Przypominam sobie pewien wyraz twarzy pewnej midszypmen oznaczający, że nie zgadzała się z rozmówcą. Dlaczego teraz go widzę, pani kapitan?

– Chodzi o to, że raczej trudno mi potępić postępowanie delegata Skjorninga, sir.

– A kto twierdzi, że ja je potępiam? Ja tylko powiedziałem, jakie spowodowało skutki, bo je spowodowało. Nie upieram się, że wszystko nie skończyłoby się podobnie, gdyby go nie zabił, bo prawdę mówiąc, uważam że tak, ale nie w tym rzecz. Teraz, kiedy granat trafił w szambo, my mamy to posprzątać.

– Rozumiem, sir.

– A konkretnie, co masz na myśli, Bill? – spytał Trevayne, mrużąc lekko oczy.

– Chciałbym to wiedzieć – westchnął Rutgers. – Zakładam, że oboje jesteście w ogólnych zarysach poinformowani o tym, co się dzieje na Ziemi?

Przytaknęli.

– W takim razie wiecie, że zbliża się finał. Zgromadzenie zdecydowało się wszcząć postępowanie przeciwko Skjorningowi.

– Tak naprawdę to nie bardzo miało wybór – zauważył Trevayne. – Ale to nie oznacza, że zostanie skazany.

– Masz oczywiście rację. – Rutgers wyjął z szuflady teczkę z zamkiem elektronicznym.

Położył ją na blacie biurka, przyłożył kciuk do skanera i gdy zamek puścił, otworzył i wyjął z niej kartkę żółtawego, zabezpieczonego przed kopiowaniem papieru.

– Oto sporządzona trzy tygodnie temu przez wywiad floty ocena sytuacji... Przybyła dzisiaj kurierem.

Han poczuła rosnące napięcie. Galloway's World należał do Planet Korporacji i objęty był systemem łączności wykorzystywanym zresztą skutecznie od wielu lat przeciwko

Pograniczu. Problem polegał na tym, że przez warpa nie przechodził żaden nośnik sygnału, co powodowało, że wszystkie informacje musiały być przewożone fizycznie albo na pokładach statków czy okrętów, albo bezzałogowych kapsuł kurierskich. Można było jednak zbudować w systemie stacje przekaźnikowe, by jednostka, gdy tylko wyjdzie z warpa, mogła nadać wiadomości, które w ten sposób znacznie szybciej dotarłyby do planety i do stacji przy drugim warpie, skąd natychmiast zostałby wystrzelony następny kurier. Taki system był znacznie lepszy, ale jego budowa pochłaniała sporo czasu i pieniędzy. Utrzymanie go również sporo kosztowało.

Z tego ostatniego skorzystały Planety Korporacji – ich delegaci przeforsowali w Zgromadzeniu zasadę, że sprawiedliwiej będzie, jeśli każdy system sam opłaci budowę i utrzymanie stacji przekaźnikowych, gdyż w ten sposób nikt nie będzie zarabiał kosztem innych. W teorii wyglądało to pięknie, w praktyce wykluczało z grona dysponujących tym rodzajem łączności większość Planet Pogranicza, gdyż były one zbyt biedne na takie inwestycje. Oznaczało to konieczność fizycznego przewożenia informacji do adresata i – naturalnie zupełnie przypadkowo – powodowało, iż cały proces trwał znacznie dłużej. Delegaci i władze Planet Korporacji mogli otrzymać odpowiedź na wysłane pytania w ciągu tygodni, delegaci Pogranicza potrzebowali na to miesiące. I to właśnie była tajemnica doskonałej organizacji i precyzji działania maszyny, którą kierował Taliaferro.

W tym jednak wypadku użycie kuriera oznaczało, że wywiad floty nie ufał systemowi przekaźników i wolał wysłać informacje kurierem, gdyż tylko to zapewniało utrzymanie ich w tajemnicy. Czasami stosowano taką metodę, ale ton i mina Rutgersa wskazywały, że sprawa jest znacznie ważniejsza niż zazwyczaj.

– Wygląda na to, że Taliaferro i jego banda nie zechcą kwestionować precedensu Ortlera – wyjaśnił Rutgers ponuro. – Zamiast dążyć do procesu przed ziemskim sądem, będą chcieli wyrzucić Skjorninga ze składu Zgromadzenia i odesłać go do domu pod eskortą liktorów. Jak to Taliaferro ujął... o, tu jest: „Odeślijmy dzikusów na Pogranicze, gdzie jest ich miejsce”.

Han poczuła, że robi się jej gorąco. Teraz było oczywiste, dlaczego odwołano Trevayne'a z urlopu: kiedy te słowa dotrą na Pogranicze...

Rutgers przyglądał się jej uważnie, po czym potrząsnął głową.

– Han, może kiedyś nadejdzie dzień, w którym patrząc na ciebie, nie będę w stanie się domyślić, co ci chodzi po głowie, ale na razie to nie nastąpiło, więc nie sil się na obojętność.

– Sir?

– Dobrze wiesz, o czym mówię. To – stuknął palcem w kartę – jest najprawdopodobniej najgłupszą polityczną zagrywką w dziejach ludzkości. I rozumiesz to równie dobrze jak ja.

– Jeżeli pan tak uważa, sir – odparła starannie bezbarwnym głosem.

– Pewnego dnia zagrasz chińską laleczkę o raz za dużo – ocenił Rutgers.

Usta Han drgnęły wbrew jej woli, na co zareagował uśmiechem. A potem spoważniał i powiedział powoli:

– To znacznie pogorszy już i tak złą sytuację. Połączenie byłoby dla Pogranicza trudne do przełknięcia w każdych warunkach. Jeśli dodać do tego zabójstwo MacTaggart oraz coś, co uznają za rażącą niesprawiedliwość i wyraz pogardy...

I umilkł, wzruszając wymownie ramionami.

– To jeszcze nie nastąpiło? – spytał Trewayne.

– Nie, ale nastąpi. To tylko kwestia czasu. Analitycy wywiadu są tego pewni. Dla nas teraz najistotniejsze są rozkazy, które przyszły tym samym kurierem. To właśnie przez nie twój urlop uległ skróceniu, a pani lot na Christophona, kapitan Li, odwołaniu. – Rutgers umilkł ponownie, przetarł oczy dłonią i przyznał: – Nigdy dotąd nie otrzymałem podobnych rozkazów... Od tego momentu główne zadanie floty zostało „na okres obecnego kryzysu politycznego”, jak to ładnie ujęto, zmienione. Mamy robić za strażaków na obszarze Federacji, gdy sprawa nabierze rozgłosu.

– Oni pogłupieli do reszty – ocenił nawet w miarę spokojnie Trewayne. – Przyszło może któremuś do tego zakutego politycznego łba, że Federacja rozciąga się na przestrzeni ponad tysiąca czterystu lat świetlnych? Niby jak mamy być wszędzie?

– Tego nie sprecyzowali. Poza tym na razie nie chcą, żebyśmy byli wszędzie. Wywiad określił kilka najbardziej krytycznych systemów i gromad, w których najbardziej prawdopodobne jest zaistnienie problemów. Mamy w każdym dokonać pokazu siły, wysyłając tam eskadrę albo grupę wydzieloną.

– Przeciwno naszym własnym ludziom, sir? – spytała miękko Han.

– Przeciwno wszystkim, Li – odparł ciężko Rutgers.

– Przepraszam za brutalność, ale to wręcz idealny sposób na spowodowanie katastrofy, jeżeli cokolwiek się zacznie. Aha, i skoro mówisz nam o tym, to jak rozumiem chodzi o jednostki wchodzące w skład Battle Fleet, a nie Floty Granicznej?

– Właśnie. Flota Graniczna ma zbyt wielki obszar do patrolowania i zbyt mało okrętów. Jak zawsze zresztą – nie dodał, bo wszyscy troje o tym wiedzieli, że w jej składzie znajduje się zbyt wielu oficerów zbyt sympatyzujących z Pograniczem, by byli „godni zaufania”. – I dlatego prawie połowę sił mamy rozesłać do tych wskazanych przez wywiad punktów zapalnych.

– Dzięki czemu nigdzie nie będziemy w stanie skoncentrować dużych sił – dokończył Trewayne.

– Ja o tym wiem, ty o tym wiesz, Admiralicja prawdopodobnie też o tym wie. A Zgromadzenie nie wie i nie chce wiedzieć. A jakbyś zapomniał, to tak się głupio składa, że pracujemy dla cywilów.

– Tak jest, sir.

– No właśnie, Ian. Weźmiesz swoją grupę wydzieloną i skierujesz się ku Osterman’s Star. Chcę, żeby cię tu nie było o 19.00.

– Rozumiem, sir.

– Kapitan Li, potwierdzi pani odbiór tej teczki. Ma ją pani dostarczyć do rąk własnych admirała Forsythe’a i dołączyć do jego sił. Dalsze rozkazy otrzyma pani od niego.

– Aye, aye, sir.

– Doskonale. – Rutgers włożył kartkę do teczki i zamknął ją starannie. – A teraz powiem wam coś, czego nie powinienem mówić. Uważam, że Zgromadzenie zdurniało do cna. Kiedy ten granat wybuchnie w szambie, nie jeśli, tylko kiedy, to my zostaniemy obsrani i będziemy musieli ratować, co tylko się da. Jesteśmy Marynarką Federacji, a Federation Navy w całej swojej historii nie strzeliła ani razu do cywilnych obywateli Federacji. Chciałbym, aby tak pozostało, ale... pamiętajcie, że jesteśmy Marynarką Federacji.

I przyjrzał się uważnie najpierw Han, a potem Trevayne’owi.

W gabinecie zapadła długa chwila ciszy.

A Han, spoglądając na swego starego nauczyciela, nagle poczuła coś na kształt winy.

– Doskonale. – Rutgers wstał, dając tym samym znak, że spotkanie dobiegło końca, i podał każdemu z nich rękę. – Mój adiutant ma rozkazy dla was. Wykonajcie je najlepiej, jak to tylko będzie możliwe. I niech Bóg się zlituje nad nami wszystkimi!

\* \* \*

Li Han siedziała na środku swej kabiny w pozycji lotosu. Według standardów planetarnych kabina ta była ciasna i mała. Według norm floty luksusowo duża, a dumne władze planety Hangchow umeblowały ją z eleganckim smakiem. Jej wzrok padł na cenny parawan z laki pochodzący z V wieku i zasłaniający szafę pancerną. Świadomość tego, co się w niej znajduje, natychmiast zniweczyła wszelkie wysiłki mające na celu odzyskanie spokoju ducha.

Westchnęła i zrezygnowała – udawanie odpoczynku i odprężenia było złym nawykiem. Wstała płynnie i przez moment zastanawiała się, czy nie wykonać serii prostych ćwiczeń, ale w końcu odrzuciła ten pomysł. Aktywność fizyczna nie była lekarstwem na problemy psychiczne.

Kapitan okrętu nie miał nikogo, do kogo mógłby się zwrócić, gdy targały nim wątpliwości. Młodszy oficerowie, podoficerowie czy członkowie załogi mogli ze sobą o podobnych rzeczach rozmawiać. Nawet admirałowie mogli – jeśli nie z innymi admirałami, to ze swymi kapitanami flagowymi. A kapitan okrętu nie miał nikogo, gdyż sprawował władzę absolutną przez trwające czasami całe miesiące przeloty. To była cena, jaką za to płacił. Mógł porozmawiać z Bogiem, ale była to jednostronna pogawędka. A poza tym kapitan musiał wręcz promieniować pewnością siebie.

Uśmiechnęła się na tę myśl i nie był to wesoły uśmiech.

Nigdy nie ukrywała dwóch rzeczy – że polityka jej nie interesuje i że jest lojalna wobec swej macierzystej planety. Co naturalnie nie oznaczało, że nie śledziła uważnie polityki wewnętrznej. Tego typu podejście miała większość mieszkańców Pogranicza. Jak każdy

urodzony na Hangchow, Han już w młodym wieku zrozumiała, że Korporacje kontrolują ekonomiczną przyszłość jej planety, ale wierzyła, że Zgromadzenie w jakiś sposób stoi na straży jej praw politycznych... dopóki nie awansowała na pełnego kapitana i nie uzyskała prawa dostępu do informacji o zakulisowych machinacjach prowadzących do różnych decyzji politycznych, których wykonanie spadało na Marynarkę Federacji. Jej pierwszym samodzielnym przydziałem była Nowa Delhi i tam przekonała się, jak totalnie Korporacje kontrolują Zgromadzenie.

Jednak nawet wówczas wierzyła, że czas i wzrost demograficzny działają na korzyść Pogranicza. A teraz okazało się, że Korporacje znalazły sposób, by temu przeszkodzić. Po sprawdzeniu danych historycznych stwierdziła, że już dwa razy zrobiły podobny manewr, choć wówczas nie było mowy o żadnym połączeniu z obcym państwem. Pierwsza zmiana zasad przeliczania ludności na delegatów miała miejsce w 2184 roku, druga w 2240. Obie miały na celu utrzymanie dominującej roli Planet Korporacji.

Han zawsze była osobą uczciwą i nigdy nie próbowała oszukać samej siebie. Gdy pojawiły się pierwsze wątpliwości, nie tłumila ich, lecz zaczęła starannie analizować. I ku swemu zaskoczeniu doszła do wniosku, że jej podejrzenia są uzasadnione. Dostrzegła rzeczy, o których dotąd nie miała pojęcia. Kiedy to odkryła, zaczęła się zastanawiać, co zrobić – zgodnie z naczelną zasadą floty, by być zawsze gotowym. Czyli co powinna przedsięwziąć i jako człowiek, i jako dowódca okrętu, gdyby jednak stało się to, co wydawało się nie do pomyślenia. Przede wszystkim musiała sobie odpowiedzieć na pytanie, co jest jej obowiązkiem i wobec kogo powinna pozostać lojalna.

Odpowiedź wstrząsnęła nią, ale zdawała sobie sprawę, że nie mogła być inna. Była, kim była, pogodziła się z tym już dawno, toteż pozostało tylko działać.

Od tego dnia często budziła się w nocy. Często też modliła się, by Federacja, której służyła, przetrwała zbierającą się burzę. Ale równocześnie wiedziała, co zrobi, jeśli ta burza nadejdzie.

\* \* \*

– Wezwanie do identyfikacji z okrętu flagowego, ma'am.

Han spojrzała na swego zastępcę, a potem na główny ekran taktyczny. Widać na nim było wszystkie okręty wchodzące w skład Zespołu Wydzielonego 17. A były to imponujące siły: osiem monitorów, osiem superdreadnoughtów, sześć lotniskowców uderzeniowych, dwa lotniskowce floty, dziesięć ciężkich krążowników, kilkanaście lekkich i kilkadziesiąt niszczycieli. Oprócz tego transportowce Federation Marine Corps, okręty remontowe, jednostki zaopatrzeniowe rozmaitych typów i klas. Całość wyglądała naprawdę okazale.

Tak wielkiej siły ognia nie użyto dotąd w żadnej bitwie, nawet w czasie czwartej wojny międzygalaktycznej. I dlatego właśnie tak przygnębiająca była świadomość, że celem tej koncentracji nie jest pokonanie wroga, tylko złamanie ducha obywateli Federacji.



– Nadaj odpowiedź, Chang – poleciła.

– Aye, aye, ma'am.

Zwłoka komunikacyjna wynosiła przy obecnej odległości od sił głównych ponad dwie minuty, mimo iż *Longbow* leciał z prędkością 0,10 c, czyli prędkości światła.

– Mamy zająć pozycję obok *Flintlocka*, ma'am. A pani ma się zameldować na pokładzie *Andersona*, jak tylko będzie to możliwe – zameldował Chang. – Pytają też, czy mamy na pokładzie korespondencję.

– Potwierdź – poleciła i uruchomiła interkom, wybierając na klawiaturze wmontowanej w poręcz fotela numer pokładu hangarowego.

– Oficer dyżurny pokładu hangarowego – rozległ się głos w implancie.

– Panie Ling, tu kapitan. Za dwadzieścia minut będzie im potrzebny mój kuter.

– Aye, aye, ma'am. Będę gotów.

– Dziękuję, panie Ling.

Zakończyła połączenie i ponownie spojrzała na ekran taktyczny pełen zielonych symboli własnych jednostek. Jeden z nich miał złocistą otoczkę – FNS *Howard Anderson*, okręt flagowy admirała Forsythe'a. Ku niemu też kierował się *Longbow*. Han przyglądała mu się przez chwilę, po czym sprawdziła nazwy pozostałych okrętów, szukając znajomych wśród ich dowódców.

Dowódcę *Andersona* знаła na pewno – Willis Enwright był jednym z najlepszych młodych oficerów floty pochodzących z Pogranicza. Forsythe zresztą sam go wybrał na swego kapitana flagowego. Nie był pierwszym wybitnym oficerem floty o tym nazwisku. Siostrzany monitor tego, którym dowodził – FNS *Lawrence Enwright* – nosił imię jednego z jego dziadków. Dowodził nim kapitan Simon Hodah, którego ciepły uśmiech Han także doskonale pamiętała. Przyjaźnili się od czasu jej pierwszego patrolu, gdy Hodah był pomocnikiem oficera astronawigacyjnego odpowiedzialnym za midszypmenów. Inny znajomek, wiceadmirał Traynor, dowodził jedną z eskadr superdreadnoughtów, a wiceadmirał Eric Hale drugą. Z kolei lotniskowcem uderzeniowym *Basilisk* dowodziła pochodząca z Hokkaido wiceadmirał Analiese Ashigara, a zastępcą Forsythe'a był wiceadmirał Singh, którego okrętem flagowym był *Lawrence Enwright*. Formacja była wyjątkowo liczna i znajomych zebrało się naprawdę dużo.

Federation Navy zawsze stanowiła zżyłą społeczność zawodowców, którzy poświęcili się służbie ideom Federacji. A przynajmniej tak było dotąd – nie licząc paru wyjątków, jako że ludzie są tylko ludźmi i nie zawsze dorastają do ideału. Większość jednak skutecznie trzymała poziom. Teraz to wszystko mogło się zmienić. I na pewno się zmieni...

Han przestała się uśmiechać i wstała.

– Proszę przejąć stery, komandorze Chang – poleciła formalnie pierwszemu oficerowi. – Idę do swej kabiny, a potem na pokład hangarowy, by zameldować się u admirała.

– Aye, aye, ma'am. Przejmuję stery.

Komandor Tsing Chang usiadł na fotelu kapitańskim, gdy tylko Han Li opuściła mostek. Rzucił okiem na odczyty na ekranach fotela i wpatrzył się w drzwi windy, zastanawiając się, czy Han naprawdę sądziła, że nikt na pokładzie niczego się nie domyśla. Nie znalazł odpowiedzi, ale mimo że wrócił wzrokiem do ekranu taktycznego, nadal jej intensywnie szukał.

\* \* \*

– Witam, kapitan Li – admirał Stepan Forsythe wyciągnął na powitanie prawicę.

Jego uścisk był słaby, w niczym nie przypominający uścisku niedźwiedziej łapy Rutgersa. Pod każdym zresztą względem byli przeciwieństwami. Forsythe był smukły i prawie przygarbiony, a jego pobrużdżona zmarszczkami twarz i rzednące włosy zdradzały zaawansowany wiek. Był jednym z niewielu żyjących i pozostających w czynnej służbie oficerów walczących w czwartej wojnie międzyplanetarnej. Han wiedziała, że wkrótce ma przejść na emeryturę, gdyż należał do tych nielicznych, których organizm nie poddawał się terapii mającej opóźnić efekty starzenia. Jednak mimo iż fizycznie był już stary i kruchy, umysłowo pozostał błyskotliwy i w pełni sprawny. Nie utracił też siły woli, o czym dobitnie świadczył błysk w szarych oczach.

– Dziękuję, sir.

– Szybko pani pokonała tę trasę – pochwalił Forsythe, siadając i dając jej znak, by także usiadła.

– Staraliśmy się, sir.

– I to skutecznie. Chce się pani czegoś napić? Trochę czasu minie, nim zapoznam się z tym – uprzedził, wskazując teczkę, na którą spoglądał niczym na klatkę zawierającą wyjątkowo jadowitego węża.

– Nie, sir.

– Doskonale. W takim razie zechce mi pani wybaczyć... – powiedział i zajął się teczką.

Han położyła czapkę na kolanach i czekała, aż skończy czytać. Forsythe studiował dokument wolno i dokładnie, nie zmieniając jednak wyrazu twarzy, toteż nie sposób było odgadnąć, co myśli. A być może to, co czytał, nie było dlań aż tak szokujące, gdyż przeanalizował kryzys wnikliwiej niż ona, mając do dyspozycji znacznie większy zasób informacji niż zwykły kapitan.

W końcu admirał westchnął, złożył starannie kartki i umieścił je w teczce. Po czym nacisnął klawisz interkomu i poczekał, aż na ekranie pojawi się twarz rozmówcy.

– Willis? Mógłbyś przyjść? – spytał uprzejmie.

– Naturalnie, sir.

Forsythe przerwał połączenie i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Rozumiem, że najprawdopodobniej nie wie pani nic więcej, niż zawierają te dokumenty, kapitan Li, ale byłbym wdzięczny, gdyby podzieliła się pani swoimi wrażeniami

ze mną i kapitanem Enwrightem. Jesteśmy tu raczej odizolowani i żaden z nas nie miał od prawie roku kontaktu z kimkolwiek z Centrum.

– Oczywiście, sir – przytaknęła Han, starając się nie okazać, że wolałaby tego nie robić.

– Dziękuję. O, jest kapitan Enwright – ucieszył się Forsythe i wstał.

Do kabiny wszedł energicznym krokiem Willis Enwright – pośpiech był jego cechą charakterystyczną, zupełnie jakby odruchowo sprzeciwiał się temu, że czas płynie, i próbował wykorzystać do maksimum każdą sekundę. Nie był łatwy we współżyciu, ale był doskonałym kapitanem z zadatkami na doskonałego admirała.

– Han! – ucieszył się, ściskając jej dłoń. – Miło cię znów widzieć! Jak rodzice?

– Mama piękna jak zwykle, ojciec równie przystojny, to czego jeszcze chcesz? – uśmiechnęła się.

– Fakt, niczego. – Także błysnął zębami w uśmiechu i ciężko opadł na fotel.

Han wróciła na swój i spod oka obserwowała reakcję admirała na taką poufałość.

Ku jej zaskoczeniu nie było żadnej – Forsythe jedynie lekko się uśmiechnął i natychmiast spoważniał.

– Willis, kapitan Li przywiozła pewne niemiłe informacje – powiedział, wskazując leżącą na biurku teczkę. – Chcesz rzucić okiem?

– Po co? – Enwright wzruszył ramionami. – Jak znam życie, Zgromadzenie znowu zrobiło coś głupiego, a my mamy posprzątać. Specjalizują się w tym od lat, inaczej by nas tu nie było, sir.

– Głupie czy nie, to nadal prawowita władza. – Ostrzejsza nuta w głosie admirała wskazywała, że nie pierwszy raz mają na ten temat odmienne zdanie. – Tym razem jednak zmuszony jestem zgodzić się z tobą, że zrobili coś naprawdę głupiego. Popatrz na to.

I podał mu leżącą na wierzchu kartkę.

Willis przeczytał jej treść i jego twarz ściągnęła się.

– Głupie to niewłaściwe określenie, sir – powiedział już bez śladu wesołości. – Jeżeli to się rozniesie, na całym Pograniczu się zagotuje. I trudno będzie mieć do nich o to pretensje. A rozniesie się, to pewne... a jeśli wyrzucą Lada Skjorninga, zrobi się naprawdę gorąco.

– Właśnie – zgodził się chłodno Forsythe. – A jeżeli robi się gorąco, to kto będzie miał temu zaradzić i sprawić, żeby wszystko wróciło do normy?

– My – odparł ponuro zapytany.

– Zgadza się – przytaknął Forsythe i zwrócił się do Han: – Kapitan Li, czy zgadza się pani z tą oceną sytuacji?

– Cóż, sir – odparła ostrożnie Han – admirał Rutgers zdawał się uważać tak samo, ale sądzę, że pan lepiej się w tej kwestii orientuje po przeczytaniu wiadomości od niego.

– W tej wiadomości, jak w wielu innych ostatnimi czasy, trzeba czytać między wierszami. – Przez moment po gospodarzu było widać jego prawdziwy wiek. – Wygląda na to, że nawet używając bezpiecznych metod przesyłania wiadomości, boimy się pisać otwarcie.

– Dlatego że nikt nie chce spojrzeć prawdzie w oczy, sir – powiedział cicho Enwright. – Ale my musimy. A prawda jest taka, że Federacja stoi na krawędzi wojny domowej.

Po raz pierwszy ktoś nazwał rzeczy po imieniu w obecności Han. Spojrzała na Forsythe'a, ale ten doskonale panował nad mięśniami twarzy.

– Co nie musi oznaczać, że ta wojna wybuchnie – odparł spokojnie. – Naszym zadaniem jest właśnie dopilnować, by nie wybuchła.

– A jeśli jest to zadanie niewykonalne, sir? – spytał Enwright.

– Dla floty nie ma niewykonalnych zadań!

– Mieszkańcy Pogranicza to nie obcy, sir. Tu problem nie sprowadza się do stosunku sił i poziomu uzbrojenia. Tu chodzi o problem strzelania do ludzi. – Willis potrząsnął głową ze smutkiem. – Przepraszam, sir, z całym szacunkiem, ale nie jestem przekonany, czy załogi i oficerowie będą do tego zdolni.

– Nie dojdzie do tego – oznajmił Forsythe. – Natychmiast wyruszamy na rutynowe manewry do Gromady Kontravian. Nawet mieszkańcy Beauforta nie są na tyle szaleni, by spróbować czegoś, mając w okolicy taką siłę ognia.

– Prawdopodobnie nie są – zgodził się cicho Enwright. – Ale co będzie, jeśli już spróbowali? Służyłem z Ladem Skjorningiem, sir. To nie jest narwaniec, ale gdy się już na coś zdecyduje, nie ma takiej siły, która mogłaby go skłonić do zmiany postanowienia.

– Skjorning to tylko jeden człowiek, Willis.

– Ale jeśli odeślą go do domu pod eskortą, będzie to najważniejszy człowiek w całej Gromadzie Kontravian, sir. Odziedzyczył cały autorytet Fionny MacTaggart, a jego własny też już był całkiem spory.

– Kapitan Enwright ma rację, sir – wtrąciła Han. – Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, jak krytycznym czynnikiem stała się osoba Skjorninga. Jeśli Zgromadzenie usunie go ze swego grona, setki delegatów z Pogranicza zrezygnują na znak protestu.

– W takim razie okażą się głupcami! – ocenił Forsythe. – Powinni zostać i walczyć!

– Nam łatwo to powiedzieć, sir – zauważył Enwright. – Służąc we flocie, jesteśmy odizolowani od codzienności. Przypominamy pod tym względem zakon mnichów-wojowników z dawnych wieków, a nie część społeczeństwa mającego do czynienia z polityczną machiną Planet Korporacji. A opanowała ona tak skutecznie Zgromadzenie, wykorzystując je do własnych celów, że wielu delegatów Pogranicza nie wierzyło w skuteczność walki prawnej, jeszcze nim MacTaggart została zamordowana. Teraz żaden nie ma wątpliwości, iż w Zgromadzeniu nic nie zwojują. Są zmęczeni walką w systemie, którego zasady zostały tak wykoślawione, by nie mogli wygrać, sir.

– Ale jeśli doprowadzą do rozłamu, zrobią dokładnie to, o co chodzi tym, którzy manipulują systemem! – zirytował się Forsythe. – Nie rozumieją tego?

– Z całym szacunkiem, sir, ale są zbyt wściekli, by to zauważyć – wtrąciła Han.

– A pani podziela ten gniew, kapitan Li? – spytał cicho admirał.

– Tak, sir. Podzielam. – Pierwszy raz ktoś starszy stopniem spytał ją o to otwarcie i poczuła dziwną ulgę, mówiąc prawdę.

– Większość oficerów pochodzących z Pogranicza tak czuje, sir – cichy, ale stanowczy głos Enwrighta spowodował, że Forsythe zwrócił ku niemu wzrok. – Pan nie urodził się tam i nie wychował, więc zapewne inaczej pan na to patrzy, ale proszę mi wierzyć. Dlatego nie podoba mi się cały ten pomysł z „pokazem siły”. Bo nie sposób powiedzieć, jak zareagują załogi, jeżeli dojdzie do konfrontacji. Ponad sześćdziesiąt procent naszych ludzi pochodzi z Pogranicza.

– I wszyscy są zaprzysiężonymi członkami Sił Zbrojnych Federacji – dodał spokojnie Forsythe. – Będą o tym pamiętać, jeśli przyjdzie taki czas. A naszym zadaniem jest dopilnować, by nie przyszedł, i dlatego lecimy do Gromady Kontravian.

– Rozumiem, sir. – Enwright pochylił się nieco w fotelu. – I dlatego za pańskim pozwoleniem chciałbym coś zasugerować.

– Oczywiście.

– Przynajmniej w jednej kwestii ma pan absolutną rację, sir: najlepszym sposobem zapewnienia spokoju w tym rejonie jest posłanie tam znacznych sił floty, zanim do czegokolwiek dojdzie. Dlatego proponuję, byśmy wydzielili grupę lotniskowców admirał Ashigary, dodali jej jako osłonę krążowniki liniowe i posłali przodem. Te jednostki są o pięćdziesiąt procent szybsze od monitorów i mogą dotrzeć na miejsce, lecąc całą naprzód, trzy miesiące wcześniej niż my. A ich obecność powinna wystarczyć, by stłumić pierwszą falę głupich pomysłów, sir.

Forsythe zamyślił się głęboko.

A Han obserwowała go uważnie, świadoma, że sugestie Willisa są słuszne. Im szybciej duża grupa okrętów znajdzie się w Gromadzie Kontravian, tym lepiej. Nawet najzagorzalsi zwolennicy Pogranicza we flocie zastanowią się, jeśli będą wiedzieli, że jakakolwiek akcja oznacza początek poważnej strzelaniny.

– Nie, Willis – powiedział w końcu Forsythe.

Enwright już otwierał usta, ale widząc, że admirał machnął ręką, zamknął je bez słowa.

– Cieszy mnie, że myślisz o skutecznej prewencji, ale jeśli byśmy tak postąpili, cały pomysł rutynowej wizyty staje się bez sensu i wszyscy doskonale będą wiedzieć, po co się zjawiliśmy. To może jeszcze zaognić sytuację. Sądzę natomiast, że przeceniasz siłę nastrojów panujących na Pograniczu. Nie chodzi mi o rządy czy delegatów, ale o społeczeństwo. Lojalność wobec Ziemi nadal jest wśród ludzi wielka. A my dotrzemy tam, zanim przywódcy nakłonią ich do czegoś gwałtownego.

– Stepan – Enwright pierwszy raz zwrócił się doń po imieniu. – Mylisz lojalność względem ojczystej planety z lojalnością wobec Zgromadzenia. Dla każdego człowieka z Pogranicza to dwie różne sprawy.

– Może... ale i tak mamy, jak sądzę, dość czasu. A najgorsze, co moglibyśmy zrobić, to

zachować się tak, jakbyśmy spodziewali się rozłamu. Nie, Willis. Nie wydzielimy lotniskowców. Cały 17. Zespół Wydzielony poleci tam razem.

Han wstrzymała oddech, zastanawiając się, jaka będzie reakcja Enwrighta. Okazało się, że żadna: ugryzł się w język i milczał.

– W takim razie te kwestie mamy załatwione – oznajmił Forsythe i spojrzał na wiszący na ścianie zegar. – Widzę, że czas na obiad. Zje pani z nami, kapitan Li?

– Będę zaszczycona, sir.

Tylko tak mogła odpowiedzieć, ale w sumie była zadowolona ze zmiany tematu. Wstała wzorem gospodarza i jako ostatnia wyszła z kabiny. Mijając wyprężonego przed wejściem do kwatery admirałskiej wartownika z Marine Corps, poczuła nagły chłód. Admirał Forsythe był dobrym i lojalnym człowiekiem troszczącym się o wszystkich obywateli Federacji. Ale coś jej mówiło, że właśnie popełnił największą pomyłkę swego życia.

## Rozdział IV

# POWRÓT DO DOMU

Przełot przez warpa odczuł żołądek i błędnik każdego na pokładzie liniowca pasażerskiego *Capricorn*. Liniowce dokonywały tranzytów znacznie wolniej niż okręty wojenne, nie chcąc narażać delikatniejszych (i płacących) pasażerów na konieczność gwałtownego rozstania się z ostatnim posiłkiem, ale całkowicie nieprzyjemności związanych z wyjściem z nadprzestrzeni nie dało się wyeliminować. Na szczęście trwało to krótko i wszystko wróciło do normy, a *Capricorn* kontynuował lot już w normalnej przestrzeni systemowej. Naturalnie leciał całą naprzód, jako że był szybkim liniowcem o ostro wyśrubowanym rozkładzie lotów, którego za wszelką cenę należało się trzymać.

Ladislaus Skjorning wyszedł ze swej kabiny na korytarz. Po miesiącu lotu już się odruchowo nie oglądał – wiedział, że krok w krok za nim jak cień podąża liktor Zgromadzenia o twarzy jakby wykutej z kamienia. Przez cały ten czas jej wyraz nie zmienił się ani razu, a on nawet nie poznał imienia swego strażnika-opiekuna. Dlatego zwracał się do niego „ej, ty”!

Zaczynając od Głównego Liktora aż do świeżo przyjętego rekruta, liktorzy szczycili się tym, że nie byli związani z żadną z planet i nie mieli żadnych prywatnych uprzedzeń czy preferencji. Byli wykonawcami decyzji Zgromadzenia i obywatelami Federacji – tak napisano w dokumentach każdego z nich. Żadna planeta nie była przez nich faworyzowana ani nie mogła próbować wymusić jakichkolwiek przywilejów. Może to i było uczciwe, ale dla Ladislausa ciągła obecność strażnika stanowiła przedłużenie bliskości Zgromadzenia, a to akurat niezbyt mu odpowiadało, bo gdy tylko przypominał sobie farsę zwaną oskarżeniem, wściekłość ogarniała go na nowo.

Nigdy przecież nie próbował zaprzeczyć, że zrobił, co zrobił, a jego obrońca Wu Liang, przewodniczący delegacji Hangchow, całą obronę oparł na precedensie Ortlera, żądając utrzymania całkowitego immunitetu delegata. I tym samym podkreślając, że czyn Ladislausa był niczym mniej i niczym więcej, tylko egzekucją, co pięknie uwypuklało hipokryzję delegatów Planet Korporacji.

Wiedział, że jego życie wisi na włosku, ale wściekłość zubożniała go na strach.

Wściekłość podsycana podziwem, który czuł, gdy obserwował, jak sprawnie machina sterowana przez Taliaferra niszczyła Pogranicze, wykorzystując słuszny gniew jego delegatów. Pomysł, by zażądać nie jego głowy, ale wyrzucenia ze Zgromadzenia i odesłania na Pogranicze jak ostatniego śmiecia na śmietnisko, był wręcz genialny, co zmuszony był przyznać. Nic nie mogło bardziej gwarantować tego, że delegaci Pogranicza się wściekną. No i się wściekli – delegacja po delegacji manifestacyjnie opuszczała Komnatę Światów po wygłoszeniu mniej lub bardziej cenzuralnej mowy potępiającej władze Planet Korporacji, a delegaci i władze Planet Wewnętrznych dostrzegli tylko targającą ich członkami złość. Nie zadali sobie trudu, by dostrzec manipulację i rażącą niesprawiedliwość, które tę furję wywołały, za to aż ich odrzuciła pasja, z jaką przemawiali delegaci Pogranicza. I tak przyjęli pozory za prawdę. A to oznaczało koniec szans na kompromis, czego on sam był świadom od dnia śmierci Fionny. I dlatego z niecierpliwością czekał na znalezienie się w domu, by móc zacząć działać. Doskonale bowiem wiedział, co musi zostać zrobione.

Mimo to czuł szczery podziw dla garstki umiarkowanych, którzy bez cienia szansy, ale do końca próbowali powstrzymać falę hysterii. A nade wszystko podziwiał Oskara Dietera.

Nie tylko on został kompletnie zaskoczony, gdy Dieter poprosił obecnych o zachowanie umiaru i zdrowego rozsądku i jako przewodniczący delegacji Nowego Zurichu odstąpił oficjalnie od wszelkich oskarżeń przeciw zabójcy Foucheta. A potem, gdy stoczył prawdziwą batalię z Taliaferrem, próbując uratować Ladislausa i Zgromadzenie, był wręcz wspaniały. Nie miał szans wygrać, choć stanęli za nim wszyscy umiarkowani – zupełnie jakby zdawali sobie sprawę, jaka jest prawdziwa stawka tej rozgrywki... Było ich i tak o wiele za mało, by mogli cokolwiek zmienić.

Otrząsnął się ze wspomnień i przeszedł do salonu. Był ostatnim pasażerem pierwszej klasy na pokładzie, gdyż Beaufort był ostatnią planetą na trasie liniowca. W pewnym sensie to pasowało: ostatnia planeta Federacji... Co prawda wiele należących do Gromady Kontravian leżało jeszcze dalej, ale tylko do systemu Beaufort prowadził szlak przez warpy, czyli przejścia nadprzestrzenne, do pozostałych trzeba było lecieć w normalnej przestrzeni, co trwało znacznie dłużej.

Usiadł w przepastnym fotelu pod jednym z ekranów powiększających i obserwował powoli rosnącą w oczach planetę, na której się urodził i wychował. Znajdowali się na tyle blisko, że widział już orbitalną stację przeładunkową, jako że większość statków i okrętów była tworami próżni nie przeznaczonymi do kontaktów z atmosferą. Przed odkryciem leczniczych właściwości pseudowała nie było tego luksusu, bo zagłądały tu tylko trampy frachtowe przystosowane do lądowań planetarnych. Nie przylatywały nawet statki pocztowe Mobius Corporation.

Za stacją widać było purpurową kulę planety i prawie czuł już bogaty w jod wiatr i normalne wreszcie przyciąganie. Połowę powierzchni przesłaniały chmury, co oznaczało burzę, a burzy na Beauforcie nie mogła dorównać żadna inna planetarna burza.



Większość powierzchni pokrywała woda – głęboka i purpurowa. Poza leżącym na południowej półkuli kontynentem zwanym Grenelsbane do zamieszkania nadawały się tylko archipelagi luźno rozrzucone na drugiej półkuli. Niektóre wyspy według ziemskich standardów zaliczały się do olbrzymich, ale nadal były to wyspy samotnie wystające z zimnych odmętów. Ludzie uczynili z nich swój dom i ukształtowali je, ale one również ich ukształtowały. Mieszkańcy granitowych wysp Beauforta mieli dusze wykute z granitu. Naprawdę tęsknił do tego, by stanąć na powierzchni i poczuć znów tę nieugiętą obecność.

Najpierw jednak musiał stawić czoło porażce. Odleciał na Ziemię jako szef ochrony delegacji, wrócił jako pokonany, który nie wypełnił swych obowiązków i został na dodatek wyrzucony ze Zgromadzenia. Mieszkańcy Beauforta byli bardziej współczujący i rozumieci znacznie więcej niż ci z Planet Wewnętrznych żyjący na bezpiecznych światach, ale charakteryzowali się też rozwiniętym poczuciem obowiązku. Było to zrozumiałe na planecie, której przyciąganie, ciśnienie powietrza i morze konspirowały przeciwko ludzkim natrętom, jak tylko mogły. Doskonale to pojmował, gdyż miał dokładnie taki sam charakter, ale właśnie dlatego jego porażka była jeszcze dotkliwsza.

Siedział tak przez długi czas, obserwując zbliżającą się planetę, mijany fort mieszczący dowództwo obrony orbitalnej czy odlatujący z systemu lekki krążownik o białym kadłubie ozdobionym błękitnym emblematem Floty Granicznej na dziobie. Zastanowił się przelotnie, co tak duży okręt tu porabia, ale tylko przelotnie.

Zza planety wyłonił się księżyc większy niż Mars i posiadający siłę grawitacji wynoszącą połowę ziemskiej oraz atmosferę na tyle gęstą, by mógł tam żyć człowiek. Był to jeden ze złośliwszych dowcipów wszechświata – Beaufort, planeta prawie zbyt masywna dla człowieka, posiadał księżyc z pozoru znacznie bardziej odpowiedni do skolonizowania, ale panowały na nim warunki prawie to uniemożliwiające. Osiedlenie się tam nie wchodziło więc w grę.

Ladislaus przypomniał sobie swój szok, gdy pierwszy raz zobaczył ziemski Księżyc, i zdał sobie sprawę, jak niepozorny okruczeństwo skały dał początek białemu symbolowi na fladze Federacji. Nie wspominając już o rachitycznych ruchach wody zwanych falami...

Silniki liniowca zostały wyłączone, gdy znalazł się on w zasięgu promieni ściągniętych stacji, które złapały go i delikatnie ustawiły w pozycji stosownej do podłączenia elastycznych korytarzy rozładunkowych. Gdy tylko połączenia ze śluzami zostały zahermetyzowane, a elektromagnetyczne cumy sprawdzone, otwarto drzwi śluz.

Ladislaus powoli wstał i skierował się ku windzie.

Krok za nim maszerował jego cień – liktor Zgromadzenia.

\* \* \*

Ladislaus siedział w fotelu promu i obserwował przez okno zsunięte na czas lotu w atmosferze płyty, których krawędzie natarcia świeciły coraz bardziej rozgrzane tarciami

powietrza. Pilot lotem ślizgowym wchodził w atmosferę planety, wytracając równocześnie prędkość.

Płaty rozsunęły się, silniki ożyły i prom skierował się ku wyspie Kraki, na której znajdował się port kosmiczny. Według standardów Planet Wewnętrznych niewielki, według tutejszych jak najbardziej wystarczający. I całkowicie nieelegancki – nigdy go nie przebudowywano. Pozostał prosty i funkcjonalny, tak jak wszystko na planecie.

Prom wylądował i Ladislaus ze zdziwieniem zobaczył sporą grupę oczekujących, by nie rzec tłum. Otaczali lądowisko mimo ostrego wiatru; o tej porze roku, czyli na wiosnę, wichury były szczególnie silne. Promem nieco trzęsło, dopóki pilot nie podłączył cum do zaczepów w lądowisku. Dopiero wtedy Ladislaus wstał i skierował się ku wyjściu. Ponieważ znajdowali się na planecie, otwarte zostały równocześnie zewnętrzne i wewnętrzne i do środka spadło zimne powietrze. Włożył płaszcz z morskiej wełny i podszedł do drzwi.

Liktor nadal podążał za nim. Był równocześnie jego strażnikiem i ochroniarzem – jego obecność oznaczała, że Ladislaus wciąż znajduje się pod ochroną Zgromadzenia i nikt nie ma prawa go aresztować. Liktor zatrzymał się przy drzwiach śluzu i obserwował schodzącego po stopniach Skjorninga – w chwili, gdy ten stanął na powierzchni Beauforta, jego rola dobiegła końca.

Ladislaus zszedł, nie oglądając się – nie był w domu od pięciu lat i prawie zapomniał, ile naprawdę waży, toteż poruszał się ostrożnie. Mięśnie muszą się przyzwyczaić do zwiększonego o trzydzieści procent obciążenia; potknięcie się było ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebował. Wśród oczekujących rozpoznał ojca i brata górujących jak zwykle nad pozostałymi. A potem dotknął stopą powierzchni i uświadomił sobie z ulgą, że wreszcie jest u siebie.

Odwrócił się w stronę ojca i zamarł. Przed nim stała smukła kobieta otulona pledem w barwach klanu MacTaggart, o wzorze przynależnym jedynie wodzowi klanu. Wiek nie przyprószył siwizną jej ognistej rudych włosów, ale wyglądała delikatniej, niż kiedy ostatnio ją widział. Mimo to Penelope MacTaggart stała wyprostowana i pełna godności, a w jej szmaragdowych oczach oprócz żalu widać było dumę i spokój.

– Damo Penelope – powiedział miękko.

– Lad – odparła cicho.

– Ja... – zaczął i przerwał, czując pieczenie pod powiekami.

Odchrząknął i zaczął raz jeszcze:

– Zmuszony przeprosić jestem, damo Penelope. Ostrzeżony zostałem, lecz późno zbyt. Odjechała, dowiedziałem nim się, że jej grozi coś, ale wina moja jest. Jestem dłużny życie.

I pochylił głowę.

Wszyscy zamarli zszokowani, słysząc tradycyjną formułę potwierdzającą dług krwi. W każdym sądzie na planecie takie oświadczenie było równoznaczne z wyrokiem śmierci. To nie był sąd, ale Ladislaus, mówiąc to, oddał życie w jej ręce, deklarował, że jest gotów zrobić

to, co ona zdecyduje.

– Ladislausie Skjorning, słowa usłyszałam twe – głos damy Penelope zabrzmiał czysto i wyraźnie pomimo podmuchów wiatru, gdy równie formalnie potwierdziła istnienie długu. – Ale powiedz mi: czy zabójcy z jej ręki nie padli? A czy z bronią nie chodziła dzięki tobie? Nie ty ostrzegałeś ją? Nie ty chroniłeś przez lat dziesięć długich, okazję nim wykorzystali, by ją zabić?

Było to podkreślenie i podsumowanie jego niewybaczalnej klęski, ale potwierdził jej słowa ruchem głowy bez najmniejszego wahania.

– W takim razie, Ladislausie Skjorning, nie opowiadaj mi, że jesteś życie dłużny! Być powinniśmy dumni, dumni z mojej córki, samotnie, która nie zginęła, i z ciebie, dzięki któremu możliwe to było. Między MacTaggartami a tobą długu krwi nie ma, Ladislausie Skjorning, bo z nas jednym staniesz się, synu mój!

Ladislaus podniósł oczy, nie wiedząc nawet, że po policzkach płyną mu łzy. A dama Penelope objęła go w pasie i położyła jego głowę na swej piersi, kończąc w ten sposób rytuał. Został oficjalnie adoptowany, a więź, która tak powstała, była ważniejsza od niespłaconego długu krwi. Objął ją delikatnie.

– Córkę straciłaś, matko Penny... – powiedział łamiącym się głosem – a to dług, nikt którego spłacić nie zdoła. Ale będziesz mi matką, a ja ci synem...

Nie dokończył tradycyjnej formuły, gdyż głos uwiązł mu w gardle. Dama Penelope powiedziała przez łzy:

– Och, Lad, zawsze mi byłeś synem... nie wiedziałeś?

Po czym zaprowadziła go do ojca.

\* \* \*

W potężnym kominku płonęły błękitnym ogniem kłocę suszonych alg zwanych sosną morską. Ogrzewał on nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, a Ladislausowi potrzebne były oba rodzaje ciepła. Blask ognia tańczył na metalowych i kamiennych ozdobach oraz na twarzy ojca wyrzeźbionej głęboko przez morze i wiatr. Ojciec i brat Stanislaus siedzieli naprzeciw niego, po drugiej stronie kominka. Stanislaus był jeszcze wyższy i masywniejszy od Lada, a na ramieniu tuniki z morskiej wełny miał emblemat mistrza harpunnika – dwa skrzyżowane harpuny. Miejsce obok Svena Skjorninga zajmowała dama Penelope.

Spoglądając na nią, Ladislaus przypomniał sobie matkę – Ireena Skjorning zmarła trzydzieści lat temu przy porodzie, jej córka także nie przeżyła. Nawet przy najlepszej i najnowocześniejszej medycynie, a na taką Beauforta było stać po wielu latach nędzy, wysoka grawitacja i surowe warunki życia powodowały dużą śmiertelność wśród kobiet. Planeta była wręcz idealnym środowiskiem dla naturalnej selekcji – przeżywali jedynie naprawdę najsilniejsi.

– Widzieć znów cię w domu miło, Lad. Już bałem się, że i twoje życie zabiorą – odezwał

się Sven jeszcze głębszym basem niż bas Ladislausa.

Przepełniała go nienawiść – jednego syna Federacja już mu zabrała: zginął wraz z resztą załogi ciężkiego krążownika, na którym służył, gdy okręt został zniszczony.

– Myślałem długo też, że skończę tak, ale na to oni za cwani są, ojczce. Myślą starannie, uderzyć gdzie, nim uczynią coś. Zezwolili odejść mi, bo zrobić lepiej barbarzyńców z nas. Wtedy cywilizowani oni są!

Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości. Reszta obecnych podzielała jego uczucia.

– Sven – dama Penelope przerwała ciężką ciszę – czekaliśmy za długo już. Zbyt wielu z nas wiele straciło zbyt. A zysk to wstyd i nic więcej!

Jej głos był równie zimny jak morza Beauforta.

Ladislaus odruchowo skinął głową, wpatrując się w nią płonąącym wzrokiem. Sven Skjorning patrzył w tańczący ogień, a twarz miał twardą i nieprzeniknioną.

– Ano – powiedział powoli – rację masz, Penny. Jak zwykle. Dałem słowo Ireenie lat trzydzieści temu, ale z tobą zgodziłaby się, żyła gdyby, myślę tak.

Ladislaus wyprostował się na krześle. Ojciec cieszył się wielkim szacunkiem i stał wysoko w hierarchii społeczności planety. Przez trzydzieści trzy lata dotrzymywał obietnicy złożonej umierającej żonie i tłumił nienawiść noszoną w sercu od dnia, w którym dowiedział się o śmierci najstarszego syna. Zupełnie niepotrzebnej śmierci, gdyż krążownik FNS *Fearless*, na którym służył, został zniszczony wraz z całą załogą tylko dlatego, że jakiś handlarz z Korporacji miał wystarczające wpływy polityczne, by zażądać eskorty dla swego frachtowca w samym środku rajdu przeprowadzonego przez Korsarzy Tangri. Frachtowiec przestał istnieć chwilę przed krążownikiem.

– Dzieci odbierają nasze nam, bo bogactwa nie mogą, a prawa zabrali dawno już – głos Svena przypominał wolno, lecz nieubłaganie płynącą lawę. – Ale dłużej nie będą już! Syn mój, córka twoja... dość! To skończyć musi się i skończy!

I rąbnął pięścią w poręcz fotela.

Poręcz pękła z trzaskiem, mimo iż wykonano ją z oryginalnego dębu.

– Tak myślę samo, tato – powiedział cicho Ladislaus – ale ostrożni musimy być. Ramię długie jest Federacji, a Korporacje teraz właścicielami są jego.

– A my co? Robić nie mamy nic? – warknął groźnie Sven.

– Robić możemy, ale wpierrw porozmawiać z innymi muszę, dopiero z rządem potem. Czasu potrzeba na to, by uderzyć, a gdy zaczniemy z namysłem, to być musi.

– O zdradzie mówisz – powiedział miękko Stanislaus.

– Ano – przyznał spokojnie Lad. – Co dawno czas na nią już.

– Sprzeciwu nie usłyszysz mojego – odparł brat – ale by pomyśleć trzeba, co dla wszystkich by klęska oznaczała.

– Pomyślałem. I powiem ci, że śmierć lepsza od na rzeczy niektóre zgody. Czekać dłużej na co nie ma, nie potrafię ja już. Rozumiesz?

– Ano, że rozumiem – zgodził się Stanislaus – ale wojnę nim zaczniesz, upewnij się, że sam rozumiesz. Bo co nastąpi teraz, to od ciebie zależy.

– Wiem... – przyznał Ladislaus poważnie. – Świadkiem mi Bóg, że wiem.

\* \* \*

Rząd planetarny Beauforta nie stworzył rozdętej biurokracji jak rząd Federacji czy którejkolwiek z Planet Wewnętrznych. Cała populacja planety liczyła ledwie sześć milionów i miało to odzwierciedlenie we władzach – w Zgromadzeniu zasiadało pięćdziesięciu sześciu członków. W większości byli to wodzowie największych klanów utworzonych w Latach Opuszczenia. Taką strukturę społeczną wymusiły warunki, w których koloniści musieli przeżyć, a do których nie byli przygotowani, przybywając na Beauforta. Zwłaszcza zaś do tego, że przez ponad pół wieku będą pozostawieni samym sobie.

W sali nie było nawet wszystkich delegatów – przy stole siedzieli tylko członkowie rządu – a mimo to Ladislaus był bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek w Komnacie Światów.

Jego zjawienie się tu poprzedziły trzy tygodnie ostrożnych rozmów, w które starano się nie mieszać rządu, ale wyglądało na to, że rząd sam zdecydował się wmieszać. I teraz Lad miał rozmawiać z najważniejszymi osobami na Beauforcie – prezydentem Bjornem Thessenem, wiceprezydentem Knute'em Halversenem i przewodniczącymi paru głównych komisji.

– Ladislaus – zagaił prezydent – przez ten krótki czas, kiedy jesteś w domu, spotkałeś się z całą masą wpływowych osób. Zastanawiamy się, dlaczego nie poprosiłeś o spotkanie z nami.

Lad odruchowo się sprężył, słysząc standardowy angielski. Choć wszyscy mieszkańcy planety umieli się nim posługiwać, a większość całkiem płynnie, robili to nader rzadko, używając stworzonego w Okresie Opuszczenia dialektu z dumą jako symbolu niezależności. Standardowy angielski był oczywiście językiem urzędowym, toteż używano go przy wszystkich oficjalnych okazjach. Skoro Thessen go użył, oznaczało to, że mówił jako prezydent... którego zadaniem było utrzymanie i zachowanie Federacji.

– Proszę mi wybaczyć, panie prezydencie – odparł więc także w standardowym angielskim. – Chciałem poznać opinię ludzi, zanim oficjalnie porozmawiamy.

– Dlaczegoż to? – spytał wolno Thessen. – Chciałbyś nam może odebrać władzę?

– Nie! Chodzi o...

– Wystarczy. – Thessen potrząsnął głową. – Wybacz nasze wątpliwości, ale teraz trzeba być podejrziwym. Wybraliśmy cię na delegata, bo masz jak ojciec silną wolę i szybko myślisz. Z tych powodów postąpiłeś, jak postąpiłeś, i nie narzekaliśmy, ale teraz, skoro jesteś tu...

Wyprostował się w fotelu, poklepał leżące na stole papiery i uśmiechnął się chłodno. Następnie wziął jedną kartkę i podał mu ze słowami:

– Najprawdopodobniej cię to nie zaskoczy.

Ladislaus przeczytał i spojrzął na niego z nowym szacunkiem. Jako szef ochrony delegacji powinien znać – i sądził, że zna – wszystkie źródła informacji, jakimi dysponowały władze Beauforta. A trzymał w ręku dowód świadczący, że wywiad podległy temu rządowi sięgał znacznie dalej, niż przypuszczał. Miał bowiem w garści notatkę podpisaną osobiście przez Simona Taliaferro.

– Rzeczywiście treść mnie nie zaskoczyła – przyznał cicho.

– Czytaliśmy wszystkie raporty od ciebie... i od Fionny. Czy to jest prawda i połączenie zostanie przegłosowane? Jak myślisz?

– Zostanie i to bez trudności.

– Ano, tego właśnie bałem się! – warknął Thessen, na moment zapominając o składni. – Powinieneś wiedzieć, że na pokładzie *Capricorn* oprócz ciebie leciało też żądanie ekstradycji wystosowane przez rząd Ziemi. Odesłałem je opatrzone dopiskiem „otwarte przez pomyłkę”. Masz rację. Zamordowanie Fionny to był tylko początek, a po obejrzeniu nagrań z tej farsy, która nastąpiła po tym, jak zabiłeś to ścierwo, jestem pewien, że z nimi nie da się dojść do porozumienia... z jednym wyjątkiem być może. Co powiesz o tym całym Dieterze?

– Dieter? – Lad zmarszczył brwi. – Sądzę, że w sumie jest porządny i sensowny... ale jest sam. Fakt, obraził Fionnę, ale był pod wpływem narkotyków... i może to właśnie spowodowało u niego przełom... natomiast czy przetrwa...

Nie dokończył, tylko wymownie wzruszył ramionami.

– Tak więc nieważne, co myśli, zrobić może niewiele, tak?

– Ano. Taliaferro ma ich w garści i nic go nie powstrzyma. To szaleniec nie zdający sobie w pełni sprawy z konsekwencji tego, do czego chce doprowadzić.

– W takim razie powiedz mi, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić, młodzieńcze – spytał wolno Thessen. – Fionna przez dwadzieścia pięć lat próbowała dochodzić naszych praw pokojowo. Uważasz, że to zmarnowany czas?

– Nie dlatego, że źle się starała – odparł pośpiesznie Lad. – Robiła wszystko, co mogła, i jeszcze więcej. Wiecie, że chciała jedynie sprawiedliwości. Gdyby choć jeden rząd Planet Korporacji wyciągnął do niej rękę...

– Ale uważasz, że idąc tą drogą, niczego nie osiągniemy? – spytał cicho Thessen.

– Nie – potwierdził cicho Ladislaus. – Ani teraz, ani potem.

– I tą wiadomością dzieliłeś się z innymi? – spytał prezydent, przyglądając mu się uważnie.

– Ano – przyznał prawie wyzywająco Lad. – Nawet jeśli wy tak nie uważacie, musiałem im powiedzieć to, o czym jestem przekonany.

– Rozumiem – odparł spokojnie Thessen i spojrzął na pozostałych.

Ladislaus czuł rosnące napięcie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to, co właśnie powiedział, było przyznaniem się do zdrady.

– Widzisz, Lad, nie byliśmy ze sobą zupełnie szczerzy – przyznał Thessen, zataczając szeroki łuk ręką. – Ci, których tu widzisz, to nie tylko rząd Beauforta, a te dokumenty to jedynie część tego, co zdobyliśmy. Czy jesteś pewien, że Federację czeka zagłada? I że się myliliśmy? I to wiedząc, że mamy dostęp do informacji, do których ty nigdy nie byłbyś w stanie dotrzeć?

– Tak, panie prezydencie. Jeśli będę zmuszony, będę działał wbrew wam. Fionna poświęciła życie w imię pięknego snu, ale on umarł razem z nią. Nie będę dłużej tracił czasu na próby, które są z góry skazane na niepowodzenie. Zbyt wiele ofiar nas to kosztowało; ofiar, które niczego nie dały. Toczą z nami wojnę na prawa, kruczki prawne i kanty, bo tak sobie to prawo przerobili, że zawsze ich będzie na wierzchu. No to niech posmakują prawdziwej wojny! Nie na słowa, lecz na czyny!

Aż go poderwało przy ostatnim zdaniu. Dopiero gdy je wykrzyczał, zdał sobie sprawę, że go poniosło. Jakkolwiek by było, stał przed rzeczywiście demokratycznie wybranymi przywódcami Beauforta. Nie na miejscu było podnosić na nich głos, zwłaszcza bez konkretnego, poważnego powodu. Bo to, że nie podobała mu się ich powolność wynikająca z wieku i zajmowanych stanowisk, nie było wystarczającym powodem.

Powoli opadł na krzesło i przyglądał się już spokojniej, jak Thessen wodzi wzrokiem po pozostałych. Wszyscy po kolei kiwali głowami. Ladowi niezbyt spodobała się ta milcząca jednomyślność.

– Ladislausie Skjorning – odezwał się głośno Thessen. – Żyłś w Centrum za długo, mój chłopcze!

Na widok miny Lada na pokrytej zmarszczkami twarzy Thessena pojawił się uśmiech.

– Myślałeś, że widzisz ty tylko, co widziałeś? Dawno do wniosków podobnych już doszliśmy i przygotowania stosowne poczynione zostały. Nie będziesz przeciw nam jako rebeliant występował, bo my od ciebie zaczęliśmy wcześniej. Ano młodzieńcze: wojny skoro chcą, wojnę im urządzimy!

Ladislaus stał z rozdziawionymi ustami. Dopiero po dłuższej chwili wszystkie elementy układanki nagle wskoczyły na swoje miejsce. Zamknął z trzaskiem usta. Ten dokument, zasięg posiadanych informacji, dziwnie uporczywe wypytywanie... Przyszedł tu przekonany, że tylko on wie, co trzeba zrobić, a okazało się, że oni też to wiedzą, i to od dawna.

– Przygotowujemy się od dłuższego czasu – przyznał Thessen, przechodząc na standardowy angielski. – Ale jesteśmy już starzy, słabi i zbyt zmęczeni. Nie mamy sił, by poprowadzić to do końca. Za to ty je masz, więc powiedz nam: weźmiesz to na siebie?

– Tak. – Ladislaus nie wahał się ani sekundy.

Miał dziwną, niezachwianą pewność, że do tego właśnie przygotowywano go od dawna, a patrząc po twarzach obecnych, widział na nich posępną determinację, taką, jaką sam czuł. Tyle że twarze te były starsze, a wzrok krył więcej doświadczenia.

Powoli skinął głową i uroczyście wygłosił formułę przysięgi:

– Ano niech stanie się tak!



# CZEŚĆ DRUGA

„Jeśli to ma być zdrada,  
to należy dokładnie tak postąpić!”

William Patrick Henry  
na posiedzeniu delegat ciała ustawodawczego Wirginii

## Rozdział V

# SECESJA

Admirał Stepan Forsythe uniósł głowę znad papierów, widząc na ekranie interkomu twarz oficera łącznościowego.

– O co chodzi, porucznik Qwan?

– Odebraliśmy wiadomość jednostki pocztowej Mobius Corp, sir – zameldowała porucznik Doris Qwan.

Forsythe zmarszczył brwi. To, co usłyszał, oznaczało, że statek pocztowy znajduje się już w tym samym systemie. Zagadką było, dlaczego nadawał cokolwiek. System był nie zamieszkały i pozbawiony stacji przekaźnikowych, gdyż leżały już poza zasięgiem systemu przekaźników. Nie miał więc kto usłyszeć sygnału, nie licząc autoodbiorników w bojach nawigacyjnych ustawionych przy wejściu do warpów. Nagrywały wszystko automatycznie, ale odsłuchać to mogła jedynie załoga następnego statku czy okrętu, który wleciałby do systemu planetarnego.

– Jaka to wiadomość?

– Nie jestem pewna, sir. Mogę ją panu odtworzyć?

Forsythe skinął głową i na ekranie pojawił się szczupły mężczyzna w uniformie ozdobionym znakiem korporacji, na którym umieszczono statek pocztowy. Oznaczało to, że był kapitanem jednostki. Jego twarz wyrażała napięcie, by nie rzec przestrasz.

– Tu kapitan Donald Stiegman dowodzący statkiem pocztowym Federacji *Rising Moon* oznaczonym symbolem TFMP-11329. Ta informacja musi dotrzeć do władz Federacji tak szybko, jak to tylko możliwe. Proszę przygotować się do przyjęcia zakodowanego sygnału. Klasyfikacja: priorytet, stopień pierwszy.

Forsythe znieruchomiał. Priorytet, stopień pierwszy był najwyższym stopniem uprzywilejowania zarezerwowanym wyłącznie dla informacji dotyczących zagrożenia dla bytu Federacji. Zanim jeszcze twarz na ekranie rozmyła się w falach zakłóceń, nacisnął przycisk wezwania alarmowego.

Obraz na ekranie znów się pojawił, tańczył przez jakieś dziesięć sekund i nagle ponownie się wyostrzył, ukazując twarz Stiegmana, który powiedział:

– Każdy, kto usłyszy tę wiadomość, niech posłucha dobrej rady i natychmiast zawróci. Nie wlatujcie do Gromady Kontravian! Dostarczcie jak najszybciej wiadomość władzom Federacji. Stiegman, bez odbioru.

Drzwi kabiny otworzyły się bez sygnału dźwiękowego i do środka wpadli zdyszani kapitan Enwright i komodor Samsonov. Zatrzymali się, widząc uniesioną dłoń admirała, który wpatrywał się uważnie w ekran. Gdy ponownie pojawił się na nim Stiegman i przedstawił się, Forsythe wskazał obu nowo przybyłym fotele i przerwał połączenie, po czym wybrał kod porucznik Qwan.

– To nagranie idzie w pętli, pani porucznik? – spytał.

– Tak, sir. I adresowane jest „do wszystkich”. Ponieważ znajdujemy się w tym systemie od ponad godziny i dopiero je odebraliśmy, sądzę, że *Rising Moon* niedawno przybył tu od strony Bantu i zaczął nadawać, gdy tylko znalazł się w normalnej przestrzeni, sir.

– Rozumiem... co z kodacją wiadomości? Możemy ją rozszyfrować?

– Obawiam się że nie, sir. Komputery nie są nawet w stanie zidentyfikować kodu. Sądzę, że użył szyfrów zastrzeżonych dla poczty, sir.

– Doskonale. Proszę mimo wszystko próbować i informować mnie o postępach – polecił bez nadziei na sukces: szyfry pocztowe były równie trudne do złamania jak kody floty.

– Aye, aye, sir. Czy będzie odpowiedź?

– Na razie nie.

Forsythe zakończył rozmowę i spojrzał na obu podkomendnych.

Enwright wyglądał na zamyślonego i spokojnego – jedynie ktoś, kto by go dobrze znał, wiedziałby, że w głowie kłębią mu się pytania. Gregor Samsonov nie ukrywał natomiast zaciekawienia tym nagłym wezwaniem. Forsythe uśmiechnął się chłodno i oznajmił:

– Panowie, zdaje się, że mamy zagadkę.

– Zagadkę? – Willis był oczywiście szybszy.

– Wiecie tyle co ja, bo zdążyliście wysłuchać najważniejszego. I co powiesz, Willis?

Enwright podrapał się po brodzie i odparł:

– Cóż, sir: kilka kwestii wydaje się oczywistych.

– Doprawdy? – Forsythe przekrzywił głowę. – A jakich to?

– Po pierwsze, nie ma na pokładzie żadnego kuriera, bo wysłałby wiadomość do najbliższej bazy floty, a nie nadawał do wszystkich. Po drugie, wiadomość właściwa musi być pilna i groźna. Gdyby nie była pilna, nie nadawałby otwartym tekstem. Gdyby nie uznał jej za groźną, nie zakodowałby jej. Po trzecie, boi się pościgu. Nie znajduje się jeszcze w zasięgu naszych sensorów, więc na pewno nie wie, że tu jesteśmy, bo statek pocztowy ma słabsze sensory, co znaczy, że nadaje, mając nadzieję, że ktoś go usłyszy albo że potem odbierze wiadomość. A więc obawia się, iż pościg dopadnie go lada chwila, i ma świadomość, że jedyne, co może pozostać po nim i statku, to ta informacja. Chce też ostrzec wszystkie jednostki, by nie podzieliły jego losu. A to wszystko prowadzi do kolejnego wniosku, sir. Po

czwarte, postąpił słusznie, nadając wiadomość z klasyfikacją priorytet, stopień pierwszy.

Admirał zabębnił palcami po blacie biurka, zadowolony, że nie usłyszał czegoś w stylu: „A nie mówiłem”. Willis jednak taki był, że nie dawał do zrozumienia podobnych rzeczy nawet tonem głosu. Forsythe spojrzął na szefa sztabu:

– Gregor?

– Obawiam się, że muszę się zgodzić z kapitanem Enwrightem, sir.

Forsythe westchnął ciężko i pokiwał głową.

– Cóż, obawiam się, że także muszę się z nim zgodzić. Wygląda na to, że mieliście rację i należało wysłać przodem lotniskowce – była to gorzka pigułka do przełknięcia, ale zrobił to spokojnie, a nawet z lekkim uśmiechem.

Po czym wybrał kod pomostu flagowego na klawiaturze, a gdy na ekranie pojawiła się porucznik Qwan, uśmiechnął się szerzej, gdyż za nią zauważył oficera operacyjnego, komandora Riverę. Najwyraźniej dowiedział się o nagłym wezwaniu Samsonova i Enwrighta i wołał być pod ręką.

– Komandorze Rivera, proszę przekazać wszystkim jednostkom nowe rozkazy. Zwiększamy szybkość do całej naprzód i obieramy kurs tak, by lecieć prosto na warp prowadzący do Bantu. Proszę wydzielić lotniskowce admirał Ashigary z osłoną krążowników liniowych i wysłać je przodem.

– Aye, aye, sir.

– Porucznik Qwan, zechce pani poinformować admirał Ashigarę o sytuacji i przesłać jej kopię wiadomości od *Rising Moon*, A potem nadać do statku pocztowego następujący tekst: „Admirał Forsythe dowodzący 17. Zespołem Wydzielonym do kapitana Donalda Stiegmana, dowódcy TFMP *Rising Moon*. Otrzymałem pańską wiadomość o (i tu podaj godzinę). Oceniam, że z moją strażą przednią spotka się pan za około...” – i spojrzął pytająco na Enwrighta.

– Za około dziewiętnaście godzin, sir.

– Za około dziewiętnaście godzin, Doris – dokończył Forsythe. – „Kurier z pańską wiadomością został wysłany. Powodzenia. Koniec wiadomości”. Nagrałaś wszystko?

– Aye, aye, sir.

– Doskonale. Wyślij to w standardowym kodzie handlowym.

– Aye, aye, sir.

– Doskonale. Dziękuję, Doris. – Admirał zakończył połączenie i zwrócił się do obu obecnych oficerów: – A teraz, panowie, zastanówmy się nad dalszym postępowaniem w tej sytuacji. Obawiam się, że moja wrodzona subtelność nie wystarczy, by ją pogorszyć.

\* \* \*

Wiceadmirał Analiese Ashigara wyglądała w czarno-srebrnym uniformie równocześnie elegancko i groźnie. Siedziała w swoim fotelu na pomoście flagowym FNS *Basilisk*,

obserwując na ekranie taktycznym fotela zbliżający się symbol reprezentujący *Rising Moon*.

– Patrole coś wykryły, Ashworth? – spytała oficera łącznościowego.

– Nic, ma'am. Są oddalone o sto pięćdziesiąt sekund świetlnych i ich sensory niczego nie zarejestrowały.

– Dziękuję. – Ashigara przeniosła spojrzenie na oficera operacyjnego i poleciła: – Komandorze Dancing, proszę odwołać patrole.

– Aye, aye, ma'am.

Skoro sensory maszyn zwiadowczych niczego nie wykryły, oznaczało to, że niczego tam nie było, więc szkoda marnować paliwo.

– Poruczniku Ashworth, proszę wywołać *Rising Moon* – poleciła.

– Aye, aye, ma'am.

Na pomoście panowała cisza – wszyscy wiedzieli, że Ashigara nie lubi zbędnych słów, a stanowili zgrany zespół i każdy znał swe obowiązki. Po kilkunastu sekundach na głównym ekranie łączności pojawił się Stiegman, tym razem uśmiechający się z ulgą.

– Kapitanie Stiegman, tu wiceadmirał Analiese Ashigara – przedstawiła się. – Zakładam, że miał pan uzasadnione powody, by nadać swej wiadomości taki właśnie priorytet?

– Bardzo bym chciał ich nie mieć – odparł z przekonaniem. – Tam się już zaczęło, ma'am. Jeśli wolno spytać: gdzie jest admirał Forsythe?

– Leci za nami z całą resztą sił, kapitanie. Okręty liniowe są wolniejsze, toteż spodziewam się go za około sześć godzin.

– Okręty liniowe?! Chwała Bogu! – westchnął z ulgą Stiegman. – Pani nie ma pojęcia, co się tam wyprawia! Oni powariowali! I co...

– Kapitanie Stiegman, rozumiem, że jest pan zdenerwowany, ale rozmawiamy na otwartym kanale i byłabym wdzięczna, gdyby nie wdawał się pan w szczegóły – przerwała mu ostro Ashigara. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko wyśle po pana kuter, by mógł mi pan jak najszybciej zdać relację osobiście. I bez zbędnych świadków.

– Tak... oczywiście. – Stiegman odetchnął głęboko. – Ma pani całkowitą rację, pani admirał. Proszę przysłać kuter. Im szybciej pozna pani prawdę, tym lepiej, może mi pani wierzyć!

\* \* \*

– Proszę, kapitanie Stiegman. – Forsythe podał mu drinka. – Admirał Ashigara przekazała mi streszczenie pańskiej relacji, jednakże nie znam szczegółów i byłbym zobowiązany, gdyby pan zechciał dokładnie opowiedzieć wszystko raz jeszcze na użytek mój i mojego sztabu.

Stiegman wytrzeszczył na niego oczy – wszystko waliło się jak domek z kart, a Forsythe był tak spokojny, jakby rozmawiał o pogodzie. Jego osłupienie trwało jednak tylko moment; potem wypił jednym haustem zawartość szklanki i powiedział najspokojniej jak potrafił.

– Z przyjemnością, panie admirał. Prawdę mówiąc, wolę, żeby teraz już kto inny musiał

się tym martwić.

Widać było, że stopniowo się opanowuje, toteż nikt z obecnych go nie przynaglał.

– Zaczęło się to wszystko jakiś miesiąc temu, gdy przybyłem do systemu Bigelow z przesyłkami dla całej gromady. Zasadą jest, że dostarczam je na Hasdruble, tam je sortują i już sami przewożą na pozostałe planety. W kapitanacie portu poinformowano mnie, że coś im się opóźniło i na przesyłki do zabrania będę musiał poczekać dzień albo dwa. – Stiegman wzruszył ramionami. – Nie byłem uszczęśliwiony przymusową zwłoką, ale zdarzały się już dłuższe, więc pogodziłem się z losem. Ale po paru godzinach kapitanat zawiadomił mnie o wybuchu jakiejś zarazy i o tym, że nie mogą znaleźć jednej z potencjalnie zarażonych osób. Choroba nie była groźna, ale dokuczliwa i choć przyznali, że to mało prawdopodobne, by wspomniana osoba przebywała na moim pokładzie, poprosili o zgodę na przeszukanie statku, zgodnie zresztą z obowiązującymi przepisami. Nie była to miła perspektywa, ale perspektywa wybuchu zarazy na dużą skalę była zdecydowanie gorsza, więc się zgodziłem. Tyle że przysłano mi nie żadną ekipę medyczną, tylko pluton Marines, i to w zbrojach! Kiedy się zorientowałem, byli już wewnątrz, a nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie stawiał oporu opancerzonym Marines. Nie powiem: uprzejmi byli pod każdym względem. I co z tego? Dwóch stanęło przy drzwiach do maszynowni, dwóch innych na mostku i usłyszałem, że są zmuszeni zatrzymać mnie i mój statek. Jednostkę pocztową Federacji! Zatrzymać! Nikt mi oczywiście nie powiedział dlaczego ani na jak długo. W ogóle niczego nie chcieli powiedzieć, tylko stali jak posągi i czekali na zmienników!

Widać było, że na samo wspomnienie krew go zalewa, toteż gdy się zatchnął, admirał nalał mu następnego drinka. Tym razem Stiegman sączył trunek znacznie wolniej, co pomagało mu zapanować nad emocjami.

– Próbowałem wysłać wiadomość, gdy zobaczyłem po paru dniach krążownik Floty Granicznej, ale dopadli mnie po paru sekundach. Żadnego chamstwa czy przemocy: po prostu wyłączyli radiostację, ustawili następnego wartownika i zabrali wszystkie kapsuły kurierskie z pokładu. Tak na wszelki wypadek. Początkowo nie wiedziałem, o co chodzi, potem zorientowałem się, że bierze w tym udział cały port i stacja orbitalna. Czymkolwiek by to coś nie było. I że ci w zbrojach to autentyczni Marines. Miałem różne teorie: piractwo, atak zbiorowego szaleństwa, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, co się naprawdę dzieje...

I umilkł na długą chwilę.

– A co się działo? – ponaglił go Willis Enwright.

– Zdrada, kapitanie! – oznajmił chrapliwie Stiegman. – Zwykła, cholerna zdrada! Cały ten cholerny system zdecydował się odłączyć od Federacji!

Porucznik Qwan zbladła, twarz Enwrighta powoli zmieniała się w maskę, Samsonov wyglądał jak po ciosie w splot słoneczny, Rivera zaś miał żądzę mordy w oczach. Tylko po admirałe nie było widać żadnej reakcji, ale on jako jedyny usłyszał to, co było najważniejsze, w kodowanym meldunku od admirała Ashigary.

– Rozumiem, kapitanie Stiegman – powiedział teraz cicho. – A ich celem, jak sędzę, było uniemożliwienie wam przedwczesnego poinformowania o tym władz Federacji?

– Właśnie tak! Trochę potrwało, zanim poukładaliśmy sobie to wszystko w spójną całość. Głównie dzięki temu, że moja załoga maszynowa i technicy stacji po prostu musieli pozostawać w stałym kontakcie, a znali się od dawna. Wszystko zaczęło się jakiś miesiąc po powrocie Ladislausa Skjorninga do domu. Nie wiadomo, czy był to jego pomysł, czy ktoś na tej przeklętej planecie wcześniej na to wpadł, ale zaczęło się od Beauforta. Ten, kto to zaplanował, musi być naprawdę doskonałym organizatorem. Beaufort leży tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, a reszta to już kompletne zadupie. Wiedzieli, jak to wykorzystać, bo nie zaczęli na Beauforcie, tylko z Beauforta.

– Z Beauforta? – powtórzył Enwright.

– Rozesłali „emisariuszy”. Nie mam pojęcia, od jak dawna działało tam podziemie, ale byli doskonale zorientowani, z kim rozmawiać na każdej planecie i kogo wysłać. A wysłali między innymi Stanislausa Skjorninga i Penelope MacTaggart. Nic dziwnego, że zyskali posłuch; cholera, jestem z Nowej Antwerpii i wiem, co ludzie myślą. I mają rację, żeby nie było wątpliwości. Ale to jeszcze nie powód do regularnej wojny domowej!

– Wojny? – Rivera nie prychnął, ale pogardę w jego głosie słyhać było wyraźnie. – A czego planują użyć jako okrętów wojennych?

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Ale potrzebna będzie flota, i to duża flota, żeby zmienili zdanie.

– Skąd ta pewność, kapitanie Stiegman? – spytał Samsonov.

– Bo to nie są durnie. Mogą być szaleńcami, ale nie są głupcami. Zorganizowali wszystko idealnie. Jednego dnia wszystko było po staremu i nikt niczego nie podejrzewał, a następnego *Killiman Skywatch* znalazła się w ich rękach.

– *Killiman Skywatch*?! Rivera poderwał się z fotela. – Człowieku, wiesz, co mówisz?

– Cholernie dobrze wiem – w głosie Stiegmana słyhać było ponurą satysfakcję. – Pojęcia nie mam, jak tego dokonali, ale dokonali. I nie tylko tam. Na pewno mają forty w Beaufort i podejrzewam, że w Bigelow, choć tego nie jestem pewien... Niby wyglądało, że nie, ale Bigelow to jedyna droga w głąb gromady, więc mogli bardzo starać się zachować pozory z powodu przylatujących jednostek.

– Nawet jeśli zdobyli forty, pozostała jeszcze baza Floty Granicznej w Bigelow – Samsonov myślał na głos. – Uzbrojona specjalnie nie jest, ale stacjonuje tam eskadra krążowników. Mogli nie chcieć...

– Właśnie, Gregor – przerwał mu Forsythe.

Samsonov zamilkł z miną świadczącą o tym, że dopiero w tym momencie uzmysłowił sobie, iż jest wśród nich cywil.

– Kapitanie Stiegman, czy przechwycił pan jakąkolwiek... nietypową łączność między stacją orbitalną, bazą floty a dowództwem obrony systemowej? – spytał admirał.

– Nie, a z nudów nasłuchiwaaliśmy naprawdę rzetelnie. W czym nam zresztą nie przeszkadzano.

– Rozumiem... a jak zdołał pan uciec?

– Mieliśmy szczęście, a oni zrobili się zbyt pewni siebie. Mój pierwszy mechanik skontaktował się ze znajomkiem w porcie i przekonał go, że większość załogi jako pochodząca z Pogranicza jest po ich stronie i gotowa jest się zbuntować przeciw mnie i pozostałym, byle Marines nie przeszkadzali. Uwierzyli mu, no i zrobiliśmy bunt. Może jestem lepszym aktorem, niż podejrzewałem, a może zobaczyli to, co chcieli zobaczyć, w każdym razie przekonaliśmy ich. Była masa strzelaniny, podziurawionych ścian i paru rannych, a pierwszy mechanik powstrzymał mnie w ostatnim momencie przed uruchomieniem systemu samozniszczenia statku.

– Pięknie – pogratulował mu Forsythe. – A co dalej?

– Zamknęli mnie w mojej własnej kabinie – wyjaśnił radośnie Stiegman. – A po paru dniach wycofali ze statku Marines; pewnie potrzebowali ich gdzie indziej.

– A potem?

– Oczekaliśmy jeszcze kilka dni, zachowując się jak uczciwi rebelianci, a potem stopniowo uruchamialiśmy napęd pod pozorem sprawdzenia go po tak długim czasie. I daliśmy nogę.

– Dlaczego nie próbował pan skontaktować się z bazą floty albo z dowództwem obrony?  
– spytał Samsonov.

– Bo gdyby znajdowały się w rękach rebeliantów, zbliżenie się do nich na odległość umożliwiającą normalną rozmowę bez większej zwłoki byłoby proszeniem się o nieszczęście. W systemie znajdowały się okręty Floty Granicznej szybsze od *Rising Moon* i obawiałem się ryzykować. Wołałem mieć jak największą przewagę odległości na starcie, w razie gdyby zaczął nas gonić lekki krążownik. Tranzytu dokonaliśmy z taką prędkością, że do tej pory nikt nie może patrzeć na jedzenie, a nasz komputer astro nadal ma czkawkę!

– Rozumiem. I teraz kieruje się pan ku Planetom Wewnętrznym?

– Nie bezpośrednio. Kierowałem się ku Heidi's World; chciałem sprawdzić, jak tam wygląda sytuacja, i gdyby była normalna, wrócić z Flotą Graniczną, która ma tam bazę. Do głowy mi nie przyszło, że tu spotkam połowę floty.

– W takim razie nie musi się pan trudzić: bazę w Heidi's World zawiadomimy kurierem – wyjaśnił Forsythe. – Natomiast obawiam się, że będę zmuszony skorzystać z pańskich usług i wysłać pana gdzie indziej.

– Zdążyłem się już przyzwyczaić, że latam, dokąd mi każą – burknął Stiegman, ale z lekkim uśmiechem.

– Uda się pan więc do Cimmaron. Zawiezie pan raporty ode mnie, ale chcę też, żeby zdał pan dowódcy bazy, wiceadmirałowi Priczowickiemu, relację z tego, czego był pan świadkiem. On już będzie wiedział, co robić dalej.



– W porządku – Stiegman wysączył trunek, odstawił szklanę i rzekł z namysłem: – Czy mogę spytać, co pan planuje, panie admirale?

– Może pan – odparł Forsythe z chłodnym uśmiechem. – Jeszcze nie zdecydowałem.

– Rozumiem. – Stiegman wstał. – W takim razie za pańskim pozwoleniem wrócę na swój statek i poczekam na przesyłkę od pana. Ale... zalecałbym ostrożność, panie admirale: nie rozmawiał pan z tymi ludźmi, ja tak. Oni nie żartują. Nie znam danych wywiadu, którymi pan dysponuje, ale latam tutaj z pocztą od lat i orientuję się w nastrojach. Od miesiąca na całym Pograniczu rośnie napięcie. To bomba gotowa w każdej chwili wybuchnąć.

– Wiem, kapitanie Stiegman – potwierdził poważnie Forsythe. – Aż za dobrze to wiem.

Stiegman skinął wszystkim głową i wyszedł.

Cisza panowała jeszcze długą chwilę po jego wyjściu – wszyscy pogrążeni byli w myślach i nikt nie spieszył się z zabranem głosu. W końcu Forsythe uniósł głowę i powiedział:

– Kapitan Stiegman jest wyjątkowo pomysłowym człowiekiem.

– I do tego odważnym – dodał Enwright – ale wydaje mi się, że miał trochę za dużo szczęścia, sir.

– Pod jakim względem, Willis?

– Udało mu się uciec. Nikt do niego nie strzelał i nikt go nie gonił. Bo gdyby to zrobili, to by go dopadli. Ma szybki statek, ale nie umknąłby lekkiemu krążownikowi. Nie wspominając już o raketach.

– Fakt. Z drugiej strony, jeśli rebelianci nie opanowali bazy floty czy dowództwa obrony systemowej, nie mogli go ostrzelać, nawet gdyby mieli czym, bo straciliby element zaskoczenia.

– W takim razie dlaczego żadna z tych dwóch stacji orbitalnych nie spytała go, dokąd się wybiera? Przecież nie miał zezwolenia na odlot z systemu planetarnego.

– Racja... Sugerujesz więc, że rebelianci kontrolują wszystko? Bazy floty i umocnienia w całej gromadzie?

– Tego nie wiemy, sir. Jest pewne, że kontrolują wszystko w systemie Bigelow, ale to nie znaczy, że wszędzie. Wydaje się to jednakże prawdopodobne. Ucieczka *Rising Moon* mogła ich zaskoczyć, ale woleli go puścić. Oznaczałoby to, że są gotowi albo że baza w Heidi's World także jest w ich rękach...

– Rozumiem... Zakładając, że masz rację, dokąd powinniśmy się udać? Gregor?

– Nie potrafię powiedzieć, sir – przyznał ucziwie Samsonov. – Nie pochodzę z Pogranicza i nie znam ich sposobu myślenia. Natomiast nawet jeśli Willis ma rację, to nie mogą nic wiedzieć o nas, bo nie mieli skąd uzyskać tej informacji. W takim razie pozwalając uciec statkowi pocztowemu, założyli, że mają jeszcze co najmniej trzy miesiące spokoju. Jeśli nie opanowali Heidi's World, spodziewają się przybycia Floty Granicznej, a nie monitorów i lotniskowców uderzeniowych, zwłaszcza w dużej liczbie.

– Gregor prawdopodobnie ma słuszość, sir – dodał Enwright. – Tylko proszę pamiętać naszą rozmowę z kapitan Li. Wszystko, co wtedy powiedziałem, jest nadal aktualne, sir.

– Wiem, że takie jest twoje zdanie, Willis. I być może się nie mylisz – przyznał Forsythe. – I Bóg mi świadkiem, że nie chcę przejść do historii jako pierwszy dowódca w dziejach Marynarki Federacji, który ostrzelał ludzi! Ale nie widzę alternatywy. Jeżeli dowództwo obrony Bigelow nie zostało opanowane przez rebeliantów, potrzebuje pomocy, i to szybkiej. To samo dotyczy bazy floty, stoczni remontowych w systemie Killiman i całej reszty.

– Proszę wysłać parę niszczycieli, sir – zaproponował Enwright. – Lepiej mieć pojęcie, co się naprawdę dzieje, zanim pojawimy się tam z całymimi siłami. Dowódcy niszczycieli mogą uprzedzić wszystkich, że jesteśmy w pobliżu, dzięki czemu nie dojdzie do strzelaniny. Nawet największy narwaniec zastanowi się, nim naciśnie spust, wiedząc, co mu się zwali na głowę za parę dni.

– Z całym szacunkiem, sir, ale uważam, że to byłby błąd – oznajmił chrapliwie Rivera. – Jeżeli dowództwo obrony systemu Bigelow nie zostało opanowane, pojawienie się niszczycieli może właśnie sprowokować incydent, którego chce uniknąć kapitan Enwright. Lepiej pokazać się tam od razu z całymimi siłami i uświadomić im, z czym będą mieli do czynienia, jeśli nie ustąpią. Wtedy się ugną!

– Niech się pan nie oszukuje, komandorze – powiedział chłodno Enwright. – Jeżeli zdecydowali się na to, o czym już wiemy, to gotowi są pójść dalej. Obecność całego zespołu wydzielonego tylko podniesie stawkę. Nic więcej.

– Być może – zgodził się cicho Forsythe – ale mając skoncentrowane wszystkie siły w punkcie zapalnym, mamy też gwarancję, że jeśli coś się zacznie, skończy się błyskawicznie, Willis. Pamiętaj, że nie stać nas na opóźnienia: nie utrzymamy tego w tajemnicy. Musimy ostrzec inne bazy floty, władze, słowem: wszystkich. Przecieki jest nieunikniony w takiej sytuacji, więc musimy być pewni, że rozwiązanie nastąpi tak szybko, jak to tylko możliwe, a wieść o nim rozniesie się równie szybko. W przeciwnym razie ryzykujemy, że inne systemy czy większe nawet obszary Pogranicza pójdą w ich ślady. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Enwright odwrócił wzrok, nie chcąc patrzeć na zaniepokojoną twarz dowódcy i spoglądać w jego pełne troski oczy. Był świadom, że jeśli nie zapanują nad Gromadą Kontravian, to nie pojedyncze systemy, ale większość Pogranicza przyłączy się do rebelii. Ale był też świadom, że rozwiązanie, ku któremu skłaniał się admirał, jest złe. Tylko nie miał pewności, czy był o tym przekonany jako oficer Marynarki Federacji, czy jako mieszkaniec Pogranicza.

Spojrzał na Forsythe'a i powiedział:

– Proszę, sir. Niech pan najpierw z nimi porozmawia.

– Oczywiście, że z nimi porozmawiam, Willis – w głosie admirała zadźwięczała stal. – Ale z pomostu okrętu flagowego, mając za sobą cały Siedemnasty Zespół Wydzielony.

Po czym wstał, kończąc rozmowę.

– Panowie, proszę udać się na stanowiska. Za godzinę oczekuję pełnego meldunku o

sytuacji; wtedy sformułujemy szczegółowe plany.

Zebrani wychodzili kolejno. Najwolniej ku drzwiom szedł Enwright. W progu przystanął, po czym odwrócił się i spytał:

– A jeśli się nie poddadzą, sir? Co pan wtedy zrobi?

– Co zrobię, Willis? – Forsythe poczuł, jak ogarnia go chłód i dziwny spokój. – Dotrzymam przysięgi, którą składałem, że będę bronił konstytucji w każdy sposób, do którego zostanę zmuszony.

– To znaczy, że każe pan strzelać – powiedział ledwie słyszalnie Enwright.

– Jeżeli będę musiał. Nie chcę tego i powiem im to. Ale będę pamiętał o rozkazach i czterystu latach historii Federacji Ziemskiej, których należy bronić...! W przeciwieństwie do nich nie mam możliwości dokonania prywatnego wyboru, prawda?

– Sądzę, że nie, sir – przyznał cicho Enwright. – Ale proszę, by pan rozważył, że to, co dla pana jest prywatnym wyborem, dla innych nim nie jest.

Widać było, że próbuje dać mu coś do zrozumienia, ale Forsythe był zbyt zmartwiony i przygnębiony, by szukać ukrytych znaczeń w wypowiedziach podkomendnych.

– Rozumiem, ale nie mam wyjścia. Nikt nie może wymagać od człowieka więcej ponad to, by wypełnił swój obowiązek najlepiej, jak potrafi. Niezależnie od tego, jak byłoby to dlań bolesne.

– Tak, sir. Mam nadzieję, że wszyscy będziemy o tym pamiętać – odparł Enwright równie cicho jak dotąd.

Po czym wyprężył się jak na parady i oddał admirałowi honory tak idealnie jak nigdy dotąd. Następnie wykonał równie idealny w tył zwrot i wyszedł.

## Rozdział VI

# O BOWIĄZEK

– Kapitan Enwright i admirał Forsythe zabici! – urywany, chrapliwy głos płynął z głośnika, ale ekran pozostał czarny.

Komandor Windrider nie był w stanie rozpoznać, kto mówi, tym bardziej że w tle słychać było strzelaninę i krzyki.

– Na pomoście flagowym wszyscy zabici! – rozległ się ten sam, teraz zdesperowany głos: – Wszędzie strzelanina... kwatery załogi... maszynownia... Potrzebujemy pomocy! Na lito...

W głośniku rozległ się wizg strzału z pistoletu laserowego i zapadła cisza.

Mrugające kontrolki na ekranie ogniowym konsoli artyleryjskiej mroziły krew w żyłach Windridera słuchającego relacji z pierwszego buntu w dziejach Federation Navy. Miał on miejsce na pokładzie flagowej jednostki Siedemnastego Zespołu Wydzielonego – monitora FNS *Anderson*.

James Bluefield Windrider nie mógł w to uwierzyć. A raczej mógłby, ale nie chciał – i był tego w pełni świadom. Dla zawodowego oficera bunt był czymś niedopuszczalnym, ale tym razem doskonale rozumiał rebeliantów. Część z nich zapewne niedawno gościł i dyskutował z nimi na temat tego, wobec kogo powinni pozostać lojalni i którym zasadom dochować wierność. Wyglądało na to, że na flagowcu właśnie zdecydowano.

Rozejrzał się po pełnych napięcia twarzach dyżurnej wachty. Wszyscy wiedzieli, co działo się na pokładzie okrętu flagowego, ale nic nie mogli na to poradzić. Podobnie zresztą jak on sam. Nie dość, że znajdowali się na innej jednostce, to na dodatek prawie w samym środku jej kadłuba o masie dwustu osiemdziesięciu pięciu tysięcy ton. Tkwili bowiem w centrali kierowania ogniem monitora *Enwright* i choć mieli do dyspozycji siłę zdolną zniszczyć asteroidy albo wysterylizować planetę, byli też odcięci od reszty okrętu grubą warstwą pancerza i zamkniętymi pancernymi drzwiami. Na dodatek mieli świadomość, że wkrótce być może zostaną zmuszeni do działań, o których woleli nawet nie myśleć.

Windrider miał też dodatkowe zmartwienie – nie wiedział, co mogą zrobić zamknięci wraz z nim ludzie. Wiedział za to, że sam będzie musiał podjąć najtrudniejszą w życiu decyzję.

W implancie komunikacyjnym słyszał krzyżujące się rozmowy, w których oficerowie próbowali się wzajemnie przekonać, nie zdradzając swych prawdziwych poglądów. Instynkt samozachowawczy i szkolenie powodowały jednak, że nie mogli pozostać bezczynni.

I to właśnie było ich największe przekleństwo – nie mogli dłużej pozostać bierni. I nie mogli tak jak politycy debatować godzinami, unikając jakiegokolwiek odpowiedzialności. Zasadą Marynarki Federacji było, że niedoskonała reakcja w porę jest wielokrotnie lepsza niż idealna reakcja za późno. Tak uczono ich od samego początku w akademii i był to już odruch u każdego z nich. A w tej sytuacji możliwe były wyłącznie niedoskonałe reakcje!

Potrząsnął głową ze złością – na jego oczach wszechświat sypał się w gruzy, a on filozofował bez sensu. Tylko że nic więcej nie mógł zrobić. A choć już dawno podjął decyzję, do tej chwili była ona czysto hipotetyczna – cały czas wierzył, że nie będzie musiał jej wprowadzać w życie, bo bał się myśleć inaczej. A teraz wiedział, że wkrótce to, czego się obawiał, stanie się rzeczywistością.

Był wściekły na polityków i władze. Nie zadali sobie trudu pomyślenia, że coś takiego musi się zdarzyć... A potem go olśniło: zdali sobie z tego sprawę, i to już dawno. Dlatego kontyngent Marines na transportowcach towarzyszących zespołowi wydzielonemu składał się wyłącznie z ludzi urodzonych i wychowanych na Planetach Wewnętrznych!

Ale politycy się przeliczyli – wiedzieli, że wywołają wybuch nienawiści, ale nie sądzili, że tak szybko. Zaplanowali sobie stłumienie rebelii w zarodku, ale na planetach. Nie przewidzieli, że rebelianci błyskawicznie opanują bazy floty, systemowe fortyfikacje obronne czy jednostki Floty Granicznej. I że nie ugną się przed siłą reprezentowaną przez 17. Zespół Wydzielony.

No i żadnemu nawet przez myśl nie przeszła możliwość buntu we flocie. To, że na Marynarkę Federacji zawsze można liczyć, było podstawą istnienia samej Federacji. Czymś stałym i pewnym. Żaden nie pomyślał, że sześćdziesiąt procent załóg pochodzi z Pogranicza i że każdy z tych ludzi, musząc wybierać, może się okazać bardziej lojalny wobec swej planety niż całej reszty Federacji, podobnie jak miało to miejsce w przypadku władz, urzędników czy innych „funkcyjnych” na Planetach Korporacji, dbających głównie o interesy tychże. I dlatego nie przeprowadzono żadnych zmian w składach załóg obsadzających wyznaczone do stłumienia rebelii okręty.

Być może zresztą politycy zdawali sobie sprawę z ryzyka, ale nie bardzo mieli pole do manewru. Jedynie na paru okrętach załogi w całości składały się z obywateli Planet Wewnętrznych i Korporacji. A wymiana części załóg z uwagi na pochodzenie mogła doprowadzić do problemów w całej flocie.

Istniało natomiast sporo jednostek obsadzonych w całości lub w większości ludźmi z Pogranicza. A dla nich perspektywa strzelania do swoich była najgorszą z możliwych. I dlatego właśnie kapitan Enwright musiał działać, a admirał Forsythe na to działanie zareagować. Efektem była strzelanina na pomoście flagowym, a potem walka na całym

okręcie.

A to były dopiero pierwsze ofiary. Windrider był wręcz chory na myśl o tym, co jeszcze się stanie.

\* \* \*

– Wiadomość od admirała Singha do wszystkich, ma'am.

– Proszę przełączyć na główny ekran, panie Sung – poleciła spokojnie Li Han.

Ten spokojny ton i kamienna twarz wiele ją kosztowały. Czowała także rosnące napięcie obsady mostka. Nawet wzór niewzruszoności, czyli jej zastępca Tsing Chang, był podenerwowany.

Dla Han Thomas Singh stanowił przeżytek minionej epoki. Jego starannie utrzymana bródka z typu, jaki dawno wyszedł z mody wśród męskiej części oficerów, w tej chwili potęgowała jednak drapieżność i upór malujący się na jego twarzy. Oczy mu błyszczały, zaciskał usta pod haczykowatym nosem, a gdy przemówił, głos miał zimny i chrapliwy.

– Panie i panowie, będę się streszczał. Część załogi okrętu flagowego dowodzona przez kapitana Enwrighta zbuntowała się przeciwko rozkazom przełożonych, łamiąc tym samym przysięgę, którą składali jako oficerowie czy członkowie Marynarki Federacji. Nie będę tolerował podobnych zachowań! Jak sądzę, admirał Forsythe zginął, dlatego przejmuję dowództwo i rozkazuję wszystkim kontyngentom Marines zameldować się w zbrojowniach oraz pobrać pełne wyposażenie bojowe. Marines z grupy transportowej przeprowadzą abordaż *Andersona*. Wszystkie osoby biorące udział w tym haniebnym naruszeniu...

– Nie!

Han mimo opanowania podskoczyła, słysząc ten ostry protest. Sądziła, że to któryś z jej ludzi, dopóki nie zobaczyła, jak Singh odwraca się zdumiony. A w następnym momencie wali się na pokład z dziurą w głowie. Kolejny strzał z pistoletu zniszczył kamerę i ekran zgasł. Z głośnika dobiegały jeszcze przez chwilę strzały i krzyki, nim ktoś nie unicestwił całej konsoli łączności.

Spojrzała na ekran fotela i zamarła, widząc zmieniające się dane – w całym zespole wydzielonym wybuchł bunt. Szerzył się błyskawicznie. Powód był prosty: wszyscy z Pogranicza doskonale wiedzieli, jaki los czeka buntowników, jeśli na pokładzie znajdą się pochodzący z Planet Korporacji Marines. Procesów nie będzie, bo po prostu nie będzie kogo sądzić.

Skutki części podjętych przez nich akcji stały się widoczne natychmiast: lotnikowiec *Basilisk* wypadł z szyku z niebezpiecznie niestabilnym napędem. Większość pilotów, nie tylko zresztą na jego pokładzie, była obywatelami Pogranicza i teraz przyłączyła się do zbuntowanej części załogi. Od czasów wojny tebańskiej oficerowie i podoficerowie pełnili wachty z bronią boczną na wypadek abordażu. Teraz używali jej do innych celów.

– Ma'am? – spytał Tsing, a Han czuła na karku jego wzrok znacznie mniej spokojny niż

głos.

To właśnie z myślą o podobnej katastrofie tak starannie dobierała załogę w ciągu ostatniego roku, wykorzystując wszystkie długie wdzięczności i inne zakulisowe metody. Teraz na jej okręcie panował spokój, ale wszyscy czekali na jej decyzję. Tylko zaufanie, jakim się cieszyła, utrzymywało ich jeszcze w bezczynności.

Czy będą jej posłuszni, nie wiedziała, gdyż konflikt lojalności każdego z nich był zapewne zbyt silny, by można było to przewidzieć. Natomiast jedno było pewne – jej bezczynność mogła przeciągnąć strunę. Wybrała kod na klawiaturze łączności wmontowanej w poręcz fotela i na ekranie ukazała się twarz majora Wanga Chung-Hui dowodzącego pokładowym kontyngentem Marines.

Usłyszała, jak Tsing wciąga ze świstem powietrze, ale nie okazała tego. Jej twarz pozostała niewzruszona i spokojna jak zawsze. Podobnie jak twarz Wanga, ale on także pochodził z Hangchow i wiedział, komu pozostać wierny.

– Majorze Wang – powiedziała dźwięcznie i donośnie Han.

– Słucham, ma'am – odparł spokojnie z pełną świadomością, że choć nie ma pojęcia, co usłyszysz, wykona każdy rozkaz, bo to kapitan Li go wydała.

– Słyszał pan słowa admirała Singha – powiedziała miękko.

– Słyszałem, ma'am – potwierdził, choć to nie było pytanie.

– W takim razie proszę się udać do zbrojowni. Macie wykorzystać wszystkie broje. Chcę, by przy każdej służbie postawił pan warty, a szczególnie starannie obsadził pokład hangarowy. Nikt nie ma prawa opuścić okrętu ani wejść na jego pokład bez mojej zgody. Na pokładzie hangarowym proszę na wszelki wypadek rozstawić cięższą broń. Czy zrozumiał pan moje polecenia?

– Jasno i dokładnie, ma'am! – odparł Wang, nie kryjąc radości, i zaszalutował, aż miło było patrzeć: każdy instruktor musztry byłby z niego dumny.

– Dziękuję, majorze.

Han zakończyła rozmowę i wdusiła przycisk wewnętrznego systemu łączności, uruchamiając tym samym automatyczny komunikat „Uwaga na pokładzie!” Ledwie przebrzmiał, ze wszystkich głośników rozległ się jej spokojny głos:

– Mówi kapitan. Wiecie, co się dzieje. A teraz dowiedcie się, co się będzie działo na pokładzie naszego okrętu. Nie zastosujemy się do rozkazów admirała Singha! Jestem oficerem Marynarki Federacji i mam obowiązek wykonywać polecenia przełożonych, podobnie jak wy moje. Istnieją jednak rozkazy, których wykonać nie sposób, a te, o których mowa, do takich właśnie należą. Nie mogę powiedzieć wam, abyście się zbuntowali, ale zrozumcie mnie dobrze: jedynie występując przeciwko mnie, możecie dopomóc w stłumieniu buntu na *Andersonie*. W żadnym innym wypadku *Longbow* nie przyczyni się do tego – przerwała na moment, czując suchość w ustach. – Zamierzam oddać ten okręt do dyspozycji władz Gromady Kontravian. Każdy, kto nie zgadza się z tą decyzją, może opuścić okręt. W

tym celu ma się zameldować bez broni u majora Wanga na pokładzie hangarowym. To wszystko.

Ponownie nacisnęła klawisz, kończąc połączenie, i powoli obróciła się wraz z fotelem, aż mogła spojrzeć prosto w oczy Tsinga. Potem przeniosła wzrok ku pozostałym i ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że wszystkie kabury pozostały zapięte. Nikt się nie odezwał – ani z wyrzutem, ani z aprobatą. Postanowiła inaczej sprawdzić, co czują...

– Poruczniku Chu?

– Słucham, ma'am? – Głos oficera był nieco zdławiony, ale nie usłyszała w nim niechęci czy sprzeciwu.

– Proszę wyznaczyć kurs, byśmy znaleźli się pomiędzy *Andersonem* a resztą jednostek, i dopilnować, by *Longbow* zajął wyznaczoną pozycję.

– Aye, aye, ma'am!

\* \* \*

Komandor Windrider obserwował na ekranie odpadający z szyku lotniskowiec. *Basilisk* – zrobił to jako pierwszy, ale nie jako ostatni... Prescott leciał nierównym kursem, gdyż przed wyłączeniem napędu nie miał kto nim sterować: mostek i sekcja nawigacyjna stały się bowiem polem walki. Niszczyciele i krążowniki eskorty wyczyniały najdziwniejsze manewry z podobnych powodów. Rwane fragmenty rozmów, które przekazywał implant, świadczyły, że *Enwright* także stał się miejscem bratobójczych zmagania. Tylko jeden okręt wydawał się nie dotknięty szaleństwem, gdyż nie tylko nie wykonywał dziwnych manewrów, ale precyzyjnie wyszedł z szyku i bezbłędnie ustawił się przy burcie *Andersona*. Był to krążownik liniowy *Longbow* z postawionymi osłonami siłowymi i aktywnym uzbrojeniem pokładowym.

– Uwaga na pokładzie! – rozległo się w głośnikach i zaraz potem rozbrzmiał z nich głos kapitana Hodaha: – Mówi kapitan! Wszyscy sprzeciwiający się rozkazom prawowitych dowódców złożą natychmiast broń pod groźbą stanięcia przed sądem polowym za bunt! Marines udadzą się na rufowy pokład hangarowy i przygotują się do abordażu *Andersona* zgodnie z rozkazami admirała Singha. Każdy, kto spróbuje w tym przeszkodzić, ma zostać zatrzymany. Oficerowie Marine Corps mają prawo użyć broni natychmiast w przypadku napotkania oporu. To jest rozkaz i równocześnie ostatnie ostrzeżenie dla buntowników!

Windrider zbladł. Zawsze uważał Hodaha za spokojnego i ludzkiego, a teraz usłyszał, jak daje on Marines w ciemno pozwolenie na zabijanie członków swej własnej załogi. Oznaczało to, że według niego sytuacja nie może już ulec pogorszeniu. A skoro to on przemawiał, Singh także został zabity...

Dalsze rozmyślenia przerwał mu dźwięk alarmu o specyficznym, falującym tonie. Sygnalizował on, że z sąsiednich pomieszczeń za chwilę zostanie wypompowane powietrze. Właśnie z hukiem zatrzaskiwały się pancerne drzwi, a kontrolka nad służą rozjarzyła się



czerwienią, informując, że powietrze jest już zbyt rzadkie, by można było nim oddychać. Tak więc nikt bez skafandra próżniowego nie mógł się do nich dostać, a otwarcie drzwi służy z zewnątrz bez nopuszczenia powietrza wymagało ich wysadzenia. Pozostawało tylko pytanie, kto to zrobił – Hodah, by powstrzymać buntowników, czy buntownicy, by powstrzymać nadal wierną mu część załogi? Ponieważ napęd dalej działał bez nagłych zmian czy przerw, ci ostatni musieli opanować maszynownię... Ale to wszystko były jedynie domysły; tego, kto co kontrolował w wariatkowie, jakim stał się okręt liniowy, Windrider nie był w żaden sposób w stanie ustalić.

Jeden z operatorów nagle zaczął odpinać uprzęż antyurazową.

Windrider przeszył go spojrzeniem i warknął:

– A ty dokąd się wybierasz, Bearclaw?

– Ależ, sir!... Tam są nasi przyjaciele! Musimy coś zrobić!

Bearclaw podobnie jak on sam pochodził z planety Topaz zasiedlonej w całości przez Indian wywodzących się z Ameryki Północnej na Ziemi. Windrider doskonale go rozumiał – w załodze było więcej mieszkańców tej planety. Przez moment miał przed oczyma dom i rosnące ponad nim pseudoświerki...

Ale to był tylko moment.

– Zapnij z powrotem uprzęż i ani mi się waż wstać! Właśnie wypuścili powietrze z okolicznych pomieszczeń, durniu! Jeśli spróbujesz stąd wyjść, zginiesz! – wyjaśnił ostro.

Bearclaw z ociąganiem wykonał polecenie. Reszta wachty spoglądała po sobie niepewnie, nie wiedząc, za kim opowie się dowodzący oficer. Szczęk odbezpieczanego pistoletu laserowego sprawił, że wszyscy odwrócili głowy w jego stronę. Windrider położył broń na pulpicie i rzekł spokojnie:

– Następnego, który zacznie panikować, zastrzelę. Czy to zrozumiałe? Podobnie jak każdego, kto spróbuje tu wejść bez mojej zgody.

Począł, aż wszyscy kiwną głowami na znak potwierdzenia, po czym wrócił wzrokiem do ekranu. Nie podobało mu się to, co powiedział, a jeszcze mniej to, co być może będzie musiał zrobić, ale nie miał wyjścia.

Na pulpicie zapalało się coraz więcej czerwonych kontroltek, w miarę jak coraz więcej elementów okrętu – albo uszkodzonych, albo odciętych – wypadało z sieci komputerowej. Jemu nie robiło to różnicy – można było odciąć napęd, banki pamięci, zniszczyć mostek, ale jak długo działały reaktory, tak długo on kontrolował całe pokładowe uzbrojenie monitora.

Tylko nie wiedział, co ma z nim począć.

W teorii wszystko wyglądało pięknie i prosto. Żadnej przemocy, tylko odmowa otwarcia ognia w stosownym momencie. To się nazywało bierny opór. Ale doszło do tego, że wszędzie wokół mordowali się koledzy i towarzysze broni, bo każdy wykonywał swój obowiązek tak, jak go pojmował, tylko że były dwa sposoby tego pojmowania.

A on siedział tu bezsilny, pełen żalu i strachu, i...

Rozległ się sygnał priorytetowego połączenia, więc przestał roztkliwiać się nad sobą. Wcisnął przycisk na klawiaturze interkomu i usłyszał głos Hodaha:

– Komandorze Windrider, buntownicy musieli wszystko starannie zaplanować, bo zdobyli zbrojownię i większość kwater Marines. Nie jesteśmy w stanie przebić się na żaden pokład hangarowy. Nadal kontrolujemy maszynownię i reaktory, choć tego drugiego nie jestem tak do końca pewien. Straciliśmy zapasową kontrolę ognia i centralę, a parę minut temu kontakt z pomostem flagowym. Trzymam przy pomocy Marines mostek wraz z wszystkimi dojciami, ale po serii silnych eksplozji coś wysiadło w systemie komputerowym i w pełni sprawny jest tylko pomocniczy ekran nawigacyjny. Nadaża pan, czy wyliczanka była za szybka?

– Nadażam, sir. – Windrider poczuł, że oblewa się zimnym potem.

– To dobrze. Rzecz sprowadza się do tego, że nadal mogę sterować okrętem, ale to wszystko. Pan natomiast jest jedynym człowiekiem, z którym mam kontakt i który jest w stanie celować oraz strzelać z broni pokładowej. Proszę mi więc powiedzieć, komandorze Windrider, czy jest pan gotów wypełnić swój obowiązek?

– Mój obowiązek, sir? – powtórzył Windrider z nagle poszarzałą twarzą. – Tak, sir. Jestem gotów!

Ostatnie zdanie powiedział ze spokojem i zdecydowaniem, które samego go zaskoczyły.

– W takim razie proszę posłuchać: admirał Forsythe nie żyje, admirał Singh najprawdopodobniej także. Losu admirał Traynor nie znam, bo straciliśmy kontakt z *Vesuviusem*, więc muszę założyć, że albo zginęła, albo jest więźniem. Mam łączność z admirałem Hale'em ale buntownicy opanowali maszynownię i *El Chichon* nie jest w stanie manewrować. Admirał Ashigara wraz z okrętem przeszła na stronę buntowników. Wynika z tego, że jestem najstarszym stopniem oficerem, który może coś zdziałać. Admirał Hale polecił mi jak najszybciej doprowadzić do zakończenia walk na okręcie flagowym. Jeśli w porę przetrzucimy na *Andersona* Marines, być może uda się jeszcze przywrócić porządek na reszcie okrętów. A na drodze stoi nam *Longbow*; kapitan Li zapowiedziała, że zniszczy każdą jednostkę desantową próbującą zbliżyć się do *Andersona*. Mam dwa superdreadnoughty z eskadry admirała Hale'a i transportowiec Marine Corps gotowe do akcji, ale najpierw musimy się uporać z tym krążownikiem liniowym... w ten czy inny sposób...

W głosie Hodaha słychać było ból i Windrider przypomniał sobie ostatni obiad, który zjedli w trójkę...

– Dam Li ostatnią szansę, żeby uratowała okręt i życie – dodał cicho Hodah. – Ale jeśli odmówi... wtedy wszystko w pańskich rękach.

– Rozumiem sytuację, sir. – Windrider powiedział to prawie szeptem.

– Doskonale. W takim razie proszę przełączyć się na kanał łączności taktycznej wyznaczony dla całego zespołu wydzielonego. Chcę, by kapitan Li słyszała, jakie wydaję panu rozkazy.

– Aye, aye, sir – potwierdził odruchowo Windrider i wykonał polecenie. Doskonale rozumiał ból Hodaha, gdyż także znał Li Han i jej reputację.

\* \* \*

Han wpatrywała się w ekran łącznościowy fotela i doskonale widziała malujące się na twarzy Simona Hodaha ból, złość, żal i determinację. Zastanawiała się, co on wyczytał z jej twarzy...

– Kapitan Li, narusza pani zasady prawa wojkowego – oznajmił chrapliwie Hodah. – Zgodnie z rozkazami wiceadmirała Erica Hale’a ma pani natychmiast poddać okręt i oczekiwać na przybycie mojej grupy abordażowej. Wyznaczony przeze mnie oficer przejmie pani obowiązki i umieści panią w areszcie do czasu rozpoczęcia procesu. To jest rozkaz nagrany jako dowód dla sądu wojennego. Może pani sprawdzić jego autentyczność u admirała Hale’a.

– Kapitanie Hodah – powiedziała miękko, spoglądając na starego przyjaciela. – Z całym szacunkiem, ale jestem zmuszona odmówić wykonania pańskiego rozkazu.

– Nie ma pani prawa do odmowy! – w głosie Hodaha słychać było groźbę. – Proszę wyłączyć osłony siłowe i przestać blokować mi drogę albo przysięgam na wszystko, co mi drogie, że rozstrzelam panią i okręt!

Han rozejrzała się po obsadzie mostka – nikt nie krył napięcia i strachu, ale nie odezwał się ani jeden głos protestu. Była z nich naprawdę dumna. Żałowała jedynie, że ich odwaga i lojalność zostaną zmarnowane w tak głupi sposób, ponieważ wszyscy zostali złapani w sieć sprzecznych obowiązków, przekonań i wierności, której nie można było rozplątać. Nie wiedziała tylko jednego – czy to ona czerpie siłę z ich lojalności, czy też oni są silniejsi dzięki zaufaniu do niej...

Spojrzała na ekran taktyczny fotela, na którym ożywały systemy broni i jej naprowadzania na trzech okrętach liniowych zbliżających się ku jej krążownikowi. Przez moment zastanawiała się, co też powie ojciec, gdy się o tym dowie, i co chciała jeszcze w życiu zrobić...

A potem podniosła wzrok i spojrzała prosto w oczy Simona. Znała go dobrze i wiedziała, że każe otworzyć ogień, ponieważ nie zostawiła mu wyboru. A kiedy *Enwright* i pozostałe okręty zaczną strzelać, ona zginie, a *Longbow* przestanie istnieć. Jediną pociechę stanowił fakt, że nastąpi to naprawdę szybko – żaden istniejący krążownik liniowy nie był w stanie wytrzymać takiej koncentracji ognia z tak małej odległości.

Dobierając załogę, nie spodziewała się, że robi to tylko po to, by wszyscy zginęli wraz z nią na samym początku, a tak właśnie będzie. Istniała natomiast duża szansa, że ich śmierć nie pójdzie na marne – jak dotąd walki toczyły się jedynie wewnątrz okrętów, teraz miały przekroczyć kolejną granicę. Owszem, po zniszczeniu *Longbowa* Hodah będzie miał otwartą drogę do *Andersona*, ale równocześnie wszyscy przekonają się, że skończyły się jakiegokolwiek

względy. Istniała co prawda możliwość, że załame to wolę walki buntowników, ale jakoś nie wydało jej się to prawdopodobne. Raczej doprowadzi do regularnej bitwy.

Było to nieuczciwe, ale w pewien wysublimowany sposób stanowiło dopełnienie jej życia...

Odetchnęła i powiedziała łagodnie:

– Simon, idź do diabła!

\* \* \*

Po samym drzeniu pokładu można było się zorientować, że *Enwright* zmienił kurs, co oznaczało, że kierował się ku krążownikowi liniowemu. Wraz z nim ruszyły obsadzone przez załogi z Planet Korporacji superdreadnoughty *Pentelikon* i *Nanda Devi* oraz pozostający za nimi transportowiec *Chief Joseph*, nieistotny w konfrontacji olbrzymów. Palce Windridera poruszały się po klawiaturze, jakby posiadały własną wolę, gdy jego umysł próbował odrzucić parametry ostrzału, które właśnie programował. Przerazenie sparaliżowało jego podkomendnych, gdy zobaczyli obliczenia, toteż chociaż nimi nie musiał się martwić. Czekał w swoim prywatnym piekle na słowa, które – wiedział o tym – wkrótce padną.

No i padły.

– Kontrola ogniowa! – rozległ się głos Hodaha.

– Słucham, sir? – powiedział tak spokojnie, że sam się zdziwił.

– Wziąć cel w namiar wszystkich dział i wyrzutni i przygotować się do strzału na mój rozkaz!

– Aye, aye, sir.

Wcisnął ostatnie klawisze, potwierdzając wcześniejsze polecenia i akceptując obliczenia, i na pulpicie zapalił się rząd czerwonych kontroltek, gdy odsunęły się pokrywy zasłaniające stanowiska dział i wyrzutni rakietowych, które zostały równocześnie załadowane. Kolejny rząd kontroltek, tym razem zielonych, potwierdził pełną sprawność rakiet w zewnętrznych wyrzutniach, a Windrider otarł pot z czoła. Był zamknięty w klatce z lodu i ognia, bo także pochodził z Pogranicza. I nadal nie był pewny, czy powinien pozostać wierny flocie, czy swojej planecie...

– Kapitan Li, to pani ostatnia szansa! – warknął Hodah.

– Simon, już ci mówiłam, żebyś poszedł w cholerę! – głos Li był ostry, jakby chciała sprowokować starego przyjaciela do działania. – Strzelaj i niech cię diabli!

– Doskonale, kapitan Li – głos Hodaha stał się lodowaty. – Nie zostawiła mi pani wyboru. Komandorze Windrider, otrzymał pan stosowne rozkazy. Proszę otworzyć ogień!

Dłonie Windridera zadrżały nad klawiaturą, a w jego oczach pojawiły się łzy. *Longbow* i oba superdreadnoughty były bardzo blisko siebie – w odległości zwanej samobójczą, gdyż przy niej groźne były działa każdego okrętu. *Longbow* wyglądał jednak przy nich delikatnie i bezbronne... Przez głowę przemknęły mu oderwane obrazy – parada po zakończeniu

akademii... pseudososny... ludzie, których znał, czekający na śmierć, która nadejdzie, gdy przyciśnie główny przycisk ogniowy... Zamrugał gwałtownie powiekami i odzyskał ostrość widzenia.

Ale jego dłonie pozostały sparaliżowane.

– Windrider, do cholery, jesteś tam?! – ryknął Hodah. Żal potęgował jego wściekłość. – Strzelaj, do nagłej krwi! Wypełnij swój obowiązek!

Słowo „obowiązek” eksplodowało w umyśle Windridera niczym bomba – drgnął i odzyskał władzę w dłoniach.

– Aye, aye, sir! – potwierdził cicho.

Sprawdził na wszelki wypadek koordynaty celu i nacisnął duży, płaski przycisk czerwonego koloru.

Całe uzbrojenie pokładowe monitora *Enwright* odpaliło równocześnie.

A kanał łączności zespołu wydzielonego zalały nierozpoznawalne wiadomości, gdy kilkaset osób zaczęło równocześnie krzyżeć, wyrażając wściekłość, radość i zaskoczenie. Wszystkie wiązki i rakiety trafiły, bo musiały z tej odległości trafić. I nie były w stanie ich powstrzymać ani elektromagnetyczne pola siłowe zwane osłonami, ani gruby pancerz. Osłony rozbłysły i przeładowane przestały istnieć, a pancerz i pokrycie kadłuba zostały podziurawione i rozprute niczym papier. Z powstałych przestrzelin zdążyło wylecieć trochę atmosfery, po czym nastąpiła oślepiająca eksplozja. FNS *Nanda Devi* stał się tylko wspomnieniem.

## Rozdział VII

# PIĘTNO KAINA

Naomi Hezikiah czuła się w fotelu kapitańskim FNS *Pommern* zdecydowanie nie na miejscu, czemu trudno było się dziwić – zazwyczaj komandor porucznik nie dowodzi ciężkim krążownikiem. Cienka Biblia w kieszeni nie była w stanie zapewnić jej spokoju ducha, gdy myślała o tym, co ma się wydarzyć. Wybrała kod sekcji łączności i na ekranie pojawiła się twarz młodziutkiego chorążego. A powinien to być pełny porucznik. Ot, znak czasów.

– Jakież wiadomości z okrętu flagowego, Harvey?

– Ani słowa, ma'am. – Młodzian potrząsnął głową i przypomniał pełnym szacunku tonem: – Obowiązuje rozkaz zachowania ciszy radiowej, ma'am.

– Wiem – odparła i ugryzła się w język.

Jak mawiał wielbny Haberman, na wszystko był właściwy czas, nawet na coś takiego...

Zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

– Proszę kontynuować, panie chorąży.

– Aye, aye, ma'am.

Zakończyła połączenie i opadła na oparcie fotela. Tak naprawdę miała ochotę tylko na jedno – znaleźć się znów na powierzchni New Covenant, choć była zimna, pusta i monotonna. Ale wiedziała, że już nigdy się tam nie znajdzie. Po tym, co już się wydarzyło, po tym, co jeszcze się wydarzy, nawet gdyby dokonała niemożliwego i przeżyła, nie przyjęliby jej... Przypomniała sobie Abrahama i zaczęła się bezgłośnie modlić, by Bóg zesłał jakieś inne zwierzę ofiarne, nim będzie za późno.

Ale nie wierzyła, że ześle.

Ostatnie dwa tygodnie były straszne. A zaczęły się tak pięknie – lekarz ostatecznie potwierdził diagnozę i oboje z Ernestem planowali już, jak załatwić przydziały, by urlop macierzyński spędziła w domu. A potem wszystko wzięło w łeb, gdy odebrali przez system przekazników szyfrówkę, że zbuntował się cały 17. Zespół Wydzielony. Nie jakaś tam eskadra czy grupa szturmowa Floty Granicznej, ale cały zespół należący do Battle Fleet. Nie oznaczało to naturalnie, że wszystkie okręty dostały się w ręce rebeliantów – walka była długa, a straty ciężkie, ale nie ocalała ani jedna jednostka, której załoga pozostała lojalna

wobec władz Federacji. Jednak nim przestały istnieć, wystrzelono z ich pokładów dość kurierów, by część uniknęła trafienia i spełniła swe zadanie.

Komodor Prien okazał się naiwnym głupcem. Poczula pieczenie pod powiekami na wspomnienie miłego starszego pana pochodzącego z Centrum, który do końca nie mógł uwierzyć, że w jego eskadrze nastąpiło coś podobnego. I dlatego nadał na wszystkie okręty rozkaz powrotu do bazy wraz z wyjaśnieniem. Powinien był przewidzieć, że zmobilizuje to do działania tych, którym taka perspektywa nie będzie odpowiadać. No i zmobilizowało – w ciągu godziny odbyły się pierwsze tajne spotkania członków załogi z Pogranicza, a po paru godzinach wybuchł bunt.

Tyle tylko że nie wszyscy z Pogranicza się zbuntowali, bo nie do wszystkich dotarły informacje – było zbyt mało czasu, a oni mieli zbyt mało doświadczenia. Były to w sumie odizolowane grupy konspiratorów nie ufające nikomu spoza swego grona. Dopiero gdy pierwszy wyciągnął broń, wszyscy się zorientowali, że muszą wybierać, i to natychmiast. Wierni rządowi stawili zaciekły opór i straty okazały się większe, niż ktokolwiek mógł wcześniej przypuszczać. Gdy skończyła się walka, buntownicy dysponowali połową teoretycznie niezbędnych do obsadzenia okrętów ludzi.

A ona znalazła Ernesta martwego. Leżał z pistoletem laserowym w dłoni, przewieszony przez swoją konsolę sterowania ogniem. Przed nim leżały na pokładzie ciała dwóch zabitych buntowników.

Łzy napłynęły jej do oczu i ledwie zdołała odczytać stosowny pogrzebowy fragment. Nie wiedziała, czy zdawał sobie sprawę, że stali po przeciwnych stronach, i czy gdyby wiedział, to by cokolwiek zmieniło... Był uparty, lojalny i odważny. Za to właśnie go kochała.

A potem okazało się, że czeka ją zadanie. Nawet wielebny Haberman nie zdołałby jej przekonać, że Bóg wybaczy jej jego wykonanie.

Wielebny nie będzie miał zresztą na to cienia szansy, ponieważ znacznie później niż ona spotka się ze Stwórcą. Spojrzała na ekran nawigacyjny i stwierdziła, że stanie przed Bogiem znacznie szybciej, niż sądziła.

– Trzydzieści sekund do tranzytu, ma'am – zameldował cicho oficer astronawigacyjny.

– Doskonale. – Naomi skinęła głową. – Proszę wykonać.

– Aye, aye, ma'am.

Teraz już nie było odwrotu.

Zresztą tak naprawdę nigdy go nie było, odkąd zdali sobie sprawę z własnego położenia.

\* \* \*

– Nie mamy wyboru – poinformował pozostałych świeżo upieczonych dowódców kapitan Victor Toshiba, nowy dowódca eskadry. – Jesteśmy w głębi obszaru Centrum i nie zdołamy w żaden sposób dotrzeć do Pogranicza. Spaliliśmy za sobą wszystkie mosty: jesteśmy buntownikami, a wiadomo, co grozi za bunt. Jeśli będziemy uciekać, wyłapią nas albo

wystrzelają, i tyle zdziałamy, że te krążowniki nie zostaną użyte przeciwko naszym. Prawda jest taka, panie i panowie, że już jesteśmy martwi, tylko jeszcze się ruszamy. Należy się z tym pogodzić i postarać to wykorzystać, by nasza śmierć okazała się sensowna i jak najkorzystniejsza dla Pogranicza. I jest na to sposób: możemy dać naszym czas, pozbawiając Federację Galloway's World.

I wskazał na ekran nawigacyjny, na którym pojawił się już wytyczony kurs.

Naomi miała najwyższe starszeństwo po nim, ale tak samo jak pozostali patrzyła nań wytrzeszczonymi i pełnymi przerażenia oczami.

– Ale, sir, nie mamy odpowiednich sił, by zdobyć planetę! – zaprotestowała. – Nie sugeruje pan chyba...

– Właśnie to sugeruję – przerwał jej chłodno. – Jeżeli zdołamy prześliznąć się przez obronę systemową na orbitę, udając jednostki wierne Federacji, uda nam się zniszczyć stocznie i wszystko, co czeka na lądowiskach. To wojna, komandor Hezikiah. Parszywa, bo domowa, ale wojna. Pomiędzy Pograniczem a resztą Federacji. I wszyscy wiemy, kto ma silniejszą pozycję. Przemysł i pieniądze są własnością Planet Korporacji, które mogą w obecnej sytuacji pobić naszych z kretesem i bez wysiłku. Ale jeżeli zniszczymy ich największy kompleks stoczniowo-magazynowy, sytuacja będzie inna. Nasi zyskają czas, który jest niezbędny do konsolidacji sił i uruchomienia budowy własnych okrętów. A jedynym sposobem, by tego dokonać, jest zbombardowanie Galloway's World. Głowicami nuklearnymi.

Naomi poczuła mdłości – byli oficerami Marynarki Federacji i mieli bronić ludzkości przed zagrożeniami, a nie sami jej zagrażać. Jednak miała świadomość, że Toshiba mówi prawdę – byli już martwi i mogli jedynie jak najdrożej sprzedać życie. Czyli dać jak największą szansę tym, po których stronie się opowiedzieli – swoim. Pomyślała o New Covenant, gdzie życie poza kopułami było niemożliwe. Nie miała cienia wątpliwości, że byłaby w stanie zabijać w obronie jego istnienia... ale innych cywilów na innej planecie... Zaczęła otwierać usta, ale Toshiba był szybszy:

– Wiem, że spowodujemy ciężkie ofiary wśród ludności cywilnej – dodał spokojnie. – Archipelag Jamieson to najgęściej zaludniony obszar na całej planecie i tylko idiota mógłby liczyć na to, że każda rakieta trafi idealnie w wyznaczony cel. A tylko kłamca czy hipokryta twierdziłby, że to możliwe. Bronimy jednak naszych domów, rodzin i społeczeństwa, w którym ludzie mogą być ludźmi, a nie tylko odkarmionymi i odurzonymi zwierzętami domowymi produkującymi dobra na chwałę władz Korporacji i dla ich zysku!

Ostatnie zdanie wypowiedział z takim ogniem, że Naomi zaczęła się wahać. A Toshiba przyjrzał się im wszystkim ze smutkiem i dodał cicho:

– Wiem, że każdym z was targają wątpliwości, czy nawet w samoobronie mamy do tego prawo. Musicie odpowiedzieć sobie na to pytanie sami, ja powiem tylko tyle: podobno kwiat przebije się przez cerambet, by dotrzeć do słońca. Może to i prawda. Ale co będzie, gdy



wszystko pokryje cerambet? Gdy kwiat w końcu zdoła się przebić, a nie będzie już nikogo, kto widząc go, potrafi rozpoznać, że to właśnie kwiat?

Naomi pochyliła głowę, dopiero w tym momencie rozumiejąc, jak ważną decyzję musi podjąć. Rebelia kosztowała ją tak wiele... Bóg z pewnością nie żądałby od niej, by kolejny raz uczestniczyć w rozlewie krwi, a to musiałoby nastąpić, gdyby sprzeciwiła się pomysłowi Toshiba...

– Mamy duże szanse na sukces – powiedział spokojniej już Toshiba, jakby wyczuwając, że Naomi przestała być przeciwko. – Nikt nie wie o naszym udziale w buncie; możemy oficjalnie zjawić się po nowe rozkazy, przeprowadzić atak i uciec... Może nawet komuś uda się dotrzeć w tym zamieszaniu do domu, ale szczerze powiem, że nie liczylibym na to. I nie to jest istotne. Przeżyjemy czy nie, musimy zniszczyć stocznice!

\* \* \*

– Tranzyt za pięć sekund! – powiedział cicho oficer astro. – Cztery... trzy... dwa... jeden... Tranzyt!

Żołądek Naomi fiknął kozła, świat zawirował i miała wrażenie, że poczuła swoje dziecko, choć było to naturalnie niemożliwe. Całe szczęście, że doktor SevrIDGE wiedział, co oznaczałoby dla niej utracenie dowództwa, i po prostu skasował wyniki badań, gdy go o to poprosiła. Po stracie Ernesta i przy świadomości tego, co ma nastąpić, rola biernego świadka byłaby dla niej nie do zniesienia...

Skomentował to zwięźle: „Jak bunt, to bunt”.

– Wezwanie z dowództwa obrony systemowej, ma’am! – zameldował oficer łącznościowy, sprawiając, że powróciła do rzeczywistości. – Standardowe: żądanie identyfikacji i podania celu przybycia.

– Przygotować się do otwarcia ognia, ale nie namierzać celów! – poleciła, przypominając wcześniejsze rozkazy. – Komodor Toshiba zaraz puści nagranie i będziemy wszystko wiedzieć...

Na ekranie łączności fotela pojawił się Prien wygłaszający uspokajającą odpowiedź. Był to naprawdę dobry montaż komputerowy i nie powinien wzbudzić niczyich podejrzeń. Nie powinien...

„...po stłumieniu buntu dokonaliśmy prowizorycznych napraw i przybyliśmy tu, gdzie są najbliższe stocznice remontowe. Komodor Jacob Prien, dowódca 10. Eskadry Krażowników Battle Field. Czekam na rozkazy”.

– Doskonale, komodorze Prien! Doskonale! – ucieszył się pyzaty admirał z obrony systemowej. – Tu też mieliśmy pewne problemy, kiedy dotarły wieści o rebelii. Rezerwiści, ścierwa, próbowali się buntować, ale byliśmy gotowi i szybko sobie z nimi poradziliśmy. Proszę wziąć kurs na *Skywatch 3*. Gdy pan tam dotrze, będą już czekały nowe rozkazy dla pana.

„Aye, aye, sir! Komodor Prien, bez odbioru”.

– Chwała Bogu – mruknął ktoś, gdy obie twarze zniknęły z ekranu łączności.

Naomi nie zareagowała na tę uwagę. Gdyby Bóg rzeczywiście był miłosierny, gruby admirał nabrałby podejrzeń i musieliby albo uciekać, albo przebijać się na planetę siłą – z niewielkimi szansami na sukces. Nie miała nic przeciwko temu, by zginąć w walce... Prawdę mówiąc, miała nadzieję, że tak właśnie skończy.

Póki co jednak na żadną walkę się nie zanosilo. Na ekranie taktycznym widać było spokojnie lecący w głąb systemu planetarnego ciężki krążownik *Kongo* prowadzący formację. Za nim leciały *Revenge* i *Oslabya*, a na końcu *Pommern*. Wszystko wyglądało zwyczajnie, ale i *Pommern*, i pozostałe okręty były gotowe do walki. Nie uaktywniono jedynie osłon siłowych i radarów oraz lidarów celowniczych, by nie wzbudzać podejrzeń. Nie odsunięto też pokryw ambrazur. Ale wszystko to można było zrobić w ciągu paru sekund.

Naomi uznała za szczyt ironii losu, że *Pommern* przybywał zniszczyć stocznice, w której go zbudowano.

\* \* \*

Godziny ciągnęły się w nieskończoność. Lecieli spokojnie, planeta powoli rosła przed dziobami okrętów. Naomi tak jak pozostali zabijała czas.

Wreszcie przed nimi pojawił się fort orbitalny oznaczony kryptonimem *Skywatch 3* i oczekiwanie się skończyło. Sieć łączności ożyła, gdy z pokładu *Konga* nadano umówiony sygnał i wszystkie jednostki uaktywniły osłony, włączyły radary celownicze oraz odsłoniły stanowiska strzeleckie. Ponieważ systemy sterowania zostały wcześniej sprzęgnięte z okrętem flagowym, wszystkie w tym samym momencie zwiększyły szybkość i zmieniły kurs. I odpaliły komplet rakiet z zewnętrznych wyrzutni.

Naomi Hezikiah z niemym podziwem obserwowała, jak 10. Eskadra w ciągu mniej niż trzydziestu sekund zmieniła fort we wrak niezdolny do walki. A potem, gdy skończyła się pierwsza faza ataku i dowódca każdego z okrętów odzyskał nad nim władzę, przestała być świadkiem, a zaczęła być uczestnikiem.

Z radia popłynęły głosy zaskoczonych obrońców, milknących stopniowo w miarę uruchamiania zagłuszania. Nim obrona systemowa zdobyła się na jakieś skuteczne i skoordynowane działanie, napastnicy przedarli się przez fortyfikacje orbitalne i runęli całą naprzód ku planecie. Na ich drodze znajdowały się jeszcze nieliczne okręty na orbitach parkingowych, lecz były to w większości niszczyciele.

Pierwsze rakiety wystrzelone przez nie pomknęły w stronę krążowników, a na ich spotkanie wyleciały antyrakiety i w przestrzeni wykwitły pierwsze eksplozje.

– Próba włamania w system łączności! – zameldował oficer łącznościowy.

Implant Naomi zawył i zamilkł, gdy włączyły się autofiltry.

– Zagłuszyli sieć eskadry! – padł następny meldunek chorążego.

– Przejść na indywidualne namierzanie celów! – poleciła spokojnie Naomi, jako że nie było to nic niespodziewanego. – Najważniejszy cel: niszczyciele!

Odezwały się wyrzutnie pokładowe, wypluwając salwę za salwą. *Kongo* musiał skutecznie zagłuszać system łączności niszczycieli, gdyż ich ogień przeciwrakietowy był słaby i niecelny. Już pierwsza salwa rakiet *Pommerna* rozstrzelała prowadzący niszczyciel.

Artylerzyści pozostałych nie próżnowali jednak i w pobliżu eskadry zaczęło się robić gęsto od rakiet, zwłaszcza gdy do ostrzału dołączyły naziemne wyrzutnie. Antyrakiety wsparły sprzężone działka laserowe i przestrzeń zagotowała się od eksplozji. Dwa kolejne niszczyciele zostały zniszczone, a sekundę później pierwsza rakietka detonowała na osłonie siłowej *Pommerna*. *Kongo* i *Oslabya* także stały się celami, ale pozostałe niszczyciele skupiły ogień na *Revenge*. Z ekranu taktycznego zniknął kolejny niszczyciel, a inny wypadł z kursu, ale równocześnie osłony krążownika *Revenge* przestały istnieć i pierwsza rakietka trafiła w jego kadłub.

– Osłony dwa do trzy zniszczone – rozległ się głos oficera artyleryjskiego. – Ktoś strzela rakietami zza naszej rufy, ale celuje w *Kongo*. To musi być duża jednostka, sądząc po rodzaju rakiet, ma'am!

– Rozumiem – potwierdziła spokojnie Naomi.

Przypomniały jej się słowa z zamierzchłej przeszłości, gdy była małą dziewczynką: „Choćbym nawet szedł ciemną doliną...” Otrząsnęła się i uśmiechnęła sama do siebie – chciała walki, no to będzie miała walkę.

– Ster, zmiana kursu o sto osiemdziesiąt stopni – poleciła. – Harvey, zawiadom okręt flagowy, że spróbuję zdjąć mu natręta z rufy!

– Aye, aye, ma'am... jest zmiana kursu o sto osiemdziesiąt stopni – potwierdził sternik.

– Aye, aye, ma'am – głos Harveya prawie nałożył się na głos sternika.

*Pommern* wykonał ciasny skręt odczuwalny minimalnie pomimo pokładowej grawitacji. Gdy manewr został zakończony, przed dziobem pojawił się nowy przeciwnik.

– Krążownik liniowy w odległości ośmiu sekund świetlnych, ma'am – zameldował oficer artyleryjski. – Według komputera to *Kris*.

Naomi dobrze знаła ten okręt – służyła na nim jako porucznik, jak się jej wydawało, wieki temu. Jego portem macierzystym była Stocznia, a załoga składała się niemal w całości z fanatycznych zwolenników Korporacji.

– *Kris* jest naszym celem. Proszę otworzyć ogień, gdy tylko będziemy mieli pewny zamiar – powiedziała dobitnie. – Sternik, proszę zacząć uniki według planu „Alfa 3”. Do dzieła, panie i panowie!

Sypnęły się potwierdzenia, a paręnaście sekund później i pierwsze rakietki z wewnętrznych wyrzutni. Dopiero po kilkunastu następnych sekundach oficer artyleryjski przeciwnika zmienił cel i pierwsza salwa rakiet została wystrzelona nie w *Kongo*, lecz w *Pommerna*. Zaczął się klasyczny pojedynek artyleryjski.

– *Kongo* otworzył ogień do Stoczni Taliaferro, ma'am! – zameldował podoficer sekcji ogniowej.

Naomi przestała go słuchać, nie chcąc myśleć, co się stanie, gdy rakiety eksplodują. Do Stoczni Taliaferro przylegały bowiem dwa miasta... Nie chciała myśleć o piętnie Kaina, którego już nigdy się nie pozbędzie. Nawet obecność Biblii w kieszeni kombinezону próżniowego nie stanowiła żadnej pociechy.

– *Oslabya* odpaliła rakiety, celując w Stocznnię!

Wokół okrętu rozszalało się piekło, gdy obrona przeciwrakietowa przystąpiła do akcji.

– Druga salwa z *Konga*! *Revenge* odpalił pierwszą!

– Jesteśmy w zasięgu dział! – zameldował oficer ogniowy.

Osłony siłowe rozjarzyły się nagle, gdy trafiły w nie promienie laserów i fazerów *Krisa*. A osłony *Krisa* zniknęły przeładowane po kolejnej celnej salwie. *Pommern* miał doświadczonych artylerzystów; teraz, gdy pierwsze trafienia pręły pancierz przeciwnika, było to widać.

– *Oslabya*: Kod Omega! – zameldował chorąży Harvey.

W następnej sekundzie po krążowniku *Oslabya* pozostała tylko oślepiająca kula eksplozji. Przyglądająca się jej Naomi pomyślała, że porucznik Jolson, który nią dowodził, wkrótce będzie miał towarzystwo.

– O cholera jasna! – jęknął operator głównego zestawu sensorów szerokopasmowych. – Rakiety *Oslabyi* musiały być nadal kierowane z okrętu, bo poszły w rozsypkę według wzoru dywanowego!

Naomi poczuła lodowate zimno. Spojrzała na ekran taktyczny i stwierdziła, że to prawda. Pozbawione komputera naprowadzającego rakiety zmieniły szyk na standardowy, zaprogramowany w ich komputerach pokładowych, zapewniający jak największe pokrycie celu. W ten sposób to, co miało być precyzyjnym punktowym uderzeniem, zmieniło się w nuklearny odpowiednik starożytnego nalotu dywanowego. Co prawda były to tylko główce taktyczne, i to czyste, ale za to pokryły cały teren miasta i osiedli wokół Stoczni...

– Trafienie w cel! – zameldował oficer ogniowy. – *Kris* gubi powietrze!

A potem artylerzyści krążownika liniowego wstrzelili się w cel.

Osłony siłowe *Pommerna* jedna po drugiej przestawały istnieć, a kadłubem wstrząsały kolejne trafienia rakiet unicestwiających wszystko na swojej drodze.

– Dziobowe wyrzutnie zniszczone! Laser numer jeden uszkodzony, osłony prawej burty zniszczone... – Lawina meldunków popłynęła na mostek, ale zaraz została przerwana, gdyż jeden z promieni laserowych dotarł do kontroli uszkodzeń, wybijając całą obsadę.

Inny uderzył w mostek, ale z małą siłą – zdemolował jedynie stanowisko kierowania ogniem i zdehermetyzował pomieszczenie. Równocześnie jednak została zniszczona maszynownia i *Pommern* stał się bezbronnym wrakiem. *Kris* co prawda nie wyglądał lepiej, ale miał działający napęd i kilka sprawnych dział oraz wyrzutni...

Naomi nie odrywała wzroku od ekranu taktycznego. Patrzyła na miniaturowe słońca, które rodziły się na całym obszarze bazy floty, Stoczni i okolic. Nie miała pojęcia, czy oznaczały śmierć dwóch, trzech czy czterech milionów ludzi, wiedziała tylko, że przytłaczającą większość stanowią cywile.

Z całkowitą obojętnością obserwowała zbliżający się krążownik liniowy, który ustawił się burtą do jej dryfującego okrętu i z minimalnej odległości otworzył ogień z dział. Zobaczyła jeszcze, jak znika jedna ze ścian mostka, a ułamek sekundy później piekło ogarnęło i ją. Ale śmierć była tym, na co czekała z utęsknieniem...

## Rozdział VIII

# KATASTROFA

– Panie marszałku, taki rodzaj potwierdzenia, że miałem słuszość, sprawia mi niewielką satysfakcję – oświadczył Simon Taliaferro, rozglądając się po Komnacie Światów. – Powinniśmy przewidzieć, że tak właśnie się stanie, kiedy tak wielu delegatów Pogranicza zrezygnowało z zasiadania w Zgromadzeniu na znak protestu przeciwko „drastycznej” decyzji, która była bardziej wyrazem miłosierdzia niż sprawiedliwości. To jest po prostu barbarzyństwo, panie marszałku. To działanie małych, ograniczonych i przerażonych umysłów. Nie można pozwolić tym ludziom na zniszczenie tego, na czym opiera się Federacja Ziemska!

Oskar Dieter siedział spokojnie, słuchając pięknie modulowanego głosu świetnie wyszkolonego zawodowca i żałując, że sam nie ma wrodzonych talentów aktorskich adwersarza. Jedyne, co mógł zrobić, to powiedzieć brutalną prawdę, ale nie wiedział, czy to wystarczy w sytuacji, w której kłamstwa były sprzedawane w tak przekonujący sposób.

– Pytam was, delegatki i delegaci, jaki jest powód tego. – Taliaferro zamachał kopią raportu, który stał się przyczyną zwołania zamkniętej sesji. – Nawet jeżeli, choć to absurdalna teza, połączenie byłoby zagrożeniem dla reprezentowania interesów Pogranicza w tym Zgromadzeniu, to czy jest to właściwy sposób, by dać wyraz swemu niezadowoleniu? Gdzie są, pytam, delegaci tych planet, by przedstawić ich racje? Gdzie są petycje? Nie widać ani jednych, ani drugich. Zamiast nich widzimy to!

I zmiął z pogardą kartkę.

Dieter skrzywił się, słysząc aplauz, jaki ten ograny teatralny gest wywołał. Niespecjalnie był co prawda głośny, ale głównie dlatego, że Komnatę Światów trudno było nazwać przepelnioną, brakowało bowiem wszystkich delegacji Planet Pogranicza. Delegacje te były nieliczne w przeciwieństwie do delegacji Planet Wewnętrznych czy Korporacji, ale było ich dużo, a ponieważ każda miała wyznaczony osobny sektor, pustki na sali rzucały się w oczy.

Oskar Dieter, przyglądając się Taliaferrowi, czuł nienawiść, która już nie była dlań niczym zaskakującym ani nowym.

– Nawet nie próbowali w cywilizowany sposób sprzeciwić się połączeniu – perorował

dalej Taliaferro. – Nawet nie zadali sobie trudu, by sprawdzić, czy nasz rząd gotów jest zgodzić się na propozycję Chana. Uczepili się pierwszego pretekstu, by nas oszukać i zdradzić Federację! Bo działanie władz i mieszkańców Gromady Kontravian to zdrada, panie i panowie. I dlatego gdy admirał Forsythe rzuci ich na kolana, musimy im pokazać, że Federacja nie cacka się z przestępcami tego kalibru!

Dieter uśmiechnął się ponuro – Taliaferro od ponad czterdziestu lat manewrował tak, by złapać Pogranicze za gardło, i teraz wreszcie dopiął swego.

– Przyjaciele, musimy spojrzeć prawdzie w oczy, choć nie jest ona przyjemna – ciągnął Taliaferro. – Rebelianci to nie jedyni mieszkańcy Pogranicza przejawiający zdradzieckie ciągoty. Jeśli okażemy słabość lub niezdecydowanie, Federacja zniknie i pozostaną po niej jedynie popioły rozwiewane przez wiatr historii. Na niedojrzałych politycznie umysłach wrażenie wywiera jedynie siła i udowodniona wola użycia jej! I dlatego musimy zademonstrować naszą wolę, nie poddając się współczuciu czy żalowi. Musimy bezlitośnie ukarać winnych, aby kilka lekcji wystarczyło i zapobiegło krwawej masakrze, która nastąpi, jeśli okażemy słabość. Dlatego proponuję, byśmy przygotowali specjalne instrukcje dla admirała Forsythe’a i innych dowódców i udzielili im stosownych pełnomocnictw do ich wykonania. Chodzi o wprowadzanie stanu wyjątkowego, sądy polowe i prawo wykonywania wyroków śmierci na zdrajcach. Oraz poinformowanie naszych dowódców, że wyroki tych sądów zostają przez nas zatwierdzone z góry!

Przy ostatnim zdaniu Dieter niemalże zerwał się z miejsca. Znał Taliaferra i wiedział, że jest wystarczająco bezwzględny, by sprowokować wojnę domową dla osiągnięcia własnych celów, ale to, co proponował, było zwykłym zalegalizowanym morderstwem.

Jego wściekłość błyskawicznie zmieniła się w lodowaty spokój, gdy zdał sobie sprawę z konsekwencji tego posunięcia. Na swój sposób było genialne – rebelia zaczęła się na Beauforcie, a więc zabicie przywódców politycznych jako zdrajców ukreśliłoby jej łeb, a równocześnie likwidowało najgroźniejszych przeciwników z Pogranicza. Miałoby też dodatkowy skutek – rozpałiłoby ekstremistów po obu stronach oraz splamiło krwią dłonie wszystkich delegatów. Nawet jeśli potem oprzytomnieją i zorientują się, że dali się wykorzystać, będą zakładnikami Taliaferra – współwinnymi jego zbrodni. A więc zgodzą się też na następne.

Musiał spróbować przemówić im do rozsądku – choćby tylko niektórym, po to żeby w przeszłości zasiadali tu ludzie zdolni rozliczyć Taliaferra i jemu podobnych.

Wciągnął głęboko powietrze i wcisnął klawisz oznaczający, że chce zabrać głos, ledwie Taliaferro skończył przemawiać.

– Przewodniczący udziela głosu szanownemu delegatowi Nowego Zurichu – ogłosił z ulgą w głosie Haley.

– Dziękuję, panie marszałku – powiedział Dieter, ani tonem ani wyrazem twarzy nie zdradzając żadnych uczuć.

Nie bardzo wiedział, jaką taktykę zastosować: nazwać Taliaferro szaleńcem i okazać wściekłość... Napiętnować go jako narwańca... Próbować chłodnej logiki... złośliwości i szyderstwa...? Żadna metoda nie wydawała się wystarczająco dobra, toteż pozostało mu tylko jedno: grać na wyczucie.

– Panie i panowie, pan Taliaferro proponuje rozwiązanie tego poważnego kryzysu w drodze zaostrzenia prawa, i to drastycznego zaostrzenia. Dowodzi, że jest to właściwa chwila do pokazania siły i stanowczości. Federacja stała już w obliczu rozmaitych zagrożeń, wszystkie one jednak były zewnętrzne. Dziś pierwszy raz mamy do czynienia z czynnikiem wewnętrznym zagrażającym jej dalszemu istnieniu. Przedstawiając sytuację, pan Taliaferro nie wykazał się obiektywizmem, lecz zbytnim optymizmem, ponieważ zapomniał o jednej ważnej sprawie: o składzie osobowym naszych sił zbrojnych. Jako przewodniczący Komitetu Nadzoru Wojskowego mogę państwu zapewnić, że mieszkańcy Pogranicza stanowią część Sił Zbrojnych Federacji, a zwłaszcza Marynarki Federacji, na tyle znaczącą, że stawia to pod dużym znakiem zapytania lojalność tychże sił względem władz Federacji.

Wyraźnie czuł zaskoczenie obecnych. Wynikało ono z tego, że przyznał choć częściowo rację przedmówcy, gdyż panujący między nimi konflikt od miesiący był przedmiotem plotek i zakładów. Obstawiano wygraną Taliaferro, ma się rozumieć. Ale obstawiający nie wzięli pod uwagę dwóch rzeczy. Pierwszą były zobowiązania i długi, które przez lata zaciągnęły u niego rozmaite osobistości z planety Nowy Zurich, a które teraz egzekwował bez litości. Drugą zaś była nagrywarka w jego teczce działająca przez całe ostatnie osobiste spotkanie, jakie odbył z Simonem i popierającymi go przywódcami. W efekcie zrezygnowano z odwołania go i okazał się jedyną opozycją, jaka wyłoniła się w Zgromadzeniu. Choć jego los nadal wisiał na włosku, szanse rosły powoli, lecz stale, w miarę jak do konserwatywnych umysłów bankierów rządzących planetą Nowy Zurich docierały jego ostrzeżenia.

Nagranie okazało się zbawienne, gdyż potwierdzało podejrzenia części syndyków, iż Taliaferro postradał zdrowe zmysły. Dlatego chcieli mieć dlań przeciwwagę w Zgromadzeniu, a okazało się, że może nią być tylko on. Przynajmniej do momentu, gdy okaże się, że Taliaferro jednak wygrał, bo wtedy poświęcą go w imię pojednania Nowego Zurichu i Galloway's World.

Przerwał te rozważania i zmusił się do skoncentrowania na chwili obecnej. Jego myśli coraz częściej zaczynały tak błędzić i to go niepokoiło.

– Tak, panie i panowie – podjął. – Pan Taliaferro z jednej strony ma rację, a z drugiej się myli. Chciałby przekonać was, że jedyną słuszną reakcją jest silne i zdecydowane stłumienie rebelii za pomocą represji. Prawda zaś jest taka, że dłoń trzymająca pejcz wcale nie jest dłonią najsilniejszą, istnieją bowiem różne odmiany siły. Faktem jest, że stoimy wobec bezprecedensowego kryzysu. Faktem, z którego musimy zdać sobie sprawę, jest i to, że mamy do czynienia ze zdradą na masową skalę. Bo nie chodzi tu o pojedynczą osobę czy grupę osób ani o pojedynczą planetę czy system planetarny. Należy więc zadać sobie pytanie, dlaczego



osiem systemów i jednaście planet oraz księżyców równocześnie zdecydowało się na tak drastyczny krok. Opanowało ich jakieś nieznanne zbiorowe szaleństwo? Czy może, choć trudno nam to przyznać, to my doprowadziliśmy do tego władze i mieszkańców tych światów?

Zrobił przerwę, czując rosnącą niechęć słuchaczy. Część nienawidziła go za komplikowanie tak starannie zaplanowanych posunięć, część nie lubiła za mówienie głośno tego, czego sami przed sobą nie chcieli przyznać. Jedynie żałośnie mała garstka rozumiała go i wspierała. Ale na nic więcej nie mógł liczyć, więc to musiało wystarczyć.

Musiało.

– Panie i panowie delegaci, sprzeciwiam się propozycji przedstawionej przez pana Taliaferra – oświadczył z mocą. – Sprzeciwiam się tworzeniu sądów kapturowych mających polityczne pełnomocnictwo na zabijanie, bo jedynym wydawanym przez nie wyrokiem będzie kara śmierci. Sprzeciwiam się zinstytucjonalizowaniu podziałów rysujących się w naszej polityce wewnętrznej. Pokażmy, że jesteśmy wystarczająco silni, by stać nas było na rozsądek, i na tyle mądrzy, by stać nas było na kierowanie się logiką, nie emocjami. Pokażmy Pograniczu, że chcemy wysłuchać ich racji i choć raz podjąć działanie, by naprawić to, co okaże się złe. To najwyższy czas na kompromis, a nie na zalegalizowane mordy!

I usiadł.

Dwa ostatnie słowa rozbrzmiały w nagłej ciszy i niektórzy je usłyszeli. Ale Dieter nie miał złudzeń: na pewno nie dotarły do wystarczająco wielu delegatów. Dlatego był zaskoczony, że prawie jedna trzecia go poparła. Liczył na mniej niż jedną czwartą, toteż choć nie zdołał zablokować wniosku Taliaferra, był mile zdziwiony aż takim przejawem zdrowego rozsądku.

Wniosek przeszedł o włos – potrzeba było dwóch trzecich głosów, a otrzymał troszkę więcej. Ale nie zmieniało to faktu, że wszyscy dowódcy Federacji dostali licencję na zabijanie.

Dieter mógł jedynie żywić nadzieję, że będą mieli dość moralnej odwagi, by z niej nie skorzystać.

\* \* \*

– Szefie! Niech pan wstanie!... Panie Dieter, obudź się pan, proszę!

Dietera ostatecznie ze snu wyrwał nie nachalny głos, lecz potrząsanie za ramię. Jeszcze półprzytomny zacisnął dłoń na kolbie pistoletu leżącego pod poduszką jak co noc od czternastu miesięcy. Zanim rozpoznał w budzącym szefa ochrony Heinza von Rathenau, broń była już odbezpieczona i wycelowana w jego głowę.

Rathenau zamarł, co było jedynym sensownym zachowaniem, a Dieter po sekundzie opuścił pistolet z przeproszającym uśmiechem. Od dnia pierwszego zamachu na siebie jakoś nieswojo się czuł, nie mając pod ręką broni.

– Co się stało, Heinz? – spytał, spoglądając na zegarek.

Była czwarta rano – spał mniej niż dwie godziny.

– Nadeszła priorytetowa wiadomość z biura Głównego Liktora. – Rathenau nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Od Liktora?! – Dieter zerwał się i zaczął wkładać szlafrok. – Jaki priorytet?

– Pierwszy.

– O cholera! Znowu?! – jęknął Dieter i ruszył ku drzwiom, ignorując fakt istnienia kapci.

Rathenau towarzyszył mu aż do pancernych drzwi pokoju łączności pilnowanego przez uzbrojonych strażników z Nowego Zurichu. Dieter był tak zaaferowany, że nawet nie odpowiedział na oddanie przez nich honorów, co było prawdziwą rzadkością.

Poprzednik obecnego szefa ochrony wszedłby do pokoju łączności, zachowując się tak, jakby miał do tego prawo, ale Rathenau nie miał najmniejszego zamiaru w czymkolwiek przypominać niesławnej pamięci Francois Foucheta, który okazane mu zaufanie poczytał za słabość. I zapłacił za to, o czym jego następca myślał ze sporą satysfakcją. On sam zdecydował, że będzie lojalny wobec Dietera, bo ten na to zasługuje. A rzadko się zdarzało mieć takiego szefa.

Dieter zamknął za sobą drzwi, nie myśląc nawet o szefie swej ochrony. Na panelu łączności migotała czerwona kontrolka, na której widok zrobiło mu się zimno. Ostatni raz ta kontrolka migiała trzy miesiące temu, gdy nadeszła wiadomość o secesji Gromady Kontravian.

Przyłożył oko do czytnika siatkówki, powstrzymując się przed mruganiem, i gdy po parunastu sekundach rozległo się bipnięcie oznaczające akceptację, mógł wreszcie zapoznać się z wiadomością. Była bowiem zakodowana i przeznaczona wyłącznie dla niego.

Przeczytał widniejące na ekranie słowa i zamarł.

Siedział tak długo, a gdy w końcu wstał, poruszał się jak stary człowiek. Wyłączył moduł łączności, kasując tym samym wiadomość, i podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, zobaczył pełną napięcia twarz Heinza.

– Szefie?

– Heinz... – powiedział Dieter i zamilkł.

– Co się stało, szefie? – spytał Rathenau znacznie ciszej i prawie łagodnie.

– Obudź pozostałych, Heinz. – Dieter wziął głęboki oddech, ale to nic nie pomogło. – Niech się zbiorą w sali konferencyjnej za... dwadzieścia minut. Powiedz im, że nie muszą się starannie ubierać.

– Rozumiem. Mogę się dowiedzieć dlaczego?

– Obawiam się, że na szczegóły też będziesz musiał poczekać. Na szóstą rano została zwołana nadzwyczajna sesja, a ja powinienem się jeszcze skontaktować z paroma osobami.

– Rozumiem.

Oskar Dieter ruszył powoli w stronę swego pokoju, żałując, że umysłu nie da się wyłączyć równie łatwo i skutecznie jak modułu łączności.

\* \* \*

Takiej ciszy nie było w Komnacie Światów od dziesięcioleci. Dieter rozejrzył się po zszokowanych delegatach i przemknęło mu przez głowę, że chyba nawet wieści o bitwie o VX-134 nie wywarły tak wstrząsającego wrażenia. Howard Anderson stoczył wówczas pierwszą walkę z obcą rasą inteligentną i wiadomości były jeszcze gorsze.

Spojrzał na Taliaferro i pożałował, że nie widział jego miny, gdy ten dostał informację o tym, co wyniknęło z jego podstępnych planów. W końcu Simon, było nie było, w największym stopniu przyczynił się do tej katastrofy.

Taliaferro usiadł w momencie, gdy rozległ się sygnał oznaczający rozpoczęcie sesji. Jego twarz nie wyrażała nic. Dzięki późnemu przybyciu uniknął lawiny pytań przed oficjalnym wystąpieniem.

– Panie i panowie – głos Davida Haleya był złamany. – Panie i panowie, sesja Zgromadzenia Legislacyjnego została otwarta...

Usiadł i odchrząknął. Po czym rozejrzył się nieco bezradnie.

– Jestem pewien, że wszyscy zostaliście powiadomieni, z jakiego powodu zwołano tę nadzwyczajną sesję, jednakże... jednakże na wszelki wypadek podam raz jeszcze najważniejsze fakty...

Ponownie umilkł i spojrzał na leżącą przed nim kartkę.

Dieter był pewien, że zrobił to odruchowo, gdyż informacje miał wyryte w pamięci, podobnie jak on sam.

– 12 lutego 2439 roku standardowego ziemskiego – zaczął powoli Haley – Siedemnasty Zespół Wydzielony Battle Fleet Federation Navy znalazł się w systemie Bigelow leżącym w Gromadzie Kontravian. Jego celem było stłumienie ruchów separatystycznych w nadziei... w nadziei, że rebelianci nie odważą się zaatakować takich sił i zrezygnują ze swych dążeń. Nadzieja ta okazała się płonna: władze i mieszkańcy systemu odmówili poddania się, toteż po długotrwałych, zakończonych fiaskiem negocjacjach admirał Forsythe zdecydował się na użycie siły.

Haley urwał kolejny raz, odetchnął głęboko i uspokoił się jak ktoś, kto najgorsze ma już za sobą. Kiedy zaczął ponownie mówić, jego głos był jasny i zimny.

– Siedemnasty Zespół Wydzielony już nie istnieje. Najprawdopodobniej, powtarzam: najprawdopodobniej, gdyż wiadomość nie jest całkiem jednoznaczna. Bunt wybuchł najpierw na okręcie flagowym, po czym błyskawicznie rozprzestrzenił się na pozostałe. Większość przeszła na stronę rebeliantów.

Zgromadzeni wiedzieli o tym, ale złe wiadomości wypowiedziane głośno i oficjalnie zawsze wywierają większy efekt niż te same złe wiadomości powtarzane w prywatnych rozmowach. I teraz też tak się stało. – Delegaci byli poruszeni. Ale nie Simon Taliaferro, którego Dieter uważnie obserwował.

– Musiało dojść do walki między buntownikami a wiernymi Federacji okrętami – podjął Haley – gdyż kurier z superdreadnoughta *Pentelikon*, który do tej pory dotarł jako jedyny, oprócz wiadomości o buncie miał też nagrany Kod Omega.

W sali zapanowała cisza absolutna – Kod Omega oznaczał bowiem ostatnią wiadomość z ginącego okrętu.

– Z tego, co udało się ustalić, wynika, że wszystkie jednostki wchodzące w skład Siedemnastego Zespołu Wydzielonego, poza zniszczonymi w trakcie tej walki naturalnie, przeszły na stronę rebeliantów lub zostały przez nich zdobyte. W chwili wystrzelenia kuriera istniało jeszcze: osiem monitorów, sześć superdreadnoughtów, siedem lotniskowców, jednaście krążowników liniowych, dwadzieścia jeden krążowników ciężkich i lekkich, czterdzieści jeden niszczycieli i niszczycieli eskortowych oraz wszystkie jednostki pomocnicze. Mówiąc krótko: straciliśmy cały zespół wydzielony.

Cisza wręcz dzwoniła w uszach.

Większość obecnych wpatrywała się w ekran, na którym widoczna była twarz Haleya, z przerażeniem i osłupieniem. Do myślenia zdolnych było niewiele, a właśnie myślący byli w tej chwili najpotrzebniejsi.

– Przewodniczący udziela głosu szanownemu delegatowi Galloway's World.

Dieter usiadł wygodniej i wbił wzrok w ekran, na którym ukazała się twarz Taliaferra. Simon był spięty, ale jeśli czuł się winny, doskonale to ukrywał. Przez długą chwilę rozglądał się po sali, po czym powiedział ze smutkiem:

– Panie i panowie, jest to bez wątpienia najtragiczniejsza wiadomość, jaką usłyszało w swych dziejach to Zgromadzenie. Nie dość bowiem, że zdrajcy nie zostali ukarani, to szaleństwo to przeniosło się na naszą własną flotę! Marynarka Federacji zawsze była najwierniejszą i najodważniejszą formacją w dziejach ludzkości, a mimo to dotknęła ją zdrada! Nie możemy pozwolić, by paraliżował nas szok i wstyd! W obliczu tych strasznych wieści naszym obowiązkiem jest działać, i to działać szybko. Bo zdrajcy uzyskali w ten sposób własną flotę wojenną, i to silną. Te okręty zostaną wykorzystane przeciwko nam i przeciwko rządowi Federacji, pamiętajcie o tym. Teraz zdrajcy mogą grozić użyciem siły! Co prawda nasza obrona jest silna i istnieje małe prawdopodobieństwo, by udało im się dotrzeć do którejś z Planet Wewnętrznych czy Planet Korporacji, ale taka opcja istnieje. Lojalni dowódcy z pewnością dopilnują, by zaraza nie rozprzestrzeniła się na inne formacje, ale trzeba być przygotowanym na to, że jakaś drobna część floty może dołączyć do zdrajców i spróbować nas zaatakować. Mówiłem to już wcześniej i powtarzam ponownie: naszym jedynym wyjściem jest okazanie zdecydowania i determinacji! Musimy zarządzić mobilizację całej Battle Fleet i wezwać pod broń wszystkich wiernych Federacji! Musimy zdławić zdradę i zlikwidować serce spisku! Musimy pokazać tym dzikusom, że to my jesteśmy ostoją cywilizowanej ludzkości! I z Bożą pomocą pokażemy! Pokonamy ich i nie spoczniemy, dopóki nie wytropimy każdego zdrajcy, który ośmielił się podnieść rękę na potęgę,

sprawiedliwość i chwałę Federacji Ziemskiej!

Jego słowa wywołały burzliwą owację. Dieter jedynie pokiwał ze smutkiem głową. Przypomniawszy sobie słowa o odcięciu tej podniesionej ręki, które ktoś kiedyś powiedział, tylko nie pamiętał kto i kiedy. Taliaferro był świetnym manipulatorem, żeby go nagła krew zalała – musiał mu to przyznać. Natomiast przemówienie to ukazało coś jeszcze: obnażyło podstawy jego egoistycznej polityki prowadzącej do zniszczenia. Tylko że dostrzegło to bardzo niewiele osób – tylko ci potrafiący słuchać i myśleć. Reszta po tej prostej manipulacji słownej i grze na uczuciach dosłownie jadła mu z ręki. Poczł pogardę i zaczął się poważnie zastanawiać, czy taką bandę bezmózgich prymitywów w ogóle warto próbować ratować...

Prawdę mówiąc, miał dość. Można walczyć, jeśli widzi się jakiś sens tej walki. Próbował i poniósł klęskę. Teraz Federacja będzie własnością takich jak Taliaferro, Waldeck czy Sydon. A raczej nie Federacja, ale jej resztki, które pozostaną po wojnie domowej. Złoży rezygnację i zostawi tych głupców w szponach tępoty i szaleństwa, tak jak na to zasługują...

Ktoś dotknął jego ramienia, toteż odwrócił głowę, przerywając snucie planów na najbliższą przyszłość. I zobaczył zatroskane i pełne wiary oczy Heinza von Rathenau. Nie ulegało wątpliwości, że jako jedyny z całej delegacji zrozumiał, co Dieter chce zrobić. I wyraz jego zielonych oczu spowodował, iż Oskar Dieter nie mógł nie zabrać głosu. Był to winien sobie, Heinzowi, Federacji, a zwłaszcza Fionnie MacTaggart.

– Szefie? – spytał cicho Rathenau. – Dobrze się pan czuje?

– Tak, Heinz. – Dieter uściśnął lekko jego dłoń opartą na swym ramieniu. – Już tak. Dziękuję ci.

Widząc zaskoczenie szefa ochrony, uśmiechnął się lekko – mógł tylko mieć nadzieję, że tamten nigdy nie zorientuje się, za co mu podziękował. To zresztą teraz nie było ważne. Ważna była batalia z Simonem. Na myśl o nim i o MacTaggart wróciła wściekłość. Ponoć kto mieczem wojuje, od miecza zginie; cóż, miał zamiar zaryzykować...

Nacisnął zdecydowanym ruchem klawisz i chwilę później przez szum rozmów wypełniających salę przebił się głos Haleya:

– Przewodniczący udziela głosu szanownemu delegatowi Nowego Zurichu.

Cisza zapadła naprawdę szybko – wszyscy zadawali sobie pytanie, jak można nadal sprzeciwiać się Taliaferrowi w sytuacji, gdy zaczęła się wojna o przetrwanie Federacji. Dieter wstał i powiódł spojrzeniem po zebranych, nie spiesząc się ani trochę, i w końcu odezwał się lodowato i z pogardą:

– Wy durnie! – Wszyscy podskoczyli, ale nim zdążyli dać ujście złości, Dieter pochylił się do kamery i mówił dalej: – Nie rozumiecie, co to oznacza? Jesteście wszyscy aż tak ślepi, że nie przyjmujecie faktów do wiadomości tylko dlatego, że nie zgadzają się z waszymi wygodnymi wyobrażeniami o sobie jako o ostatniej nadziei ludzkości? Nie zasługujecie na to, by przetrwać! Spójrzcie na datę, półgłówki! Siedemnasty Zespół Wydzielony zbuntował się pięć miesięcy temu! Kto z was wie, co się jeszcze wydarzyło od tamtego momentu?!

Jego słowa wstrząsnęły nimi i rozwiął złość, bo miał rację – nikt nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy przyzwyczaili się do tego, że wieści z Pogranicza docierały z opóźnieniem, i wykorzystywali to regularnie, ale nikt nie wziął pod uwagę, że w tym konkretnym przypadku zwłoka czasowa zadziałała na ich niekorzyść. Teraz, gdy im to uświadomił, zrozumieli konsekwencje i zaczęli się bać.

– Właśnie! – prychnął pogardliwie Dieter. – Wszystko, co mamy, to wiadomość z jednego kuriera, a co z pozostałymi? Gdzie je wystrzelono? Myśleliście, że inne formacje floty o niczym nie wiedzą? Dowiedziały się wcześniej niż my, bo były bliżej! A sześćdziesiąt procent załóg Marynarki Federacji pochodzi z Pogranicza! Sześćdziesiąt procent! Nikt z was nie potrafi zrozumieć, co to znaczy? To wam powiem głośno i wyraźnie: to nie my mamy przewagę liczebną w wojnie domowej, którą sami sprowokowaliście. Rebelianci ją mają!

To oświadczenie zburzyło ciszę, wyzwoliło bowiem strach. Przez ponad rok powtarzał im i tłumaczył rzeczy oczywiste i prawie wszyscy go ignorowali. Przecież to oni kontrolowali flotę i przemawiali z poczuciem, że stoi za nimi cała potęga zbrojna Federacji. A teraz nagle pojęli, że najgorszy koszmar stał się rzeczywistością, a ten, który bezskutecznie ich ostrzegał, za co odpłacali mu pogardą, miał rację.

Głos Dietera przebił się przez gwar:

– Tak jest! Dajcie Pograniczu nauczkę! Ignorując tak jak dotąd ich słuszne pretensje i zastrzeżenia! Nazywajcie ich dzikusami i barbarzyńcami, bo są uczciwsi od nas i wiedzą, co to honor! Zobaczcie, do czego doprowadziliście! Bóg mi świadkiem, że wam pomogłem i jestem współwinny. I gdy o tym pomyślę, niedobrze mi się robi!

– To co mamy robić? – ryknął ktoś na tyle głośno, że było go wyraźnie słychać.

– Robić? – prychnął pogardliwie Dieter. – Jak to, co mamy robić? Będziemy walczyć. Będziemy walczyć, by uratować to, co zdołamy, bo nie mamy wyboru. Bo alternatywą jest całkowity upadek Federacji. Ale zrozumcie wszyscy – lepiej, żeby to dotarło nawet do najgłępszego, nawet do Simona Taliaferri – skończyły się czasy pogardy dla Pogranicza! Raz na zawsze. Walczcie z nimi, ale nie lekceważcie ich i nie obrażajcie! I nade wszystko nie nazywajcie barbarzyńcami, bo jeżeli naprawdę nimi są, to nasz los jest przesądzony! A to dlatego, że mają Siedemnasty Zespół Wydzielony i na pewno inne jednostki. Nim wasze kuriery dotrą na Pogranicze, oni mogą już mieć do dyspozycji całą Flotę Graniczną. A być może również bazę Zephraim... Tak, bójcie się, bo jest się czego bać: archiwa i badania prowadzone w bazie Zephraim dotyczą wyłącznie unowocześnienia już istniejących i opracowania nowych systemów uzbrojenia. Pracujący tam naukowcy mogli już opracować broń, przy której wszystko, co znamy, przestanie się liczyć na polu walki. Broń, jakiej dotąd nie znano w galaktyce. A baza ta leży na Pograniczu, nie w Centrum! Jeśli ją opanują i postanowią udowodnić, że są, jak ich nazywacie, barbarzyńcami, użyją tych nowych broni do zemsty, nie do samoobrony. I w krótkim czasie zobaczycie ich tutaj, atakujących Planety Wewnętrzne, gdy już rozprawią się z Planetami Korporacji. I zobaczycie, jak zmieniają je w

wypalone radioaktywne pustynie. Więc radzę pozbyć się buty, bo jest co najmniej nie na miejscu. A kto wierzy w jakiegoś boga, niech się do niego modli, żebym się pomylił w tym, co powiedziałem.

I wyłączył mikrofon pogardliwym gestem.

W sali panowała cisza. Choć bał się i był przygnębiony otrzymanymi wieściami, cieszył się też, że w końcu zaczął spłacać swój dług.

– Przewodniczący udziela głosu szanownemu delegatowi Galloway's World – rozległ się głos Haleya.

Dieter tym razem się nie uśmiechnął – Taliaferro musiał zareagować. Słowami tutaj, czynem gdzie indziej. Oskar Dieter był świadom, że jeśli jego ochrona nie zachowa czujności, wkrótce będzie martwy.

Na ekranie pojawiła się twarz Taliaferra, na której arogancja mieszała się z desperacją, walcząc o pierwszeństwo. Dieterowi nagle przyszło do głowy, że Taliaferro także nie pomyślał o kwestii daty nagrania dostarczonego przez kuriera, a co za tym idzie, nie zdał sobie sprawy z konsekwencji. Był tak pewny siebie, że wszystkie uwagi o składzie osobowym Marynarki Federacji po prostu ignorował, bo nie mieściło mu się w głowie, że mógłby ponieść klęskę.

Co naturalnie nie oznaczało, że stracił nagle upór czy zdolność manipulowania innymi, dzięki którym wspiął się na szczyty władzy.

– Panie i panowie – zagaił uprzejmie. – Przyjaciele. Delegat Nowego Zurichu... delegat Nowego Zurichu może mieć słuszość. Być może straciliśmy już więcej okrętów i baz floty. Ale to nie zmienia niczego. Niczego! – Ostatnie słowo wykrzyczał i widać było, że szykuje się do kolejnego natarcia.

Dieter uśmiechnął się kwaśno – Taliaferro tak jak i on dawał upust wściekłości, czerpiąc z niej siłę.

– My nadal jesteśmy Federacją, a oni barbarzyńcami! Nawet gdyby zdobyli całą Flotę Graniczną i wszystkie przebywające na Pograniczu okręty Battle Fleet! Nawet gdyby opanowali Zephraim! A wiecie, dlaczego to niczego nie zmienia? Dlatego że nim tu dotrą, muszą przebić się przez wiele systemów, a w każdym znajdują się forty orbitalne. Muszą też uporać się z pozostałymi okrętami Battle Fleet oraz z rezerwą. A w rezerwie znajduje się pięćdziesiąt procent Battle Fleet! Są to w pełni sprawne, ale nie obsadzone załogami okręty. Jak sobie z nimi poradzą, jeśli skompletujemy wierne załogi? Jeśli zaś chodzi o bazę Zephraim, jej personel został starannie sprawdzony i dobrany pod względem lojalności. Powinien zdążyć zniszczyć to co najważniejsze, by nie wpadło w ręce buntowników. A nawet gdyby tak się nie stało, to też niewiele zmienia, rebelianci bowiem nie mają stoczni! Posiadają jedynie kilka stoczni remontowych i małe stocznie cywilne, więc gdzie, pytam, będą w stanie zbudować te nowe, cudowne okręty? Albo choć zwykłe, ale w liczbie wystarczającej, by nas pokonać? To my mamy stocznie tak wojskowe, jak i cywilne! To my mamy przemysł

zbrojeniowy!

Widać było, jak przerażenie zaczyna delegatom mijać. Taliaferro zaś grzmiał dalej:

– Niech przybywają, tym szybciej i łatwiej ich pokonamy. I dowiedziemy, że mieliśmy rację, zwąc ich barbarzyńcami! Zostali zmuszeni... Bzdura! To zaplanowany akt zdrady będący wynikiem długiego spiskowania! Nie zmusiliśmy ich do niczego, panie i panowie. Ale zmusimy. Zniszczymy ich i jeszcze za wszystko zapłacą. Nasze planety są bezpieczne, bo strzegą ich silne systemy stałych umocnień, nie tylko orbitalnych. Każdy warp jest broniony przez forty. Za to ich planety będą łatwym celem dla naszej w pełni zmobilizowanej floty. Pokażemy im prawdziwe oblicze wojny! Wypalimy zarazę ogniem, bo to jedyny w pełni zrozumiały dla nich sposób! Ogniem i żelazną determinacją!

Dieter pokiwał głową – wstrząsnął Simonem, ale widać było, a raczej słyhać, że ten już się pozbierał i przeszedł do kontrataku. Planety Korporacji na pewno staną za nim murem, a bez delegatów Pogranicza nawet całkowicie zjednoczone Planety Wewnętrzne nie posiadały wystarczającej liczby głosów, by go powstrzymać.

– A nawet jeśli ta wojna będzie długa, to co z tego? – Taliaferro rozkręcił się na dobre. – Już toczyliśmy długotrwałe wojny, nie pierwszyna nam. Mamy siłę i wolę, by pokonać zdrajców, to tylko kwestia zmobilizowania tych sił i tej woli. Przyjaciele, jako przewodniczący delegacji Galloway's World oddaję na usługi Federacji Ziemskiej cały potencjał produkcyjny archipelagu Jamieson będącego najpotężniejszym ośrodkiem koncentracji przemysłu w znanej galaktyce! Zobaczymy, jak to się spodoba rebeliantom!

Salą wstrząsnął prawdziwy ryk. Ryk zdesperowanego tłumu, który niespodziewanie zobaczył drogę ratunku.

Dieter nacisnął klawisz, chcąc zabrać głos, ale Taliaferro zignorował go podobnie jak prośby o spokój powtarzane przez Haleya. Panował nad tłumem i nie miał zamiaru oddać tego panowania; świadczył o tym dobitnie jego tryumfujący uśmiech. Właśnie uratował swój plan i swoją karierę i ani myślał zatrzymać się w pół drogi.

W tym momencie drzwi do Komnaty Światów otworzyły się z trzaskiem i wpadł przez nie Główny Lektor w towarzystwie sierżanta Straży Marszałkowskiej. Widok czerwonego płaszcza i pośpiechu, z jakim obaj panowie biegli do pulpitu marszałka ostudził zapal delegatów. Milkli stopniowo, najpierw ci siedzący najbliżej przejścia, a potem pozostali, aż w końcu w sali zapanowała pełna niepokoju i oczekiwania cisza.

Dieter nigdy się nie dowiedział, czy sprawił to przypadek, czy było to genialne posunięcie Davida Haleya – w każdym razie mikrofon na jego pulpicie cały czas pozostawał włączony. I dlatego wszyscy obecni usłyszeli wiadomość z Galloway's World, którą przekazał marszałkowi Główny Lektor, myśląc, że słyszy go tylko on.

– Właśnie nadeszła wiadomość z Galloway's World, panie marszałku! Centrum obrony systemowej i połowa fortów została zniszczona wraz z dwiema eskadrami niszczycieli! I archipelag też!



– Co „archipelag też”? – spytał ostro Haley.

– Został zniszczony! Stocznia, baza floty i połowa infrastruktury przestały istnieć! To był ostrzał rakietami z orbity... – Główny Lektor umilkł, dopiero w tym momencie uświadamiając sobie, że jego głos płynie ze wszystkich głośników.

Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi – wszyscy wpatrywali się w Simona Taliaferra, który zachwiał się błądy jak trup, po czym usiadł i toczył dokoła niewidzącym wzrokiem.

## Rozdział IX

# MASAKRA

Zaorane pole ciągnęło się wiele mil za traktorem Fiodora Kazina. Wkrótce rzuci w nie ziarno, potem wyrosnie zboże, ktoś upiecze z niego chleb, który wypełni brzuchy mieszkańców Centrum i innych ludzi, których stać na to, by spełniać swoje marzenia i zachcianki. Nie była to miła myśl, ale tak wyglądała rzeczywistość.

Fiodora nie stać było nie tylko na zachcianki, ale nawet na normalne życie bez długów. I to nie dlatego, że odbiorcy mu nie płacili. Tylko że nigdy nie płacili dość, biorąc pod uwagę ceny przewozu, jakie wymuszały na Pograniczu Korporacje. Od trzydziestu lat siał i zbierał dużo, i sprzedawał wszystko, co zebrał. I nadal był dłużnikiem firm przewozowych.

Jego dziadek zawsze twierdził, że stepy Nowej Rodiny są prawie tak piękne jak rosyjskie, zły jest tylko kolor nieba. On sam widział niebo w Rosji tylko na nagraniach i podejrzewał, że jakiś komputerowiec „poprawił” je według własnego uznania – przecież nie mogło być aż tak błękitne! Spojrzał na zbierające się chmury i wrócił do pracy. Miał nadzieję skończyć orkę przed burzą.

Myśl o burzy sprowadziła jego myśli na zawieruchę targającą Federacją. Nie wierzył tak do końca w wieści nadchodzące ze stolicy. Ci szaleńcy zachowywali się tak, jakby uważali, że żyją za czasów cara, a Federacją rządzi Rasputin! Nie podobała mu się ich buta – bo kimże byli, by nazywać się Kadetami? Jak wszyscy na Pograniczu nie kochał Korporacji, ale Korporacje nie były Federacją. Federacja zrodziła się z ognia Wielkiej Wschodniej Wojny i sięgała do gwiazd. I chroniła ludzi, których umieściła na planetach odległych o lata świetlne od Ziemi! Za tę Federację walczyli Howard Anderson i Iwan Antonow. Istniała ponad cztery stulecia i ostatnie sto lat błędów nie mogło przekreślić jej całej chwalebnej historii. Wszyscy obywatele Nowej Rodiny byli Rosjanami, więc wiedzieli niejedno o „okresach błędów i wypaczeń”.

A ci Kadeci po prostu poszaleli, no bo nawet zakładając, że jakimś cudem by im się udało, co zrobiliby później? Jakaś wymiana handlowa musiała istnieć, a żywności na Pograniczu nikt nie potrzebował, gdyż jego planety były głównie rolnicze. Skąd więc Nowa Rodina wzięłaby dobra przemysłowe, których wszyscy potrzebowali?

I tak Fiodor orał sobie, zastanawiając się, kiedy do narwańców dotrze, że nie mogą zwyciężyć. Może ich to kosztować trochę wyrzeczeń, ale był pewien, że w końcu Federacja przyjmie ich z powrotem. A on będzie miał wtedy zebrane plony.

Przerwał mu grzmot na wschodzie – burza zbliżała się szybciej, niż sądził, i nie miał szans, by skończyć tego dnia. Postanowił zaorać do końca pola i wrócić do domu, gdzie czekała Tasza.

\* \* \*

Piotr Tsuczewski rozejrzył się po współkonspiratorach. Poczł wreszcie, co to znaczy być autentycznym rebeliantem. Nigdy nie chciał nim zostać i wątpił, by chciał tego ktokolwiek z obecnych, ale władze zawsze tak nazywały przeciwników. Jak nie rebeliantami, to buntownikami, bo „powstańcy” brzmiało zbyt dumnie. Wiedział o tym od początku, podobnie jak miał świadomość, do czego może doprowadzić pierwsze publiczne wyrażenie niezadowolenia.

Doprowadziło go tu – do tej starej sali, w której zasiadali ludzie zwący się Nową Dumą, zdecydowani wycofać się z Federacji. Nie byli wolni od obaw i nie przyszło im to łatwo. W Federacji było coś prawie świętego. Ale w końcu rząd to tylko rząd i jego podstawowym zadaniem jest poprawianie, a nie pogarszanie losu obywateli. Celem zaś wybieranego zgromadzenia nie może być mordowanie własnych członków.

Nigdy nie spotkał Fionny MacTaggart, ale korespondował z nią długie lata i znał z nagrań wszystkie jej wystąpienia. Była inteligentna i zdecydowana, dzięki czemu idealnie nadawała się na przywódcę Pogranicza. Wiedział, że w przeszłości często zdarzało się, że ludzie o wielkich umysłach i osobowościach ginęli z rąk gorszych i głupszych od siebie, bo ci inaczej nie potrafili ich uciszyć. Zszokowało go, że jest tak nadal. I gdy to sobie uświadomił, zdał też sobie sprawę, że Federacja jest skończona, bo twór, którego podstawy gniją, nie ma prawa istnieć.

Największym problemem była łączność, gdyż wiadomości docierały z opóźnieniem i chaotycznie, a często były sprzeczne. System nie posiadał stacji przekaźnikowych, a od wybuchu rebelii w Gromadzie Kontravian kapsuły kurierskie stawały się coraz mniej godne zaufania. I to nie tylko dlatego, że wiele radiolatarni czy boi nawigacyjnych zostało wyłączonych czy zniszczonych, ale głównie dlatego, że większość kapsuł należała do Korporacji. Tych samych, które zmonopolizowały przewozy międzyplanetarne. Było oczywiste, że Korporacje zrobią wszystko, z sabotażem włącznie, by pozbawić rebeliantów dobrego systemu łączności, bo to utrudniało im zorganizowanie się.

Gdyby był na ich miejscu, uczyniłby to samo, więc ich nie potępiał. Natomiast miał z tego powodu problemy, i to duże. Odchrząknął, poczekał, aż umilkną ostatnie rozmowy, i zaczął mówić wolno i z namysłem:

– No więc mamy to, czego się spodziewaliśmy, towarzysze. Federacja ogłosiła stan

wojenny i zawiesiła obowiązywanie większości praw cywilnych. A my jesteśmy rebeliantami. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, co to oznacza. Trzeba się zastanowić, co dalej. Zaprotestowaliśmy i możemy na tym poprzestać. Jeśli zdecydujemy się tak postąpić, należy jak najszybciej wysłać do władz kilka kapsuł kurierskich z przeprosinami i deklaracją wierności. Jeżeli jednak postanowimy iść w ślady innych z Pogranicza, nie wiadomo, do czego to nas doprowadzi.

– Pietia, mówisz, że zdawałeś sobie sprawę, co to oznacza, tak przynajmniej rozumiałam. – Magda Pietrowna pogładziła przedwcześnie siwiejące włosy i uśmiechnęła się nieco złośliwie. – Uważasz, że tylko ty? Nie jesteśmy głupcami, Piotrze Piotrowiczu. To miło, że dajesz nam możliwość wyboru, ale powiedz nam, co ty byś zrobił, gdybyśmy wszyscy z płaczem zaczęli przeproszać babuszkę Ziemię?

Rozległ się cichy śmiech i Piotr też się uśmiechnął. Ale równocześnie potrząsnął głową.

– To nie jest sprawa, którą można załatwić żartem, Magdo – powiedział poważnie. – To sprawa życia i śmierci. Mamy po swojej stronie miasta i uniwersytety, ale rolnicy i hodowcy uważają, że oszaleliśmy. Jeżeli dojdzie do walki, palcem nie kiwną, a bez nich mamy nikłe szanse.

– Pieprzenie! – zadudnił głęboki bas jedyne w ich gronie hodowcy, Siemiona Jakowa.

Stary pogładził sumiastego węża. W jego błękitnych oczach lśnił taki sam blask jak w ślepiach megarisa – masywnego, przypominającego nieco owcę zwierzęcia hodowlanego, które zastąpiło klasyczne krowy.

– Federacji nie pokonamy, cudów nie ma! – oznajmił Siemion. – Ale nie z Federacją będziemy walczyli, tylko z dekownikami z Centrum, którzy już stracili połowę floty! Co najmniej połowę po mojemu, bo jakby się okazało, że więcej, też bym się nie dziwił.

– Racja, ale my nie mamy żadnej bazy floty i nie mieliśmy skąd zdobyć okrętów. To, że jedyny istniejący fort orbitalny nas poparł, zawdzięczamy jedynie szczęściu. Zdołaliśmy uzbroić trochę statków, ale to nie będzie żaden przeciwnik dla jakiegokolwiek eskadry, którą przyśle tu Federacja. Nie pokonamy nawet paru niszczycieli.

– A po co mają tu cokolwiek przysyłać? – spytała Tatiana Iliuszyna. – Nie jesteśmy bogatą planetą ani jedyną, z której otrzymują żywność.

– Ale leżymy w kluczowym strategicznie miejscu, jak się to określa w wojsku – odparła łagodnie Magda.

Pozostali słuchali jej z uwagą; Siemion był wprawdzie przez piętnaście lat Marine, ale spośród nich wszystkich jedynie Magda miała stopień oficerski. Była kapitanem Floty Granicznej, nim nie zrezygnowała ze służby.

– Mówiąc po ludzku, to wąskie gardło.

– Wąskie gardło? – powtórzyła Tatiana, nie próbując udawać, że rozumie.

– Chodzi o szczególnie cenny układ warpów – wyjaśniła Magda. – Są systemy, w których zbiegają się szlaki prowadzące do kilku czy kilkunastu innych. Większość Planet Korporacji

znajduje się w takich właśnie punktach. Dlatego właśnie są tak potężne. Każda jednostka lecąca do Centrum musi przelecieć przez któryś z ich systemów.

Tatiana kiwnęła głową – jeśli chodziło o kwestie ekonomiczne związane z Planetami Korporacji, na Pograniczu orientowały się w nich nawet dzieci ze starszych klas.

– To samo dotyczy ich wojskowego znaczenia – dodała Magda. – Jeżeli dołączymy do rebelii, zablokujemy dostęp do całego sektora Pogranicza. Federacja będzie musiała zdobyć ten system, nim zaatakuje inne. Natomiast jeżeli pozostaniemy lojalni, będzie mogła z naszego systemu prowadzić natarcia w kilku różnych kierunkach. Jesteśmy więc ważni dla obu stron. Rozumiesz?

– Rozumiem... to znaczy, że się tu zjawiają tak czy siak? – spytała chłodno Tatiana.

– I to szybko – dodał Piotr, wskazując na leżącą przed nim kartkę. – Nie wysłaliby tego, gdyby nie mieli zamiaru i możliwości poparcia słownej deklaracji siłą. Jest napisana w bardzo ostrym tonie; gdyby byli słabsi, sililiby się na uprzejmość. A występują z pozycji siły, więc muszą być pewni swego.

– Też tak sędzę – zgodził się Siemion. – A i tak mówię: pieprzyć ich! Niech przylecą: tu żyje dwadzieścia milionów ludzi. Żeby utrzymać spokój, potrzebne będzie z pół Korpusu!

– Tylko że po naszej stronie jest nie więcej niż osiem milionów – przypomniał mu Piotr.

– To bez znaczenia – przerwała mu Magda. – Korpus cały czas skacze po polach i lasach, ale to nie znaczy, że wszyscy tak muszą. Floty nie obchodzą planety, tylko warpy i przestrzeń systemowa między nimi. Jeżeli nie będziemy w stanie zagrozić im w przestrzeni, będzie dla nich bez znaczenia, kto włada planetą.

– Będą potrzebowali miejsca na bazę.

– Będą – zgodziła się – ale to też nie problem: wystarczy jeden krążownik na orbicie po zniszczeniu *Skywatch*. Odpali kilka rakiet w Nowy Piotrograd albo Nowy Smoleńsk i będzie po nas. Albo prościej: zagrozi, że odpali, a my się poddamy, by uniknąć masakry ludności cywilnej. I co ty na to, stary kozaku?

– Cóż...

– Właśnie tak sobie myślałam – przyznała Magda z uśmiechem.

– To co, mówisz, że mamy się poddać? – spytał z niedowierzaniem Jakow.

– Powiedziałam coś takiego? Wysłaliśmy już kapsuły kurierskie i reszta Pogranicza wie, co tu się dzieje. Chodzi mi tylko o to, żebyśmy zdali sobie sprawę z możliwości, jakie mamy, i podjęli decyzję na spokojnie, a nie dopiero gdy otrzymamy ultimatum. Nie wierzę, by przysłany tu dowódca Marynarki Federacji ostrzelał miasto: stałoby to w rażącej sprzeczności z wszystkim, czego nas uczono. Ale mogę się mylić. Lepiej zastanowić się, jak go przed tym powstrzymać, jeśli się okaże, że to ślepo słuchający poleceń cymbał albo sadysta. A i tacy, i tacy się zdarzają, choć nieczęsto.

– Jak rozumiem, proponujesz, żebyśmy się z niczego nie wycofywali, a jeśli dojdzie do walki, zrobili co w naszej mocy, ale tylko w przestrzeni – upewnił się Piotr. – Kiedy zniszczą

fort i znajdują się na orbicie, mamy się poddać.

– Idealnie to ująłeś – odparła poważnie. – Nie podoba mi się taki finał tak samo jak wam, ale nie widzę innej możliwości.

– A co się z nami stanie po kapitulacji? – spytała Tatiana. – Nie chodzi mi o wszystkich, tylko o nas, obecnych w tym pokoju!

– Trudno powiedzieć. – Magda wzruszyła ramionami. – Nigdy nie było podobnego wypadku, a nie tylko my zdecydowaliśmy się odłączyć od Federacji. Sądzę, że rząd powinien przyjąć łagodną politykę wobec takich jak my, którzy się poddadzą. Naturalnie zrobią to tylko wówczas, jeśli będą chcieli, by kiedyś ta rana się zabiłiła i Federacja przetrwała. A na to nie możemy liczyć.

– Mogą nas zabić? – spytała słabo Tatiana.

– Mogą – zgodziła się spokojnie Magda. – Ale nawet w stanie wojennym kara śmierci musi zostać zatwierdzona przez władze cywilne. Wydaje mi się, że to mało prawdopodobne.

– Proponuję głosowanie – powiedział niespodziewanie Piotr. – Kto jest za natychmiastową kapitulacją i powrotem do Federacji?

Nikt się nie zgłosił, choć kilka osób spojrzało po sobie niepewnie.

– Kto jest za walką do chwili pojawienia się okrętów Federacji i kapitulacją przed bombardowaniem? – spytał Piotr.

Tym razem odpowiedzią był chór przytaknień.

– W takim razie tak właśnie postąpimy – ogłosił.

\* \* \*

Fiodor Kazin patrzył na mokre pole. Orkę będzie mógł zacząć ponownie najwcześniej za dwa dni. Cóż, czasem i zła pogoda miała swoje zalety... jak na przykład siedzenie w domu z żoną zamiast podskakiwania na starym traktorze. Patrzyłby spokojnie w przyszłość, gdyby nie ci narwańcy z Nowego Piotrogradu. Może gdyby ktoś rozsądny z nimi porozmawiał...

Myśl była nagła, ale bynajmniej nie głupia. Zmarszczył brwi i spojrzał na żonę. Może rzeczywiście powinien z nimi porozmawiać, zamiast kłać ich głupotę. Nie wiedział, czy zdoła im przemówić do rozumu, ale mogli po prostu nie mieć pojęcia, co sądzą inni... Choć to było mało prawdopodobne, bo należał do nich i stary Siemion, i córka Andrieja Pietrowa. Oboje byli dobrymi ludźmi – może choć z nimi uda mu się dojść do ładu...

Z drugiej strony był świadom, że Tasza się wścieknie, słysząc, że ma zostać z chłopcami w porze siewów, bo jemu zachciało się jechać do stolicy. No ale faktem też było, że jeśli ktoś nie uspokoi szaleńców, to przyjdą żniwa, a nie będzie komu sprzedać zbiorów... Nabił starannie fajkę tytoniem importowanym z Chanatu – jedynym luksusem, na jaki sobie pozwalał – i równie starannie ją zapalił.

Otulony ostrym, wonnym dymem coraz bardziej skłaniał się ku przekonaniu, że pomysł wyjazdu do stolicy jest sensowny... tylko wymaga przemyślenia pewnych detali...

\* \* \*

Admirał Jason Waldeck z chartiphońskich Waldecków patrzył na podkomendnych tak zimnym i beznamiętnym wzrokiem, że zaczęli się wiercić niespokojnie.

– Nie chcę słyszeć jednego słowa więcej na temat biednych, nie rozumianych ofiar z Pogranicza! – warknął w końcu. – To buntownicy i zdrajcy! A to ścierwo Skjorning powinien zostać powieszony, może wtedy ukreśliłoby się też łeb całej rewolcie!

Obecni oficerowie wykazali dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy i milczeli. Admirałowi Waldeckowi nigdy nie należało się sprzeciwiać, ale teraz stało się to wręcz niebezpieczne. Wieści o buncie 17. Zespołu Wydzielonego nadal dopiero docierały do rozmaitych baz i związków taktycznych, ale dla wszystkich oficerów było już jasne, że umiarkowane podejście do secesji Gromady Kontravian nie jest mile widziane, a w niektórych przypadkach może zostać przez przełożonych poczytane za zdradę. Głównie przez tych przerażonych lub rozwścieżonych. Admirał Waldeck należał do tych drugich.

– I jeszcze jedno: gówno mnie obchodzi, dlaczego zrobili to, co zrobili – dodał Waldeck. – Musimy ich powstrzymać, a flota nie ma po buntach zbyt wielu okrętów z godnymi zaufania załogami. Dotyczy to zwłaszcza okrętów liniowych i lotniskowców. Straciliśmy tylu pilotów, że większość operacji odbywać się będzie bez osłony myśliwskiej! Mówiąc krótko, zaprowadzenie porządku w okolicy należy do nas i wyłącznie do nas. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak jest, sir – rozległ się niezgrany pomruk.

– To dobrze. Przechodząc do rzeczy: nie spodziewam się, żeby ci hreczkosieje stawili poważny opór, ale jeśli spróbują, chcę z nich zrobić przykład dla innych.

– Przykład, sir? – spytał ostrożnie jeden z oficerów.

– Przykład, kapitanie Sherman. Jeżeli zechcą walczyć, dajcie im okazję: żadnych wezwań do poddania się, a ich kapitulację przyjmijcie dopiero wtedy, gdy poniosą spore straty.

– Dlaczego, sir?

– Bo zdrajcy muszą się na własnej skórze przekonać, czym grozi zdrada! – warknął Waldeck. – Zgromadzenie w końcu przestało srać po nogach ze strachu i ogłosiło stan wyjątkowy. A to oznacza, że w tym sektorze moje słowo jest prawem. Zamierzam nauczyć tę bandę gównojadów, czym jest posłuszeństwo. Jasne, panowie?

Było widać, że choć niewielu podoba się to, co usłyszeli, przyjęli jego decyzję do wiadomości.

– No dobrze. W takim razie, komandorze Hunter, tu jest pański cel – Waldeck wskazał jeden z systemów widocznych na mapie wyświetlonej na ekranie. – Nowa Rodina.

\* \* \*

– Wiadomość potwierdzona, pani komodor: sygnatury napędów okrętów wojennych.

– Rozumiem. – Magda Pietrowna skinęła głową, zachowując wszelkie pozory spokoju.

Mieli nadzieję, że najpierw zjawią się okręty z Kontravian albo innego systemu Pogranicza, ale pierwszy meldunek o nowych jednostkach w systemie dotarł z asteroidy A-4. A załoga znajdującej się tam stacji górniczej miała za zadanie obserwować warp prowadzący do systemu Redwing. Redwing zaś stanowił część Linii, czyli pasa ufortyfikowanych systemów granicznych, za którymi rozciągał się już Chanat Oriona. Wszystkie te systemy pozostały wierne Zgromadzeniu. Teraz pozostało jedynie czekać. Wkrótce dowiedzą się, co też wysłano przeciwko nim...

Rozejrzała się po zatłoczonym mostku i skrzywiła w duchu. Rząd Tymczasowy planety uzbroił co mógł ze statków wewnątrzsystemowych, ale ta zbieranina miała szanse przeciwstawić się jedynie naprawdę lekkim jednostkom. Udało im się przekonać dowódców dwóch zbudowanych lekkich krążowników, które przelatywały przez system, do pozostania w nim i bronięcia go z uwagi na strategiczne położenie – i to było wszystko, nie licząc *Skywatch*.

Jeżeli bunt we flocie nie był naprawdę powszechny, już przegrali. Wystarczyłby pojedynczy lotniskowiec, żeby z jej okrętów zostało wspomnienie. Nie mówiąc już o paru krążownikach liniowych czy czymkolwiek większym. A nawet nie wiedziała, jakie okręty się zbliżają, gdyż jedynie fort miał szerokopasmowe sensory dalekiego zasięgu.

– Proszę spytać Astro 4 o dokładne siły wykrytych napędów – powiedziała nagle.

– Przepraszam, ma'am, ale ci górnicy nawet nie mają sprzętu, który byłby w stanie to określić – zaprotestował dowódca jej flagowego krążownika. – Lepiej byłoby wysłać *Jintsu* i *Atlantę* na zwiad.

– Doceniam pańskiego ducha bojowego, kapitanie, ale nie możemy ryzykować wysłania na rozpoznanie jedyńskich dwóch krążowników, jakie mamy. A jeśli weźmiemy ze sobą resztę, nie będziemy w stanie uciec, jeśli okaże się to konieczne.

– Rozumiem, ma'am. – Porucznik Howard zarumienił się, rozumiejąc, że właśnie w uprzejmy i niedwuznaczny sposób powiedziano mu, by pilnował swego nosa.

– Astro 4 uważa, że wszystkie źródła napędów mają moc dwanaście lub mniej, ma'am – zameldował oficer łącznościowy, nie kryjąc niedowierzania.

– Rozumiem. Czy odebrano jakąś wiadomość od nadlatujących?

– Nie, ma'am.

To nie wróżyło niczego dobrego. Brak żądań kapitulacji mógł świadczyć albo o tym, że nie zdawali sobie sprawy, że zostali zauważeni, co było mało prawdopodobne, gdyż namierzono ich cywilnym sprzętem, albo że doszli do wniosku, że obrońcy i tak będą walczyć.

Magda sama nie wiedziała, czy ma się wdać w walkę, czy nie – jeśli moc napędów została dobrze odczytana, zbliżały się do nich okręty nie większe niż krążowniki.

– Mamy sygnał z Astro 4, ma'am – odezwał się oficer łącznościowy. – Sześć źródeł



napędu: trzy o mocy między osiem a dwanaście i trzy o mocy sześć lub mniej. Mówią, że to pewny odczyt.

Moc sześć oznaczała niszczyciel, moc dwanaście mogła oznaczać lekki lotniskowiec, ale wątpiła w to – przytłaczająca większość pilotów pochodziła z Pogranicza. Czyli ciężkie krążowniki i dwa lekkie... standardowy skład grupy wydzielonej. Gdyby jeden był klasy *Goeben*...

– Proszę spytać Astro 4, czy...

– Właśnie przestali nadawać w połowie zdania, ma'am – przerwał jej cicho oficer łącznościowy.

Na mostku zapadła cisza.

Magda zamknęła oczy i myślała gorączkowo. Brak wezwania do poddania się, zniszczenie cywilnej stacji górniczej bez ostrzeżenia... To wyglądało zupełnie jak rajd Chanatu, nie jak akcja Marynarki Federacji. Ale równocześnie przestała mieć dylemat – tamci pierwsi otworzyli ogień i pierwsi zabili. Pozostało jej tylko ryzykować.

Sytuacja nie wyglądała różowo – nie dość, że miała słabsze okręty to na dodatek napastnicy dysponowali zgraną siecią taktyczną pozwalającą im operować w sposób skoordynowany. Jej jednostki natomiast musiały walczyć indywidualnie. Z drugiej strony, miała czternastu uzbrojonych cywilów, a dwa krążowniki były sprzęgnięte siecią z fortem, jak długo znajdowały się w zasięgu łączności bezpośredniej, czyli natychmiastowej. No a fort był nieporównanie lepiej uzbrojony niż dowolne trzy krążowniki. Zwłaszcza jeśli jeden z nich należał do klasy *Goeben*, czyli do tak zwanych krążowników dowodzenia, na których zdemontowano część uzbrojenia, by pomieścić komputery i systemy łączności potrzebne do koordynacji sieci taktycznej. Ale jeśli był to taki właśnie krążownik, dysponował też stosownymi środkami do prowadzenia wojny radioelektronicznej i był w stanie zagłuszyć sieć jej okrętów z małej odległości.

Zakładając, że dobrze odgadła skład sił przeciwnika, pozostawało pytanie, jaką taktykę obrać. Planeta znajdzie się w zasięgu ich dział za jedenaście godzin... Miała dwie możliwości: poczekać na nich w jej pobliżu lub wylecieć na spotkanie. Jeżeli zostanie, straci większość możliwości manewrowych, jeśli polecą, straci wsparcie *Skywatch*.

Odetchnęła głęboko i poleciała:

– Kapitanie Howard, proszę przekazać na wszystkie jednostki, by utworzyły formację Baker. Poczekamy tu na nich.

– Aye, aye, ma'am – głos Howarda nie był specjalnie entuzjastyczny, czemu trudno się było dziwić: dowódcy lekkich krążowników stawiali na szybkość i zwrotność, nienawidzili więc starć pozycyjnych.

– Jeżeli się nie mylę – dodała wolno Magda – jest wśród nich krążownik klasy *Goeben*. Chcę, by na nim skoncentrowano maksymalny ogień od momentu, gdy tylko uda się nam go zidentyfikować i znajdzie się w zasięgu, naturalnie. Jeżeli zdołamy zniszczyć ich sieć

taktyczną i jednocześnie uniemożliwić im zniszczenie naszej, mamy duże szanse na zwycięstwo. Ich jednostki są lepsze, ale nas jest więcej. Natomiast jeśli nam się to nie uda...

Wzruszyła wymownie ramionami.

– Rozumiem, ma'am – w głosie Howarda było znacznie więcej entuzjazmu, gdy zrozumiał jej plan.

Żałowała, że nie ma zgranego zespołu, ale nie zamieniłaby tych ludzi na żadnych innych – mogli być buntownikami i zdrajcami, ale walczyli w obronie obcych sobie cywilów zgodnie z najlepszymi zasadami Federation Navy. Ryzykowali życie dla idei, która była uniwersalna. Być może ich oddanie i wiara zrekompensują braki w zgraniu i doświadczeniu.

\* \* \*

– *Skywatch* ma ich na sensorach, ma'am!

Magda drgnęła, słysząc radosny meldunek, gdyż korzystając z ciszy i spokoju, przysnęła sobie, sama zresztą nie wiedząc jak i kiedy.

– Identyfikacja celów, ma'am. Okręt flagowy: ciężki krążownik *Invincible* klasy *Goeben*, lekki krążownik *Ajax* i lekki krążownik *Sendai*.

Magda odetchnęła z ulgą: mieli realną szansę, choć przy ciężkich stratach.

– Kapitanie Howard, proszę sprawdzić sieć – poleciła spokojnie. – Jeżeli się wkrótce nie odezwą, rozpoczniemy operację „Borodino”.

– Aye, aye, ma'am!

\* \* \*

Niespodziewanie czekanie dobiegło końca i czas zaczął pędzić. Magda przyglądała się ekranowi taktycznemu, na którym odległość dzieląca obie formacje zmniejszała się wolno, ale stale, i zastanawiała się nieco abstrakcyjnie, czy usłyszy wezwanie do poddania się.

Ciszę przerwał głos oficera ogniowego:

– Nieprzyjaciel wystrzelił rakiety, ma'am! Uśmiechnęła się leciutko – a więc nadal nie chcieli negocjować.

– Co obrali za cel? – spytała.

– *Skywatch*, ma'am.

– Doskonale. Skoncentrować ogień na *Invincible*.

– Aye, aye, ma'am.

– Ognia!

*Jintsu* drgnął nagle, gdy odpaliły wszystkie wyrzutnie zewnętrzne, a na ekranie taktycznym zrobiło się gęsto od rakiet, gdy równocześnie odpaliły je z zewnętrznych wyrzutni oba krążowniki i fort orbitalny. Wszystkie jako cel miały zaprogramowany jeden ciężki krążownik. Magda uśmiechnęła się zimno, ukazując zęby. Nawet w pełni sprawna sieć taktyczna będzie miała kłopot z taką liczbą rakiet. A poza tym wątpiła, by dowódca

napastników wiedział, że fort na krótko przed rewoltą dostał nowe rakiety wyposażone w głowice z antymaterią. Nawet jeśli wiedział, to raczej nie widział ich w akcji. Jeszcze.

Nadlatujących rakiet też jednak było dużo i wszystkie kierowały się ku fortowi. Obrony przeciwrakietowe obu krążowników i fortu były zintegrowane, ale fort stanowił nieruchomy duży cel... Na spotkanie rakiet pomknęły antyrakiety, a paręnaście sekund później odezwały się sprzężone działka laserowe i przestrzeń zagotowała się od eksplozji.

– *Invincible* trafiony! – krzyknął oficer ogniowy. – Trzy razy... pięć razy! Traci powietrze!

Nie tylko w *Invincible* uderzyły rakiety – Magda przygryzła wargę, obserwując pulsowanie osłon siłowych fortu, gdy kolejne prześlizgiwały się przez ogień antyrakiet i detonowały na nich. Ciągłe jednak wytrzymały i fort nie został uszkodzony.

– *Skywatch* melduje osiem trafień głowicami nuklearnymi. Stracili większość osłon, ale nie ma uszkodzeń, ma'am!

– Doskonale! Kapitanie Howard, proszę przekazać na *Atlantę*, że lecimy na zbliżenie z *Invincible*. Reszta ma ostrzeliwać inne cele według własnego uznania – poleciała.

– Aye, aye, ma'am!

Rebelianci ruszyli na spotkanie napastników. Krążownikom mogły dotrzymać kroku tylko trzy największe frachtowce, ale wszystkie jednostki gnały całą naprzód i teraz o jakiegokolwiek koordynacji nawet mowy być nie mogło.

\* \* \*

Wymieniając salwy rakietowe, obie formacje dotarły w skuteczny ogień dział, a załogi okrętów Federacji były coraz bardziej wstrząśnięte odwagą buntowników. Powolne jednostki cywilne stanowiły łatwe cele, ale frachtowce były też wielkie. Przyjmowały trafienia, które zniszczyłyby okręty wojenne, i leciały dalej, a gdy dotarły wreszcie na odległość, przy której ich lżejsze uzbrojenie artyleryjskie było skuteczne, zrobiły z niego użytek z entuzjazmem, nadrabiając brak koordynacji lawiną ognia.

Komandor Hunter zrozumiał, że admirał Waldeck popełnił błąd, zakładając, że spotkają wyłącznie uzbrojone statki obsadzone przez niedoświadczonych ludzi. Miał do czynienia z co najmniej dwoma okrętami wojennymi z regularnymi załogami, a pozostałe musiały mieć załogi złożone z rezerwistów, by tak walczyć. Ignorując rozkazy Waldecka, polecił przerwać walkę i utrzymywać odległość dogodną do prowadzenia pojedynku rakietowego, co pozwoliłoby wykorzystać przewagę skoordynowanego ognia.

Nie było to jednak wcale łatwe do wykonania, bo kapitanowie rebelianckich krążowników pomocniczych, jak je dumnie nazywano, starannie wykonywali rozkazy Magdy wbijane im przez nią do głów na każdej odprawie. Nie próbowali unicestwić wrogich okrętów, a koncentrowali się na ostrzeliwaniu każdego z nich tak długo, by zniszczyć większość osłon siłowych i połączenie z siecią taktyczną. A potem lecieli dalej i skupiali się

na następnym przeciwniku.

Komodor Hunter zaklął, widząc, jak pierwszy okręt wypada z sieci, a zaraz potem drugi. Pozbawione koordynacji, działając w pojedynkę przeciwko liczniejszemu wrogowi, były skazane na zagładę. A on nie mógł im pomóc, bo oba lekkie krążowniki obrały za cel jego okręt flagowy, ignorując ostrzał pozostałych jednostek. Oba zostały już parokrotnie trafione i ciągnęły się za nimi warkocze skryształowanego powietrza, ale nie zmieniały kursu. Natomiast ten, który oberwał w napęd, po chwilowym wahnięciu powrócił na kurs i nadal się zbliżał. *Invincible* próbował wykonać zwrot i uciec, ale jego uszkodzony napęd nie wytrzymał obciążenia i przestał działać.

Hunter spojrział na ekran taktyczny i z trudem przełknął ślinę: *Sendai* właśnie eksplodował, przelamując się na dwie części, a rebelianckie krążowniki były o pół minuty świetlnej...

– Opuścić okręt! – rozkazał.

Ale spóźnił się – promień działa laserowego lekkiego krążownika *Jintsu* trafił w pomost flagowy, który przestał istnieć wraz z całą obsadą i nim samym.

Bitwa zmieniła się w szereg zaciętych, ale zupełnie nieskoordynowanych starć. *Atlanta* stała się miniaturowym słońcem, a kilkadziesiąt sekund później to samo spotkało *Ajasa*. W przestrzeni dryfowało sześć krążowników pomocniczych podziurawionych jak sita, ale towarzystwa dotrzymywał im będący w takim samym stanie niszczyciel. W forcie ziało kilka solidnych dziur, z których wyciekały już resztki powietrza, ale jego wyrzutnie raketowe nadal strzelały do dwóch ocalałych niszczycieli, uciekających z pola walki i zostawiających za sobą warkocze skryształowanego powietrza oraz rozmaitych szczątków. I wcale nie uciekały szybko, ale nie dlatego, że nie chciały.

– Kapitanie Howard, proszę przerwać pościg i przekazać ten rozkaz na wszystkie jednostki – powiedziała Magda, czując dziwne zmęczenie.

Howard spojrział na nią zaskoczony:

– *Jintsu* oberwał solidnie, ale napęd i połowa stanowisk artyleryjskich pozostały sprawne.

– Jeśli będziemy mieli pecha, to ich dogonimy – wyjaśniła, widząc jego minę. – Ale tylko my, bo nikt inny nie zdoła.

– Rozumiem, ma'am.

– To dobrze. I proszę przesłać wiadomość na planetę. Proszę powiedzieć im, że wygraliśmy... jak sądzę... – dodała.

Ponad połowa jej okrętów została zniszczona lub tak uszkodzona, że trzeba będzie je zlikwidować, ale ocalały tylko dwa okręty napastników, i to te uciekające właśnie. Więc chyba to było zwycięstwo...

\* \* \*

– Chce mi pan powiedzieć, że parę uzbrojonych w byle co frachtowców zniszczyło mi

grupę wydzieloną?! – spytał z lodowatą furią w głosie admirał Waldeck.

Blady jak śmierć na chorągwi komandor porucznik wyprężony przed jego biurkiem spojrzał mu w oczy z nienawiścią, ale odparł spokojnym głosem:

– Nie, sir. Mieliśmy przeciwko sobie także dwa krążowniki i fort klasy trzy wyposażony w głowice z antimaterią, sir.

Waldecka aż zatchnęło z wściekłości, ale zdołał jakimś cudem się opanować. Zajął mu to wybitnie dużo czasu, ale zdołał.

– W porządku, komandorze – odrzekł już tylko zimno. – Zrozumiałem, co chciał mi pan powiedzieć. Ale nie zmienia to faktu, że straciliśmy praktycznie wszystkie wysłane okręty. Wątpię, czy *Cougar* w ogóle zostanie naprawiony, a pański niszczyciel spędzi w stoczni długie miesiące.

– Zgadza się, sir.

– A to my mieliśmy dać im nauczkę!

– Zgadza się, sir.

– No cóż, więc damy im ją! – warknął Waldeck i wcisnął kod pomostu flagowego na klawiaturze interkomu. – Kapitan M'tana? Za godzinę wyruszamy na Nową Rodinę. Proszę przekazać ten rozkaz na wszystkie okręty.

– Aye, aye, sir!

– A pan, komandorze, poleci z nami – dodał Waldeck, spoglądając na wyprężonego przed biurkiem oficera. – Żeby zobaczyć, co trzy krążowniki liniowe zrobią z pańskimi bojowymi rebeliantami!

\* \* \*

– A więc, Piotrze Piotrowiczu, to by było na tyle – powiedziała Magda, unosząc w toaście szklankę z wódką. – Po wszystkich naprawach, jakie mogliśmy wykonać, Flota Nowej Rodiny składa się z jednego poważnie uszkodzonego lekkiego krążownika, jednego uszkodzonego fortu orbitalnego i czterech uszkodzonych krążowników pomocniczych. Przy dużym szczęściu zdołamy odeprzeć atak Młodych Pionierów na wycieczce. Jeśli zrobią tu sobie zlot gwiazdzisty, to już nie byłabym taka pewna.

– Rozumiem. – Twarz Tsuczewskiego była ściągnięta i zmęczona.

Przytłaczały go poniesione straty – przed walką jedynie Magda i Siemion mieli realne wyobrażenie o tym, jakie one mogą być i jak wygląda starcie w próżni.

– Jakie są według ciebie szanse, że pierwsi dotrą tu powstańcy? – spytał.

– Nikłe – odparła pośpiesznie, napełniając ostrożnie opróżnioną przed chwilą szklankę. – Zadek został zaskoczony przez powstanie, ale nadal ma nienaruszoną strukturę dowodzenia i lepszą łączność. A co mają powstańcy? Kilkanaście częściowo zorganizowanych w jedną strukturę planet dysponujących kurierami jako jedyną formą łączności. Trochę potrwa, zanim zdołamy zgrać się na tyle, by mówić o spójnym dowodzeniu i wysyłaniu związków

taktycznych wtedy, gdy są potrzebne, i tam, gdzie są potrzebne.

– Zadek... ładne określenie Centrum; zapomniałem, że jest w użyciu – przyznał z uśmiechem Piotr, po czym spoważniał i spytał: – Czyli wszyscy ci ludzie zginęli niepotrzebnie?

– Niekoniecznie. Nie da się żyć, nieustannie wąpiąc, czy dobrze się postąpiło, i poddając się rosyjskiej melancholii. Człowiek zapisałby się na śmierć w rekordowo krótkim czasie... Wiemy, co by się stało, gdybyśmy nie walczyli. Ale nie sądzę, byśmy zdołali zgromadzić jakies sensowne siły, nim okręty Federacji zjawią się tu ponownie. A tym razem przybędzie naprawdę silna grupa wydzielona, możesz mi wierzyć. Zrobiliśmy, co byliśmy w stanie, Piotrze Piotrowiczu. Może byłoby inaczej, gdyby dali nam jakąś okazję do poddania się... może byśmy z niej skorzystali... ale oni zaczęli od strzelania.

I wzruszyła wymownie ramionami.

– Wiem. – Obrócił się wraz z fotelem do okna. Na zewnątrz był słoneczny, wiosenny ranek. – Cóż, jeśli przyślą tutaj duże siły, będziemy musieli skapitulować bez walki. Prawda?

– Prawda – westchnęła. – To dobrzy ludzie i szkoda byłoby, żeby ginęli w bezsensownym geście protestu.

– Też tak sądzę. Dopilnujesz kwestii łączności?

– Już to zrobiłam. – Na jej twarzy pojawił się zmęczony uśmiech. – Przecież jestem dowódcą naszej wspaniałej floty, no nie?

– Cicho! – Uśmiechnął się. – Tylko mi tu nie narzekaj”. Napij się wódki i rozchmurz: na pewno będzie gorzej!

\* \* \*

– Co?! Po diabła cię niesie do stolicy?! – Natasza Kazina ujęła się pod boki i spojrzała ze złością na męża. – Myślisz, że kim jesteś? Leniem?! Rząd ci się zachciało obalać czy jak?! Do reszty ci słońce zaszkodziło przy orce, ot co!

– Wiesz, dlaczego muszę tam lecieć. Ja, Grigorij i Władek Kosygin. Musimy mieć pewność, że ci ludzie rozumieją, co wyprawiają. I jak się to na nas odbije.

– Tak? – spytała złośliwie. – I uważasz, że jak im nie powiesz, to nie zrozumieją, bo to durnie i półgłówki co do jednego, tak? Przecież oni już strzelali do okrętów Federacji! Zanim się obejrzymy, flota w odwecie zbombarduje miasta. A w samym środku największego będziesz ty, rżnąc bohatera!

– Cichaj, kobieto! Zgadzam się z tobą, że zbombardują, ale może nie wszyscy w rządzie to idioci? Tam jest paru naszych, ze wsi. Właśnie z nimi chcę się zobaczyć i spróbować im wytłumaczyć, że źle robią.

– Już to widzę! Gadał raz chłop do obrazu, a obraz do niego ani razu!

– Natasza. Lecę i basta! W Federacji są problemy, pewnie że są, ale to nie jest właściwy sposób na ich rozwiązanie. Jeśli nie spróbuję im tego wytłumaczyć, nie będę w stanie spać po

nocach i wiesz o tym, bo mnie znasz!

– Szkoda słów! Wszyscy mężczyźni to idioci! – oznajmiła Natasza, wznosząc oczy i ręce ku niebu. – A idź w diabły! Zostaw mnie i chłopców na łasce losu, kiedy się trzeba. Tylko mi się nie wyplakuj, jak się okaże, że nikt cię nie chciał słuchać!

– Dziękuję, Taszka! – mruknął Fiodor, całując ją w policzek. – Wiedziałem, że zrozumiesz!

– Zejdź mi z oczu, bo nie ręczę za siebie! – zagroziła, ale z figlarnym błyskiem w oczach. – I żebyś nie zapomniał w mieście podarek kupić, bo cię do domu nie wpuszczę! Może być materiał na nową sukienkę!

Fiodor uśmiechnął się i rażnym krokiem skierował ku czekającemu na trawniku helikopterowi Kosygina.

\* \* \*

Kiedy tylko źródła napędów obcych okrętów zostały wykryte w przestrzeni systemu planetarnego, włączył się alarm. Magda w milczeniu obserwowała obraz widoczny na ekranie taktycznym. Umieścili w pobliżu warpa automatyczną platformę wyposażoną w szerokopasmowe sensory, toteż nie dość, że żaden cywil nie ryzykował życia, obsługując aparaturę, odczyt był wyraźniejszy. Był też całkowicie jednoznaczny i przygnębiający. Z systemu Redwing przybyły bowiem: trzy krążowniki liniowe, dwa ciężkie krążowniki, pięć lekkich i piętnaście niszczycieli. Jednym słowem – armada.

Magda westchnęła i wybrała kod Tsuczewskiego.

– Tak? – Sądząc po głosie i oczach, właśnie go obudziła.

– Przybyli, Pietia – powiedziała zwięźle.

– Aż tak źle?

– Jeżeli poleciłabym otworzyć ogień, byłoby to równoznaczne z nakazem egzekucji wszystkich moich ludzi.

– Rozumiem... Połącz mnie z ich dowódcą, jeśli będziesz w stanie. Ja zajmę się resztą.

– Przepraszam, Piotrze Piotrowiczu... – odezwała się cicho.

– Nie masz za co, zrobiłaś, co mogłaś. Los i czas byli przeciwko nam.

– Wiem – powiedziała ciężko.

I wydała stosowne rozkazy oficerowi łącznościowemu.

\* \* \*

Piotr Tsuczewski wpatrywał się w widoczne na ekranie łączności oblicze admirała Jasona Waldecka i ze zdumieniem stwierdził, że tamten aż się pali do walki.

– Admirale, jestem Piotr Piotrowicz Tsuczewski z Rządu Tymczaso...

– Jesteś pan zdrajcą i nikim więcej! – przerwał mu ostro Waldeck.

Piotr wytrzeszczył oczy i zamilkł.

– Rozumiem, że celem tej rozmowy jest uzgodnienie warunków waszej kapitulacji – dodał Waldeck. – Bardzo dobrze, oto one: wszystkie uzbrojone jednostki natychmiast wylądują w porcie kosmicznym na powierzchni planety, a niezdolne do lotów w atmosferze wyłączą osłony siłowe i będą oczekiwały na abordaż przez załogę przyzową. To samo dotyczy fortu. Czy to rozumiałe?

– Tak – wykrztusił Piotr z wysiłkiem.

Waldeck uśmiechnął się z satysfakcją.

– Co zaś się tyczy tego waszego tak zwanego Rządu Tymczasowego – prychnął Waldeck – to oddajecie się w moje ręce, gdy tylko moje okręty wylądują. I ostrzegam: każdy, kto spróbuje stawić opór, zostanie zastrzelony. Jasne?

– Tak – powtórzył zdławionym głosem Piotr.

– Lepiej dla was, żeby było jasne. Zobaczymy się na pokładzie mojego okrętu flagowego za około trzy godziny – zakończył Waldeck i przerwał połączenie.

Piotr przez długie sekundy wpatrywał się w ekran, czując gorzyc porażki.

\* \* \*

– Popatrzcie no! – westchnął Fiodor, gdy helikopter po dziesięciu godzinach lotu dotarł w pobliże portu kosmicznego stolicy.

Pozostali dwaj pasażerowie odwrócili głowy i wybałuszyli oczy – nigdy nawet nie słyszeli, by równocześnie wylądowało tam tyle jednostek. A co dopiero widzieli, i to na własne oczy.

Fiodor liczył powoli, pokazując każdy odliczony kadłub palcem.

– ...dwadzieścia cztery... dwadzieścia pięć... dwadzieścia pięć! A te wielkie to krążowniki liniowe, tak, Grigorij?

– Tak – przyznał Grigorij Zieliński. – Spóźniliśmy się, chłopcy. Już po rewolucji. To największe okręty wojenne mogące lądować na planetach. Gdyby gdzieś trwały jeszcze walki, na pewno by nie wylądowały. Muszą przechodzić przez atmosferę naprawdę wolno, więc żaden dowódca nie ryzykowałby sytuacji, w której mógłby zostać zmuszony do szybkiego odlotu.

– Patrzcie. – Fiodor wskazał palcem. – Wszystkie luki i śluzy są otwarte! A tam! Ile luda!

– Fakt. I wszyscy w mundurach – przyznał Władek. – Wygląda na to, że wyprowadzili załogi ze wszystkich okrętów.

– Nie całe – sprzeciwił się Grigorij. – W maszynowni zawsze musi być wachta dyżurna.

– No to może paru zostawili, ale zobacz, ilu ich tam jest! Całą resztę wygonili jak nie!

– Możesz mieć rację... – Grigorij postukał paznokciem w zęby, przypominając sobie pięcioletnią służbę w Marynarce Federacji. – Ciekawe po co... A tam co znowu?!

Pytanie odnosiło się do długiej kolumny cywilów wychodzących z miasta i kierujących się do portu. Władek przeleciał nad ich głowami, ale nie dowiedzieli się niczego poza tym, że



cywilów są tysiące.

– Jak myślicie, co tu się wyrabia? – spytał.

– Cholera wie! – mruknął Fiodor. – Chyba lepiej wylądować i sprawdzić, nie?

– Ano chyba tak – zgodził się Grigorij.

Wylądowali szybko i sprawnie i podbiegli do kolumny. Fiodorowi coś nie dawało spokoju, ale dopiero gdy wmieszali się w tłum, uświadomił sobie, co to takiego.

– Oni nie mają broni! – szepnął do towarzyszy.

– Fakt – przyznał Grigorij. – Pewnie ogłosili stan wyjątkowy albo coś, gdy byliśmy w powietrzu. A gdy jest stan wyjątkowy, cywilom nie wolno nosić broni.

– A my? – szepnął Władek.

Miał w kaburze na biodrze wielkokalibrowy pistolet. Był głośny i stary, ale jego posiadacz dobrze strzelał, a każda kula bezapelacyjnie wyłączała z dalszej walki tego, kto ją dostał, czy był to człowiek, czy zwierzę.

– Proponowałbym zamaskować broń. – Grigorij rozpiął kurtkę i przełożył w zanadrze swój pistolet laserowy. – I to szybko!

Fiodor rozpiął kurtkę i wsadził swego *Rugera* kaliber 3 mm z magazynkiem mieszczącym 90 strzałek o eksplodujących czubkach za pasek spodni. Po czym spytał najbliższego mieszczucha:

– Co się tu dzieje?

– Nie wiesz? – Tamten spojrzał na niego zszokowany.

– Dopiero co przylecieliśmy z Nowej Syberii, żeby porozmawiać z tym Rządem Tymczasowym.

– Cicho, durniu! Chcesz, żeby cię aresztowali?!

– Aresztowali? Za to, że chcę z kimś porozmawiać?! – zdumiał się Fiodor.

– Oni wszyscy zostali aresztowani – wyjaśnił rozmówca. – A my jesteśmy pod okupacją.

– No to co tu robicie?

– Wykonujemy polecenia nowych władz. Wylądowali dwie godziny temu i ten cały Waldeck wystąpił na wszystkich kanałach równocześnie, Oświadczył, że jest nowym gubernatorem wojskowym planety. Kazał, żeby głowa każdego domu w mieście zjawiała się o siedemnastej w porcie kosmicznym, ale nie powiedział po co.

– Każdego domu? – powtórzył zaskoczony Fiodor.

– Każdego. Stąd tylu ludzi.

W czasie ich pogawędki czoło kolumny zatrzymało się i tłum zaczął rozrastać się na boki. Ruch do przodu ograniczał kordon Marines w polowych mundurach rozstawiony w pewnej odległości od parkujących okrętów. Wszyscy nosili broń długą, ale przyglądając się im z bliska, Fiodor, którego ciżba wypchnęła prawie do pierwszego rzędu, zauważył, że coś jest zdecydowanie nie w porządku. Marines byli uzbrojeni i byli zwycięzcami, a wyglądali na ciężko przestraszonych.

– Popatrz na naszywki na ramionach – szepnął mu Grigorij prosto do ucha. – Żaden z nich nie jest z Pogranicza!

Nagle przez tłum przetoczyło się zbiorowe westchnienie. Fiodor rozejrzył się, szukając jego powodu, i dostrzegł grupę pięćdziesięciu-sześćdziesięciu kobiet i mężczyzn konwojowanych przez Marines na otwartej przestrzeni między dwoma krążownikami. Wszyscy byli skuci. Rozpoznał wśród nich Siemiona Jakowa i Magdę Pietrowną.

– Rząd Tymczasowy – powiedział ktoś za jego plecami. – I oficerowie powstańczej floty.

Fiodor potrząsnął głową, próbując dojść z tym wszystkim do ładu. Przepchnął się przy tej okazji do pierwszego rzędu, by lepiej przyjrzeć się więźniom. Magdę znał od małego – bawił się przecież na weselu jej rodziców – toteż widok dziewczyny zakutej w kajdany niczym kryminalista rozzłościł go. Fakt, złamała prawo. Ale została sprowokowana, a o jej winie powinien orzec sąd, a nie od razu w kajdany!

Tłum zafalował, gdy więźniowie stanęli, a konwojenci cofnęli się, tworząc linię prostą również oddzielającą ich od tłumu, tyle że do tego ostatniego stali plecami. Członkowie załóg sformowali w tym czasie dwa potężne czworoboki rozdzielone ponaddziesięciometrowym przejściem i wszyscy znieruchomieli.

Po parunastu sekundach w tym przejściu pojawiła się rażno maszerująca grupa oficerów. Fiodor w życiu w żadnym wojsku nie służył, ale słusznie się domyślił, że ten, który szedł na czele i miał na rękawach najwięcej złota, musiał być najważniejszy, więc to był ten cały Waldeck czy jak mu tam. Zastanowiło go natomiast, kim jest ten drugi, który zażarcie z nim dyskutował. Pewnie się kłócili, ale byli za daleko, by mógł usłyszeć o co. W końcu ten ważniejszy potrząsnął głową i wrzasnął coś ze złością...

\* \* \*

– Nie może pan tego zrobić, panie admirale! – powtórzył kapitan Rupert M'tana. – To bezprawne naruszenie wszystkich przysługujących im praw obywatelskich! I nie tylko obywatelskich!

– Po raz ostatni przypominam panu, kapitanie, że na tej planecie obowiązuje teraz stan wyjątkowy! – warknął Waldeck. – Poza tym nikt, słyszy pan, nikt nie będzie się buntował przeciwko rządowi, zabijał oficerów i personel floty i pozostawał bezkarny, jak długo cokolwiek w tej materii zależy ode mnie! A zwłaszcza jeżeli są to głupie chamy z Pogranicza!

– Na litość boską, panie admirale! Nie może...

– Cisza! – przerwał mu Waldeck. – Uda się pan natychmiast do swojej kabiny i pozostanie tam do chwili otrzymania innych rozkazów, kapitanie M'tana! Potem się panem zajmę!

– Jestem pańskim kapitanem flagowym i moim obowiązkiem jest...

– Majorze! – przerwał mu Waldeck, zwracając się do najbliższego oficera Marines. – Zechce pan odeskortować kapitana M'tanę do jego kabiny!

– Aye, aye, sir! – wyprężył się Marine.

Pochodził z DuPont. Widać było, że rozkaz sprawił mu autentyczną satysfakcję. Zasalutował i gdy admirał odwrócił się na pięcie, dał znak M'tanie, by ruszał przodem, po czym widząc jego wahanie, poklepał wymownym gestem kolbę pistoletu laserowego. M'tana jakby zapadł się w sobie i ruszył w stronę okrętu.

Waldeck w tym czasie wspiął się na zaimprovizowaną platformę i stanął twarzą do tłumu. Ujął mikrofon i przyjrzał się cywilom z wrogością. Jedyńm sposobem, by uniknąć dalszego rozlewu krwi, było pokazanie tej hołocie, co jej grozi, gdy się zbuntuje. A przy okazji danie poglądowej lekcji własnym ludziom, tak na wszelki wypadek...

Uniósł mikrofon i oznajmił:

– Mieszkańcy Nowej Rodiny! Zbuntowaliście się przeciwko Federacji i obowiązującym w niej prawom! Pomagaliście zbuntowanym członkom sił zbrojnych, czyli popełniliście czyny określane mianem zdrady!

Wzmocniony głos dudnił, a słuchający admirała Fiodor aż się zmarszczył – tyle było w tym głosie pogardy i nienawiści.

– Dlatego na mocy uprawnień danych mi przez Zgromadzenie Legislacyjne ogłaszam, co następuje – ciągnął Waldeck. – Wszystkie prawa cywilne zostają na tej planecie zawieszane, a obowiązuje stan wyjątkowy. Aż do odwołania zakazane zostają wszystkie zgromadzenia publiczne, a od dziewiętnastej obowiązuje godzina policyjna. Wszyscy, którzy złamią te przepisy, zostaną zastrzeleni.

Fiodor zbladł. Prawo jest prawem, ale żeby kogoś zastrzelić za to, że szedł po ulicy pięć minut po dziewiętnastej?!

– Przed wami stoją przywódcy buntu przeciwko prawowitej władzy – kontynuował Waldeck. – Moim obowiązkiem jako wojskowego gubernatora jest zająć się nimi tak, jak na to zasługują. Federacja jest sprawiedliwa, obejmuje ochroną i pomocą wszystkich przestrzegających prawa, ale i surowo karze tych, którzy to prawo łamią. I dlatego jako gubernator wojskowy planety Nowa Rodina ja, admirał Marynarki Federacji Jason Waldeck, skazuję ich na śmierć! Wyrok zostanie wykonany natychmiast!

Na płycie lądowiska panowała głucha cisza. Ludzie nie wierzyli własnym uszom. Ogłupiały Fiodor był jednym z nich – to, co słyszał, to był koszmar, nie Federacja! Nie Federacja, którą znał i szanował!

Z niedowierzaniem patrzył, jak dwóch Marines bierze pod ramiona Piotra Tsuczewskiego i odprowadza go na bok, a dwóch innych ujmuje pod ręce Tatianę Iliuszynę. Piotr szedł powoli i najwyraźniej był w szoku, a Tatiana po prostu zwisała bezwładnie.

Fiodor stał jak sparaliżowany, niezdolny nawet do myślenia, i tępo patrzył, jak Tsuczewskiego obrócono tak, by stał twarzą do tłumu. Sześciu Marines uzbrojonych w automatyczne karabiny zajęło pozycję przed nim.

– Pluton egzekucyjny! – rozkazał oficer Marine Corps. – Gotuj broń!

Sześć karabinów idealnie zgranym ruchem uniosło się na wysokość sześciu ramion.

– Cel!

Fiodor poczuł, jak coś zaczyna w nim wrzeć, ale nadal nie mógł się poruszyć.

– Pal!

Sześć wystrzałów zlało się w jeden.

Jak na zwolnionych obrotach Fiodor zobaczył wykwitające na koszuli przewodniczącego Rządu Tymczasowego krwawe plamy. Potem stojący drgnął konwulsyjnie i padł jak ścięte drzewo.

W momencie, w którym ciało dotknęło płyty lądowiska, paraliż ustąpił, a wściekłość zalała wręcz Fiodora Kazina. Jego wiara w Federację zginęła wraz z Tsuczewskim.

– Neeee! – zawył, sięgając po broń.

Nawet nie zwrócił uwagi, że stanął przeciwko nim samotnie. Uniósł *Rugera* i gdy Waldeck się odwrócił, szukając tego, kto protestował, nacisnął spust. Broń nastawiona była na ogień ciągły, a strzałki miały raketowy napęd – przecięły admirała Waldecka prawie na pół. Nim jego ciało znieruchomiło na platformie, tłum dostał szału.

Nie wiadomo, kto pierwszy skoczył na Marines, bo natychmiast ruszyła za nim wielka ludzka fala i tworzący kordon nie mieli żadnych szans. Tu i ówdzie padły strzały lub błysnął promień lasera, ale wyjący tłum pokrył Marines prawie natychmiast. Nie zginęli bez walki i nie zginęli samotnie, ale zginęli co do jednego.

Fiodor nie patrzył, co się dzieje za jego plecami. Zastrzelił najbliższego Marine i pognął ku wartownikom pilnującym więźniów. Widząc, że biorą ich na cel, stanął, złapał broń oburącz, i ignorując promień lasera, który osmolili włosy, nacisnął spust, bijąc krótkimi, mierzonymi seriami i kosząc wartowników jak zboże w porze żniw.

Krzyki, wrzaski i zamieszanie ogarnęły całą płytę lądowiska. Strzały padały z rzadka, bo tylko oficerowie i podoficerowie Marynarki Federacji byli uzbrojeni, ponieważ jednak Waldeck nie uprzedził ich, co zamierza, byli równie zszokowani jak cywile i potrzebowali czasu, by otrząsnąć się z podwójnego zaskoczenia – spowodowanego egzekucją i reakcją tłumu. A tego czasu nie mieli, bo tłum po zmasakrowaniu Marines rzucił się na nich. Oba czworoboki poszły w rozsypkę, a na lądowisku zapanował chaos.

Fiodor dopadł więźniów i widząc Magdę, ryknął:

– Cała jesteś?

Na moment utkwiała w nim nierozumiejące spojrzenie, po czym przytaknęła energicznie, a w jej oczach zapłonął dziki blask. Złapała pistolet zabitego oficera i krzyknęła, ile miała sił w płucach:

– Okręty! Zdobyć okręty!

Część tłumu usłyszała jej głos. Pozbierali broń zabitych przeciwników i skupili się wokół niej, powtarzając polecenie, aż po całym lądowisku przetoczył się ogłuszający ryk:

– Zdobyć okręty!

I ludzka fala ruszyła prowadzona przez byłą oficer Marynarki Federacji i rolnika, który chciał tylko sprawiedliwości.

## Rozdział X

# IRONIA LOSU

Oskar Dieter przetarł wierzchem dłoni zmęczone oczy. Jego gabinet wypełniały delikatne dźwięki walca średnio pasujące do informacji ukazujących się na ekranie komputera. Westchnął, potarł nasadę nosa i spróbował się odprężyć, co nie było rzeczą łatwą, gdyż od miesięcy katastrofa gonila katastrofę. Już nawet mu się śniło, że w stronę Ziemi zmierza sznur kapsuł kurierskich wiozących informacje o samych nieszczęściach.

To, co działo się na Pograniczu, było złe, ale to, co wyprawiało się na Ziemi, było jeszcze gorsze. Zgromadzeniem wstrząsnęło samobójstwo Taliaferra, w przeciwieństwie zresztą do niego samego. Reszta delegacji z Galloway's World mogła uważać, że spowodowała je rozpacz po zniszczeniu archipelagu, ale choć była to olbrzymia strata, Dieter nie dał się zwieść. Dla Simona śmierć paru milionów ludzi była niczym wobec świadomości, że przegrał i że wszystkie jego plany wzięły w łeb. Było mu go prawie żal... prawie, bo wiedział, że przez chore ambicje Taliaferra zginie jeszcze wielu ludzi. Nawet nie próbował zgadnąć ilu.

A to wcale nie była najgorsza wiadomość. Taliaferro jednoczył blok Planet Korporacji i kierował nim od ponad trzydziestu lat. Gdy go niespodziewanie zabrakło, ta doskonała maszyna zaczęła się rozpadać, zagrażając całej Federacji. Jego najbliżsi współpracownicy bali się tego, w co zmieniła się gra, i równocześnie nie mogli się do tego strachu przyznać, chcąc przetrwać. I dlatego walka o sukcesję była niezwykle zażarta. Swoją drogą Dieter był przekonany, że ten, kto ją wygra, będzie władał kadawrem.

Bo powszechny wybuch społecznego niezadowolenia był tuż-tuż. Wieści o pierwszych jego przejawach już docierały do Zgromadzenia, a im więcej nadchodziło informacji o klęskach, tym większe były pretensje do polityków. Jeszcze parę przegranych i czara się przeleje...

Dalsze rozważania przerwał mu sygnał komunikatora. Uaktywnił urządzenie i na ekranie pojawiła się ugrzeczniona gęba Olivera Fuchsa, sekretarza prezydenta Zhi.

– Dzień dobry, panie Dieter – powitał go jak zwykle uprzejmie Fuchs. – Czy odpowiadałoby panu spotkać się dziś o osiemnastej z panem prezydentem?

– Oczywiście, panie Fuchs – odparł równie uprzejmie, zastanawiając się gorączkowo, o

co chodzi. – Mogę spytać, w jakiej sprawie?

– Jest mi niewymownie przykro, panie Dieter, ale to pan prezydent chce panu wyjaśnić osobiście – oznajmił równie uprzejmie jak dotąd Fuchs.

– Rozumiem – powiedział wolno Dieter. – Dobrze, panie Fuchs, sam go o to spytam.

– Dziękuję, panie Dieter, powiem mu, że pan przybędzie. – Fuchs skłonił się i zakończył rozmowę.

Dieter zaś jeszcze długą chwilę wpatrywał się w ciemny ekran, rozmyślając głęboko.

\* \* \*

Fuchs czekał w sali Anderson House, gdy Dieter przybył do rezydencji o 17.45. Sekretarz zaprowadził gościa do windy z wprawą doświadczonego lokaja i czas jazdy wypełnił rozmową o niczym, ale Dieter zauważył, że przypatruje mu się z dziwną uwagą, jakby go oceniał. Co tylko zwiększyło jego napięcie.

Drzwi windy otwarły się i wyszli na korytarz prowadzący do prezydenckiego gabinetu. Fuchs otworzył drzwi i wpuścił gościa, po czym zamknął je za nim cicho.

Gabinet był duży, nawet ogromny, jeśli brać pod uwagę standardy Centrum, i luksusowo umeblowany. W końcu należał do najważniejszej osoby w całej Federacji. Przynajmniej w teorii, gdyż przez dziesięciolecia rzeczywista władza stopniowo, ale stale malała. Nie oznaczało to, że prezydent stał się jedynie figurą pełniącą funkcje reprezentacyjne. Premierzy zmieniali się, a on trwał, stabilizując państwo zgodnie z wyborem większości obywateli.

Ponieważ nie była to jego pierwsza wizyta, Dieter nie poświęcał uwagi meblom, dywanom czy dyskretnemu oświetleniu, ale skupił się od razu na grupie zebranej wokół prezydenckiego biurka, za którym siedział gospodarz.

Zhi był niższy od niego, ale masywniejszy. Wstał na powitanie gościa i zdecydowanym gestem uściśnął mu dłoń. Na jego twarzy widać było ślady długotrwałego napięcia i zmęczenia.

– Dziękuję za przybycie, panie Dieter – rzekł.

– Zawsze do usług, panie prezydencie – odparł niezobowiązująco Dieter i przyjrzał się pozostałym obecny.

Zhi uśmiechnął się kwaśno.

– Sądzę, że większość z nas pan zna – dodał ciszej prezydent.

Dieter skinął głową i skłonił się wszystkim naraz, analizując równocześnie sytuację.

Marszałek Lech Witciński, głównodowodzący Sił Zbrojnych Federacji, odpowiedział mu krótkim, zdecydowanym ruchem głowy, ledwo unosząc się z fotela. Jak zwykle był w nienagannie skrojonym mundurze, a jego twarz nie nosiła śladów napięcia, w jakim żył od dłuższego czasu.

W przeciwieństwie do twarzy sąsiada. David Haley w ciągu ostatnich tygodni wyraźnie się postarzał, ale jego powitalny uśmiech był znacznie cieplejszy, niż byłby jeszcze parę

miesiący temu.

Dieter odpowiedział mu podobnym i uniósł brew, przenosząc wzrok na kolejnego gościa. Był to bowiem admirał Kevin Sanders. A właściwie emerytowany admirał Kevin Sanders, były szef wywiadu floty. Nawet siedząc, Sanders przypominał pewnego siebie, zrelaksowanego drapieżnego kota. I przyglądał się Dieterowi z lekkim rozbawieniem, zupełnie jakby czytał w jego myślach. Co nie było niemożliwe – w czasie jego aktywnej służby przypisywano mu jeszcze dziwniejsze zdolności.

Ostatniego z obecnych nie znał – była to pani wiceadmirał o długich, platynowych włosach i głębokich błękitnych oczach. Uznał ją za najatrakcyjniejszego oficera flagowego, jakiego w życiu widział. Wyciągnął do niej dłoń:

– Dobry wieczór, admirał...

– Krupska, panie Dieter – odparła miękkim, melodyjnym głosem. – Susan Krupska.

– Jestem oczarowany – przyznał, całując podaną dłoń.

Jej usta drgnęły w leciutkim uśmiechu.

– Skoro jesteśmy w komplecie – oznajmił rzeczowo Zhi, wskazując Dieterowi wolny fotel – przejdźmy do rzeczy.

– Naturalnie, panie prezydencie, mój czas należy do pana. – Dieter usiadł.

A Zhi uśmiechnął się sardonicznie.

– Bardziej, niż się pan spodziewa, panie Dieter – powiedział cicho.

Dieter spojrzał na niego pytająco.

– Przepraszam? – spytał uprzejmie.

Zhi nie odpowiedział – skinął na Haleya.

– Panie Dieter... Oskar... mamy nad tobą pewną przewagę... Widzisz, rząd premiera Minha wraz z nim samym podał się do dymisji.

Dieter z najwyższym trudem ukrył zaskoczenie, nie łudząc się zresztą, że udało mu się to całkowicie. Skoro rząd upadł, jakim cudem ta wiadomość wcześniej do niego nie dotarła?! I co jeszcze dziwniejsze: jak udało się to do tej pory ukryć przed dziennikarzami?

– Nie zostało to ogłoszone, bo w obecnej sytuacji należałoby natychmiast podać informację o tworzeniu się nowego rządu – dodał Haley.

Dieter pokiwał głową na znak całkowitej zgody – ostatnim, czego potrzebowali, był kryzys rządowy.

– Teraz wie pan tyle samo co my – odezwał się Zhi. – A wie pan dlatego, że gdy spytałem premiera Minha i niezależnie od niego marszałka Haleya, kogo rekomendowaliby na nowego premiera, obaj udzielili tej samej odpowiedzi. I zaproponowali pana.

Dobrze, że fotel był głęboki, bo z krzesła Dieter spadłby jak nic – szok był wręcz monumentalny. Zamarł z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma, nie wierząc własnym uszom. Co prawda nie podejrzewał obecnych o to, że stroją sobie z niego żarty, ale było to po prostu niemożliwe – był pariasem, którego wyrzekli się nawet długoletni sojusznicy!



– Papapanie prezydencie – wykrztusił w końcu. – Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć. Jestem zaszczycony, ale...

– Proszę mnie przez chwilę posłuchać i nie przerywać, panie Dieter – Zhi uprzejmie, ale stanowczo przerwał ten bełkot. – Oficjalnie nie powinienem mieć w tej kwestii zdania, ale prawda jest taka, że nie mamy wyboru. Sam pan doskonale zdaje sobie sprawę, lepiej zresztą niż większość, jak całkowicie został zdyskredytowany obecny rząd. Sytuacja jest nawet gorsza, niż pan sądzi, ale to, co w tej chwili jest najważniejsze, sprowadza się do prostej eliminacji. Wszyscy współpracownicy Taliaferra odpadają, gdyż ciąży na nich piętno. Pozostają jednak dużą siłą w Zgromadzeniu, z którą musimy się liczyć. Skoro więc premierem nie może zostać żaden z nich, musi to być ktoś, kto będzie miał poparcie wszystkich umiarkowanych członków Zgromadzenia i opinii publicznej. Bo tylko wówczas będzie mógł wymusić na nich współpracę. Słowem, potrzebujemy kogoś takiego jak pan.

– Ależ ja...

– Oskar, zastanów się choć przez moment! – wtrącił Haley. – Jesteś z planety Korporacji, ale otwarcie sprzeciwiałeś się Simonowi Taliaferrowi. Umiarkowani z Planet Korporacji pójdą za tobą, podobnie jak liberałowie z Planet Wewnętrznych. Daje ci to solidną podstawę władzy, a zwolennicy Taliaferra nie mogą zbyt uparcie i często ci się sprzeciwiać, nie chcąc nieustannie przypominać wszystkim o własnych błędach.

– I proszę pamiętać, panie Dieter, że będzie się pan nadal cieszył poparciem wojskowych – dodał marszałek Witciński, a widząc zdziwienie Dietera, dodał: – Wiem, to podobno nieważne, ale wszyscy zdajemy sobie sprawę, że praktyka jest inna. Dzięki przewodniczeniu komitetowi ma pan wiedzę, która może okazać się niezastąpiona, co stanowi miłą odmianę, bo przeważnie politycy są ignorantami w kwestiach militarnych. Po drugie, Marynarka Federacji uważa pana za umiarkowanego, co też jest istotne. Jako premier będzie pan miał bardzo pozytywny wpływ na morale większości korpusu oficerskiego.

– Nie należy jednak zapominać, że taka reputacja jest bronią obosieczną – dodał Zhi. – Jest pan umiarkowany w swych poglądach i potrzebujemy więcej takich ludzi, ale pamiętajmy, że toczymy wojnę. Jeżeli przyjmie pan nominację, będzie pan musiał zademonstrować, że jest pan odpowiednim przywódcą politycznym także w czasie walk.

– A jak mam to zrobić? – spytał ostrożnie Dieter.

– Tworząc rząd z przedstawicielami wszystkich opcji – odparł cicho Haley.

Dieter powoli skinął głową – to było logiczne. Obecny rząd był powiązany i łączony przez wszystkich wyłącznie z interesami Planet Korporacji, i to tymi ekstremalnymi. I dlatego musiał odejść. Następny musi mieć znacznie szersze poparcie (ideałem byłoby powszechne), a najskuteczniejszym sposobem osiągnięcia tego będzie połączenie w jego składzie wszystkich elementów sceny politycznej. Co prawda zapanowanie nad taką zbieraniną ludzi reprezentujących skrajnie różne poglądy było sztuką samą w sobie, ale tylko to dawało szansę na sukces... Zaczynał rozumieć, dlaczego Zhi zwrócił się właśnie do niego.

– Dlaczego rząd złożył rezygnację akurat teraz, panie prezydencie? – spytał. – Zakładam, że obecność admirała Sandersa ma z tym jakiś związek...

– I słusznie pan zakłada – przytaknął ciężko Zhi. – Poprosiłem admirała, by powrócił do czynnej służby i przejął kierowanie wywiadem wojskowym.

Dieter czekał na ciąg dalszy, bo tego akurat już sam się domyślił. Niezależnie bowiem od tego, co było bezpośrednią przyczyną secesji, szybkość, z jaką Pogranicze opowiedziało się po stronie mieszkańców Gromady Kontravian i zorganizowało powstanie, mówiła sama za siebie. Przygotowania, o których Zgromadzenie czy rząd Federacji nie miały żadnego pojęcia, musiały trwać od dawna. A to oznaczało poważną klęskę wywiadowczą.

– Za pańskim pozwoleniem, panie prezydencie, chciałbym zadać admirałowi Sandersowi parę pytań, nim udzielę panu odpowiedzi.

– Zakładałem, że tak pan postąpi – uśmiechnął się Zhi. – Dlatego zaprosiłem tu nie tylko admirała Sandersa, jak pan zauważył. Proszę pytać.

– Dziękuję, panie prezydencie. Admirale Sanders, podejrzewam, że sytuacja jest gorsza, niż większość moich kolegów delegatów sądzi. Mam rację?

– To zależy od tego, jak źle ją oceniają – odparł ostrożnie Sanders. – Ogólnie jednak rzecz biorąc, zgodziłbym się z panem.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, jak to naprawdę wygląda.

– Proszę bardzo – Sanders przyjrzał mu się badawczo. – Marszałek Witciński prawdopodobnie podały panu dokładniejsze dane odnośnie strat, ale w ocenie wywiadu, nie licząc Siedemnastego Zespołu Wydzielonego, Battle Fleet straciła na rzecz rebeliantów co najmniej piętnaście procent okrętów. Zbuntowały się załogi większej ich liczby, ale te znajdujące się zbyt daleko od Pogranicza zdołaliśmy przechwycić i zniszczyć. Ponieśliśmy przy tym spore straty w lojalnych załogach i okrętach. Nie wiemy także dokładnie, jak wygląda sytuacja we Flocie Granicznej. Z żadnej bazy na Pograniczu nie dotarł ani jeden kurier, co akurat o niczym nie świadczy, gdyż rebelianci kontrolują pośrednie ogniwa łączności tak w systemach, w których są węzły warpów, jak i stacje przekaźnikowe. Brak wieści nie musi być równoznaczny z przejściem wszystkich na ich stronę. Należy jednak przyjąć, że większość jednostek tak postąpiła. Według najbardziej pesymistycznej oceny straciliśmy około dziewięćdziesięciu procent Floty Granicznej. Na szczęście bazy w Centrum i na Planetach Korporacji pozostały lojalne, a rebelianci muszą tworzyć od podstaw strukturę dowodzenia i organizować w spójną całość okręty, którymi dysponują. Dzięki temu mieliśmy czas reaktywować Rezerwę. W tej chwili sytuacja przedstawia się w ten sposób, że rebelianci mają około trzydziestoprocentową przewagę w tonażu, natomiast my posiadamy większą siłę ognia, uwzględniając forty systemowe.

– Rozumiem. A co z bazą Zephraim?

– Nie wiadomo – przyznał Sanders. – Jedyнным pocieszeniem jest wiadomość, że jeden z naszych związków taktycznych być może przebił się do niej.

– Być może? – zdziwił się Dieter.

– Być może. 32. Zespół Wydzielony pod dowództwem wiceadmirała Trevayne’a został odcięty w systemie Osterman’s Star. Jego los jest nieznan, ale otrzymaliśmy oficjalny protest Chanatu w związku z naruszeniem granicy przez zgrupowanie naszych okrętów. Miało ono miejsce w systemie Sulzan, czyli o cztery tranzyty od Osterman’s Star. Prawdopodobnie był to 32. Zespół Wydzielony. Natomiast reszta to czysta spekulacja: jeżeli był to Trevayne i jeżeli gubernator sektora Rehfrak zgodził się przepuścić jego siły, mógł on dotrzeć do Zephraim. Niestety po tym incydencie Chanat całkowicie zamknął granice i na jakiegokolwiek oficjalne potwierdzenie z ich strony długo poczekamy.

Sanders zamilkł, a Dieter ponownie pokiwał głową. Tylko raz spotkał Trevayne’a, ale jeśli wrażenie, jakie tamten na nim wywarł, pokrywało się z rzeczywistością, byłby gotów do naruszenia granicy, by uratować swoje okręty... i nie tylko. Z pewnością zdawał sobie sprawę, jak istotna jest baza Zephraim.

Ciszę przerwał Witciński:

– To przedstawia jedynie stan aktualny, natomiast pozostaje kwestia przyszłości.

– Zgadza się – przytaknął Sanders. – Ale to już domena Susan.

Krupska spojrzała na Dietera i wyjaśniła:

– Jak pan wie, Centrum i Korporacje mają nad Pograniczem olbrzymią przewagę przemysłową, ale siedemdziesiąt procent okrętów budowanych było dotąd na Galloway’s World. Atak na archipelag Jamieson był politycznym błędem, ale genialnym posunięciem militarnym, ponieważ zniszczono ponad dziewięćdziesiąt procent stoczni cywilnych oraz całą Stocznnię, większość otaczającej ją bazy i wszystkie parkujące tam okręty Rezerwy. W naszej ocenie rebelianci będą potrzebować dwóch do trzech lat, by dysponować wystarczającą liczbą stoczni, ale my potrzebujemy co najmniej tyle samo, by odbudować Galloway’s World. Mniej, jeśli zdecydujemy się rozproszyć przemysł stoczniowy i stworzyć go od podstaw w paru innych systemach, ale i tak nowe okręty zaczną być w tych stoczniach budowane nie prędzej niż za osiemnaście miesięcy, a najprawdopodobniej nie wcześniej niż za dwa lata. Zakładam, że rebelianci zajęli większość naszych baz na Pograniczu, a jest to rozsądne założenie. Oznacza to, że obecnie możemy budować jedynie o dwadzieścia procent okrętów więcej niż oni. Sądzymy, że będziemy w stanie szybciej rozbudowywać istniejące stocznie, niż oni budować nowe, ale w przewidywalnej przyszłości musimy bardzo ostrożnie gospodarować posiadanymi okrętami. Zwłaszcza okrętami liniowymi, gdyż buduje się je najdłużej, toteż najtrudniej będzie uzupełnić straty.

– Rozumiem... – powtórzył Dieter.

A potem milczał długo, bo sytuacja okazała się gorsza, niż przypuszczał.

– Pytał pan, dlaczego rząd podał się do dymisji akurat teraz – odezwał się w końcu Zhi. – Utracił większość, do czego doszło w wyniku procesu powolnego i z pewnością znanego panu, ale bezpośrednim powodem była kolejna klęska...

Dieter nie był pewien, czy ma ochotę na dalsze złe wieści, ale skinął głową na znak zgody – w końcu i tak będzie musiał je poznać...

Temat podjął jednak nie prezydent, a marszałek:

– Dziś rano otrzymaliśmy wiadomość od admirała Priczowskiego z systemu Cimmaron. Obaj z admirałem Waldeckiem zainicjowali lokalną operację mającą na celu stłumienie rebelii w najbliższym sąsiedztwie, czyli w systemie Nowa Rodina, systemie o dużym znaczeniu strategicznym. Niestety pierwsza próba podjęta przy udziale niewielkich sił zakończyła się klęską: wysłane jednostki zostały zniszczone przez prowizoryczne siły obrony systemowej. Admirał Waldeck zareagował natychmiast i udał się do systemu z wszystkimi okrętami grupy wydzielonej. Co zaszło, nie wiadomo, ale od chwili nagrania wiadomości nie otrzymano od niego żadnych informacji, mimo że od uzgodnionej pory łączności minęły siedemdziesiąt dwie godziny.

Dieter przymknął oczy – nic dziwnego, że rząd ustąpił. Kiedy Zgromadzenie dowie się o kolejnej porażce, Minh, gdyby nadal był premierem, miałby prawdziwe szczęście, gdyby skończyło się tylko na odwołaniu.

– Tak to wygląda – powiedział cicho Haley. – Wielokrotnie mieliśmy odmienne zdania, ale mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak bardzo zacząłem cię podziwiać parę miesięcy temu. Nie sprawia mi przyjemności stawianie cię w takiej sytuacji, ale naprawdę jesteś nam potrzebny.

Dieter nie zareagował. Doskonale wiedział, co doprowadziło jego i Federację do tego etapu. Kiedy Zgromadzenie odkryje, jak zła jest sytuacja militarna, do furii wywołanej „zdradą i podstępным atakiem zakończonym masakrą cywilów” dołączy panika, dając zwielokrotnienie ślepego zapału bojowego już powszechnego w Centrum. A to będzie prosta droga do rozpoczęcia wojny totalnej i innych posunięć, które są doskonale, jeśli walczy się z wrogiem traktującym ludzkość wyłącznie jako atrakcję kulinarną, są natomiast głupotą w przypadku wojny domowej między ludźmi.

Jeżeli zgodzi się utworzyć rząd, będzie to rząd mający prowadzić i wygrać wojnę i on sam będzie musiał udowodnić, że jest zdecydowany zwyciężyć. Albo spotka go duża przykrość, być może znacznie większa niż Minha. Byłby to szczyt ironii losu, jeśli chodzi o jego karierę polityczną, którą rozpoczął tak naprawdę dopiero wtedy, gdy zerwał z Simonem. Rzucił na szalę swoją polityczną przyszłość, chcąc ratować pokój, a zostanie premierem, żeby wygrać wojnę, której starał się zapobiec.

– Zdajemy sobie sprawę, że prosimy pana o podjęcie się niezwykle trudnego zadania, panie Dieter – głos prezydenta był jeszcze cichszy od głosu Haleya – ale pan marszałek ma rację. Potrzebujemy pana. Federacja pana potrzebuje, gdyż jest pan jedynym człowiekiem mogącym utworzyć stabilny rząd i kontrolować ekstremistów już działających w Zgromadzeniu.

Dieter drgnął, gdyż tego argumentu najbardziej się obawiał.

Złamanie przez prezydenta zasady neutralności w kwestiach obsady stanowisk jedynie podkreślało wagę problemu. Gdyby szefem rządu został któryś ze zwolenników Simona, szanse na rozsądek i umiarkowanie w prowadzeniu wojny przestałyby istnieć... a on nadal nie spłaciłby długu wobec Fionny.

Nawet w najdzikszych fantazjach nie marzył o zostaniu premierem, a zwłaszcza w podobnych okolicznościach. Ale nie miał wyjścia...

Otworzył oczy i spojrzał na prezydenta Zhi.

– Rozumiem, panie prezydencie – westchnął. – Spróbuję.

## Rozdział XI

# DEKLARACJA

– Nowa Rodina – mruknął Ladislaus Skjorning, obserwując błękitno-białą planetę, na orbicie której parkował *Howard Anderson*. – Nie wydaje się pani, że to dziwne miejsce na zjazd zdrajców, pani admirał?

Odruchowo spojrział na pusty prawy rękaw przypięty do kurtki mundurowej stojącej obok kobiety i szybko przeniósł wzrok na jej twarz. Miała ostre rysy i zdecydowany wyraz zupełnie jak precyzyjny i idealnie akcentowany standardowy angielski, którym się posługiwała. Czuł dziwną więź z tą panią admirał o twarzy sokoła, która walkę za swe przekonania przypłaciła kalectwem.

– Spodziewałam się, że ten zjazd odbędzie się na Beaufortie. W końcu to kolebka powstania – odparła spokojnie admirał Ashigara.

– Ale leży za daleko od granicy i za bardzo na uboczu – wyjaśnił. – Nie mamy jeszcze sprawnego systemu łączności i dopóki nie obejmie on całego kontrolowanego przez nas obszaru, lepiej być tam, skąd kapsuły kurierskie mogą dotrzeć najszybciej w najważniejsze miejsca. Ten system doskonale spełnia wymagania lokalizacyjne.

– Rozumiem, ale sądzę, że za tym wyborem kryje się coś jeszcze. Nieprawdaż, panie Skjorning?

– Ano prawdaż. Wybór Beauforta faktycznie byłby najbardziej logiczny, gdyby powstanie miało miejsce tylko w Gromadzie Kontravian. Przekroczyło jednak jej granice i chcemy, by objęło całe Pogranicze, a wyznaczenie systemu innego niż Beaufort powinno wzmocnić poczucie jedności. Sądzę, że Beaufort może stać się stolicą tego, co chcemy stworzyć, ale nie jest dobrym miejscem, by deklorować, co też to ma być.

– Sensowne – przyznała po chwili Ashigara.

– No i jest jeszcze jeden powód. Można by rzec propagandowy, choć nie lubię tego słowa. Zna pani określenie „krwawa koszula”?

– Krwawa koszula? Nie, panie Skjorning, nie sądzę, bym je kiedykolwiek słyszała.

– To stare określenie nawiązujące do uczucia nienawiści i żaloby po zabitych – wyjaśnił pośpiesznie Ladislaus. – Nie jestem dumny, że odwołujemy się do tego, ale to skuteczna metoda,

czego już wielokrotnie dowiedziono. A po tym, co zaszło na Nowej Rodinie, z psychologicznego punktu widzenia jest ona najlepszym miejscem na ten zjazd.

Analiese Ashigara potrząsnęła głową i oceniła:

– Cieszę się bardziej niż kiedykolwiek, że jestem zwykłym oficerem flagowym floty, panie Skjorning. Mój umysł nie pracuje w sposób, który wydaje się niezbędny do zajmowania się polityką.

– Nie ma pani czego żałować – zapewnił ją cicho. – Jeszcze nie tak dawno sam siebie nie podejrzewałem o to, że tak potrafię. I nie jestem tym bynajmniej zachwycony...

Jeszcze przez chwilę przyglądał się planecie, po czym bez słowa opuścił pomost flagowy.

Admirał Ashigara wróciła zaś do problemów związanych z dowodzeniem okrętami obsadzonymi zbyt skromnymi załogami. Nie było to łatwe zadanie, ale jej zdaniem łatwiejsze od tego, które przypadło w udziale Ladislausowi Skjorningowi.

\* \* \*

Delegaci wypełniali wszystkie przeznaczone dotąd dla widowni miejsca. Członkowie Dumy stojący na scenie za Ladislausem Skjorningiem nadal nie całkiem otrząsnęli się z zaskoczenia i przyglądali się gościom z niejakim osłupieniem.

Najbliżej stała Magda Pietrowna z wyjątkowo nieprzeniknionym wyrazem oddającej zwykle emocje właścicielki twarzy. Jedyne Ladislaus wiedział, że ma zamiar zrezygnować z miejsca w Dumie i polityki w ogóle na rzecz powrotu do służby we flocie, która zresztą nie miała jeszcze oficjalnej nazwy. I jedynie ona wiedziała, jak bardzo zazdrościł jej, że może tak postąpić.

Magda doskonale знаła swoje mocne i słabe strony. Do tych pierwszych należał zmysł organizacyjny, opanowanie, odwaga i umiejętność współczucia. Do tych drugich szczerłość, skłonność do zamordyzmu w stosunku do głębszych od siebie i dobrze rozwinięta zdolność do nienawiści. A nienawiść wręcz ją przepęniała; przyjaciele uważali ją za uboczny, acz nieunikniony skutek współczucia.

Potrafiła pogodzić się z tym, że została skazana na śmierć, ale nie z zamordowaniem Piotra i okrucieństwem, które prawie wpędziło w obłąd Tatianę. I choć początkowo była przekonana, że był to efekt sadystycznych ciągów Waldecka, musiała w końcu przyjąć do wiadomości fakty. A te były jednoznaczne – po zdobyciu okrętu flagowego Waldecka znaleziono w jego kabinie instrukcje i pełnomocnictwa wydane przez Zgromadzenie Legislacyjne.

Waldeck naturalnie nie musiał postępować dokładnie według nich, ale jeżeli daje się takim niewyżytym małym tyranom jak on możliwość decydowania o życiu i śmierci innych, skutek jest zwykle taki sam jak w przypadku dania wrednemu gówniarzowi naładowanego lasera. Tego nie była w stanie darować Zgromadzeniu i nie potrafiła stłumić nienawiści do niego i do rządu Federacji. Poza tym znaleźli się lepsi od niej kandydaci do Dumy. Jak

choćby Fiodor, choć w życiu by tego nie przyznał. Po walkach okazało się też, że mają w swym gronie prawdziwego następcę Piotra, a raczej następczynię, gdyż była nią Tatiana Iliuszyna.

Smukła i elegancka, pochodziła z jednej z nielicznych bogatych rodzin na planecie. Przed przyłączeniem się do rebelii nigdy nie zetknęła się z brutalnością czy trudami życia. Wstrząs na lądowisku spowodował u niej błyskawiczny proces dojrzewania. Nie załamał jej, lecz zahartował, co chyba najbardziej zaskoczyło ją samą. Nadal pozostała zwiewną i piękną dziewczyną, ale w jej niebieskich oczach pojawił się lodowaty błysk. Choć pozostała zdolna do współczucia...

Chwilowo jednak pełniącą obowiązki przewodniczącego była nadal Magda i jej też przypadła w udziale unikalna rola. Na znak Ladislausa podeszła do mównicy, odetchnęła głęboko i stuknęła drewnianym młotkiem w podstawkę. Dźwięk ten zabrzmiał echem w całej sali, wywołując natychmiastowe uciszenie się zebranych.

– Ogłaszam rozpoczęcie pierwszej sesji zjazdu rządów tymczasowych Pogranicza! – oznajmiła głośno i wyraźnie.

\* \* \*

– I co o tym wszystkim sądzisz? – spytała Magda, napełniając szklanki wódką.

I starannie kryjąc rozbawienie na widok tego, jak ostrożnie uniósł swoją Ladislaus.

– Wydaje mi się, że coś z tego będzie – odparł, upijając drobny łyk.

Po pierwszej wychylonej do dna lokalnym zwyczajem, drugą porcję czystej wódki traktował ze znacznie większym szacunkiem.

– Wszyscy mamy świadomość, że nie ma odwrotu – dodał, rozglądając się po siedzących przy stole najważniejszych przywódcach politycznych powstania.

– Co nie oznacza, że musimy wspólnie działać – zauważyła Tatiana. – Wszyscy nienawidzimy Korporacji, ale poza tym jesteśmy bardzo różni. Co jeszcze mamy wspólnego?

– Proszę nie lekceważyć siły nienawiści – uśmiechnął się posepnie Ladislaus. – Łączy nas wiele, jak choćby lepsze zrozumienie tego, czym powinna być Federacja, niż mają ci z Zadka. Co do tego także jesteśmy zgodni.

– Fakt – prychnęła dziwnie zimno Magda, po czym widząc zdziwienie pozostałych, roześmiała się. – Czy komuś z obecnych przyszło może do głowy, że to nie my jesteśmy radykałami, tylko oni? My jesteśmy konserwatystami: to oni przez wieki wypaczali konstytucję.

– Ano, mówiła często tak samo Fionna – przyznał Ladislaus, na moment zapominając o standardowym angielskim. – Poza tym w tak krótkim czasie, jaki mamy do dyspozycji, nie sposób stworzyć czegoś naprawdę nowatorskiego. Musimy więc oprzeć się na starych zasadach.

– A więc dlatego to przywiozłeś – ucieszył się Li Kai-lun, wskazując leżącą na stole



kartkę.

Ladislaus przytaknął, zadowolony z bystrości szefa delegacji Hangchow.

Li Kai-lun był nie tylko prezydentem planety, ale i emerytowanym admirałem. Jego poparcie – zarówno polityczne, jak i wojskowe – mogło okazać się wręcz bezcenne.

– Ano – przyznał. – Potrzebujemy systemu federalnego. Największym błędem Korporacji była centralizacja władzy i w ogóle wszystkiego. Owszem, taki system daje pole do manewru rządowi, ale skupia zbyt wiele władzy w jednym miejscu, a nawet przy zastosowaniu przekazników łączność jest zbyt wolna, by nie powodowało to zbyt wielu problemów. Zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych zwłoka staje się zbyt długa.

– To prawda – uśmiechnął się Li. – I jeśli się nie mylę, ta forma ustrojowa, którą proponujesz, przynajmniej się sprawdziła, bo o ile dobrze pamiętam historię, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej pozostały mocarstwem aż do Wielkiej Wschodniej Wojny.

\* \* \*

– ...a skoro musimy walczyć, to niech to będzie walka pod wspólnym sztandarem! Dlatego wnioskuję o utworzenie komitetu, który zająłby się opracowaniem sztandaru, flagi i bandery! – zakończył krępy delegat planety Lancelot, po czym odrzucił swój wyszywany w rodowe herby płaszcz i usiadł.

A Magda westchnęła cicho. Baronowie i książęta z planety Durandel jakoś dziwnie ją męczyli, aczkolwiek przyznawała, że ten pomysł miał swoje zalety.

– Doskonale – powiedziała formalnie. – Czy ktoś chce zabrać głos w kwestii wniosku o utworzenie komitetu, który ma opracować godła i flagi naszego nowego państwa?

– Popieram wniosek, pani przewodnicząca – oznajmił niespodziewanie Li Kai-lun.

Magda prawie wytrzeszczyła oczy, nie pojmując, dlaczego rozsądny człowiek poparł taki wniosek. Flaga, godło... marnowanie czasu i bicie piany. Musiał mieć jakiś powód, tylko nie rozumiała jaki.

– Doskonale. Wniosek został poparty, więc możemy przystąpić do głosowania. Kto jest za?

Odpowiedział jej chaotyczny, ale donośny chór potwierdzeń.

– Kto jest przeciw?

Nikt się nie odezwał.

– Wniosek został przyjęty. Panie Li, czy zechciałby pan przewodniczyć komitetowi?

– Naturalnie, pani przewodnicząca.

– Dobrze. Teraz następna sprawa...

\* \* \*

– Ale dlaczego? – Tatiana nie ustąpiła. – Mamy tyle ważniejszych spraw. Po co już teraz flaga i ta cała reszta?

– Nie zauważyłaś, kogo Kai-lun namówił do udziału w Komitecie? – spytał Ladislaus.

– Co? – Tatiana w pierwszym momencie nie rozumiała pytania. – Kogo?

Natomiast Magda nagle się roześmiała.

– Teraz pojmy! – przyznała. – Sprytne, Lad! Jak ci się udało wmanewrować w to barona de Bertholeta?

– Jean de Bertholet nie jest taki najgorszy. Nie dość, że jest po naszej stronie, to doskonale wie, o co chodzi.

– Dalej nie rozumiem – oznajmiła Tatiana.

– Zrozumiałabyś, gdybyś zobaczyła listę członków komitetu – zachichotała Magda. – Lad i Kai-lun wcisnęli tam większość „szlachetnie urodzonych”. Dzięki temu zajmują się niegroźnymi pierdołami i nie przeszkadzają w ważnych sprawach.

– Ano – przytaknął Lad. – Tak naprawdę nie sądzę, by chcieli nas wszystkich uszczęśliwić dziedziczną arystokracją, ale ostrożność w polityce jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Zwłaszcza przy pisaniu tekstu konstytucji.

– Lad jest podstępny i przewrotny osobnikiem – oceniła Tatiana.

– Ano jestem – przyznał z ciężkim westchnieniem.

\* \* \*

– Lad, chciałabym, żebyś poznał Ruperta M'tana – powiedziała Magda, wchodząc.

Ladislaus uniósł głowę nad sterty papierów i zmarszczył brwi, widząc ciemnoskórego oficera. M'tana co prawda nie zmarszczył się, ale obrzucił gospodarza badawczym spojrzeniem. Lad oparł łokieć na poręczy fotela i powiedział z namysłem:

– Kapitanie M'tana... jest pan najstarszym rangą oficerem wśród jeńców, jak myślę?

– Jestem. Byłem kapitanem flagowym admirała Waldecka.

– Aha... – burknął Lad, krzywiąc usta z niesmakiem.

– Zaraz, nie tak szybko, Lad – wtrąciła Magda. – Nie znasz całej sytuacji i właśnie wyciągnęłaś fałszywe wnioski. Kapitan M'tana otrzymał od Waldecka zakaz opuszczania miejsca zakwaterowania przed egzekucją Piotra.

– Ano?! – Ladislaus przyjrzał się oficerowi z nowym zainteresowaniem. – A spytać wolno dlaczego?

– Bo nie zgadzałem się z jego decyzją, panie Skjorning.

– Rozumiem... – powiedział zupełnie innym tonem Ladislaus i wskazał obojgu fotele, po czym dodał już w standardowym angielskim. – Pamiętam swoją służbę we flocie i przypuszczam, że musiał się pan ostro postawić, żeby go do tego sprowokować. Co pana tu sprowadza?

– Kapitan ma pewną sugestię, Lad. Myślę, że sensowną – odpowiedziała Magda. – Zwrócił się do mnie, wiedząc, że byłam oficerem Marynarki Federacji, a poza tym zdążyliśmy się dość dobrze poznać...

– Aha! – Ladislaus uniósł krzaczastą brew i spytał: – I coście razem wykombinowali?

– Chodzi o to, że podobnie jak wy z Beauforta, my też mamy sporo przyjaciół w Centrum... w różnych miejscach... lata całe kultywowaliśmy te znajomości, a teraz, gdy zaczęło się wreszcie powstanie, jesteście od nich odcięci.

– Ano. My też.

– Właśnie. Kapitan M'tana chyba znalazł sposób, by choć częściowo temu zaradzić.

– Doprawdy? – spytał Lad, przyglądając się twardo M'tanie.

Ten poruszył się niespokojnie, ale nie spuścił wzroku.

– Wydaje mi się, że tak. Proszę zrozumieć jedną rzecz, panie Skjorning: pochodzę z Centrum, ale gdy moi przodkowie kolonizowali Xhosę, nie robili tego tak całkowicie dobrowolnie. Sądzę, że co nieco wiemy o wyzysku i ucisku, tyle że większość zdążyła już zapomnieć. Nie powinno tak się stać, ale cóż... Oznacza to, że w tej sytuacji mamy pewne zobowiązania. Nie chcę podziału Federacji i w tej sprawie pan i ja nigdy nie osiągniemy porozumienia. Ale jestem, jaki jestem, i perspektywa długiej krwawej wojny domowej też mi nie odpowiada, choć wiem, że bez walki się nie obejdzie: zbyt wiele krwi już przelano, by samymi papierkowymi deklaracjami dało się sprawę załatwić. Mam więc dwie możliwości: odmówić jakiegokolwiek pomocy i czekać na wymianę jeńców, a potem na okazję dalszego uczestnictwa w zabijaniu, albo spróbować wam pomóc. Nie dlatego, że jestem waszym zwolennikiem, bo nie jestem, ale żeby uzmysłowić władzom Federacji, że nawet jeśli was pokonają militarnie, i tak nie wygrają.

– Rozumiem... – Ladislaus uśmiechnął się. – Chyba zaczynam pana lubić i to nie dlatego, że mogę na tym skorzystać. Ma pan zresztą rację: sprawy zaszły za daleko i zbyt wiele krwi przelano... Co pan rozumie przez pomaganie nam?

– Jest to związane ze zgodą na korespondencję między jeńcami a ich rodzinami – odparła zamiast niego Magda. – Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym niedawno. Damy mu hasła i adresy naszych ludzi na Xhosie i w ten sposób jego rodzinna korespondencja otworzy nam kanał łączności.

Ladislaus przyglądał się cały czas twarzy oficera, ale nie zdołał z niej nic wyczytać.

– Wie pan, jaka spotka pana kara, jeśli władze Federacji kiedykolwiek to odkryją? – spytał cicho.

– Wiem – przyznał spokojnie M'tana. – Ale wiem też... teraz wiem, jak z wami postąpiono, a ja przysięgałem wierność Federacji, nie jakiemuś konkretnemu rządowi. Jeśli mogę w jakiś sposób wpłynąć na skrócenie tej wojny i na zmniejszenie liczby ofiar, muszę to zrobić. Poza tym, panie Skjorning, zabijanie ludzi, nawet zdrajców z prawnego punktu widzenia nie jest czymś, z czego byłbym dumny czy co chciałbym robić.

– Rozumiem... – powtórzył wolno Ladislaus i pokiwał głową. – Cóż, w takim razie przejdźmy do szczegółów, kapitanie...

\* \* \*

– I co powiesz, Chang? – spytała Li Han, odchyłając fotel do tyłu i przyglądając się swemu szefowi sztabu.

Znajdowali się w sali odpraw krążownika liniowego *Longbow*, a obok Tsinga siedział komandor Robert Tomanaga, jej nowy oficer operacyjny. Po przeciwnej stronie stołu, za oficerem astronawigacyjnym komandor porucznik Esther Kane, siedział podporucznik David Reznick, oficer radioelektroniczny.

– Razem z komandorem Tomanaga opracowaliśmy plan operacyjny floty, ma'am. Dokładniej sprawdzimy go na symulatorze, ale wygląda na dobrze przygotowany.

– Zgadza się pan z tą opinią, komandorze Tomanaga? – spytała Han.

– Tak, ma'am. Oczywiście przydałyby się większe siły, zwłaszcza jeśli chodzi o okręty liniowe, ale jakoś bardziej się liczy niż ilość – odparł z uśmiechem.

Jego bezpośredniość zaskoczyła Han – Tomanaga posiadał niezbędne kwalifikacje, ale tylko w teorii, tak jak wszystkim łącznie z nią brakowało mu bowiem doświadczenia na nowo objętym stanowisku. Awanse stanowiły konieczność, gdyż starszych rangą oficerów było zbyt mało, i dlatego ona sama była teraz komandorem i dowódcą eskadry krążowników liniowych równocześnie. Zielonym jak szczypiorek na wiosnę – to określenie najlepiej oddawało jej zasób doświadczeń w dowodzeniu większą liczbą okrętów.

– Proszę nam w takim razie przedstawić ten plan, komandorze – poleciła.

– Chciałbym zacząć od omówienia ogólnej sytuacji, bo to pomoże w zrozumieniu znaczenia naszych działań. Otóż mamy sporo problemów natury operacyjnej, ale sądzimy, że przeciwnik ma ich znacznie więcej. Jak dotąd około siedemdziesięciu procent jednostki Floty Granicznej przeszło na naszą stronę lub zostało przez nas zdobytych, podobnie jak dwadzieścia procent jednostek Battle Fleet. Nasze siły są jednak rozproszone po całym Pograniczu, a ponieważ jedynym sposobem utrzymania łączności są kapsuły kurierskie, skoncentrowanie ich zajmie sporo czasu. Dlatego w przewidywalnej przyszłości to, co znajduje się w tym systemie, uznać należy za pełne siły, którymi dowodzi admirał Ashigara.

Han stłumiła chęć pogonienia go – mieli czas, a lepiej było się upewnić, że wszyscy członkowie sztabu rozumieją i sytuację, i zamierzenia dowództwa floty.

– Wywiad ocenia, że przeciwnik stracił znacznie więcej okrętów, niż my zdobyliśmy, ale chwilowo nie sposób tych strat oszacować dokładniej – kontynuował Tomanaga. – Najwięcej ubyło im myśliwców, ponieważ większość pilotów pochodziła z Pogranicza. W każdym razie na pewno brakuje im sił do prowadzenia działań zaczepnych, natomiast posiadają lepszą łączność, prawie kompletną strukturę dowodzenia oraz pozycję wewnętrzną w stosunku do nas, co oznacza, że mogą przemieszczać swe siły znacznie szybciej niż my. Naszym pierwszym celem strategicznym jest zabezpieczenie granic, nim przeciwnik zorganizuje się na tyle, by przejść do kontruderzenia. Aby to osiągnąć, dowództwo zaplanowało serię ataków na węzłowe systemy zwane też wąskimi gardłami. My mamy zaatakować Cimmaron. Jeśli nam

się uda, odetniemy przeciwnikowi cztery możliwe kierunki kontrataku.

Nacisnął klawisz na znajdującej się przed nim klawiaturze i nad stołem pojawiła się holoprojekcja przedstawiająca najbliższy sektor przestrzeni. Tomanaga wziął wskaźnik laserowy i podświetlił jeden z systemów.

– To jest Cimmaron – wyjaśnił. – Położony o dwa tranzyty stąd, pierwszy do systemu Redwing, drugi do Cimmaron. Redwing jednakże należy do Linii; zdecydowano nie atakować żadnego z wchodzących w jej skład systemów, lecz je izolować. Dlatego udamy się tam inną drogą. Będzie to szlak: stąd do Donwaltz, potem do MXL-23, do Lassy, do Aklumar i do Cimmaron. Trasa jest dłuższa, ale aż do Aklumar znajduje się w naszych rękach. Z uwagi na odległość w skład grupy wchodzi wyłącznie lotniskowce, krążowniki liniowe i lżejsze jednostki. Okręty liniowe spowolniłyby tempo lotu o jedną trzecią. W systemie Aklumar zgodnie z ustaleniami traktatu zawartego na Tycho nie ma fortyfikacji. A ponieważ nie wiemy o naszym przybyciu, przewagę wynikającą z zaskoczenia powinniśmy utrzymać aż do pojawienia się w systemie Cimmaron.

Wyłączył holoprojektor, odłożył wskaźnik i dodał:

– Co zastaniemy w Cimmaron, możemy jedynie przypuszczać. Umocnienia stałe bazy są standardowe, więc tym nie ma co się przejmować. Natomiast forty orbitalne i strzegące warpów to zupełnie inna historia. Jest tam jedenaście fortów typu IV, a trzy z nich bronią wyjścia z warpa prowadzącego do Aklumar. Przed powstaniem było tam też dużo myśliwców bazujących na planetach i w fortach. Nie mamy gwarancji, że nie ściągnęli lokalnych pilotów, bo muszą sobie zdawać sprawę z wagi tego systemu. Dlatego będzie on uprzywilejowany w otrzymywaniu uzupełnień i wzmacnianiu stacjonujących tam sił, nie tylko myśliwskich. My dysponujemy dwiema eskadrami krążowników liniowych (naszą i komandor Pietrownej) i czterema eskadrami lotniskowców wraz z eskortą. Łącznie około trzystoma myśliwcami. Powinno to dać nam przewagę, acz niewielką. Największy problem wyniknie zaraz po tranzyście, gdyż krążowniki będą musiały związać walką forty, dopóki lotniskowce nie ustabilizują katapult i nie będą w stanie włączyć się do akcji.

Wszyscy obecni wiedzieli, co to oznacza – fort typu IV był większy, lepiej uzbrojony i silniej opancerzony od superdreadnoughta. Nie ulegało wątpliwości, że nie wszystkie krążowniki liniowe doczekają startu myśliwców.

– To najogólniejsze założenia planu – dodał Tomanaga. – Będziemy też mieli kilkaset rozmontowanych myśliwców do obsadzenia systemu po jego zdobyciu, ponieważ większość lotniskowców zostanie z niego wycofana. Mają zostać użyte do ataków na systemy Bonaparte i Zephraim. Reszta ma później przebazować do Gastenhowe. Zdobycie Cimmaron i Zephraim jest najważniejsze tak dlatego, że chcemy lepiej chronić ten system, w którym jesteśmy obecnie z uwagi na jego znaczenie polityczne, jak i ze względu na samą bazę Zephraim.

– Dziękuję, komandorze Tomanaga – powiedziała cicho Han, gdy umilkł ostatecznie, i rozejrzała się po obecnych.

Tsing wyglądał na zamyślonego, ale on zawsze doskonale ukrywał emocje. Był po prostu sobą – nieprzeniknionym flegmatykiem, na którego zawsze można było liczyć. Tomanaga sprawiał wrażenie pewnego siebie, i nic dziwnego – to było jedno z zadań oficera operacyjnego. Trudno zresztą byłoby kwestionować logikę i sensowność planu, a sam miał brać udział w jego realizacji. Na wszelki wypadek postanowiła jednak mieć go jeszcze na oku.

Komandor porucznik Kane miała zamyślony wzrok i odruchowo bawiła się puklem włosów. Gdy Tomanaga referował, sporo notowała, a potem podkreśliła pewne fragmenty, jakby uznała, że niektóre sprawy wymagają przeanalizowania. Han była ciekawa, co ją tak zaintrygowało, i postanowiła to przy pierwszej okazji sprawdzić.

Na koniec spojrzała na porucznika Reznicka, najmłodszego członka swego sztabu i być może najinteligentniejszego. Myślał nad czymś intensywnie, marszcząc brwi, toteż spytała:

– Coś pana niepokoi, poruczniku?

– Przepraszam? – Reznick spojrzał na nią pustym wzrokiem, zamrugał powiekami i zaczerwienił się. – Przepraszam, ale czy mogłaby pani powtórzyć pytanie, ma’am?

Han z trudem stłumiła uśmiech.

– Pytałam, czy pana coś niepokoi.

– Nie w planie operacji, ma’am. Trochę martwi mnie elektronika.

– Tak? – Spojrzała nań wyczekująco.

– Tak, ma’am. Chodzi o to, że *Longbow* nie został zbudowany jako okręt dowódcy eskadry, więc wpakowaliśmy wszystko co niezbędne na miejsce dwóch wyrzutni rakiet, ale cała sieć jest prowizorką na klej, drut i nieśmiertelną szarą taśmę. Zawiera też masę części cywilnych, a i tak nie mieści się w sekcji radioelektronicznej. Jeżeli będziemy musieli w czasie walki zamknąć drzwi, by utrzymać hermetyczność pomieszczeń, stracimy sporo możliwości.

– Ale system działa? – upewniła się Han.

– Działa, ma’am, tyle że gdy zaczniemy obrywać, to bardzo szybko przestanie, bo go szlag... to jest, chciałem powiedzieć, bo nie wytrzyma wstrząsów – poprawił Reznick i zarumienił się po czubki uszu.

Obecni parsknęli śmiechem, więc po chwili on też się uśmiechnął.

Han odetchnęła z ulgą. Członkowie sztabu nie mieli czasu się zgrać, ale wydawali się dobrze nawzajem rozumieć.

– W porządku, David – powiedziała, sięgając po notes. – Podaj mi najgorszą przewidywaną wersję wydarzeń i spróbujemy coś na to zaradzić.

– W takim razie, ma’am – Reznick także otworzył notes, odszukał stosowną stronę i zaczął: – Po pierwsze...

\* \* \*

– Ależ Lad, przyjęliśmy twoją konstytucję i twoją deklarację – przypomniał z naganą Li Kai-lun. – Mógłbyś więc przynajmniej poprzeć projekt flagi i godła, które prosiłeś, żebym opracował!

Ladislaus spojrział na rozłożoną na stole flagę z ledwie skrywanym obrzydzeniem. Pstrokata była bowiem, aż w oczach ćmiło. Na środku czarnej płaszczyzny znajdowało się złote słońce (z promieniami!), a wokół niego owijał się krwistoczerwony wąż ze skrzydełkami dziwnie przypominający pseudowala. Na dodatek gdyby nie skrzydełka, promyki i jaskrawe barwy, byłoby to godło planety Beaufort.

– Coś mi się widzi, że nie będzie zbyt popularna – ocenił ostrożnie.

– Wy, biali, zawsze wynajdujecie problemy tam, gdzie ich nie ma! Dlaczego przez tyle wieków nie nauczyliście się z pokorą godzić z karmą?

– Bo ta karma sprowadza się do tego, że mnie powieszają, jak to zobaczą, ty stary rasisto!

– Skądże znowu! Godło Beauforta powinno występować, co do tego cały komitet był zgodny. A z myślą tych, którzy lubią więcej symboliki, dołożyliśmy gwiazdę i skrzydła, by oddawały ducha wielkości i siły naszego nowego państwa. Teraz rozumiesz?

– Słuchaj no, czy nie dorabiałeś czasami jako sprzedawca używanych samochodów? – spytał podejrzliwie Ladislaus.

– Nigdy, a dlaczego pytasz?

– Wolałem sprawdzić. – Ladislaus zamyślił się i w końcu machnął zrezygnowany ręką. – Niech już będzie moja krzywda. Skrzydlaty pseudowal... no dobrze.

– Doskonale – ucieszył się Kai-lun, złożył starannie projekt i skierował się ku drzwiom.

Nim jednak do nich dotarł, przystanął i powiedział z uśmiechem:

– Tak w ogóle to on jest symbolem szczęścia.

– Co proszę?! Zmyślasz! Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś uważał pseudowala za coś takiego!

– Widzisz, kiedy dodać skrzydła, to to już nie jest pseudowal.

– A co?! – spytał Ladislaus z rosnącą podejrzliwością.

– To wie każde dziecko na Hangchow, Lad. – Kai-lun uśmiechnął się niewinnie. – To jest smok, mój przyjacielu.

\* \* \*

Komodor Pietrowna w nowym mundurze wyglądała elegancko. Czowała się natomiast nieswojo, świadoma, że widzą ją oficerowie i członkowie załóg na wszystkich okrętach Marynarki Republiki obecnych w systemie.

– Panie i panowie, przedstawiam wam prezydenta Republiki Wolnych Ludzi, Ladislaus a Skjorninga – oznajmiła uroczyście.

I z ulgą przełączyła kamery, znikając z ekranów.

Pojawił się na nich Ladislaus Skjorning z twarzą spokojną, ale z ogniem w oczach.

Siedział za prostym biurkiem, a za sobą miał skrzyżowane flagi nowo powstałego państwa.

– Panie i panowie – przemówił w standardowym angielskim. – Czternaście lat temu ja także byłem oficerem w Marynarce Federacji. I dlatego dobrze wiem, ile każdego z was kosztowało dokonanie wyboru, dzięki któremu znajdujecie się teraz tu. Mnie kosztowało to także wiele. Musieliśmy wykazać wiele determinacji i odwagi, by zdobyć to, co zdobyliśmy. Nie przyszło nam to łatwo, ale osiągnęliśmy cel – stworzyliśmy państwo i nie zrezygnujemy z utrzymania go. To wy będziecie walczyć o nasze nowe państwo i nasz naród. Wielu z was zginie, a historia przyzna, że byliście tymi, którzy w pełni zrozumieli znaczenie obowiązku i wykonywali go najlepiej, jak potrafili. Uważam, że zanim to nastąpi, powinienem raz jeszcze dokładnie powiedzieć, o co i dlaczego walczymy. I dlatego poprosiłem admirała Ashigarę o połączenie ze wszystkimi okrętami równocześnie. Nagram za chwilę pierwszą oficjalną wiadomość adresowaną do rządu Federacji i Zgromadzenia Legislacyjnego i chcę, byście przez wzgląd na to, kim jesteście i czego będziecie musieli wkrótce dokonać, byli świadkami tego wydarzenia. Reprezentujemy wiele światów i wiele sposobów życia i choć wszyscy wywodzimy się z jednej ojczystej planety, z Ziemi, różnimy się między sobą znacznie. Nie zgadzamy się nawet w takich kwestiach jak natura Boga czy ostateczne zakończenie ewolucji naszego gatunku. Natomiast jesteśmy zgodni w jednym: to, co nam zrobiono, jest niedopuszczalne. Nie będziemy dłużej tolerować systematycznego grabienia i manipulowania gospodarkami naszych planet oraz pogardy dla naszego stylu życia. Żaden rząd nie ma prawa tak oszukiwać i wykorzystywać swych obywateli, jak to uczynił rząd Federacji. I fakt, że w tej fundamentalnej kwestii jesteśmy zgodni, wystarczy, jak to dobitnie ilustruje wasza obecność tutaj i fakt, że nosicie te, a nie inne mundury. Różnimy się w poglądach na naturę Boga czy stosunkiem do Niego, ale jakkolwiek by On był, niech będzie mi świadkiem, że jestem dumny, iż mogę do was wypowiedzieć te słowa, i z tego że wy i wasze planety wsparliście wspólną sprawę, dzięki czemu to wszystko stało się możliwe.

Przerwał i na chwilę opuścił wzrok. W blat biurka wbudowany był ekran monitora z tekstem, ale ściągą była mu niepotrzebna – to, co chciał powiedzieć, miał wyryte w sercu i w pamięci. Uniósł głowę i dodał:

– Niektórzy rozpoznają źródło, z którego pochodzą te słowa, choć nie będzie ich wielu. Osobiście jestem przekonany, że nikt nigdy nie ujął tego lepiej, i mam nadzieję, że przypomnienie ich pomoże obywatelom Federacji zrozumieć motywy naszego postępowania, niezależnie od tego jak kłamliwie przedstawiłby je jej obecny rząd.

Ponownie umilkł. Potem wyprostował ramiona, spojrzał prosto do kamery i zaczął mówić wolno, spokojnie i dobitnie:

– Do rządu i Zgromadzenia Legislacyjnego Federacji Ziemskiej. Mówi Ladislaus Skjorning, prezydent Republiki Wolnych Ludzi, w imieniu rządu i Kongresu Republiki. Kiedy w dziejach ludzkich stanie się tak, że jedni zechcą zerwać polityczne więzi łączące ich z innymi i poszukać własnego miejsca w galaktyce, do którego posiadania uprawnieni są



zarówno z mocy praw boskich, ludzkich, jak i naturalnych, uczciwość i szacunek dla opinii wszystkich ras wymaga, by zadeklarowali otwarcie powody, które skłoniły ich do aktu separacji. Uważamy za prawdę niepodważalną, że wszystkie istoty inteligentne zostały stworzone równymi, że dano im pewne nienaruszalne prawa, takie jak prawo do życia, wolności i poszukiwania szczęścia...

Głęboki głos Ladislausa brzmiał dumnie, ale równocześnie słyhać w nim było szacunek, gdy wypowiadał te stare, choć zaadaptowane do nowych warunków prawdy.

Ci, którzy mieli przeżyć zbliżające się bitwy, oglądali nagranie tego przemówienia, wspominając niepowtarzalne uczucie, które towarzyszyło ich uczestnictwu w tym wydarzeniu. W tamtej chwili bowiem w jakiś sposób, poza czasem i przestrzenią, połączyli się z Ladislausem Skjorningiem. Niewielu pamiętało następnego dnia jego słowa, ale wszyscy pamiętali siłę jego głosu i emocje, które wyraził – złość, zniecierpliwienie i mimo wszystko przywiązanie do państwa, którego już nie mogli być dłużej obywatelami. Listę nadużyć znali aż za dobrze i wiedzieli, że ten rozłam, który oto został oficjalnie ogłoszony, jest ostateczny. Powrót do tego, co było, i do tego, kim byli, stał się niemożliwy. I to właśnie ta równoczesna utrata państwa i narodziny nowego spowodowały, że Marynarka Republiki miała siłę, jaką posiadało niewiele formacji wojskowych w dziejach ludzkości.

– ...i dlatego musimy ogłosić swe odłączenie i uznać was, tak jak wszystkie rasy inteligentne galaktyki, za wrogów w czas wojny, a za przyjaciół w czas pokoju. I dlatego reprezentanci Republiki Wolnych Ludzi zebrani na generalnym Kongresie w imieniu i z upoważnienia obywateli planet, z których pochodzą, deklarują, iż te światy są zjednoczone i mają prawo pozostać wolnym i niezależnym państwem. A także że zwolnione są od jakiegokolwiek podległości władzom i Zgromadzeniu Legislacyjnemu Federacji Ziemskiej i że jakiegokolwiek polityczne więzi między nimi a Federacją Ziemską przestały istnieć i tak też pozostanie. Ogłaszają także, że są wolnym i niezależnym państwem mającym prawo wypowiadać wojnę, zawierać sojusze, traktaty pokojowe i umowy handlowe oraz wszystkie inne umowy, do jakich prawo mają niezależne państwa.

Ladislaus przestał mówić, przez długą chwilę spoglądał w milczeniu i z niewzruszoną twarzą w kamerę, po czym grzmącym głosem wygłosił zakończenie:

– I by wesprzeć tę deklarację przy ufności w opiekę Opatrzności, przysięgamy poświęcić życie, majątki i honor.

# CZEŚĆ TRZECIA

„...umiera się raz,  
a śmiercią spłacamy dług Najwyższemu”

William Shakespeare  
*Henryk IV*, cz. II, akt III, scena druga

## Rozdział XII

# OFENSYWA

RNS *Longbow* opuścił orbitę Nowej Rodiny pięć godzin temu. Komodor Li Han i kapitan Tsing Chang jechali windą na mostek. Oboje mieli jak zwykle nie wyrażające niczego miny i oboje martwili się o to samo – jaka okaże się w praktyce nowa załoga.

Trapiło to wszystkich dowódców Marynarki Republiki, ponieważ we flocie brak było doświadczonych weteranów. Z sześćdziesięciu procent członków załóg Marynarki Federacji pochodzących z Pogranicza ponad dziewięćdziesiąt procent zbuntowało się, ale zacięte walki tak na pokładach, jak i między okrętami przyniosły ofiary i w rezultacie Marynarka Republiki dysponowała niespełna połową potrzebnych do obsadzenia posiadanych jednostek wyszkolonych załóg.

Jeszcze gorzej wyglądało to wśród starszych rangą oficerów. Jedynym admirałem, który ocalał i przeszedł na stronę powstańców, była admirał Ashigara. Inni zginęli na pomostach flagowych swych okrętów, gdzie walki były najbardziej zacięte, a liczba ofiar największa. Stąd wziął się awans Han, dlatego też jako jeden z nielicznych oficerów z doświadczeniem, i to z Battle Fleet, pozostała także dowódcą *Longbowa*.

Na szczęście z tą sytuacją wiązało się też kilka miłych niespodzianek, jak na przykład powrót do służby komodor Magdy Pietrownej. Han nie zdążyła jej poznać tak dobrze, jak by chciała, gdyż Pietrowną za bardzo pochłaniało zamknięcie swoich spraw politycznych i objęcie nowego dowództwa, ale przedwcześnie posiwała pani oficer udowodniła swą wartość w bitwie o Nową Rodinę. A fakt, że na swego szefa sztabu wybrała Jasona Windridera, pogłębił szacunek Han. Mając kogoś takiego u boku, znacznie spokojniej myślała o nadchodzącej bitwie.

Winda zatrzymała się, drzwi otworzyły i znaleźli się na mostku. Na ich widok oficer wachtowy wstał, natomiast reszta obsady pozostała na miejscach. Istnieli kapitanowie wymagający całego przepisowego ceremoniału, gdy zjawiali się na mostku, ale Han nie musiała się w ten sposób dowartościowywać. Wolą, by operatorzy wykonywali swoje obowiązki bez zbędnych przerywników gimnastycznych.

– Dobry wieczór, panie Sung – powitała swego zastępcę.

– Dobry wieczór, ma’am. Witam, komodorze Tsing.

Słyszając to, Han prawie się uśmiechnęła. Tytuł był Tsingowi nienależny; jej zastępca wyszedł z logicznego założenia, iż na okręcie może być tylko jeden kapitan – ten, który nim dowodzi. Inaczej zamieszanie, zwłaszcza w trakcie bitwy, było nieuniknione. Dlatego Tsing mający rangę kapitana w rozmowach na mostku tytułowany był grzecznościowo komodorem, a do niej z kolei, choć miała stopień komodora, zwracano się per „pan kapitan”. Komodorem była natomiast jako dowódca 12. Eskadry Krążowników Liniowych. Większość jej podkomendnych dla ułatwienia zwracała się do niej po prostu „ma’am”, chyba że już absolutnie nie mieli wyboru.

– Przejmuję stery, panie Sung – oznajmiła formalnie, siadając w fotelu kapitańskim.

– Aye, aye, ma’am – potwierdził, przechodząc za jego oparcie.

– Kiedy tranzyt, panie Chu? – spytała.

– Za około czterdzieści trzy standardowe godziny, ma’am.

– Doskonale. – Han obróciła się wraz z fotelem do pierwszego oficera. – Komandorze Sung.

– Słucham, ma’am – w głosie Sunga krył się niepokój.

Han przyjęła to z zadowoleniem

– Od ostatnich ćwiczeń całej załogi minęło sporo czasu. Nie sądzi pan, że kilka godzin rozgrzewki dobrze by ludziom zrobiło?

Sung Chung-hui obawiał się tego pytania. Co prawda *Longbow* poniósł najmniejsze straty w ludziach ze wszystkich okrętów Siedemnastego Zespołu Wydzielonego, ale dowództwo Republican Navy bezlitośnie przetrzebiło jego załogę, zabierając ilu się dało doświadczonych ludzi. Dotyczyło to zwłaszcza podoficerów i starszych podoficerów. Z obsady mostka pozostała ledwie połowa, a w innych działach było jeszcze gorzej. Sung robił, co mógł, i załoga liczebnie była w komplecie, ale należało do niej zbyt wielu rekrutów i rezerwistów nadal jeszcze przyuczających się do obowiązków, by miał złudzenia, że podobne ćwiczenia będą czymś więcej niż pasmem zgryzot i problemów.

Zerknął na Tsinga, ale ten był wręcz zafascynowany głównym ekranem taktycznym. Widząc, że znikąd nie otrzyma pomocy, nabrał powietrza w płuca i oświadczył zrezygnowany:

– Kiedy tylko pani sobie życzy, ma’am.

– W takim razie proszę ogłosić alarm bojowy! – poleciła Han.

Sung jęknął w duchu i wykonał polecenie.

\* \* \*

Najwłaściwszym określeniem wyniku ćwiczeń było „straszny”. Han wpadła na nie pod prysznicem. Biorąc pod uwagę skład załogi, nie było aż tak źle, ale w czasie walki nie było miejsca na „branie pod uwagę” takich rzeczy. Kiedy zaczyna się wymiana ognia, istnieją

tylko dwa rodzaje załóg: dobra i martwa. Przed buntem *Longbow* był doskonale dostrojonym narzędziem, ale wspomnianie przeszłości nie miało wpływu na stan obecny. A ten nie był winą Sunga. Po prostu nie miał dość czasu, by odpowiednio wyszkolić i zgrać załogę, choć spisał się naprawdę najlepiej jak mógł w tych okolicznościach.

Wyłączyła wodę i sięgnęła po ręcznik.

Miała świadomość, że w ciągu najbliższych paru dni oboje z Sungiem staną się najbardziej nie lubianymi osobami na pokładzie, ale wolała być niepopularna niż martwa. Jediną pociechę stanowiło to, że zdołała utrzymać większość obsługi antyrakietowej, i widać to było po wynikach ćwiczeń. Natomiast kontrola uszkodzeń i załoga maszynowa były wręcz tragiczne. Fakt, Sung skoncentrował się na artylerzystach, elektronikach i obsadzie mostka, by zapewnić okrętowi jak największą manewrowość i celność ognia, ale teraz należało zająć się resztą.

Otuliła się ręcznikiem i siadła przed komputerem. Zgodnie z odwieczną tradycją wyszkolenie załogi należało do obowiązków pierwszego oficera, a kapitan miał niewielkie możliwości czy nawet prawa do ingerencji. Jednakże to ona była dowódcą, a więc ostateczna odpowiedzialność spoczywała na niej, a poza tym oboje z Sungiem wiedzieli, jak mało ten drugi ma doświadczenia w wypełnianiu nowych obowiązków, toteż zdecydowała, że może się wtrącić, nie ryzykując podejrzeń, że stracił jej zaufanie.

Odpaliła system, weszła w plik korespondencji i powoli oraz z namysłem zaczęła pisać.

„Do: Komandor Sung C.

Od: Komodor Li H., kapitan RNS *Longbow*

Dotyczy: przeprowadzonych dziś ćwiczeń

Ćwiczenia całej załogi wykazały, iż jedynie obrona przeciwrakietowa i obsada mostka sprawnie i kompetentnie wykonują swoje obowiązki. Wyniki załogi maszynowej plasują się znacznie poniżej akceptowalnego poziomu, a ocena umiejętności całej załogi pozostawia wiele do życzenia. Dlatego też sugerowałabym:

1. Serię intensywnych ćwiczeń...”

Teraz wpadła już w trans i słowa pojawiały się na ekranie szybko i bez poprawek. Tak ją to pochłonęło, że zapomniała nawet wysuszyć swoje długie, czarne włosy.

\* \* \*

Han pociągnęła nosem, czując znajomy aromat dymu z fajki. Niewielu członków załóg paliło, a ona nie lubiła dymu papierosowego, za to – choć się do tego nigdy głośno nie przyznała – podobał jej się zapach tytoniu i aromat rozsiewany przez fajkę Tsinga. Naturalnie prywatnie regularnie miała mu za złe niezdrowe nawyki.

Obrzuciła spojrzeniem pozostałych siedzących przy stoliku – porucznika Reznicka i komandora Sunga. Ten ostatni przyglądał się jej czujnie, co było zrozumiałe, gdyż ostatnie tygodnie nie były dla niego najprzyjemniejsze, choć radził sobie nieźle. Nawet ostatni alarm

łodziowy okazał się całkiem udany, choć tego mu naturalnie nie powiedziała. Może i było to nieuprzejme, ale inspirowało do maksymalnego wysiłku.

– Jak sądzisz, Chang: załoga zdoła włożyć buty bez nadzoru i pomyłek? – spytała w końcu.

– Wolno, ale zdoła, ma'am. – Tsing wypuścił idealne kółko dymu, i spoglądając na Sunga, dodał: – Ledwie zdoła.

Sung prawie zapadł się w sobie.

A Han potrząsnęła głową z naganą.

– Prawdę mówiąc, pierwszy, uważam, że całkiem nieźle się pan spisał. Są jeszcze pewne problemy, ale w sumie to już drobiazgi, a załoga osiągnęła poziom, który zupełnie uczciwie można uznać za dobry – powiedziała poważnie. – Do doskonałości jeszcze daleko, ale są już na dobrej drodze.

– Dziękuję, ma'am – Sung się rozpromienił.

– Na co zresztą jest najwyższy czas – dodała, uaktywniając holoprojektor.

Nad stołem pojawiła się mapa najbliższych systemów.

– Za około godzinę znajdziemy się w systemie Lassa – oznajmiła. – Osiemdziesiąt jeden godzin później będziemy gotowi do wystrzelenia sond do systemu Aklumar.

– Co powinno okazać się interesującym doświadczeniem, ma'am – ocenił Tsing.

– Nie aż tak ciekawym jak zwiad Cimmaron – przypomniała mu Han. – Chunghui, poprosiłam, byś do nas dołączył, ponieważ będę potrzebowała szczególnie pana i Changa. Żeby koordynować atak całej grupy i dowodzić równocześnie *Longbowem*, muszę na was rzucić część obowiązków i odpowiedzialności, obaj więc powinniście zrozumieć dokładnie, co zaplanowałam. Ustalimy też, co do kogo należy. Czy to jasne?

– Tak, ma'am.

– Doskonale. Kwestia pierwsza: dokonamy tranzytu do systemu Cimmaron przed komodor Pietrowną, ponieważ w banku danych obrońców *Longbow* nie figuruje jako okręt dowodzenia. Ale przeróbka kosztowała nas dwie wyrzutnie rakiet, więc nie możemy opróżnić zewnętrznych razem z pozostałymi okrętami. Będziemy odpalali po dwie równocześnie z każdą salwą burtową pokładowych wyrzutni, jak długo będziemy w stanie. Bo gdy tylko przeciwnik zorientuje się, że *Longbow* jest jednak okrętem dowodzenia, skoncentruje na nas ogień. Po drugie, kiedy dokonamy tranzytu do systemu Aklumar, niezależnie od meldunków przekazanych przez sondy załoga ma być w stanie alarmu bojowego. Mam nadzieję, że nie natkniemy się tam na żadną niespodziankę, ale ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest Druga Bitwa o Aklumar.

Sung i Tsing kiwnęli głowami – mówiła o jednej z decydujących bitew w pierwszej wojnie międzyplanetarnej, stoczonej w tym systemie.

– Trzeba natomiast wziąć pod uwagę, że jeśli dowodzący w Cimmaron jest człowiekiem przezornym, zapewne obsadził Aklumar pikietą zwiadowczą, by uniknąć zaskoczenia w

przypadku ataku. Ja bym tak postąpiła, a założenie, że przeciwnik jest głupszy od nas, z reguły się mści – kontynuowała Han. – Jeżeli tak zrobił, umieścił ją... o, w tym rejonie, bo wtedy zdążyłaby nas wykryć i uciec. Musimy więc się upewnić, czy znajduje się tam wrogi okręt czy nie, zanim znajdziemy się w zasięgu jego sensorów. A potem musimy go zniszczyć, nim zdąży uciec. Dlatego zaproponowałam admirał Ashigarze, żebyśmy dokonali tranzytu z użyciem pełnego maskowania elektronicznego. W ten sposób mamy szansę zbliżyć się do niego niepostrzeżenie.

– Ma'am? – powiedział niepewnie Sung.

– Słucham?

– Nie wszystkie okręty grupy mają systemy maskujące.

– Wiem. Mamy je my i lekkie krążowniki, toteż polecimy we trójkę przed resztą grupy i oczyścimy drogę.

– Chyba że byłby to lotniskowiec eskortowy, ma'am. – Sądząc z tonu Tsinga, nie pierwszy raz zgłaszał to zastrzeżenie. – Wystarczy para maszyn myśliwsko-rozpoznawczych stale patrolująca okolicę i nie mamy szans go zaskoczyć.

– Już o tym dyskutowaliśmy, Chang, i nadal uważam, że to niezwykle mało prawdopodobne. Wszystkie lotniskowce eskortowe wchodziły w skład Floty Granicznej i są albo nasze, albo zostały zniszczone. A nikt nie ryzykuje wysłania do takiego zadania lotniskowca floty czy uderzeniowego, gdyż są zbyt cenne.

– Zapewne ma pani rację, ma'am, ale moim obowiązkiem jest wskazać potencjalne słabe punkty planu, prawda? W takim razie oto następny: mógł użyć lekkiego krążownika.

– I zgodnie z zasadami sztuki powinien – zgodziła się Han – ale lekkich krążowników też im brakuje. Jeżeli w Cimmaron akurat tak nie jest i wysłali na pikietę lekki krążownik, to cały plan i tak weźmie w łeb. Zamaskowanego okrętu nie zauważą sondy, a my bez aktywnych sensorów najprawdopodobniej też nie. On ich również nie użyje, ale nie musi, bo i tak, używając pasywnych, odkryje nas wystarczająco wcześniej, by zdołać uciec. Wykona zadanie i nie uda nam się ich zaskoczyć. Ale istnieje tylko jeden sposób, żeby się przekonać, czy to rozumowanie jest słuszne, prawda?

– Może pani poprosić admirał Ashigarę o wysłanie myśliwców, by to sprawdziły, ma'am – zaproponował niepewnie Sung.

– Mogłabym, gdyby myśliwce były wyposażone w jakiegokolwiek systemy do prowadzenia wojny radioelektronicznej.

– Przepraszam, powinienem był o tym pomyśleć, ma'am – przyznał przygnębiony.

– Każdemu się zdarza – pocieszyła go Han. – W każdym razie wracamy do tego, że sami musimy sobie poradzić z tym problemem. Dlatego kontrola ognia, artylerzyści i operatorzy sensorów mają zachować szczególną uwagę. Musimy go zniszczyć, zanim wystrzeli kapsułę kurierską.

– Rozumiem, ma'am.

– Dobrze. Teraz dalej. Tu powinny zacząć się kłopoty – oznajmiła, przelączając holoprojektor tak, że ukazywał wyłącznie mapę systemu Cimmaron. – Wraz z komandorem Tomanagą i komandorem Tsingiem długo dyskutowaliśmy, jak to najlepiej rozegrać. Chcę, pierwszy, żebyś dokładnie zrozumiał, co zaplanowaliśmy. Teoria głosi, że powinniśmy dokonać tranzytu na końcu, by uniknąć pierwszych, najliczniejszych salw. Ale przeciwnik też zna tę teorię i dlatego zgodnie z sugestią komandora Tomanagi pojawimy się w systemie nie jako pierwsi, ale jako trzeci. Nie będą się spodziewali, że okręt dowodzenia aż tak zaryzykuje, co w połączeniu ze stopniowym wykorzystaniem zewnętrznych wyrzutni powinno dać nam trochę spokoju. Kłopot w tym, że nawet niewielka liczba trafień może poważnie zaszkodzić sieci taktycznej, bo jak zauważył porucznik Reznick, jest ona czystą prowizorką. Ponieważ przeciwnik nie będzie w stanie się zorientować, która jednostka jest dowodzącą, będzie zmuszony ostrzeliwać wszystkie, dzięki czemu powinniśmy przetrwać do czasu, gdy Jedenasta Eskadra zakończy tranzyt. Wówczas będzie już tyle celów, że ogień obrońców będzie musiał ulec rozproszeniu. Dlatego też zamiast klasycznej formacji kuli, której centrum stanowi okręt dowodzenia, przyjmiemy szereg liniowy, co powinno jeszcze bardziej ogłupić przeciwnika.

– Rozumiem, ma'am.

– Teraz kolejna kwestia, związana z siecią taktyczną. – Han spojrzała na Reznicka, który się zarumienił, choć tym razem słabiej niż zwykle. – Z uwagi na jej delikatność musimy zgrać systemy łączności pomiędzy mniejszymi grupami okrętów, by w razie konieczności można było skorzystać z nich natychmiast.

– Rozumiem, ma'am – potwierdził Reznick.

– Bardzo dobrze. Ostatnia sprawa, pierwszy: nie będzie pana na mostku, gdy znajdziemy się w systemie Cimmaron.

– Ma'am?! – Sung zamrugnął gwałtownie. – Przecież tam jest moje stanowisko i...

– Normalnie jest, ale sytuacja nie jest normalna – przerwała mu spokojnie Han. – Ponieważ *Longbow* nie ma pomostu flagowego, mostek będzie spełniał także jego rolę. Jeśli zostanie trafiony, wyłączy to z walki tylko mnie i komandora Tsinga, pana nie.

– Rozumiem... – Sung nie był uszczęśliwiony, czemu Han się nie dziwiła. – W takim razie gdzie mam być? Zapasowe stanowisko kontroli ognia?

– Tam będzie komandor Tomanaga. Pan potowarzyszy porucznikowi Reznickowi w centrali sieci taktycznej. Jeżeli mostek zostanie wyłączony z walki, przejmie pan dowodzenie całą grupą, bo tylko ten okręt ma możliwość koordynowania działań pozostałych. Należy mieć nadzieję, że komandor Tomanaga będzie w stanie panu pomóc, ale nie można mieć pewności.

– Rozumiem, ma'am.

– Cieszę się. – Han spojrzała na zegarek i wyłączyła holoprojektor. – No dobrze, panowie, wracamy na mostek. I pamiętajcie, że do tej pory zajmowaliśmy systemy, w których



znajdowały się już jakieś nasze siły albo w których nie było jednostek wroga. Ten miły okres już się zakończył; teraz będziemy musieli walczyć o wszystko. Chcę, by Marynarka Republiki dowiodła, że jest co najmniej tak dobra jak Federation Navy. To wojna domowa, toteż obie strony będą podchodziły do sprawy emocjonalnie, ale byłoby lepiej dla wszystkich, żeby pod moimi rozkazami nie znalazł się drugi Jason Waldeck. Walczymy z ludźmi i mam nadzieję, że będziecie o tym pamiętać.

Wstała, włożyła czapkę i wyszła.

Pozostali w milczeniu poszli w jej ślady.

\* \* \*

– Witam panią, komodor Li – powiedziała admirał Ashigara, ledwie Han odebrała połączenie z okrętu flagowego. – Otrzymaliśmy dane z sondy wysłanej do systemu Aklumar. Wygląda na to, że pani podejrzania były uzasadnione. Sondy wykryły jeden okręt najprawdopodobniej ciężki krążownik, w pobliżu warpa łączącego Aklumar z Cimmaron.

– Rozumiem... – odrzekła Han, obserwując, jak rozmówczyni bawi się odruchowo pustym rękawem. – Ale w pobliżu łączącego Aklumar z Lassą nie wykryto żadnej jednostki?

– Nie – odparła miękko Ashigara.

Han doskonale wiedziała, że zastanawiają się nad tym samym – sensowne byłoby umieszczenie w systemie dwóch okrętów. Bliższy co prawda nie miałby szans przetrwać, gdyby atak nastąpił z systemu Lassa, ale jego zniszczenie byłoby ostrzeżeniem wystarczającym dla drugiego, a więc i dla sił w Cimmaron.

– Zdecydowałam się zaaprobować pani plan, komandor Li – dodała Ashigara. – Wydzielę *Ashanti* i *Scythian*, by pani towarzyszyły. Tranzytu dokona pani za dwie godziny, a reszta sił w osiem godzin później, lecąc w standardowej formacji z połową maksymalnej prędkości. Dzięki temu będziemy poza zasięgiem sensorów do chwili, w której pani siły wykryją i zwiążą walką przeciwnika. Potem to już bez znaczenia, gdyż albo go pani zniszczy, albo on zdoła wysłać ostrzeżenie. Wtedy siły główne utworzą szyk Alfa i zwiększą prędkość do maksymalnej. Tranzytu do systemu Cimmaron dokonamy natychmiast, bez zwiadu. Nawet gdybyśmy wysłali sondy, mielibyśmy zbyt mało czasu na ocenę rezultatów, a jeśli zaatakowany przez panią okręt nie zdążyłby wysłać ostrzeżenia, sondy może zrobiłyby to za niego. Zaryzykujemy i powinno się to opłacić, bo osiągniemy pełne zaskoczenie.

– Rozumiem, ma'am. – Han miała nadzieję, że jej głos brzmi równie spokojnie jak głos rozmówczyni.

– Doskonale. *Ashanti* i *Scythian* zameldują się u pani wkrótce. Pomyślnych łowów.

– Dziękuję, ma'am.

Admirał Ashigara zakończyła połączenie.

\* \* \*

– Wszyscy na stanowiskach bojowych, ma'am! – zameldował porucznik Chu, najwyraźniej znacznie bardziej zdenerwowany koniecznością zastąpienia Sunga niż perspektywą śmierci.

Han skinęła głową i powiedziała:

– Dziękuję, poruczniku Chu – po czym spojrzała na ekran łączności fotela, na którym widać było Sunga i Reznicka. – Jesteście gotowi, panowie?

– Jesteśmy, ma'am – potwierdził Sung. – Systemy maskujące aktywne, sieć taktyczna sprawna.

– Doskonale. Panie Chu, proszę rozpocząć tranzyt!

– Aye, aye, ma'am.

Han poczuła znajome objawy nudności, gdy okręt wleciał w warpa, a jego kadłub wydawał się skręcać we wszystkie strony równocześnie. Było to trwające moment przeżycie, którego nie sposób ani zapomnieć, ani opisać komuś, kto go nie doświadczył. Zaciśnęła zęby, by nie wymiotować... Niektórzy twierdzili, że tranzyt wywołuje miłe wrażenia... cóż, kłamców i pozerów można znaleźć wszędzie.

Ekran taktyczny zamigotał mimo starannej osłony elektromagnetycznej, po czym ukazał się na nim komputerowo stabilizowany obraz przedstawiający kompletną pustkę. W przestrzeni pozostającej w zasięgu pasywnych sensorów nie było nikogo.

Odprężyła się, starając się naturalnie tego nie okazać. Teraz pozostało tylko podkraść się niezauważenie do okrętu pilnującego warpa prowadzącego do Cimmaron...

– Doskonale – powiedziała, siadając wygodniej. – Odbój alarmu bojowego, panie Chu. W zasięgu sensorów cel powinniśmy mieć za sześćdziesiąt cztery godziny i dziesięć minut, ale możemy go spotkać nieco wcześniej. Proszę ogłosić alarm bojowy za sześćdziesiąt godzin. A w międzyczasie operatorzy sensorów niech naprawdę uważają, żeby nie spotkała nas jakaś niespodzianka.

– Aye, aye, ma'am – potwierdził Chu.

Han kiwnęła głową z zadowoleniem – jak na razie wszystko szło po jej myśli.

\* \* \*

– Jest, ma'am! – oznajmił radośnie Chu.

Han skinęła uprzejmie głową. Sama zauważyła czerwony symbol, ale na uprzejmości jeszcze nikt nie stracił. Po paru sekundach obok wyświetliły się informacje pomarańczowej barwy oznaczające, że to krążownik.

– To *Swiftsure*, ma'am – zameldował podoficer nadzorujący operatorów sensorów.

– Dziękuję, panie de Smit – powiedziała spokojnie Han.

Na ekranie czerwony symbol powoli przesuwiał się ku środkowi, w miarę jak jej trzy okręty zbliżały się do niego. Zerknęła na zapasowy ekran taktyczny – nawet sensory *Longbowa* nie byłyby w stanie wykryć pozostałych dwóch okrętów, gdyby operatorzy nie

wiedzieli dokładnie, gdzie ich szukać. Tak wzmocniony komputerowo sygnał był uznany za kontakt, nie za elektroniczne echo. Teraz pozostało tylko pytanie, czy zostaną wykryci przez nieprzyjaciela – było to bardzo mało prawdopodobne, ale możliwe...

– Jesteśmy w maksymalnym zasięgu skutecznego ostrzału raketowego, ma'am! – zameldował porucznik Kan, oficer artyleryjski. – Mam pewny zamiar!

– Pogotowie ogniowe, panie Kan – poleciła spokojnie Han, nie spuszczać wzroku z ekranu taktycznego.

Odległość była znaczna, ale wszystkie trzy okręty posiadały pełne zewnętrzne wyrzutnie, a *Swiftsure* stanowił nieruchomy cel. Problem polegał na tym, że lekkie krążowniki nie dysponowały wystarczająco dokładną kontrolą ognia, a więc ich salwy były mniej celne, no i na tym, że rakiety były bronią podświetlną. A im dłużej leciały do celu, tym bardziej zwiększała się szansa, że załoga *Swiftsure* zdąży odpalić kapsułę kurierską. Z drugiej zaś strony, im bardziej zbliżali się do celu, tym bardziej rosło ryzyko wykrycia przez nieprzyjaciela... Podjęcie decyzji, w którym momencie zacząć w takich warunkach strzelać, było w znacznej mierze zgadywanką.

Han zmusiła się do zachowania spokoju i opanowania. Nawet rozsiadła się wygodniej. Odkrycie z odległości pięciu sekund świetlnych było prawie pewne... Spojrzała na ekran taktyczny – od przeciwnika dzieliło ich sześć sekund świetlnych...

– Proszę otworzyć ogień, panie Kan! – poleciła, nie podnosząc głosu.

W następnej sekundzie *Longbow* drgnął lekko, gdy odpaliły wszystkie rakiety z zewnętrznych wyrzutni. Pociski uruchomiły napędy po osiągnięciu zaprogramowanej odległości od kadłuba i pomknęły ku celowi z szybkością wynoszącą sześćdziesiąt procent prędkości światła. Na ekranie taktycznym zaroilo się nagle od punkcików zmierzających w stronę czerwonego symbolu. Odruchowo wstrzymała oddech, przyglądając się z coraz większą nadzieją rozwojowi wydarzeń.

Widać było, że przeciwnik został kompletnie zaskoczony. Świadczył o tym choćby słaby i niecelny ogień obrony antyraketowej, która zdołała zniszczyć zaledwie kilka z nadlatujących pocisków. A potem, w niespełna dziesięć sekund po wystrzeleniu salwy, w systemie zapłonęło drugie słońce – mniejsze, ale bardziej jaskrawe.

Rozbłysk zniknął równie szybko, jak się pojawił, i na ekranie nie było już śladu po *Swiftsure* – ani kapsuły kurierskiej, ani szczątków, ani kapsuł ratunkowych. Han przyglądała się temu, czując dziwny chłód...

Po jakichś pięciu sekundach otrząsnęła się. Była żołnierzem i nie pierwszy raz zabijała, ale dotąd wyłącznie w otwartej walce. A ten atak nosił wszelkie cechy skrytobójstwa – ofiary zostały ostrzeżone dopiero wtedy, gdy śmierć już je dopadała. Miały akurat tyle czasu, by zdążyć sobie uświadomić, że giną, i poczuć strach.

Niełatwo było się przyzwyczaić do takiego sposobu zabijania.

I to nawet wiedząc, że dzięki temu uratowało się życie kilkuset albo i kilku tysięcy

współtowarzyszy broni. Szok i wstyd były naprawdę trudne do opanowania.

Powoli obróciła się wraz z fotelem i spojrzała na porucznika Chu.

– Poruczniku Chu, proszę zająć pozycję o dwie sekundy świetlne od warpa na kursie, którym mają nadlecieć siły główne, oraz proszę załadować zewnętrzne wyrzutnie – powiedziała jak zwykle spokojnym i beznamiętnym głosem. – Poczekamy tu na dalsze rozkazy.

– Aye, aye, ma'am! – potwierdził Chu, po czym dodał, nie mogąc zapanować nad entuzjazmem: – To było doskonałe, ma'am! Perfekcyjne!

– Dziękuję, poruczniku – powiedziała chłodno Han.

I spojrzała na Tsinga.

Ten odpowiedział jej całkowicie pozbawionym wyrazu spojrzeniem i sięgnął po kapciuch z tytoniem. Po czym metodycznie zabrał się do nabijania fajki.

Han odwróciła wzrok.

\* \* \*

– Wszystkie jednostki gotowe do tranzytu, ma'am!

– Dziękuję, komodorze Tsing. – Han wzięła głębszy oddech, starając się jednak zrobić to dyskretnie.

Była gotowa do walki i czuła, że jej okręt także jest gotów, a nawet jakby z niecierpliwością na nią czeka. Ją też ogarnęło zniecierpliwienie – po raz pierwszy miała wziąć udział w prawdziwym klasycznym boju. Spojrzała na symbole ustawione w równą linię za rufą jej okrętu i nacisnęła przycisk na poręczy fotela. Moduł łączności już wcześniej został ustawiony na kod okrętu flagowego admirała Ashigary.

– Admirał Ashigara. – W implancie za uchem usłyszała głos, w którym pobrzmiwały ślady napięcia.

– Tu komodor Li, ma'am. Dwunasta Eskadra jest gotowa.

– Doskonale, komodor Li. Proszę wykonać.

– Aye, aye, ma'am!

Przerwała połączenie i wybrała kod centrali sieci taktycznej. Gdy na ekranie ukazali się Reznick i Sung, spytała:

– Słyszeliście, panowie?

Obaj przytaknęli bez słów.

– W takim razie: cała naprzód, komandorze Sung!

– Aye, aye, ma'am!

Sung uśmiechnął się szeroko i wybrał stosowną sekwencję na klawiaturze. Polecenie zostało przekazane do sieci, co obserwował na monitorze Reznick, gotów do interwencji, gdyby coś zaczęło szwankować. Obok niego siedział komandor Sung czujący się zbędnym dodatkiem, jako że nie tylko nie był na swoim stanowisku, ale na dodatek nie miał nic do

roboty.

12. Eskadra ożyła jako całość połączona siecią. Napędy uruchomiły się jednocześnie i okręty w ustalonym szyku skierowały się ku wlotowi warpa.

Han wstrzymała oddech, obserwując rząd symboli. Warp był niewidoczną anomalią, która łączyła dwa oddalone od siebie o prawie dwieście lat świetlnych systemy planetarne. Znajdować się w nim mógł tylko jeden okręt. A kolejne dokonujące tranzytu musiały przestrzegać określonego odstępu, zbyt mała bowiem odległość między dwoma okrętami kończyła się zniszczeniem obu. Jeśli dwie jednostki pojawiły się w tym samym obszarze normalnej przestrzeni, istniały jedynie przez ułamek sekundy, a potem następowała niezwykle potężna eksplozja i po obu zostawało tylko wspomnienie.

Teraz 12. Eskadra Krążowników Liniowych prowadziła Marynarkę Republiki do pierwszej bitwy. Tworzące ją okręty weszły w portal warpa na podobieństwo stalowego węża.

Pierwszy w grawitacyjnej anomalii zniknął RNS *Bardiche*, drugi RNS *Bayonet*, a trzeci RNS *Longbow*. Han wzięła głęboki oddech. Cichy i spokojny system Aklumar zniknął.

\* \* \*

*Longbow* wyleciał z warpa w systemie Cimmaron, który nie był ani cichy, ani spokojny.

W systemie Cimmaron wrzała już bowiem walka.

– Rakiety nadlatują z prawej burty! – zameldował Kan. – Z lewej też!

Artylerzyści fortów chroniących warpa musieli być naprawdę dobrzy – rakiety zostały wystrzelone, zanim zobaczyli *Longbowa*. Wyszli z założenia, że skoro tranzytu dokonały dwie wrogie jednostki, to w ślad za nimi pojawią się też inne, i odpalili salwy na wszelki wypadek. Han pogratulowała sobie w duchu przezorności – gdyby *Swiftsure* zdołał ich uprzędzić i forty miałyby przygotowane działa, jej okręty zostałyby dosłownie rozstrzelane.

W okolicy roilo się od rakiet, ale wystrzelonych na oślep, zresztą to była sprawa Kana i obrony antyrakietowej. Do niej należało dowodzenie eskadrą, a do tego potrzebowała sprawnej sieci taktycznej, która jeszcze nie uaktywniła się po tranzyście. Rozległy się alarmy zbliżeniowe i wiedziała, że Tomanaga i Reznick robią, co mogą, ale ekrany...

Zamigotały nagle i zobaczyła ostry i wyraźny obraz. Wszystkie okręty eskadry były już w systemie. Przy fortach wydawały się zabawkami, zabawki te jednak były groźne: na jej sygnał odpaliły wszystko, co miały w zewnętrznych wyrzutniach. Przestrzeń wokół fortów i okrętów zagotowała się w serii nuklearnych eksplozji. Osłony siłowe tych pierwszych rozbłysły i Kan wrzasnął radośnie – obsługa stanowisk obrony przeciwrakietowej nie była tak czujna jak obsada wyrzutni rakiet i pierwsza salwa dotarła do celów prawie w całości. Osłony jednego z fortów zostały przeladowane i zniknęły, a kolejne detonacje dziurawiły jego pancerz i z rozszczelnionych pomieszczeń zaczęło się wydostawać powietrze.

Rakiety wystrzelone przeciwko jej okrętom dziesiątkowała zintegrowana obrona antyrakietowa, ale było ich zbyt dużo, by udało się zniszczyć wszystkie. Osłony siłowe

wpierw niszczycieli eskorty, a potem i krążowników liniowych rozbłysły, przechwytyjąc coraz więcej trafień.

– *Bardiche* nadał Kod Omega, ma'am!

Prowadzący szyk okręt nie miał już osłon, a jego kadłubem wstrząsały kolejne eksplozje. Na ekranie taktycznym jego symbol został przykryty przez grecką literę o kształcie podkowy, a w następnej sekundzie zniknął wraz z nią.

– Zmniejszyć dystans do nieprzyjaciela, komodorze Tsing! – poleciła Han. – Przygotować działa do otwarcia ognia!

– Drugi fort wielokrotnie trafiony, ma'am! – zameldował Kan.

Drugi fort faktycznie przypominał dymiącą ruinę – takie wrażenie tworzyło uciekające z niego powietrze; strzelały z niego nieliczne już wyrzutnie całkowicie nieskoordynowane z ostrzałem pozostałych fortów.

– Wypadł z sieci – oceniła zaskoczona spokojem swego głosu. – Panie Kan, proszę go zostawić i skupić ogień na pozostałych dwóch.

– Aye, aye, ma'am! Zmiana priorytetu celów!

– *Falchion* wypadł z sieci, ma'am! – zameldował Tsing.

– Każ mu się wycofać! – rozkazała Han, nie odrywając wzroku od ekranu taktycznego.

*Falchion* pozbawiony koordynacji ogniowej z pozostałymi okrętami nie mógł ani skutecznie się bronić, ani uczestniczyć w realizacji planu ogniowego. Jego jedynym ratunkiem było przerwanie walki i odwrót, ale na to, czy mu się uda, Han nie miała wpływu.

Nikt już nie miał na to wpływu – była to kwestia szczęścia.

Czas wydawał się stanąć w miejscu. Han słyszała swój głos – opanowany i chłodny, słyszała meldunki i czuła gwałtowne ruchy okrętu, gdy kolejne rakiety detonowały na jego osłonach siłowych. Bitwa dopiero się rozpoczęła, a ona straciła już dwie jednostki i zaraz straci następne, i... Pietrownej jeszcze nie było, o siłach głównych nie wspominając. Jak tak dalej pójdzie, zaraz nie będzie miał kto walczyć...

– *Falchion*, Kod Omega!

– Myśliwce startują z fortów! Będą tu za dziewięćdziesiąt sekund!

Oba meldunki nałożyły się prawie na siebie.

– Przygotować rakiety przeciwlotnicze! – usłyszała własny głos, ale wydało jej się, że mówi to ktoś obcy. – Chang, ognia z dział!

– Aye, aye, ma'am!

*Longbow* szarpnęła się gwałtownie – to musiało być bezpośrednie trafienie... Poczowała w ustach smak krwi i dotarło do niej, że przygryzła sobie język.

Zawyły alarmy uszkodzeniowe.

– Laser numer dwa zniszczony!

– Wyrzutnie dwa i cztery poważnie uszkodzone!

– Duże straty w maszynowni trzeciej!

Lawina meldunków o zniszczeniach i uszkodzeniach popłynęła z głośników.

– *Battleaxe* jest w systemie! – meldunek Chinga ledwie przebił się przez ten gwar.

– Dzięki Bogu! – odetchnęła Han: *Battleaxe* był okrętem prowadzącym 11. Eskadrę.

Okrętem targnęła seria trafień. To już nie były rakiety – to były lasery i fazery prujące kadłub i pancierz jak papier i dehermetyzujące od razu całe sekcje. Han odbiła się boleśnie od uprząży antyurazowej fotela, światło zgasło na sekundę i ponownie rozbłysło, a w ciszy, jaka zapadła, wyraźnie rozległ się syk uciekającego powietrza.

– Założyć hełmy! – rozkazała.

I sama czym prędzej ściągnęła swój ze specjalnych przewodnic stanowiących część oparcia fotela. Ćwierć obrotu i złącze chwyciło do końca, tworząc z hełmu i skafandra szczelną całość.

– Myśliwce w zasięgu, ma'am!

Na ekranie taktycznym pojawiła się fala jasnoczerwonych symboli. Myśliwce zbliżały się od strony lewej burty. Piloci najwyraźniej byli niedoświadczeni w starciach na dużą skalę, gdyż utrzymywali zbyt ciasny szyk, ułatwiając zadanie obronie przeciwlotniczej, ale maszyn było naprawdę dużo – ekran aż się od nich roił.

– Odpalić rakiety przeciwlotnicze! – poleciła spokojnie.

Mając równocześnie świadomość, że jej okręt za chwilę przestanie istnieć.

Zrobiła, co mogła, ale wyglądało na to, że było to zbyt mało...

\* \* \*

David Reznick już nie obserwował ekranu monitora – był zbyt zajęty obsługą serwomechanizmów, walcząc z rosnącymi zniszczeniami sprzętu. Roboty naprawcze uwijały się między płataniną przewodów, płytek i kryształów niczym metalowe chrząszcze, latając przerwane połączenia i odwołując nieuniknione. Reznick zdał sobie sprawę, że komandor Sung zajął jego miejsce przed komputerem, ale mało go to chwilowo obchodziło. Okrętem trzęsło przy każdym trafieniu gorzej, niż się spodziewał, ale jakimś cudem był w stanie utrzymywać mimo tych wstrząsów sprawną sieć taktyczną.

A później już nie był w stanie.

Nigdy potem nie mógł sobie przypomnieć dokładnie, jak to się stało. Pamiętał, że pochylał się nad pulpitem, sterując robotami, a w następnej chwili wszędzie pełno było ognia, dymu i wrzasków żywcem palących się ludzi. A on sam miał na głowie hełm i kaszlał długo, nim oczyścił płuca z duszącego dymu. W oczach zaś miał łzy i dopiero rozpaczliwe mruganie umożliwiło mu w miarę normalne widzenie. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumiał, że nie ma szans naprawić sieci taktycznej, więc czym prędzej wdusił dłonią szeroki, płaski przycisk uaktywniający zapasową.

I nic się nie stało – system nie działał.

*Longbow* został sam...

Dopadł innej konsoli, szarpnął za rezerwową dźwignię i w następnej sekundzie zatrzasnęły się pancerne drzwi, a ładunki wybuchowe odstrzeliły klapy awaryjne, dehermetyzując całą sekcję i natychmiast gasząc pożar. Moment potrwało wysysanie powietrza, a wraz z nim dymu, i dopiero gdy ten zniknął, Reznick uświadomił sobie, że za dźwignię powinien był pociągnąć Sung...

Odwrócił się i zwymiotował w hełm – na fotelu leżało bowiem pół Sunga, zwęglone i skurczone do rozmiarów zupełnie nie pasujących do ludzkich. Z trudem oderwał wzrok od makabrycznego widoku, czując smród własnych wymiocin. W całej sekcji panowała martwa cisza, ale przecież gdzieś na pokładzie musiał pozostać ktoś żywy...

\* \* \*

– Sieć taktyczna przestała istnieć, ma'am!

– Dziobowa ćwiartka obrony antyrakietowej nie odpowiada! – Kontrola uszkodzeń zniszczona!

– Ciężkie straty w zapasowej kontroli uszkodzeń, ma'am!

Han nie odzywała się, słuchając litanii meldunków. *Longbow* ginał, nawet ekran taktyczny nie działał – widać było na nim nieruchomy obraz z momentu, gdy zniszczone zostały sensory główne i zapasowe. Jeden fort został unicestwiony, drugi poważnie uszkodzony, ale trzeci nadal pluł ogniem. Eskadra Pietrownej miała pełne ręce roboty, zwłaszcza że wokół uwijały się jeszcze myśliwce, choć znacznie przetrzebione. Lotniskowce Kellermana dopiero zakończyły tranzyt i stabilizowały katapulty. W tej chwili prawdopodobnie już startowały z nich myśliwce, ale tego nie była w stanie zobaczyć. Natomiast z 12. Eskadry praktycznie nic nie zostało – przypominała sobie mgliście, że *Yellowjacket* także nadał Kod Omega, a po niszczycielach nie było śladu, tylko nie pamiętała zupełnie, kiedy zniknęły.

– Panie Chu, proszę wycofać okręt – poleciała chrapliwie. – Nic tu już nie zdziałamy.

*Longbow* powoli wykonał zwrot i zaczął się oddalać od pobjowiska.

\* \* \*

Okrętem targnęła potężna eksplozja i Han razem z uprzężą antyurazową wyrwaną z fotela została wyrzucona w powietrze. Obróciło ją w trakcie lotu i wylądowała zwinięta w kłębek, przetoczyła się i zerwała na równe nogi, rozglądając się równocześnie. Porucznik Chu leżał przerzucony przez pulpity – wystarczyło jedno spojrzenie na groteskowo wykrzywione ciało i strzaskaną część twarzą hełmu, by mieć pewność, że nikt już nie zdoła mu pomóc. Porucznik Kan podnosił się właśnie z tego, co zostało ze stanowiska kontroli ogniowej, równocześnie przylepiając sobie prawą ręką łatę na rozdarcie lewego rękawa kombinezonu. Tsing i pięciu operatorów także było na nogach. Reszta obsady mostka nie żyła.

Han odwracała się ku Tsingowi, gdy napęd przestał działać, co było ostatnim sygnałem o



konieczności opuszczenia okrętu, gdyż oznaczało problemy z reaktorem. Kolejne trafienie mogło być ostatnim. Wcisnęła brodą przycisk ogólnego kanału i jej głos rozległ się w głośnikach wszystkich sprawnych skafandrów na pokładzie.

– Mówi kapitan, Kod Omega! Natychmiast opuścić okręt! Powtarzam: natychmiast opuścić okręt!

Ledwie skończyła, kolejne trafienie z działa laserowego otworzyło mostek, prując jedną ze ścian i zabijając każdego, kto znalazł się na drodze. Wstrząs rzucił Han na ścianę głową do przodu i zapadła ciemność.

\* \* \*

Han powoli odzyskiwała przytomność. Czowała czyjeś ręce na ramionach i zaczynała coś widzieć... Ostrożnie przekręciła głowę najpierw w lewo, potem w prawo... Z lewej trzymał ją Tsing, z prawej Kan i obaj mieli włączone silniczki manewrowe skafandrów, o czym świadczyło drżenie, które czuła w ramionach. Próbowwała uruchomić silniczki swego skafandra, ale była dziwnie słaba, otepiała i miała olbrzymie problemy z koordynacją ruchów... Chciała im powiedzieć, żeby ją zostawili i ratowali siebie, ale nie zdołała wydobyć z siebie słowa. Mogła tylko patrzeć na wrak pięknego jeszcze przed paroma minutami okrętu wstrząsany kolejnymi trafieniami.

Rufowa ćwiartka obrony antyrakietowej nadal działała – obsadzający ją Marines najwyraźniej zignorowali rozkaz opuszczenia okrętu, by dać pozostałym czas na ucieczkę ze strefy śmierci, gdy wybuchnie reaktor. Wiedzieli, że zginą, ale każda zniszczona przez nich rakietą odwlekała ten moment... Han poczuła, że łzy płyną jej po policzkach: powinna być z nimi... nawet nie miała pojęcia, ilu jej ludzi zginęło na pokładzie...

W tym momencie nastąpiło nieuniknione – kolejna rakietka przedarła się przez ogień obrony przeciwrakietowej i uderzyła w śródkręcie. Nastąpiła eksplozja, a moment później druga, znacznie silniejsza. Han dostrzegła oślepiający błysk, a potem przysłona hełmu spolaryzowała się całkowicie, odcinając jej możliwość zobaczenia czegokolwiek.

Ogarnęła ją rozszerzająca się ognista kula...

I była już tylko ciemność.

## Rozdział XIII

# OFIARA

Li ocknęła się, nie mając na to najmniejszej ochoty. Po pierwsze, była śpiąca, a po drugie, czekało ją coś okropnego...

Otworzyła oczy i zobaczyła sufit, na którym tańczyły promienie słoneczne przenikające przez rozwiewane wiatrem zasłony.

I poczuła olbrzymią ulgę.

To był po prostu zły sen... Koszmar... Bo gdyby to była prawda, leżałaby martwa, a przecież żyła... By to sobie udowodnić, uniosła rękę i dotknęła nią czoła.

I zamarła z przerażenia.

Nie miała bowiem brwi. Sięgnęła dłonią wyżej... i dotknęła gładkiej skóry w miejscu, gdzie powinny być długie, czarne włosy!

To odkrycie rozbudziło ją zgoła błyskawicznie. Zacisnęła pięści, a w jej oczach stanęły łzy – więc to jednak była prawda!

Lata dyscypliny i ćwiczeń zrobiły swoje i Han szybko się opanowała – wszechświat nie był ani okrutny, ani cudowny, po prostu był. A ona powinna zachowywać się jak świadoma swych obowiązków profesjonalistka. Zaczęła wypowiadać znane formuły, stopniowo przejmując kontrolę nad żalem, boleścią i gniewem za pomocą techniki, którą od lat z powodzeniem stosowała.

Tyle że tym razem trwało ponad godzinę, nim osiągnęła spokój ducha.

Wreszcie mogła spokojnie otworzyć oczy i rozejrzeć się.

Znajdowała się w szpitalu na planecie posiadającej niewielkie, ale ciepłe słońce. Nie mógł to więc być system Aklumar, nie było bowiem w nim planet nadających się do życia. Nie mógł to też być układ Lassa, gdzie planeta była zimna i jałowa. W takim razie Cimmaron. Rodziło się więc pytanie innej natury – czy przebywała tu jako więzień, bo Republika przegrała, czy jako zdobywca, bo wygrała... Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać, toteż sięgnęła do przycisku przywołującego pielęgniarkę. I stwierdziła, że jest słaba jak nowo narodzony kociak, bo czynność ta zajęła jej całe wieki.

Po paru sekundach otworzyły się drzwi i weszła kobieta w białym stroju. Han miała

pewne problemy ze zogniskowaniem wzroku na detalach, toteż dopiero po paru sekundach zdołała odczytać literki wyszyte na tle kaduceusza służby medycznej. Były to duże litery RN.

A więc była zdobywcą.

Zamknęła oczy, ogarnięta nową falą zmęczenia, czując równocześnie olbrzymią ulgę. Chwilę później zaś poczuła delikatny dotyk chłodnej dłoni sprawdzającej puls, zmusiła się do otwarcia oczu i przyjrzenia się życzliwej twarzy pochylonej nad łóżkiem.

– Jak... – wychrypiała i zdała sobie sprawę, że ma zupełnie wyschnięte gardło, ale nie poddała się. – Jak długo?

Zamiast swego sopranu usłyszała zardzewiały, chropowaty zgrzyt.

– Trochę ponad tydzień. – Pielęgniarka podała jej szklanek wody z na wpół roztopionymi kostkami lodu i plastikową słomką.

Han pociągnęła solidny łyk i zakrztusiła się, gdy chłodny płyn zetknął się z jej suchym jak wiór gardłem. Ale nie dała za wygraną – ledwie przestała kaszleć, ponownie zabrała się do picia i dopiero łagodny, acz stanowczy gest pielęgniarki, która wyjęła jej słomkę z ust i z dłoni, zakończył opróżnianie naczynia.

I dopiero wtedy tak naprawdę zrozumiała, co usłyszała przed chwilą.

– Tydzień?! – spytała, klnąc własne otępienie.

– Tydzień – powtórzyła pielęgniarka i uaktywniła mechanizm podnoszący górną połowę łóżka.

Niespodziewany ruch sprawił, że Han odruchowo złapała za boczne ograniczniki i ze zdumieniem stwierdziła, że kręci się jej w głowie.

– Za bardzo podniosłam? – zaniepokoiła się pielęgniarka i łóżko znieruchomiło.

Han zacisnęła zęby i pokręciła przecząco głową. Jest oficerem marynarki i żadne cholerne łóżko nie zmusi jej do rzygania! Pielęgniarka przez moment przyglądała się jej, po czym wzruszyła ramionami i ponownie nacisnęła klawisz, tym razem przytrzymując go tak długo, aż pacjentka znalazła się w pozycji siedzącej.

A Han poważnie się zastanawiała, czy duma warta była aż takiej karuzeli.

Świat powoli przestawał się kręcić. Doszła do wniosku, że jeśli będzie to sobie powtarzała wystarczająco często, to może nawet w to uwierzy. Z dużym trudem skupiła się na naszywce z nazwiskiem na piersi pielęgniarki.

– Porucznik Tinnamou...

– Słucham, komandor Li?

– Lustro...

Przez twarz pielęgniarki przemknęło zwątpienie, toteż Han zmusiła się do uśmiechu.

– Wytrzymam... – zapewniła.

– No dobrze. – Porucznik Tinnamou wyjęła z kieszeni niewielkie lusterko i podała jej.

Wydawało się ważyć z pięćdziesiąt kilo, ale Han zmobilizowała się i utrzymała je, a potem nawet uniosła.

I spojrzała na obcą twarz.

Była szaro-zielona, z popękkanymi do krwi ustami i poznaczona ciemnymi plamami. Najbardziej przerażające były oczy, wyglądające niczym dwie olbrzymie czarne dziury. Skóra obciągnięta była na kościach, a cała bezwłosa głowa tkwiła na chudziutkiej, kościstej szyi ginącej w szpitalnym stroju.

Efekty choroby popromiennej. Widywała już cierpiących na nią ludzi, ale zmuszona była przyznać, że jeszcze nie zdarzyło jej się zobaczyć nikogo wyglądającego tak źle i żywego. Wreszcie przypomniała sobie ostatnie sceny – eksplozję okrętu, polaryzację hełmu i wrażenie ognistej kuli rosnącej błyskawicznie. Nie ulegało wątpliwości, że byli za blisko...

– Kapitan Tsing? – spytała chrapliwie. – Porucznik Kan?

– Obaj żyją – odparła Tinnamou, zabierając jej lusterko i kładąc je na nocny stolik, za co Han była jej niezwykle wdzięczna.

– Co... ze mną?

– Nie najlepiej, ma'am, ale wyjdzie pani z tego. Wolałabym, żeby o wszystkim opowiedział pani lekarz.

– Kiedy?

– Jest już w drodze i sądzę.. o!

Drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł niewysoki mężczyzna o twarzy cherubinka, uśmiechnięty od ucha do ucha. Dosłownie rozpierała go energia i dobry humor.

– Dzień dobry, komodor Li! – powitał ją radośnie.

Słyszając ostrą wymowę typową dla mieszkańca Nowego Detroit, Han wytrzeszczyła oczy i odruchowo spojrzała na kołnierz jego kurtki mundurowej.

– A tak – uśmiechnął się złośliwie. – Jestem jednym z tych cholernych lojalistów, ale podobno mundur ma dla lekarza niewielkie znaczenie. Jeśli pani się uprze, mogę znaleźć jakiegoś uczciwego rebelianta do szpiku kości, ale naprawdę jestem całkiem dobry w swoim fachu.

Han spróbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej wyszło.

– Tak już lepiej – pochwalił, podchodząc bliżej. – Jestem kapitan Llewellyn i miło mi w końcu panią poznać. Co prawda spotykaliśmy się w zeszłym tygodniu, ale dotąd była to znajomość zdecydowanie jednostronna.

– Jak źle? – spytała chrapliwie Han.

– Mogło być gorzej, ale niewiele – przyznał Llewellyn. – Otarła się pani o śmierć. W tej chwili waży pani dwadzieścia osiem kilogramów.

Han drgnęła, ale nie spuściła oczu, a Llewellyn pokiwał z zadowoleniem głową.

– Gdyby pani była w kapsule ratunkowej, już by się pani wymeldowała z naszego małego hoteliku – dodał. – Ale kapsuły mostka, jak rozumiem, zostały zaklinowane i pani ludzie musieli improwizować. Szczerze powiem: zdążyli w ostatnim momencie.

– Ilu?

– Z obsady mostka? Pięciu wraz z panią – powiedział współczująco.

Han skrzywiła się boleśnie, toteż dodał szybko:

– Ale ogólnie rzecz biorąc, znacznie lepiej. Ponad połowa załogi przeżyła i jest w nieporównanie lepszym stanie niż pani.

Miał rację – to graniczyło z cudem. Ale równocześnie oznaczało, że prawie połowa zginęła wraz z okrętem.

– Jeśli chodzi o waszą trójkę, to dostaliście potężną dawkę, ale pani szef sztabu ma zadziwiającą tolerancję na promieniowanie. Zachował przytomność, ściągnął pomoc i wyjaśnił, co się stało, więc natychmiast zostaliście podłączeni do wymienników krwi, a dopiero potem zemdłał. Dzięki temu zdążyliśmy, ale przyznam, że pierwszych czterdzieści osiem godzin było niewesołych. Naprawdę tym razem niewiele brakowało.

– Wyglądam, jakbym się nie wywinęła – stwierdziła Han.

– Pozory mylą, choć rzeczywiście wygląda pani na nieco zużyta, że się tak wyrażę. W końcu my, lekarze, powinniśmy mówić prawdę. Podobno. Natomiast pani stan ulega ciągłej, choć powolnej poprawie, a teraz, gdy odzyskała pani przytomność, będziemy mogli odłączyć kroplówki i zacząć panią tuczyć klasycznymi metodami, więc pójdzie szybciej. – Pochylił się nad nią, obejrzał i dodał: – A teraz najlepiej będzie, jak się pani zdrzemnie. Wiem, wiem: dzień się dopiero zaczął, ale ani ta planeta nigdzie sobie nie pójdzie, ani pani. Krew i organizm ma pani oczyszczone, ale poza tym ma pani też: siedem złamanych żeber, pękniętą kość policzkową, pękniętą miednicę i wstrząs mózgu. To tak na początek, o drobiazgach nie będę wspominał. Nie ma cudów, tak szybko pani stąd nie wyjdzie!

Han patrzyła na niego zdumiona tym, że nic ją nie boli, zanim do niej dotarło, że po dziurki w nosie jest nafaszerowana środkami przeciwbólowymi. Co tłumaczyło też dziwne otepienie – była bowiem lotna niczym bryła cementu. Jego słowa zdawały się brzmieć dziwnym echem, jakby znajdowali się w jakiejś olbrzymiej jaskini... A potem poczuła, że tonie w nieświadomości, i ostatnim, co zobaczyła, były tańczące na suficie plamy słonecznego blasku.

\* \* \*

Kolejne dni były złe. Han czuła się słaba, chora i skołowana i serdecznie nienawidziła gęstwiny otaczających ją urządzeń. Były bezgłośnie, ale sama ich obecność oraz świadomość, że tylko czekają na pierwszy objaw pogorszenia, irytowały ją dogłębnie. Dzięki nim żyła, ale po części to właśnie one przykuwały ją do łóżka.

Zachowywanie spokoju wiele ją kosztowało i wiedziała, że w każdej chwili i bez ostrzeżenia mogą jej puścić nerwy. A utraty samokontroli nienawidziła równie mocno jak bezsilności. Straciła panowanie nad sobą w momencie, gdy porucznik Tinnamou nie pozwoliła jej odwiedzić Tsing Chunga.

Han zaczęła od rozsądnej argumentacji, ale czuła, że jej słowa trafiają w próżnię. Wydała

więc rozkaz i odkryła, że personel medyczny ma gdzieś rozkazy chorych. Skończyło się na karczemnej awanturze, a rzucania niczym nie było tylko dlatego, że nie miała nic w zasięgu ręki. Każdy, kto ją znał, byłby zszokowany tym wybuchem, ale nikt w równym stopniu co ona sama. Jeszcze bardziej zszokowało ją to, że zaraz potem załała się łzami.

To ją otrzeźwiło.

Opadła na poduszkę zmęczona tak awanturą, jak i płaczem. Na szczęście przy pierwszym ataku łez pielęgniarka wyszła. Han była przerażona – jeżeli nie potrafi kontrolować siebie, jak będzie w stanie kontrolować innych? A do tego właśnie sprowadzało się dowodzenie.

Usłyszała odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi, ale nie odwróciła głowy. Zrobiła to dopiero, gdy ten, kto wszedł, chrząknął znacząco. W nogach łóżka stał kapitan Llewellyn i wyglądał niezwykle poważnie jak na siebie.

– Sądzę, że najwłaściwszym określeniem byłoby „zachowanie nieprzystojące oficerowi”, ale może jestem staroświecki. Powiedzmy, że to było infantylne.

– Wiem – powiedziała cicho i odwróciła głowę. – Przepraszam. Proszę mnie zostawić, dojdę do siebie...

– Dużo czasu to pani zajmie – ocenił z lekkim współczuciem. – I nie na długo wystarczy, dopóki nie pogodzi się pani z oczywistą prawdą, że jest tylko człowiekiem i ma prawo do chwil słabości.

– To nie o to chodzi – zaprotestowała, wycierając oczy wierzchem dłoni. – Ja... to znaczy...

– To o to chodzi – przerwał jej łagodnie. – Sprawdziłem przebieg pani służby, komodor Li. Najmłodszy wiekiem dowódca okrętu w Battle Fleet, akademia ukończona z Mieczem Honorowym, Stellar Cross i otwarta droga do Akademii Sztabu Generalnego, gdyby nie... obecna różnica zdań w łonie Federacji. A to tylko oficjalne dane. Pozostaje jeszcze to, co mówi załoga.

– Za... załoga? – wykrztusiła, nim zdążyła ugryźć się w język.

– Ci, którzy są w stanie poruszać się o własnych siłach, odkąd dowiedzieli się, że pani tu jest, bez przerwy oblegają rejestrację. Gdybym nie zabronił, zasypaliby panią życzeniami i kwiatami. Taki przebieg służby połączony z taką lojalnością ludzi mówi wiele o pani charakterze i osobowości – jego głos nagle złagodniał. – Nie jest pani przyzwyczajona do bezradności, prawda?

Han odwróciła głowę zawstydzona do głębi, ale pytanie wymagało odpowiedzi. A ponieważ to on utrzymał ją przy życiu, odpowiedź musiała być szczerą.

– Prawda – przyznała zwięźle.

– Tak właśnie myślałem. I to wyjaśnia, dlaczego zareagowała pani właśnie w ten sposób.

Han spojrzała na niego.

– Być może wyjaśnia, ale to, że nie powiedział mi pan wszystkiego, z pewnością mi nie pomaga.

Llewellyn patrzył na nią uważnie, mrużąc oczy.

– Dlaczego pani tak sądzi? – spytał, siląc się na neutralny ton.

– Nie wiem – przyznała gorzko. – Ale coś pan przede mną ukrył, zgadza się?

– Zgadza się – przyznał, zaskakując ją kolejny raz, gdyż spodziewała się, że zacznie kręcić.

Okazało się, że źle go oceniła – podobnie jak ona nie był w stanie zełgać, jeśli zadało mu się pytanie wprost.

– A dlaczego mi pan nie powiedział? – spytała spokojnie.

– Sądzę, że już pani wie, tylko nie chciała się pani sama przed sobą do tego przyznać – powiedział cicho. – Miałem nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas nie zda pani sobie z tego sprawy.

Jego słowa otworzyły w jej umyśle jakąś klapkę, którą dotąd trzymała starannie zamkniętą, choć równocześnie była ciekawa, co się za nią kryje. Miał rację – wiedziała. Odruchowo złapała się za brzuch.

Llewellyn pokiwał głową.

– Tak – powiedział cicho.

W kąciu ust Han ukazała się krew z przygryzionej wargi.

– Jak źle? – spytała chrapliwie.

– Źle – przyznał. – Jest pani w większej części sterylna, a większość pozostałych komórek jest poważnie uszkodzona. Ale są też i całkowicie normalne, więc może pani mieć zdrowe, normalne dzieci.

– Jakie są na to szanse?

– Małe, ale wie pani, że to nie problem, bo defekty płodu można wykryć błyskawicznie i usunąć ciążę bez żadnych komplikacji dla pani.

– Rozumiem. – Ponownie odwróciła wzrok.

Wyciągnął ku niej dłoń, lecz w końcu jej nie dotknął, uświadamiając sobie, że nie wpadła w rozpacz, tylko analizuje to, co usłyszała.

Spoglądał na nią bezradnie, świadom, że nic, co mógłby powiedzieć, nie pomoże jej ani nie ulży. Zdawał sobie też sprawę, że pod powłoką chorej i słabej kobiety kryje się coś przypominającego sprężynę. Jego pacjentka знаła siebie i swoje możliwości, choć nie chciała przyznać się do własnych słabości. Ktoś taki musiał najpierw dojść do ładu sam ze sobą i próba udzielenia wsparcia z czyjejkolwiek strony zapewne bardziej zaszkodziłaby, niż pomogła.

Opadł na krzesło, wiedząc, że gdy będzie gotowa, a nastąpi to wkrótce, zwróci się do niego. Dlatego spokojnie czekał i obserwował, jak Han stopniowo się rozluźnia. Bez trudu rozpoznał w tym lata samodyscypliny i medytacji, ale podejrzewał, że nie tylko o to chodzi, lecz także o fakt, iż rodzice dali jej lata temu prawo wyboru i wolność, co miało olbrzymi wpływ na psychikę. Mógł jedynie żałować, że tak niewielu pacjentów było pod tym

względem do niej podobnych.

Poruszyła w końcu głowę, na której pojawiły się już delikatne zaczątki owłosienia, i odezwała się cicho:

– Dziękuję, doktorze. Szkoda, że nie powiedział mi pan wcześniej, ale... może miał pan rację. Może musiałam na to poczekać.

– Myliłem się – przyznał uczciwie.

– Być może, to w tej chwili nieważne. Teraz wiem i muszę to przemyśleć.

– Zgadza się. – Wstał i ze zdziwieniem stwierdził, że przyszło mu to z trudem; dobrze było przebywać w pobliżu kogoś tak silnego psychicznie. – Mam przysłać porucznik Tinnamou? Sądzę, że martwi się, iż pani może być... nieco wyczerpana.

– Tak? – Han uśmiechnęła się bez przymusu. – Nie zdawałam sobie sprawy, że znam aż tyle wyszukanych przekleństw. Chwilowo wolałabym być sama. Przekaze jej pan moją prośbę o wybaczenie? Osobiście przeproszę ją później.

– Skoro pani tak woli, to przekaze – obiecał zadowolony z jej niewymuszonego uśmiechu. – I proszę się nie martwić: personel medyczny wie, że po pacjentach można się różnych dziwnych rzeczy spodziewać, komodor Li.

– Proszę mi mówić po imieniu. Przeproszę ją, ale jeszcze nie w tej chwili.

– Jasne. Powiem jej to. A ja mam na imię Daffyd.

– Dziękuję, Daffyd. – Han uśmiechnęła się ponownie i zamknęła oczy.

Doktor Daffyd Llewellyn wyszedł.

\* \* \*

Han potrzebowała wielu godzin, by tak naprawdę pogodzić się z myślą, że nie będzie mogła mieć dzieci. Decydując się na karierę oficera, teoretycznie liczyła się z taką możliwością, ale tak naprawdę nie wierzyła, że coś takiego może się przytrafić właśnie jej.

Całe jej dotychczasowe życie było starannie zaplanowane – spieszyć się z macierzyństwem nie musiała, gdyż Hangchow należała do planet, na których kuracja opóźniająca efekty starzenia dostępna była powszechnie, nie to co w Centrum cierpiącym na przeludnienie. Miała trzydzieści dziewięć lat standardowych, a wyglądała na dwadzieścia, i jeszcze przez pięćdziesiąt mogła być matką. Dlatego założyła sobie, że najpierw osiągnie odpowiedni etap kariery, a potem urodzi dzieci. Było to rozsądne, gdyż w społeczności, z której pochodziła, presja na kobiety, by szybko osiągały sukcesy zawodowe, była duża. Teraz zaś cały plan wziął w łeb, co bolało tym bardziej, że w kulturze, w której ją wychowano, myślano i o jednostkach, i o całych pokoleniach.

Llewellyn teoretycznie miał rację co do możliwości urodzenia zdrowego dziecka, ale tylko teoretycznie. Postrzegali tę sprawę inaczej, a różnica brała się stąd, iż w Centrum postępowanie, które proponował, uchodziło za normalne, natomiast dla kogoś z Pogranicza, a zwłaszcza z Hangchow, nie do pomyślenia było urodzenie dziecka o potencjalnie groźnym



genotypie. A tego żadne badania płodu nie były w stanie wykluczyć. Pogranicze było znacznie słabiej zaludnione, a życie na planetach o różnych siłach przyciągania i cechach środowiskowych było wystarczająco trudne i niebezpieczne. Ludzie adaptowali się do tych warunków powoli i nie potrzebowali bomby z opóźnionym zapłonem, która wybuchłaby, dajmy na to, w drugim pokoleniu. Dlatego Han mogła podjąć tylko jedną decyzję i pozostać sobą.

A ta decyzja naprawdę bolała. I choć wiedziała, że czas złagodzi ból, wiedziała też, że żal pozostanie.

\* \* \*

W szpitalu czas płynął powoli, a mijające bez żadnych zajęć dni były dla Han czymś nowym. O tym, co działo się poza szpitalem, dowiadywała się z opóźnieniem. Jej eskadra została rozwiązana, a dwa ocalałe okręty, *Bayonet* i *Sawfly*, po naprawach wcielone do innych. Jej sztab także został rozwiązany, a ludzie wcieleni do innych, choć na razie była to teoria, jako że Tsing Chang miał opuścić szpital krótko przed nią, a Robert Tomanaga miał przed sobą pracowity okres uczenia się, jak poruszać się ze sztuczną nogą.

Jedynym z ich grona, który wyszedł z tej bitwy bez szwanku, był David Reznick. Był też jedynym gościem, jakiego do niej wpuszczono w ciągu dwóch tygodni. Nie był to już ten sam Reznick, którego znała – fizycznie nie zmienił się ani trochę, ale przyspieszony kurs dorosłości odbyty w paskudnych warunkach pozostawił ślady aż zanedo widoczne. Na szczęście nie spowodowało to zgorzknienia, choć stracił młodzieńczą radość życia. Przede wszystkim jednak zyskał wewnętrzną siłę – siłę kogoś, kto był tak przerażony, że bardziej już się nie da, ale nie załamał się, tylko działał i dzięki temu przeżył. A przynajmniej Han miała nadzieję, że tak właśnie jest, a nie że źle oceniła jego stan ducha, kierując się własnymi pragnieniami.

Straty wśród członków sztabu odzwierciedlały straty w całej załodze – zginęło ponad czterysta osób. Wzbudzało to jej głęboki żal i jedynie dużym wysiłkiem woli zmuszała się do pamiętania, że prawie pięciuset się uratowało.

Z załogami innych okrętów było nieporównanie gorzej – z *Bardiche* i *Yellowjacket* nie uratował się nikt, z *Falchiona* ledwie dwanaście osób. Podejrzała, że historycy uznają tę bitwę za przykład realizacji doskonałej taktyki zakończonej sukcesem przy minimalnych stratach. Ale dla niej te straty to dwa tysiące ośmiuset podkomendnych, którzy zginęli na jej rozkaz. I naprawdę trudno jej było czuć tryumf, gdy o tym myślała.

Jej stan stopniowo się poprawiał, czego niepodważalny dowód uzyskała w trzecim tygodniu rekonwalescencji. Pewnego dnia rozległ się brzęczyk u drzwi, a chwilę potem w progu stanęła komodor Magda Pietrowna.

Han powitała ją szerokim uśmiechem.

– Han! – Magda uściśniła jej dłoń, uważnie się jej przyglądając i oceniając spustoszenia

dokonane przez chorobę.

Ale nie traciła czasu na bezsensowne pocieszenia i pogawędki o niczym, za co Han była jej wdzięczna.

– Przyszłaś zobaczyć, jak wygląda niedoszły nieboszczyk? – spytała.

– Właśnie. Masz coś przeciwko temu?

– Skądże. Siadaj i mów, co się dzieje, bo z łapiduchów coś wyciągnąć jest równie łatwo, jak rwać zęby bez znieczulenia.

Magda położyła czapkę na stoliku i poprawiła odruchowo włosy, które błysnęły czystym srebrem w blasku wpadającego przez okno słońca.

– Nie dziwię się – przyznała Magda. – Personel jest głównie z Zadka, więc nie podoba im się to, co widzą.

– Chyba źle oceniasz doktora Llewellyna – sprzeciwiła się Han. – Wątpię, by zwracał uwagę na mundury pacjentów. Na mój na pewno nie zwrócił.

– Jest więc wyjątkiem – oceniła Magda, nie kryjąc niechęci. – Większość zachowuje się tak, jakby poczuła coś śmierdzącego, ledwie znajdują się w jednym pokoju z kimś z nas. W sumie nie ma im się co dziwić, bo raczej trudno byłoby im się szczycić obroną tego systemu.

– Tak?! Ze mną poradzili sobie nie najgorzej: praktycznie zniszczyli mi eskadrę.

– Nieprawda: *Bayonet* i *Sawfly* były ledwie draśnięte. Fakt, pozostałe jednostki zniszczyli, ale powinnaś zobaczyć, jak oni wyglądali. Moja eskadra w zasadzie sprzątała niedobitków z pobojoziska. To ty i twoi ludzie wygraliście bitwę.

Han potrząsnęła głową i nie odezwała się słowem.

– Wygraliście – powtórzyła Magda. – Ci piloci byli tak zieloni, że nie zdołali otrząsnąć się w porę po jatce, jaką im urządziłaś, i chłopcom Kellermana pozostało strzelanie do rzutków. A lokalna ludność była po naszej stronie i planetę zdobyliśmy w jeden dzień. Ale gdybyście nie zniszczyli tych fortów, nim ich załogi oprzytomniały, doszłoby do masakry. Gdyby przyszło nam walczyć z nimi w pełni przygotowanymi do odparcia ataku...

Zamilkła i wzruszyła wymownie ramionami.

– Przeciwko mnie spisali się całkiem dobrze – oceniła gorzko Han.

– Nie mówię, że nie, ale to byli, jak się okazało, weterani. Jedyni w tym systemie, bo krążownik liniowy i sześć niszczycieli prysnęło, gdy tylko stało się jasne, że to nie jest rozpoznanie walką. – Magda roześmiała się nagle. – Szkoda, że nie słyszałaś, co na ich temat mówił stary Priczowicki! Lepiej byłoby dla kapitanów tych okrętów, żeby mu nigdy w ręce nie wpadli, bo rozstrzela ich za tchórzostwo!

– Mogę sobie wyobrazić, jak kłął! – Han po raz pierwszy od bitwy też się roześmiała, co ją niebywale zaskoczyło.

Ponieważ okazało się to dziwnie przyjemne, roześmiała się ponownie, czując pełen aprobaty wzrok Magdy.

– Masz na mnie zbawienny wpływ – oceniła.

– Coś ci się w końcu z mojej strony należy: gdybyś się tak dobrze nie spisała, nie byłoby mnie tutaj. W tym, że *Snaphaunce* jest okrętem dowodzenia, zorientowali się szybko, a nie zniszczyli go tylko dzięki temu, że nie bardzo mieli czym. A to już wyłącznie twoja zasługa.

– Cieszę się.

– Ja też. Tak na marginesie, idąc tu, zjrzałam do twojego kapitana Tsinga. Wściekły jak cholera, że doktorki nie pozwolili mu cię odwiedzić. A poza tym wszystko z nim w porządku. Nawet trochę włosów mu zostało.

– Całe szczęście! – odetchnęła Han. – A porucznik Kan?

– Nie ma włosów. Ale dochodzi do siebie.

– Dzięki, że mi to powiedziałaś.

– Drobiazg. Mam nadzieję, że gdyby role się odwróciły, zrobiłabyś to samo.

– Masz moje słowo! – obiecała Han i zmieniła temat. – Więc powiadasz, że siły główne nie ucierpiały?

– W ogóle. Admirał Ashigara już odleciała do Zephraim, a lotniskowce Kellermana mają wkrótce wyruszyć, by dogonić monitory zdążające do Gastenhowe.

– To co ty tu robisz?

– Ja, moja droga, jestem pełniącą obowiązki dowódcy obrony systemu Cimmaron. Przynajmniej chwilowo. Dodali mi eskadrę krążowników i eskadrę lotniskowców eskortowych i zmontowali te myśliwce, które przywieźliśmy... no a poza tym reszta fortów poddała się grzecznie, gdy ich załogi zobaczyły, co zrobiłaś z tamtymi trzema.

– Rozumiem... nieźle jak na zwykłego komodora. Moje gratulacje.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Magda. – Ale jestem nadal twoją zastępczynią, więc z niecierpliwością czekam, kiedy przestaniesz się wylegiwać i weźmiesz do wykonywania obowiązków, pani komodor!

– Nie muszę się spieszyć: mam kompetentnego zastępcę – uśmiechnęła się niewinnie Han.

– Żeby cię...! Może mam ci jeszcze podziękować za uznanie?! – prychnęła Magda i dodała poważniejszym tonem: – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, na korytarzu czeka ktoś, kto chciałby cię zobaczyć. Mój szef sztabu.

– To go zaprosz, na co czekasz?! Prawie nikogo tu nie wpuszczają, więc każdy jest mile widziany. A poza tym nie podziękowałam mu jeszcze osobiście za uratowanie mojego okrętu w Bigelow!

Magda poszła po kapitana Windridera.

Gdy wszedł, Han obserwowała go uważnie, by stwierdzić, jakie wrażenie wywrze na nim jej wygląd, ale Windrider jedynie się uśmiechnął.

– Dzień dobry, komodor Li. Wygląda pani lepiej, niż się spodziewałem.

– Lepiej?! Pan się chyba spodziewał trzydniowego nieboszczyka, kapitanie.

– Nie, ale kogoś nieco bardziej do niego podobnego.

– Mnie wystarczy, że wyglądam jak śmierć na urlopie. – Han poklepała łóżko i wyjaśniła:  
– Ponieważ jest tylko jedno krzesło, jedno z was musi tu usiąść.

Spodziewała się chwili niezręcznego napięcia, ale się pomyliła – Windrider usiadł na krześle, Magda usiadła na łóżku. Oboje byli zawodowcami i znali ryzyko, więc jej stan nie wywoływał na nich aż takiego wrażenia. A co więcej, widać było, że dobrze się wzajemnie rozumieją, choć spotkali się dopiero, gdy Windrider został szefem sztabu Magdy. Wyglądało nawet na to, że są ze sobą bliżej, niż wynikałoby to ze starszeństwa służbowego, ale to już była ich osobista sprawa. Niemniej dzięki temu w rozmowie nie było niezręcznych pauz, a w zachowaniu sztuczności.

Im dłużej ich słuchała, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że ich wzajemne zrozumienie graniczy z telepatią. Używali skrótów myślowych i sytuacje, w których jedno słowo zastępowało całe zdanie, nie należały do rzadkości. A oni wydawali się tego nie dostrzegać. Jakoś tak się to potoczyło, że nagle zaczęli w trójkę całkiem szczerze rozmawiać. Han była wobec nich bardziej otwarta niż wobec kogokolwiek dotąd. Może wynikało to z fizycznej słabości, ale przyszedł jej do głowy także inny powód – była nim Magda Pietrowna.

Han obserwowała ją i nie mogła wyjść z podziwu. Znała dotąd tylko jedną osobę, od której biło takie ciepło i spokój – swoją matkę – a w tej chwili bardzo tego potrzebowała. Odprężyła się całkowicie i nawet nie zauważyła, kiedy rozmowa zeszała na jej obrażenia.

Nigdy nie była w stanie przypomnieć sobie, jak to powiedziała, ale nigdy też nie zapomniała wyrazu twarzy Magdy. Niewiele osób potrafiło ofiarować innym absolutną sympatię i współczucie, nie zmniejszając równocześnie odporności tego kogoś na ból i żal. Magda potrafiła.

– To pewne? – spytała łagodnie.

– Pewne – potwierdziła Han i zacisnęła usta. – Mam jedną szansę na sześćdziesiąt na normalne dziecko.

– Cholera! – wzruszył się Windrider.

Na jego twarzy widać było złość i w tej chwili Han pokochała go jak brata.

– Zdecydowałaś, co zrobisz? – spytała spokojnie Magda.

Słyszając jej ton, Han podejrzewała, że Magda zapewne pogładziłaby ją po włosach, gdyby miała już włosy, a nie szczecinę.

– Owszem – odparła rzeczowo. – Kazałam się podwiązać. Daffyd przejął się tym bardziej niż ja, choć próbował udawać, że tak nie jest.

– Wyobrażam sobie. Zabawne, jak bardzo nieracjonalni musimy się wydawać tym z Zadka, prawda? – uśmiechnęła się Magda i spojrzała na zegarek. – Ale ten czas leci. Twój miły łapiduch mruczał coś o plutonie egzekucyjnym i żandarmach, jeśli tu za długo posiedzimy. A zaczynasz wyglądać na zmęczoną, więc lepiej będzie wyjść, nim tu wpadnie. Ale nie bój się: wrócimy, prawda, Jason?

– Jasne – Windrider poklepał Han po dłoni i wstał. – Nie martw się: będziemy pilnować

wszystkiego do czasu twego powrotu.

– Jestem tego pewna – powiedziała, a gdy doszli do drzwi, dodała głośniejszym głosem: – Dziękuję, że przyszliście. I za to, że jesteście, jacy jesteście... to pomogło... bardzo.

– Opowiadasz! – parsknęła Magda. – Czego to człowiek nie wymyśla, żeby się urwać od obowiązków!

Po czym włożyła czapkę, zaszalutowała zawadiacko i wyszła przez otwarte przez Windridera drzwi. Zamknęły się za nimi cicho, ale Han jeszcze długo spoglądała na nie z namysłem.

Dopiero gdy powieki zaczęły jej ciążyć, opuściła oparcie łóżka i wyszeptała:

– Już ci wierzę, że to był tylko pretekst, żeby się urwać! Akurat.

# CZEŚĆ CZWARTA

„Odwaga ponad wszystko  
jest najważniejszą cechą wojownika”.

Generał Karl von Clausewitz  
*O wojnie*

## Rozdział XIV

# WERBLE

Nazwę Zephrain nadali systemowi poddani chana, którzy go odkryli. Ludzie po zdobyciu go nazwę utrzymali, bo im się spodobała. Był to system podwójny, w którym pomarańczowa gwiazda typu K8 okrążała żółtą typu G5, zbliżając się doń na odległość trzech godzin świetlnych. Obie gwiazdy miały własne systemy planetarne oraz szerokie pasy asteroidów, które znaczyły hipotetyczne orbity gazowych gigantów. Hipotetyczne, gdyż te nigdy nie powstały na skutek grawitacyjnych perturbacji powodowanych przez oddziaływanie każdej z gwiazd na system planetarny drugiej.

Zephrain A-II był planetą typu ziemskiego, z dużą ilością wody i tlenu. Nazwano ją Xanadu, bo taki miał kaprys oficer Zwiadu Kartograficznego. Na niej osiedlili się ludzie, ale stację badawczą – bazę Zephrain – zlokalizowano na Zephrain A-III zwanej Gehenną, pozbawionej życia i prawie pozbawionej tlenu kuli piachu przypominającej Marsa przed terraformingiem. Powód był prosty i logiczny – wiadomo było, że w razie ataku to właśnie ona stanie się celem, ktokolwiek by ten atak nie prowadził. A Marynarka Federacji od czasów Howarda Andersona wyznawała zasadę, że walkę należy toczyć z dala od ludzkich siedzib. Czyli albo w przestrzeni, albo na planetach, których zniszczenie nie będzie się wiązało z masakrą cywilów, gdyby do niego doszło.

I było to wysoce rozsądne podejście, jeśli brało się pod uwagę potencjalny najazd obcych, którym wyparowanie niejako przy okazji zniszczenia bazy paru miliardów ludzi w wyniku bombardowania nuklearnego nie robiło żadnej różnicy. Natomiast wiceadmirał Ian Trevayne uczestniczył właśnie w wojnie toczonej między ludźmi i wolałby, żeby baza znajdowała się tuż obok dużego miasta. A jeszcze lepiej między dwoma albo trzema dużymi miastami. Choć z drugiej strony nie był do końca przekonany, czy przeciwnika by to powstrzymało. Jakkolwiek by patrzeć, banda ludobójców udowodniła już, że stać ich na masowy mord, byle osiągnąć cel.

Słowo „Republika” nie chciało mu przejść przez gardło, gdyż nieodmiennie kojarzyło mu się z Republiką Rzymską, która stanowiła oazę cywilizacji w świecie barbarzyńców. Już miał podzielić się tą uwagą z towarzyszem, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język – wiceadmirał

Siergiej Ortega nie był miłośnikiem historii.

A poza tym miał ważniejsze sprawy do omówienia, jak choćby przekonanie Ortegi, by pozostał na pokładzie okrętu, na którym się znajdowali. A był to okręt flagowy Trevayne'a – monitor FNS *Zoroff*. Przebywał na orbicie parkingowej Xanadu wraz z pozostałymi okrętami 32. Zespołu Wydzielonego, który Trevayne zdołał tu doprowadzić, choć momentami sam nie bardzo w to mógł uwierzyć.

Więści o buncie zaskoczyły większość oficerów, ale Trevayne przewidział, że coś podobnego może nastąpić, i podjął odpowiednie środki ostrożności. Obsadził okręty kapitanami wiernymi Federacji i co do jednego lojalnymi wobec niego. A załogi tak stopniowo powymieniał, by przeważali w nich ludzie z Planet Wewnętrznych albo Planet Korporacji. Dlatego też bunty, które wybuchły na pokładach ledwie kilku jednostek, zostały stłumione szybko, a ofiar nie było dużo. A potem nadszedł czas, by zająć się pozostałymi wieściami przywiezionymi przez lekki krążownik *Blackfoot*. Tymi o rajdzie na Galloway's World, macierzystą planetę całego Trzydziestego Drugiego Zespołu Wydzielonego. Na liście ofiar znalazły się: jego żona Natalia i obie córki, trzynastoletnia Ludmiła i siedemnastoletnia Courtenay...

Doktor Iwan, lekarz pokładowy *Zoroffa*, wytłumaczył mu, co to takiego „faza odmowy” – chodziło o okres, w którym człowiek dotknięty tragedią nie przyjmuje do wiadomości faktu, iż miała ona miejsce. Na szczęście dla całego zespołu wydzielonego Trevayne przechodził właśnie tę fazę, gdy w systemie śladem *Blackfoota* pojawiła się rebeliancka flota.

Jednostek buntowników było zbyt wiele, by wdawać się z nimi w walkę, ale nie było wśród nich monitorów. A nikt dowodzący mniejszym okrętem tak naprawdę nie chciał dogonić uciekającego monitora. Dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy w połączeniu z błyskawicznymi i precyzyjnymi rozkazami Trevayne'a umożliwił zespołowi oderwanie się od nieprzyjaciela i ucieczkę. Problem polegał na tym, że na dłuższą metę nie było dokąd uciekać, bo całe Pogranicze zwariowało. Pamiętał doskonale tę trasę: Juarez-Iphigena-Lysander-Baldur. Z tego ostatniego próbował przebić się w kierunku centrum i nadzieją się na rebelianckie lotniskowce, co kosztowało go dwa lekkie krążowniki. W systemie Baldur zdał sobie ostatecznie sprawę, że jest całkowicie odcięty od Planet Wewnętrznych i Planet Korporacji. Pozostały mu tylko dwie możliwości: walczyć tu do końca i ostatecznie przegrać albo naruszyć granicę z Chanatem. Zdecydował się na to drugie, gdyż tylko to dawało jakieś nadzieje. Chan po przegranej wojnie skłaniał się ku polityce pełnej neutralności, jego ludzie i okręty powinny więc zostać internowane, ale na szczęście dowodzący w systemie Sulzan Mały Kieł Diharnoud'frilathka okazał się głupcem i tak długo wahał się, co ma zrobić w obliczu tak wielkich sił, że Trevayne dotarł do warpa prowadzącego do stolicy okręgu. Po tranżycie do systemu Rehfrak miał już do czynienia z gubernatorem okręgu, który głupcem w żadnym razie nie był, ale obecność całego zespołu wydzielonego oficjalnie zignorował. Prawdopodobnie dlatego, że Chanat był zainteresowany zwycięstwem Centrum... choć istotna



mogła też być siła ognia reprezentowana przez dowodzone przez Trevayne'a okręty. W każdym razie pozwolił mu dotrzeć tam, gdzie Trevayne chciał – do warpa prowadzącego do systemu Zephraim.

Zephraim był bramą wiodącą do rejonu zwanego przez ludzi Obrzeżem, a równocześnie największą bazą floty w dziejach ludzkości. Gdy 32. Zespół Wydzielony tam przybył, Trevayne ku swemu miłemu zaskoczeniu odkrył, że nadal rządzi tam Federacja.

Co prawda mieszkańcy Xanadu mieli dokładnie takie same poglądy polityczne i żale jak mieszkańcy wszystkich Planet Pogranicza i z równym entuzjazmem podchodzili do pomysłu połączenia Federacji i Chanatu, ale ich sytuacja była szczególna. W czwartej wojnie międzyplanetarnej, toczonej z wrogiem, który traktował ludzi jak nowinkę kulinarną. Między obcymi a mieszkańcami Xanadu stało tylko jedno: Marynarka Federacji. I tarcza ta okazała się skuteczna, toteż Federacja stała się dla nich niemal symbolem religijnym. Zastrzeżenia do niej nie były wciąż jeszcze aż tak poważne, by doprowadzić do rozłamu.

Rebelia odcięła ich od reszty Federacji, utworzyli więc Rząd Tymczasowy, a ponieważ dowodzący Flotą Graniczną w tym systemie wiceadmirał Ortega był z kolei odcięty od swego dowództwa, oddał podległe mu jednostki do dyspozycji tegoż rządu. Nie był doskonałym taktykiem i nie miał błyskotliwych pomysłów, ale był zawodowcem i uczciwym człowiekiem. A ponieważ miał też dłuższe starszeństwo, Trevayne oddał się pod jego rozkazy.

Kiedy jednak ten desperacki rajd się skończył, powoli zaczęło doń docierać to, o czym się wcześniej dowiedział. Wraz ze świadomością, że teraz jedynym, który mu pozostał, był syn... z którym rozstał się po kłótni, która doprowadziła do tego, że Colin odszedł bez pożegnania.

Pamiętał ją aż za dobrze. Colin zadeklarował jasno, że jest sympatykiem Pogranicza, co doprowadziło go do wściekłości. I to tylko dlatego, że Colin głośno mówił to, czego on sam nie mógł powiedzieć. Nie podał w rozmowie z synem żadnych rzeczowych argumentów, tylko powtarzał w kółko jak toczący pianę kretyn, że przysięga zobowiązuje...

– Przysięgałem Federacji, nie bandzie pazernych sukinsynów, którym ciągle jest mało władzy i pieniędzy! – warknął. W błękitnych oczach, takich samych jak oczy jego matki, pojawił się błysk. – Nie potrafisz tego rozróżnić? Federacja, której obaj przysięgaliśmy wierność, zginęła razem z Fionną MacTaggart!

– Dość! – ryknął. – Myślisz, że nie wiem o krzywdach Pogranicza? Wiem, że pretensje są słuszne, ale ani one, ani nic innego nie może usprawiedliwić zaprzepaszczenia czterystu lat, kiedy ludzkość była wreszcie zjednoczona!

I to zakończyło dyskusję.

Każdy pozostał przy swoim stanowisku i rozstali się w gniewie. Teraz zły był tylko na los, który sprawił, że jako młodszy oficer tak rzadko mógł bywać w domu, gdy Colin dorastał. Bowiem dopiero gdy było już za późno, zrozumiał, że towarzysząc poznającemu świat dziecku, rodzic zyskuje nowe na ten świat spojrzenie, i dzięki temu oboje mogą się

porozumieć. Tyle że on osiągnął to szczególne porozumienie z Courtenay...

\* \* \*

Trevayne spróbował ostatni raz, gdy wraz z Ortegą opuszczali pomost flagowy:

– Siergiej, do cholery: *Zoroff* ma znacznie lepsze wyposażenie i jest o wiele większy niż *Krait*, że o bezpieczeństwie nie wspomnę. Pancernik jest za delikatny na okręt flagowy i doskonale o tym wiesz!

Ortega uśmiechnął się, nie ukrywając znużenia. W większości przypadków słuchał rad Trevayne'a, ale w tej kwestii zaparł się i nie zamierzał zmienić zdania.

– Ian, *Krait* jest moim okrętem flagowym, odkąd tu przybyłem. Większość załogi pochodzi z Obrzeża i zdążyliśmy się dobrze poznać. Jeżeli przeniosę się na *Zoroffa*, będą uważali, że już im nie ufam... i odpłacą mi tym samym. Zamieszanie i bez tego jest wystarczające, nie ma sensu dodatkowo go powiększać – wyjaśnił, po czym dodał z lekkim oporem: – I nie zaczynaj znowu o tym, że z racji moich znajomości z członkami Rządu Tymczasowego jest niezastąpiony. Obaj wiemy, że sytuacja w okolicy jest niestabilizowana, i mamy świadomość, że najprawdopodobniej bez stanu wyjątkowego czy wojennego się nie obejdzie.

– Nie doceniasz tych ludzi – sprzeciwił się Trevayne. – Oni lepiej niż inni wiedzą, co to jest wojna i o co toczy się ta konkretna wojna. Utworzyli rząd, bo są lojalni wobec Federacji, a ty jesteś ważny, bo ich znasz, i to dobrze. Przecież twoja córka jest jednym z twórców tego rządu! Wystarczy dodać do tego władzę wykonawczą, czyli kogoś reprezentującego Federację i mającego nadzwyczajną władzę na wypadek zagrożenia. Prawnik z mojego sztabu znalazł nawet precedens: w czasie wojny tebańskiej kapitan został tymczasowym gubernatorem systemu Danzing mającym takie właśnie uprawnienia aż do chwili jej zakończenia. Ogłosimy cię generał-gubernatorem Obrzeża na okres wojny, a jeśli Zgromadzeniu się to nie spodoba, będzie miało okazję się wypowiedzieć... kiedy odzyskamy kontakt z Centrum. A może i tak się zdarzyć, że okaże się, iż Obrzeże to wszystko, co pozostało z Federacji, Siergiej. Nie wiemy tego i szybko się nie dowiemy. Jesteśmy tu zdani tylko na siebie, więc lepiej będzie, jeśli zaczniemy się stosownie zachowywać. I dlatego jesteś taki cholernie ważny! Bo jesteś jednym z nich, bo cię przyjęli i traktują jak swego!

Ortega otworzył usta, zastanowił się i zamknął je bez słowa.

A potem zastanowił się jeszcze raz i potrząsnął głową.

– Zwolnij trochę, bo się zgubiłem – przyznał. – Zostawmy to, dopóki nie uporamy się z bieżącym zagrożeniem.

Bieżącym zagrożeniem był naturalnie rebeliancki atak, który musiał nastąpić prędzej czy później, a obaj zgadzali się, że raczej prędzej. I to nie dlatego, że w systemie istniały olbrzymie stocznie i zakłady remontowe, ani nie dlatego, że tu właśnie znajdowała się Brama, czyli warp stanowiący jedyną drogę łączącą Obrzeże z resztą Federacji w jej dawnym

kształcie. Powodem była baza Zephraim, w której od dwóch pokoleń naukowcy i inżynierowie zajmowali się wyłącznie udoskonalaniem systemów uzbrojenia, oprzyrządowania i oprogramowania okrętów wojennych i opracowywaniem nowych. Nie przeszkadzało im przy tym zupełnie, że ich projekty nie są wdrażane do produkcji – w końcu nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał kolejnego wyścigu zbrojeń z Chanatem.

Natomiast w chwili wybuchu wojny domowej to, czym się zajmowali, stało się łakomym kąskiem dla obu stron. Zawartość banków pamięci i wiedza ludzi znajdujących się na terenie bazy mogła zdecydować o wyniku tej wojny. Trewayne miał pewność, że zdecyduje, gdyż zapoznał się z wynikami najnowszych badań nad grawitacją. I dlatego gotów był w razie konieczności zniszczyć całą bazę, niż oddać ją rebeliantom.

Takich baz istniało w całej Federacji trzy, ale co osiągnięto w pozostałych, tego nie wiedział. Wiedział natomiast, że jeśli uruchomi się produkcję nowych broni i zdąży wytworzyć odpowiednie jej ilości, nie tylko Obrzeże przetrwa, ale i Federacja wygra. Oni to wiedzieli, ale rebelianci musieli podejrzewać, toteż ich rychły atak był nieunikniony.

Winda, którą jechali, dotarła na pokład lądowiskowy i obaj wysiedli. Fizycznie stanowili kontrast – Ortega był niski i grubawy, o krępej sylwetce i twarzy noszącej ślady rysów słowiańskich oraz środkowoamerykańskich. Trewayne zaś był wysoki, proporcjonalnie zbudowany i śniady, typowy Anglik z domieszką kolorowej krwi, którą upadające imperium dodało pod koniec XX wieku do populacji Wysp Brytyjskich. Miał czarne włosy i równie czarną, starannie przystrzyżoną brodę kapitańską modną wśród części oficerów Federation Navy. Broda sprawiała mu sporo satysfakcji, czupryna zaś irytowała, gdyż zaczynał łysieć na czubku głowy.

– Kiedy wrócę z manewrów, wybierzemy się razem do Xanadu – zapowiedział niespodziewanie Ortega. – I to na kilka ładnych dni. Za długo siedzisz na okręcie, Ian. A poza tym chcę cię przedstawić paru osobom z rządu... a zwłaszcza Miriam. Bardzo chce cię poznać.

Ostatnie zdanie dodał z miną, jaką miał zawsze, gdy mówił o córce – wyrażającą mieszaninę dumy i niedowierzania.

– Cała przyjemność po mojej stronie – bąknął bez śladu entuzjazmu Trewayne.

Ortega uśmiechnął się.

– Lepiej pogódź się z losem – poradził pogodnie. – Ona jest taka jak ty: zawsze postawi na swoim. Zadziwiająco, jak bardzo przypomina charakterem matkę.

Podeszli do kutra Ortegi. Warta trapowa złożona z Marines sprezentowała broń, a sam Ortega prychnął niespodziewanie:

– General-gubernator, też coś! Ale przynajmniej przestałeś mnie namawiać do pozostania na *Zoroffie*!

\* \* \*

Następnego dnia Trevayne wraz z szefem sztabu, kapitan Sonją Desai i oficerem operacyjnym, komandorem Genjim Yoshinaką, omawiali plan manewrów w sali odpraw. Uczestniczył w tym także dowódca *Zoroffa*, kapitan Sean F. X. Remko, tyle że elektronicznie, bo nie chciał opuszczać mostka. Trevayne równocześnie słuchał Yoshinaki i myślał o swoich trzech najbliższych podkomendnych.

Sonja Desai jak zwykle miała kamienny wyraz twarzy. Choć obiektywnie była ładna – mieszanka genów europejskich i indyjskich – nikt nie uznałby jej za pociągającą. Była też błyskotliwym i niezwykle inteligentnym oficerem, ale brakowało jej charyzmy, stąd miała niewielkie szanse na to, by kiedykolwiek zostać dowódcą. Miała też niezwykłą zdolność robienia sobie wrogów i to nie tyle z racji tego, że mówiła prawdę, ile tego, w jaki sposób to robiła.

Sean Remko, masywny szatyn, także nosił brodę. Był wręcz stworzony na dowódcę krążownika liniowego. Co nie oznaczało, że nie mógłby dowodzić większą jednostką – od dawna udawał, że mógłby. Był wojownikiem z natury: agresywny, kompetentny i odważny. Pochodził z Hellbroth – najgorszego slumsu na Nowym Detroit słynącym z najgorszych slumsów. Do wszystkiego doszedł sam i osiągnął wiele pomimo uprzedzeń, które u wielu powodowała jego specyficzna twarda wymowa typowa dla mieszkańców tej planety.

Genji Yoshinaką referował, stojąc przy ekranie taktycznym, na którym widoczne były wszystkie jednostki Ortegi należące do Floty Granicznej – poza oddelegowanymi do innych systemów Obrzeża – oraz forty strzegące Bramy. Manewry bowiem miały objąć i okręty, i fortyfikacje. Genji podobnie jak Trevayne pochodził z Ziemi, co było rzadkością we flocie i już choćby to sprawiało, że coś ich łączyło, choć żaden nigdy słowem o tym nie wspomniał. Genji był cichy, subtelny i zawsze starał się pozostawać w tle. I tak naprawdę nikt poza Trevayne'em, nie zdawał sobie sprawy, jak jest on ważny dla *wa* całego 32. Zespołu Wydzielonego. *Wa* w ogólnych zarysach oznaczało „grupową harmonię”, ale nie było to dokładne tłumaczenie z braku odpowiednich słów w standardowym angielskim.

Remko nagle zgrzytnął zębami i odwrócił się do kogoś pozostającego poza zasięgiem kamery. Po chwili odwrócił się ponownie i przerwał Genjiemu.

– Odebraliśmy wiadomość ze *Skywatch*, panie admirale! Zasobniki rakietowe dokonują tranzytu przez Bramę! Pola minowe nie dają sobie z nimi rady.

Trevayne spojrzął na ekran. Ortega musiał dostać tę wiadomość chwilę wcześniej – co było zrozumiałe, jako że znajdował się bliżej Bramy – jego krążowniki i niszczyciele już się bowiem oddalały od okrętów liniowych.

– Proszę ogłosić alarm bojowy, kapitanie Remko – polecił, wstając z fotela – Komodorze Yoshinaka, opuszczamy natychmiast orbitę i całą naprzód lecimy do Bramy!

I wymaszerował, kierując się na pobliski pomost flagowy.

Pozostała dwójka nieomal deptała mu po piętach.

Na pomoście oczekiwała już na nich wiadomość od Ortegi nakazująca wykonanie tego,

co Trewayne właśnie polecił.

W głębi ducha Trewayne był zaskoczony, że rebelianci (o istnieniu jakiejś tam Republiki nikt nawet nie chciał słyszeć) zdołali tak szybko zorganizować atak. Sprawa stała się bardziej zrozumiała, gdy zobaczył wstępną ocenę sił, które przedostały się przez Bramę pod osłoną zasobników, kończących właśnie odpalenie samosterujących torped w stronę fortów. Atakujący dysponowali mniejszymi siłami, niż się spodziewał, zwłaszcza jeśli chodziło o lotniskowce. Najwyraźniej nie mieli pojęcia o obecności w układzie Zephraim jego okrętów...

Na myśl o takiej niespodziance uśmiechnął się, odsłaniając zęby.

Forty obrywały straszliwe ciągi, ale odgryzały się, strzelając ze wszystkich sprawnych jeszcze dział i zbierając krwawe żniwo. Pancerniki Ortegi odpaliły już pierwsze salwy rakiet, ale same jeszcze nie zostały ostrzelane. Sporą część rakiet nakierowano na okręty dowodzenia, jako że komputerowe banki danych obu stron dysponowały pełnymi informacjami o wszystkich jednostkach biorących udział w starciu i były w stanie błyskawicznie zidentyfikować je na tyle dokładnie, by podać ich nazwy. Taka sytuacja była zdecydowanie niezdrowa dla oficerów flagowych.

Jego okręty nadal znajdowały się poza zasięgiem sensorów pokładowych jednostek walczących przy Bramie. To, co widział na ekranie taktycznym, było obrazem sensorów fortów, znacznie potężniejszych niż pokładowe. Naturalnie operatorzy byli gotowi, bo tego wymagał, skoro ogłoszono alarm bojowy, ale chwilowo nie spodziewał się od nich żadnych meldunków. Dlatego zaskoczyło go podniecenie na nieruchomej zwykle twarzy Desai, gdy zameldowała:

– Wykryliśmy trzy zamaskowane lotniskowce uderzeniowe, sir! A teraz szukamy eskorty... są: dwa lotniskowce floty i lekki krążownik wyposażony w ECM-y trzeciej generacji. Odległość osiemnaście sekund świetlnych, kurs... kurs różni się od naszego o siedemnaście stopni i jest zbieżny, sir! Wygląda na to, że nadlatują zza Zephraim A!

Trewayne, początkowo zaskoczony obecnością nie wykrytych dotąd i to tak pokaźnych sił wroga, zaczął analizować sytuację, nim skończyła mówić. Kurs ów potwierdził ostatecznie jedyne możliwe rozwiązanie, czyli zmorę każdego taktyka prowadzącego walkę obronną: istnienie w bronionym systemie zamkniętego warpa, o którym nie miał pojęcia. Zamknięty warp był anomalią niemożliwą do wykrycia w jakikolwiek inny sposób niż przez skorzystanie z niego od strony, w której był normalnym warpem. Rebelianci musieli ustalić to wcześniej, przeprowadzając zwiad zamaskowanymi niszczycielami albo lekkimi krążownikami. Lub sondami, jeśli byli wybitnie ostrożni. Teraz zaś użyli Bramy do pozorowanego ataku mającego przyciągnąć uwagę i siły obrońców, a główne uderzenie wprowadzili tylnymi drzwiami, których istnienia obrońcy nie byli świadomi.

I było to doskonale posunięcie, obojętne czy wiedzieli o obecności jego okrętów, czy nie. Zamaskowane lotniskowce ujawniłyby bowiem swą obecność dopiero przy starciu myśliwców. A tych byłoby tyle i w tak małej odległości, że dysponując elementem

zaskoczenia, zmasakrowałyby każdą formację. Lekki krążownik wyposażony w systemy radioelektroniczne trzeciej generacji pełnił zaś rolę maszyn rozpoznawczych, które jako nie posiadające systemów maskowania elektronicznego były łatwe do wykrycia. I powinno im się to udać, bo szanse na to, że sensory pokładowe wykryją z takiej odległości zamaskowany okręt, były minimalne.

A wykryły je sensory pasywne, co oznaczało, że przeciwnik nie był tego świadom...

W oczach Trevayne'a zapłonął nagle dziki blask, gdy zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze – dowódca grupy lotniskowców popełnił błąd: włączył systemy maskowania elektronicznego, ale nie uaktywnił środków wojny radioelektronicznej, być może bojąc się, że to go zdradzi. A to oznaczało, że dla komputerów celowniczych i kontroli ogniowej te okręty były niczym nie osłoniętymi, idealnymi celami. Mając konkretny, pewny zamiar celu, który można było zaprogramować w komputerze rakiety, zyskiwało się prawie stuprocentową pewność trafienia. Jeżeli zaatakuje, nim się zorientują i wypuszczą myśliwce, powinien zdołać zniszczyć wszystkie lotniskowce...

– Kapitan Desai, proszę przekazać rozkaz do wszystkich: zmiana kursu na przechwytyjący i natychmiastowe otwarcie ognia – polecił. – Po pierwszej salwie przestawić wyrzutnie na ogień ciągły. I proszę przygotować się do odparcia myśliwców!

32. Zespół Wydzielony wykonał manewr zmiany kursu z równoczesną zmianą szyku szybko i z wprawą dowodzącą doskonałego zgrania. Cztery monitory utworzyły romb osłaniany przez niszczyciele eskorty rozmieszczone w strefach martwego ostrzału. Za ich rufami zaś pozostał osłaniany przez dwa niszczyciele lotniskowiec, który dotąd leciał z przodu. Z lotniskowca wystartowały natychmiast trzy eskadry myśliwców, czyli wszystkie maszyny, a na wszystkich okrętach załadowano wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych nie używane w walce, w której nie brały udziału myśliwce. Ledwie manewr ten został ukończony, monitory wystrzeliły zsynchronizowaną salwę, opróżniając wszystkie zewnętrzne wyrzutnie, i ku okrętom rebelianckim pomknęła chmara rakiet. Kilka sekund później przemówiły wyrzutnie pokładowe monitorów.

– Mamy identyfikację poszczególnych jednostek, sir – zameldowała Desai. – Lotniskowce uderzeniowe to: *Gilgamesh*, *Leminkanien* i *Basilisk*. Lotniskowce floty to *Mastiff* i *Whippet*, a krążownik...

I nagle umilkła, wciągając ze świstem powietrze.

Trevayne odwrócił się do niej i spytał zdziwiony, widząc jej ściągniętą twarz i przerażony wzrok:

– Co się stało, Sonju?

– Panie admirale – powiedziała bardzo cicho. – Lekkim krążownikiem jest *Ashanti*.

Obecni na pomoście flagowym znali albo osobiście, albo ze słyszenia rodzinę Trevayne'a. I wiedzieli, że pierwszym oficerem na lekkim krążowniku *Ashanti* jest komandor porucznik Colin Trevayne. Wszyscy spojrzeli na dowódcę.

– Dziękuję, komodor Desai – odparł ten spokojnie. – Proszę kontynuować.

Yoshinaka zerknął odruchowo na ekran łączności – widać było na nim twarz Remko i jego pełne bólu oczy. Lata temu, gdy Remko z trudem przebijał się przez szeregi Marynarki Federacji, w której stanowiska były praktycznie dziedziczne, w okresie dłuższego pokoju nie raz miał do czynienia z oficerami flagowymi z Planet Wewnętrznych, którzy ledwie kryli pogardę wobec niego. Albo też traktowali go z trudną do wytrzymania, pełną wyrozumiałości wyższością. Lecz pewnego dnia komandor porucznik Sean Remko znalazł się pod rozkazami oficera, którego po prostu nie obchodziło, gdzie Remko się urodził i z jakim akcentem mówił.

Teraz, patrząc z ekranu na tego samego oficera, Remko po prostu musiał spróbować coś zrobić.

– Istotne są lotniskowce, sir – powiedział, starając się mówić spokojnie i rzeczowo. – Lekki krążownik nie jest w stanie nam zagrozić. Rakiety pozostają jeszcze pod kontrolą, więc można...

Trevayne doskonale rozumiał, czego Remko próbuje. Odwrócił się twarzą ku ekranowi i polecił, przerywając mu w pół słowa:

– Proszę zająć się prowadzeniem okrętu do walki, kapitanie.

Po czym usiadł w swoim fotelu i zajął się wydawaniem rozkazów i analizowaniem sytuacji. Na rozważanie zupełnie nowego uczucia, że oto został zupełnie sam we wszechświecie, nie miał czasu ani okazji, bo dzięki żelaznej samokontroli natychmiast je odepchnął. Na żal, nienawiść do samego siebie i rozpacz będzie miał czas potem.

Będzie miał na to aż za dużo czasu.

## Rozdział XV

# SOJUSZ

Xanadu miała nieco cieplejszy klimat niż Ziemia, a dzięki nachyleniu osi planety mniejszym niż piętnaście stopni pory roku były krótkie i łagodne. Stolica – Prescott – leżała na wybrzeżu kontynentu zwanego Kublai znajdującego się obecnie w północnej strefie klimatycznej, toteż gdy Ian Trevayne wysiadł ze swego kutra na lądowisku portu kosmicznego, panowała tam normalna zima. Nie było nawet specjalnie zimno, ale on czuł się tak, jakby był trzaskający mróz i zawierucha. Tyle że ten mróz wypełniał jego duszę, nie ciało.

Przez dłuższą chwilę stał na płycie lądowiska, pozwalając zmysłom zaaklimatyzować się do warunków i starając przyzwyczać do świadomości, że znajduje się w naturalnym środowisku. Tak było zawsze, gdy postawił stopę na planecie podobnej do Ziemi, a w tym wypadku dochodziła jeszcze subtelna acz zauważalna różnica w sile przyciągania, na Xanadu bowiem wynosiła ona 0,93 g, podczas gdy pokładowa ustawiona była na standardowy 1 g. Gdy wszystko wydawało mu się już zwyczajne, podszedł do czekającego Yoshinaki. Ten zaszalutował i poinformował go, idąc obok niego:

– Dzień dobry, sir. Wieczór został zorganizowany tak, jak pan sobie życzył, a przed kapitanatem czeka wóz z pilotem, który pochodzi z Prescott. Panna Ortega mieszka dobry kilometr od najbliższego lądowiska, więc zorganizowałem samochód, żeby dowiózł pana ostatni kawałek.

Trevayne rozejrzał się – wiatr przeganiał chmury i wylaniało się zza nich głęboko niebieskie niebo... Po raz pierwszy od wielu miesięcy powziął decyzję pod wpływem impulsu:

– Samochód nie będzie potrzebny, Genji. Przespaceruję się.

Yoshinaka z wrażenia omal nie potknął się o własne nogi. Przez ten tydzień, który minął od walki, którą już zaczęto określać mianem bitwy o Bramę, cały czas Trevayne'a był starannie zaplanowany, i to prawie co do sekundy. Było to zrozumiałe, gdyż spadły na niego nowe, i to niemałe obowiązki, jako że Siergiej Ortega zginął wraz ze swym okrętem. Genji oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie jedyny ani główny powód pracowitości



Trevayne'a. Trevayne nie chciał myśleć o tym, że został sam, i o tym, jak do tego doszło, toteż zastosował jedyny znany sobie sposób – pracę aż do wyczerpania i kamienny sen zaraz potem. Dlatego ten nagły impuls był tak zaskakujący.

No ale Trevayne zawsze potrafił zaskakiwać, nie tylko przeciwnika...

\* \* \*

Trevayne odwiedzał już Xanadu, ale były to krótkie wizyty i ograniczały się do terenu bazy, a wypełniały je zebrania, narady i odprawy. Teraz pierwszy raz miał okazję obejrzeć z powietrza stolicę. Miasto założone w czasie czwartej wojny międzyplanetarnej nazwano pierwotnie inaczej, choć nie pamiętał już jak. Szybko zostało przemianowane na Prescott na cześć komodora Andrew Prescottta, którego pomnik górował przed Government House. Prescott był oficerem Zwiadu Kartograficznego, który dostarczył Sojuszowi informacje, dzięki którym możliwe stało się zwycięstwo, ale zapłacił za to życiem. Trevayne skrzywił się – przypomniały mu się słowa Winstona Churchilla o pechu prześladowającym narody zmieniające nazwy miast. Miał nadzieję, że stary polityk także i w tym przypadku się pomylił.

Nazwa Prescott natychmiast się przyjęła i nad wyraz do stolicy pasowała – w systemie bowiem co i raz toczono jakąś bitwę, w trakcie której planeta mogła ulec zniszczeniu, i to przypadkiem. Dopiero dzięki bohaterskiemu komodorowi mieszkańcy mogli odetchnąć, ponieważ zmagania przeniosły się w inne okolice.

Aż do teraz, jak pokazały wydarzenia sprzed tygodnia. Tyle że obecnie zagrożenie stanowiły zbuntowane jednostki Marynarki Federacji... tej samej, która przez wieki chroniła przed niebezpieczeństwami wszystkie zasiedlone przez człowieka planety. Tak jak Siergiej...

Zmusił się do stłumienia emocji i ucięcia wspomnień. Miał sprawę do załatwienia, przykrą, ale nie cierpiącą zwłoki. Musiał przekazać kondolencje córce Siergieja. Był mu to winien. I powinno mu to wypełnić czas do pierwszego z wieczornych spotkań. No i nie będzie to czas całkowicie stracony – w końcu miała tu spore polityczne wpływy.

\* \* \*

Akurat zawiął wiatr, gdy Trevayne skręcił w uliczkę, przy której mieszkała Miriam Ortega. Zaklął, w ostatnim momencie łapiąc czapkę. Dopiero potem miał okazję rozejrzeć się.

Uliczka biegła wzdłuż szerokiego ujścia Alph, kończąc się falochronem i wychodząc na port. Była to najstarsza dzielnica mieszkalna miasta, toteż domy były niezbyt duże, ale solidnie zbudowane z kamieni i drewna jak większość budowli wzniesionych przez pierwszą falę kolonistów na większości planet. Wysokie budynki z cerametu stawiano później, toteż z reguły otaczały one i górowały nad starą dzielnicą niczym drzewa nad rezydencją przodków. Styl przypominał w ogólnych założeniach neotudor i Trevayne podejrzewał, że był on wypadkową lokalnych gustów i dostępności określonych materiałów.

Wciągnął głęboko w płuca słone morskie powietrze i doszedł do wniosku, że dobrze

postąpił, decydując się na spacer. Brak świeżych wrażeń był groźny dla psychiki każdego długo przebywającego w przestrzeni; prawdopodobnie konsekwencje zaczęły dawać o sobie znać także i jemu. Otoczony sztucznością człowiek nabierał tendencji do zamykania się w sobie. Ziemia była – chwilowo przynajmniej – nieosiągalna, ale ta okolica wyglądała na tyle znajomo, że Trevayne poczuł się jak w domu.

Na ulicy bawiło się kilkoro dzieci i ich widok zwarzył mu humor, przywołując niechciane wspomnienia. Dlatego nie zareagował na radosny uśmiech jakiegoś chłopca, tylko przyspieszył kroku.

Dom Ortegów znajdował się w połowie uliczki, oddzielony od niej niskim, kamiennym murkiem z kutą żelazną bramą. Ponieważ była uchylona, wszedł, wspiął się po paru schodkach i nacisnął przycisk dzwonka. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

Kobieta stojąca w progu miała niewiele ponad trzydzieści lat. Była średniego wzrostu, proporcjonalnej, ale nie drobnej budowy. Gęste, czarne włosy zaczesła do tyłu; ta fryzura uwydatniała jej mocno zarysowane kości policzkowe. W tym przypominała Siergieja, natomiast reszta twarzy łącznie z nieco zakrzywionym nosem musiała zostać odziedziczona po matce. Nieżyjąca już Ruth Ortega pochodziła z Nowego Sinaju, w twarzy córki było to wyraźnie widać. Ogólnie rzecz biorąc, trudno było Miriam Ortedze zarzucić, że jest piękną.

– Pani Ortega?

– Tak. Pan musi być admirałem Trevayne'em. Pański adiutant kontaktował się dziś ze mną. Nie wejdzie pan? – głos miała stłumiony, lecz pewny.

Poprowadziła go krótkim korytarzem do salonu z dużym oknem wychodzącym na ulicę. W pokoju nie panował bałagan, ale widać było, że tu się mieszka i pracuje, a nie tylko przyjmuje gości. Ściany zapełniały regały ze starymi, drukowanymi książkami, a przy oknie stały sztalugi z pędzlami i farbami. Pod jedną ze ścian znajdowało się funkcjonalne biurko z wbudowanym komputerem.

– Maluje pani? – spytał, wskazując na sztalugi.

– Jedyne dla zabicia czasu, ale obawiam się, że mam więcej entuzjazmu niż talentu. – Usiadła i zapaliła papierosa. – Miałam przestać w lecie, palić, nie malować. Ale teraz wygląda na to, że będę potrzebować wszystkich złych nawyków, by przetrwać.

Jej słowa przypomniały mu, po co przybył.

Odchrząknął i powiedział:

– Gdy rozmawiałem z pani ojcem ostatni raz, mówił, że chce, żebyśmy się spotkali. Naprawdę żałuję, że doszło do tego dopiero w takich okolicznościach. Proszę przyjąć kondolencje z powodu jego straty. Może mi pani wierzyć, że mnie także go brak. Pani ojciec był jednym z najlepszych oficerów, pod jakimi zdarzyło mi się służyć.

Zabrzmiało to niezwykle formalnie i zupełnie inaczej, niż to sobie zaplanował, ale jakoś tak wyszło... Nigdy nie umiał mówić od serca w tragicznych sytuacjach. Tych, które

dotyczyły jego samego, także.

Miriam Ortega wypuściła z ust smugę dymu, nim się odezwała,

– Wie pan, wydaje mi się, że ojciec był rozczarowany, że wyszedł mu potomek, że się tak wyrażę, całkiem niemilitarny, ale przyznam, że go rozumiem. Jakiegokolwiek lekkoducha by udawał, do pewnych rzeczy podchodził naprawdę poważnie. Jedną z nich była Federacja, a drugą to, co uważał za właściwy stosunek do służby. Zwykł cytować starożytność powiedzenia, a zwłaszcza jedno, o osłanianiu własnym ciałem tych, których przysięgało się bronić... Nie wyobrażał sobie czegoś, co byłoby bardziej warte oddania życia, i zginął tak, jak zawsze chciał. Nie ukrywam, że rozpaczam po jego śmierci, ale rozpacz to nie najwłaściwsze określenie... bo nie ma w nim miejsca na dumę, a ja jestem z niego dumna.

Spojrzała na niego. Trevayne był zaskoczony tym, jak bardzo to, co usłyszał, pokrywało się z jego wcześniejszymi przemyśleniami. A poza tym widząc, z jaką energią zmieniał się wyraz jej twarzy, dostosowując się natychmiast do tego, co mówiła, i podkreślając jej słowa, zmuszony był zrewidować pierwotną ocenę. Miriam Ortega nie była piękna, ale nie była też przeciętna. Była wyjątkowa.

Przez moment miał ochotę zwierzyć się jej z własnego bólu, bo była osobą wzbudzającą zaufanie, ale zapanował nad sobą. Miała dość problemów, a on nie miał prawa obarczać jej dodatkowymi. I nie był pewny, czy jest już gotowy, by o nich mówić.

– Wiem, że była pani z ojcem blisko – powiedział. – I jeśli dobrze pamiętam, wspomniał, że przeniosła się pani tu, gdy otrzymał przydział do systemu Zephraim.

– Podejrzewam, że to była z mojej strony forma rekompensaty: gdy byłem dzieckiem, rzadko go widywałem, bo nieczęsto bywał w domu. Wychowywała mnie głównie matka; gdy on był w pobliżu, robił, co mógł, żebym została urwisem – uśmiechnęła się smutno. – Niektórzy twierdzą, że mu się udało... A co do przybycia tutaj, to ma pan rację, było to zaraz po moim powrocie. Miałam ochotę na całkowitą zmianę otoczenia, mama nie żyła, jego przenieśli na nową planetę i nadal było mu ciężko...

Przerwała, zaciągnęła się głęboko i przez chwilę jej twarz była pełna namysłu. A potem wypuściła dym, wzruszyła ramionami i dodała:

– Skończyłam prawo na uniwersytecie w Nowych Atenach. Miałam nie najgorsze referencje, więc otwarcie praktyki tutaj nie stanowiło problemu. I tak to, co zaczęło się od chęci bycia z ojcem, zmieniło się w coś zupełnie innego. Dostałam propozycję od jednej ze starych firm, Bernbuch, de Parma i Leong, i nagle stałam się swoja. A ponieważ firma ta od zawsze miała sporo wspólnego z lokalną polityką, skończyło się na współudziale w tworzeniu Rządu Tymczasowego.

Trevayne pokiwał głową, zdając sobie sprawę, że to wysoce skrócona wersja wydarzeń. Gospodyni zaś zamachała nagle dłonią trzymającą papierosa i oznajmiła zupełnie innym tonem:

– To ludzkie pojęcie przechodzi! Gadam o sobie, mając obok najświetniejszego człowieka

na całym Obrzeżu. Już samo dotarcie tu zrobiło z pana bohatera, a od czasu bitwy jest pan bożyszczem. A ja tu zanudzam pana...

– Nie, nie – zaprzeczył pospiesznie Trevayne. – Wręcz przeciwnie, właśnie dochodziła pani do tego, o czym i tak muszę się więcej dowiedzieć. Nadal nie bardzo mam pojęcie, skąd się wziął ten Rząd Tymczasowy.

– Nie? – Przyjrzała mu się z namysłem. – A na ile orientuje się pan w historii tej planety?

– Znam jedynie najbardziej podstawowe fakty i daty.

– W takim razie wie pan, że Xanadu została zasiedlona w czasie czwartej wojny międzyplanetarnej, gdy flota zbudowała tu bazę. To wywarło poważny wpływ na skład ludności. Przez ponad sześćdziesiąt lat trwały tu prace budowlane na olbrzymią skalę, wymagające dużej rzeszy robotników, stąd też ściągali tu ludzie z całej Federacji. W efekcie tak pod względem rasy, jak i pochodzenia obecne społeczeństwo jest chyba najbardziej zróżnicowane ze wszystkich w skolonizowanej galaktyce. Pewnie dlatego ja tak tu dobrze pasuję. Ponieważ kolonizacji nie przeprowadziła jedna grupa etniczna, narodowa czy religijna, społeczność potrzebowała klasycznej, piramidalnej struktury władzy. Xanadu została podzielona na prefektury zgrupowane w okręgach, a te z kolei w prowincjach. Z każdej prefektury wybierany jest jeden przedstawiciel do zgromadzenia okręgu, a z niego też jeden do zgromadzenia prowincjonalnego. Z tych po jednym przedstawicielu trafia do Rady Planetarnej, a prezydenta wybiera się w wyborach powszechnych. On zaś mianuje sędziów Sądu Najwyższego. Jest to bardziej model francuski niż amerykański, ale funkcjonuje całkiem dobrze. W tej chwili mieszkańcy budują coś, co antropologia określa mianem więzi narodowej, ale to akurat jest dla pana mało istotne, więc nie ma sensu wdawać się w szczegóły. Partia prorebeliancka była nader nieliczna, ale też nader zmilitaryzowana. Ledwie nadeszła wieść o powstaniu, jej członkowie zdetonowali bombę, która zabiła prezydenta i kilku ministrów, nie wspominając o sporej liczbie przypadkowych cywilów. Główni organizatorzy prysnęli na Aotearoę, ale udało się wynegocjować ich ekstradycję, w czym – tak na marginesie – brałam udział. Stawało się coraz bardziej jasne, że potrzebujemy jakiejś władzy systemowej, po to by zaprowadzić porządek w systemie, jak i po to by reprezentować go na zewnątrz, gdyż zostaliśmy kompletnie odcięci od Federacji. Wreszcie stworzono Rząd Tymczasowy reprezentujący Zephraim i sąsiednie systemy planetarne, te najbardziej zaludnione i uprzemysłowione na Obrzeżu. To była czysta improwizacja, ale udana. Wsparcie ojca znacznie wszystko uprościło, ale nadal panuje jeszcze pewien chaos.

I uśmiechnęła się promiennie.

– Fakt – przyznał. – Rozmawialiśmy o tym sporo z pani ojcem. Ja widzę to tak – trzeba założyć, że Obrzeże pozostanie zdane samo na siebie, potrzebny jest więc rząd reprezentujący wszystkie planety, który zająłby się choć banalnymi sprawami administracyjnymi, czym dotąd zajmowała się Federacja. Ale chodzi też o coś innego... Owszem, tydzień temu pokonaliśmy i przepędziliśmy rebeliantów, ale oni wrócą, to tylko kwestia czasu. Podobnie

jak wyłącznie kwestią czasu jest uaktywnienie się w okolicy Korsarzy Tangri. Skorzystają z zamieszania wywołanego przez wojnę, to pewnie. Powiedziałem Siergiejowi, że być może jesteśmy wszystkim, co pozostało z Federacji. Jesteśmy tak ściśle odizolowani, że nie ma sposobu, by to sprawdzić. Całe szczęście, że mamy lojalny Rząd Tymczasowy, z którym można współpracować.

Już chwilę wcześniej wstał i zaczął spacerować po pokoju, ale zdał sobie z tego sprawę dopiero teraz. Jak i z tego, że gospodyni obserwuje go i słucha uważnie, więc zamiast się tłumaczyć, dodał:

– Chciałbym coś wyjaśnić: kiedy powiedziałem, że ja też odczuwam brak pani ojca, nie myślałem o nim wyłącznie jako o dowódcy i przyjacielu. Planowałem, że jako najstarszy rangą oficer floty ogłosi się na czas wojny gubernatorem generalnym – czy jak tam to zwać – całego Obrzeża. Jest to prawnie wykonalne, ale bez wsparcia lokalnych przywódców politycznych przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Przy jego kontaktach politycznych... przepraszam, poniosło mnie. Poza tym teraz, gdy on nie żyje, to gdybanie jest bezsensowne.

Miriam Ortega słuchała go z jeszcze większą niż uprzednio uwagą. A po przeprosinach jej oczy wręcz rozbłysły.

– Wręcz przeciwnie! – zaprotestowała. – To ma sens. Tak politycznie, jak i militarnie. Pomysł z gubernatorem jest doskonały: on reprezentuje Federację, a więc na nim ogniskują się sentymenty lojalistów. Równocześnie daje on Rządowi Tymczasowemu to, czego mu najbardziej brak, czyli silną władzę wykonawczą. A co najważniejsze, mamy kogoś wręcz idealnego na to stanowisko.

Trevayne spojrział na nią i bardziej stwierdził, niż spytał:

– Mnie?

– Oczywiście! Jako najwyższy rangą oficer Marynarki Federacji na Obrzeżu jest pan jedynym możliwym kandydatem. I proszę pamiętać, co powiedziałam wcześniej: jest pan kimś więcej niż bohaterem, więc to przesądza sprawę.

Żadne z nich nie zauważyło, kiedy kurtuazyjna wizyta niepostrzeżenie zmieniła się w naradę polityczną. Pierwszy uświadomił sobie to Trevayne, podobnie jak pierwszy doszedł do wniosków, które właśnie sformułowała gospodyni, ale to ona musiała je głośno wypowiedzieć. Był zadowolony, że rozmowa tak się potoczyła – musiał z kimś przedyskutować problemy i obiekcje – nie były to bowiem kwestie militarne, a polityczne.

– Sam tego nie dokonam – powiedział. – Nie znam tych ludzi.

– Ale ja znam – odrzekła zwięźle.

Spojrzeli sobie w oczy i zrozumieli, że są sojusznikami.

– Nie mogę tak ni z gruszki, ni z pietruszki ogłosić się gubernatorem. – Trevayne podjął przerwany spacer po salonie. – To by zaprzeczało samej idei współpracy z obecnym rządem. Mogę spotkać się z najważniejszymi jego członkami i doprowadzić do tego, by to rząd wydał oświadczenie, po którym czy przed którym nastąpi proklamacja. I trzeba utworzyć jakiś

organ, który zająłby się kwestiami międzysystemowych problemów prawnych. Przy tak wielu systemach planetarnych różnice, i to nawet podstawowej natury, niechybnie się pojawiają, i trzeba być na to przygotowanym. Druga rzecz to kwestia regulacji prawnych dotyczących spraw codziennych, choćby inflacji, która jest nieunikniona przy gospodarce przestawionej na potrzeby produkcji wojennej. A to będzie wymagało zmian w podstawach statutów wszystkich planet...

– Zgadza się – przyznała i przyjrzała mu się, przekrzywiając głowę. – Jak na zawodowego wojskowego zaskakująco dobrze orientuje się pan w temacie.

– Czytałem trochę opracowań historycznych i coś mi zostało w głowie. Natomiast tak jak mówiłem: teraz najważniejsze są nieoficjalne spotkania z najważniejszymi osobami. Ponieważ mają być nieoficjalne, lepiej byłoby nie organizować ich w bazie czy w ratuszu...

– Można tutaj – przerwała mu.

Trevayne zatrzymał się w pół kroku.

– Fakt – przyznał. – Może się pani skontaktować, z kim trzeba?

Skinęła potakująco głową.

– Teraz kwestia terminu... mam dość napięty rozkład zajęć i nie wiem, jak długo będę w stanie pozostać na planecie...

– Pojutrze o dziesiątej rano będzie pasowało? – spytała spokojnie.

– Pojutrze? – powtórzył słabo.

– No cóż, ci ludzie znajdują się obecnie w różnych miejscach planety. Mogę nie zdążyć zebrać ich wszystkich tutaj jutro.

Trevayne skinął głową, zaskoczony jej energią i zdecydowaniem.

– Nie uda się ściągnąć nikogo z innego systemu – dodała. – Na szczęście Bryan MacFarland z Aotearoi jest w mieście. No i musi być obecny Barry de Parma, bo polityka to jego żywioł i zna wszystkich. No i...

– Proszę przygotować listę. I podstawowe informacje o każdym z nich. To nie powinno zająć... – Spojrzał na zegarek i urwał. – Żeby to najjaśniejsza cholera i nagły szlag! Tego... przepraszam najmocniej...

Miriam z trudem stłumiła atak wesołości.

Trevayne zaś uruchomił komunikator.

– Genji?

– Właśnie się zastanawiałem, sir, czy już panu przeszkodzić, czy za cztery, pięć minut.

– Genji, zostanę tu nieco dłużej, niż zakładałem. Odwołaj wszystkie dzisiejsze spotkania i nie planuj mi nic na pojutrze. Jeżeli już coś jest, przelóż to na inny dzień.

\* \* \*

Dwa dni później oboje znów siedzieli w salonie, tyle że teraz pełno w nim było stojących w nieładzie krzesel i kipiących od niedopałków popielniczek. Trevayne pomachał z

rezygnacją ręką przed nosem, ale na szarej zasłonie nikotynowego dymu nie wywarło to żadnego wrażenia.

– Chyba trzeba tu przewietrzyć – zaproponował, wskazując jedno z wielu okien za przykrytymi płótnem sztalugami.

– Chyba – przyznała Miriam, nie ruszając się z miejsca. – Chyba ci się udało.

– Nam się udało – poprawił. – Masz w tym przynajmniej taki sam udział.

– Nie. Nie tylko przekonałeś ich do tego pomysłu: zaraziłeś ich nim, a to wyłącznie twoja zasługa. Kiedy ogłosisz utworzenie Tymczasowego Rządu Obrzeża, staną za tobą, bo wiedzą, że masz słusność. A obecny Rząd Tymczasowy przekształcimy w komitet do spraw organizacji parlamentu, do którego każdy system będzie miał prawo przysłać delegata.

– Tym mogłabyś się zająć od razu, ale ogłosimy to za jakiś tydzień nie wcześniej.

– Za tydzień?... – zastanawiała się długą chwilę. – Może być. Roześlę wiadomości, bo do najdalszych systemów i tak dotrą za prawie miesiąc. Ale po co tak długo czekać? Rząd da się zmontować w dwa do trzech dni.

– Wiem, ale teraz muszę odwiedzić bazę na Gehennie. Mój szef sztabu znalazł tam coś, co może okazać się dla przetrwania Obrzeża ważniejsze od tego, co tu zaczęliśmy.

– Przygotowuje się do rozpoczęcia produkcji nowej broni i potrzebuje twojego błogosławieństwa, tak?

– Skąd wiesz? – zdziwił się Trevayne, dając sobie słowo, że nigdy więcej jej nie zlekceważy.

– A w jakim innym celu byś tam leciał? Nie bój się, nikomu nie powiem, ale tu i tak wszyscy się orientują, czym zajmują się naukowcy w bazie Zephraim przez ostatnie czterdzieści lat. O tym, że opracowują nowe bronie, wie każde dziecko. Zresztą, jak sądzę, nie tylko tu.

– Może nie wśród dzieci, ale rzeczywiście to żadna tajemnica – przyznał z uśmiechem. – Z drugiej strony jak długo nikt nie zna szczegółów, nie istnieje zagrożenie, i dlatego wolałbym nie mówić ci nic bliższego. I dobrze byłoby, żebyś ty też o tych sprawach z nikim nie rozmawiała.

– Nie mam zamiaru – zapewniła go poważnie.

– To dobrze.

Spojrzał na zegarek i poszukał wzrokiem czapki. Gdy ją odnalazł, podniósł się i powiedział:

– Muszę lecieć, czeka na mnie prom w Abu'said. Odezwę się, gdy tylko wrócę. Chcę prosić cię o pomoc przy zredagowaniu ostatecznej wersji proklamacji.

– Musiałbyś mnie zamknąć, żeby się do tego nie wtrąciła. – Miriam także wstała. – Wiesz, naprawdę wierzę, że nam się to uda – dodała poważnie.

– Ja też. Poza tym przy tobie trudno pozostać pesymistą. No i twoi znajomi wywarli na mnie naprawdę duże wrażenie. Chyba nawet polubiłem tego MacFarlanda.

– Tak podejrzewałam. Nawet mówicie podobnie.

Trevayne'a na moment zatkało, jako że MacFarland miał najczystsza australijską wymowę, która dla każdego Anglika stanowiła bolesną karykaturę tej właściwej. A w następnej chwili odrzucił głowę i parsknął śmiechem po raz pierwszy od naprawde dawna. Miriam przyglądała mu się zaskoczona, ale wreszcie i ona zaczęła się śmiać. A potem Trevayne trącił łokciem sztalugi i zrzucił zasłaniający je materiał.

– O cholera! – westchnęła cicho.

Trevayne przestał się śmiać. I długo wpatrywał się w szkic węglem. A potem spojrzął na nią pytająco.

– Naprawde jestem taki ponury? – spytał cicho.

– Mhm – potwierdziła dziwnie oszczędnie.

Trevayne przyjrzał się szkicowi dokładnie i przyznał z namysłem:

– Nie sądziłem, że wyglądam tak... szorstko.

– Nie szorstko. Bardziej pasuje „twardo”. Masz twarz, na której zupełnie nie widać czułości czy delikatności. A szkoda, bo uważam, że w głębi... gdzieś tam wewnątrz jesteś i czuły, i delikatny. I że zostałeś bardzo zraniony – dodała i umilkła zaskoczona tym, co powiedziała.

Trevayne jeszcze przez chwilę przyglądał się szkicowi, zapamiętując posępną minę, którą doskonale uchwyciła paroma pociągnięciami węglem, i czując, jak jej słowa przenikają przez szczelny pancerz, którym się otoczył.

A potem odwrócił się do niej.

– Tak zostałem... – zaczął i urwał.

Kolejny raz zadziałała samokontrola – musiał lecieć do bazy, więc nie miał już czasu na zwierzenia. Może gdy wróci i spotkają się ponownie.

I z pewnym zdumieniem stwierdził, że już sama świadomość istnienia kogoś, z kim będzie mógł otwarcie porozmawiać, sprawiła mu ulgę.

– Miriam, obiecuję, że skontaktuję się z tobą po powrocie. I wtedy porozmawiamy.

– Trzymam cię za słowo – zagroziła i podała mu dłoń.

Uścisnął ją i wyszedł, nakładając czapkę.

Od portu znów solidnie wiało, choć na niebie nie było chmur. Czapkę przezornie nasadził mocno, więc nie musiał jej gonić. Ruszył różnym krokiem ku platformie, mijając po drodze grupkę dzieci bawiących się w tym samym co poprzednio miejscu. Ten sam chłopiec uśmiechnął się do niego.

Tym razem odpowiedział mu uśmiechem.



## Rozdział XVI

# ROZDZIELENIE WŁADZY

Genji Yoshinaka nigdy dotąd nie widział Sonji Desai tak wścieklej. Prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętał, czy kiedykolwiek widział ją choćby rozgniewaną.

– Stary musiał zgłupieć do reszty! – warknęła przez zaciśnięte zęby. – To pewnie przez ten stres albo utratę rodziny.

– Nie przesadzaj, doskonale znasz polityczne powody, dla których to robi – przerwał jej dyplomatycznie Genji. – Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Skoro aż tak ci się to nie podoba, dlaczego nie powiedziałeś mu tego na przykład na Gehennie?

– Pewnie, słyszałam wszystkie polityczne argumenty i w tej kwestii całkowicie zdaję się na jego osąd. – Sonja zawsze przyznawała otwarcie, że polityki i całej reszty ludzkich interakcji po prostu nie jest w stanie zrozumieć. – Ale sądziłam, że chodzi o honorowy parlament, w którym tutejsze osoby będą mogły się wygadać i poczuć ważne, i nie przeszkadzać nam w podejmowaniu decyzji! W życiu by mi do głowy nie przyszło traktować tej farsy na serio!

I spojrzała na skupionych w drugim końcu pokoju cywilów tak jadowniczo, że gdyby mieli szczyptę przyzwoitości, padliby trupem na miejscu. Zwłaszcza zaś jedna osoba, jak podejrzewał Yoshinaka.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, mieściło się w Government House, a raczej w jego podziemiach, i z racji opancerzenia przypominało porządny bunkier, choć wewnątrz tego widać nie było. Widać natomiast było, że całość została zbudowana w czasie czwartej wojny, kiedy zabezpieczenia przed atakiem naziemnym czy bombardowaniem orbitalnym były rzeczą normalną i zwracano na nie większą uwagę niż na systemy antyszpiegowskie. Dlatego też sala była oczywistym miejscem pierwszego spotkania przywódców cywilnych i wojskowych nowo powstałego Tymczasowego Rządu Obrzeża. I jak należało się spodziewać, naturalną kolejną rzeczą utworzyły się dwie grupy zajmujące dwa jej końce – ta w mundurach i ta w garniturach.

– Zresztą niech sobie będzie rząd cywilny, co mnie to obchodzi – dodała Sonja. – Niech sobie administruje Obrzeżem, przynajmniej my będziemy mieli mniej roboty. Ale nie mieści

mi się w głowie, że stary chce dać prawo dostępu do tajnych informacji tym, „którzy mają bezpośredni związek z wysiłkiem wojennym”, koniec cytatu. Przecież to nielegalne, nie mówiąc o tym, że nierozsądne!

– Kwestia punktu widzenia. Jako gubernator ma do tego prawo, bo nigdzie nie jest to zakazane. A jeśli rządowi Federacji nie będzie się to podobało, może mu to powiedzieć, gdy odzyskamy z nimi kontakt.

Desai zniecierpliwiona machnęła ręką.

– Nie o to chodzi. Nie byłeś w bazie, ale wiesz, o czym mówię: nie o modyfikacjach, ale o zupełnie nowym rodzaju uzbrojenia. Wystarczy, żeby ktoś wypaplał na jakiej zasadzie jest oparty napęd, i już będą kłopoty! Muszę go przekonać, że nie wolno ryzykować. Trzeba wzmocnić środki bezpieczeństwa, a nie je osłabiać, wpuszczając tam cywilów. Zwłaszcza po tym, co się stało w bazie!

Yoshinaka pokiwał głową – potrafił ją zrozumieć, zwłaszcza że parę dni temu omal nie została zabita w teoretycznie absolutnie bezpiecznym miejscu. Ale jak zwykle nie mógł się pogodzić z jej zawziętością. A tym razem była ona większa niż zwykle.

– Muszę go przekonać! – powtórzyła. – Przecież chyba dotarło do niego w końcu, że nie może ufać tym... tym kolonistom!

Genji spojrział na nią zdziwiony – każdy ma prawo mieć uprzedzenia, ale nigdy dotąd nie słyszał z jej ust uwag, które świadczyłyby o tym, że ma jakieś uprzedzenia. A to akurat było w dodatku mało logiczne, jako że nie pochodziła z Ziemi. A Sonji Desai nie można było zarzucić braku logiki, co więc się stało?...

Wyprostował się nieco, ale i tak musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć jej w oczy (podobnie zresztą jak większości ludzi), i powiedział, starając się, by wypadło to zupełnie naturalnie:

– Myślę, że stary przemyślał sprawę i uznał takie postępowanie za najlepsze, a w takim wypadku nie odwiedziesz go od tego. Myślę też, że straciłaś okazję do takiej rozmowy, gdy byliście sami w drodze do bazy. A jestem przekonany, że dyskusja na ten temat teraz, zwłaszcza w tym towarzystwie, przyniosłaby więcej szkody niż pożytku. Naprawdę odradzam ci próbowanie.

Odpowiedzi nie usłyszał, gdyż otwarły się masywne dwuskrzydłowe drzwi, a woźny zaanonsował:

– Pan gubernator!

\* \* \*

Trevayne ubrany był w doskonale skrojony garnitur, co jednoznacznie wskazywało, w jakiej roli występuje, co zrozumieli zarówno politycy, jak i zasiadający naprzeciwko nich wojskowi. Spojrzenia, które wymienił z Miriam Ortęgą, nie zauważył natomiast prawie nikt.

– Panie i panowie, proszę zająć miejsca – zaprosił obecnych.

Miriam zapaliła papierosa, ledwie usiadła.

– Ohydny nałóg! – mruknęła pod nosem Desai na tyle głośno, by usłyszał ją siedzący obok Genji.

Do uszu Miriam ulokowanej prawie naprzeciwko niej też musiało to jednak dotrzeć, gdyż uniosła brwi i przyjrzała się Sonji z zaciekawieniem.

Trevayne zaś uznał, że część formalno-grzecznościową ma już za sobą, i przystąpił do konkretów.

– Wszyscy wiemy, co spowodowało zwołanie tego spotkania. Wszyscy też jesteśmy wdzięczni losowi, że kapitan Desai może być tu z nami.

Odpowiedział mu potakujący pomruk.

Trevayne zaś zwrócił się bezpośrednio do niej:

– Przepraszam, że cię tu ściągnąłem tak nagle, i to prosto ze szpitala, Sonju. – Nie musiał wyjaśniać w czym rzecz, bo lewą rękę miała unieruchomioną w opatrunku, choć rana nie była aż tak groźna, na jaką wyglądała. – Musimy jednakże poznać twoją opinię, jako że byłeś w samym sercu, że się tak wyrażę, wydarzeń.

– Dziękuję za troskę, sir. Zanim przejdziemy do tematu, który pan poruszył, mam obowiązek zwrócić pańską uwagę na inną, przynajmniej równie ważną kwestię – odparła Desai. – Chodzi o kwestie bezpieczeństwa i dostępu do tajnych informacji związanych z bazą Zephraim... zwłaszcza w świetle tego, co się właśnie stało.

Yoshinaka jęknął bezgłośnie.

Wszyscy obecni – i nie tylko, gdyż wszyscy przytomni w całym systemie planetarnym wiedzieli, co się stało, i to zaledwie godzinę po opuszczeniu przez Trevayne'a Gehenny.

Bezpieczeństwo i łatwość utrzymania tajemnicy na niezamieszkanym planecie były oczywiste i miały wpływ na ostateczną decyzję o lokalizacji ośrodka badawczego. Jednak po pewnym czasie stało się to, co było nieuniknione – pod kopułami pod ziemią wyrosło miasto. Nieduże, ale jak się okazało, zamieszkane przez zaskakująco dużą grupę doskonale zorganizowanych rebeliantów. Plan opanowania i zniszczenia stacji lub najważniejszych jej elementów był starannie przemyślany i jego realizacja powiodłaby się, gdyby rebelianci nie dali się skusić okazji, jaką była wizyta Trevayne'a.

Choć nie byli do końca gotowi, perspektywa ukatrupienia go okazała się zbyt nęcąca i zaatakowali za wcześnie. Trevayne uniknął niebezpieczeństwa tylko dzięki kampanii dezinformacyjnej zorganizowanej przez Sonję Desai – wszyscy uważali, że jest jeszcze w bazie, podczas gdy naprawdę odleciał z niej godzinę wcześniej.

Ataku nikt się nie spodziewał, bo nikt nie podejrzewał nawet istnienia rebelianckiego podziemia. A już zupełnie nie spodziewano się, że napastnicy będą tak dobrze uzbrojeni i że będą znali kody wejściowe uzyskane od szantażowanych członków personelu stacji.

Walka naturalnie była nieunikniona, gdyż abordaże z okresu wojny tebańskiej wyleczyły Marynarke Federacji ze złudzeń, że broń boczna i wyszkolenie w walce wręcz są przeżytkami średniowiecza dobrymi jedynie dla współczesnych troglodytów, czyli członków Federation

Marine Corps. Broń boczna stanowiła od tamtych czasów element munduru polowego wszystkich oficerów i podoficerów, o wartownikach na służbie nie wspominając. Były to jednak pistolety lub karabiny laserowe doskonale spisujące się na pokładach okrętów czy w próżni, natomiast nie na powierzchni, gdzie było pod dostatkiem powietrza. Dlatego rebelianci uzbrojeni byli w broń palną i granaty, aerozolowe uwalniające po detonacji gęstą chmurę cząstek o takim składzie, że skutecznie rozpraszała ona promień lasera. W połączeniu z zaskoczeniem pozwoliło im to błyskawicznie opanować górne poziomy bazy i wtedy to Desai została ranna.

Sytuacja odwróciła się, gdy do akcji wkroczyły jednostki Marines pozostające w stanie alarmu w związku z wizytą Trevayne'a, która wszak oficjalnie jeszcze trwała. W konfrontacji ze zbrojami nawet wielolufowe działka były nieskuteczne, toteż stację odbito, nim napastnicy zdążyli zniszczyć naprawdę ważne dane czy sprzęt. Choć wszystko wskazywało na to, że wybito rebeliantów do ostatniego, śledztwo trwało. Zniszczenia i straty w bazie okazały się spore. Jedną z ofiar była Sonja Desai, a zwłaszcza jej spokój ducha.

– ...opóźnienie będzie wynosiło kilka ładnych miesięcy – zakończyła relację z ataku i dodała, spoglądając wymownie na Miriam Ortege: – Ukazuje to równocześnie bardzo poważny problem szerszej natury, bo wygląda na to, że nie sposób ufać całej populacji Obrzeża. Jestem ciekawa, co w tej kwestii ma do powiedzenia osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo wewnętrzne. Spisek został zorganizowany przez cywilnych mieszkańców Gehenny, a do momentu ataku nikt nie miał zielonego pojęcia o istnieniu podziemia!

Słyszając to, Trevayne zmarszczył brwi – Sonja miała rację, ale sądził, że zrozumiała już konieczność taktowniejszego traktowania członków rządu. Na dodatek piła pod niewłaściwy adres – Miriam Ortega nie miała nic wspólnego z kwestiami bezpieczeństwa wewnętrznego aż do chwili objęcia tego stanowiska w Rządzie Tymczasowym Obrzeża. A w chwili ataku rząd ten jeszcze nie istniał – przygotowania do jego utworzenia były dopiero w załączku.

Nie mógł jej przywołać do porządku tak, jak na to zasłużyła, z wielu powodów. Choćby dlatego, że Miriam musiała to sama załatwić, jeśli chciała cieszyć się choćby elementarnym szacunkiem wojskowych. Dlatego milczał i czekał na rozwój wydarzeń.

– Po pierwsze – oświadczyła wolno i wyraźnie Miriam, nie zwracając się do nikogo konkretnie. – Ja także cieszę się, że kapitan Desai uniknęła poważnej rany, i żałuję, że tyle osób zginęło. Nie doszłoby do tego, gdyby policja miała możliwość prowadzenia śledztwa w związku z informacjami, jakie uzyskała i jakie przekazała kontrwywiadowi floty odpowiedzialnemu za całą Gehennę, ponieważ cywilne służby nie mogą na jej terenie prowadzić dochodzeń. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, kapitan Desai, ale z tego co mi wiadomo, to właśnie te informacje spowodowały podjęcie przez panią środków bezpieczeństwa, dzięki którym gubernator wyszedł z tej historii cało. Zresztą bardzo sensownych środków.

Zrobiła sekundową przerwę, ale Desai milczała, toteż Miriam mówiła dalej, nie okazując

żadnej satysfakcji.

– Kwestia odpowiedzialności za utrzymanie porządku wśród ludności cywilnej Gehenny od początku była niejasna i taka pozostała. Marynarka uważa całą planetę za teren wojskowy i traktuje policję jako służbę doradczą i pomocniczą. Nie jest to najszcześniejsze, gdyż kontrwywiad floty nie ma ani doświadczenia, ani ludzi przygotowanych do działania w środowisku cywilnym. Ktoś zaś żyjący w społeczności cywilów i znający dobrze lokalne warunki zdoła dotrzeć do źródeł informacji, których istnienia kontrwywiad nawet nie podejrzewa. Policja jest do tego nieporównanie lepiej przygotowana i sądzę, że gdyby mogła działać normalnie, spiskowcy znaleźliby się pod kluczem, nim mieliby okazję narobić jakichkolwiek szkód. Rozwiązaniem tego problemu jest w mojej opinii danie nowemu organowi bezpieczeństwa, którym mam kierować, pełnych uprawnień do zajmowania się osobami cywilnymi na terenie całego obozu.

Od strony części stołu zajmowanej przez cywilów dobiegł pełen aprobaty pomruk.

Miriam usiadła wygodniej, zapaliła kolejnego papierosa i wydmuchnęła dym niezupełnie prosto w nos Desai.

– Cóż... – odezwał się Trevayne, zanim Sonja zdążyła powiedzieć cokolwiek. – Myślę, że pani Ortega poruszyła istotną kwestię. Musimy wreszcie ustalić, kto jest i będzie odpowiedzialny za cywilów na Gehennie. Problem ten nie istniał, gdy zakładano tam bazę, więc trudno opierać się wyłącznie na ówczesnych rozwiązaniach. Kto chciałby zabrać głos w tej sprawie?

Dyskusja rozwinęła się całkiem żywa, ale Sonja jakoś nie wykazała w niej złośliwości, ograniczając się do rzeczowych argumentów. Trevayne uśmiechnął się z ulgą, a Miriam zareagowała podobnie. Yoshinaka zaś zauważył, że po tej wymianie uśmiechów Sonja Desai zaczęła zachowywać się jeszcze sztywniej niż zwykle.

\* \* \*

– Kapitan Desai mnie nie lubi i to nie jest przywidzenie – oznajmiła Miriam Trevayne'owi po spotkaniu.

Ten machnął lekceważąco ręką i powiedział cicho, choć znajdowali się sami w korytarzu:

– Nie czuj się wyróżniona. Obawiam się, że Sonja darzy tym uczuciem prawie wszystkich. Taką już ma naturę i nie należy się tym przejmować. Należy przywyknąć.

– Może... – mruknęła Miriam, nie kryjąc powątpiewania.

## Rozdział XVII

# HONOR

– Zaczynać! – polecił sędzia.

Porucznik Mazarak natychmiast zaatakował krótkim, prostym pchnięciem. Han poruszyła nadgarstkiem, parując cios, i sama natarła w ten sam sposób. Mazarak odbił jej klingę i odskoczył. Było to dla obojga działanie czysto odruchowe – dopiero potem zaczęli myśleć.

Ostrza szpad spotykały się ze szczękiem, a zawodnicy tańczyli wokół siebie, próbując znaleźć słaby punkt w obronie przeciwnika. Niewielu mieszkańców Hangchow uprawiało szermierkę, a jeśli już, to głównie chińskim mieczem. Zachodnia broń była naprawdę mało popularna i do czasu rekonwalescencji Han nie interesowała się ani nią, ani szermierką. Okazało się jednak, że ma do tego sportu wrodzony talent, a szpadę wybrała, ponieważ spodobał się jej kształt tej broni.

Przerwała starcie i cofnęła się. Mazarak ruszył za nią, ale ostrożnie – jak podejrzewała, lepiej czuł się w obronie niż w ataku. Udała wypad nad jego dłoń, natychmiast przechodząc do ataku z dołu, ledwie jego broń się uniosła, ale był czujny i znów rozległ się szczęk krzyżujących się kling. Zripostował i ledwie zdążyła z zasłoną. Spróbował ponownie, ale teraz była już gotowa – delikatnie odtrąciła jego ostrze, zrobiła dwa szybkie kroki, markując atak w tej samej płaszczyźnie, i uskokczyła w lewo, wyprowadzając właściwy, nim zdążył się zasłonić.

Na tablicy rozbłysła lampka oznaczająca trafienie.

– *Touche* – ogłosił sędzia.

Rozdzielili się, dysząc ciężko, zajęli stanowiska i zasalutowali bronią przeciwnikowi gotowi do dalszej walki o kolejny punkt.

\* \* \*

Han wyszła z sali, trzymając w dłoni maskę, a pod pachą szpadę. Strząsnęła pot z krótko ściętych włosów. Pierwszy raz w jej dorosłym życiu ledwie sięgały szyi i podobała się jej ta odmiana.

– Toż to najgłupszy sport, jaki ktoś mógł wymyślić! – rozległ się głos Magdy.

– Też coś! Wywodzi się z pojedynków, w których trup słał się gęsto.

– Przynajmniej był z tego jakiś pożytek: największe ciamajdy eliminowano – oceniła. – Ja tam wolę uczciwy sposób: pistolety i dwadzieścia metrów.

– Chwała Bogu, że nie granaty i dziesięć – prychnęła Han. – Wy, Rosjanie, nie macie wyobraźni. Siermierka to dobra zabawa, nie aż tak dobra jak judo, ale w jakiś sposób muszę odzyskać kondycję, więc postanowiłam spróbować czegoś nowego. Przecież nie będę biegać w miejscu czy pompować jakiegoś żelastwa.

– Formę to już pani admirał, zdaje się, odzyskała – przyciął jej Jason Windrider.

– A co ma pan przeciwko siermierce na szpady, komodorze?! – spytała groźnie Han.

Jason pogładził ręką nowe dystynkcje na rękawie kurtki i wyszczerzył zęby:

– Próbuję tylko nie wypaść z formy w siermierce na języki. A wy obie gwiazdek też lata całe nie nosicie.

– Ano nie – przyznała Han, spoglądając na nowy szeroki galon na rękawie kurtki mundurowej Magdy.

Sama miała taki sam i prawdę mówiąc, poważnie ją to niepokoiło. Przeciwno awansowi na komodora nic nie miała, uważała, że da sobie radę. Ale komodorem została przed bitwą o Cimmaron.

A od tamtego czasu Marynarka Republiki poniosła ciężkie straty; zginęło wielu oficerów flagowych, jako że okręty dowodzenia obu stronom niezwykle łatwo było zidentyfikować. Ostatnie starcie kosztowało ich „tylko” admirał Ashigare, jeśli chodzi o dowódców, ale lista wszystkich zabitych i wziętych do niewoli była długa. Dostarczyła ją kapsuła kurierska z Zephraim, jako że oficjalne kanały łączności między Republiką a Obrzeżem nadal nie istniały. Podpisał ją zaś wiceadmirał Trevayne, co było dużym szokiem dla wszystkich. Dla niego samego jeszcze większym musiało być odnalezienie wśród nazwisk zabitych nazwiska własnego syna. Han zastanawiała się, jak mógł żyć z taką świadomością, a z drugiej strony doskonale rozumiała jego postawę i postępowanie. Udowodnił, iż nie go nie powstrzyma przed wykonaniem obowiązku.

Ciężkie straty spowodowały gwałtowne awanse – Han była komodorem przez niespełna osiemnaście miesięcy, z czego ponad dziesięć spędziła w szpitalu jako pacjentka Daffyda Llewellyna. Okazało się, że pęknięcie było w rzeczywistości złamaniem wymagającym poważnej operacji, a organizmy poddane procesowi antygeriatrycznemu wolniej radziły sobie z ranami. Co prawda istniała terapia przyspieszająca ich zabliznianie się, lecz nie można jej było zastosować u osoby tak osłabionej chorobą popromienną jak ona. I dlatego na tak długo zamieszkała w szpitalu, choć wymusiła na Llewellynie wpisanie jej na listę pacjentów wychodzących, gdy tylko mogła swobodnie poruszać się o własnych siłach.

Magda z ulgą przekazała jej dowodzenie obroną Cimmaron, czemu Han po własnych doświadczeniach z jedenastomiesięcznego przydziału na powierzchni parę lat temu zupełnie się nie dziwiła.

– Przynajmniej jesteś na tyle zdrowa, żeby podskakiwać z tym różnem – oceniła Magda, przywołując Han do rzeczywistości.

– Serdeczne dzięki za uznanie. Kadry też tak myślą: wczoraj dostałam potwierdzenie i za miesiąc wracam na pokład. Szkoda tylko, że bez Changa.

– Mogę sobie wyobrazić – mruknęła Magda.

Han ukryła uśmiech, widząc spojrzenie, jakie tamta wymieniła z Jasonem. Oboje nie byli zachwyceni faktem, że Windrider po awansie miał zbyt wysoki stopień, by móc pozostać szefem jej sztabu, choć sam awans jako dowód uznania i miła perspektywa na przyszłość ich ucieszył.

– Kto go zastąpi? – spytała Magda.

– Bob Tomanaga. Też został uznany za zdolnego do czynnej służby.

– Tomanaga? – powtórzyła Magda.

– Wiem, też mnie kiedyś niepokoił, ale okazało się, że byłam w błędzie. On po prostu już taki jest: nie potrafi udawać obojętnego. – Han potrząsnęła głową. – Pojęcia nie mam, jakim cudem ktoś tak emocjonalnie do wszystkiego podchodzący nie ma choć trochę skośnych oczu!

– Ja też – zgodził się Windrider ze złośliwym uśmiechem.

– Cóż... wracając do tego co najważniejsze: zjecie ze mną kolację?

– Ja na pewno – odparła Magda. – Jason nie zdąży. Jego eskadra ma ćwiczenia z Kellermanem, jak byś nie wiedziała.

– Zapomniałam – przyznała Han.

Kellerman miał przeprowadzić rozpoznanie i ustalić, czy istnieje szansa na zdobycie Obrzeża. Planowano dostać się tam od tyłu przy pomocy od dawna nie używanych, bo biegnących przez puste obecnie systemy szlaków. Byłoby to trudne zadanie i nikt zbyt nie liczył na sukces, ale należało rozważyć taką ewentualność. Flota miała za mało sił, by w tej chwili próbować opanować ten rejon, ale rozpoznać możliwości ataku należało. Za pierwszoplanowe uznano natomiast ustabilizowanie obrony systemów graniczących z Federacją i uruchomienie nowych stocznii.

– Oboje zjecie – pocieszyła ją Han. – I Anton, i stoczniovcy nadal zajęci są modernizacją *Unicorna*. Nie skończą jeszcze przez dobre czterdzieści godzin, a Anton nigdzie się nie ruszy bez swego okrętu flagowego.

– W takim razie będziemy mieli czas na kolację – zgodził się Jason i dodał ciszej: – I nie tylko...

Magda zarumieniła się, a Windrider z kamienną twarzą spytał:

– Na kolację u pani admirał zdążymy, prawda, pani admirał?

– Chyba że cię wsadzę za publiczne okazywanie braku szacunku – warknęła Magda i zasalutowała. – Cześć, Han. Do zobaczenia wieczorem.

I oboje wyszli.



\* \* \*

– Cóż, Chang, chyba pora się pożegnać.

– Tak jest, ma'am. – Chang stał po drugiej stronie biurka z czapką pod pachą i jak zwykle miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

Han przyglądała mu się uważnie. Lubili się i szanowali wzajemnie, ale tak naprawdę nigdy nie zdołała do niego dotrzeć. Co w sumie nie miało większego znaczenia – był najbardziej godnym zaufania podkomendnym, jakiego można było sobie wymarzyć.

I nie tylko podkomendnym – także kolegą.

– Nie będę cię zawstydząć, mówiąc, jak bardzo będzie mi Ciebie brakowało – powiedziała wolno. – Powiem tylko, że *Direhound* nie mógł dostać lepszego dowódcy. I że nikt nigdy nie miał lepszego szefa sztabu.

– Dziękuję, ma'am. To była prawdziwa przyjemność i... – Urwał nagle i leciutko wzruszył ramionami.

Han kiwnęła głową mniej zaskoczona tym, że umilkł tak nagle, niż tym, że się odezwał.

– Doskonale, kapitanie. – Wyciągnęła ku niemu dłoń i wygłosiła tradycyjną formułkę. – Powodzenia i udanych łowów, Chang.

– Dziękuję, ma'am – odparł chrapliwie.

I mocno uściskał jej dłoń.

Odwzajemniła uścisk, a potem obserwowała, jak odchodzi. Przy drzwiach przystanął, założył starannie czapkę, odwrócił się do niej i zasalutował niczym na paradzie.

Tym zaskoczył ją całkowicie. Przepisy zabraniały noszenia w budynkach nakryć głowy, a „do pustej głowy się nie saltuje”, jak to powtarzano od niepamiętnych czasów. Niemniej jednak odsalutowała mu równie wzorowo, a moment później Tsing wyszedł.

Tsing Chang ani przez moment nie zwątpił w nią podczas buntu. Walczył u jej boku i uratował jej życie w Cimmarron. I to było wszystko, co tak naprawdę się liczyło i było potrzebne, by móc go nazwać przyjacielem.

\* \* \*

– No cóż, ma'am – Robert Tomanaga podszedł do biurka bez śladu utykania. – To nowy sztab, ale prezentuje się nieźle.

– Nie taki całkiem nowy: ty i David jesteście ze starego zespołu – poprawiła go Han. – To nie najgorzej, jeśli wziąć pod uwagę masakrę, w której ostatnio braliście udział.

– Nie najgorzej, ma'am – zgodził się, ale z jego tonu jasno wynikało, że odrzuca jej samokrytykę.

Han jęknęła w duchu – zarówno twarz, jak i głos Tomanagi były niczym otwarta księga. Momentami czuła się niezręcznie z racji tego, że bez trudu odgadywała, co on myśli. Teraz akurat myślał to co wszyscy – nikt poza nią nie sądził, by straty jej eskadry mogły być

mniejsze, gdyby ona sama okazała się mądrzejsza.

Zmusiła się do zmiany tematu rozmyślań. Poza Reznickiem, teraz pełnym porucznikiem, na którego się uparła, nie знаła nikogo z nowego sztabu, ale Bob miał rację – prezentował się nieźle.

Komandor Stravos Kollentai, oficer operacyjny, był dobry, szybki i bezczelny, czyli miał wszystkie cechy pilota myśliwskiego, ale także doskonały przebieg służby, poza tym wręcz promieniował energią i fachowością. Komandor porucznik Richard Heuss, oficer astronawigacyjny, był dla odmiany cichy i spokojny. Mówił niewiele, nawet jego szare oczy mało co wyrażały, ale kursy i pozycje obliczał bezbłędnie. Do zespołu należała także porucznik Irene Jorgensen, oficer wywiadowczy. To stanowisko dopiero co utworzono, gdyż dotąd kwestiami wywiadu zajmował się oficer operacyjny. Było to sensowne posunięcie, choć w czasie narad sytuacja bywała dziwaczna. Wysoka i chuda Jorgensen oprócz komputerowej zgoła pamięci miała na szczęście także poczucie humoru.

– Otrzymaliśmy już oficjalne rozkazy, ma'am? – spytał Tomanaga, przerywając jej rozmyślenia.

– Owszem. Admirał Iskan przejmie jutro moje obowiązki, a my przeniesiemy się na *da Silve* – odparła zadowolona.

Zadowolenie to było zrozumiałe, zwiększono bowiem siły stacjonujące w systemie, tym samym podnosząc rangę oficera dowodzącego jego obroną. Teraz wymagało to stopnia admirałskiego i Han od momentu, gdy się o tym dowiedziała, bała się, że ją pozostawią na tym stanowisku, jako że stosowną rangę posiadała.

– Rozumiem. – Tomanaga zmarszczył brwi. – A wiemy coś dokładniejszego o tym, gdzie nas wyślą, ma'am?

– Oficjalnie nie. Ale chodzą słuchy o systemie Rigel.

– Rigel, ma'am?

– Sądzę, że dowództwo chce mieć oko na admirała Trevayne'a. Nadal nie wiemy, co się właściwie stało, i ktoś najwyraźniej boi się, czy to nie wynik odkryć dokonanych w bazie Zephraim.

– Idiotyzm! Jeżeli wolno użyć takiego zwrotu, ma'am.

– Można, ale ciekawi mnie, dlaczego go pan użył, komandorze.

– Bo wątpię, żeby jakaś cudowna broń stała się przyczyną klęski admirała Ashigary. Zwycięstwo zależało od elementu zaskoczenia i elektroniki, a poza tym plan był zbyt skomplikowany, przez co koordynacja okazała się niemożliwa. I dlatego atak dywersyjny został zmasakrowany po klęsce głównego uderzenia.

– A dlaczego doszło do tej klęski?

– Tego nie jestem tak do końca pewien. Nie ulega wątpliwości, że 32. Zespół Wydzielony wziął udział dopiero w ostatniej fazie walk przy Bramie: co do tego relacje są zgodne. To oznacza, że Trevayne był zajęty niszczeniem lotniskowców, ale lotniskowce są szybsze od

monitorów, a myśliwców Ashigara miała tyle, że dysponowały większą siłą ognia od okrętów Trewayne'a. Dlatego jedynym sensownym wytłumaczeniem jest to, że lotniskowce zostały zauważone mimo maskowania i zaatakowane przed startem myśliwców. To jedyne rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy, ma'am.

– Czyli zwyczajny pech?

– Prawdopodobnie, ale sprowokowany przez złe zaplanowanie całej operacji. Należało skoncentrować wszystkie siły w systemie Bonaparte i zaatakować wyłącznie przez zamknięty warp. W ten sposób obrońcy zostaliby całkowicie zaskoczeni i zepchnięci do Bramy, a my mielibyśmy do dyspozycji skoncentrowane siły, które w razie konieczności zdążyłyby się wycofać. A tak dowódcy obu grup nie mieli ze sobą kontaktu i w obawie pozostawienia bez wsparcia tego drugiego żaden nie mógł przerwać walki oraz wycofać się. Słowem, klasyczny przykład klęski wynikającej z rozproszenia sił; pech zwiększył jej rozmiary, ale nie on ją spowodował.

– Może i racja... – przyznała z namysłem. – A dlaczego wyklucasz nową broń?

– Bo nie mieli na to czasu. Baza Zephraim to placówka badawcza, nie zakład produkcyjny. A uruchomienie produkcji nowego systemu uzbrojenia wymaga czasu. I dlatego powinniśmy zaatakować powtórnie jak najszybciej. Granica jest mniej istotna; wystarczy niespodziewanymi wypadami utrzymywać przeciwnika w niepewności. W tej chwili jest zbyt słaby, by coś przedsięwziąć. Natomiast groźniejszy jest Zephraim: nie wiemy dokładnie, co wymyślili w bazie, ale coś wymyślili na pewno. Im więcej damy im czasu na produkcję tych nowinek technicznych, tym trudniej będzie nam ich pokonać.

– Zgadzam się z tym, ale niestety to nie my decydujemy o posunięciach strategicznych. Poza tym czy masz rację, czy nie, obsadzenie pustych systemów w rejonie Rigel choćby niewielkimi siłami osłonowymi ma sens.

– Zgadzam się, ma'am, ale monitory wsparte przez lotniskowce uderzeniowe to nie są siły osłonowe. To zespół wydzielony, który byłby lepiej wykorzystany w ataku na Zephraim – w jego głosie pobrzmiwał autentyczny niepokój. – Jeżeli nie uderzymy szybko, rzeczywiście możemy natknąć się na nową broń. A jeśli Trewayne będzie nią dysponował, zrobi się naprawdę nieciekawie...

– Napiszę do dowództwa raport przedstawiający twój punkt widzenia – powiedziała cicho. – Przygotuj analizę i ocenę zagrożeń. Zobaczymy, dokąd nas wyślą; jeśli faktycznie będzie to Rigel, a ty nadal będziesz przekonany, że masz rację, uaktualnimy go i wyślemy. Zadowolony?

– Tak, ma'am.

– Doskonale. W takim razie dopilnuj pakowania i przenosin na *Bernardo da Silve*.

– Aye, aye, ma'am.

Tomanaga wyszedł, a Han wbiła wzrok w blat biurka i zmarszczyła brwi. Z niepokojem przyznała sama przed sobą, że musi zgodzić się z jego opinią.

\* \* \*

– Kolejny dzień, w którym się nic nie dzieje, ma'am – ocenił Tomanaga, nie kryjąc niesmaku. – Pojęcia nie mam, dlaczego dowództwo tak się upiera, żeby obsadzić ten rejon, zamiast zaatakować Obrzeże teraz i mieć problem z głowy. Owszem, kosztowałoby nas to trochę ludzi i okrętów, ale nie tracilibyśmy prawie jednej czwartej sił na możliwych osiach ataku z Obrzeża.

Han spróbowała wyobrazić sobie Changa wylewającego w ten sposób swoje żale i w żaden sposób jej się nie udało. Nie oznaczało to, żeby miała coś przeciwko szczerości Tomanagi. Był po prostu inny niż Tsing. Teraz rozumiała, dlaczego kiedyś nie ufała jego entuzjazmowi.

– Cóż, wysłaliśmy twoją analizę, więc prawdę mówiąc, zrobiliśmy wszystko, co było można, poza samowolnym atakiem – przypomniała łagodnie.

– Wiem, ma'am, ale wszyscy mają dość beczynności, a załogi zaczynają się nudzić.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

24. Zespół Wydzielony od prawie pięciu miesięcy patrolował nie używane szlaki sektora Rigel, zapuszczając się też od czasu do czasu w „martwą przestrzeń”, jak określano obszar należący niegdyś do Pająków. Napotkano przez ten czas jeden krążownik liniowy Tangri, ale Korsarze wykazali nad wyraz rozwinięty instynkt samozachowawczy, co było u nich rzadkością, i nie zaatakowali czterech monitorów, dwóch lotniskowców floty, dwóch eskortowych i czterech niszczycieli.

Dla Han ta nuda była zbawieniem, ponieważ dała jej okazję stopniowego rozwiania wątpliwości, czy poradzi sobie z nowym zakresem obowiązków. Wątpliwości te żywiła zresztą wyłącznie ona sama. No a poza tym mogła wreszcie spoglądać w lustro bez stresu, bo widziała w nim siebie, a nie zabiedzone nieszczęście, które cudem wywinęło się śmierci spod kosa.

– To żaden problem – burknęła. – Na pewno znajdziemy im jakieś zajęcie. Natomiast ja mam do ciebie pytanie: widziałeś raport z *Shokaku*?

– Dotyczący tego frachtowca, ma'am? Widziałem.

Chodziło o meldunek maszyny zwiadowczej o znalezieniu wraku frachtowca dryfującego w pobliżu gwiazdy zwanej Orpheus.

– I co? Nic ci się w nim nie wydało dziwne?

– Zastanawiam się, co on tu robił.

– Właśnie. Od osiemdziesięciu lat standardowych w tym systemie nie ma zamieszkaney planety. Można by przypuszczać, że jego kapitan chciał sobie skrócić drogę, gdyby nie było to tak blisko obszaru, w którym często działają Tangri.

– Tym niemniej znaleźliśmy go tu, i to ograbionego z ładunku, ma'am.

– Zgadza się. A przejrzałeś listę pasażerów zachowaną w jego komputerze pokładowym?

– Prawdę mówiąc nie, ma'am. Dlaczego pani pyta?

– Odnaleziono szczątki wszystkich dwudziestu pięciu członków załogi.

– To zrozumiałe: Tangri nie biorą jeńców.

– Ale brak szczątków lub ciał czterestu młodych pasażerek. Poza tym kabiny pasażerskie podobnie jak kabiny załogi były nie uszkodzone. Napęd i mostek został zniszczony strzałami z dział laserowych. Potem wybito załogę, ale pasażerki zniknęły.

– Proszę?! – Tomanaga podszedł do biurka i spytał, wskazując obrotowy ekran komputera. – Można, ma'am?

– Proszę bardzo.

Obrócił ekran, odczytał dane i zastanowił się głęboko.

– To nie ma sensu – ocenił w końcu. – Brak tylko ciał kobiet.

– Zgadza się, a Tangri nigdy nie przejawiali skłonności do porywania młodych przedstawicielek rasy ludzkiej.

– Nie przejawiali, ma'am. Więc to musiał być ktoś inny... ktoś, kto znalazł dla nich, że tak powiem, konkretne zastosowanie... może okup? Któraś była bogata?

– I dla kaprysu leciała trampem mającym kilka kabin pasażerskich? – Han pokiwała głową. – Takie rzeczy zdarzają się tylko w romansach. Wszystkie były lekarkami lub pielęgniarkami floty z systemu Zephrain.

– A więc napastnicy na pewno nie pochodzili z Obrzeża – podsumował Tomanaga. – Nie podoba mi się to, ma'am.

– Mnie też. A najmniej podobało się z pewnością załodze i pasażerom.

– Nie o to mi chodziło, tylko o to, co z tego wynika, ma'am. Sprawcy na pewno nie mają bazy w tym systemie, bo go dokładnie przeczesał. A to oznacza, że gdzieś w okolicy jest baza piratów, a więc nie będziemy wiedzieli, czy napotkany okręt to oni, czy ktoś z Obrzeża.

Han wstukała polecenie na klawiaturze i na ekranie pojawiła się mapa okolicy.

– Tu jest nasz rejon patrolowania – wskazała – a tu Orpheus. Wszystkie warpy po tej stronie prowadzą na Obrzeże, więc nie będą operowali z tych systemów, bo obie strony ich uważnie pilnują. Nie mogą też operować z tych, które właśnie sprawdziliśmy, bobyśmy ich zauważyli. Pozostaje więc tylko ten rejon połączony z systemem Orpheus od tyłu i ciągnący się aż dotąd...

– Cholera, prosto na nasze tyły!

– Właśnie. Nie wiem, kim są ci piraci, ale muszą się kręcić gdzieś na tych szlakach. Tam są tylko placówki górnicze albo małe kolonie. Brak dużego ruchu, nieliczne populacje, wolny przekaz wiadomości. Wystarczyło, że zajęli kolonię górniczą i radiolatarnie i kontrolują całą łączność z systemem. Nikt więc nie będzie miał pojęcia, że to zrobili.

– W takim razie trzeba natychmiast wysłać kuriera do dowództwa, ma'am.

– Trzeba. Problem w tym co dalej. Dwa miesiące trwa przelot do Cimmaron plus dwa następne na odpowiedź od admirała Iskana, zanim cokolwiek zacznie się dziać. Nie,

zajmiemy się nimi sami.

– Ale ten rejon leży poza naszym obszarem patrolowania, ma'am. Potrzebowalibyśmy około pięciu tygodni, by tam dotrzeć, co równocześnie oznaczałoby opuszczenie wyznaczonego stanowiska. Wątpię, żeby dowództwu się to spodobało, ma'am.

– Dowództwa tu nie ma, Bob. My jesteśmy. A do rozprawienia się z piratami nie potrzeba wszystkich sił. Weźmiemy dwa monitory, *Shokaku* i dwa niszczyciele. Reszta pod dowództwem komodora Cruetta będzie wykonywała zadanie. Pewnie mogłabym powierzyć dowództwo tej grupy jemu, ale to mój pomysł, więc i moja odpowiedzialność.

– Rozumiem, ma'am, ale...

– Bob, nie ma „ale”. Zwalczanie piractwa jest naszym obowiązkiem i w czasie pokoju, i w czasie wojny. Jasne?

– Aye, aye, ma'am.

– Doskonale. W takim razie przygotujcie ze Stravosem rozkazy dla Cruetta. I poproś Dicka, by opracował najlepszą trasę poszukiwań. Chcę to załatwić najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Aye, aye, ma'am.

Tomanaga wyszedł.

A Han przyjrzała się ekranowi. I zmarszczyła brwi – nie podobały jej się wnioski, do których doszła.

\* \* \*

RNS *Bernardo da Silva* leciał powoli i dostojnie w towarzystwie siostrzanej jednostki, RNS *Franklina P. Eisenhowera*, i lotniskowca eskortowego RNS *Shokaku*. Oba niszczyciele stanowiły tylną straż, a maszyny zwiadowcze z lotniskowca sprawdzały przestrzeń z przodu i po bokach. Na pomoście flagowym *da Silvy* siedziała zaś w swym fotelu kontradmirał Li Han, wspierając brodę na złączonych dłoniach i gapiąc się w pusty ekran taktyczny.

Od miesiąca patrolowali podejrzane szlaki i nie trafili na najmniejszy nawet ślad piratów. Nie okazywała coraz większych wątpliwości co do własnej oceny sytuacji, ale nie podobało jej się to ani trochę.

Rozległ się cichy sygnał oznaczający nadchodzącą wiadomość i Reznick pochylił się nad ekranem. Han spojrzała na niego spod oka, ale z nadzieją.

– Meldunek z *Shokaku*, ma'am! – zameldował. – Jeden ze zwiadowców coś wykrył.

– Widzę – mruknęła, odczytując przesłaną na ekran fotela informację. – Niewiele tu konkretów.

– Maszyna zwiadowcza dopiero zbliża się do obiektu, ma'am. Ogłosić alarm bojowy?

– Jeszcze nie, poruczniku. Jesteśmy dobre trzy godziny za zwiadowcami, mamy czas. Przepraszam na moment – wybrała kod mostka i na obrazie pojawiła się twarz Samuela Schwerina, kapitana *da Silvy*. – Dzień dobry, Sam. Maszyny z *Shokaku* znalazły coś, choć

sama jeszcze nie wiem co konkretnie, prosto przed nami. Teraz oglądają to dokładnie, ale my dotrzemy tam za trzy godziny, czyli w porze obiadu. Pomyślałam, że dobrze byłoby go przyspieszyć na wypadek, gdybyśmy musieli ogłosić alarm bojowy.

– Oczywiście, ma'am. Zaraz się tym zajmę.

– Dziękuję, Sam.

Sygnal odbieranej wiadomości zabrzmiał ponownie. Han spokojnie czekała, aż jej treść pojawi się na ekranie. Używanie wyłącznie kierunkowych laserów spowalniało łączność, ale prawie uniemożliwiało przechwycenie wiadomości. Oraz eliminowało możliwość przypadkowego ujawnienia obecności jej jednostek. Gdy przeczytała całość, jej twarz zmieniła się w wyciosaną z kamienia maskę.

– Irene – powiedziała cicho. – Zajrzyj, proszę, do rocznika flot. Zgodnie z informacją zwiadu to liniowiec klasy *Polaris*. Obawiam się, że to może być *Argosy Polaris*.

– Aye, aye, ma'am – porucznik Jorgensen zajęła się klawiaturą i po chwili zameldowała: – *Argosy Polaris* zaginął dziesięć miesięcy temu z dwustoma pasażerami i ładunkiem medycznym. Miała dotrzeć do Kariphos.

– Cholera! – szepnęła cicho, ale z uczuciem Han.

\* \* \*

– To *Polaris*, ma'am – potwierdził ponuro komandor Tomanaga, przyglądając się kadłubowi widocznemu na ekranie wizualnym. – Ktoś go nieźle wypatroszył. Musieli się bać, że załoga zdąży wystrzelić kapsułę kurierską, i nie patyczkowali się.

Miał rację – mostek i reszta kadłuba, na których zlokalizowano sekcje łączności i astro, były podziurawione jak sito.

– Działa laserowe – oceniła Han. – Wiedzieli, że jest uzbrojony, choć te pukawki nie na wiele by się przydały, więc podeszli blisko, złapali go promieniem ściągającym i rozwalili to wszystko, co umożliwiało wezwanie pomocy.

– Tylko w jaki sposób zdołali podejść tak blisko? I co liniowiec robił na takim odludziu? Jesteśmy o sześć tranzytów od szlaku Stendahl-Kariphos.

– Nie wiem, w jaki sposób oszukali kapitana, że pozwolił im się aż tak zbliżyć, ale tutaj sami go sprowadzili. Silniki są nie uszkodzone, więc gdy rozwalili mostek, zapewne dali reszcie wybór: albo się poddadzą, albo oni rozprują kadłub i zabiją tym samym wszystkich na pokładzie. Potem dokonali abordażu, obsadzili maszynownię własną załogą i używając zapasowej maszynowni sterowej, dotarli tutaj. I dopiero zabrali się do plądrowania, wiedząc, że tu ich nikt nie znajdzie. Prymitywne, ale skuteczne, jak długo towarzyszyła im jednostka o pełnych możliwościach nawigacyjnych.

– To rzeczywiście prawdopodobne. Ale zrobili błąd, zostawiając go tu. Powinni skierować go w koronę gwiazdy i nie byłoby śladu przestępstwa.

– Nie zrobili żadnego błędu, Bob. Prawdopodobieństwo, że ktoś go znajdzie, było

minimalne, a to duży i nowoczesny statek. Masa części zamiennych lub komponentów do nich w razie potrzeby.

– Fakt – przyznał Tomanaga. – Mamy go przeszukać, ma'am?

– Tak. I przygotujcie mój kuter. Też chcę go obejrzeć z bliska.

\* \* \*

Han dotarła do końca długiego korytarza, oświetlając umocowaną na helmie lampą doskonale zachowane w próżni meble i luksusowe wyposażenie pierwszej klasy, z lekka jedynie zniszczone przez lasery czy zwykły wandalizm. Piraci musieli najpierw wyłączyć zasilanie, a potem usunąć z wnętrza powietrze, gdyż wszystkie drzwi hermetyczne stały otworem. Widziała po drodze szczątki kogoś rozsadanego błyskawiczną dekompresją i miała dziwną pewność, że dehermetyzacja statku miała na celu wybicie wszystkich, którzy ukryli się w różnych zakamarkach.

Minęła zakręt i wykonała półobrót, lądując na magnetycznych podszwach obok grupy Marines, której dowódca ją wezwał. Właśnie kończyli uszczelnianie pierwszej śluzy do zamkniętych drzwi w bocznej ścianie.

– Witam, pani admirał – Major Bryce zaszalutował na jej widok.

Oddała mu honory i przeszła na sufit, przyglądając się swobodnie pracującym. Ponieważ grawitację pokładową także wyłączono, nie przeszkadzało jej, że udaje nietoperza.

– To jedyne drzwi, za którymi jest powietrze, majorze?

– Tak, ma'am. Sprawdziliśmy wszystkie i tylko za tymi jest coś innego niż próżnia.

– Jak długo to jeszcze potrwa?

– Parę chwil, ma'am. Tym z drugiej strony to i tak już nie zrobi różnicy...

Han ledwie dostrzegalnie skinęła głową. Bryce miał całkowitą rację – nikt nie mógł przeżyć dziesięciu miesięcy, mając do dyspozycji wyłącznie powietrze w kabinie.

– Gotowe, sir – zameldował kierujący zespołem montażowym sierżant.

– Chce pani wejść pierwsza, ma'am? – spytał Bryce.

– Tak, majorze.

– Doskonale, ma'am.

Pierwsza nie oznaczała jedyna – Han znalazła się w śluzie wtłoczona między dwóch opancerzonych Marines. Jeden z nich podłączył zasilacz zbroi do drzwi i te otworzyły się ze zgrzytem. Obaj Marines zrobili co mogli by przepuścić Han przodem, ale weszli do wnętrza tuż za nią.

Kabina była grobowcem.

Pierwszym, co zobaczyła, były szmaty i prowizoryczne łąty naklejone na przestrzeliny o poszarpanych brzegach – musiały to być ślady po trafieniu z działka. Dlatego piraci nie przeszukali kabiny – najwidoczniej uznali ją za rozszczelnioną. A jej mieszkanka wykazała się błyskawicznym refleksem i nie dopuściła do utraty hermetyczności. Najwyraźniej



podobna sytuacja musiała wystąpić w innych kabinach pierwszej klasy, które znalazły się na linii ognia, tyle że ich mieszkańcy nie mieli tak rozwiniętego instynktu samozachowawczego. A piraci po sprawdzeniu paru dali sobie spokój z resztą.

Na obejrzenie łat straciła tylko chwilę, po czym rozejrzała się i blask lampy oświetlił pięć małych ciał starannie ułożonych na łóżku. Dzieci wyglądały tak, jakby spały. Potem dostrzegła za biurkiem, do którego blatu przyczepiony był ogarek świecy, ciało młodej kobiety. Prawie nie miało głowy – została roztrzaskana pociskiem dużego kalibru wystrzelonym z pistoletu, który nadal tkwił w zaciśniętej prawej dłoni.

Han ponownie rozejrzała się, czując lodowatą nienawiść do sprawców tej tragedii. Z trudem opanowała się i pochyliła nad ciałem samobójczyni. Do blatu przylepiono też elektrokartę. Oderwała ją delikatnie i poleciała:

– Proszę usunąć stąd powietrze, majorze. I przewieźć ciała na *da Silve*.

Pierwszy raz nie lubiła samej siebie za spokój i opanowanie w sytuacjach służbowych.

– Aye, aye, ma'am – głos Bryce'a był dziwnie drewniany.

Han dopiero w tym momencie zorientowała się, że oficerski skafander pancerny ma możliwość podglądu obrazu rejestrowanego przez kamery zbroi będącej na wyposażeniu jego oddziału. Musiał więc widzieć to samo co obaj przebywający w kabinie Marines.

– Zabierzemy zwłoki do Cimmaron, ma'am?

– Nie, majorze – odparła cicho. – Lepiej żeby ich najbliżsi nie wiedzieli dokładnie, jak zginęli. Spróbujemy zidentyfikować ciała, a potem pochowamy je w próżni.

– Rozumiem, ma'am.

– Wracam na okręt, majorze Bryce.

– Aye, aye, ma'am. Mam przydzielić pani eskortę?

– Dziękuję, ale wolę zostać sama.

– Jak pani sobie życzy, ma'am.

\* \* \*

Han uniosła głowę znad ekranu, gdy do kabiny wszedł Tomanaga. Zdążył obejrzeć nagranie i znał ją już wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że jest wściekła, choć stara się to ukryć. Wskazała mu fotel, więc usiadł i czekał.

Milczenie zaczęło się jednak tak przeciągać, że rad nie rad zagaił:

– Chciała mnie pani widzieć, ma'am.

– Chciałam – odparła spokojnie i przesunęła ku niemu elektrokartę. – Daj to Irene, może się przydać.

Nic nie odrzekł, przyglądał się jej jedynie, czekając, aż zacznie mówić. Jej twarz jak zwykle nie wyrażała niczego, ale w czarnych oczach wyczytał żądę mordu.

– A teraz chciałabym ci coś opowiedzieć – powiedziała Han, wolno wymawiając słowa. – Na tej elektrokarcie jest relacja tego, co przytrafiło się tej kobiecie podczas i po ataku piratów.

– Są o niej jakieś dokładniejsze informacje, ma'am?

– Są. Ale po kolei. Nazywała się Ursula Hauser i była studentką drugiego roku filozofii na Uniwersytecie w Nowych Atenach. Filozofii... – powtórzyła Han, potrząsając głową. – Jej kabina straciła hermetyczność na początku ataku, ale panna Hauser była bystrą osobą i zdołała załatać przestrzelinę, nim zagroziło to jej życiu. Potem przez interkom usłyszała, że piraci zabijają pasażerów. Zorganizowana banda: ustawili wszystkich w szeregu, wybrali, kogo chcieli, czyli młode, ładne kobiety, i rozstrzelali resztę. Ładownia numer trzy jest masowym grobem. Postanowiła więc uciec; przeszła kurs pilotażu małych jednostek i umyśliła sobie ukraść kuter i spróbować szczęścia. Była w drodze na pokład hangarowy, gdy w trzeciej klasie natknęła się na piątkę dzieciaków uciekających przed piratem. Zabiła go nożem do krojenia mięsa zabranym z kuchni pierwszej klasy. Wzięła jego broń, ale zdała sobie sprawę, że z piątką dzieci nie prześlizgnie się na pokład hangarowy, jak też z tego, że piraci jej mogą nie zabić, ale je zastrzelą natychmiast. Wróciła więc do swojej kabiny, mając nadzieję, że w związku z ostrzałem i dehermetyzacją kilkunastu kabin pierwszej klasy nie będą tego rejonu sprawdzać. A kiedy odleca, ona bez kłopotów dotrze wraz z dziećmi na pokład hangarowy. Tyle że piraci po opuszczeniu liniowca wypuścili z jego wnętrza powietrze i cała szóstka została w kabinie. Bez żadnej możliwości ratunku... Więc zrobiła to, co musiała: dała dzieciakom śmiertelne dawki barbituranów z apteczki kabinowej, a gdy upewniła się, że nie żyją, spisała wszystko, co wiedziała, łącznie z nazwiskami, i zastrzeliła się. Miała dziewiętnaście lat, Bob.

Ostatnie zdanie powiedziała tak cicho, że Tomanaga ledwie je usłyszał.

Zapadła długa i ciężka od nienawiści cisza.

Robert Tomanaga nigdy dotąd nie darzył nienawiścią kogoś, z kim musiał walczyć. Teraz przekonał się, jak to jest, gdy nienawiść staje się motorem działania kogoś, kto ma środki, by zabijać.

– W takim razie jak zdołali złapać liniowiec, ma'am? – Skupił się na kwestiach taktycznych, by móc zapanować nad tym nowym uczuciem. – *Argosy Polaris* był szybką jednostką, jedynie myśliwiec mógłby go dogonić, gdyby zaczął uciekać, mając rozsądną prędkość bazową. Nie wierzę, żeby jego kapitan był tak naiwny, by pozwolić zbliżyć się jakiejś niezidentyfikowanej jednostce w zasięg dział w samym środku wojny domowej!

– I słusznie nie wierzysz – poinformowała go zimno. – Natomiast pozwolił na to krążownikowi Marynarki Republiki patrolującemu okolicę.

– O cholera jasna...! – westchnął Tomanaga.

– Prawda? – Han uśmiechnęła się lodowato. – Przedstawił się nawet prawdziwie i wątplię, by zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

– Co...?

– Co zrobimy? – weszła mu w słowo, a jej głos był równie lodowaty jak uśmiech. – Poszukamy go, komandorze Tomanaga. Poszukamy ścierwa, które sprzeniewierzyło się temu,

co najświętsze dla oficera floty, i okryło hańbą mundur. I nauczymy go, co to jest honor. Mam tylko nadzieję, że on i jego banda będą umierać na tyle długo, by zdążyć sobie uświadomić, kto ich zabił!

\* \* \*

– Odbieramy wiadomość na kanale ratunkowym, ma'am!

Han wyprostowała się, słysząc ten meldunek. Od odnalezienia *Argosy Polaris* minęły dwa tygodnie, a oni nie natrafili na ślad piratów, choć metodycznie wykluczali z listy kolejne systemy, w których hipotetycznie mogli mieć kryjówkę. Jednym z bardziej prawdopodobnych miejsc był system Siegfried oddalony o jeden tranzyt, ku któremu właśnie zmierzali.

– Weź, proszę, namiar, David – powiedziała uprzejmie. Cała obsada pomostu flagowego nauczyła się już, że taka uprzejmość oznacza, iż Han spodziewa się problemów. – A ty, Bob, bądź łaskaw ogłosić alarm bojowy.

– Aye, aye, ma'am!

W następnej sekundzie wszystkie pomieszczenia wypełnił przeraźliwy dźwięk klaksonów. Han ledwie go słyszała.

– Mam go, ma'am! 0-1-9 poziom, 2-8-8 pion. Wygląda na standardowy nadajnik promu, ma'am.

– Dziękuję. Bob, poproś kapitana Onsbrucka, żeby wysłał eskadrę myśliwską. Niech się przyjrzą temu promowi. Dwie pozostałe mają być w gotowości do natychmiastowego startu. To może być prom potrzebujący ratunku albo pułapka, więc uprzedź pilotów, by byli ostrożni.

– Aye, aye, ma'am.

– Dziękuję – Han zakończyła rozmowę i spojrzała na Tomanagę. – A teraz poczekamy.

\* \* \*

– ...wiem, jakie to ważne – oznajmił chirurg komandor Lacey – ale to bardzo wyczerpani ludzie, ma'am. Za dwa dni, proszę bardzo, ale teraz muszą wystarczyć pani oświadczenia, które już złożyli.

– Doskonale. Dziękuję, doktorze. – Han wyłączyła interkom i rozejrzała się po obecnych.

W odprawie brali udział wszyscy członkowie jej sztabu (fizycznie) i wszyscy dowódcy okrętów (elektronicznie). Ci ostatni wyglądali jeszcze bardziej ponuro niż sztabowcy, co było nielichym osiągnięciem.

– Porucznik Jorgensen, porównywała pani zeznania rozbitków. Jakie fakty nie podlegają wątpliwości? – spytała Han.

– W zasadzie wszystkie, bo relacje są nader spójne, ma'am – odparła Irene, bawiąc się puklem włosów. – Dowódcą piratów jest Arthur Ruyard, a krążownik nazywa się *Kearsarge*. To pokrywa się z informacjami z elektrokarty i z naszej bazy danych. Przed wojną okręt

wchodził w skład Floty Granicznej. System Siegfried Ruyard opanował, udając poparcie dla powstania; kiedy uzyskał kontrolę nad łącznością, przestał udawać. Od tego czasu zajmuje się czystym piractwem: atakuje statki zarejestrowane w Republice, na Obrzeżu, a nawet w Chanacie.

– O cholera! – wzruszyła się kapitan Janet MacInnes dowodząca *Eisenhowerem*. – Kociambry też?

– Też, choć ze strony Chanatu nie wpłynęła w tej sprawie ani jedna skarga – poinformowała ją Jorgensen. – Podejrzewam, że postanowili sami się tym zająć, zamiast prowokować poważny incydent, z uwagi na jasno wyrażoną przez chana chęć zachowania neutralności.

– Dobrze. Jakimi siłami dysponują piraci, porucznik Jorgensen? – Han sprowadziła rozmowę na właściwy temat.

– Z tego co wiemy, mają dwa ciężkie krążowniki: *Kearsarge* i *Thunderer*, i trzy lekkie: *Leipzig*, *Agano* i *Phaeton*. Oraz pięć czy sześć niszczycieli i eskadrę myśliwców obrony planetarnej bazującą jeszcze przed wojną na Siegfriedzie III.

– *Leipzig* i *Agano* zostały zniszczone w starciu z eskadrą niszczycieli z Obrzeża! – zaprotestował Alfred Onsbruck. – Widziałem kopie wiadomości z Kodami Omega!

– Nie wątpię! – prychnął kapitan Schwerin. – Porucznik Jorgensen, załóżę się, że żaden z tych okrętów nie znajduje się w aktualnym wykazie Marynarki Republiki. Mam rację?

– Tak, sir. *Leipzig* i *Agano* były na nim, ale zostały wykreślone po zniszczeniu. Żaden z pozostałych nigdy w nim nie figurował.

– No to wszystko jasne! – ocenił Stravos Kollentai. – Ruyard zaczął, mając jeden okręt, a resztę dozbierał albo naszym kosztem, albo Obrzeża, prawdopodobnie stosując ten sam chwyt, czyli udając jednostkę tej samej floty, dopóki ofiara nie znalazła się w zasięgu jego dział. Natomiast nie rozumiem czegoś innego: skąd wziął załogi, bo wierzyć mi się nie chce, by znalazł aż tylu chętnych do piractwa wśród personelu floty!

– Nie znalazł, sir – odparła Jorgensen. – Pierwszymi przyzami, które zdobył, były transportowce więzienne *Justicar* i *Hammurabi* i według rozbitków to skazańcy z tych właśnie jednostek stanowią przeważającą większość załóg.

– Rozumiem... a kim są tak w ogóle ci rozbitkowie, poruczniku?

– Rozbitkowie to może nie najwłaściwsze słowo, powinnam raczej powiedzieć: uciekinierzy. To siedmiu mężczyzn i dziesięć kobiet. Mężczyźni i dwie kobiety pracowali jako górnicy w jednej z kopalń w pasie asteroidów Siegfrieda. Pozostałych osiem kobiet było pasażerkami na statkach zdobytych przez piratów. Zostały zabrane dla rozrywki załóg, choć najpiękniejsze Ruyard zachował dla siebie i swojej „szlachty”. Wychodzi na to, że planuje sobie założenie dynastii, sir.

W sali rozległ się dźwięk przypominający warczenie.

– Jak udało im się uciec? – spytał po chwili Kollentai.

– Skorzystali z nieobecności pirackich okrętów, które wyruszyły na kolejny rajd, i ukradli prom do transportu rudy, który miał zostać poddany naprawom, sir. Rzeczywiście miał kłopoty z napędem, ale postanowili zaryzykować. Udało im się dokonać tranzytu, nim napęd ostatecznie odmówił posłuszeństwa. Dryfowali prawie miesiąc, nim uruchomili nadajnik awaryjny.

– Do tego trzeba odwagi – ocenił cicho Onsbruck.

– W rzeczy samej – zgodziła się Han. – Dzięki nim wiemy też jeszcze coś: Ruyard tak dalece nie ufa swoim więźniom, że na pokładzie żadnego z okrętów nie ma ani jednego z nich.

– To miło z jego strony – powiedziała dziwnie miękko kapitan MacInnes.

– Ale żeby móc zniszczyć te okręty, musimy najpierw mieć je w zasięgu dział – przypomniał jej Onsbruck. – I tu jest problem.

– Jest – przyznała Han. – Jednakże z tego co wiem, komandorzy Kollentai i Tomanaga poświęcili mu już nieco uwagi. Bob?

– Dziękuję, ma'am. – Tomanaga spojrzał na Onsbrucka, ale zwracał się do wszystkich. – Nasz problem sprowadza się do tego, że my mamy pięciokrotną przewagę siły ognia, ale oni dysponują znacznie szybszymi okrętami. Komandor Kollentai wpadł na pomysł, by użyć ECM-ów, żeby zmienić sygnatury napędów i resztę emisji naszych okrętów tak, by piraci byli przekonani, że mają do czynienia z dwoma krążownikami liniowymi i trzema niszczycielami. Krążowniki liniowe są wprawdzie silniejsze od ich jednostek, ale w tej sytuacji oni mieliby przewagę siły ognia, toteż nie powinni bać się spotkania. Zwłaszcza że będziemy lecieć oczywistym kursem i generalnie udawać szczęśliwych i głupich.

– A jeśli wyślą na zwiady niszczyciel, żeby się nam przyjrzał z bliska? – spytał Schwerin.

– Uciekinierzy twierdzą, że Ruyard trzyma się sprawdzonych metod i zbliża się do ofiary wszystkimi siłami, by nie wzbudzać podejrzeń. A gdy przestaje się maskować, ma wystarczającą siłę ognia, by wygrać. To oczywiście nie jest stuprocentowo pewna informacja, ale wydaje się prawdopodobna. A perspektywa dodania dwóch krążowników liniowych do swej floty powinna być wystarczającą zachętą, by spróbował.

– A jeśli nie spróbuje? – Schwerin nie dawał za wygraną.

– Wtedy będziemy musieli improwizować, sir. Myśliwce nam nie uciekną, a nasze okręty powinny dopaść przynajmniej ciężkie krążowniki, nim te zdążą się wymknąć przez warpa. A to lepsze niż nic.

– Ale to nie wystarczy – oznajmiła zimno Han, ponownie przyciągając wzrok i uwagę wszystkich. – Rzadko o tym rozmawiamy, panie i panowie, ale wszyscy, nawet ci, którzy dołączyli do nas po wybuchu powstania, jesteśmy tu dlatego, że wierzymy, iż naszym obowiązkiem jest ochrona naszych planet i ludzi. To najważniejszy i jedyny liczący się powód włożenia munduru i, jak sądzę, jest to też coś, co łączy nas z Marynarką Federacji.

Zrobiła krótką przerwę, ale nikt nie skorzystał z okazji i nie zaprotestował.

– Ruyard i ci z jego załogi, którzy poszli za nim, złamali tę zasadę. Są masowymi mordercami, gwałcicielami i przestępcami w rozumieniu każdego prawa. Ale także wyrzutkami społecznymi. Zhańbili bowiem mundury, które nosimy, i zbrukali nasz honor. A tego nikt nie robi bezkarnie. Prawo wojskowe przewiduje za takie postępowanie tylko jedną karę, a my tylko w jeden sposób możemy odzyskać honor i oczyścić mundury!

Na twarzach obecnych widziała odbicie własnej wściekłości i nienawiści, choć jedynie Tomanaga wydawał się rozumieć ją w pełni.

– I wymierzmy tę karę – dodała ponuro. – Mam zamiar w ciągu sześciu godzin dokonać tranzytu do systemu Siegfried i zaatakować piratów. To wszystko, panie i panowie.

\* \* \*

– Są, ma'am – powiedział Tomanaga, patrząc na ekran taktyczny. – Dopiero co znaleźli się w zasięgu, ale lecą nam na spotkanie.

Han skinęła potakująco głową, patrząc na powoli zbliżające się czerwone symbole przedstawiające wrogie okręty. Dwa ciężkie i trzy lekkie krążowniki w towarzystwie czterech niszczycieli.

– Nie potrafimy zidentyfikować ciężkich krążowników, ma'am – zameldował Reznick. – Zostały za bardzo zmodyfikowane. Wygląda na to, że zdemontowali większość wyrzutni i zastąpili je działami, choć pojęcia nie mam, skąd je wzięli. Lekkie krążowniki to *Phaeton*, *Agano* i *Leipzig*. Dwóch niszczycieli nie potrafimy rozpoznać, a pozostałe to *Pike* i *Bengal*. Odległość pięćdziesiąt sekund świetlnych, ma'am.

– Dziękuję, David. Wywołaj ich, proszę.

– Aye, aye, ma'am.

Nastąpiła długa chwila oczekiwania, po czym na głównym ekranie łącznościowym ukazała się twarz o ostrych rysach przywodząca na myśl nauczyciela akademickiego. Zgodnie z pokładową bazą danych był to Arthur Ruyard.

– Kontradmiral Li Han z Marynarki Republiki, dowódca Dziewiętnastej Grupy Wydzielonej – przedstawiła się Han. – A pan?

– Komodor Dennis Khulman, dowódca Dwudziestej Eskadry Krążowników – usłyszała po ponadminutowej zwłoce spowodowanej odległością.

Nawet nie mrugnęła okiem, słysząc to kłamstwo.

– Co pana tu sprowadza, komodorze? – spytała z właściwą dozą zainteresowania.

– Miałem panią o to samo zapytać, ma'am – uśmiechnął się rozmówca. – Jesteśmy na patrolu z Klatzenberger do Tomaline, ma'am. A pani?

– Patrol z Nowej Rodiny przez Jensen, Schulman i Kariphos – zelgała gładko Han. – Nie spodziewaliśmy się spotkać własnych okrętów po drodze.

– My też nie, ma'am.

– Cóż, w takim razie chyba najlepiej będzie się spotkać i wymienić informacje,

komodorze Khulman – zaproponowała.

– Oczywiście, ma'am, ale proszę mi wybaczyć, że pozostawię aktywne tarcze. Tu nie można być zbyt ostrożnym, ma'am.

– Zgadza się z panem całkowicie – uśmiechnęła się Han.

– Dziękuję, ma'am. Przy naszych obecnych kursach i prędkościach do spotkania według mojej oceny dojdzie za około osiemnaście minut. Zgadza się pani z tą oceną, ma'am?

– Tak. I zapraszam na obiad, komodorze Khulman.

– Dziękuję, ma'am. Zjawię się na pewno.

Han zakończyła rozmowę i gdy ekran stał się czarny, uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją.

\* \* \*

– Piętnaście sekund świetlnych do celu, ma'am – zameldował Reznick.

– Doskonale. Gdy znajdziemy się w odległości dwunastu sekund, proszę wyłączyć ECM-y.

– Wyłączyć... ma'am? – Reznick był tak zaskoczony, że powiedział to głośno.

– Wyłączyć, poruczniku – powtórzyła spokojnie Han.

Chciała, by Ruyard wiedział, co go czeka, nim zginie.

Wybrała kod *Shokaku* i gdy tylko na ekranie łącznościowym fotela pojawiła się twarz kapitana Onsbrucka, poleciła:

– Kiedy ECM-y zostaną wyłączone, proszę wysłać myśliwce, kapitanie.

– Aye, aye, ma'am.

– Dziękuję, kapitanie Onsbruck.

Zakończyła rozmowę i usiadła wygodniej, obserwując zbliżające się powoli symbole pirackich okrętów. Podejrzewała, że Ruyard miał już gotowe wezwanie do kapitulacji, ale jej wiadomość będzie pierwsza. I będzie to zarazem ostatnia wiadomość, jaką on w życiu dostanie.

Przypomniały jej się zniszczenia *Swiftsure* w systemie Aklumar – sytuacja była podobna, ale tylko pozornie: wtedy był to manewr taktyczny zastosowany wobec wroga, teraz skuteczna metoda egzekucji na śmieciach galaktyki.

– Odległość dwanaście sekund świetlnych, ma'am – zameldował Reznick. – Wyłączam ECM-y... Wyłączone!

Systemy radioelektroniczne wszystkich okrętów przestały wysyłać fałszywe sygnały i na ekranach taktycznych jednostek pirackich nagle zamiast krążowników pojawiły się dwa monitory i lotniskowiec, z którego na dodatek natychmiast zaczęły startować myśliwce.

– Wiadomość z *Kearsege*, ma'am! – zameldował zaskoczony Reznick. – Chcą się poddać, ma'am!

Ruyard reagował błyskawicznie, musiała mu to przyznać. Wiedział, że nie ma szans w

starciu, więc go nawet nie próbował. Postanowił wykorzystać coś, o czym wiedział, by nie zginąć natychmiast. To, że zasadą Marynarki Federacji kontynuowaną przez obie walczące w wojnie domowej strony było przyjmowanie kapitulacji wrogiego okrętu. Mógł to być wybieg dla zyskania na czasie, ale raczej próba przedłużenia sobie życia do momentu procesu. Han to nie interesowało. Obserwowała spokojnie ostatnie startujące myśliwce, po czym powiedziała beznamiętnie:

- Kapitanie Schwerin...
- Słucham, ma'am.
- Proszę otworzyć ogień! – poleciła spokojnie.



## Rozdział XVIII

# EMISARIUSZ

Leornak'zilshidrow, lord Sofald, szesnasty Wielki Kieł chana i gubernator systemu Rehfrak proklamowany przez *hirikolus*, pojawił się na ekranie łączności liniowca pasażerskiego i Ian Trevayne miał pierwszy raz okazję przyjrzeć się istocie, od której trzy miesiące temu zależało życie jego i wszystkich jego ludzi. Oblicze porośnięte krótkim, szarawym futrem do złudzenia przypominało kocie, choć nie tyle dachowca, ile tygrysa, i łatwo było zrozumieć, skąd wzięła się nieoficjalna, acz szeroko w Federacji stosowana nazwa rasy zamieszkującej Chanat Orionu. Nawet jednak jak na kociambra Leornak miał imponujące wąsy...

Plotka głosiła, że nowa wśród oficerów Marynarki Federacji moda noszenia bród spotkała się u kociambrow z aprobatą – uważali, że ludzkie twarze zyskują w ten sposób na wyrazistości.

Leornak uśmiechnął się, nie pokazując zębów, gdyż wśród ras drapieżnych oznaczało to groźbę, i wydał z siebie serię dźwięków przywodzących nieodparcie na myśl parę kotów w marcu kopulujących na kobzie. Podobnie jak większość wysokich rangą oficerów i urzędników Chanatu rozumiał standardowy angielski, ale jego krtka i aparat głosowy nie bardzo były w stanie wydawać te dźwięki. Problem był zresztą obustronny i dlatego ludzie nadal używali oficjalnej nazwy Chanat Orionu nadanej przez wywiad floty nowo odkrytemu państwu. Składało się ono wówczas z trzech systemów planetarnych i czternastu warpów w pobliżu Wielkiej Mgławicy Orionu. Potem naturalnie poznano właściwą nazwę rasy i państwa, ale wyartykułowanie słowa „Zheerlikou'valkhannaieeee” było nieporównanie trudniejsze, a i tak była to toporna wersja nazwy używanej przez samych obywateli Chanatu.

Trevayne nawet nie próbował zrozumieć tego, co usłyszał – poczekał, aż translator zawieszony na zdobionej klejnotami uprząży bojowej Leornaka przełoży jego słowa na standardowy angielski z uwzględnieniem intonacji i niuansów.

– Witam w Rehfrak, admirale Trevayne. Cieszę się z okazji osobistego spotkania, choć jak pan zapewne rozumie, powitanie musi być zupełnie nieoficjalne. Ufam, że nie spieszy się panu tak bardzo jak w czasie ostatniej wizyty?

Trevayne uśmiechnął się, pamiętając, by – jak nakazywały dobre maniery – nie pokazywać przy tym zębów; jako rodowity Anglik był w stanie docenić zręczność doboru uprzejmych słów w celu przekazania złośliwości.

– Tym razem nie spróbuję ucieczki, która zresztą była możliwa wyłącznie dzięki pańskiej uprzejmości, gubernatorze. Ale jak pan słusznie zauważył, nasze spotkanie jest nieoficjalne i w moim wypadku także tajne, dlatego im szybciej zobaczę się z wysłannikiem mojego rządu, tym lepiej będzie dla wszystkich zainteresowanych.

– Naturalnie, admirale. Wysłannik już przybył i znajduje się na pokładzie mojego okrętu flagowego *Szolkir*...

I równie uprzejmie przeszli do konkretów, czyli do uzgadniania, kiedy Trevayne przesiądzie się na wysłany z *Szolkira* kuter.

\* \* \*

Trevayne przyglądał się błyszczącemu w pomarańczowym blasku gazowego giganta kadłubowi okrętu rosnącego za oknem kutra. Jak wszyscy oficerowie flagowi Chanatu, którzy tylko mieli taką możliwość, Leornak na swój okręt flagowy wybrał lotniskowiec uderzeniowy klasy *Itzarin*. Pod tym względem kociambry i rebelianci byli niezwykle podobni – tak samo cenili myśliwce i najbardziej lubili największe lotniskowce. Zresztą nie tylko to ich zbliżało. Któryś z dwudziestowiecznych myślicieli powiedział kiedyś, że największa nienawiść występuje zwykle między grupami ludzi najbardziej do siebie podobnych, których nie stać na to, by się do tego podobieństwa przyznać. Najwyraźniej zasada ta odnosiła się także do innych ras inteligentnych.

Uśmiechnął się lekko, obserwując proporcjonalny i smukły okręt. Po następnej bitwie i Chanat, i ta zaszraza Republika będą musiały poważnie przemyśleć całą doktrynę używania poszczególnych klas okrętów wojennych... mógł im to obiecać.

Na zasadzie rozstrzelonych skojarzeń przypomniał sobie wydarzenia, które miały miejsce prawie dokładnie standardowy miesiąc wcześniej, kiedy tak naprawdę rozpoczęła się ta podróż...

\* \* \*

Trevayne przewodniczył obradom Tymczasowego Rządu Obrzeża, który ludzie coraz częściej nazywali Federacją Obrzeża, choć jak dotąd nie znalazł się jeszcze śmiałek, który zrobiłby to w jego obecności.

Członkowie rady zostali wybrani przez delegatów jednoizbowego parlamentu z ich własnego grona. Ich zadaniem było doradzanie gubernatorowi. W praktyce rada okazała się tym samym co rząd i po prostu rządziła Obrzeżem, gdy Trevayne był nieobecny, co zdarzało się dość często.

Dla mieszkańców Obrzeża była to nowość, on jednak zbyt dobrze znał historię, by nie

wiedzieć, że pomijając jedną modyfikację, reaktywował właśnie rządy parlamentarne w najczystszej postaci. Ponieważ na terenie Obrzeża nie istniały żadne partie polityczne, ideał, którego na Ziemi nigdy nie udało się osiągnąć, tu stał się rzeczywistością. Inną kwestią było to, czy mieszkańcy po zasmakowaniu autonomii zgodzą się z niej zrezygnować, gdy Federacja wygra wojnę. To jednak była sprawa dalszej przyszłości i nie zamierzał teraz zawracać sobie nią głowy.

Jedną z osób sąsiadujących z nim przy stole była Miriam Ortega – częściowo zawdzięczała to pamięci ojca, ale tylko częściowo. W miarę upływu czasu zdobywała uznanie dzięki własnej inteligencji i osobowości.

Co go bardzo cieszyło, bo od ponad roku byli kochankami.

Nie dając po sobie poznać, że ją w jakiś sposób wyróżnia, powiódł wzrokiem po obecnych i zagał:

– Panie i panowie, zwołałem to posiedzenie, żeby potwierdzić plotki. Tak jest, otrzymaliśmy za pośrednictwem Chanatu odpowiedź na wysłaną do władz Federacji wiadomość.

I odczekał, aż ucichnie nieunikniona wrzawa. Ponieważ bezpośrednia trasa do Federacji wiodła przez Pogranicze, pozostała jedynie okrężna przez Chanat. Ale Chanat całkowicie zamknął granice po rajdzie Trevayne’a i nawet rudy czy inne surowce wysyłane do Centrum mogły docierać tam wyłącznie w oriońskich statkach. Żaden statek zarejestrowany w Federacji, na Pograniczu czy Obrzeżu nie miał wstępu na obszar Chanatu, o okrętach wojennych naturalnie nawet nie wspominając. Każdy zaś przewóz ładunku wymagał długich i irytujących negocjacji. Jeszcze dłuższych trzeba było, by zgodzili się przewieźć jedną wiadomość od Trevayne’a do władz Federacji i jedną z powrotem.

– Wszystko, czego się od nich dowiedzieliśmy – podjął Trevayne – to że Federacja wyśle przedstawiciela, któremu Chanat pozwoli dotrzeć do systemu Rehfrak, co nastąpi za miesiąc standardowy. Będę mógł spotkać się z nim, jeśli granicę pokonam sam, na pokładzie ich cywilnego statku i z zachowaniem absolutnej tajemnicy. Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony, że zgodzili się aż do tego stopnia naruszyć ustalone przez nich same zasady neutralności.

– Jeśli dobrze rozumiem, ma pan zamiar przyjąć to zaproszenie? – spytał Barry de Parma, przewodniczący rady, nie ukrywając zaskoczenia.

Trevayne jedynie skinął głową.

– Przecież to olbrzymie ryzyko! – zaprotestował de Parma. – Jest pan niezastąpiony, a...

– Chan i mieszkańcy Chanatu wolą Federację – przerwała mu Miriam. – Otwarcie z tym nie wystąpili tylko dlatego, iż mogłoby to mieć negatywny wydźwięk propagandowy: mówiono by, że Federacja wciąga obcych do walki z ludźmi. Nie mają powodów, by zdradzić czy zabić gubernatora.

I uśmiechnęła się, w pełni świadoma, że część obecnych także wystąpiłaby przeciw udziałowi w walce kociambrów. Władze Planet Korporacji niesłusznie oskarżały Pogranicze

o ksenofobię, ale nie doceniły też determinacji jego mieszkańców pragnących utrzymać niezależność od Chanatu. I pod tym względem Obrzeże i Pogranicze były idealnie zgodne.

– Dokładnie tak – zgodził się Trevayne. – Poza tym jestem taktykiem, nie inżynierem czy naukowcem, więc nie mają co liczyć na uzyskanie konkretnych informacji technicznych dotyczących nowinek militarnych. Co się zaś tyczy utrzymania całej sprawy w tajemnicy, jest zrozumiałe, że nie należy podawać niczego do publicznej wiadomości. Mogłoby to okazać się niewygodne i dla nich, i dla nas. Oficjalnie będę brał udział w manewrach floty, a o wszystkim poza wami wiedzieć będą jedynie moi zaufani oficerowie.

Widać było, że gładko przełknęli zmianę tematu – na szczęście nie było tu Sonji, która natychmiast wyczułaby, że łże jak najęty w kwestii własnego stanu wiedzy. Było natomiast prawdopodobne, że Chanat nie zaryzykuje próby wyciśnięcia z niego posiadanych informacji, nikt tam nie zdaje sobie bowiem sprawy, że będą one mieć przełomowe znaczenie.

– A co się stanie, jeśli pana pobyt przedłuży się znacznie i w parlamencie padną pytania dotyczące pańskiej nieobecności? – spytał de Parma.

– Postarajcie się, żeby nie padły – odparł radośnie Trevayne. – Jesteście tu dlatego, że wspólnie możecie kontrolować parlament. A jak to kiedyś powiedział mój rodak Disraeli mający w tych sprawach niejaki doświadczenie: „Większość jest najlepszym argumentem”.

– Znów cytat! – jęknęła Miriam. – Przecież nikt z nas nawet nie jest w stanie sprawdzić, czy pan ich na poczekaniu nie wymyśla!

Trevayne uśmiechnął się jeszcze radośniej.

– Żebym był tak pomysłowy! – westchnął z żalem.

\* \* \*

Drzwi służby kutra otworzyły się i dumny a równocześnie speszony Młody Chana, jak tytułowano młodszych oficerów, poprowadził go do mesy. Wąsy mu wręcz drgały z ciekawości, ale nie odezwał się słowem ani też żadnym gestem nie okazał, że wie, iż ma do czynienia z oficerem flagowym. Wejście było silnie strzeżone, ale w pomieszczeniu znajdowały się tylko dwie osoby – Leornak i mężczyzna, który wydał się Trevayne’owi znajomy, choć nie potrafił przypomnieć sobie, kto to jest. Obaj wstali na powitanie.

– Witam na pokładzie *Szolkira*, admirale Trevayne – odezwał się Leornak.

– Dziękuję, panie gubernatorze – odparł formalnie Trevayne.

Leornak zastrzygł uchem, słysząc przekład ze standardowego angielskiego na orioński – translator był imponującym osiągnięciem technicznym, ale jego rasa miała talent do cybernetyki i komputerów. Co nie znaczyło, że potrafiła rozwiązywać wszystkie problemy – kociambry podobnie jak ludzie dotąd nie zdołali stworzyć choćby pełnej sztucznej inteligencji. Używali natomiast znacznie więcej sprzętu i programów obsługiwanych głosem niż ludzie i dotyczyło to nawet okrętów.

Powody tego stanu rzeczy były dwa. Po pierwsze język orioński nie posiadał wyrazów

wieloznaczeniowych, a po drugie kociambry uczucia przekazywali mową ciała bardziej niż głosem. Dlatego komputery miały znacznie mniej problemów z identyfikacją osoby mówiącej, a każdą wypowiedź mogły traktować dosłownie. Federacja zaś do chwili obecnej nie zdołała stworzyć oprogramowania potrafiącego rozróżniać ludzkie emocje w głosie. Ostatnia próba miała miejsce na superdreadnoughcie *Ranier*, na którym Trevayne był wówczas oficerem ogniowym, i jeszcze chwilami miał dreszcze na samo wspomnienie tej makabreski.

Leornak wykonał elegancki gest i oznajmił:

– Pozwoli pan, że przedstawię mego starego znajomego, a bywało, że i przeciwnika, pana Kevina Sandersa, reprezentującego premiera Federacji Ziemskiej.

Ściskając dłoń wysokiego, szczupłego mężczyzny o ostrych rysach i niewielkiej, starannie przyszyżonej bródce, Trevayne już wiedział, z kim ma do czynienia. Sanders wyglądał na sześćdziesiąt lat, podczas gdy miał ponad sto dwadzieścia. I podobnie jak on sam nosił nienagannie skrojony garnitur.

– Miło znów pana widzieć w czynnej służbie, admirale Sanders – powitał go z lekkim uśmiechem. – Ostatnia rzecz, którą o panu słyszałem, to że nadal stara się pan zrujnować wyobrażenie o emerytowanym oficerze marynarki.

W błękitnych oczach roz błysły diabelskie iskierki, gdy Sanders odparł:

– Z formalnego punktu widzenia nie jestem admirałem. Owszem, ściągnęli mnie do wywiadu po wybuchu powstania, bo z jakichś powodów zapanowała tam moda na wcześniejsze emerytury, ale w zeszłym roku zrezygnowałem z dalszej służby, by móc objąć urząd ministra bez teki w rządzie Dietera. Można powiedzieć, że jestem łącznikiem między rządem a służbami wywiadowczymi.

Trevayne uniósł brwi, słysząc o rządzie Dietera, ale była to jedyna reakcja. Jego powściągliwość zyskała uznanie rozmówcy.

– Dość jednak o mnie – dodał Sanders. – To zaszczyt i przyjemność spotkać pana, admirale. Choćby dlatego, że obaj należymy do wyjątków: urodziliśmy się na Ziemi.

– Wiem.

– Tak? A skąd?

– Zawsze fascynowało mnie to, w jaki sposób ludzie urodzeni w rejonach, w których od zawsze używa się angielskiego, potrafią ożywiać ten uniwersalny język handlowy – odparł poważnie Trevayne. – Pan pochodzi z Ameryki Północnej albo z kanadyjskich prowincji nadmorskich, albo z rejonu Tidewater w dawnych stanach Wirginia i Maryland. Wymowa w obu dialektach jest prawie identyczna.

Sandersowi udało się nie znieruchomieć z otwartą gębą, ale wyłącznie dzięki wieloletniej praktyce w panowaniu nad mięśniami własnej twarzy. Odzwyczyił się od obcowania z ludźmi równie inteligentnymi i bystrymi jak on sam.

– Ma pan rację w kwestii Tidewater – oświadczył zwięźle.

Leornak uśmiechnął się szeroko, a jego wąsy drgały leciutko, gdy obserwował tę otwierającą wymianę. Teraz korzystając z chwili ciszy, powiedział:

– Mam wrażenie, Kevin, że to spotkanie będzie dla ciebie rzadkim przeżyciem. Niestety, choć obserwowanie tego sprawia mi wielką przyjemność, mam obowiązki. A panowie zapewne woleliby rozmawiać bez świadków. Spodziewam się jednak, że dotrzymacie mi towarzystwa przy obiedzie.

Trevayne poczuł niezbyt miłe łaskotanie w żołądku. Obie rasy miały na tyle zbliżoną fizjologię, że wspólne posiłki były wykonalne. Tyle że on nie przepadał za gonieniem obiadu po stole. A nie cierpiał wręcz, jak danie patrzyło na niego z wyrzutem. Coś z tych uczuć musiało odbić się na jego twarzy, gdyż Leornak spojrział na niego z rozbawieniem. Powinien był się domyślić, że taki kosmopolita jak on nie będzie serwował czegoś, co wyglądało dokładnie jak nagie myszy...

Gdy drzwi za gospodarzem się zamknęły, usiedli przy niskim stole, na pufach służących powszechnie za krzesła, a Sanders nalał do czystej szklanki nieco bursztynowego płynu z butelki, którą do połowy zdążyli z Leornakiem opróżnić. Bourbon zyskiwał coraz większą popularność wśród poddanych chana. Na tyle, że ostatnio został jednym z głównych towarów eksportowych. Trevayne nie miał nic przeciwko alkoholowi, natomiast za nic nie mógł pojąć, jak ktokolwiek może preferować ten bimber, mając do wyboru uczciwą szkocką whisky. Zwłaszcza single malt.

Mimo wszystko uniósł naczynie w niemym toaście i wypił zawartość jednym haustem. Po czym spytał, starając się, by wypadło to jak najnaturalniej:

– Jeśli dobrze zrozumiałem, wspomniał pan o rządzie Dietera?

– Owszem. – Sanders spojrział na niego niewinnie. – Zauważyłem, że to pana trochę zaskoczyło.

– Cóż, moje ostatnie informacje z Centrum pochodzą z okresu sprzed buntu, więc nie są najświeższej daty. A wtedy pan Dieter raczej nie był wschodzącą gwiazdą polityki. To oczywiste, że wiadomość nieco mnie zdziwiła.

Nie uznał za stosowne dodać, że Oskara Dietera spotkał tylko raz i miał o nim opinię całkiem niepocholebną – był to typowy nadęty dupek z politycznej bandy Korporacji.

– Nie radzę lekceważyć Dietera, admirale – odparł Sanders. – Simon Taliaferro tak postąpił i przegrał.

Zostało to powiedziane całkowicie poważnie i mogło oznaczać tylko tyle, że w Centrum zaszły naprawdę poważne zmiany w strukturach władzy. I nie tylko w strukturach...

– Ale w tych sprawach znacznie dokładniej zorientuje się pan po zapoznaniu się z przygotowanymi przez Admiralicję nagraniami, które przywiozłem – dodał już lżejszym tonem Sanders. – Ponieważ nie mamy zbyt wiele czasu, proponuję, żebyśmy przeszli do moich instrukcji dotyczących chwili obecnej i przyszłości.

Mówiąc to, odstawił szklankę i sięgnął po staromodną teczkę. Z nader nowoczesnym

zamkiem szyfrowym.

– Zaczynając od wieści najprzyjemniejszych dla pana: jest pan pełnym admirałem i wszystkie awanse polowe podpisane przez pana zostają zatwierdzone ze starszeństwem od dnia ich ogłoszenia. Potwierdzony zostaje także pański tytuł gubernatora i na dobrą sprawę powinienem się do pana zwracać „ekscelencjo”, bo tak ustalili spece od protokołu.

Trevayne spojrział na niego wściekle, ale na Sandersie nie wywarło to najmniejszego wrażenia. Wyglądało zresztą na to, że mało co jest w stanie wyrzucić na nim wrażenie...

– Teraz tak: ten pański Rząd Tymczasowy i parlament sprawił prawnikom więcej kłopotu – dodał Sanders. – W końcu w konstytucji niczego podobnego nie przewidziano...

– Nie przewidziano też rebelii, która odetnie część Federacji od reszty – oznajmił Trevayne. – Ci ludzie pozostali lojalni, mimo że zbuntowała się cała reszta Pogranicza i mimo systematycznego wykorzystywania ich przez Korporacje. Ta lojalność jest wręcz bezcenna i zostanie zmarnowana, jeśli nie zdołamy włączyć ich w prowadzenie wojny!

– Pokój, admirale Trevayne! – Sanders uniósł dłoń. – Powiedziałem, że sprawa była trudniejsza, a nie że się nie udało. Wszystko zostało ratyfikowane, wbrew obawom niektórych polityków, że legalizujemy akt dający panu pozycję samodzielnego watażki i dyktatora. Były to rzecz jasna nieoficjalnie wyrażane obawy, bo wszyscy woleli utrzymać się na stołkach.

Trevayne spojrział na niego, nie rozumiejąc ostatniego zdania. Sanders zachichotał radośnie, widząc jego głupią minę, i przystąpił do wyjaśnień:

– Zapomniałem, że pan nie ma prawa o niczym wiedzieć, bo i skąd. Jest pan nie tylko bohaterem, admirale Trevayne, ale także żywą legendą. Meldunki o przebijaniu się z Osterman's Star do granicy wzbudziły wielkie zainteresowanie opinii publicznej, zwłaszcza że długo nikt nie miał pojęcia, czy się panu udało. A potem przyszła informacja, że nie tylko pan żyje, ale też zjednoczył pan Obrzeże i pokonał powstańców, więc wybuchła euforia. Federacja zwycięstw ma jak dotąd jak na lekarstwo, a zwycięskich dowódców jeszcze mniej, no więc kiedy pojawił się autentyczny bohater, nie zabrakło gotówki, żeby go rozreklamować – w oczach Sandersa ponownie zapłonęły diabelskie isierki, gdy obserwował wzrastające zaambarasowanie rozmówcy, po czym go dobił z niewinnym uśmiechem. – Sądzę, że ucieszy pana informacja, iż jest pan bohaterem wysokobudżetowego i odnoszącego olbrzymi sukces serialu „Ucieczka do Zephraim”. Zagrał pana Lance Manly, tylko odrobinę postarzony.

Po czym siedział spokojnie i napawał się słuchaniem, jak Trevayne płynnie klnie w sześciu językach przez dobre dwie minuty, i to nie powtarzając się ani razu. Kiedy zabrakło mu powietrza, dodał uprzejmie:

– Przywiozłem nagranie wszystkich odcinków. Rząd uznał, iż należy podnieść morale mieszkańców Obrzeża również...

Trevayne zdążył już odzyskać samokontrolę.

– Już ja się nimi osobiście zajmę! – warknął. – Zamiast mówić o duperelach, może w końcu powiedziałby mi pan, jak przebiega wojna?

Sanders spoważniał.

– Niedobrze. Powstańcy przejęli kontrolę nad wszystkimi węzłami prowadzącymi na Pogranicze. I to, wstyd powiedzieć, bez specjalnych problemów, dlatego to, że wraz z admirałem Ortegą ich pokonaliśmy, jest naprawdę nadzwyczajnym osiągnięciem. Rząd podjął głupią decyzję, nie biorąc pod uwagę realiów, i w efekcie gdy padły pierwsze strzały, flota przestała istnieć. Zanim nie przyszły wieści od pana, ocenialiśmy, że ponad dziewięćdziesiąt procent Floty Granicznej przeszło na stronę buntowników. Teraz wiemy, że około osiemdziesięciu. Ale najbardziej odczuliśmy stratę ponad pięćdziesięciu procent Battle Fleet.

– Ilu?! – Nawet Trevayne’em wstrząsnęła ta informacja.

– Ponad pięćdziesięciu procent – potwierdził Sanders. – Co na całe szczęście nie jest równoznaczne z tym, że oni uzyskali tyle okrętów.

W tej chwili wyglądał na swój wiek.

Trevayne spokojniej już przeanalizował to, co usłyszał. Oczywiście, że rebelianci nie zdobyli tylu jednostek, bo inaczej monitory Battle Fleet już dawno byłyby w systemie Zephraim. Ale to oznaczało, że w wyniku buntu zostało zniszczonych znacznie więcej okrętów liniowych, niż sądził... i zginęło znacznie więcej lojalnych załóg.

– Dlatego mieli i czas, i siły, by opanować wszystkie węzły tranzytowe – dodał po chwili Sanders. – A teraz mają czas, by zbudować stocznie. Jak dotąd co prawda nie natknęliśmy się na żaden nowy okręt liniowy, ale wkrótce z pewnością się natkniemy. Dlatego stłumienie powstania będzie krwawe i potrwa długo. No i należy pamiętać o starej zasadzie: gdzie dwóch się bije... Tangri tylko czekają na osłabienie obu stron, sądząc po meldunkach choćby od pana. Mieliście z nimi parę utarczek, jak rozumiem?

– Jedną czy dwie – zgodził się Trevayne. – Niewiele, bo użyłem argumentu, który dobrze rozumieją, i od tej pory mamy spokój.

– Doprawdy? Spotkałem się z nimi parę razy i nie bardzo przypominam sobie jakikolwiek argument, który wywarłby na nich wrażenie. Nie mówiąc o zrozumieniu.

– Zna go pan, admirałe Sanders – uśmiechnął się Trevayne. – Jeśli się nie mylę, to nawet był pan w systemie Lyonesse, gdy zapoznaliśmy się z nim po raz pierwszy. To stało się, zanim znalazłem się w aktywnej służbie, ale jeżeli dobrze pamiętam, jakieś trzy procent ich sił zdołało wtedy uciec.

– Ach! – rozpromienił się Sanders. – Ten argument rzeczywiście rozumieją. Prawdziwa szkoda, że Federacja potem tak rzadko go używała. Wychodzi na to, że władzom bardziej zależało na wykorzystywaniu Pogranicza. A teraz mają zbyt wiele problemów. Pojawiły się nawet propozycje ściągnięcia całej Battle Fleet do Centrum, żeby „ramię w ramię z fortami broniła domu”, jak to któryś idiota powiedział. Co naturalnie nastąpiło, zanim do polityków dotarło, jakie są cele buntowników. A tym chodzi o odłączenie się od Federacji, a więc o utrzymanie tego, co mają, a nie o podbijanie czegokolwiek poza naturalnie Obrzeżem. Bo Obrzeża chcą od początku i teraz uważają, że mogą je zdobyć. Mam dla pana dane i analizy



wywiadu w tej sprawie. Prognoza jest następująca: w ciągu sześćdziesięciu dni standardowych może się pan spodziewać zmasowanego ataku. A pytanie brzmi: zdoła go pan odeprzeć?

Spojrzeni na siebie porozumiewawczo – Sanders właśnie doszedł do sedna sprawy.

Zadanie tego pytania było prawdziwym celem jego wyprawy, a na pokładzie oriońskiego okrętu nie mógł go sformułować w żaden inny sposób. Jego sens był następujący: czy zdołał pan w oparciu o teoretyczne wyniki z bazy Zephraim skonstruować funkcjonującą broń, która zrównoważy szanse, albo czy zdoła pan to osiągnąć do chwili ataku?

Gdyby Leornak zdał sobie sprawę, o jakim przełomie technologicznym rozmawiają, żadne reperkusje polityczne nie byłyby go w stanie powstrzymać przed zdobyciem tych informacji w każdy możliwy sposób. Wliczając w to tortury, choć była to mało skuteczna metoda, czy hipnozę – nadal dającą ograniczone efekty. Najmniej prawdopodobne byłyby chemiczne środki zwane potocznie „serum prawdy”, gdyż wszyscy oficerowie Marynarki Federacji byli uodpornieni na ich działanie.

Dlatego odpowiedział krótko i jasno:

– Tak.

I obaj sięgnęli po alkohol.

Po dłuższej chwili Sanders uśmiechnął się złośliwie.

– Cóż, admirale Trevayne, utwierdziłem się w przekonaniu, że rząd postąpił słusznie, potwierdzając pańskie decyzje. To w sumie jedyna zaleta plutokracji: kiedy jest tak przerażona jak obecnie, można ją zmusić do sensownych posunięć... Proszę się nie bulwersować, oczywiście, że Leornak podsłuchuje i nagrywa naszą rozmowę. Tak dla własnej rozrywki, jak i do wiadomości przełożonych. Ci przełożeni zaś, choć wolą mieć do czynienia z nami, nie są emocjonalnie w tę wojnę zaangażowani. Nie tak jak ci z nas, którzy mają do pomszczenia bliskich – nagle urwał i dodał zupełnie innym tonem: – Przepraszam, nie powinienem tego mówić... wiem o losach pańskiej rodziny.

Trevayne praktycznie go nie słyszał, gdyż słowa Sandersa otworzyły nagle starannie dotąd zatrzaśnięte drzwi w jego pamięci...

Szesnaście standardowych lat temu, krótko po narodzinach Ludmiły, zabrał rodzinę pierwszy raz na Ziemię. Odwiedzili Anglię i naturalnie Moskwę, no i jak wszyscy Afrykę, miejsce, gdzie Świątynia Człowieka wznosi się w niebo nad wąwozem Olduvai, skąd *homo erectus* dłuta Xentosa z XXII wieku spogląda w gwiazdy...

Prześladował go jeden obraz z tej podróży – plaża na Korfu, gdzie góry i morze spotykały się w starożytnych jaskiniach i gdzie momentami w blasku słońca zdawał się pojawiać okręt Odyseusza. Do śmierci będzie widział Courtenay jako czteroletniego brzdąca o rozświetlonych, rudych włosach, bawiącego się w piasku... i rozsypującego się w pył radioaktywny po eksplozji raket, które podobnymi barwami pokolorowały wschody i zachody słońca na Galloway's World.

\* \* \*

Po powrocie do Zephraïn Trevayne zrobił sobie na powierzchni Xanadu pięć dni odpoczynku (a każdy miał dwadzieścia dziewięć godzin standardowych). Szóstego dnia po przebudzeniu podszedł do otwartego okna i spojrzał na letni krajobraz. Ziemskie wiązy rosły sobie obok tutejszych pierzaków i pseudososen po przeciwległej stronie trawnika aż iskrzącego się od rosy. Polatywały nad nimi stworki, które choć upierzone, ponoć nie były ptakami, i tylko zbyt żółte słońce psuło iluzję. Wciągnął w płuca rześkie powietrze jeszcze nie skażone upałem i przyznał sam przed sobą, że czuje się dziwnie.

Za jego plecami zaszeleściła pościel, po czym rozległ się rozespany głos Miriam, która odkryła, że nie ma go w łóżku:

– Na litość boską, włóż coś na siebie choćby przez wzgląd na resztki mojej reputacji.

Uśmiechnął się, słysząc o reputacji – ich związek był tajemnicą poliszynela nie tylko na całej planecie, ale wręcz na Obrzeżu. Za to po obejrzeniu szmiry dostarczonej przez Sandersa z ulgą stwierdził, że do Federacji plotki nie dotarły i o Miriam wzmianki tam nie było. Nagranie zresztą w tajemniczych okolicznościach zaginęło, tak że poza nim nikt tego upiorstwa nie obejrzał.

Wrócił do łóżka i delikatnie pocałował ją w czoło.

– Śpij – szepnął. – Nie musisz wstawać tak wcześnie, za to ja powinienem się zbierać.

Jego słowa rozbudziły ją do reszty. I starły uśmiech z jej twarzy.

– Wiem, że to bez sensu, ale i tak raz jeszcze ci powtórzę, że każdy z twoich nowo mianowanych admirałów: Desai, Remko czy którykolwiek, ma wystarczające kompetencje, by dowodzić tą bitwą. I jeszcze to, że jesteś tak ważny dla Obrzeża.

W ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie powiedzieć „dla Federacji Obrzeża”.

Trevayne uśmiechnął się, przypominając sobie ostatnią rozmowę z jej ojcem, i odparł:

– Przystanę być ważny dla Obrzeża w dniu, w którym rebelianci zdobędą Zephraïn. Obrzeże istnieje dzięki flocie, więc ze mną jest tak samo.

– Jak zwykle pieprzysz głodne kawałki – prychnęła. – Jestem dzieckiem floty, zapomniałeś? Wiem, dlaczego musisz tam być.

Oboje znali niepisaną, a więc żelazną zasadę Marynarki Federacji: każdy dowódca, który tylko jest w stanie to zrobić, powinien być ze swymi ludźmi w czasie walki. Howard Anderson tak postąpił, prowadząc swoje pancerniki w Aklumar. Iwan Antonow znajdował się na pokładzie swego okrętu flagowego w trakcie masakry w Lorelei, podobnie jak Siergiej Ortega był na pomoście flagowym TNS *Krait* w czasie bitwy o Bramę.

Spojrzała na jego twarz i delikatnie pogładziła krótko przyciętą, szpakowatą brodę. Wielu uważało tę twarz za nieprzeniknioną, część za złowróbną. Tylko ona wiedziała, że jej wyraz to maska ochronna. Pierwsza z wielu, jakie w sobie wytworzył.

Przyciągnęła go i pocałowała.

– Nie musisz jeszcze wychodzić... – szepnęła. – Nie wiadomo, kiedy wrócisz...  
I czas przestał mieć dla obojga znaczenie.

\* \* \*

Miriam siedziała z podwiniętymi nogami w rozkopanej pościeli i paliła papierosa, obserwując, jak Trevayne ubiera się i czesze. Nawet dbałość o wygląd stanowiła część jego pancerza ochronnego...

Wiedziała o nim dużo; to, czego nie wiedziała, to że bez niej był ze swoim bólem zupełnie sam.

Odwrócił się już w mundurze, obcy i równocześnie znajomy. Pocałowali się ostatni raz, wiedząc, że tym razem naprawdę musi już wyjść.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że w czasie twojej nieobecności nie dość, że będę niedopieczona, to na dodatek będę miała od cholery roboty, żeby utrzymać rząd w cuglach?  
– spytała.

Trevayne stanął w progu i uśmiechnął się niewinnie:

– Cóż, jak powiedział pewien znany, starożytny chiński filozof...

Zdołał znaleźć się za progiem przed lecącą poduszką.

## Rozdział XIX

# SPOSÓB

Kevin Sanders ledwie zauważył Marines stojących na warcie przed rezydencją premiera.

Na Ziemi był ledwie od paru godzin i miał ważniejsze sprawy na głowie od podziwiania widoków.

Jadąc windą, zerknął na zegarek – był lekko spóźniony, ale dawno już nauczył się, że spotkania polityczne przypominają imprezy towarzyskie: lepiej zjawiać się z poślizgiem, czasem nawet sporym, niż przybyć choć trochę za wcześnie.

Drzwi windy otworzyły się, wysiadł i prawie wpadł na wysokiego, jasnowłosego młodzieńca.

– Dobry wieczór, Heinz. Wygląda na to, że oczekują mnie z zapartym tchem?

– Można by to tak ująć, admirale Sanders.

Heinz von Rathenau, szef osobistej ochrony Dietera, był jedynym członkiem delegacji z Nowego Zurichu, który pozostał przy Oskarze po objęciu przezeń funkcji premiera. Przynajmniej oficjalnie. Był też psychicznie niezdolny do zapomnienia tytułów, które ktoś, kogo poznał, kiedyś otrzymał lub wysłużył, co jak Sanders podejrzewał, brało się z niepoprawnego romantyzmu.

– Mogę wejść, Heinz?

– Naturalnie. Sala konferencyjna numer dwa.

– Serdeczne dzięki – Sanders rzucił już przez ramię, maszerując energicznie ku wskazanym drzwiom.

Wszedł bez pukania. Wokół stołu z polerowanego kryształu siedziały cztery osoby: marszałek Witciński, szef operacyjny floty admirał Rutgers, Susan Krupska, no i oczywiście gospodarz. Pierwszym dwóm skinął głową, Susan posłał promienny uśmiech, a Dieterowi uklonił się niezbyt głęboko.

Fizycznie Dieter był najbardziej niepozorny z obecnych, co było sporym osiągnięciem, biorąc pod uwagę doświadczenia służbowe i częste obcowanie z politykami pozostałych. Istniały dwie możliwości – albo Dieter przy pierwszym spotkaniu dobrze udawał, a on dał się zwieść, albo też Dieter dorósł do nowych obowiązków. Sanders podejrzewał, że to drugie, ale

nie był do końca pewny, czy powodem tego wyboru nie była niechęć do przyznawania się do własnych błędów.

– Panie Sanders – powitał go uprzejmie Dieter. – Cieszę się, że w końcu zdołał pan do nas dołączyć.

– Dziękuję, panie premierze; trochę się spóźniłem, przepraszam. – Sanders nie uznał za konieczne nadmienić, że wolał się przespacerować, niż przyjechać.

– Ważne, że pan jest i że załatwił pan to, co najistotniejsze – ocenił Dieter i rozsiadł się wygodnie. – Teraz chcielibyśmy się dowiedzieć, z czym pan wrócił.

– Już mówię.

Sanders położył teczkę na stole, otworzył oba zamki i uniósł wieko. Wewnątrz matowo zaśnieżył spiek, którego główny składnik stanowił tytan stanowiący rzeczywisty pojemnik, obciążony jedynie skórą dla ładnego wrażenia. Wyjął z niej pudełko holochipów, zamknął teczkę i odstawił ją na podłogę.

– Tu jest oficjalny raport, panie premierze, ale sądzę, że chciałby pan teraz usłyszeć wersję skróconą?

– Słusznie pan sądzi, panie Sanders. Wersje skrócone są zawsze łatwiejsze do strawienia. Zwłaszcza pańskie wersje skrócone.

– Dziękuję za uznanie. Staram się, panie premierze – palnął Sanders, zachowując kamienną twarz.

– Jestem pewny – odparł z równie kamienną twarzą Sanders.

Po czym otworzył pudełko z cygarami i zaprosił go gestem, by się poczęstował. A potem spokojnie czekał, aż Sanders wybierze, obetnie i zapali cygaro.

– Tak więc? – ponaglił go, gdy ten wydmuchnął już kłąb dymu.

– Tak więc, mówiąc krótko, mamy cholerne szczęście. Prawdę powiedziawszy, nie byłem do końca przygotowany na spotkanie tego, kogo spotkałem, ale jedna rzecz nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości. Jeżeli ktokolwiek zdoła utrzymać Obrzeże, to właśnie gubernator Trewayne.

– To naprawdę pochlebna opinia – rzekła cicho Susan.

– Tak? – Sanders uśmiechnął się złośliwie. – To powiem ci coś jeszcze: uważam, że on zdoła to zrobić.

– Jest pan tego pewien? – spytał Witciński.

– Przecież powiedziałem. Ale ważniejsze jest to, że on jest tego pewien. Naturalnie na pokładzie oriońskiego lotniskowca nie mogliśmy mówić o szczegółach, ale na pytanie, czy zdoła tego dokonać, odpowiedział zwięźle: „Tak”.

– To do niego podobne – ocenił Rutgers.

– Fakt, gubernator Trewayne robi wrażenie – zgodził się Sanders. – A co najistotniejsze, uważa, że dysponuje wystarczającą siłą ognia i pełnym poparciem mieszkańców. To ostatnie nie ulega żadnej wątpliwości, jako że zażarcie ich bronił przed paroma moimi subtelny

provokacjami.

– To też do niego podobne – stwierdził Rutgers.

– I prowadzi do kolejnej kwestii – dodał Witciński. – Przepraszam, Bill, i zapewniam, że nie chodzi mi o oczernianie oficera o takich zasługach, ale nie byłby człowiekiem, gdyby w takich warunkach nie miał ciągot do stworzenia sobie małego imperium.

– Wyjątki się zdarzają – odpowiedział Sanders, nim Rutgers zdążył otworzyć usta. – O tym, że w bombardowaniu Galloway's World stracił żonę i córki, wszyscy wiemy, jak sędzę. Pan także, marszałku Witciński.

– Owszem – przytaknął zapytany ostrożnie.

– A potem stracił syna – dodał miękko Sanders.

Na twarzy Rutgersa odmalował się ból i żal, natomiast na obliczu Witcińskiego tylko zaskoczenie.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział marszałek. – Ale co to ma wspólnego z poruszoną przeze mnie kwestią?

– A to, że jego syn był zastępcą dowódcy jednego z powstańczych okrętów, które próbowały zdobyć Zephraim i zostały zniszczone przez dowodzony przez Trevayne'a Trzydziesty Drugi Zespół Wydzielony – odparł równie miękko jak poprzednio Sanders. – Śmiem twierdzić, że nikt, ani ja, ani pan nie ma prawa podawać w wątpliwość lojalności admirała i gubernatora Trevayne'a.

– Nie – przyznał powoli Witciński. – Nikt nie ma prawa.

To nie były przeprosiny, jedynie potwierdzenie, ale Sandersowi to wystarczyło. Witciński i Trevayne byli do siebie bardzo podobni. Witciński może był trochę twardszy i bardziej monotematyczny. Jedno z pewnością ich łączyło – żaden nie zwykł przeproszać za zrobienie czegoś, co uznał za niezbędne.

– A jak oceniasz jego sytuację militarną, Kevin? – spytał Rutgers, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

– Dostarczył mi wykaz swoich sił, ale nie jest on ani kompletny, ani wyczerpujący. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że Leornak w taki czy inny sposób zapozna się z nim. – Sanders uśmiechnął się złośliwie. – Ponieważ Leornak jest moim starym przyjacielem, ułatwiłem mu zadanie: wychodząc na kolację, zostawiłem wykaz na biurku.

– Pan co?! – Witcińskiego nieomal zatchnęło z oburzenia.

– Zostawiłem wykaz na biurku – powtórzył uprzejmie Sanders. – Należało się zrewanżować za uprzejmość i gościnę, panie marszałku.

Tym razem Witcińskiego zatkało – słowa nie mógł wykrztusić, za to poczerwieniał i miał żądzę mordy w oczach.

– Niech pan się przestanie ciskać, a zacznie myśleć – poradził mu Sanders. – Dłużej pan pożyje. Leornak i inni wysocy oficerowie Chanatu z pewnością wiedzą o bazie Zephraim przynajmniej tyle co ja czy admirał Krupska o bazie Valkha III. Czyli każda ze stron orientuje

się, gdzie druga prowadzi badania nad nowymi systemami uzbrojenia, których oficjalnie nie ma od sześćdziesięciu lat. Jak długo żaden z tych systemów nie został wdrożony do produkcji, tak długo problemu nie ma. Leornak to doświadczony i cywilizowany kociaiber, ale nie mógł przepuścić okazji, by spróbować poznać szczegóły dotyczące tych badań. Trewayne był tego świadom i dlatego sporządzone przez niego zestawienia zostały stosownie ocenzone. Z tego właśnie powodu nie było sensu utrudniać Leornakowi życia. Może z czystym sumieniem zameldować chanowi, że żadne tajne dane nie zostały przekazane i nie wiąże się to z żadnymi nieimiłymi konsekwencjami dyplomatycznej natury. Tak zupełnie na marginesie, zarówno gubernator Trewayne, jak i ja mogliśmy dzięki temu spokojnie opuścić jego okręt flagowy bez jakichkolwiek incydentów.

– Cholera! – westchnął Witciński. – I założę się, że panu to jeszcze sprawiło przyjemność!

– Mój drogi marszałku, a z jakiego innego powodu ktokolwiek zostawałby szpiegiem? – zachichotał Sanders.

– Ale ma pan szacunkowe dane jego sił? – upewnił się Rutgers.

– Tak, szczegóły są w raporcie. Na szczęście stracił niewiele okrętów liniowych, uszkodzone zostały już wyremontowane, a poza tym rozpoczęto budowę nowych...

– Jakich nowych? – zapytał Rutgers, gdy Sanders nie kwapił się, by mówić dalej.

– Nowych monitorów... tak głosi wersja oficjalna.

– Wersja oficjalna? – powtórzyła Susan Krupska.

– Powiedzmy, że według mnie Trewayne przemycił tyle informacji, ile mógł, by nie wzbudzić podejrzeń Leornaka, który jest niegłupi i ma doświadczenie w podobnych zagrywkach.

– Co to za informacje? – zainteresował się Witciński.

– Pierwsza to taka, że buduje tylko monitory. Druga, że przy budowie każdego w pełni wykorzystuje się możliwości doku klasy *Terra*. A trzecia, że pierwszy z nich nazywa się *Horatio Nelson*.

– Co?! Co to za nazwa dla monitora?

– Właśnie. Monitory noszą imiona bohaterów Marynarki Federacji, a Nelson nie miał z nimi nic wspólnego. Jest to subtelna różnica i powinna umknąć uwagi dowództwa oriońskiej floty. W końcu nasze zasady nadawania nazw okrętom są dla nich równie dziwaczne jak ich dla nas, ale nam to powinno dać do myślenia. Niestandardowa nazwa sugeruje według mnie niestandardową klasę okrętów. W połączeniu z informacją, jakie moce przerobowe są potrzebne do zbudowania jednej takiej jednostki, oraz z tym, że Trewayne nie uważa za niezbędne budować nowych lotniskowców... – Sanders zamilkł i wzruszył wymownie ramionami.

– Rozumiem... – Witciński podrapał się w zamyśleniu po brodzie. – Rozumiem... I sądzę, że ma pan rację.

– A więc admirał Trewayne będzie dysponował sporymi siłami konwencjonalnymi oraz tyłoma nieortodoksyjnymi okrętami, ile zdąży zbudować – podsumował Dieter. – I uważa, że zdoła pokonać siły, które powstańcy wyślą przeciw niemu... Cóż, sądzę, że to najlepsza wieść, odkąd zaczęła się ta nieszczęsna wojna. Jeżeli ma rację i zdoła się utrzymać, to może nadszedł najwyższy czas, byśmy zaczęli poważnie rozważać operację Żółta Cegła. Co o tym sądzicie, panowie?

I spojrzął pytająco na dwóch najstarszych rangą oficerów.

\* \* \*

– Kevin, naprawdę powinieneś uważać, jak się odzywasz do marszałka – powiedziała Susan Krupska, nalewając mu szkockiej.

– Dlaczego? – ziewnął Sanders, przeciągając się; wyglądał w tej chwili bardziej kotowato od każdego kociambra. – Zauważył coś?

– Jesteś sprytny, przewrotny i pomysłowy, ale on jest inteligentniejszy, niż sądzisz. Może nie chce mu się wikłać w wojnę podjazdową czy układy towarzyskie, ale zdaje sobie sprawę, że sprawia ci przyjemność bawienie się jego kosztem.

– Nonsens! On nie zdaje sobie sprawy z niczego, co nie ma tarcz, pancerza i dział!

– Tak myślisz? On pisze co innego w swoim dzienniku.

– Gdzie?! – Sanders usiadł prosto i spojrzął na nią uważnie. – Czytasz osobisty dziennik naszego głównodowodzącego?

– Cóż, zawsze mówiłeś, że to, co ktoś uważa za warte ukrycia, jest prawdopodobnie warte poznania – odparła, mrugając niewinnie powiekami. – Poza tym marszałek pochodzi z Pogranicza, więc należało mieć na niego oko.

– Jak cię złapie, to nawet Dieter nie zdoła uratować twojego zgrabnego tyłka – ostrzegł Sanders.

– Nie? – Susan uśmiechnęła się złośliwie. – A jak myślisz, dlaczego powiedziałam ci, że jest inteligentniejszy, niż sądzisz? Tu masz ostatni wpis.

I podała mu kartkę wydruku komputerowego.

Sanders spojrzął na nią i parsknął śmiechem, po czym uniósł szklanekę w milczącym toaście. Na kartce było tylko jedno zdanie: „Moja droga pani wiceadmirał, proponuję pani i admirałowi Sandersowi znalezienie nowego sposobu poznawania moich myśli. L. Witciński”.

– I on twierdzi, że sprawiło mi to przyjemność?! – prychnął Sanders.

– I ma całkowitą rację. – Krupska potrząsnęła głową. – Nadal nie wiem, jak mnie nakrył, ale jak widać, jest przekonany, że to ty mnie napuściłeś.

– W pewnym sensie ma rację – zgodził się z zadowoleniem Sanders. – W końcu to ja nauczyłem cię wszystkiego, co wiesz i umiesz.

– Nie całkiem – odparła zgryźliwie. – I nim pęknie z dumy, poczytaj sobie to.

I rzuciła mu parę spiętych ze sobą kartek.



Sanders przejrzał je, przybrał kamienny wyraz twarzy powiedział:

– Doskonała robota, Susan. Doskonała!

– Pewnie – pokiwała głową i spytała: – W co ty grasz? Tu masz dowody, że kapitan M'tana i Alistair Nomoruba przekazują informacje rebeliantom, i nie pozwalasz mi nic w tej sprawie zrobić. Od dwóch lat standardowych!

– Przekazują – przyznał Sanders i zmiął pierwszą kartkę, łamiąc zabezpieczający kod lakieru.

Po czym wrzucił kulkę do wiaderka z lodem stojącego w pobliżu. Kulka zaczęła się rozpuszczać, gdy tylko zetknęła się z cieczą. Nim doczytał drugą kartkę do połowy, po pierwszej nie został ślad.

– Wiele dla ciebie zrobiłam i pewnie nadal będę robić, ale jesteś mi winny wyjaśnienia – stwierdziła stanowczo. – Mogę ryzykować karierę, ale pozostając beczynna w tej sprawie, łamię przysięgę, którą składałam, przyjmując patent oficerski.

– Nie łamiesz, a ja nie jestem jeszcze zniedołężniałym starcem. Nie oślepiłem, nie ogłuchłem, palce też jeszcze jakoś chodzą...

– Oszczędź mi wyliczanki organów mniej czy bardziej dobrze funkcjonujących. Nie prowadzę kliniki protez, przeszczepów i regenów. Chcesz mi, jak sądzę, powiedzieć na swój pokrętny sposób, że wiesz, co robisz?

– Właśnie.

– Kevin, ja już nie jestem naiwnym zasmarkańcem z czasów operacji na New Valkha. Mam swoje obowiązki i znacznie mniej ufności niż kiedyś. Jeśli mi tego nie wyjaśnisz, w tej sprawie możesz przestać na mnie liczyć.

– Byłaś wtedy uroczym niedorostkiem – uśmiechnął się Sanders i widząc błysk w jej oczach, dodał spokojnie: – No, ale w sumie może i nadszedł czas, by mądry stary mistrz oświecił swego wygłupionego ucznia, a raczej uczennicę.

– Kevin!

– Spokojnie, tkanka nerwowa regeneruje się najwolniej! – odparł. W jego oczach pojawiły się diabelskie błyski, ale ton był poważny. – Przypomnijmy sobie fakty: zorientowałem się w całej sprawie i wykryłem ten kanał przerzutu informacji w mniej niż miesiąc po rozpoczęciu korespondencji z jeńcami, tak?

– Tak.

– A jak cię uczyłem w zamierzchłych czasach młodości, twojej, bo mojej już nikt nie pamięta, nie należy likwidować kanału, o którym się wie, jeżeli informacje przezeń przekazywane nie są najwyższej jakości. Kontroluje się ich treść, śledzi, skąd dokąd idą, i pilnuje, by przeciwnik w niczym się nie zorientował, bo dopiero to jest naprawdę groźne. To zasady z podręcznika szpiegostwa stopnia podstawowego, tak?

– Tak. Tylko dlaczego nie chcesz o tym nikomu powiedzieć?!

– Moja droga, tajemnica jest tajemnicą tylko tak długo, jak długo zna ją jedna osoba.

Kiedy poznają ją dwie, przestaje być tajemnicą, a kiedy więcej, jest to już tylko trudniej lub łatwiej dostępna informacja. Nie powiedziałbym o tym nawet tobie, gdybyś nie objęła dowództwa wywiadu floty!

– I gdybyś nie potrzebował mojej pomocy, by poznać treść przekazywanych wiadomości.

– Oczywiście – przyznał uczciwie i bez cienia wstydu.

– No dobrze; twierdzisz, że informacje nie są rewelacyjne... no to masz: szczegóły uzgodnień z Chanatem dotyczących twojej podróży... szczegóły narad rządowych... cholera, to są ważne dane! To już nie plotki ze Zgromadzenia!

– I całkiem interesujące w wielu wypadkach – dodał Sanders.

– Szlag by cię trafił! Nie próbuj robić ze mnie idiotki! Dlaczego nie chcesz, żebym powiedziała choć Heinzowi, że ktoś z rządu przekazuje bezcenne informacje wrogowi?

– Bezcenne? – Sanders dokończył lekturę ostatniej kartki i wrzucił ją do wiaderka w ślad za poprzednimi. – Może bezcenne, a może i nie.

I zamieszał palcem wodę.

– Żadne „może”! – warknęła Krupska.

– Fakt, one wcale nie są bezcenne. Zauważ, że wszystkie dotyczą polityki. Informacje czysto militarne nie pojawiły się przez ten cały czas ani razu.

– Zgadza się... – powiedziała znacznie spokojniej i z namysłem.

– No to zastanów się: kto ma dojsie do tych wszystkich rewelacji, a nie ma do danych wojskowych? – spytał łagodnie. – Na tym samym posiedzeniu rządu, na którym dyskutowano szczegóły mojej wycieczki, omawiano także strategię prowadzenia całej wojny i zmiany w niej. A o tym nie ma ani słowa. A to byłoby dla powstańców chyba cenniejsze niż wiadomość o prośbie premiera o zebranie opinii, czy uznać pełne prawa Republiki jako kombatanta i legalnej strony biorącej udział w wojnie? To jak ci się wydaje: to są bezcenne informacje?

– To są wybrane informacje – przyznała cicho. – Masz rację: są istotne, ale nie bezcenne.

– A dlaczego tak jest i czy aby na pewno jest to słuszna ocena?

– Tylko nie zaczynaj robić za adwokata diabła!

– Nie zaczynam. Pytanie: dla kogo są one istotniejsze? Dla odbiorcy? Czy dla wysyłającego?

– Nie będę udawała, że rozumiem. Ale zrozumieć, masz na to moje słowo!

– Jestem pewien, że zrozumiesz – uśmiechnął się Sanders. – Zawsze byłeś moim najlepszym uczniem; inaczej nie zostałabyś tym, kim jesteś. Widzisz, moja droga, w przeciwieństwie do ciebie wiem, kto jest źródłem tych informacji.

– I nie masz najmniejszego zamiaru mi powiedzieć? – upewniła się.

– Nie mam – odparł rzeczowo i uśmiechnął się. – Ale i tak się dowiesz, jak cię znam. A poza tym to pyszna sytuacja: ja wiem, ale czy on wie, że ja wiem? A jeśli tak, to czy wie, że ja wiem, że on wie, że ja wiem? I tak w nieskończoność naturalnie.

– Kevinie Sanders, gdybym nie ufała ci bardziej niż swojemu lusterku, w ciągu pięciu

sekund kazałabym cię zakuć i naszprycować po uszy prochami, żebyś zaczął mówić z sensem – oznajmiła Susan bez śladu uśmiechu.

– Moja droga, gdybym ja ci nie ufał i nie wiedział, że ty mi ufasz, w życiu bym cię nie zarekomendował na szefową wywiadu floty, nieprawdaż?

Susan Krupska roześmiała się i potrząsnęła głową.

– Podaj szklanke, ty stary krętaczu! – poleciła z uczuciem.

\* \* \*

– Proszę, najnowsza przesyłka dla kapitana M'tany.

Wysoki mężczyzna schował pudełko z chipem do wewnętrznej kieszeni kurtki, muskając przy tym kolbę pistoletu tkwiącego w podramiennej kaburze, i zmarszczył brwi.

– Wyglądasz na niezadowolonego – w głosie słychać było ślady wesołości.

– Nie jestem niezadowolony, tylko... tylko...

– Tylko nie pasuje ci przekazywanie informacji rebeliantom?

– Właśnie – przyznał kurier z nieszczęśliwą miną.

– Przecież nie dajemy im żadnych danych militarnych, prawda? Jedyne polityczne, by wiedzieli, jaka jest sytuacja w Zgromadzeniu i co się dzieje w rządzie.

– Zgadza się, ale...

– Żadnych ale – rozmówca spoważniał – to także ludzie, może lepsi niż my. Nam przekazanie tych informacji w żaden sposób nie zaszkodzi, a im być może pewnego dnia przyda się to, że będą znali prawdziwą opinię rządu.

– Tak panie premierze – powiedział wysoki młodzien.

Jak zwykle dopilnuje, by Nomoruba dostał chipa i by jak zwykle nie miał pojęcia od kogo. Heinz von Rethenau mógł nie rozumieć, dlaczego najwyższej postawiony szpieg Republiki robi to, co robi, ale wiedział, że i tak będzie mu pomagał.

W końcu Oskar Dieter był premierem Federacji.

## Rozdział XX

# FORTECA

Ian Trevayne stał na pomoście swego nowego okrętu flagowego krążącego na orbicie Xanadu i spoglądał na ekran wizualny przedstawiający jej powierzchnię. Błękitna planeta o białych chmurach wyglądała tak swojsko, że odruchowo spojrzął na konstelację, którą tutejsi astronomowie nazwali Heksagonem. Twierdzili, że w niej właśnie znajduje się Słońce.

Według najnowszych ocen astronomów-teoretyków obie gwiazdy – Zephraim i Słońce – dzieliło około siedmuset lat świetlnych, co dla podróżujących w przestrzeni było bez znaczenia, i tak bowiem używali szlaków wiodących przez warpy. On jednakże ostatnimi czasy często myślał o podobnych dystansach, gdyż odkrył, że deliberacje nad ogromem kosmosu nader skutecznie go uspokajają. A czasami napawają też dumą z powodu możliwości człowieka. Bo oto stał tu, siedemset lat świetlnych od Ziemi, w miejscu, które widziane z niej byłoby jedynie jednym z niezliczonych punkcików na nieboskłonie. Skoro pokonał taką odległość, to był też w stanie wykonać swój obowiązek.

Otrząsnął się i skupił uwagę na okręcie, na którym się znajdował. Krótco przed rozpoczęciem wojny w bazie Zephraim skończono projektowanie nowej, znacznie większej od monitorów klasy okrętów mającej jednakże nieporównywalną zwrotność i mogącej rozwinać prędkości nieosiągalne dla fortów orbitalnych. Nazwano ją roboczo fortecą, choć dla Trevayne'a wszystko, co mogło się poruszać i manewrować, było okrętem, a nie dziełem fortyfikacyjnym. Po wprowadzeniu modyfikacji zaproponowanych przez jego oficerów liniowych i przez niego samego ukończono budowę pierwszej jednostki i nazwano ją FNS *Siergiej Ortega*. Był to największy okręt zbudowany kiedykolwiek przez człowieka.

Ale nie na długo – dzięki energii mieszkańców Obrzeża i wiedzy mieszkańców bazy Zephraim na orbicie w pobliżu *Ortegi* znajdowało się obecnie pięć podobnych olbrzymów w rozmaitych fazach budowy. Holowniki dowożące elementy konstrukcyjne dorównywały prawie wielkością niszczycielom, a gdzie znajdują się roboty stoczniowe, można było spostrzec jedynie po błysku spawarek i innych urządzeń. Tylko jeden z nich był częściowo zdalny do użytku, toteż tylko on miał już nazwę. Trevayne ochrzcił go FNS *Horatio Nelson*.

A gdy Miriam zapytała go, kto to był, odrzekł jej chłodno, żeby poszperała w bibliotece

czy innej bazie danych.

Tak na dobrą sprawę nowe jednostki powinny nazywać się supermonitorami, ale ta nazwa nie oddawałaby ani ich ogromu, ani siły ognia, jaką dysponowały. I prawdę mówiąc, gdy o nich myślał, był nieco przestraszony – nie faktem ich posiadania, w końcu była to tylko broń, ale dynamizmem społeczeństwa Obrzeża. Nigdy nie zdawał sobie sprawy z jego potencjału ani z tego, w jak krótkim czasie zdoła przełożyć go na gotową do walki broń. Nikt sobie z tego nie zdawał sprawy, poza Miriam, a i ona, jak się okazało, także nie do końca sobie to uświadamiała...

Zegar wybił północ i zaczął się dwudziesty trzeci dzień standardowy jego pobytu na pokładzie FNS *Ortega*.

\* \* \*

Kapitan Genji Yoshinaka, szef sztabu admirała Trevayne'a, sprawdził meldunki o pojawieniu się w systemie pierwszych zasobników z raketami i spojrzął na admirała. Obaj uśmiechnęli się lekko, gdyż właśnie wygrali pierwszą fazę bitwy, meldunki pochodziły bowiem od sił pilnujących Drzwi, jak nazywano zamknięty warp znajdujący się blisko fotosfery Zephraïn A. Obaj założyli, że rebelianci zrezygnują tym razem z dwustronnego ataku i wykorzystają tylko wejście. I w oparciu o to założenie rozstawili swoje siły. Teraz okazało się, że ich przewidywania były słuszne. Wszystkie forty broniące dotąd Bramy po naprawie i modernizacji zostały przeholowane i rozmieszczone wraz z kilkoma nowymi tak, by broniły wyjścia z Drzwi. Całą formację przemianowano na Czwartą Flotę i z taką przynależnością służbową umieszczono w spisach Marynarki Federacji. Zostały skupione wokół Bramy.

Trevayne wydał rozkazy uaktywniające dawno przygotowany plan i Czwarta Flota wyruszyła z okolic Bramy. Na Xanadu zaś zawyły syreny i do akcji przystąpiły oddziały obrony cywilnej. Co prawda Sanders, jak i Admiralicja zgodnie powtarzali obietnice rebeliantów, że nie będą atakowali zamieszkanym planet, jeśli Federacja także tego nie zrobi, ale Ian Trevayne wolał nie ryzykować. Jak długo miał w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia, tak długo na Xanadu nie dojdzie do ludobójstwa.

Spoglądał na główny ekran taktyczny, na którym widać było obraz przekazywany przez sensory fortów, i gdy wykwitły na nim pierwsze nuklearne eksplozje, uśmiechnął się z mściwą satysfakcją. Zasobniki raketowe typu *Hawk* były od zawsze niezwykle trudnym celem dla min, gdyż te ostatnie nie mogły skutecznie namierzyć niewielkich i gwałtownie manewrujących obiektów. *Hawki* stabilizowały lot tuż przed odpaleniem rakiet i w zasadzie tylko wtedy były łatwym celem. Dlatego stanowiły tak groźną broń przeciw stałym umocnieniom – zalewały je po prostu lawiną rakiet.

Aż do tej pory, bo teraz były dziesiątkowane przez nowy rodzaj min opracowanych w bazie Zephraïn. Miały one co prawda znacznie mniejszy zasięg, ale o wiele lepszy system

naprowadzania ognia. W starciu z chronionymi tarczami okrętami niewiele mogły zdziałać, natomiast jeśli postawiło się ich wystarczająco więcej niż starych, niezwykle skutecznie niszczyły zasobniki. Z braku czasu nie zdążono wyprodukować wystarczającej ich liczby, by postawić odpowiednio gęste pola minowe przy obu warpach, ale Trewayne, przewidując, iż to Drzwi będą miejscem ataku rebeliantów, właśnie w ich okolicy umieścił większość nowych min.

– *Skywatch* melduje zniszczenie ponad dziewięćdziesięciu procent *Hawków*, sir. Nie zdążyły wystrzelić rakiet – zameldował Yoshinaka. – Wszystkie okręty potwierdziły otrzymane rozkazy i kierują się na wyznaczone stanowiska w pobliżu Drzwi. Na Xanadu wprowadzono ustalone procedury mające zapewnić bezpieczeństwo ludności, sir.

– Doskonale. Dziękuję, Genji. – Trewayne ani na moment nie spuścił wzroku z ekranu taktycznego.

Lada chwila powinny pojawić się na nim pierwsze okręty...

\* \* \*

Powstańcy przeżyli pierwszą przykrą niespodziankę, gdy ich prowadzące okręty zakończyły tranzyt i znalazły się w systemie Zephraim. Wyszły bowiem prosto na prawie nie uszkodzone forty i lawinę ognia. Dowodzący eskadrą wiceadmirał Josef Matucek z przerażeniem stwierdził, że w jego okręty biją ciężkie działa, które powinny zostać zniszczone przez *Hawki*.

Nie zostały jednakże, a czekała go jeszcze druga niespodzianka – wszystkie prowadzące ogień działa były frazerami i było ich zdecydowanie zbyt dużo. Każdy projektant tak fortu, jak i okrętu musiał dokładnie wyważyć stosunek składników głównego uzbrojenia artyleryjskiego, czyli dział fazowych i beamerów, ponieważ choć oba wykorzystywały efekt Erlichtera, dawały różne wiązki energii elektromagnetycznej i w związku z tym miały różne zastosowania. Fazery służyły do rozbijania pól siłowych, prucia pancerzy i walki z okrętami liniowymi, beamery zaś trafiały punktowo i przenikały przez elektromagnetyczne pola siłowe, pancerz i wszystko inne praktycznie bez oporu. Używano ich do walki z lotniskowcami, gdyż doskonale niszczyły katapulty, myśliwce i zapasy amunicji, dehermetyzując też błyskawicznie pokłady hangarowe. A tutaj wyglądało na to, że forty broniące warpa uzbrojone zostały wyłącznie w fazery, bo przy tej lawinie ognia po prostu nie było w nich miejsca na inne działa. A ich ogień z tak małej odległości był morderczy i pruł republikańskie okręty jeden po drugim.

Ale superdreadnoughty były wytrzymałymi okrętami, a ich załogi miały tyle samo odwagi i determinacji co obrońcy. Osiem jednostek zostało zniszczonych błyskawicznie, dziesięć kolejnych zmasakrowanych i na wpół zniszczonych, ale wybiły dziurę w obronie, niszcząc kompletnie dwa forty, a trzy inne zmieniając we wstrząsane wtórnymi eksplozjami wraki, z których strzelało ledwie parę dział. Ani Matucek, ani nikt z jego eskadry tego nie

dożył, ale lecące w drugiej fali lotniskowce miały wybitą drogę, by z minimalnymi stratami przelecieć przez pierścień obrony. Minimalnymi, beamery bowiem bardzo szybko traciły na skuteczności w miarę wzrostu odległości od celu.

Dlatego lotniskowce ruszyły przez tę dziurę całą naprzód. I wtedy nastąpiła trzecia niespodzianka, gdyż wszystkie ocalałe forty zasypały je lawiną ognia z beamerów. Była ona równie gęsta jak ostrzał fazerów, a to z tego powodu, że naukowcom z bazy Zephraim udało się rozwiązać istniejący od paruset lat problem. Stworzyli skuteczną soczewkę siłową o zmiennej ogniskowej, która pozwalała wykorzystać to samo działo w obu rolach w zależności od potrzeby. I teraz w roli beamerów dziurawiły lotniskowce, rozszczelniały hangary i powodowały eksplozje rakiet w magazynach artyleryjskich. Czołowe lotniskowce zostały wyłączone z walki, nim zdołały wypuścić choćby jeden myśliwiec.

Ale nawet uniwersalne działa wymagały okresowego chłodzenia między strzałami punktowymi, co wykorzystał dowodzący atakiem admirał Anton Kellerman. Co prawda teoria głosiła, że pierwsza fala lotniskowców powinna ignorować ocalałe forty i lecieć w głąb systemu, a myśliwce zająć się okrętami wroga, gdyż forty dobije rakietami następna fala, ale teoria ta przestała być użyteczna. Każda bowiem fala musiałaby przejść przez to samo piekło i ponieść podobne straty. I dlatego rozkazał wszystkim siłom atakować forty.

Forty ginęły długo, ale ginęły. Ich załogi zniszczyły pół tuzina superdreadnoughtów i pięć lotniskowców uderzeniowych, nim przestały istnieć.

\* \* \*

Trevayne z ponurą miną obserwował przebieg bitwy i zniszczenia umocnień broniących drogi do wnętrza systemu. Od początku wiedział, że taki najprawdopodobniej będzie jej wynik, i wiedziały to także załogi fortów. Nie miał pojęcia, ilu ludzi zginęło wraz z nimi, ale na pewno zbyt wielu, by mógł łatwo o tym zapomnieć. Zredukował na ile się dało liczebność załóg, rezygnując z wykorzystania w tym starciu rakiet i wprowadzając automatyzację wszędzie tam, gdzie to tylko było możliwe, ale nawet tak odchudzone załogi były liczne. A w piekło, które się rozpętało, niewiele kapsułów ratunkowych miało szansę ocaleć, choć nikt do nich celowo nie strzelał.

Sytuacja byłaby odmienna, gdyby 4. Flota wspierała forty, ale nie odważył się skoncentrować wszystkich sił przy jednym warpie. Gdyby się bowiem pomylił, rebelianci przeszliby przez drugi praktycznie bez strat. I dlatego napastnicy nie zostali zmasakrowani, a jedynie zdziesiątkowani.

Przyglądał się ekranowi taktycznemu z uwagą. Obraz nie był tak dokładny jak na początku, gdyż pochodził ze stacji przekaźnikowych wyposażonych we własne zestawy szerokopasmowych sensorów, ale nie aż tak silnych jak te, które znajdowały się w fortach. Znacznie więcej zależało od komputerów pokładowych *Ortegi* i znacznie więcej danych nosiło symbol „prawdopodobnie”. Żałował, że poza prototypem, na którego pokładzie się

znajdował, żaden z supermonitorów nie był w pełni sprawny. Jedyne nieruchomy i częściowo ukończony *Nelson* mógł wziąć udział w tym starciu. Gdyby miał jeszcze miesiąc, sytuacja wyglądałaby inaczej, ale go nie miał. A wcale nie był pewien, czy siły, którymi dysponuje, wystarczą... Obserwując jednostki rebeliantów reorganizujące się wśród wraków i szczątków, miał co do tego poważne wątpliwości, bowiem w danych wywiadu, które otrzymał, ocena sił, jakie rebelianci mieli rzucić przeciwko niemu, była znacznie zaniżona. Zjawilo się ich ze trzy razy więcej, niż zakładał, rozmawiając z Sandersem. Wiele okrętów w ogóle nie figurowało w bazach danych, co oznaczało, że są nowo wybudowanymi jednostkami. Sanders ostrzegał przed tym, ale okazało się, że także wywiad Federacji nie docenił możliwości Pogranicza.

Z drugiej strony forty spisały się znakomicie – każdy superdreadnought oberwał, a straty wśród lotniskowców także były spore. Dowódca rebeliantów musiał być poważnie wstrząśnięty dotychczasowym przebiegiem walki i stratami. A seria niespodzianek musiała w nim wzbudzić podejrzenia, że kolejne czekają go w głębi systemu. Jeżeli uda się go przekonać, że spotka go coś gorszego, niż spotkałoby rzeczywiście...

Mimo wszystko napastnicy trzymali się pierwotnego planu i rozdzielili siły – mniejsza grupa okrętów skierowała się ku Gehennie, większa ku Xanadu, czyli jego własnym jednostką. Teraz podstawowy problem sprowadzał się do tego, co dowódca rebeliantów zrobi z myśliwcami. Teoria głosiła, że powinny wystartować w jak najmniejszej odległości od przeciwnika, by jak najmniej ucierpieć od ognia rakiet przeciwlotniczych, ale teoria okazała się nieprzydatna już w dotychczasowym starciu, więc mógł ją zignorować i wypuścić myśliwce, gdy tylko znajdzie się w zasięgu umożliwiającym ich użycie. I było to jedyne, czego tak naprawdę Trevayne się bał.

Zrobił, co mógł, by go zachęcić do trzymania się dotychczasowych zasad, nie ruszając swych okrętów z orbity. Dotyczyło to także monitorów dowodzonych przez Sonję Desai, a tworzących 32. Eskadrę, mimo że były to jedyne w swoim rodzaju monitory. Rebelianci okrętów tej klasy mieli niewiele i pojawiły się w systemie jako ostatnie. Najwyraźniej nie chciano ich narażać w pierwszym ataku z uwagi na długi czas budowy i napraw. Nie one jednak stanowiły obiekt jego zainteresowania, lecz lotniskowce. Zarówno *Ortega*, jak i okręty Sonji sprzężone były siecią taktyczną z *Nelsonem*, toteż nie mogły opuścić orbity Xanadu, nie wykluczając jego udziału w bitwie, a na to Trevayne nie mógł sobie pozwolić. Musiał więc za wszelką cenę wciągnąć lotniskowce choćby w maksymalny zasięg rakiet supermonitora, zanim wystartują z nich myśliwce...

\* \* \*

Anton Kellerman obserwował ekran taktyczny, siedząc na pomoście flagowym lotniskowca RNS *Unicorn*, i zastanawiał się, co też Trevayne jeszcze niemiłego przygotował. Bo że przygotował, w to nie wątpił – służył kiedyś pod jego rozkazami i wiedział, że



Trevayne'owi można zarzucić różne rzeczy, ale nie brak zdecydowania czy unikanie walki. Skoro więc nie ruszał okrętów z orbity, widocznie tak sobie zaplanował. Pozostawało tylko pytanie, co chciał przez to osiągnąć...

W myśliwcach Kellerman miał co najmniej trzykrotną przewagę, toteż możliwe było, iż Trevayne trzymał się planety, bo na jej powierzchni bazowały jego rezerwy myśliwskie. Mogło tam stacjonować i kilkaset maszyn, ale po orbicie parkingowej nad bazą floty krążyły olbrzymie, na poły jedynie uzbrojone kadłuby, admirał nie mógł więc równocześnie wyprodukować zbyt wielu myśliwców. Istniała jeszcze jedna możliwość – że Trevayne nie jest w pełni gotów do walki i dlatego trzyma swe okręty w pobliżu najbardziej zaawansowanego w budowie olbrzyma. Prawdopodobnie zainstalowano już na nim jakieś działa i zamierzano wykorzystać je w walce. A to oznaczałoby, że mimo wszystko udało się zaskoczyć przeciwnika i do zwycięstwa niewiele brakowało...

Anton Kellerman żywił taką nadzieję, gdyż jego ludzie doznali właśnie poważnego wstrząsu i kolejny mógłby ich załamać. Niewielu z nich byłoby wcześniej w stanie wyobrazić sobie taki początek bitwy, a żaden dotąd podobnego nie przeżył. Dlatego też Kellerman zdecydował się bardziej zbliżyć do nieprzyjaciela, zanim rozkaże wystartować myśliwcom: dzięki temu straty powinny być mniejsze, a załogi będą miały więcej czasu na dojście do siebie.

\* \* \*

Obie grupy jednostek nadal znajdowały się poza skutecznym zasięgiem rakiet, gdy rebelianci przeżyli kolejną niespodziankę.

Jeszcze jako porucznik Ian Trevayne dowodził korwetą *Yang'Tze* – okręty tej klasy jako zbyt małe wycofano już dawno ze służby. Okręcik taki był niewiele większy od olbrzymich wyrzutni, których parę zainstalowano na *Ortedze*, *Nelsonie* i monitorach Sonji Desai. *Nelson* i *Ortega* miały ich po pięć, monitory klasy *Zoroff* po trzy, a i tak by znaleźć miejsce dla nich i magazynu rakiet, trzeba było zdemontować dziewięćdziesiąt procent klasycznego uzbrojenia. Było to posunięcie desperackie i Trevayne miał nadzieję, że po wejściu do służby supermonitorów konfiguracja uzbrojenia monitorów na powrót stanie się standardowa. Teraz te wyrzutnie odpaliły pierwszy raz w warunkach bojowych, wystrzelując rakiety z prędkością dotąd nie spotykaną.

Same rakiety też były czymś zupełnie nowym – ponad dwa razy większe od dotychczasowych, wyposażone zostały w napędy grawitacyjne, dzięki którym ich prędkość zwiększała się w chwili włączenia napędu po opuszczeniu wyrzutni i stale rosła w trakcie lotu, czyli odwrotnie niż dotąd. Wyrzutnie używały podobnego systemu do wystrzelenia rakiet, stąd ich znacznie większa od dotychczasowych prędkość początkowa. Wszystkie rakiety zostały także uzbrojone w głowice z antimaterią, co oznaczało, że jeśli taki pocisk trafi w krążownik, zniszczy go całkowicie. Okręt liniowy jako większy był w stanie przetrwać

trafienie jedną, ale do unicestwienia nawet monitora wystarczyło ich trzy do pięciu.

\* \* \*

Rakiety zostały wystrzelone z takiej odległości, że mimo rozwijanych przez nie prędkości sensory rebelianckich okrętów zdołały je odkryć, sklasyfikować jako nieznanne zagrożenie i ogłosić alarm.

Admirał Kellerman nie był człowiekiem łatwo poddającym się panice i nie spanikował także i teraz. Wiedział, że przy tak wielkiej odległości część pocisków nie ma prawa znaleźć się wystarczająco blisko jego okrętów, by stanowić dla nich jakiegokolwiek zagrożenie, dlatego polecił obsadzie stanowisk antyrakietowych przejść na ręczne sterowanie i indywidualną ocenę stopnia zagrożenia ze strony poszczególnych rakiet. Jego przewidywania okazały się słuszne – dziewięć rakiet chybiło, i to solidnie. Z pozostałych trzynastu artylerzyści obrony antyrakietowej zdołali zniszczyć dziesięć. Trzy, które się przedarły, obrały za cel lotniskowiec uderzeniowy *Hector* i detonowały prawie równocześnie. Gdy zgasła wywołana przez nie minisupernowa, po *Hectorze* nie było nawet śladu.

Kellerman nakazał natychmiastowy start wszystkich myśliwców – teoria teorią, ale w tych warunkach były znacznie bardziej narażone na niebezpieczeństwo, pozostając na pokładach, niż znajdując się w próżni.

Moment później nastąpiła ostatnia niespodzianka.

– W stronę jego okrętów nadlatywała kolejna salwa, gdy jeden z operatorów sensorów wrzasnął nagle:

– One wracają! – w jego głosie słychać było panikę, wręcz histerię. – Te rakiety, które nas minęły, zawróciły!

Kellerman nadal obracał się ku niemu, nie wierząc w to, co słyszy, gdy czujniki zbliżeniowe rakiet z pierwszej salwy zdecydowały, że nastąpił właściwy moment, i wyłączyły wewnętrzne pola siłowe. Materia spotkała się z antymaterią i admirał Kellerman, operator oraz cały ważący 180 000 ton RNS *Unicorn* przestali istnieć.

\* \* \*

Rebeliancka flota przeżyła szok, gdy dowódcy i obsady mostków zdali sobie sprawę, co się stało. W przeciwieństwie do dotąd używanych rakiet te nie ulegały autodestrukcji, jeśli przeleciały zaprogramowaną odległość i nie odnalazły celu. Wyposażono je w znacznie potężniejsze systemy samonaprowadzające, toteż po przebyciu tego dystansu zawracały, obierając leciutko zmieniony kurs, i zaczynały ponowne poszukiwania. Ponieważ nikt się czegoś podobnego nie spodziewał, nikt ich też nie zauważył. Dla komputerów przestały istnieć po minięciu okrętów, dla artylerzystów przestały stanowić zagrożenie, toteż wszyscy skupili uwagę na nadlatujących rakietach drugiej salwy. Dzięki temu dziewięć pocisków bez żadnych przeszkód odszukało cele i dotarło do nich, po czym zgodnie z programem

detonowało.

Gotowość atakujących na dalsze niespodzianki zginęła wraz z dowódcą. Zbyt wielu oficerów flagowych poniosło śmierć w walce z fortami – nie przeżył nikt mający rangę wyższą niż kontradmirał. Zbyt wiele nowych, groźnych broni napotkali naraz i strach połączony z instynktem samozachowawczym wziął górę – zaczął się odwrót, i to samowolny, czyli ucieczka. Wpierw rzuciło się do niej kilka krążowników i niszczycieli, potem flotyllę krążowników liniowych, potem zaczęły zawracać lotniskowce, a po chwili błyskawicznie uciekało już wszystko, co dysponowało wystarczającą prędkością, by zdołać to zrobić. Każdy ma jakąś granicę wytrzymałości, nawet najdzielniejsi, a nic tak nie wzmagają paniki jak niespodziewane.

Grupa kierująca się ku Gehennie zawróciła jako całość i był to planowy odwrót – być może dlatego, że nawet dowódcy wchodzących w jej skład okrętów liniowych wiedzieli, że zdążą dokonać tranzytu przed przybyciem okrętów obrońców. Większość uciekających jednostek z sił głównych także miała na to realną szansę. Reszta liczyła na szczęście.

Natomiast pancerniki, monitory i ocalałe dotąd superdreadnoughty były skazane.

Trevayne poprowadził ku nim swoje okręty i rozpoczęło się coś przypominającego klasyczną bitwę. *Nelson* nie mógł wziąć w niej udziału, gdyż toczyła się zbyt daleko, ale to już nie miało znaczenia. Jedyną bowiem rzeczą, która mogła doprowadzić do klęski obrońców, czyli ataki myśliwców z odległości większej niż zasięg nowych rakiet, przestała im grozić wraz z ucieczką rebelianckich lotniskowców. Dwa z nich pozostały z okrętami liniowymi, ale ich myśliwców było zbyt mało, by mogły zmienić losy bitwy. A bez ich wsparcia rebelianckie okręty nie miały cienia szansy, tym bardziej że wszystkie jednostki obrońców były przebrojone w zmodyfikowane uniwersalne działa.

Kolejne salwy nowych rakiet wymierzano przeciwko najsłabszym okrętom – pancernikom i superdreadnoughtom. Trevayne zdecydował bowiem, że nie przydadzą mu się one na nic. Dlatego też monitory zostawiał na koniec. I dlatego im bardziej malał dystans, tym rzeź stawała się straszliwsza. Ludzie i okręty ginęli po obu stronach, ale nieporównanie więcej po stronie rebeliantów. Nie mających na dodatek żadnej możliwości zniszczenia choć jednego monitora Trevayne'a, gdyż te trzymały się poza zasięgiem klasycznych rakiet. I cały czas w regularnych odstępach wystrzeliwały swoje.

Ładowano właśnie wyrzutnie do kolejnej salwy, gdy niedobitki rebelianckiej floty w końcu zdecydowały się skapitulować. Yoshinaka mający serdecznie dość tej masakry odwrócił się zadowolony ku Trevayne'owi... który siedział nieporuszony i nie zareagował słowem.

Ponieważ nikt nie wydał odmiennych rozkazów, kolejna salwa pomknęła w przestrzeń.

Sygnal poddania się został powtórzony – rebelianci wystrzelili flary, które rozbłysły oślepiającym blaskiem i wypełniły głośniki wyciem starannie dobranych komponentów radioaktywnych. Jedynie ktoś ślepy i głuchy mógł nie zauważyć ich wystrzelenia.

A Trewayne siedział w swoim fotelu z beznamiętną twarzą i gapił się w ekran taktyczny. Żadnej reakcji.

Rakiety leciały do celu, którym tym razem był monitor *da Silvy*. Yoshinaka wolał nie myśleć, co przeżywali obecni na jego pokładzie.

Treyayne nadal wpatrywał się w ekran taktyczny, widząc jedynie rudowłosego brzdąca bawiącego się na plaży w czasach, gdy świat był młody i piękny.

Genji Yoshinaka z trudem powstrzymał się, by nim nie potrząsnąć. Westchnął, podszedł do niego i dotknął jego ramienia.

– Oni się poddali, sir! – powiedział z mocą.

Treyayne spojrział na niego i jego oczy straciły pusty wyraz.

– Rzeczywiście – zgodził się uprzejmie. – Przerwać ogień! Genji, proszę zniszczyć rakietę. I nawiąź kontakt z dowódcą rebeliantów.

– Aye, aye, sir! – potwierdził Yoshinaka, nie kryjąc ulgi.

Rozkazy wykonano natychmiast, ale *Ortegę* od przeciwnika dzieliła taka odległość, że dopiero po dobrej minucie na głównym ekranie łączności pojawiło się oblicze kogoś, kogo Trewayne znał kiedyś, dawno temu, w innej epoce.

– Tu admirał Ian Trewayne, tymczasowy gubernator systemów Obrzeża – powiedział głośno i wyraźnie. – Czy rozmawiam z dowódcą sił rebelianckich?

Upłynęła prawie minuta, nim nadeszła odpowiedź.

– Jako najstarszy rangą żyjący oficer mogę... – Widoczna na ekranie kobieta była otepiała i zszokowana. Najwyraźniej dopiero po chwili dotarła do niej treść pytania, gdyż w ciemnych oczach kształtu migdałów błysnęła duma. – Jestem kontradmirał Li Han z Marynarki Republiki, admirał Trewayne!

Treyayne nie podniósł głosu, ale w jakiś sposób zabrzmiał on jeszcze donośniej:

– Nie interesują mnie nielegalne stopnie buntowniczego ugrupowania, kapitan Li. Negocjacji nie będzie; jeśli chcecie żyć, musicie zdezaktywować tarcze i grzecznie czekać na moje grupy abordażowe. Dowodzący nimi oficerowie przejmą dowództwo nad okrętami w imieniu prawowitych władz Federacji. Jakikolwiek opór na którymkolwiek okręcie zostanie uznany za akt wrogości kończący obecne zawieszenie broni. Czy to jasne?

I spokojnie czekał, aż jego słowa dotrą do adresatki.

Gdy dotarły, podziały na Han niczym policzek, co widać było po oczach i nagłym zaciśnięciu zębów. Ugryzła się jednak w język, gdyż od jej reakcji zależało życie lub śmierć tysięcy ludzi. Wielu już zginęło za Republikę, ale ich ofiara miała sens – mogła odmienić losy tej bitwy. Śmierć pozostałych byłaby pustym gestem. Niemniej jednak targała nią wściekłość i było to widać.

Obserwujący ją Trewayne pochylił się w stronę kamery i uśmiechnął złowieszczo:

– Nie musi mnie pani zachęcać, kapitan Li – powiedział miękko.

Gdy jego słowa dotarły do Han, jej twarz stężała.

Większość obecnych na pomoście flagowym *Ortegi* odwróciła wzrok – oglądanie pobitego i upokorzonego przeciwnika nie zawsze było rzeczą przyjemną. A tym razem doskonale rozumieli przepelniające go uczucia.

– Rozumiem – warknęła przez zaciśnięte zęby. – I przyjmuję.

Trevayne bez słowa przerwał połączenie i powiedział cichym, wyciętym z emocji głosem:

– Panie Yoshinaka, proszę zająć się zorganizowaniem grup abordażowych i dopilnować wykonania warunków kapitulacji. Będę u siebie.

Po czym odwrócił się i wyszedł.

Ledwie przekroczył próg windy, jeszcze nim zamknęły się drzwi, rozległy się wiwaty. Z pomostu flagowego przeniosły się na pozostałe pomieszczenia, ogarniając błyskawicznie cały okręt.

Trevayne ich nie słyszał.

# CZEŚĆ PIĄTA

„Wojna toczona jest przez istoty ludzkie”.

generał Karl von Clausewitz

*O wojnie*

## Rozdział XXI

# WIĘŻ

Prawdę mówiąc, Prescott, choć pełniło funkcję stolicy Obrzeża, jak na standardy Planet Wewnętrznych metropolią nie było. Było natomiast największym miastem na Xanadu, wystarczająco dużym, by mieć problemy z ruchem drogowym. Na ziemi sytuacja wyglądała źle, ale w powietrzu zdecydowanie gorzej, i to mimo desperackich wysiłków przeciążonych kontrolerów tak automatycznych, jak i ludzkich.

Nie byłoby aż tak fatalnie, gdyby Rząd Tymczasowy nie ustanowił tutaj swojej siedziby, przez co populacja miejska wzrosła o połowę. Ponieważ rezydował tu także gubernator, doszły do tego niezapowiedziane przeloty jednostek floty, najczęściej z wyjąciwymi transponderami żądającymi wolnej drogi. Wprawdzie nie było ich wiele, ale wprowadzały duże zamieszanie, stawiając na głowie chwiejny i bez nich system ruchu powietrznego. Policyjny patrolowiec lecący sobie bez sygnału pierwszeństwa w kierunku ratusza niczym się w tych warunkach nie wyróżniał, toteż nikt nie zwracał na niego uwagi.

Ratusz, jak czasami nazywano Government House, stał na wzgórzu, które dwa lata temu usytuowane było na przedmieściu. Ten najbardziej monumentalny budynek w okolicy sąsiadował z portem kosmicznym Abu'said i wrażenie jego majestatyczności potęgowało się jeszcze, gdy jednostki floty znajdowały się w bazie. Budowlę wzniesiono w czasach czwartej wojny międzyplanetarnej, toteż była solidna, wyposażona w potężne bunkry w podziemiach i ozdobiona ustawionym przed frontem pomnikiem komodora Prescottta odlanym z brązu. Wykonany z naturalnych surowców miał w zamyśle służyć przez długie lata. Jak na potrzeby czasów, w których powstał, był zbyt obszerny, miał bowiem stanowić nie tylko siedzibę władz, ale także symbol – wyzwanie rzucone wrogowi oddalonemu o jedynie jeden tranzyt.

Jak Trewayne powiedział kiedyś Miriam, ratusz przywodził mu na myśl niejakiego Piotra Wielkiego. Wybudował on nową stolicę na terytorium, o które właśnie toczył z sąsiadem zaciętą wojnę. Jedyna różnica polegała na tym, że wrogowie nie próbowali go zjeść.

Patrolowiec policyjny wylądował na dachu prawie dokładnie o zachodzie słońca – przynajmniej w teorii był to zachód słońca, gdyż dotyczył tylko Zephraim A, Zephraim B nadal widniał na niebie jako bardzo małe słońce, względnie bardzo jasna gwiazda, w zależności od

punktu widzenia. Na lądowisku czekał major Marine Corps w ciemnozielonych spodniach i czarnej kurtce mundurowej. Z zachowaniem minimum uprzejmości i zimnego formalizmu przejął od policjantów w brązowych uniformach więźnia. Zwracał się do niego per „ma’am”, jako że była to kobieta. Policja i Marines nie przepadali za sobą i żadna ze stron nie starała się tego ukryć. A to, czy Li Han była więźniem, czy jeńcem wojennym, i czy przysługiwał jej tytuł kapitana, czy kontradmirała, było kwestią polityczną i major rozstrzygnięcie jej pozostawiał lepiej opłacanym i mającym mniej poważnych problemów niż on.

Między policjantami Li Han wyglądała jeszcze bardziej filigranowo niż zwykle, obaj stróże prawa bowiem byli łącznie od niej ciężsi prawie pięć razy. Nieco zapadnięte policzki (jedzenia w obozie nie brakowało, ale nie oznaczało to, że było ono smaczne) i standardowy strój więzienny podkreślały jeszcze to wrażenie – wyglądała jak podrostek ubrany w piżamę ojca. Major przyjrzał jej się z zaciekawieniem z domieszką pogardy, jako że trudno było sobie wyobrazić kogoś mniej wyglądającego na oficera flagowego.

Dopóki nie otworzyła ust.

– Dobry wieczór, majorze – oznajmiła głosem nawykłym do wydawania rozkazów. – Może mnie pan zaprowadzić do gubernatora.

Major już zaczął salutować, ale zdołał się opamiętać. Kiedy się jednak odezwał, w jego wzroku nie było już śladu pogardy.

– Tędy, ma’am.

Po czym wykonał przepisowy „w tył zwrot” i poprowadził Li Han w stronę windy. Szła za nim z gracją, gdyż dzięki przestrzeganiu reżimu regularnych ćwiczeń utrzymywała kondycję fizyczną. Wzrok majora zaś skutecznie paraliżował mięśnie twarzy tych podkomendnych, którym zaświtała myśl, by się uśmiechnąć.

Tak dotarli do windy.

\* \* \*

W wojnach toczonych z innymi rasami, a Federacja dotąd tylko takie wojny toczyła, jeńcy byli rzadkością. Głównie dlatego, że walki w przestrzeni przeważnie kończyły się zniszczeniem okrętu wraz z całą załogą. Jeżeli zaś już wzięto jakichś jeńców, trafiali oni w ręce ksenologów lub wywiadu, a nie do obozu jenieckiego. Stąd przepisy dotyczące ich traktowania w zasadzie nie istniały i Han jako najstarsza stopniem wśród wziętych do niewoli w obu bitwach o Zephraim musiała ustalać na nowo prawa i obowiązki jeńca oraz strony, która go w niewoli trzymała.

Zaproponowano jej możliwość swobodnego poruszania się po planecie, jeśli da słowo, że nie spróbuje ucieczki, ale odmówiła. Nie dlatego by zamierzała próbować – taka próba musiała się zakończyć fiaskiem, ale dlatego, że wolała zostać z resztą jeńców. Szok wywołany klęską i ucieczką współtowarzyszy broni był spory. Zwłaszcza zachowanie kolegów sprawiło, że morale spadło gwałtownie. Przeświadczenie o tym, że zostali zdradzeni



i pozostawieni na łaskę wroga, spowodowało niechęć w znacznej mierze skierowaną przeciwko własnym oficerom, którzy wybrali kapitulację. Han jeszcze mniej niż większość przyzwyczajona do akceptowania klęski i organicznie niezdolna do czegoś tak hańbiącego jak ucieczka z pola walki konieczność poddania się przeżyła szczególnie boleśnie. Sytuację pogarszał fakt, że to ona musiała podjąć tę decyzję, a ponieważ niedawno została przydzielona do sił admirała Kellermana, dla większości współtowarzyszy była osobą nieznaną.

Zajęła się tym problemem w typowy dla siebie sposób, czyli obiektywnie i bezwzględnie, i po dziewięciu miesiącach mogła z satysfakcją stwierdzić, że znów ma pod swymi rozkazami żołnierzy Republiki, a nie bandę malkontentów z pretensjami do całego wszechświata. Tyle że skutkiem niejako ubocznym zakończenia problemów z personelem była nuda. Obóz przypominał okręt ze zgraną załogą, dobrze funkcjonujący pod rozkazami jej zastępcy, a ona nie miała nic do roboty poza sprawowaniem ogólnego nadzoru. Czyli robieniem dobrego wrażenia. Odkryła też, że bycie starszym obozu jenieckiego oznacza większą samotność niż dowodzenie dowolnym zgrupowaniem okrętów.

Kiedy zaczęła się krótka i łagodna zima, zdała sobie sprawę z ironii losu – zjednoczyła podkomendnych i nadała sens ich dalszej egzystencji, a sama zaczęła poddawać się nudzie i monotonii jenieckiego życia. A to właśnie najszybciej i najskuteczniej łamało ducha i wolę człowieka wziętego do niewoli.

Jej doświadczenia z różnymi rządami, zwłaszcza tymi z Planet Korporacji, nie były miłe, toteż gdy została zaproszona na spotkanie z radną Miriam Ortegą, szefową bezpieczeństwa wewnętrznego Obrzeża, przygotowała się na konfrontację z kolejną znudzoną biurwą. Ku jej zaskoczeniu wizyta zaczęła się od wyproszenia przez panią Ortegę komendanta obozu za drzwi, przez co stała się ona nieoficjalna, co dla uwielbiających oficjalny tok postępowania urzędasów Federacji byłoby niedopuszczalne. A dla Han stanowiło miłe przypomnienie, jak takie rzeczy załatwiano na Pograniczu.

Zmieniło też jej nastawienie do rozmówczyni, choć zdawała sobie sprawę, że tamtej właśnie o to chodziło. Dyskutowały nad warunkami panującymi w obozie oraz potrzebami jeńców i rozmawiało jej się naprawdę przyjemnie, bo nie dość, że z kimś nowym, to w dodatku inteligentnym i posiadającym poczucie humoru. Im dłużej trwało spotkanie, tym bardziej Han lubiła Miriam Ortegę i tym trudniej było jej pamiętać, że należą do wrogich obozów.

Kiedy wizyta dobiegła końca, wstała z prawdziwym żalem, ale nim wyszła, zadała pytanie, które nurtowało ją od momentu poznania tożsamości rozmówczyni. Zrobiła to, choć miała świadomość, że może w ten sposób zniszczyć zrozumienie, które się między nimi narodziło.

– Przepraszam, ale pani nazwisko skłania mnie...

Miriam Ortega odpowiedziała na pytanie, nim zostało zadane:

– Admirał Ortega był moim ojcem – i nim Han zdążyła cokolwiek odrzec, dodała: – Miał niewzruszone zasady i zginął w ich imię. Uważam, że jeśli musiał umrzeć, była to dobra śmierć, taka, jakiej by sobie życzył. Słyszałam też, że pani parokrotnie niewiele brakowało, by skończyć tak samo!

I w ten sposób więź, która między nimi powstała, została utrwalona i wypróbowana.

Dlatego Han osłupiała, gdy dowiedziała się po paru dniach dzięki starannie kultywowanym kontaktom ze strażnikami, że Miriam Ortega jest kochanką Iana Trevayne’a. Wybór partnera zaskoczył ją dokumentnie.

Był też inny powód jej zadziwienia: choć nigdy nie spotkała Natalii Nikołajewny Trevayne, widziała jej hologramy i słyszała wiele rozmów na temat jej urody. Mężczyźni ją podziwiali, kobiety ostentacyjnie ignorowały, co jeszcze więcej mówiło. Nigdy też we flocie nie krążyła choćby jedna plotka dotycząca braku wierności któregoś z małżonków. Miriam Ortega zaś nie była brzydka, ale nie reprezentowała tego samego typu urody co Natalia, poza tym nie była pięknnością tej klasy.

A potem, na początku wiosny, nadeszło wezwanie, dzięki któremu pierwszy raz od ponad pół roku mogła opuścić obóz jeniecki. Zżerała ją ciekawość, mimo że starała się jej nie okazać – nie miała bowiem pojęcia, po co Trevayne chciał się z nią zobaczyć.

Major bez słowa zwiózł ją windą na piętro, na którym znajdował się gabinet władcy Obrzeża. Oficerowie wywiadu Republiki poświęcili dużo czasu i wysiłku, by stworzyć choćby schematyczny obraz Rządu Tymczasowego Obrzeża, i wysłała im ciekawostka. Otóż większością codziennych spraw zajmowały się departamenty kierowane przez członków rządu będących też delegatami do parlamentu odpowiedzialnymi przed tymże. Działali jednak w imieniu gubernatora Trevayne’a i wykonywali jego polecenia, a on nie był członkiem parlamentu, o odpowiedzialności przed nim nie wspominając. Nie dość, że był jedyną władzą wykonawczą, to odpowiadał wyłącznie przed rządem Federacji i Zgromadzeniem Legislacyjnym, z którymi utrzymywał jedynie sporadyczne i nieregularne kontakty. W jaki sposób kontakty te były możliwe, nie dało się ustalić. Całość stanowiła prawny labirynt o wysokim stopniu skomplikowania, czyli coś, co gatunek ludzki skrycie kochał z niezrozumiałych dla samego siebie względów. A co najdziwniejsze, system ten działał, i to całkiem dobrze, czego najlepszym dowodem było to, iż znalazła się w niewoli.

Została przeprowadzona przez sekretariat, po czym major zastukał do drzwi gabinetu, a gdy z wnętrza dobiegło zaproszenie, otworzył je i cofnął się. Gdy go mijała, stanął nawet prawie na baczność. Po czym cicho zamknął za nią drzwi i jeszcze ciszej westchnął z żalem. Normalnie spotkania tego typu nie interesowały go, ale tym razem było inaczej – wymiana poglądów między dwoma takimi osobowościami niewątpliwie będzie mieć ciekawy przebieg. I jeszcze ciekawsze skutki.

Trevayne siedział za biurkiem w dobrze skrojonym garniturze, co znaczyło, że występuje jako gubernator. Za plecami miał duże okno wychodzące na miasto, a na stojącej obok okna

niewysokiej szafce znajdowały się dwa hologramy. Jeden przedstawiał kobietę z dwiema nastoletnimi dziewczynami, drugi młodzieńca w czarno-srebrnym uniformie połowym chorążego Marynarki Federacji. Młodzian starał się zresztą bezskutecznie nie wyglądać na bardzo z siebie zadowolonego. Han przestała się im przyglądać i wyprężyła się na baczność, stojąc twarzą do biurka. Oboje z gospodarzem przez chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu, przypominając sobie inne spotkanie, w innym gabinecie i w innych czasach.

Ciszę przerwał Trevayne:

– Proszę usiąść.

– Wolę stać.

– Jak pani sobie życzy – zgodził się bez zdziwienia. – W takim razie proszę dać spocznij, admirał Li.

Zmieniła pozycję na przepisowe „spocznij”, nim w pełni do niej dotarł sens jego słów.

Trevayne uśmiechnął się, widząc lekki wytrzeszcz migdałowych oczu, co u kogoś takiego jak ona było odpowiednikiem zamarcia z opuszczoną dolną szczęką.

– Otrzymaliśmy wiadomość z Centrum – powiedział spokojnie. – Wygląda na to, że rząd z prawnych powodów, którymi nie będę pani i siebie zanudzał, zdecydował się przyznać ograniczony status kombatanta planetom tworzącym twór zwany Republiką. To powoduje między innymi uznanie wszystkich awansów nadanych przez władze tegoż tworu. Ponieważ nie mam wyjścia, podporządkuję się tym zaleceniom. Pocięszam się jedynie, że nie wynika to z chęci pochwały, ale „ułatwienia”, jak to kiedyś powiedział Winston Churchill, o którym zapewne nigdy pani nie słyszała...

– Wręcz przeciwnie, admirał Trevayne – przerwała mu Han. – Winston Churchill był politykiem jednego z potężniejszych państw na Ziemi w czasach Mao Tse-tunga. Bardzo elokwentnym politykiem. Ale służył systemowi, który był skazany na zagładę i chylił się ku upadkowi.

Widać było, że go na moment zatkało, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą i dodał:

– Dowiedzieliśmy się także czegoś, co panią z pewnością ucieszy. Rząd Federacji zgodził się na wymianę jeńców, by odzyskać lojalny personel floty przetrzymywany na wielu planetach Pogranicza. Oznacza to, że za tydzień opuści pani Xanadu.

Tym razem to Han została kompletnie zaskoczona.

Trevayne zaś z ciekawością czekał na jej reakcję.

– Wie pan co? – powiedziała w końcu. – Teraz chyba usiądę.

Wskazał jej gestem fotel i spytał:

– Sądzę, że będzie pani w stanie poinformować przełożonych, iż była pani właściwie traktowana?

– Tak – przyznała, nadal dochodząc do ładu z niespodziewaną nowiną, ale udało jej się zebrać myśli. – Zwłaszcza personel medyczny zasługuje na najwyższe uznanie zarówno z racji poziomu umiejętności, jak i ludzkiego podejścia do pacjentów. Ta ostatnia cecha, zdaje

się, jest uniwersalna u naprawdę dobrych lekarzy i pielęgniarek niezależnie od ich sympatii politycznych.

Trevayne przytaknął, wołąc nie wspominać, jak starannie dobierali z doktorem Yuanem personel, który miał się opiekować rannymi jeńcami.

– I proszę przekazać pozdrowienia i podziękowania radnej Ortedze za zainteresowanie losem i stanem jeńców – dodała Han, uważnie obserwując jego reakcję.

Nie było żadnej – kiwnął jedynie głową.

– Przekażę... A w zamian prosiłbym panią o podziękowanie przełożonym za repatriację członków personelu medycznego z systemu Zephraim. Sądziliśmy, że ich statek padł ofiarą Korsarzy Tangri; dopiero gdy pani rząd wysłał ich do nas przed rozpoczęciem negocjacji, dowiedzieliśmy się prawdy. Przyznam, że o istnieniu piratów wywodzących się z renegatów z Marynarki Federacji nie mieliśmy pojęcia. Piractwo jest nieuniknioną konsekwencją wojen domowych, o czym zresztą regularnie zapominają ci, którzy je wszczynają i za co nigdy nie ponoszą odpowiedzialności, ale to tylko dygresja – dodał z uśmiechem i pochylił się lekko. – I proszę przyjąć moje osobiste podziękowania za usunięcie z galaktyki wyjątkowo odrażających egzemplarzy rasy ludzkiej.

Han skinęła głową w milczącym podziękowaniu. Nie wiedziała o odesłaniu medyków, choć sama przekonywała dowództwo, by zrobić to jak najszybciej. Co akurat mogło mieć niewielkie znaczenie, gdyż nie wszyscy w dowództwie czy w samej flocie byli zachwyceni jej postępowaniem. Gdyby bowiem pozwoliła Ruyardowi się poddać, Republican Navy wzbogaciłaby się o pięć krążowników, niszczycieli nie licząc.

Oponentów nie przekonały argumenty jej i Tomanagi, że w ten sposób zapobiegła zarówno zdradzie ze strony Ruyarda, jak i śmierci więźniów na planecie, gdyż przebywający na jej powierzchni piraci byli zbyt przerażeni, by czegokolwiek próbować. Skończyło się na oficjalnym upomnieniu i prywatnych gratulacjach głównodowodzącego.

Han nigdy nie traktowała tego epizodu jako bitwy, choć oficjalnie była to teraz bitwa o Siegfried. Dla niej była to eksterminacja paskudztwa.

W gabinecie zapadła cisza.

Trevayne bawił się pisakiem i Han wyczuła jego wahanie. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do miewania wątpliwości i to go dodatkowo deprymowało.

– Mogę odejść, admirale Trevayne? – spytała wreszcie.

– Co? – Spojrzał na nią nieco nieprzytomnie, jakby przerwała mu formułowanie pytania.  
– Może pani.

Han wstała i podeszła do drzwi.

Po czym przystanąła, odwróciła się twarzą do niego i rzekła:

– Dlaczego, jeśli wolno spytać, sprowadził mnie pan tu, by mi to powiedzieć, zamiast przekazać wiadomość przez komendanta Chaneta?

Trevayne na moment opuścił wzrok, jakby zbierając się w sobie. Potem spojrzał na nią i

spytali:

– Admirał Li, czy brała pani udział w ataku na Galloway's World?

Han przyjrzała mu się uważnie, zastanawiając, dlaczego to go akurat tak zainteresowało. Słyszała, że były jakieś reperkusje w związku z tym atakiem, mimo iż dla każdego, nawet początkującego stratega oczywiste było, że archipelag Jamieson stanowi jeden z głównych celów w razie każdego konfliktu. Mimo to obie strony były przytłoczone i przerażone liczbą ofiar wśród ludności cywilnej. W sumie ten właśnie atak doprowadził do zakazu bombardowania zamieszkanego planet. Ale co to...

I nagle pojęła. Rzuciła błyskawiczne spojrzenie na hologramy i przypomniała sobie rozmowę w gabinecie admirała Rutgersa. Spojrzała na Trevayne'a z nagłym zrozumieniem i współczuciem, co ten dostrzegł. I przez moment zaistniała między nimi dziwna, ale jak najbardziej realna więź.

Han otworzyła usta, sama nie wiedząc dokładnie, co powiedzieć człowiekowi, który tyle stracił... i wtedy przypomniała sobie drugą bitwę o Zephraim, kiedy to jego okręty pozostawały poza zasięgiem jej rakiet, a kolejna salwa wystrzelonych przez nie pocisków zbliżała się do jej jednostek pomimo ponowienia sygnałów o kapitulacji. A z tyłu nadlatywały niedobitki poprzedniej salwy, przedzierając się przez obronę antyrakietową. Ona zaś wydawała rozkazy, zmuszając się do zachowania spokoju, mając pewność, że za chwilę wszyscy jej ludzie zginą.

Spoglądając na siedzącego za biurkiem mężczyznę, widziała teraz nie kogoś, kogo cała rodzina tragicznie zginęła, ale bezwzględnego mordercę, który chciał wyrznąć w pień jej bezbronne załogi.

– Nie, admirał Trevayne – powiedziała głośno i wyraźnie. – Nie brałam udziału w tym bohaterskim ataku!

Trevayne'a poderwało z fotela. Jego twarz pozostała jak wykuta z kamienia, ale w oczach zapłonęła żądza mordu. Han obserwowała spokojnie, jak obchodzi biurko, mając świadomość, że jest gotów zabić ją własnoręcznie, jeśli tylko da mu sposobność. Nie wykonała najmniejszego gestu, nie przyjęła pozycji obronnej, ale w jej oczach także rozbłysła nienawiść.

Trevayne przystanął, zaciskając pięści. Widać było, jak jego mięśnie pracują, gdy zmuszał się do opanowania tej żądz, która raz wyrwana spod kontroli stałaby się siłą napędową całego jego dalszego działania... Po długiej chwili udało mu się to – wypuścił powietrze z płuc. A potem nacisnął klawisz przywołujący wartę.

– Wprowadzić! – warknął, gdy dwóch Marines pojawiło się w drzwiach.

Wykonali polecenie.

Już w progu Han odwróciła się na moment i spojrzała na niego. Miała dziwne wrażenie, że w jego twarzy widzi odbicie własnej. Nie potrafiła wytłumaczyć naglej fali empatycznego zrozumienia, bo sama nigdy nie czuła tych emocji, które malowały się na obliczu

Trevayne'a...

A potem olśniło ją. Przypomniała sobie trupy dzieci w kabinie *Argosy Polaris*... Teraz wiedziała, jak postrzegał ją i jej ludzi wtedy, kiedy prawie rozstrzelał ich wraz z okrętami, tak jak ona rozstrzelała Ruyarda.

Ich oczy ponownie się spotkały i na sekundę ta dziwna więź znów się zrodziła, ale wzbogacona o świadomość i wybaczenie zła, które sobie wzajemnie wyrządzili podczas tej całej tragedii, w której brali udział, nie mając wyboru. Powstała między nimi nic porozumienia, a przepaść sprzecznych interesów i nienawiści zniknęła...

A potem zamykające się drzwi gabinetu przecięły tę nić.

Trevayne wpatrywał się w nie przez chwilę...

Po czym poszedł do łazienki sąsiadującej z gabinetem i przez długi, długi czas spoglądał w lustro, jakby chciał dostrzec w nim to, co przez mgnienie oka widział w jej twarzy i co mu się zupełnie nie spodobało.

Obraz własnej duszy.

## Rozdział XXII

# KONTRATAK

Wymiana jeńców została zakończona i zaczęło się lato, gdy z warpa prowadzącego do systemu Rehfrak wyłoniła się jednostka kurierska Chanatu. W przeciwieństwie do Federacji Chanat nie używał kapsuł, lecz niewielkich, załogowych i bardzo szybkich jednostek kurierskich. Dowódca pikiety pilnującej tego warpa otrzymał dokładne rozkazy na wypadek podobnej sytuacji, toteż wiadomość nadana przez oriońską jednostkę została natychmiast nagrana, a kurier dokonał tranzytu powrotnego. Wiadomość przekazano w zakodowanej i skondensowanej sekundowej transmisji przy użyciu lasera kierunkowego prosto na *Horatio Nelsona*, a z niego do Government House. Po jej przeczytaniu Ian Trevayne, nie zwlekając, zwołał nadzwyczajne posiedzenie rządu.

– Tym razem Chanat jest bardziej tajemniczy niż zwykle – poinformował. – Zawiadamia nas jedynie, że za mniej niż trzy standardowe tygodnie zjawi się tu emisariusz. To wszystko. Z tego co mi wiadomo, będzie to pierwszy od chwili rozpoczęcia wojny przypadek pojawienia się na terenie Federacji oficjalnego wysłannika chana. Co jest powodem tej wizyty, pojęcia nie mam, ale na pewno coś ważnego, bo zgodnie z ich zwyczajami, im bardziej zwięzłe jest zawiadomienie, tym istotniejszej sprawy dotyczy. Nie lubują się w słowotoku w przeciwieństwie do niektórych przedstawicieli gatunku ludzkiego. Emisariuszem będzie z pewnością ktoś wysoko postawiony, może nawet sam Leornak.

– Albo ktoś stojący wyżej? – spytał Barry de Parma.

– W tej części Chanatu nie ma nikogo stojącego wyżej – oświecił go Trevayne. – A w całym państwie jest tylko pięciu oficerów wyższego niż on stopnia. Ale to nie wszystko. Otóż w teorii Chanat jest monarchią absolutną, ale w praktyce gubernatorzy sektorów tak długo, jak długo postępują zgodnie z ogólnymi zasadami polityki wyznaczonymi przez chana, są udzielnymi władcami. Można powiedzieć, że Leornak ma władzę taką jak w Federacji gubernator w czasie stanu wyjątkowego, tyle że u niego ten stan jest normą. Gdyby chcieli wysłać kogoś wyższego rangą, musieliby go ściągnąć aż z New Valkhi, a to oznaczałoby, że zwróciliśmy uwagę samego chana i sytuacja jest naprawdę poważna. Musimy się zdecydować, jak przyjmiemy emisariusza. Proponuję, by powitanie nastąpiło na pokładzie

*Nelsona*. To powinno wywrzeć odpowiednie wrażenie, choć naturalnie nie mam najmniejszego zamiaru pokazać mu czy choćby wspomnieć o nowych rodzajach uzbrojenia. Sądzę też, że na pokładzie powinna być obecna silna delegacja polityczna, czyli państwo de Parma, Ortega i MacFarland.

Propozycja nie wywołała sprzeciwu, jako że była logiczna – de Parma był przewodniczącym rady, a Bryan MacFarland odpowiadał za politykę zagraniczną. Czyli miał niewiele do roboty, gdyż Rząd Tymczasowy Obrzeża wymieniał poglądy z sąsiadami albo przy użyciu rakiet (Republika), albo wcale (Chanat). Z Korsarzami Tangri od lat wymieniano jedynie pociski, więc żadne stosunki nie istniały. Teraz wyglądało na to, że wreszcie wybiła jego godzina. Poza tym Trevayne go lubił – MacFarland pochodził z Aotearoi zasiedlonej przez Nowozelandczyków i Australijczyków mających znacznie zdrowsze podejście do życia niż większość ludzi, o czym Trevayne przekonał się w trakcie swego pobytu w Brisbane na Ziemi.

Był też i inny powód jego obecności, o którym wołał głośno nie mówić. Jak dotąd tempo wydarzeń, budowanie autonomii i wysiłek związany ze zwiększeniem floty pochłaniały wszystkich na tyle, że nie pojawiły się protesty dotyczące dominującej roli Xanadu. Natomiast za jakiś czas problem ten musiał wyniknąć, toteż Trevayne starał się go zawczasu zminimalizować, powołując na wysokie stanowiska tylu przedstawicieli innych planet niż Xanadu, ilu tylko się dało. Miriam była przekonana, że jest to słuszne, a ponieważ powitanie emisariusza miało nastąpić na pokładzie jego okrętu flagowego, nikt nie kwestionował jej obecności w składzie delegacji.

Swoistą ciekawostką było to, że ich związek powinien przekreślić Miriam jako polityka, a nic podobnego się nie stało. Sądził, że to dlatego, że nigdy nie wahała się wyrazić odmiennego zdania, gdy uważała, że on się myli, i nie zawsze robiła to, gdy byli sami. Nawet najbardziej złośliwi nie mogli twierdzić, że jej sądy polityczne nie są jej własnymi. Być może to właśnie po części powodowało, że członkowie rządu z reguły przyjmowali bez szemrania jego decyzje.

Miriam stłumiła uśmiech, patrząc na Trevayne'a – domyślała się, o czym w tej chwili дума, i wiedziała, że i tak nie zdoła wpaść na prawidłową odpowiedź. Szacunek pozostałych członków rządu zawdzięczała po części temu, że nie ulegała wpływowi gubernatora Trevayne'a, ale po części także szczególnej pozycji, jaką miała dzięki ich związkowi.

Trevayne był dla mieszkańców Obrzeża najwyższym autorytetem. Część szacunku połączonego niemal z uwielbieniem, którym go darzyli, spływała na nią. Jej przyjaciel nie był tego świadom, gdyż postrzegał siebie zgoła inaczej niż współobywatele. A ona nie miała najmniejszego zamiaru otwierać mu oczu.

\* \* \*

Orioński kuter zacumował na pokładzie hangarowym *Nelsona*, gdzie oprócz pełnej warty



trapowej oczekiwali emisariusza Trevayne, wiceadmirał Sonja Desai, komodor Genji Yoshinaka i kapitan Lewis Mujabi, dowódca *Nelsona* oraz politycy. Oficerowie byli w galowych mundurach, a na lewym ramieniu każdego znajdowała się naszywka, którą Trevayne jako głównodowodzący zatwierdził dopiero tydzień temu. Był na niej pierścień utworzony z gwiazd (tytu, ile systemów planetarnych liczyło Obrzeże) otaczających planetę i księżyc, symbole Federacji. Miriam co prawda uważała, że gwiazdy powinny otaczać zaciśniętą pięść z wyprostowanym środkowym palcem, co idealnie oddawałoby prawdziwego ducha Obrzeża. Trevayne prywatnie zgadzał się z nią całkowicie, niestety oficjalnie zmuszony był zawetować propozycję.

Zewnętrzne drzwi służby otworzyły się i na pokład *Nelsona* wyszedł emisariusz.

– Nie! – jęknął Trevayne.

– Ależ tak! – oznajmił z promiennym uśmiechem Kevin Sanders najwyraźniej zachwycony wywołanym efektem.

Trevayne ruszył ku niemu, tak iż spotkali się w pół drogi. Pochylił się i szepnął mu prosto do ucha:

– Jakim cudem przekonałeś pan Leornaka, żeby cię przepuścił przez swój teren, stary cwaniaku?! Pewnikiem jakiś szantaż... może zboczeniem, które starannie ukrywa przed światem...

– Jestem zszokowany, admirale Trevayne! Gorzej: czuję się urażony podejrzeniem mnie o taką głupotę i krótkowzroczność. Szantaż ma krótkie nogi i dlatego zawsze byłem zwolennikiem przekupstwa. Przywiozłem mu skrzynkę *Jacka Danielsa* w ramach stałego zaopatrzenia od wybuchu wojny. A tak na poważnie, zaszła potrzeba, by zjawił się tu ktoś z rządu Federacji, więc skorzystałem z okazji. Miło mi pana znów widzieć, panie Trevayne. Pozwoliłem sobie przywieźć panu skrzynkę *Glen Granta* jako dowód sympatii.

Trevayne uśmiechnął się rozanielony.

Po czym natychmiast skrzywił się groźnie i warknął:

– Mógłby pan mieć choć tyle przyzwoitości, żeby mi powiedzieć, dlaczego daje mi łapówkę!

– Wszystko we właściwym czasie, mój drogi admirale. A teraz nie dajmy dłużej czekać komitetowi powitalnemu, bo to nieuprzejme.

Trevayne przedstawił szarą eminencję służb wywiadowczych Federacji zebranych oficerom i politykom. Sanders był w swoim żywiole. Grając starego gentlemiana, z taką galanterią ucałował dłoń Miriam, że ta prawie się zarumieniła.

Potem przeszli do mesy, gdzie gospodarzem był kapitan Mujabi. Trevayne był gotów uciec się do wszystkiego z rozkazem włącznie, byle znaleźć się w windzie sam na sam z Sandersem, ale pozostali zorientowali się błyskawicznie w czym rzecz i wypadło to prawie naturalnie. Kiedy tylko zostali bez świadków, Sanders uśmiechnął się na wpół przeprasząco, na wpół złośliwie i spytał:

– Pamięta pan ten serial, który podarowałem panu w Rehfrak?

– Pamiętam – przyznał zbity z tropu Trevayne. – Obawiam się, że nagrania zginęły w niewyjaśnionych okolicznościach...

Dopiero w tym momencie dotarło do niego, że Sanders mógł przywieźć nowe. Okazało się, że go ponownie nie docenił.

– Obawiałem się czegoś podobnego, ale proszę się nie martwić – Sanders uśmiechnął się promiennie. – Ponieważ serial okazał się takim sukcesem, nakręcono ciąg dalszy. Nosił tytuł *Tryumf w Zephrain*. Miałem zamiar zorganizować bezpośrednią dystrybucję paru kopii, które przywiozłem, by zaoszczędzić panu kłopotu... i zminimalizować ryzyko pechowego zniknięcia...

Sanders urwał i ocenił efekty. Doszedł do wniosku, że szanse, iż Trevayne'a zaleje nagła krew, przez co dostanie zawał, albo spróbuje go udusić gołymi rękami, są całkiem realne, toteż dodał:

– Ale zmieniłem zdanie po poznaniu panny Ortegi. Widzi pan, ta postać jest jedną z pierwszoplanowych w serialu, a niestety aktorka, której nazwiska zresztą nie pomnę, a która z nie znanych mi powodów została do tej roli wybrana, całkowicie różni się od oryginału. Nie ma w niej cienia żywej osobowości panny Ortegi, nie wspominając już o inteligencji, choć pod innymi względami być może nawet ją przewyższa. Tak więc pozwolę sobie obarczyć pana, admirałe, obowiązkiem podjęcia decyzji, czy ta twórczość jest odpowiednia do rozpowszechniania na Obrzeżu. Albo choćby do zaprezentowania na prywatnym pokazie pannie Ortedze.

I uśmiechnął się zgoła anielsko.

Trevayne zaś przypomniał sobie pewne stare ziemskie powiedzenie dotyczące bodajże także jakiegoś wywiadowcy: „Fakt, jest skurwysynem, ale jest naszym skurwysynem”.

I nagle uśmiechnął się.

Nie było sensu walczyć z Sandersem – byłaby to próba z góry skazana na niepowodzenie.

– To bardzo uprzejmie z pana strony – stwierdził. – *Glen Grant* powiada pan? No cóż, mów mi Ian, ty pieprzony Jankesie!

\* \* \*

– No dobra: gadaj!

Trevayne i Sanders znajdowali się w gabinecie tego pierwszego na *Nelsonie*. Jak wszystkie pomieszczenia okrętowe, był dość mały i nie tak komfortowy jak gabinet w ratuszu, ale dzięki ekonomicznemu wykorzystaniu miejsca i stosownym meblom trudno byłoby się uskarżać na ciasnotę i niewygodę. Sanders otrzymał podobne pomieszczenie do swej dyspozycji, jako że *Nelsona* zaprojektowano jako okręt flagowy i uwzględniono konieczność kwaterowania dodatkowych oficerów sztabowych, a nawet admirała.

Trevayne z rozbawieniem obserwował diabelskie błyski w oczach Sandersa. Wybuch

supernowej po sąsiedzku wywołałby mniejsze wrażenie niż wizyta gościa z Ziemi i to ze sfer rządowych, toteż po przyjęciu zdołał uwolnić go od reszty gości jedynie dzięki aktywnej współpracy Miriam, która zresztą teraz toczyła z nimi boje opóźniające. Był pewien, że Sandersowi każda minuta tego wieczoru sprawiła satysfakcję i przyjemność, o czym świadczyła choćby jego całkowita bierność w czasie odrywania go od reszty uczestników kolacji.

– Gadaj! – powtórzył Trevayne. – Oka nie zmruję, jeśli mi nie powiesz, o co chodzi!

– Cóż, Ian, w argumencie, którego użyłeś, by wyciągnąć mnie z mesy, było więcej prawdy niż pretekstu: jestem zmęczony. W końcu to już nie te lata...

– Przeżyjesz nas wszystkich i pochowasz na dodatek! – warknął Trevayne. – Przestań się wygłupiać i mów mi zaraz, po co przyjechałeś. Dobrze ci radzę, pogódź się z tym, że nie wyjdiesz z tego pomieszczenia, póki nie puścisz pary z gęby!

Sanders westchnął z rezygnacją:

– Niech już będzie moja krzywda! Jak ci na pewno wiadomo, twoje zwycięstwo w drugiej bitwie o Zephraim zmieniło cały układ sił. Rebelianci od początku mocno nas naciskali i odnosili zwycięstwo za zwycięstwem, przynajmniej w decydujących starciach. Kilka sukcesów taktycznych mogło wpłynąć na morale, ale nie na ogólną sytuację, a ta wyglądała tak, że przegrywaaliśmy na całej linii... Wiesz, wydaje mi się, że byliśmy do tej wojny jeszcze gorzej przygotowani, albo raczej jeszcze bardziej nieprzygotowani, niż nam się wydawało...

– A jak, do diabła, można się było przygotować do czegoś takiego? – spytał cicho Trevayne. – To fizycznie niemożliwe!

– Ale istnieje coś takiego jak nastawienie czy podejście... stan umysłu, od którego zależy, czy zaczniesz działać, czy się załamiesz w momencie niespodziewanego kryzysu – powiedział równie cicho Sanders. – Widzisz, każdy, kto potrafi liczyć, wiedział, że z Pogranicza zamieszkanego przez trzydzieści procent populacji Federacji rekrutuje się sześćdziesiąt procent załóg Marynarki Federacji, ale nikt nie zastanowił się ani nad tym, jak ci ludzie zareagują, ani nad powodami, dla których aż tylu z nich włożyło mundury. I chodzi nie tylko o liczby; do myślenia powinien nam też dać skład osobowy.

– Chodzi ci o liczbę kobiet z Pogranicza we flocie?

– Właśnie. – Sanders ożywił się, widząc zrozumienie tematu u rozmówcy. – Na Pograniczu kobiety są chronione, ponieważ cały ten rejon cierpi na odwrotny problem niż Centrum: ma mianowicie zbyt wiele miejsca i zbyt mało ludzi. Dlatego każda potencjalna matka ma zupełnie inny status społeczny niż w Centrum, gdyż jest inwestycją na przyszłość społeczeństwa planety, z której pochodzi. Fakt, że ponad czterdzieści procent wojskowych pochodzących z Pogranicza stanowią kobiety, świadczy jednoznacznie o kulturze przypisującej dużo większe znaczenie kwestiom militarnym... Powiedziałbym, że to znacznie rozsądniejsze podejście niż to, które prezentuje społeczność Centrum.

– Chodzi ci o to, że bogate demokracje stają się miękkie i rozlazłe? To stara śpiewka. –

Trevayne nie był złośliwy, po prostu stwierdził fakt.

– Może najważniejszym określeniem jest „niedoświadczony”. Od ponad dwóch wieków żaden przeciwnik nie dotarł w obręb Planet Wewnętrznych, nie licząc rajdu na Timor i Alphe Centauri. Mieszkańcy Centrum od dawna żyli z dala od realiów wojny, a człowiek szybko zapomina. Dlatego brakowało im osobistego zaangażowania typowego dla ludzi z Pogranicza. A potem, zaraz w pierwszych starciach, flota poniosła same klęski i olbrzymie straty. To nimi wstrząsnęło. Pojawił się może nie tyle defetyzm, ile fatalizm. Można byłoby rzec, że Federacji zabrakło jaj. To się zmieniło po pierwszej bitwie o Zephraïn. Ludzie uwierzyli, że Centrum też może zwyciężać, a przecież nie mieli pojęcia o istnieniu jakichkolwiek nowych broni. Po raz pierwszy od początku tej wojny władze i obywatele Planet Wewnętrznych i Planet Korporacji nabrali pewności siebie. Z drugiej strony powstańcy ponieśli spore straty i po raz pierwszy musieli przejść wyłącznie do obrony, więc...

Przerwał, gdyż lampka nad drzwiami zamigotała nagle serią dłuższych i krótszych błysków. Sanders podejrzewał, że nie była to przypadkowa kombinacja, i nie mylił się, gdyż gospodarz bez wahania zwolnił zamek i otworzył drzwi. Prawie natychmiast prześliznęła się przez nie Miriam Ortega.

A Trevayne czym prędzej nacisnął klawisz zamykający i blokujący wejście.

– Przepraszam, że to tak długo trwało – powiedziała, siadając na krześle, jako że w kabinie znajdowały się tylko dwa fotele. – Barry potrafi być męczący. Mam nadzieję, że niewiele straciłam.

Sanders odchrząknął i spojrzał pytająco na Trevayne’a.

Ten tylko się uśmiechnął.

– Miriam Ortega ma dostęp do najtajniejszych informacji – wyjaśnił. – Z mojego upoważnienia, na podstawie uprawnień zawartych w dokumentach, które mi dałeś...

– Nie tłumacz się – przerwał mu Sanders. – Masz takie prawo i skorzystałeś z niego. Ja musiałem tylko sprawdzić, czy wszyscy obecni mają prawo dostępu do wszystkich informacji. Nic więcej.

– Miriam Ortega jest moją najbliższą i najlepszą sojuszniczką w rządzie – dodał Trevayne.

– Podejrzewam, że wiem, co chcesz mi powiedzieć, i mogę cię zapewnić, że jej pomoc będzie niezbędna, by zebrać polityczne zaplecze, więc i tak musiałyby się dowiedzieć o wszystkim raczej wcześniej niż później. Tak jak mówiłem ci za pierwszym razem: ci ludzie nie dokonali tego wszystkiego, dzięki czemu wygraliśmy drugą bitwę o Zephraïn, dlatego że stałem nad nimi z batem!

Sanders pokiwał głową.

Zauważył naszywkę na rękawie munduru Trevayne’a, ale nie skomentował faktu, że nie jest to standardowy emblemat używany w Marynarce Federacji. Naszywki na lewym ramieniu zwyczajowo były emblematami planet rodzinnych, a nie wielosystemowych tworów

politycznych. Zerknął na Miriam zajęta zapalaniem papierosa.

Podchwyciła jego spojrzenie, uśmiechnęła się i zaproponowała:

– Proszę traktować mnie jak element umeblowania. Moje podanie o licencję szpiegowską zostało odrzucone, gdy oblałam egzamin wytrzymałościowy. I proszę mi mówić po imieniu.

Sanders odwzajemnił uśmiech. Nie miał ochoty na próbę sił – teoretycznie był przedstawicielem samego premiera, ale w tych warunkach nie miało to praktycznego znaczenia. Jeśli Trevayne zdecyduje się nie wykonać poleceń, on będzie bezsilny. A Trevayne mógł nawet nie tyle wypowiedzieć posłuszeństwo, ile zażądać pisemnego potwierdzenia rozkazów i cała zabawa zaczęłaby się od początku. Dlatego nie miał najmniejszego zamiaru udowodniać, kto tu rządzi.

– Proszę wybaczyć, ale nie mógłbym cię potraktować jak elementu umeblowania – oznajmił z galanterią. – A wracając do tematu, na czym to ja skończyłem? Wiem: na wpływie drugiej bitwy o Zephraim na morale mieszkańców Centrum. Sytuacja przed bitwą była taka, że powstańcy tak naprawdę już byli w defensywie, ale myśmy sobie z tego nie zdawali sprawy. Z prostego powodu: zajęli wszystko, co chcieli, więc nie mieli motywacji, by dalej atakować. Dlatego przestali, a skupili się na was. Nie mogliśmy wam pomóc w żaden sposób, bo nadal byliśmy za słabi, a na dodatek ich stocznie uzupełniały na bieżąco wszystkie braki poza zniszczonymi monitorami. Teraz sytuacja zmieniła się raz z uwagi na straty, jakie ponieśli, ale przede wszystkim dlatego, że Obrzeże dysponuje nową generacją uzbrojenia, dzięki czemu ma olbrzymią przewagę militarną. Naturalnie nasi naukowcy także nie próżnują, podobnie jak rebeliancy czy oriońscy, ale nawet jeśli się wie, że dane rozwiązanie jest możliwe, dojście do niego, a potem wdrożenie projektu do produkcji wymaga czasu. Dlatego też rząd i Admiralicja zdecydowały się tę zwłokę wykorzystać i skoordynowanym atakiem z dwóch stron przebić korytarz, który połączyłby Obrzeże z resztą Federacji teraz, kiedy tylko wy dysponujecie nową bronią. Celów jest naturalnie wiele, ale jeden z najważniejszych to zaatakowanie powstańców, nim wyprodukują odpowiedniki tych broni, oraz dostarczenie działających egzemplarzy naszym naukowcom i inżynierom. Jeśli zdołamy wdrożyć je do produkcji, przy możliwościach przemysłu Centrum będziemy w stanie szybko zakończyć tę wojnę. A teraz oczywiste pytanie: po co tu przybyłem? Otóż po to, by koordynować od tej strony operację „Yellowbrick”, bo taki kryptonim nadano akcji wybicia tego korytarza mającego połączyć obie części Federacji.

– Ale – zaczęła Miriam i umilkła. – Przepraszam, mój ojciec był admirałem, ale ja jestem raczej ignorantką w sprawach militarnych... Na najkrótszym szlaku między Obrzeżem a Centrum znajduje się co najmniej tuzin systemów zajętych przez powstańców, prawda?

– Dokładnie trzynaście – odparł Sanders. – Wiem, że może to zbyt optymistycznie zakładać, że przebijemy się przez tyle wrogich układów, ale równoczesny atak z obu stron poważnie zwiększy nasze szanse... A ja przyznaję, że po obejrzeniu tego okrętu straciłem swój pierwotny sceptycyzm do tego pomysłu. Wiedziałem w ogólnych zarysach, czego się

spodziewać, ale to nie to samo... Ile jednostek tej klasy istnieje w tej chwili?

– Sześć, za około miesiąc będą jeszcze cztery – odparł Trevayne odruchowo. Widać było, że nad czymś intensywnie myśli.

Sanders tylko dzięki wieloletniej wprawie zdołał ukryć zaskoczenie. Dziesięć tak wielkich okrętów obsadzonych przez załogi z raczej słabo zaludnionego regionu... Trevayne miał rację: mieszkańcy Obrzeża byli zadziwiający.

Zapadła cisza, gdyż tak Miriam, jak i Trevayne pograżyli się w rozmyślaniach. Ona najwyraźniej niezbyt przyjemnych, on nie wiadomo, gdyż jego twarz niczego nie wyrażała.

Niespodziewanie Trevayne uniósł głowę.

– Zgadzam się – oznajmił. – To wykonalne, a jak długo Federacja jest podzielona, tak długo nie przełamiemy impasu i ten konflikt będzie się ciągnął. A im dłużej potrwa, tym większe będą ciągoty, by zaakceptować istniejący stan rzeczy. Kiedy ma się zacząć ta ofensywa?

– Szczegóły zakodowano w mojej podświadomości i zablokowano podczas głębokiej hipnozy. Jak uzyskać klucz do zdjęcia blokady, powiem później. Ogólnie rzecz biorąc, za co najmniej trzy standardowe miesiące.

– Trzy miesiące?! Cholera, nikt w historii nie próbował zorganizować ataku ciągłego przez tyle warpów! Sama kwestia logistyki... będziemy musieli wykorzystać z połowę frachtowców latających po Obrzeżu do transportu samej amunicji! I wątpię, żebyś miał dokładne informacje o siłach broniących każdego z nich. A ja też ich nie posiadam. I nie mam sposobu, by je uzyskać, bo sondy mają swoje ograniczenia.

– Ale będziesz miał naprawdę silną motywację. – Sanders uśmiechnął się złośliwie. – Tylko w ten sposób zdołasz się mnie pozbyć! Wcześniej ci tego nie mówiłem, ale będę nadużywał twojej gościnności, dopóki nie połączymy się z Centrum. Powód jest prosty: powrót przez Chanat w sytuacji, gdy wiedzą tam w ogólnych zarysach, jakie są możliwości nowych systemów uzbrojenia, byłby idiotyzmem. Mogę być technicznym analfabetą, ale je widziałem i na pewno choćby w przypadkowych rozmowach dowiem się zbyt wielu szczegółów. Leornak będzie zmartwiony, ale na pewno zorganizuje wypadek i wróci, mimo że oznaczać to będzie dlań powrót do picia bimbrowej domowej produkcji.

Trevayne parsknął śmiechem, a Miriam zaciągnęła się mocno dymem, przyglądając się im obu z głębokim namysłem.

\* \* \*

Po przybyciu na Xanadu wszyscy zainteresowani wpadli w wir nowych zajęć. Uzgadnianie szczegółów było tak intensywne, że dopiero po prawie tygodniu Trevayne i Sanders mogli porozmawiać prywatnie, choć w gabinecie tego pierwszego i w kwestiach dotyczących najbliższych manewrów floty.

– Jesteś pewien, że nie chcesz się zabrać? – spytał Trevayne. – Widowisko będzie

naprawdę nieźle, mogę ci obiecać.

– Dzięki, Ian, ale po przelocie tutaj mam naprawdę dość podróży. Na starość człowiek przestaje lubić statki kosmiczne.

Trevayne prychnął, ale na wszelki wypadek nie dodał, że gdyby Sanders był młodszy, nie zostawiłby go z Miriam na tej samej planecie.

– Prawdę mówiąc, ostatnio jestem chronicznie zmęczony – dodał Sanders. – Myślę, że nadal nie przestawiłem się na tutejszy dwudziestodwunastogodzinny dzień. Z wiekiem traci się zdolność adaptacji i to nie jest żart. Mimo to nie zrezygnowałbym z przybycia tu. Ziemia, a zwłaszcza rząd zaczynają mnie nudzić.

Trevayne przez długą chwilę wpatrywał się w blat biurka – najwyraźniej wzmianka o rządzie skierowała jego myśli na nowe tory. W końcu uniósł wzrok i spytał z wahaniem:

– Jeżeli nie masz nic przeciwko, to chciałbym wiedzieć... jak dobrze znasz Oskara Dietera?

– Osobiście wcale. Nie jest specjalnie towarzyski i ostrożnie zawiera nowe znajomości. A dlaczego pytasz?

– Byłem ciekaw, co o nim myślisz.

– Czyli mówiąc po ludzku, zastanawiasz się, jakim cudem człowiek odpowiedzialny za to całe bagno skończył jako premier? – uśmiechnął się Sanders. – Właściwie głównie drogą eliminacji. Wszyscy inni delegaci Planet Korporacji byli za bardzo zdyskredytowani, a potrzebny był ktoś, komu zwolennicy Taliaferra nie postawiliby się sztorcem. W sumie mieliśmy szczęście, że się zgodził. Tym bardziej że musiał dobrać sobie ministrów z całego wachlarza: od Amandy Sydon, która dostała skarb, po Rogera Hadada, który objął MSZ. On sam połączył funkcję premiera i ministra obrony, co dało mu sensowną podstawę działania. Teraz rzeczywiście ma pełną kontrolę i naprawdę całkiem nieźle sobie radzi.

– Cieszę się, że masz o nim tak dobrą opinię – powiedział wolno Trevayne. – Przyznam, że trochę mnie martwi ta polityka *de facto* uznająca Republikę. Naturalnie to prywatna opinia, bo publicznie słowa o tym nikomu nie pisałem. Ale... cóż, nic na to nie poradzę, ale sądzę, że przegraliście połowę wojny, przyjmując semantykę przeciwnika. Ten sam błąd twoi i moi przodkowie popełnili w XX wieku.

– To nie była łatwa decyzja – przyznał Sanders. – Ale jeśli prowadzi się wojnę z wrogiem, którego istnienia prawnego się nie uznaje, powoduje to olbrzymie kłopoty, czasem wręcz trudne do wyobrażenia. Podobnie było w czasie amerykańskiej wojny secesyjnej sześć wieków temu. Rząd USA nigdy nie uznał Konfederacji za odrębne państwo, ale w praktyce tak ją traktował pod wieloma względami. Na przykład ogłosił blokadę, co z definicji można zrobić tylko w stosunku do państwa. Pewnie najwłaściwszym rozwiązaniem byłoby ogłoszenie tych portów w stanach, które przyłączyły się do Konfederacji, za zamknięte dla zagranicznego handlu, tyle że jedynym skutkiem czegoś takiego byłoby zrobienie z USA pośmiewiska na arenie międzynarodowej.

– Wiem, natomiast nie wiedziałem, że jesteś miłośnikiem historii.

– W przeciwieństwie do ciebie nie jestem. – Sanders uśmiechnął się złośliwie i skłonił, nie wstając z fotela. – Ale ostatnio było tyle poszukiwań precedensów prawnych i innych, że przestudiowano pod tym kątem wszystkie wojny domowe w dziejach Ziemi, i chcąc nie chcąc, musiałem się zapoznać z wynikami tych analiz. Od dawna nic podobnego nikomu się nie przytrafiło, toteż trzeba było sięgnąć głębiej i Dieter kazał przekopać wszystkie archiwa... Wiesz, jednym z jego atutów jest drobiazgowość. Bardzo dba o szczegóły. Innym zaś to, że ma odwagę realnie oceniać sytuację i stawiać jej czoło bez samooszukiwania się... To nie jest łatwe i częste u polityków. Dieter nabrał doświadczenia od dnia zabójstwa MacTaggart. Teraz dopasował się idealnie do tradycji Federacji, która nigdy nie była przecież monolitem. Państwem scentralizowanym i owszem, ale nie monolitem ideowym. Powstańcy doskonale zdawali sobie sprawę, że taka struktura w skali międzyplanetarnej po prostu nie może istnieć, i dlatego wybrali jeszcze luźniejszy system. Realiści natomiast od dawna mieli świadomość, że Federacja może funkcjonować jedynie jako swego rodzaju ramy, w których rozmaite kultury i interesy będą współistnieć dzięki kompromisom w rozmaitych kwestiach. A Dieter przede wszystkim ma dar trafnej oceny charakterów i przydatności ludzi do wypełniania określonych zadań. W końcu ściągnął mnie z emerytury, nie?

I uśmiechnął się niewinnie.

\* \* \*

Sanders wstał z za swego zawalonego papierami biurka i przeciągnął się. Wszyscy przydzieleni mu przez Trevayne'a pracownicy już dawno poszli do domów, a on jak zwykle poszerzył grono najdłużej siedzących w ratuszu pracusiów. Był typową sową i lubił pracować w nocy, zresztą z racji dłuższej o dziewięć godzin doby planetarnej miał wrażenie, że nie dosypia, nawet gdy szedł spać o rozsądnej godzinie. Teraz jednak naprawdę miał dość, więc wyłączył światło i skierował się ku drzwiom. I zatrzymał się, widząc w drzwiach sekretariatu prowadzących na korytarz oświetloną padającym z niego światłem postać.

– Dobry wieczór, Kevin – powitała go Miriam. – Mogę wejść?

– Naturalnie – zaprosił ją, zapalając światło i cofając się w stronę biurka.

Oboje usiedli i przez moment w pokoju panowała niczym nie zmacona cisza.

Przerwał ją Sanders:

– Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

Widział ją pierwszy raz od odlotu Trevayne'a na manewry, toteż pytanie było jak najbardziej uzasadnione.

Miriam odruchowo sięgnęła po papierosa i zapaliła go, nim odpowiedziała. Płomień zapalniczki oświetlił na moment jej twarz pogrążoną w półmroku, gdyż Sanders włączył tylko stojącą na biurku lampę. Wydmuchnęła dym i powiedziała:

– Przyszłam sprawdzić, czy jesteś już gotów powiedzieć mi to, czego nie chciałeś



powiedzieć nam na pokładzie *Nelsona*.

Sanders omal nie spadł z fotela.

– Co przez to rozumiesz? – spytał ostrożnie.

Miriam zaciągnęła się głęboko i spojrzała na niego ze złośliwym uśmiechem podobnym do tego, jaki czasem widywał w lustrze, gdy się czesał.

– Kiedy omawialiście z Ianem ten kontratak, zauważyłam pewną drobną rozbieżność między tym, co on mówił, a tym, co ty powiedziałaś. On założył, że odzyskanie kontaktu z Centrum będzie pierwszym krokiem w kampanii, której celem stanie się zbrojne pokonanie powstańców. Ty co prawda nigdy się temu nie sprzeciwiłaś, ale także nigdy sam tego nie powiedziałaś. Mówiłaś tylko, o ile dobrze pamiętam, o „zakończeniu tej wojny”. W pierwszej chwili sądziłam, że odezwała się we mnie dusza prawnika czepiającego się drobiazgów, i dlatego nie poruszyłam tego tematu. Ale gdy cię lepiej poznałam, zmieniłam zdanie. Obojętne jak byś próbował kogoś oczarować, nigdy nie powiesz niczego ani niczego nie przemilczysz bez konkretnego powodu.

Sanders miał okazję doświadczyć serii nieco zapomnianych uczuć, gdy zbierał myśli.

– A dlaczego tak długo z tym czekałaś? – spytał.

– Żeby mieć okazję do rozmowy tylko z tobą. Mam dziwne przeczucie, że tak naprawdę dobrze życzysz Ianowi, więc daję ci szansę wytłumaczenia, dlaczego pozwoliłeś mu dojść do fałszywych wniosków i przy nich pozostać. A poza tym bądź uprzejmy przestać grać na zwłokę.

Sanders uśmiechnął się.

I skapitulował.

– Od chwili przybycia tu zobaczyłem i usłyszałem dość, by wiedzieć, kto tak naprawdę kieruje tym Rządem Tymczasowym. Teraz zaczynam rozumieć dlaczego... Dobrze, powiem ci to jasno i wyraźnie... To, co oświadczyłem na pokładzie *Nelsona*, jest całkowicie zgodne z prawdą. Operacja zacznie się w wyznaczonym czasie, a jej celem jest uzyskanie połączenia między Centrum i Obrzeżem. Ale kiedy to się stanie, premier planuje zaproponować Republice pokój oparty o akceptację istniejącego stanu rzeczy. W rezultacie powstanie Republika obejmująca wszystkie systemy Pogranicza wchodzące obecnie w jej skład, oprócz tych, które zdobędziemy, by otworzyć korytarz. Oraz Federacja przypominająca w kształcie hantle. Mam na myśli kształt szlaków przez warpy, bo jeśli chodzi o rzeczywiste położenie w trójwymiarowej przestrzeni tworzących ją systemów, byłaby to narkotyczna wizja geometry, której nawet nie próbuję sobie wyobrazić. A Republika zgodzi się na tę ofertę, gdyż to, co powiedziałem o połączonych potencjałach militarnych obu części Federacji, także jest zgodne z prawdą.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Oficjalnie nic nie wiem i tej rozmowy nie było. Pracowałem jednak na tyle długo i na tyle blisko z premierem, by zorientować się, jak on myśli i do czego tak naprawdę zmierza. –

Sanders uśmiechnął się złośliwie. – Poza tym posiadam swoje źródła informacji. Przewrotność ma naprawdę wiele zalet, moja droga.

– Pewnie że ma – zgodziła się Miriam kwaśno.

Musiał przyznać, że jest odporna – to, co usłyszała, musiało być dużym wstrząsem, ale panowała nad sobą całkiem dobrze. Zadowolony z jej reakcji splótł dłonie w piramidkę i czekał z zainteresowaniem na jej następne słowa.

Miriam zaś analizowała nowe wieści. Liczyła się z tym, że Sanders nie wyjawiał jej całej prawdy – wątpiła, czy kiedykolwiek uda jej się do końca go rozgryźć albo w pełni zrozumieć. Natomiast instynkt podpowiadał jej, że jest przyjaźnie nastawiony do Iana, co znaczyło, że jest co najmniej jej sojusznikiem.

Zauważyła, że w międzyczasie spaliła prawie całego papierosa, więc zgasiła niedopałek w ozdobnej popielniczce stojącej na biurku i sięgnęła po następnego. Gdzieś w zakamarkach jej mózgu kołatała myśl, że powinna ograniczyć palenie, ale była to czysta teoria.

– Wiesz oczywiście, że jesteśmy ze sobą, Ian i ja – powiedziała. – Dlaczego sądzisz, że nie powtórzę mu tego wszystkiego przy pierwszej okazji?

Sanders pochylił się lekko i spojrzał na nią z pewnym rozbawieniem. Odpowiedział natomiast całkowicie poważnym tonem:

– Nie zrobisz tego z tych samych powodów, dla których ja tego nie zrobiłem. Nasz wspólny przyjaciel jest bowiem idealistą w dosłownym znaczeniu tego słowa. I myśli prostolinijnie, czego ja już od dawna nie potrafię, o ile w ogóle kiedykolwiek potrafiłem. Dla niego wojna może mieć tylko dwa zakończenia: klęskę lub zwycięstwo. A zwycięstwo oznacza tryumfalne odtworzenie Federacji w jej poprzednim kształcie i formie. Prawda byłaby dla niego nie do przyjęcia. Sądzę, że jedynie ty potrafisz mu to uzmysłwić, ale stopniowo i naprawdę powoli. A my na taki proces nie mamy czasu, jeśli chcemy wykorzystać przewagę nowego uzbrojenia. Bo jeśli przeciwnik znajdzie sposób, by uzyskać takie samo, ta wojna stanie się jeszcze bardziej krwawa. I trwać będzie naprawdę długo. Ponieważ nie mamy tego czasu, Ian będzie wkrótce ryzykował życie. I dlatego masz jeszcze lepszy powód, by mu tego nie mówić: jeśli to zrobisz, może to choć trochę wpłynąć na jego skuteczność, zdolność podejmowania decyzji czy szybkość. Słowem, narazić go na większe niebezpieczeństwo.

Spojrzała na niego średnio życzliwie.

– Nie męczyci cię to ciągle manipulowanie ludźmi? – spytała zjadliwie.

– Żeby manipulować tobą czy Ianem, trzeba by kogoś znacznie lepszego niż ja. Wiesz, że mam rację, podobnie jak wiesz, że ma ją Dieter. Federacja może istnieć wyłącznie w oparciu o dobrowolną zgodę wszystkich zainteresowanych, a Pogranicze podjęło już decyzję. Mają dość tego, co z nimi robiono, i mają dość Federacji. I może postąpili słusznie, odchodząc, zanim nienawiść, która się coraz bardziej kumulowała, zniszczyła wszystko. Nie da się ich zmusić do powrotu, a jeśli spróbujemy, za parę czy parędziesiąt lat oni zbuntują się ponownie.

Możemy liczyć wyłącznie na jedność Planet Wewnętrznych i Obrzeża, pod warunkiem że ukroćmy arogancję i zwyczaje Planet Korporacji, czym zajmiemy się zaraz po zakończeniu wojny.

Miriam zaciągnęła się, myśląc intensywnie.

– Może masz rację, ale jeśli Dieter nie jest gotów, by dać sobie spokój z tym całym połączeniem z Chanatem, nadal będzie istniała rozbieżność między Centrum a nami – powiedziała po chwili. – A to tylko największy problem z wielu. Musisz zrozumieć, że ludzie tu są niezwykle przywiązani do idei Federacji, ale także do samorządu – i nie widzę w tym nic sprzecznego.

– Planety członkowskie Federacji zawsze miały prawo do tworzenia samorządu lokalnego.

– To poszło znacznie dalej, Kevin. Obrzeże to już nie skupisko pojedynczych planet. To twór, który stał się jednością, prawie państwem, dzięki skutecznej samoobronie. A Rząd Tymczasowy utworzony przez Iana odpowiada wszystkim i nie jest reprezentacją pojedynczej planety czy systemu. Prawdopodobnie często słyszałeś, że ludzie używają nazwy „Federacja Obrzeża”, prawda? Ironią losu jest, że nie robią tego w obecności Iana, dla którego cały ten pomysł jest niedopuszczalny. On uważa, że po prostu utrzymuje Obrzeże dla Federacji, i być może jest jedynym człowiekiem, który mógł tego dokonać. Ale w trakcie wprowadzania niezbędnych zmian politycznych i militarnych stał się założycielem nowego państwa i ojcem nowego narodu! Federacja będzie musiała uwzględnić prawa, interesy i uprzedzenia Obrzeża, bo inaczej cały plan Dietera weźmie w łeb. Nie wspominając już o tym, że zasłużyliśmy sobie na to wszystko.

W jej głosie zabrzmiała duma. Sanders dopiero po chwili odważył się odezwać:

– Zgadzam się – powiedział cicho. – Powojenne realia tak polityczne jak astrograficzne wymuszą pewną autonomię dla Obrzeża. Ale powiem ci szczerze, bo nie ma sensu cię oszukiwać, że połączenie dojdzie do skutku. Za bardzo zostało nagłośnione i dla zbyt wielu wyborców z Centrum to ono jest symbolem zwycięstwa, by Dieter mógł mu się przeciwstawić, nawet gdyby chciał. A prawdę mówiąc, nie wiem, czy chce. Natomiast nie będzie ono miało dla Obrzeża skutków, których najbardziej obawiają się ludzie. Gdyby Ian tu był, podałby ci szereg przykładów historycznych, które udowadniają, że jest to możliwe, zaczynając od okresu, w którym jego przodkowie tworzyli Brytyjską Wspólnotę Narodów; zdaje się, że tak to się nazywało. Połączenie może zresztą okazać się najlepszym wyjściem, ponieważ otworzy fascynujące możliwości międzygatunkowej wymiany kulturalnej. Wiem, że to odległa przyszłość i że zdominowane przez ludzi społeczeństwo nadal będzie istnieć. Wydaje mi się także, że Republika nie jest w pełni dojrzałym tworem. Być może wasza Federacja Obrzeża połączy to, co najlepsze z obu tradycji, zwłaszcza jeśli zdoła uniknąć błędów popełnionych przez każde z poprzedników.

Miriam zrozumiała, że nigdy nie zdoła go pojąć – miał sporo racji, ale po pierwsze

wybiegał zbyt daleko w przyszłość, po drugie pomijał sprawy istotne z punktu widzenia przedstawicieli gatunku ludzkiego. Miała ochotę go spytać, czy potrafiłby w ogóle określić swoje fundamentalne przekonania i tożsamość, ale nie zrobiła tego.

Zamiast tego spytała:

– Kevin, czy ty kiedykolwiek byłeś młody?

Błysnął zębami w szerokim uśmiechu:

– W życiu nie uwierzyłabyś mi jako młodszemu oficerowi!

\* \* \*

– Baczość! Dowódca na pokładzie!

Wszyscy obecni w sali odpraw FNS *Nelson* wyprężyli się w postawie zasadniczej, widząc wchodzącego Trewayne'a.

– Spocznij, panie i panowie. Proszę kontynuować – rzucił, maszerując energicznym krokiem ku szczytowi stołu o kształcie litery V.

Naturalnie zajęli miejsca dopiero, gdy on usiadł w fotelu. Potem odprawa potoczyła się już błyskawicznie, jako że Trewayne przeszedł od razu do rzeczy:

– Chciałbym pogratulować wszystkim wyniku manewrów. Nawet komodor Yoshinaka nie znalazł wielu powodów do narzekań. Nie proszę, byście przekazali wyrazy uznania załogom, bo mam zamiar zrobić to osobiście, nadając na wszystkie okręty o dwudziestej pierwszej zero zero.

Zrobił przerwę, przyglądając się obecnym. Część stanowili starannie dobrani oficerowie z 32. Zespołu Wydzielonego, część zaś najlepsi z podkomendnych Siergieja Ortegi. Teraz tworzyli jeden zgrany i zahartowany w walce zespół. Kolejno zatrzymywał wzrok na ich twarzach.

Sonja Desai, wiceadmirał, dowódca 2. Eskadry supermonitorów (Trewayne dowodził Pierwszą oprócz tego, że był głównodowodzącym), a admirał Frederich Shespar był dowódcą Trzeciej Eskadry Supermonitorów.

Konradmirał Remko – dowódca krążowników liniowych i pozostałych okrętów osłony. Patrząc na niego, Trewayne z trudem ukrył uśmiech – Sean znów wyglądał na człowieka, który znalazł się w swoim żywiole.

Genji Yoshinaka siedział po prawej stronie Trewayne'a, czyli na swoim stałym miejscu. Od czasu drugiej bitwy o Zephraim obaj rozumieli się jeszcze lepiej – choć żaden o tym nie wspominał, powodem był incydent, który wydarzył się pod sam jej koniec. Yoshinaka przyjął awans na komodora dopiero, gdy Trewayne zapewnił go, że pozostanie szefem jego sztabu, choć było to stanowisko przeznaczone dla kapitana.

Z lewej strony Trewayne'a siedział admirał Shespar, kompetentny i twardy oficer, zastępca Ortegi przed przybyciem 32. Zespołu Wydzielonego.

Miejsce tuż za nim zajmował komandor Joaquin Sandoval y Belhambre, inny

podkomendny Siergieja i jeden z niewielu oficerów pochodzących z Obrzeża. Pilot myśliwski, dowódca skrzydła, wyróżnił się w bitwie o Bramę jak i w zwalczeniu Korsarzy Tangri. Potem wykazał się niespodziewanym talentem jako oficer operacyjny grupy lotniskowców i wtedy też zwrócił uwagę Yoshinaki.

Obok siedział jego oficer wywiadu, komandor porucznik Ławrientij Kirilienko, powszechnie uważany za kogoś, przed kim lepiej mieć się na baczności. Przystojny, obdarzony złośliwym poczuciem humoru, podchodził do tego, co robił, z amoralną fascynacją szachisty. Trevayne podejrzewał, że ma wszelkie zadatki, by zostać kolejnym Kevinem Sandersem. Jeżeli miałyby się tak stać, młody wiek Kirilienki byłby jego główną zaletą – jeden typ taki jak on i Sanders na jedno stulecie wystarczał w zupełności, przy dwóch zaczynał się zbędny tłok.

Kolejne miejsce zajmował kapitan flagowy Trevayne'a, Lewis Mujabi, jeszcze ciekawszy okaz niż Sandoval. Pochodził z Pogranicza i nie przyłączył się do powstania, choć zrobiła to cała jego ojczysta planeta. Miał hebanową skórę, która w odpowiednim oświetleniu wyglądała na prawie purpurową. Pochodził z planety Kashiji zasiedlonej niemal wyłącznie przez mieszkańców Afryki i znajdującej się blisko wewnętrznej granicy strefy nadającej się do kolonizacji gwiazdy klasy F 2. Barwa jego skóry była efektem selekcji naturalnej wspartej nieco inżynierią genetyczną.

Obok niego siedziała kontradmirał Maria Kim dowodząca Trzydziestym Drugim Zespołem Wydzielonym, w którym poprzednio była dowódcą jednego z okrętów.

Jej sąsiadem był komodor Khalid Khan dowodzący eskadrą monitorów, w skład której wchodziły zdobyczne jednostki. Dwa przyzy należały też do 3. Eskadry Supermonitorów, by zrównoważyć mniejszą liczbę supermonitorów w jej składzie.

Listę obecnych zamykał kontradmirał Carl Stoner dowodzący lotniskowcami u Siergieja Ortegi. Obecnie dowodził tymi samymi okrętami pod Trevayne'em.

Patrząc na nich wszystkich, Trevayne poczuł dumę, do której, jak uważał, miał pełne prawo. Ale trwało to tylko moment – potem skupił się na celu odprawy. Odchrząknął i powiedział:

– Proszę, byście otworzyli zapieczętowane teczki leżące przed wami.

Rozległ się trzask łamanych pieczęci i cichy szcęk otwieranych zamków.

Gdy odgłosy te ucichły, Trevayne dodał:

– Komandor Sandoval przedstawi pokrótce plan.

Położył nacisk na słowa „pokrótce” i zawtórował mu cichy śmiech obecnych (w tym i samego Sandovala), jako że komandor słyszał z zabawnych i ciekawych, ale niezwykle długich anegdot.

– Rozumiem, sir. Będę się starał, sir – obiecał Sandoval podejrzenie służbiście.

Yoshinaka polecił go między innymi dlatego, że Sandoval nie był bezkrytyczny wobec niczego i nikogo. Dawało mu to psychiczną niezależność, a co się z tym wiązało, często

nowatorski punkt widzenia na wiele spraw, jako że nie wahał się wytykać błędów w cudzym myśleniu, o kogokolwiek by szło. Teraz wstał i włączył holoprojektor zaprogramowany na wyświetlenie holomapy rejonu, który miał zostać objęty kontrofensywą.

– Na początek, panie i panowie, chciałbym przypomnieć, że choć operacja, w której będziemy brali udział, nosi kryptonim „Yellowbrick”, nas interesuje jedynie jej połowa o kryptonimie „Połączenie”.

Obecni skwitowali to kolejnym wybuchem śmiechu – sam Trewayne uśmiechnął się, przypominając sobie reakcję Sandersa, gdy oznajmił mu, że zmienia kryptonim operacji. Stwierdził, a Sandoval go w tym poparł, że nie poprowadzi ludzi do akcji, której kryptonim pochodzi z liczącej sobie pięćset lat książeczki dla dzieci, i nic go nie obchodzi, że rzeczona powiastka zawsze była jedną z ulubionych lektur Kevina Sandersa. A na poparcie swojej decyzji wysunął argument, że wielokrotnie zmieniano kryptonimy bądź całych operacji, bądź ich części z uwagi na lepszy wpływ na morale. Co było świętą prawdą i zirykowało Sandersa porządnie.

– Ta operacja w założeniu jest względnie prosta. – Sandoval przeszedł do rzeczy. – Choć w realizacji nie musi się taką okazać. Jedynym dylematem była decyzja strategiczna, czy atakujemy przez Bramę, czy przez Drzwi. W obu wypadkach znajdziemy się ostatecznie w systemie Purdah. Tyle że wyjście przez Bramę doprowadzi nas tam w trzech tranzytach, a przez Drzwi w czterech i prawdopodobnie napotkamy większy opór, gdyż Drzwi wiodą do systemu Bonaparte, w którym od drugiej bitwy o Zephraim znajduje się silna baza floty rebelianckiej. Tak wysłane sondy, jak i rozpoznanie bojem dały nam dobre rozeznanie, co napotkamy zarówno za Bramą, jak i za Drzwiami. Dlatego stanęło na ataku przez Bramę: jest słabiej broniona niż system Bonaparte. Po wyłamaniu się powinniśmy już znacznie szybciej opanować następujące systemy...

Nacisnął klawisz na klawiaturze i na holomapie rozbłysły symbole szeregu systemów połączonych szlakiem prowadzącym przez warpy.

– Przy każdej takiej jak ta ofensywie istnieją dwa problemy – podjął Sandoval. – Pierwszym jest kwestia zaopatrzenia, głównie w amunicję, dlatego jednym z najistotniejszych zadań będzie ochrona wiozących ją frachtowców. Im dalej będziemy się posuwać, tym bardziej sprawa ta będzie istotna, gdyż większość systemów ma kilka warpów, z których część wiedzie do systemów pozostających w rękach rebeliantów. Nie będziemy w stanie obsadzić ich wystarczającymi siłami, toteż należy się liczyć z rajdami w wykonaniu lżejszych sił rebelianckich. Możemy też natknąć się na zwykłych piratów operujących z jakiegoś samotnego systemu. Według opinii analityków problem ten nie będzie palący, dopóki nie dotrzemy do systemu Zapata, pierwszego węzła tranzytowego czy też wąskiego gardła na naszej trasie. I teraz dochodzimy do drugiej istotnej kwestii, czyli do braku informacji. Prawdę mówiąc, nie mamy pojęcia, na co i gdzie możemy się natknąć po wyłamaniu. Dopiero po dotarciu do kolejnego warpa możemy użyć sond czy okrętów do rozpoznania kolejnego

systemu. Będziemy więc do pewnego stopnia szli na oślep. Z drugiej jednak strony, sądząc po tym, jakie jednostki brały udział w drugiej bitwie o Zephraim, oraz analizując dane dotyczące dyslokacji rebelianckiej floty przywiezione przez admirała Sandersa, przypuszczamy, że główny nacisk położyli na budowę nowych okrętów, a więc nie mogli równocześnie zbudować zbyt wielu silnych fortyfikacji stałych. Przynajmniej w systemach leżących poza bezpośrednią linią frontu, czyli styku z Obrzeżem i Federacją. Jeżeli chodzi o okręty, uważamy, że w drugiej bitwie o Zephraim ponieśli poważne straty, a my udowodniliśmy skuteczność nowych systemów uzbrojenia. Jeżeli oceny wywiadów naszego i Centrum są choć w przybliżeniu trafne, rebelianci nie powinni dysponować wystarczającymi siłami, by powstrzymać dwa równoczesne ataki.

Sandoval skończył i usiadł.

– Dziękuję, komandorze. – Trevayne wstał i zaczął mówić. – Rzeczywiście było to zwięzłe. I zawierało wszystko, co na tym etapie jest istotne. Spotkamy się jutro po zapoznaniu się przez was z planem. Wtedy przyjdzie pora na pytania. I bądźcie uprzejmi pamiętać o transmisji punkt dwudziesta pierwsza. Chciałbym, by słyszeli mnie wszyscy członkowie załóg. To by było na tyle, panie i panowie.

Trevayne wyszedł.

A sala wydała się obecnym jakby większa... Zdążyli się już do tego przyzwyczać; odnosili takie wrażenie za każdym razem, gdy gubernator opuszczał jakieś pomieszczenie.

\* \* \*

Żadne z nich tego nie planowało, ale tak się złożyło, że znaleźli się sami przy windzie.

Wszyscy pozostali, którzy mieli wziąć udział w operacji „Połączenie” łącznie z Sandoalem, opuścili już Xanadu, a na Trevayne’a na dachu czekał wóz mający dowieźć go na lądowisko, gdzie oczekiwał jego kuter. Wielokrotnie odbywał już tę trasę, ale oboje wiedzieli, że tym razem będzie inaczej – ta kampania bowiem w taki czy inny sposób, ale musiała odmienić ich życie. Czy wygrają, czy przegrają, nic już nie będzie takie jak dotąd.

Pożegnali się poprzedniej nocy, a żadne nie lubiło ckliwych rozstań ale tym razem los sprawił, że spotkali się samotnie przy prywatnej windzie dla VIP-ów.

– Cóż, na mnie już czas – powiedział Trevayne wściekły na samego siebie, że nic oryginalniejszego nie wpadło mu do głowy.

– Informuj mnie, gdy tylko będziesz mógł – odparła, mając do siebie pretensje o to samo.

Przez chwilę stali w milczeniu.

A potem padli sobie w ramiona i pocałowali się.

– Wróć, Miriam. Obiecuję, że będę z powrotem!

Położyła mu dłonie na ramionach i odsunęła go nieco, by móc się mu przyjrzeć.

– Cóż, wiem z doświadczenia, że dotrzymujesz w tej sprawie słowa – powiedziała słodko, spoglądając wymownie poniżej jego pępka.

Trevayne zrozumiał aluzję i roześmiał się.

Ponownie się przytulili, tym razem jeszcze mocniej.

Rozległ się cichy sygnał nadjeżdżającej windy.

Drzwi otworzyły się... zamknęły... Miriam została sama.

Westchnęła – jak zwykle to, co było najważniejsze, nie zostało powiedziane. Nawet rozumiała dlaczego – jak długo pokrywali uczucia humorem i przycinkami, tak długo znajdowali się na bezpiecznym gruncie. Odwróciła się, spuściła wzrok i ruszyła przed siebie.

Usłyszała sygnał windy i obejrzała się zaciekawiona.

– Zapomniałeś czegoś? – spytała, gdy drzwi się otworzyły.

– Miriam... – powiedział, wychodząc na korytarz. – Nagle zdałem sobie sprawę, że... no, że są rzeczy, których nigdy nie powiedziałem... ja...

Uniosła dłoń i delikatnie, prawie z obawą przytknęła palec do jego ust.

– Óóó, kochanie. Oboje to wiemy i nigdy nie musieliśmy dużo mówić, prawda?

Ujął ostrożnie jej dłoń i łagodnie odciągnął w bok.

– Tym razem jest inaczej... nie mogę odlecieć, nie mówiąc ci... że... – coś złapało go za gardło, ale dodał gwałtownie: – Miriam, potrzebuję cię! Kocham cię!

– Boże, Ian, ja ciebie też kocham! Tak bardzo cię kocham!

Ucałowali się tak, jakby to było pierwszy raz.

Po długiej chwili spytała:

– Jak myślisz, czego baliśmy się tyle czasu?

Nie odpowiedział.

Dopiero po parunastu sekundach odezwał się zupełnie innym tonem:

– Wiesz, gdybyśmy tak poszli do biura JAG, znaleźlibyśmy kogoś upoważnionego do udzielenia ślubu.

Parsknęła śmiechem i przyjrzała mu się z błyskiem w oczach.

– Pieprzysz jak potłuczony – poinformowała go radośnie. – Wiesz, że nie masz czasu. Porozmawiamy o tym, gdy wrócisz. Tylko do tego czasu przestań o tym myśleć, masz ważniejsze sprawy na głowie, wariacie!

Roześmiał się z ulgą, a potem spoważniał i powiedział:

– Pamiętaj, co ci powiedziałem: obiecuję... że... wrócę!

Miriam Ortega jako córka oficera marynarki dobrze wiedziała, co może się stać w czasie każdej bitwy, nie tylko serii bitew i to o wielkim dla obu stron znaczeniu. W ten właśnie sposób straciła ojca i miała pełną świadomość, że nie można przewidzieć dokładnie, jakie zniszczenia wywoła detonacja torpedy czy trafienie promieniem laserowym. Ale pamiętała też, że Ian Trevayne zawsze dotąd dotrzymywał słowa.

– Wiem, najdroższy – szepnęła. – Wiem, że wrócisz.

\* \* \*



Gdy kuter opuścił granice atmosfery, Trewayne wyrzął przez okno. Po raz pierwszy od naprawdę wielu lat widział wszechświat takim, jaki był naprawdę, a nie serię symboli i kodów na ekranie taktycznym. Patrząc na miliardy błyszczących gwiazd rozsianych po czarnym przestworze, doszedł do wniosku, że otacza go prawdziwe piękno.

## Rozdział XXIII

# NAJKRÓTSZA DROGA

Konradmirał Li skrzywiła się odruchowo, słysząc łoskot werbli, po czym wyprostowała ramiona i przybrała beznamiętny wyraz twarzy. Inni jeńcy tłoczyli się za nią w drzwiach służby i nie wszyscy byli w stanie ukryć swą reakcję na widok tego, co zobaczyli na płycie lądowiska.

Znajdujący się pod kopułą port kosmiczny usytuowany był na drugim księżycu planety Bonaparte. Płyta lądowiska zaś aż roiła się od postaci w czarno-srebrnych uniformach. Były ich dosłownie tysiące, a ze wszystkich głośników dobiegały dźwięki utworu *Ad Astra* pochodzącego z XXI wieku i wybranego na hymn Republiki. Li prowadząca powracających do domu jeńców czuła się oszołomiona.

Przed służą oczekiwała ich samotna postać – konradmirał w galowym mundurze. Na jej widok zaszutrował precyzyjnie i Han Li odruchowo oddała mu honory, a dopiero potem rozpoznała. Był to Jason Windrider. Kiedy przebrzmiał ostatni akord hymnu, oderwał dłoń od daszka czapki i wyciągnął ją ku Han z błyskiem w oczach.

– Witamy w domu, pani admirał – powiedział, ściskając jej rękę.

– Dziękuję... – Han zamrugwała gwałtownie powiekami, bo nagle zaszklily się jej oczy, i uśmiechnęła się. – Dziękuję, panie admirale. Miło jest wrócić.

– Oczekiwaliśmy was, więc lepiej pogódźcie się z nieuniknionym. – Windrider również się uśmiechnął, ciepło, ale i trochę złośliwie. – Jesteśmy z was dumni, a zwłaszcza z pani, ma'am, i mamy szczerzy zamiar to okazać!

I poprowadził ją wzdłuż udekorowanego flagami przejścia przy wtórze ogłuszającej owacji.

\* \* \*

– No! – odetchnął Jason Windrider, zdejmując czapkę i wskazując szerokim gestem fotel. – Dzięki Bogu, część oficjalną mamy już za sobą. Muszę przyznać, że lewek do ciebie pasuje... ładnie komponuje się z włosami.

– Serdeczne dzięki za komplement. – Li próbowała ukryć emocje, ale nie bardzo jej

wychodziło.

Na piersi miała bowiem najwyższe odznaczenie za odwagę nadawane zarówno w Federacji, jak i w Republice – Golden Lion of Terra, zwane potocznie lewkiem.

– Jeżeli to dają przegranym, to chciałabym zobaczyć, co dostaje zwycięzca! – prychnęła.

– Ty nie przegrałaś, Han. Oboje z Bobem mieliście rację: powinniśmy zaraz po pierwszej próbie zaatakować zdecydowanie. Wtedy nie byłoby ani nowych fortów, ani uniwersalnych dział, ani rakiet z napędem grawitacyjnym!

– Może – przyznała Han. – Ale to ja wydałam rozkaz kapitulacji i to ja stanę przed sądem.

– Sąd już się zebrał i wyroki zapadły – Windrider spoważniał nagle. – Osądzono tchórzy, którzy uciekli z pola walki. Wszyscy wiedzą, że osłaniałaś ich odwrót i walczyłaś, jak długo się dało w tej beznadziejnej sytuacji. A potem miałaś dość odwagi i rozsądku, by uratować tysiące ludzi od bezsensownej śmierci. Tak przynajmniej, choć w znacznie elegantszej formie ma się rozumieć, brzmiała jednogłośnie rekomendacja przedstawiająca cię do lewka.

– Rozumiem. – Han odetchnęła głęboko, czując, jak opada z niej napięcie.

– Miło wiedzieć – wyszczerzył się radośnie Jason. – Istnieje jeszcze bardziej namacalny dowód, o ile to można tak nazwać, łaskawości dowództwa.

– Przepustka i opiumowany papieros na ostatnie życzenie?

– Twoja ufność jest dobijająca! – jęknął Windrider. – Co prawda to trochę nieregulaminowe, poza tym Magda chciała ci to dać, ale się nie wyrobiła, więc działałam w zastępstwie. Masz!

I podał jej małe, czarne pudełeczko.

Han otworzyła je i zamarła, widząc dwie podwójne złote gwiazdy na czarnym jedwabiu. Odruchowo dotknęła kołnierza kurtki mundurowej, na którym miała przypięte pojedyncze gwiazdy, i wybałuszyła oczy.

– Tak jest, ma'am! – potwierdził Jason, wstając. – Gratulacje, pani wiceadmirał!

Po czym delikatnie odpiął jej dystynkcje kontradmirałskie i przypiął na kołnierzu wiceadmirałskie.

– Ale... ale to za szybko! – Han odzyskała głos. – Cztery lata temu byłam tylko kapitanem! A moim ostatnim wyczynem było poddanie całej grupy bojowej!

– Han – zaproponował poważnie Windrider – siadaj i zamknij się!

Wykonała posłusznie polecenie, zbyt wstrząśnięta, by zauważyć, że już siedzi i że niższy stopniem rozkazuje wyższemu, w dodatku dość bezczelnie.

– Tak już lepiej – pochwalił Jason. – Teraz posłuchaj: każdy starszy rangą oficer we flocie wie, że oboje z Bobem chcieliście atakować wcześniej, podobnie jak i to, że tak naprawdę w Zephrain pokonała nas panika. A znaczna część zdaje sobie sprawę, że nie wybuchłaby ona, gdybyś ty tam dowodziła albo przynajmniej miała wyższy stopień niż te... no, nie będę się wyrażał. Nikt nie kwestionował twojego awansu, więc i ty przestań. Poza tym

jesteś potrzebna flocie. Admirał Ashigara zginęła wcześniej, teraz dołączyli do niej Kellerman, Marucek, Ryder, Nishin, Szukow, Hyde-White, Mombora...

– Aż tylu?!

– Jeszcze więcej – potwierdził ponuro. – Nigdy nie mieliśmy zbyt wielu admirałów, a większość z pierwotnego składu nie żyje. Musimy awansować nowych. Sam cztery lata temu byłem komandorem! Jeżeli ja mogę nosić jedną gwiazdę, to ty, do cholery, możesz nosić dwie. Dotarło?

– Dotarło, sir – zgodziła się potulnie i w końcu uśmiechnęła. – Mam tylko nadzieję, że to nie jest pomyłka.

– Może wbijesz sobie w ten zakuty łeb świecący po nocy od promieniowania, że dostałaś ten awans i medal, bo jesteś jednym z najlepszych oficerów w całej flocie?! Nie patrz na mnie tak, jakbym chciał ci przyłożyć, bo to prawda. A poza tym gdyby tobie go nie dali, to jeszcze ktoś wpadłby na pomysł, żeby mnie tym uszczęśliwić, a wtedy dopiero wszyscy mielibyśmy przesrane!

\* \* \*

Maszyna ostro wytracała wysokość i Han mogła wreszcie zobaczyć cel lotu – dużą posiadłość, której światła błyszcząły w nocnym mroku. Dawniej była to rezydencja zarządcy największej na planecie plantacji. Po przedstawicielu Korporacji nawet smród nie pozostał, a ostatnio, gdy ciężar działań został przeniesiony na zdobycie Zephraim, posiadłość przejęła Marynarka Republiki.

Windrider wylądował i otworzył kabinę. Han wysiadła i zmarszczyła nos – woń chestu i mokradeł była nader wyraźna i nie sposób było jej określić mianem aromatu. Swoją drogą zadziwiające, że coś tak smacznego jak czekolada czy wanilia tak straszliwie śmierdzi – Han zdawała sobie wcześniej z tego sprawę, ale pierwszy raz znalazła się na tak dużej plantacji, gdzie stężenie niemiłego zapachu osiągało powalający poziom.

Noc wypełniały dziwne odgłosy rozmaitych stworzeń, a od czasu do czasu przemykał w mroku lokalny odpowiednik nietoperza. Han spojrzała w niebo, na którym widać było kawałek trzeciego księżyca, bo dwa już zaszły, o ile duża asteroida nazwana Josephem zasługiwała na to miano. Jej blask był bardzo słaby, raczej sugerując istnienie jakichś kształtów, niż umożliwiając ich zobaczenie. Mgiełka znad bagien fosforyzowała w jej świetle, dodatkowo utrudniając zadanie oczom. Powiał lekki wiatr i dzięki temu dostrzegła kanciaste kształty usytuowane w równych odstępach. Ziemia od paru lat nie była uprawiana, a kombajny rdzewiały sobie na powietrzu. Ktoś tu wykazywał radosne niedbalstwo, ale nie było to jej zmartwienie. Ale wiedziała, że sprzęt błyskawicznie pokryje rdza, bo choć planeta miała ciepły klimat, w powietrzu unosiło się sporo wilgoci, dzięki czemu nawet środek lata nie był dokuczliwie upalny. Pod tym względem przypominała jej rodzinne strony.

Jason pochodził z Topaza: gorącej i piaszczystej planety o niewielkim nachyleniu osi,

toteż wolał wyższe temperatury. Teraz zatarł dłonie, by je rozgrzać, i z cierpiętniczym wyrazem twarzy czekał, aż Han znudzi się tkwić na przeszywająco chłodnym wietrze.

– No dobrze! – zlitowała się nad nim w końcu. – Prowadź!

– Nareszcie! – westchnął z ulgą i ruszył ku podwójnym drzwiom willi.

Pilnujący ich Marines wyprężyli się na baczność. Dopiero widząc ich rozpięte kabury, Han zdała sobie sprawę, że kształty we mgle wcale nie były kombajnami do zbioru chestu, ale ciężkimi pojazdami pancernymi wsparcia ogniowego. Mogła się też założyć, że okna, przez które z wnętrza willi wydobywało się światło, wykonano z armoplastu.

– Witam, admirał Li i admirał Windrider – powitał ich major Republican Marine Corps.

– Mogę prosić o dokumenty?

Podali mu je, po czym nastąpiła najbardziej skrupulatna weryfikacja papierów, jaką Han widziała od momentu rozpoczęcia wojny. Sytuacja stawała się coraz bardziej intrygująca...

– Dziękuję, ma'am... sir. – Oficer oddał im dokumenty i przywołał gestem jednego z siedzących pod ścianą podkomendnych. – Kapral Santander zaprowadzi państwa do sali odpraw.

– Dziękuję, majorze. – Han ruszyła za milczącym podoficerem.

Ten przywiódł ich do podwójnych drzwi kiedyś prowadzących prawdopodobnie do salonu, otworzył je i zaanonsował głośno:

– Admirał Li i admirał Windrider, ma'am.

Po czym odsunął się, robiąc przejście.

– Dziękuję, kapralu Santander – dobiegł z wnętrza znajomy głos.

– Magda! – ucieszyła się Han, przekraczając próg. – Jason nie mówił, że cię tu spotkam!

– Wiem, że nie mówił – uśmiechnęła się Magda Pietrowna siedząca samotnie za imponujących rozmiarów stołem konferencyjnym. – Niewielu orientuje się, gdzie przebywam, i mają przykazane zachować to w tajemnicy.

– Po co takie sekrety?

– Zaraz ci powiem – zachichotała. – A potem ty też znikniesz. Co konkretnie się z nią stanie, Jason?

– Wiceadmirał Li wróci na Nową Rodinę w celu złożenia dokładnego meldunku o pobycie w niewoli, pani wiceadmirał. Osobiście odprowadziłem ją na okręt.

– Widzisz? – uśmiechnęła się z satysfakcją Magda.

– Nic nie widzę i nic nie rozumiem.

– Przecież to takie proste: ty i ja jesteśmy ostatnią nadzieją Republiki – słowa były kpiące, ale ton wcale nie radosny.

– Czyli? – spytała lekko poirytowana Han.

– Czyli wraz z pomocą paru biedaków takich jak Jason, Bob Tomanaga czy Tsing Chang mamy zająć się Ianem Trevayne'em.

– Mamy wrócić do Zephraim? – Han spojrzała na nią zaskoczona. – To nie jest najlepszy

pomysł. Nie sędę, żeby dowództwo w pełni rozumiało, co...

– Nie, Han – przerwała jej łagodnie Magda. – To on przyjdzie do nas. Za około pięć standardowych miesięcy spróbuje wyłamać się z Zephraim, co mu się zresztą uda.

Han usiadła ciężko w najbliższym fotelu. Wypadki toczyły się zbyt szybko i czuła się coraz bardziej zagubiona. Powrót, medal, awans, cała ta tajna wyprawa na odludzie i teraz jeszcze to... Zaczynała nie dowierzać własnemu słuchowi, a to już był niebezpieczny objaw.

– Pięć miesięcy... – powtórzyła i potrząsnęła głową. – To niemożliwe, Magda. Nie ma dość okrętów na długą, decydującą ofensywę. Tym razem wiemy, czym dysponuje, i nie może liczyć na wybuch paniki, więc nie narażałby się na bezsensowne straty, nie mogąc przeprowadzić rozstrzygającego natarcia. Poza tym jego supermonitory ważą po ponad pół miliona ton każdy i buduje się je naprawdę długo. Nie zaryzykuje ich zniszczenia, nie mając na względzie decydującej bitwy lub serii bitew.

– Zgadza się – odparła Magda z błyskiem w oczach. – A mimo to dokona wyłamania i przejmie inicjatywę. Jak uważasz, co mogło go do tego skłonić?

– Nic! – warknęła Han i zaczęła myśleć.

Po dobrej minucie intensywnej pracy koncepcyjnej spytała:

– Chcesz powiedzieć, że Obrzeże i Zadek planują wspólną operację rozpoczętą w tym samym czasie?

– Dobrze mówi, dać jej wódki! – oceniła Magda.

– Przecież to wariactwo! – zaprotestowała Han. – Nie są w stanie tego skoordynować. Nie wiem, jak przesyłają wiadomości, ale to długotrwały proces.

– Znów się zgadza – potwierdziła Magda. – Pozwól jednak, że coś ci pokażę.

I wstała.

A Han wytrzeszczyła oczy.

– Moje gratulacje! – wykrztusiła. – Ale jaki to ma związek z ofensywą Trevayne'a?

– Cholera! Ciągłe o tym zapominam! – prychnęła Magda, klepiąc się po wydatnym brzuchu.

Han parsknęła śmiechem.

– Co w tym takiego zabawnego? – zdziwiła się Magda. – Przecież nie to chciałam ci pokazać.

– A co, myślałaś, że nie zauważę?

– Zapomniałam, że nie wiesz. Wszyscy wiedzą, bo ten ciul siedzący w kącie chwali się we wszystkich knajpach w okolicy.

– Rozumiem. A nie sądzisz, że zgranie czasowe nieco... cię zawiodło?

– Skądże znowu. – Magda uśmiechnęła się złośliwie. – To główny powód, dla którego dostałam tę robotę: wszyscy wiedzą, że ciężarne kobiety obowiązują zakaz brania udziału w walce. Dlatego moje zniknięcie nie wzbudza niczych podejrzeń. A co do czasu, to twoja wina. Nie chciałam, by przytrafiło mi się to co tobie, skoro już znalazłam Jasona. I

postanowiłam urodzić przynajmniej jedno dziecko, nim polecę walczyć. Poza tym... to dziecko jest także dla ciebie...

– Dla mnie? – zdziwiła się Han.

– Chcielibyśmy... – Magda ujęła Jasona za rękę. – Bardzo byśmy chcieli... dać jej na imię Han.

Han przełknęła ślinę.

– Jeżeli nie mogliście wymyśleć lepszego... – powiedziała w końcu. – Będę zaszczycona. Bardzo zaszczycona.

– Załatwione! – ucieszył się Jason.

Han odetchnęła głęboko dwa razy, po czym spytała:

– A co w takim razie chciałaś mi pokazać?

Magda podeszła do ściany, nacisnęła przycisk na stojącej obok klawiaturze komputera i w sali pociemniało, a nad stołem pojawiła się solidnych rozmiarów holomapa. Han gwizdnęła bezgłośnie – tak dużej nie widziała od ukończenia akademii.

Magda wzięła fosforyzujący wskaźnik i wróciła do stołu.

– Dla ułatwienia nasze warpy i prowadzące przez nie szlaki są oznaczone na zielono, Obrzeża na żółto, Centrum na czerwono – poinformowała. – Czy coś zwróciło twoją uwagę?

– Poza tym, że żółte i czerwone nie stykają się, to nic.

– To jest oczywiste i nie o to mi chodzi. Mam na myśli odległość: najkrótsza droga z Obrzeża do Centrum to trzynaście tranzytów i ponad sześć tygodni podróży dla krążownika liniowego lecącego całą naprzód. Czego by więc nie zaplanowali, muszą być przygotowani na długą, wyczerpującą kampanię, nim uda im się nawiązać kontakt. Zgadza się?

– Tak.

– My też tak sądzimy. Mamy też pewne źródła informacji w Centrum. Na Obrzeżu nie mamy, a szkoda. Nasze najlepsze źródło co prawda nie przekazało tej wiadomości, ale nikt nie jest doskonały. Dane uzyskane od innych i analiza komputerowa wystarczyły, byśmy odkryli parę interesujących rzeczy – wsadziła wskaźnik pod pachę, do złudzenia przypominając w tym momencie umundurowaną nauczycielkę. – Po pierwsze, Centrum budowało okręty znacznie wolniej, niż sądziliśmy; długo nie mogliśmy dojść dlaczego. Teraz wiemy: zniszczona została nie tylko Stocznia, ale cały archipelag. Obecnie powoli zbliżają się do normalnego poziomu produkcji, ale to tłumaczy, dlaczego dotąd tak ostrożnie dysponowali okrętami. Istnieje duża szansa, że w tej kampanii będzie podobnie, jeżeli nie w wyniku celowego założenia, to podświadomej reakcji dowódców. Po drugie, choć brak im okrętów, trzymają sporo z nich w odwodzie, czego z początku nie zauważyliśmy, ale teraz, po serii rajdów, zwiadów i przechwyconych rozkazów, jesteśmy pewni. Nie skoncentrowali ich jednakże przeciwko Cimmaron, jak można by się spodziewać, choć mogliby w ten sposób odciąć prawie czwartą część Republiki od reszty, naturalnie gdyby zdobyli Cimmaron. Albo też uderzyć na Nową Rodinę. W końcu znaleźliśmy te brakujące jednostki: znajdują się w

systemie Avalon, gdzie zbudowano zupełnie nową bazę floty. Po czwarte, wiemy, jak utrzymują łączność z Obrzeżem. Korzystają z przestrzeni Chanatu, spotykają się w Rehfrak. Wiem, to miło, że Chanat zachowuje neutralność, prawda? I tak nic nie możemy na to poradzić, ale nie protestowaliśmy, chcąc wykorzystać tę wiedzę. I okazało się, że postąpiliśmy rozsądnie, ponieważ wyszło na to, że za chłopca na posyłki robi niejaki Kevin Sanders. Mówi ci coś to nazwisko?

– Lis – odparła zwięźle Han.

– Właśnie. Najlepszy szef wywiadu floty w ciągu ostatnich dwóch wieków, a obecnie minister bez teki. Najwyraźniej postanowili wysłać kogoś, kto ma nie tylko stanowisko, ale i rozum. Wybrali więc człowieka, który zna najwięcej, o ile nie wszystkie tajemnice Federacji, a Chanat zgodził się przepuścić go tylko do Rehfrak. Na spotkanie musiał tam z Zephraim przylecieć Trevayne.

– Jak cię znam, to wszystko prowadzi do spójnych wniosków.

– W rzeczy samej. Sześć miesięcy temu Sanders zjawił się w bazie Avalon, skąd przewieziono go na Ziemię w takim tempie, że kosztowało to wymianę konwerterów napędu głównego niszczyciela. Dlaczego? Bo zaraz potem znów zniknął, wybierając się na kolejną wycieczkę. Tym razem dotarł do samego Zephraim i tam pozostał.

– Co? – Han wyprostowała się w fotelu.

– A to. Informacje są sprawdzone, więc powstaje pytanie, dlaczego rząd Federacji pozbył się najlepszego specja od wywiadu. Odpowiedź nasuwa się tylko jedna: to chwilowe, najwyraźniej nie było nikogo lepszego do przeprowadzenia delikatnej i skomplikowanej misji.

– Zaczynam cię rozumieć...

– Miałam nadzieję, że tak będzie – powiedziała poważnie Magda. – Wysłali go, bo koordynacja takiego przedsięwzięcia wymaga autorytetu, inteligencji i doświadczenia. A jeśli chcą wygrać, muszą zaatakować teraz, zanim zrównoważymy w jakiś sposób przewagę, którą zyskali dzięki nowym systemom uzbrojenia. Jeżeli zdołają przebić korytarz łączący Centrum z Obrzeżem i dostarczą do Centrum plany i egzemplarze gotowej broni, będziemy w poważnych tarapatach, biorąc pod uwagę, jakim potencjałem przemysłowym dysponuje Centrum.

– Faktycznie... – przyznała Han, przyglądając się holomapie. – Skoro skoncentrowali siły w Avalonie, nie będą bawić się w żadną wymyślną strategię, tylko liczyć na zaskoczenie.

– Tak właśnie sądzimy – przytaknęła Magda.

– Hm, z Avalonu... – Han nagle pokiwała głową. – Pójdą następującym szlakiem: Avalon – Lomax – Heyerdahl – Thor – Thule – Osterman's Star – Thybold – Juarez – Iphigena – Zapata – Sagebrush – Purdah – Nowe Indie – Zvoboda – Zephraim. Co prawda do Purdah z Zephraim można też dotrzeć przez Bonaparte – Rousseau, ale wątpię, żeby nawet Trevayne chciał mieć do czynienia z tymi umocnieniami.



– Skąd ta pewność? – W głosie Magdy nie było wyzwania; żądała wyjaśnień, jakby chciała uzyskać od innej osoby potwierdzenie wniosków, do których sama doszła.

– Tylko dureń próbuje być sprytny w sytuacji, w której nie jest w stanie dowodzić i zgrać całej operacji, tym bardziej skomplikowanej. Dwie pierwsze wojny z kociambami nauczyły nas tego. A pierwsza bitwa o Zephraim potwierdziła, że ta zasada nadal obowiązuje. Należy więc zmierzać do celu najprostszą drogą, a szlak, który ci podałam, jest najprostszą i najkrótszą drogą między Avalonem a Zephraim.

– Sądzę, że masz rację. Może sprawi ci satysfakcję, jeśli powiem, że dział strategiczny potrzebował prawie miesiąca, by postawić tę hipotezę. Nasz problem sprowadza się do tego: nie mamy wystarczających sił, by równocześnie powstrzymać oba uderzenia. Musimy wpieryw zatrzymać jedno, potem przerzucić siły i zrobić to samo z drugim. Powstaje pytanie, w jakiej kolejności.

Han wytrzeszczyła na nią oczy.

– Mnie się pytasz?! – zdziwiła się. – Przez rok siedziałam w obozie i o bożym świecie nie wiedziałam, nie wspominając o takich detalach jak nasze siły i stan umocnień!

– Ale także jesteś najstarszym rangą oficerem flagowym, który tak naprawdę wie, jakie są zalety i wady nowych dział i rakiet Trevayne’a. Dlatego możesz ocenić, czy groźniejsza jest ilość, czy jakość. Bo żebyś nie miała wątpliwości – to my obie będziemy dowodziły siłami mającymi uniemożliwić wybicie tego korytarza. Pojęcia nie mam, za jakie grzechy nas to spotyka, ale tak zdecydowało dowództwo. Więc od kogo zaczynamy, moja droga? Od Obrzeża czy od Zadka?

Han przez naprawdę długi czas milczała, myśląc intensywnie.

A Magda i Jason czekali cierpliwie, nie przerywając ciszy.

W końcu Han spytała:

– Będziemy mieli do dyspozycji jakieś „niespodzianki” czy te wszystkie wieści o cudownych broniach, które słyszałam przed drugą bitwą o Zephraim, to były tylko plotki mające podnieść morale?

– Nie wiem, co słyszałaś, ale trochę „niespodzianek” dostaniecie – odparł Jason.

– W takim razie trzeba powstrzymać uderzenie z Zadka siłami osłonowymi, a główny wysiłek skupić na zatrzymaniu Trevayne’a – stwierdziła zdecydowanie Han. – Ilość nie jest problemem: forty, pola minowe i myśliwce systemowe będą w stanie stopniowo niwelować ich przewagę liczebną. Możemy z dużą dozą dokładności ocenić, w jakim stopniu i na jak długo spowolnimy natarcie konwencjonalnych sił. Natomiast Trevayne’a musimy zatrzymać raz a definitywnie, spowolnienie nic nie da... nie widziałas w akcji jego nowych okrętów. Jeżeli nie zmasakrujemy jego sił z zaskoczenia w jednej bitwie, przejdą po nas jak walec. A jeżeli udałoby się zadać mu naprawdę duże straty, być może dałoby się też z marszu zdobyć Zephraim. Jeżeli by się nam powiodło, nawet tracąc tuzin systemów na rzecz Centrum, jesteśmy w stanie wygrać tę wojnę.

– A gdzie chcesz go zatrzymać? – spytała Magda.

– Zapata – Han nie musiała się zastanawiać. – To węzeł tranzytowy i możemy łatwo przerzucić tam siły z paru kierunków, w tym z Bonaparte. A od początku trzeba przeciwko niemu użyć krążowników i nękać rajdami jego tyły i zaopatrzenie. Wybić go z rytmu i zmusić do wydzielenia do osłony konwoju większych sił, niż planował. A potem bój spotkaniowy i wszystko się rozstrzygnie. Całe szczęście, że przez te supermonitory nie był w stanie zbudować zbyt dużo lotniskowców. To nasza jedyna szansa.

– Rozumiem... – Magda i Jason spojrzeli po sobie wymownie, po czym Magda dodała z błyskiem w oczach. – W tej kwestii także opinia twoja i działu strategicznego pokrywają się, co mnie bardzo cieszy... ma'am.

Coś w jej tonie zwróciło uwagę Han, ale nie bardzo chciała wierzyć, że jej nagłe podejrzenia mogą okazać się słuszne...

– Tak jest, moja droga – dobiła ją Magda, prawie ze współczuciem w głosie. – Jednym z powodów, dla których kazano mi odbyć z tobą tę pogawędkę, była chęć upewnienia się, że nie zardzewiałaś przez ten rok w obozie. Awans na wiceadmirala otrzymałaś, jeszcze będąc w niewoli, dokładnie tego samego dnia co ja. A to oznacza, że nadal masz dłuższe starszeństwo. Witamy głównodowodzącą operacji „Akcjum”.

I wręczyła jej wskaźnik.

## Rozdział XXIV

# OPERACJA „POŁĄCZENIE”

Operacja „Połączenie” zaczęła się od pojawienia się setek zasobników rakietowych typu *Hawk* w systemie *Zvoboda*. W jednym momencie cisza, spokój i pustka na ekranach stała się tylko wspomnieniem. Kilkadziesiąt *Hawków* dokonało żywota w serii eksplozji, jako że skończyły tranzyt zbyt blisko siebie, ale większość przetrwała i wpadła na pola minowe broniące fortów strzegących drogi do Republiki. Miny zebrały obfite żniwo, ale nie były w stanie zniszczyć wszystkich, zwłaszcza przed wystrzeleniem przez nie rakiet. W ten sposób zaczęła się bitwa, bo w ślad za *Rawkami* tranzytu zaczęły dokonywać okręty.

Do *Zvobody* wysłano niewiele sond zwiadowczych, by nie alarmować obrońców, ale te, które wróciły, wykonały swoje zadanie uczciwie i *Trevayne* miał dobre rozeznanie, z czym przyjdzie mu walczyć. Republika zbudowała solidny pierścień fortyfikacji wokół warpa i drugi wokół prowadzącego do systemu *Nowe Indie*, ale *Kirilienko* był przekonany, że właśnie z tego powodu w systemie będzie stacjonowało niewiele okrętów. W każdym forcie bazowały dwie eskadry myśliwskie, co w połączeniu z silnym uzbrojeniem pokładowym fortów zgodnie z teorią powinno wystarczyć do zdziesiątkowania każdego konwencjonalnego ataku.

*Trevayne* i *Yoshinaka* zgodzili się z oceną *Kirilienki* i dlatego operację rozpoczęto od zmasowanego użycia *Hawków*. Poważnie uszczupliło to zapas posiadanych zasobników, ale bez sensu było oszczędzanie ich na następną bitwę, bo mogło do niej w ogóle nie dojść, jeśli nie udałoby się przełamanie obrony. Poza tym prawdopodobne wydawało się założenie, że skoro fortyfikacje *Zvobody* były tak rozbudowane, system *Nowe Indie* będzie posiadał niewiele umocnień.

W przestrzeni wykwitły nowe eksplozje, gdy do walki włączyła się artyleria fortów. Obrońcy nie dali się zwieść małej aktywności sond i, otrzymawszy potwierdzenie swych podejrzeń z dowództwa, utrzymywali stan alarmu bojowego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ponieważ jednak nikt nie jest w stanie przez cały czas być w najwyższej gotowości, na początku niespodziewanego ataku zawsze część rakiet przedziera się przez ogień obrony.

Tak było i tym razem. Kolejne głowice z antymaterią detonowały na polach siłowych

fortów, przeładowując je stopniowo, a gdy te przestały istnieć, zaczęło się dzieło zniszczenia. Jednak mimo uszkodzeń i utraty hermetyczności części z nich, zdążyły wystartować prawie wszystkie myśliwce.

Trevayne spodziewał się tego i nie miał zamiaru narażać swych nielicznych lotniskowców. Co prawda doktryna głosiła, że najlepszą obroną przed myśliwcami są inne myśliwce, ale on użył innej taktyki. Nieortodoksyjnej, a tak prostej, że aż dziw brał, iż nikt wcześniej na to nie wpadł.

Pierwszym okrętem, który dokonał tranzytu, był FNS *Nelson*, a następnym monitor *da Silva*. Ledwie *da Silva* zakończył tranzyt, został złapany przez promienie ściąające *Nelsona* i przysunięty do rufy supermonitora. Równocześnie *da Silva* wyłączył swój napęd i wykonał obrót wokół własnej osi, by ustawić się rufą do większego okrętu. W ten sposób powstał unikalny tandem prawie złączonych rufami jednostek. Każde następne dwa okręty dokonujące tranzytu robiły dokładnie to samo, a ponieważ manewr ten ćwiczono wielokrotnie, szło im to sprawnie.

Wszyscy piloci myśliwscy szkoleni byli, by okręty liniowe atakować od najsłabiej bronionego, czyli najczulszego miejsca, jakim była rufa. Napęd tworzył tam martwą strefę, w której ślepyły wszystkie sensory i nie można było używać broni. U pilotów broniących systemu zadziały wyćwiczone i wbite w podświadomość odruchy – skierowali się ku rufom jednostek wroga i zostali zmasakrowani przez sprzężone obrony przeciwlotnicze monitora i supermonitora, gdyż tandem taki nie posiadał martwej strefy ostrzału. Naturalnie nie oznaczało to, że ich atak nie spowodował, zniszczeń – spowodował, i to znaczne, ale nie zakończył się unicestwieniem żadnego z okrętów, gdyż monitory, a zwłaszcza supermonitory zaprojektowano tak, by wytrzymały naprawdę wiele trafień. Myśliwce robiły, co mogły, ale nie były w stanie powstrzymać ataku, podobnie jak miny, które nie detonowały w czasie ataku *Hawków*, i tandemy wolno, lecz nieubłaganie zbliżały się ku fortom.

Artylerzyści fortów wiedzieli, co oznacza niepowodzenie ataku myśliwców – wszyscy mieli okazję zapoznać się z informacjami o przebiegu drugiej bitwy o Zephrain i skuteczności uniwersalnych dział, jakimi dysponował przeciwnik. Nie opuścili jednak stanowisk i zrobili co mogli, by zadać napastnikom jak największe straty. Drużyny awaryjne na wszystkich jednostkach miały pełne ręce roboty, a ślad każdego tandemu znaczył warkocz szczątków i skryształizowanego powietrza, ale nadal żaden okręt nie został zniszczony. Za to one same kolejno eliminowały forty z walki, wpierw używając punktowego ustawienia dział, potem wykorzystując je w roli fazerów tak długo, aż kolejny fort nie zmienił się w dryfującą, wypaloną i stopioną ruinę.

W tym czasie krążowniki liniowe Seana Remki rozprawiły się z kilkoma okrętami, których zadaniem była osłona fortów.

Po zniszczeniu tych ostatnich Czwarta Flota zmieniła szyk na konwencjonalny łącznie z osłoną niszczycieli i ruszyła powoli w głąb systemu, Ian Trevayne wysłuchał meldunków o

zniszczeniach napływających z poszczególnych okrętów i odetchnął z ulgą: były duże, zwłaszcza straty w ludziach okazały się większe, niż się spodziewał, ale żadna jednostka nie odniosła krytycznych uszkodzeń. Większość była do naprawienia przez drużyny awaryjne w ciągu trwającej siedemdziesiąt osiem godzin podróży przez układ planetarny. Naturalnie w warunkach polowych nie da się zastąpić zniszczonych stanowisk ogniowych, a większość napraw będzie prowizoryczna, ale z tym liczył się od początku.

Kiedy umocnienia warpa prowadzącego do systemu Nowe Indie znalazły się w zasięgu 4. Floty, wszystkie należące do niej okręty były już w pełni sprawne, pomijając ubytki w uzbrojeniu i opancerzeniu. Trewayne zresztą nie miał ochoty narażać swych jednostek niepotrzebnie, a nie musiał, gdyż Republika nadal nie posiadała rakiet nowej generacji.

Dowódca obrony warpa także był tego świadom, toteż nakazał start wszystkich myśliwców, nim przeciwnik dotarł na skuteczny dystans, z którego mógł je odpalić. W ten sposób wszystkie myśliwce przystąpiły więc do walki, ale zostały narażone na długotrwały ogień rakiet przeciwlotniczych i musiały przedrzeć się przez parasol myśliwców Carla Stonera. Części z nich się to udało i zaatakowały okręty liniowe z odwagą i umiejętnościami typowymi dla rebelianckich pilotów, ale było ich zbyt mało, by zaważyć na losach bitwy. Spowodowały sporo zniszczeń, ale niewiele uniknęło ognia okrętów liniowych i ich eskorty.

A potem forty znalazły się w zasięgu rakiet Czwartej Floty i zaczął się ostrzał. Ponieważ była to nierówna konfrontacja, a dowodzący obroną był człowiekiem równie rozsądnym jak Trewayne i uważał, że karygodne byłoby poświęcenie ludzi dla pustego gestu, wystrzelił kapsuły kurierskie do systemu Nowe Indie i poddał się.

Cztery godziny później skapitulowała ostatnia placówka powstańcza w systemie – kolonia górnicza na największym satelicie Zvobody IV zwanym brązowym karłem. Górnicy poddali się Seanowi Remce, jako że to jego okręty znalazły się w pobliżu chronionej kopułą kolonii.

W ten sposób system Zvoboda został całkowicie opanowany. Trewayne nakazał postój. Należało obsadzić kolonię garnizonem, podobnie jak forty, a ich obrońców ewakuować do Zephraim oraz zająć się uzupełnieniem amunicji i naprawami uszkodzeń, których były w stanie dokonać okręty warsztatowe.

Dopiero gdy uzupełnianie magazynów amunicyjnych i naprawy były w toku, Trewayne opuścił pomost flagowy i zwołał odprawę kapitanów wszystkich okrętów.

\* \* \*

Trewayne z lekkim rozbawieniem obserwował ponurą minę Yoshinaki, gdy jechali windą w stronę sali odpraw. Genji jakoś podświadomie czuł, że powinien stanowić przeciwwagę dla ogarniętych euforią pozostałych, a że był z natury pesymistą, przyszło mu to bez zbytniego trudu.

– Przynajmniej posłuchał pan mojej rady i zwołał odprawę kapitanów dopiero po pierwszej bitwie, sir – burknął.

– Przecież zawsze słucham twoich rad, Genji-san – zdziwił się Trevayne, dobrze już wiedzący, jak postępować w takich wypadkach. – Czy nie nazwałem drugiego supermonitora tak, jak chciałeś?

Tym razem nie poszło tak łatwo – Yoshinaka jeszcze się nie rozchmurzył.

– Fakt. Nazywa się *Togo*... i tak taki okręt musiałby się w końcu pojawić, skoro jednostki tej klasy biorą nazwy od najsłynniejszych admirałów morskich w dziejach Ziemi. W końcu Togo był najznamienitszym z nich wszystkich. – I zrobił znaczącą przerwę.

Trevayne jednak nie dał się sprowokować.

– Nie dało się go po prostu długo ignorować – dodał Yoshinaka. – Ale następne nazwał pan *Raymond Spruance* i *Yi Sun-sin*, a oni obaj zdobyli sławę, masakrując Japończyków. Ktoś już panu mówił, że ma pan specyficzne poczucie humoru, sir?

– Miriam Ortega wspomniała, zdaje się, o tym raz czy dwa – przyznał radośnie Trevayne.

Yoshinaka niespodziewanie się uśmiechnął.

Od chwili przybycia na pokład Trevayne może nie nucił pod nosem, co zresztą wpędziłoby w stan ciężkiego załamania nerwowego wszystkich jego podkomendnych, ale był tak radosny, jak mu się od lat nie zdarzało. Yoshinaka nie wiedział dokładnie, czemu to zawdzięczać, ale wiedział komu – bezwzględnie musiał to być wpływ Miriam. Coś najwyraźniej między nimi zaszło tuż przed odlotem Trevayne’a z Xanadu. Jego zachowanie doskonale działało na morale załogi, zwłaszcza że dobrego humoru admirała nie zwarzył nawet frontalny atak na ufortyfikowany warp.

Winda stanęła, drzwi otworzyły się i po krótkim spacerze korytarzem obaj weszli do sali odpraw, największej na pokładzie. Wypełniał ją gwar. Kapitanowie monitorów protestowali właśnie przeciwko nazwie, która już się rozpowszechniła po pierwszym starciu i którą wszyscy pozostali z lubością ich określali. Brzmiała ona „dupna brygada”.

– Bacność! Admirał na pokładzie! – bas Mujabiego przebił się przez zgiełk i w pomieszczeniu zapadła cisza.

Trevayne i Yoshinaka przeszli na podium, a pozostali zamarli przy rzędach foteli ustawionych amfiteatralnie. Trevayne rozejrzał się po zgromadzonych – nie było wśród nich żadnego oficera flagowego czy dowódcy eskadry, chciał bowiem poznać opinie dowódców okrętów, a wiedział z doświadczenia, że w obecności bezpośrednich przełożonych zachowywali oni znacznie większą powściągliwość w wyrażaniu sądów i opinii.

– Spocznij, panie i panowie. Proszę zająć miejsca – polecił i poczekał, aż usiedli. – Po pierwsze, należą się wam gratulacje i słowa uznania. Szczególnie dotyczy to kapitanów monitorów, którzy działali w nietypowych warunkach.

Przerwał na chwilę, by jego słowa zapadły w pamięć wszystkich. Spisali się doskonale; tylko świetnie wyszkolona i mająca silną motywację flota mogła osiągnąć ten poziom zgrania

i elastyczności, który pokazali.

– Wszyscy mogliśmy wreszcie się przekonać, z jakim przeciwnikiem mamy do czynienia – podjął Trewayne. – Chcę więc teraz odpowiedzieć na wasze pytania, jeżeli takie macie, oraz bezpośrednio od was usłyszeć oceny i opinie. Podobnie obecni tu komodor Yoshinaka i komandor Sandoval. Tyle wstępu, teraz proszę o pytania i komentarze.

W górę podniosło się kilkanaście rąk.

Trewayne wybrał jednego z pierwszych, którzy się zgłosili.

– Kapitanie Waldeck?

Kapitan flagowy Seana Remki wstał. Od razu było widać, z jakiej rodziny pochodzi – masywny, by nie rzec grubawy, o nalanej twarzy z wielkim nosem i imponującym podbródkiem. Oraz drobnymi, delikatnymi ustami.

– Krótki komentarz, sir. Jeżeli to, co dotąd napotkaliśmy, jeśli chodzi o uzbrojenie i zachowanie, to wszystko, na co stać rebeliantów, ta operacja już jest wygrana, to jedynie kwestia czasu. Chodzi mi zwłaszcza o tchórzliwość dowódcy, który poddał nam zdolne do walki forty naprawdę szybko. Wiem, że nie był w stanie wyrządzić nam żadnej krzywdy, ale mógł nas zmusić do większego zużycia rakiet, których mamy ograniczoną ilość. Myślę, że płynący stąd wniosek jest jasny – kiedy rebelianci stracili przewagę wynikającą z zaskoczenia i euforia z powodu pierwszych zwycięstw minęła, pokazali swoją prawdziwą twarz. Byli, są i będą hołota.

Mujabi pociemniał na twarzy, choć Waldeck pilnował się i użył określenia „rebelianci”, a nie „ci z Pogranicza”. W jego oczach błysnęło coś zimnego i niebezpiecznego, ale nim zdążył się odezwać, z sali padł spokojny komentarz:

– Pewnie! Taka sama hołota jak ta z Nowej Rodiny!

Teraz to Waldeck poczerwieniał, a przez salę przeszedł dźwięk stłumionego śmiechu. Waldeck wyglądał tak, jakby w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Trewayne zaś miał mieszane uczucia – komentarz był celny i słuszny i wywołał uśmiech także na jego twarzy, ale pamiętał równocześnie, że wydarzenia na Nowej Rodinie były pasmem wstydu dla Marynarki Federacji. Co się tyczyło samego Waldecka, starał się zachować obiektywizm, ale nie bardzo mu się to udawało, organicznie bowiem wręcz nie znosił tego pyszałkowatego i aroganckiego snoba. Na takiego Waldeck został wychowany – wszyscy w jego rodzinie tacy byli, oficerem zaś był kompetentnym. Zresztą tylko z uwagi na tę kompetencję Trewayne wyznaczył go na kapitana FNS *Arquebus*, flagowego okrętu Remki. Decyzja ta sprawiła mu satysfakcję, być może dlatego, że Remko podobnie jak on sam nie cierpiał Korporacji, arogancji i chamstwa. Może rzeczywiście Genji i Miriam mieli rację i jego poczucie humoru było specyficzne...

– Spróbujmy nie dać się ponieść entuzjazmowi – zaproponował spokojnie. – Kapitanie Waldeck, nader nierozsądnie byłoby zakładać po pierwszej bitwie, że przeciwnik stracił chęć do walki czy umiejętności jej prowadzenia. Chciałem także zauważyć, że dowodzący obroną

fortów przy warpie z Zephraim na pewno nie stracił odwagi. Takie podejście, jakie pan zaprezentował, jest niebezpieczne, gdyż lekceważenie przeciwnika zawsze obraca się przeciwko lekceważącemu. Ale podejrzewam, że przez najbliższych parę dni może być popularne, i ostrzegam państwa przed tym. Przełamaliśmy obronę graniczną i prawdopodobnie w kilku najbliższych systemach nie napotkamy większego oporu. Ale to się zmieni, gdy dotrzemy do układu Zapata, gdzie nastąpi decydująca bitwa. Naprawdę wolałbym, żebyśmy nie przystępowali do niej z przesadną pewnością siebie.

W sali rozległ się pomruk aprobaty i Waldeck usiadł. Widać było, że jest wściekły, ale już nad sobą panował. Trewayne mówił jak zwykle uprzejmie, ale jego uwagi były bolesne, zwłaszcza po tym złośliwym komentarzu, który padł z tylnych rzędów.

Waldeck przyglądał się reszcie obecnych z dobrze ukrywaną pogardą. Wszyscy darzyli Trewayne'a jeśli nie uwielbieniem, to przynajmniej głębokim szacunkiem. On sam przyznawał, że Trewayne jest doskonałym przywódcą, taktykiem i oficerem. Ale nie oznaczało to, by go idealizował. A poza tym Trewayne nie musiał go wyznaczać na kapitana flagowego proła z Nowego Detroit i oficera z awansu społecznego.

Trewayne słyszał z tego, że nie kieruje się społecznymi uprzedzeniami. Z punktu widzenia Waldecka oznaczało to, że nie uważa się za lepszego od tych z Pogranicza bardziej niż od całej reszty. Bo nie ulegało wątpliwości, że uważał się za lepszego od wszystkich.

Mimo to słuchając jego komentarzy i odpowiedzi na pytania, nie mógł choć w części nie poddać się magnetyzmowi admirała. Trewayne był urodzonym przywódcą i doskonale pasował do roli, którą los mu przeznaczył. I wiedział o tym. Ludzie szli za nim i słuchali go, bo tego właśnie oczekiwali z pewnością siebie tak niewzruszoną, że nie musiał jej specjalnie demonstrować.

Cyrus Waldeck także podązał za nim, ale nie uważał go ani za bohatera, ani za wzór do naśladowania.

\* \* \*

Promy szturmowe przewoziły właśnie garnizon na planetę Purdah, gdy Trewayne zwołał odprawę. Tym razem wzięli w niej udział jedynie najbardziej zaufani i najbliżsi mu oficerowie: Sanders, Yoshinaka, Sandoval, Kirilienko, Desai organizująca Tymczasowy Rząd Planetarny i Ingrid Lundberg, kwatermistrz 4. Floty. Nieobecny był jedynie Remko pilnujący nowego rozmieszczania eskorty po kolejnym rajdzie. To on właśnie spowodował zwołanie odprawy.

Na prośbę Trewayne'a rozpoczęła ją Lundberg, przedstawiając sytuację logistyczną.

– ...i to byłoby właściwie wszystko, sir – zakończyła. – Straciliśmy sporo zapasów żywności wraz z *Falkenbergiem* i medycznych wraz z *Jolly Merchant*, ale w sumie mieliśmy szczęście... jak dotąd. Nie zniszczono żadnego ze statków amunicyjnych, choć nie oznacza to, że nie kurczy nam się zapas rakiet. Niektórym się wydaje, że rakiety się lęgą, i jeśli dalej tak



pójdzie, flocie zabraknie ich szybciej, niż zakładaliśmy.

Mówiąc o „niektórych”, spojrzała wymownie na Sandovala.

– Rozumiem... – Trewayne pokiwał głową. – Ławrientij, co wiesz o tych rajderach?

Kirilienko poczekał, aż steward naleje wszystkim świeżej kawy i wyjdzie, nim zaczął odpowiadać:

– Mniej niżbym chciał, sir. Ich lotniskowce pozostają w maksymalnym możliwym zasięgu, toteż nie zdołaliśmy żadnego zidentyfikować. Podejrzewam, że to lotniskowce eskortowe, bo ataki przeprowadzają niewielkie grupy myśliwców. Fakt, że nie zdołaliśmy żadnego znaleźć, oznacza, że mają doskonałe systemy maskowania elektronicznego. Wysoce prawdopodobne jest także, że są bardzo szybkie. Jediną pocieszającą wiadomością jest to, że każdy atak kosztuje ich sporo myśliwców, ale też nie tracą ich tyłu, by mogło to powstrzymać następne rajdy na nasze statki zaopatrzeniowe.

– A co sądzisz o mojej ulubionej hipotezie? – spytał Sanders.

– Przeprowadziłem symulację komputerową i solidnie wszystko przemyślałem, starając się podejść do tego sceptycznie, i wychodzi mi, że prawdopodobnie jest słuszna, sir. Musieli przygotować gdzieś w przestrzeni jakieś bazy. To może być na przykład kilka starych frachtowców, ale w więcej niż jednym systemie. Gdzieś uzupełniają amunicję i myśliwce i to musi być blisko, ale nie na powierzchni planety, księżycy czy asteroidy, bo te dokładnie sprawdzamy od momentu nasilenia się rajdów. A więc cała operacja została zaplanowana i przygotowana, nie jest improwizacją skleconą po przerwaniu przez nas granicy.

Obecni wymieniali spojrzenia i ukradkowo zerkali na Trewayne'a wspartego łokciem o blat stołu i pogrążonego w myślach. Cisza zaczęła się przeciągać, aż w końcu Trewayne przerwał ją:

– No dobrze, operacja przebiega tak, jak planowaliśmy: rebelianci nie stawili większego oporu ani w poprzednim, ani w tym systemie. Toczyli walki opóźniające, zmuszając nas do zwiększonego zużycia amunicji i zadając największe możliwe straty, nim ich siły przerywały walkę i wycofywały się. Spodziewaliśmy się także, że w miarę posuwania się naprzód będziemy zostawiali odkryte skrzydła i wystawiali na atak konwoje zaopatrzeniowe. Zaskakująca jest jedynie intensywność tych ataków oraz użycie przygotowanych baz, o których istnieniu mówił przed chwilą komandor Kirilienko. Sądziliśmy, że rajdery będą bazowały w sąsiednich systemach i że będą musiały do nich wracać, by uzupełnić straty, przez co rajdów byłoby mniej. No i nie zakładaliśmy, że rebelianci wydziela do tego celu aż tyle sił, czy są to lotniskowce eskortowe, czy inne. Powstaje pytanie, o czym to wszystko świadczy? Wiem, że w tej sprawie podzieliliście się na dwa obozy. Jeden twierdzi, że nasze szybkie postępy oznaczają, iż Republika sypie się jak domek z kart. Głównym zwolennikiem tej tezy jest kapitan Waldeck. Ja się z tą opinią nie zgadzam. Rajdy są najlepszym dowodem starannego przemyślenia i zaplanowania obrony, prowadzone są zaś zbyt agresywnie jak na pokonanego i tracącego wolę walki przeciwnika. Nadal uważam, że miejscem decydującej

bitwy będzie system Zapata, ale póki co możemy spodziewać się intensyfikacji oporu w Sagebrush. Dlatego musimy wzmocnić eskortę konwojów oraz wprowadzić ograniczenie zużycia rakiet. Pod tym względem komandor Lundberg ma całkowitą rację. Do wzmocnienia eskorty wydzielimy lotniskowce admirała Stonera.

– Carl nie będzie zachwycony – oceniła Sonja Desai.

– Można powiedzieć, że go szlag trafi, jak to usłyszysz – poprawił ją Sandoval, zarabiając na lodowate spojrzenie przedmówcy.

– Wiem – zgodził się Trevayne. – Wiem też, że i bez tego Carl ma pełne ręce roboty, ale nie widzę innego wyjścia: zaopatrzenie jest naszą piętą achillesową i ten, kto zaplanował rebeliancką obronę, zdawał sobie z tego sprawę. Poza tym nie ma co ukrywać rzeczy oczywistej: kiedy rebelianci postanowią wydać nam decydującą bitwę, będą mieli wielką przewagę w myśliwcach. Naszych będzie za mało, by ich powstrzymać. Dysponujemy za to przewagą w okrętach liniowych, musimy więc zapewnić sobie stały dopływ rakiet, zwłaszcza grawitacyjnych, bo to jest ważniejsze od oszczędzania myśliwców.

Zebrani pokiwali głowami, najwyraźniej zgadzając się z jego tokiem rozumowania.

Po czym głos zabrał Yoshinaka:

– Naszą drugą troską, sir, są ciężkie straty wśród lekkich krążowników. Od początku nie mieliśmy ich zbyt wiele, ale teraz mamy zdecydowanie za mało.

– Fakt, choć trudno się temu dziwić, biorąc pod uwagę, że przeznaczone są do zwiadu – potwierdził Trevayne. – Ale lepiej będzie zacząć je oszczędzać i bardziej wykorzystywać sondy oraz maszyny zwiadowcze z lotniskowców. Czasowe przydzielenie lekkich krążowników do eskorty konwojów może tu pomóc, a równocześnie wzmocni siły eskorty, czyli za jednym posunięciem osiągniemy dwa cele. Wiem, że krążowniki nie zostały zaprojektowane z myślą o takich zadaniach, ale mają silne uzbrojenie przeciwlotnicze, a poza tym wątpię, by rebelianci spodziewali się zastać okręty eskortowe wyposażone w środki do prowadzenia wojny radioelektronicznej trzeciej generacji. To powinno nieco skomplikować życie ich „znikającym” lotniskowcom. Zwłaszcza kiedy odkryją, że są w zasięgu ognia paru krążowników, które właśnie wyłączyły maskowanie.

Obecni spojrzeli po sobie – plan był faktycznie nowatorski, ale mógł się okazać nader skuteczny.

– Myślę, że ma pan rację – powiedział wolno Sandoval. – Oczywiście kapitanom lekkich krążowników to się nie spodoba, przynajmniej na początku. To prawie tacy sami narwańcy jak piloci myśliwców. Ale kiedy strącą kilka myśliwców, zaczną zmieniać zdanie. A jeśli dopadną jakiś lotniskowiec, zakochają się w tym pomysle.

– To dobre rozwiązanie, tym bardziej że w tej chwili do zwiadu ich nie potrzebujemy – dodał Sanders. – Sagebrush został już rozpoznany i nie zanoszą na to, by trzeba było posłać tam maszyny zwiadowcze... Powinniśmy przelecieć przez ten układ raczej szybko i bez oporu. Co panowie o tym sądzą?

Yoshinaka bez słowa kiwnął głową.

Za to Sandoval uśmiechnął się od ucha do ucha i stwierdził:

– Jak fasola przez *gringo*, sir.

Sanders popełnił tę nieostrożność, że upił w tym momencie łyk kawy i teraz omal się nie udusił. Uratował go Trevayne, waląc w plecy przy wtórze ogólnego śmiechu. Sanders po odzyskaniu oddechu spojrzał groźnie na Sandovala, ale spojrzenie to nie wywołało żadnej reakcji. Zresztą na Sandovala trudno się było gniewać...

Co nie oznaczało, że było to niemożliwe – Sonja Desai opanowała tę sztukę do perfekcji. Ledwie poruszając zaciśniętymi ustami, powiedziała:

– Jeżeli mi pan wybaczy, sir, chciałabym wrócić na *Togo*. Promy powinny już wylądować, co oznacza, że napłynęły pierwsze meldunki.

Mówiąc to, starannie unikała spojrzenia w kierunku Sandovala.

– Sądzę, że już skończyliśmy – ocenił Trevayne.

Sonja wstała natychmiast.

A Trevayne dodał, zerkając na Yoshinakę:

– Będę na pomoście flagowym, Genji. Zostało jeszcze parę drobiazgów do załatwienia... Wiesz, mamy już roboty zwiadowcze, może ktoś wymyśli w końcu robota-admirała?

I wyszedł.

Kiedy za Trevayne'em i Sonją Desai zamknęły się drzwi, Sandoval uśmiechnął się i powiedział cicho, patrząc na Yoshinakę:

– Sądzę, że mamy już takiego, a raczej taką admirał, sir.

– Wystarczy, komandorze – odparł z lekkim uśmiechem Yoshinaka.

Okazywało się, że przeciwieństwa nie zawsze się przyciągają.

## Rozdział XXV

### PIEKŁO

Cichy sygnał zabrzmiał nienaturalnie głośno w pogrążonej w mroku kabinie i natychmiast obudził śpiącą w niej kobietę. Han Li odruchowo sięgnęła do klawisza interkomu.

– Tak?

– Wiadomość z *Maori*, ma'am. Przeciwnik dokonał tranzytu z Sagebrush.

– Dziękuję, Bob. – Han usiadła na łóżku. – Coś konkretniejszego?

– Zmarnowali masę *Hawków* na pozorne cele, ma'am. Potem tranzytu dokonały okręty liniowe. Teraz reorganizują szyk.

– Doskonale. Poproś admirała Tsinga, by przybył na pomost flagowy; tam się spotkamy.

– Aye, aye, ma'am.

Han zakończyła rozmowę i złapała kombinezon próżniowy. Nałożyła go kilkoma wytrenowanymi ruchami, uszczelniła i ruszyła ku drzwiom. Ledwie te się otworzyły, pilnujący ich Marine wyprężył się na baczność. Kiwnęła mu głową i poszła w stronę windy, nie rejestrując nawet świadomie jego obecności.

\* \* \*

Trevayne przyglądał się głównemu ekranowi wizualnemu z niezbyt szczęśliwą miną. Widać było na nim jednostki Czwartej Floty oświetlone promieniami odległej gwiazdy typu G 2 będącej słońcem systemu Zapata. Brak oporu ze strony rebeliantów zaskoczył go i sprowadził ponure myśli.

Sondy zwiadowcze zameldowały o dwudziestu trzech fortach Typu IV i rozległych polach minowych broniących warpa z Sagebrush. Dlatego użył prawie wszystkich *Hawków*, jakie miał do dyspozycji, po czym gdy okręty liniowe dokonały tranzytu, okazało się, że nie było żadnych fortów ani pól minowych, tylko boje wyposażone w doskonałe środki do prowadzenia wojny radioelektronicznej, które ogłupiły sondy.

Warp, z którego wylecieli, mieścił się prawie dokładnie w środku ekliptyki, podobnie jak ten, który był ich celem – prowadzący do systemu Iphigena. Tyle że zlokalizowane były prawie naprzeciwko siebie i by tam dotrzeć, trzeba było przelecieć przez cały system

składający się z trzech planet (w tym jednej podobnej do Ziemi) i gęstego pola asteroidów.

Ponieważ na drodze znajdowała się gwiazda, najprostsza trasa była wykluczona z uwagi na jej studnię grawitacyjną. Dlatego zdecydował się posuwać po linii hiperboli, przelatując „ponad” nią i najbliższą jej planetą. Wolał znaleźć się dalej od płaszczyzny ekliptyki, jako że to był najbardziej prawdopodobny rejon zasadzek.

Problem polegał na tym, że jak dotąd nie zauważono śladu rebelianckich okrętów.

Wiedział, że warpa do Iphigeny strzec będzie przynajmniej kilka fortów – dwa zbudowano tam jeszcze przed wybuchem wojny, a rebelianci na pewno wzmocnili obronę. W końcu warp ów znajdował się znacznie bliżej słońca niż inne – ledwie dziesięć minut świetlnych za pasem asteroid – toteż wykorzystanie kilku z nich w roli fortów było wręcz oczywiste. A był to najtańszy, najszybszy i pod wieloma względami najlepszy sposób budowy stałych umocnień. Ale oprócz fortów w systemie musiały znajdować się rebelianckie okręty, gdyż inaczej nie mieliby szans go powstrzymać. Nie mógł aż tak się mylić, zresztą wzrost aktywności rajderów w ostatnim czasie wskazywał, że miał rację. Zdołały one związać znacznie większą liczbę lotniskowców do służby eskortowej, niż można się było spodziewać. A to sugerowało stawienie oporu właśnie w tym systemie... chyba żeby rebelianci zdecydowali się na coś zupełnie odmiennego, aby utrudnić mu życie.

Przestał snuć te bezsensowne rozważania. Podszedł do Yoshinaki i Mujabiego dyskutujących o czymś przyciszonymi głosami.

– Jakież problemy, panowie?

– Nie, sir – odparł Yoshinaka. – Admirał Remko właśnie zameldował, że wszystkie okręty osłony zajęły wyznaczone pozycje.

Trevayne kiwnął głową. Remko miał pod swymi rozkazami dwanaście krążowników liniowych wraz ze stosowną liczbą niszczycieli. Dołączył doń admirał Steinmueller z piętnastoma ciężkimi krążownikami i obaj mieli lecieć w rozwiniętym szyku o piętnaście minut przed siłami głównymi złożonymi z dziesięciu supermonitorów, ośmiu superdreadnoughtów i dwunastu pancerników. Bezpośrednią osłonę zapewniały jak zwykle niszczyciele oraz w przypadku supermonitorów krążowniki eskortowe – jednostki nowej klasy zaprojektowane i zbudowane do tego właśnie celu na Obrzeżu. Z tyłu leciały trzy eskadry niszczycieli, z tym że okrętem dowodzenia każdej był krążownik klasy *Goeben*.

Okrętom liniowym towarzyszyło sześć lotniskowców floty i trzy lotniskowce eskortowe dysponujące łącznie ponad dwustoma myśliwcami. Rebelianci z pewnością mieli więcej myśliwców, ale nie mogli już liczyć na dodatkową przewagę wynikającą z większego doświadczenia pilotów. W ostatnich miesiącach po ciągłych starciach tak z rebeliantami, jak i z Korsarzami Tangri, piloci Carla Stonera także stali się asami.

– Czwarta Flota gotowa do walki, sir – zameldował Yoshinaka. – A my po prostu dyskutowaliśmy o braku oporu ze strony rebeliantów. To dziwne, sir.

– Mogłem nie mieć racji, zakładając, że to nie tu będą chcieli stoczyć decydującą bitwę –

przyznał Trevayne. – Nie sądzę, żeby tak było, ale... Jeśli planują to, czego się spodziewam, pozwolenie nam na tranzyt bez walki jest z ich strony rzadkim przejawem bezczelnej pewności siebie. To się nazywa hucpa.

– A tego słowa nie znałem – przyznał Mujabi i dodał po chwili namysłu: – To rigeliańskie?

\* \* \*

Han Li zmusiła się do spokojnego siedzenia i przyglądania ekranom. Dane wyświetlające się na ekranie taktycznym nadal były mniej pewne niż zwykle, bo pochodziły z jednego tylko lekkiego krążownika ukrytego w zewnętrznej części pasa asteroidów. Mimo to najważniejsze informacje były czytelne – silna straż przednia leciała dziewięćdziesiąt sekund świetlnych przed siłami głównymi i jak dotąd nic nie wskazywało na to, by przeciwnik był świadom, iż kieruje się prosto w zasadzkę.

Spojrzała na Reznicka i spytała:

– Kiedy dotrą do pasa asteroidów?

– Straż przednia za około sześć godzin, siły główne kwadrans później, ma'am.

– Dziękuję – odwróciła się z powrotem do ekranu, żałując, że Trevayne rozpoczął ofensywę miesiąc wcześniej, niż przewidywano.

Z tego powodu nie dotarła do niej prawie połowa lotniskowców i nie miała pojęcia, jak toczy się akcja opóźniająca natarcie sił Centrum. Nie lubiła pozostawać w nieświadomości, a musiała zachowywać ciszę radiową, podobnie jak Magda. Inaczej naraziłaby cały plan, a i tak był on wystarczająco desperacki i wariacki. Jeśli ktokolwiek miał szansę go zrealizować, to właśnie Magda i Jason...

\* \* \*

Sean Remko siedział w fotelu, przypominając niedźwiedzia w skafandrze próżniowym. Mimo że był starannie uczesany i ogolony, patrząc na niego, Cyrus Waldeck miał nieodparte wrażenie, że patrzy na niechluj. Zdawał sobie sprawę, że to nielogiczne, ale myśl ta nasuwała mu się z nieodpartą siłą, toteż czym prędzej odwrócił wzrok ku ekranowi taktycznemu. Właśnie mijali pas asteroidów, lecąc wolno, czyli tak by okręty liniowe mogły utrzymać ustaloną odległość. Nagle zeszytniał, gdyż na ekranie coś zamigotało, a w następnej sekundzie pojawiły się na nim symbole wrogich okrętów.

– Panie admirale, mamy...

– Widzę, kapitanie Waldeck – przerwał mu Remko i polecił szefowi sztabu: – Brian, zmień kurs na 1-1-6 i zwiększ prędkość do całej naprzód. Głównym celem są lotniskowce.

– Aye, aye, sir!

– Kapitanie Waldeck, proszę przygotować się do otwarcia ognia.

– Aye, aye, sir!

– Sam, połącz mnie z okrętem flagowym – polecił Remko oficerowi łącznościowemu.

– Aye, aye, sir!

Ponieważ zwłoka w docieraniu informacji w każdą stronę wynosiła dziewięćdziesiąt sekund z uwagi na dzielącą obie formacje odległość, ledwie na ekranie pojawił się Trevayne, Remko zameldował:

– Wykryliśmy siedem lotniskowców floty, siedem pancerników, osiem krążowników liniowych i dziewięć lekkich krążowników w klasycznych formacjach po trzy, sir. Przeciwnik znajdzie się prawie bezpośrednio przed nami, w maksymalnym zasięgu sensorów. Powiniem być w stanie związać je walką, ale potrzebuję wsparcia lotniczego...

Skończył i czekał na reakcję.

Trevayne skinął potakująco głową i polecił Yoshinace:

– Genji, każ startować myśliwcom.

– Sir, rebelianci wypuścili wszystkie maszyny – zameldował Remko. – Dotrą tu za dwadzieścia jeden minut. Pozwolę sobie powtórzyć prośbę o wsparcie lotnicze... pilne wsparcie, sir.

– Wsparcie już jest w drodze, Sean – Trevayne spojrzął na Yoshinakę, który kiwnął głową. – Admirał Stoner leci do ciebie. Powodzenia i bez odbioru.

I spokojnie patrzył w ekran.

Po trzech minutach Remko uśmiechnął się i powiedział:

– Dziękuję, sir. Jeden rebeliancki zespół wydzielony do kasacji. Remko, bez odbioru.

Jego twarz zniknęła z ekranu.

– Miał pan rację. Rzeczywiście będą próbowali nas tu powstrzymać – powiedział Yoshinaka i urwał, widząc wściekły grymas na twarzy Trevayne'a.

– Cholera, Genji! To nie mogą być ich wszystkie siły! Gdzie są okręty liniowe i lotniskowce uderzeniowe?! Zobacz – wskazał na ekran taktyczny. – Myśliwce wystartowały, a okręty się cofają. Dlaczego? Nie są w stanie wymknąć się Seanowi, mając pancerniki. Poza tym pancerniki nie uciekają przed krążownikami liniowymi, zbliżają się do nich, nim nadleci wsparcie, i niszczą je. Nie podoba mi się to, Genji. Bardzo mi się to nie podoba!

Trevayne przeniósł wzrok na główny ekran wizualny. *Nelson* zbliżał się do pasa asteroidów, a obok systemowego słońca jaśniało drugie ciało niebieskie – Trzecia Planeta.

\* \* \*

– Myśliwce admirał Pietrowny wystartowały, ma'am.

– Dziękuję. Bob, która godzina?

– Siódma czterdzieści Zulu, ma'am.

– Zapisz to w dzienniku pokładowym, proszę.

Doktryna wymagała, by dowódca nie przystępował do bitwy, nie mając taktycznej kontroli nad wszystkimi swymi siłami, ale doktryna, jak się już wcześniej okazało, nie

przewidywała nowych realiów walki z użyciem nowych broni. Han długo zastanawiała się nad problemem podziału sił i dowództwa, nim w końcu podjęła decyzję. Magda wielokrotnie udowodniła, że jest dobrym dowódcą i taktykiem, ale Han powierzyła jej zespół wydzielony głównie dlatego, że znały się, dobrze rozumiały i miała zaufanie do jej wycucia czasu. A zgranie czasowe było w tej bitwie najważniejsze. I dlatego najbardziej niepewnego aspektu operacji „Akcjum” musiał pilnować Jason. Han wiedziała, że jest dobry, nie miała tylko pewności, czy wystarczająco doświadczony.

– Nieprzyjacielskie lotniskowce przyspieszyły i wypuszczają myśliwce, ma’am. Ponad dwieście. Za dwanaście minut przechwycą nasze myśliwce.

– Dziękuję, David. Komandor Jorgensen?

– Wysłali wszystko, co mieli, ma’am. Pełne pokłady to dwieście czterdzieści maszyn plus minus dwadzieścia.

– Wygląda na to, że dali się złapać, ma’am – ocenił ostrożnie Tomanaga.

– Być może, ale nie lekceważ Iana Trevayne’a, Bob – i spojrzęła na Changa.

– Admirale, proszę przygotować się do natarcia. Bob, prześlij laserem tę samą wiadomość pozostałym.

– Aye, aye, ma’am.

Próżnię wypełniły spolaryzowane wiązki laserów kierunkowych, przekazując rozkazy ciasno zgrupowanym okrętom liniowym Republiki. Han spoglądała na ekran taktyczny i czekała, aż myśliwce zaatakują okręty Obrzeża.

\* \* \*

Walka manewrowa przesuwiała się przez obszar systemu Zapata, znacząc drogę eksplozjami nuklearnymi, wrakami i trupami. Okręty liniowe Trevayne’a szły całą naprzód, ale i tak coraz bardziej zostawały z tyłu, za krążownikami Remki i lecącymi je wesprzeć lotniskowcami Stonera. Piloci Carla byli dobrzy, ale spotkała ich niemiła niespodzianka: rebelianckie myśliwce uzbrojone były w rakiety wypełnione czymś w rodzaju *flechette* – cienkich, ostrych tarczki wirujących z olbrzymią szybkością po detonacji główicy. Broń miała mały zasięg i była całkowicie nieskuteczna przeciwko opancerzonym okrętom, ale w stosunku do pozbawionych pancerzy myśliwców okazała się niezwykle skuteczna, znacznie zwiększając straty. Mimo to piloci Carla Stonera nie wycofali się z walki.

Ian Trevayne siedział w swym fotelu, bębniąc lekko palcami prawej dłoni po jego poręczy.

Bitwa miała zdecydowanie nietypowy przebieg i to go niepokoiło. Walka na wyniszczenie była sensowna w przypadku ataków na coraz dłuższy korytarz, ale nie w bitwie spotkaniowej flot o panowanie nad kluczowym systemem. A obecność pancerników tak daleko od jedynej drogi ucieczki, jaką stanowił warp, wydawała się niczym nie uzasadnionym ryzykiem. Fakt, spotkanie z nimi musiało zakończyć się masakrą sił Seana, ale jeśli nie



zniszczyć krążowników Remki wystarczająco szybko, same padną ofiarą jego okrętów liniowych. Było to więc posunięcie pozbawione logiki. Chyba że stanowiło część bardzo skomplikowanego planu, którego jeszcze nie zdołał przejrzeć...

Jego okręty liniowe dotarły prawie na wysokość Trzeciej Planety, gdy zaczęło wyglądać na to, że sytuacja się klaruje.

– Dziewięć krążowników liniowych wyłoniło się zza Zapaty III, sir – zameldował Yoshinaka. – Musiały znajdować się w jej cieniu i dlatego wcześniej ich nie wykryliśmy. Obrały kurs na przechwycenie sił admirała Remki od tyłu.

Równocześnie na ekranie taktycznym pojawiły się nowe symbole.

Trevayne uśmiechnął się w duchu – to zaczynało mieć sens. Ponieważ system Zapata był najbardziej oczywistym miejscem do obrony, rebelianci postanowili stoczyć decydującą bitwę gdzie indziej, by mieć do czynienia z mniej przygotowanym przeciwnikiem. Prawdopodobnie wybrali Iphigenę, ale to było w tej chwili bez znaczenia. Istotne było, że ich celem w tym starciu było pozbawienie go okrętów osłony... tak jak fałszywe fortece miały go pozbawić większości *Hawków*. Działali naprawdę sprytnie i planowo. Siły Remki złapane w kleszcze mogły zostać zniszczone, nim okręty liniowe znajdą się w zasięgu skutecznego ognia.

A raczej mogłyby zostać zniszczone, gdyby okręty liniowe nie miały tak wielu zewnętrznych wyrzutni rakiet. Co prawda klasycznych, ale za to największych, a więc o najdalszym zasięgu. A do tego pokładowych wyrzutni rakiet nowej generacji. Trevayne wydał stosowne rozkazy i ku krążownikom liniowym rebeliantów pomknęła potężna lawina pocisków.

A on zmusił się do spokojnego siedzenia i czekania na kolejne meldunki. Na ekranie taktycznym widać było rój kropek zmierzających ku symbolom wrogich krążowników... i coś tu było nie tak, ponieważ krążowniki te nie miały prawa przetrwać ostrzału, a nie zmieniały kursu! Czuł niepokój, gdy na to patrzył. Budziła się w nim świadomość, iż coś przeoczył, tylko nie mógł sobie uzmysłwić co...

Potem Yoshinaka odwrócił się ku niemu z kamienną twarzą i zameldował:

– Straciliśmy namiary celów, sir. Zdaje się, że w rzeczywistości to lekkie krążowniki wyposażone w ECM-y nowej generacji. Teraz je wyłączyły i robią uniki, sir.

Spojrzeli po sobie i zrozumieli się bez słów – rebelianci właśnie pozbawili ich zewnętrznego uzbrojenia raketowego.

Gdzieś w mózgu Trevayne'a pojawiła się myśl, że być może zbyt pewność siebie podkomendnych udzieliła się także i jemu, tylko nie zdał sobie z tego sprawy... Albo uwierzył we własną nieomyślność... Gdy Miriam nie było w pobliżu, nie było to takie trudne...

Pozostało jedynie przekonać się, dlaczego rebelianci chcieli, by w tym właśnie momencie pozbył się rakiet z zewnętrznych wyrzutni...

\* \* \*

– Dali się nabrać, ma'am! – oznajmił, nie kryjąc radości Tomanaga. – Właśnie wystrzelili rakiety z zewnętrznych wyrzutni!

– Ponad dziewięćdziesiąt procent zewnętrznego uzbrojenia zostało odpalone, ma'am! – potwierdził Reznick.

– Eskorta sił głównych wyjdzie z cienia planety za jedenaście minut, ma'am – zameldował Stravos Kollentai.

– Doskonale! – Han odetchnęła głęboko, przypominając sobie inną bitwę, na pokładzie innego okrętu...

Spojrzała na Changa i dostrzegła na jego twarzy cień uśmiechu – on też ją pamiętał.

– Komandorze Reznick, proszę wysłać rozkaz do wszystkich: „Wykonać Akcjum Jeden” – poleciła.

– Aye, aye, ma'am.

– Admirale Tsing.

– Tak, ma'am? – odezwał się nieoczekiwanie ciepło.

Han uśmiechnęła się szczerze, co nie zdarzało jej się często.

– Proszę przygotować się do ataku.

– Aye, aye, ma'am.

– Myśliwce admirała Windridera wystartowały, ma'am! – zameldował Reznick.

– Doskonale. Admirale Tsing, proszę zaczynać.

– Aye, aye, ma'am.

I superdreadnought RNS *Arrarat* ruszył, prowadząc do walki 9. Eskadrę Liniową Marynarki Republiki.

\* \* \*

– Panie admira! Sensory...

Trevayne obrócił się wraz z fotelem, przeszywając wzrokiem operatora, którego okrzyk przerwał ciszę. Już otwierał usta, by go obsztorcować, ale zamknął je bez słowa, widząc nowe symbole pojawiające się na ekranie taktycznym fotela. Teraz sytuacja rzeczywiście stała się jasna, a plan przeciwnika klarowny.

I nie była to dobra sytuacja.

Zza Zapaty III wyłaniał się rząd wrogich okrętów liniowych – osiem monitorów, dwadzieścia cztery superdreadnoughty i pancerniki. Przeciwnik krył się dotąd w cieniu planety i gdy wreszcie się ujawnił, był zbyt blisko, by okręty liniowe Trevayne'a mogły uniknąć starcia.

A zaraz potem nadeszły nowe meldunki i na ekranach taktycznych pojawiły się nowe symbole – setki myśliwców wyleciały z pasa asteroidów za plecami Czwartej Floty. Pochodzić mogły jedynie z lotniskowców eskortowych, które jeśli czekałyby z wyłączonymi napędami i nie używały aktywnych sensorów, mogły zostać uznane za metalowe asteroidy.

Lotniskowców większych klas nie dałoby się w ten sposób ukryć. Trewayne nie mógł nie poczuć respektu dla przeciwnika; miał mocne podejrzenia, czyja to konkretnie zasługa...

Zawsze uważał budowę lotniskowców eskortowych, zwłaszcza wyposażonych w tak doskonałe środki do prowadzenia wojny radioelektronicznej jak te, które atakowały jego konwoje, za niezrozumiałą ekstrawagancję. Teraz przekonał się, że było to jak najbardziej logiczne posunięcie.

Zanim raporty przestały napływać, Trewayne odzyskał już równowagę. Teraz miał pełny obraz sytuacji i rozumiał, w jak groźną pułapkę dał się wciągnąć. Celem przeciwnika nie było powstrzymanie natarcia 4. Floty, ale jej zniszczenie. Dlatego pozwolono mu na spokojny tranzyt do systemu: chodziło o złapanie jego powolnych okrętów liniowych między warpami, tak by nie mogły uciec zaatakowane równocześnie ze wszystkich stron. Gdyby rebeliantom udało się unicestwić Czwartą Flotę, mieliby otwartą drogę do Zephraim. Gdy to pojął, wszystko inne także stało się dlań jasne i dlatego był jedynym na pokładzie okrętów z Obrzeża, którego nie zaskoczyło to, że pancerniki ścigane przez Remkę przestały uciekać. W następnej chwili wyłączyły pokładowe ECM-y i pokazały, czym naprawdę są. A były lotniskowcami uderzeniowymi, z których pokładów startowały właśnie myśliwce, by zaatakować lotniskowce Stonera.

Trewayne obserwował to z ponurą satysfakcją – a więc jednak miał rację i do decydującej walki dojdzie w systemie Zapata. Tyle tylko, że będzie to starcie, o jakim nikomu się nie śniło w najgorszym koszmarze.

– Mam odwołać komandora Sandovala, sir? – Pytanie Yoshinaki wyrwało go z rozmyślań.

Sandoval był właśnie w drodze na *Togo*, na konferencję ze swym odpowiednikiem w sztabie Sonji.

– Nie, Genji. Jego kuter zdąży dotrzeć do *Togo* przed rozpoczęciem walki, ale nie zdążyłby tu wrócić. Obawiam się, że oboje z Sonją będą musieli to jakoś przeżyć. Podobnie jak my będziemy musieli przeżyć spotkanie z inną młodą damą.

– Przepraszam, sir?

– Ten plan mogła wymyślić tylko jedna osoba, Genji. I to właśnie ona dowodzi rebelianckimi siłami głównymi. Admirał Han Li wróciła wyrównać rachunki i tym razem złapała mnie z opuszczonymi portkami – wyjaśnił Trewayne i roześmiał się chrapliwie.

I ten krótki śmiech jakby rozwiał jego ostatnie wątpliwości – zaczął bowiem wydawać precyzyjne rozkazy, w wyniku których jego okręty wolno, ale równo zmieniały szyk i kurs, zwracając się ku prawdziwemu przeciwnikowi.

Trewayne odzyskał pewność siebie – rebelianci byli silni, ale nie aż tak silni jak on. Największe zagrożenie stanowiły myśliwce, ale i ich nie było wystarczająco wiele, by wyrównać szanse. A raczej jeszcze nie było ich wystarczająco wiele, bo jeżeli Remko i Stoner nie zdołają powstrzymać lotniskowców uderzeniowych, sytuacja ulegnie zmianie. Fakt,

czekała ich nierówna wymiana rakiet z rebelianckimi okrętami liniowymi, ale gdy odległość zmalała na tyle, by można było użyć dział, jego pozycja stała się lepsza. A poza tym i tak mógł przetrzebić trochę siły przeciwnika rakietami grawitacyjnymi, nim ten znajdzie się na tyle blisko, by móc odpalić klasyczne.

Pierwsza salwa rakiet grawitacyjnych dowiodła, że w tej kwestii był zbytnim optymistą. Naukowcy Republiki nie osiągnęli może spektakularnych sukcesów, ale też nie siedzieli z założonymi rękami. Skoncentrowali się na obronie i opracowali rozwiązanie prawie równie przełomowe jak wcześniejsze ich kolegów z bazy Zephraim, czyli napęd grawitacyjny. Siłowe pola elektromagnetyczne zwane tarczami, w które wyposażono rebelianckie okręty liniowe, pozornie niczym się nie różniły od używanych przez ponad dwieście lat standardowych i dawały taki sam efekt. Natomiast ich generatory były zupełną nowością. Dotychczasowe pole było w stanie wchłonąć określoną dawkę energii, po czym się przeładowywało, generator ulegał zniszczeniu lub poważnemu uszkodzeniu i praktycznie aż do końca bitwy okręt pozbawiony był tarczy. Nowe pola przeładowywały się równie szybko, ale w generatorze jedynie wywalał bezpiecznik, który włączał się ponownie prawie natychmiast i tarcza znów się pojawiała, gotowa pochłonąć kolejną dawkę energii.

A to nie był koniec przykrych niespodzianek. Gdy ocalałe z pierwszej fali myśliwce wróciły na lotniskowce w celu uzupełnienia amunicji i paliwa, druga fala, prawie równie silna, zignorowała okręty admirała Remki i obrała za cel lotniskowce Stonera chronione jedynie przez szczątkowy personel powietrzny. Lawina pocisków przeładowała obronę antyrakietową flagowej jednostki Carla Stonera. Lotniskowiec zdążył nadać Kod Omega i zniknął w ognistym wybuchu. FNS *Hellhound* przestał istnieć wraz z całą załogą i częścią uzbrajanych właśnie myśliwców. A to była dopiero pierwsza fala ataku...

Okręty liniowe nie są szybkimi jednostkami, toteż nim rozpoczęła się walka sił głównych, Trevayne zdążył połączyć się z *Arquebusem* i mimo zwłoki czasowej porozmawiać z Remką.

– Najważniejsze, żebyś zniszczył te lotniskowce. Najlepiej kiedy będą miały na pokładach myśliwce. Żeby to osiągnąć, musisz podejść blisko. Powtarzam: blisko. – Trevayne pochylił się w stronę kamery. – Sean, dowodzisz forpocztą, bo uważam, że jesteś najbardziej agresywnie czy też zaczepnie nastawionym dowódcą w całej Czwartej Flocie. Teraz to udowodnij!

Remko spoglądał na niego przez denerwująco długi czas, czekając, aż sygnał do niego dotrze. Patrząc na jego twarz, Trevayne przypomniał sobie, jak Kevin Sanders scharakteryzował generała Ulissesa Granta, jednego z dowódców amerykańskiej wojny secesyjnej: „Facet miał z zasady taką minę, jakby zdecydował się właśnie przebić głową mur i za moment miał to zrobić”.

Remko miał dokładnie taką samą minę, gdy oznajmił:

– Aye, aye, sir. Osobiście wsadzę temu, kto tam dowodzi, działo w dupę i nacisnę spust, sir!

Po czym zaczerwienił się i przerwał połączenie.

– No i proszę – Trewayne spojrział na Yoshinakę i uśmiechnął się. – A podobno Sean nie jest elokwentny...

– Rebelianci zbliżają się do skutecznego zasięgu konwencjonalnych rakiet, sir – przypomniał mu Yoshinaka.

– Wiem. Udaj się do sekcji wywiadu i uzmysłów Ławrientijowi, jak ważne jest znalezienie słabego punktu tych nowych tarcz, dobrze?

Yoshinaka kiwnął głową i ruszył ku windzie.

Trewayne jakby tknięty nową myślą wstał i odprowadził go.

– Sprawdź też, czy Kevin nie ma jakiegoś pomysłu – dodał. – I pospiesz się; w ciągu paru minut zrobi się gorąco.

Yoshinaka przytaknął powtórnie i wszedł do windy. Na szczęście Sanders znajdował się w sekcji wywiadu, co upraszczało wykonanie rozkazów.

Trewayne zaś wrócił na fotel. Usiadł prawie dokładnie w chwili, w której rebelianci odpalili pierwszą salwę rakiet. Nie oszukiwał się – celem większości z nich musiał być *Nelson*, ponieważ zniszczenie go nie tylko wyłączyłoby okręty z walki, ale i udowodniło, że nawet supermonitor nie jest niezniszczalną bronią.

\* \* \*

– Wiadomość od admirała Pietrowny, ma'am. Nieprzyjacielska straż przednia nie wycofuje się, za to wzmocniła ostrzał rakietowy.

– Dziękuję, Bob – powiedziała spokojnie Han, przyglądając się ekranowi taktycznemu.

Miała nadzieję, że forpoczta się wycofa, ponieważ celem fortelu było zniszczenie myśliwców Trewayne'a i dotarcie jej własnych okrętów w zasięg konwencjonalnych rakiet bez zmasakrowania rakietami nowej generacji, nie zaś doprowadzenie do boju spotkaniowego forpoczty z okrętami Magdy. Pierwsze dwa cele osiągnęła, a trzeci sukces przyszedł sam – ten, kto dowodził strażą przednią, nie stracił głowy i zrobił to, co mógł najlepszego. Czyli z jej punktu widzenia najgorszego – próbował dopaść lotniskowce i zniszczyć ich pokłady hangarowe, katapulty i co tylko mógł. Z taką ewentualnością liczyła się od początku i dlatego powierzyła dowództwo Magdzie, bo tylko ona potrafiła zmienić taki atak we wsadzenie ręki w piłę łańcuchową. Han mogła mieć tylko nadzieję, że ostrze nie pęknie i Magda nie oberwie.

– Proszę wysłać do admirała Windridera rozkaz, by natychmiast wypuścić rezerwowe myśliwce – poleciła.

Ukryte w pasie asteroidów lotniskowce eskortowe okręty-bazy miały stanowić ostatnią rezerwę i równocześnie ostatni element pułapki, ale upór straży przedniej spowodował, że Magda musiała skorzystać ze wszystkich myśliwców, jakimi dysponowała. Tylko w ten sposób mogła poradzić sobie z krążownikami liniowymi. A to oznaczało, że ona sama potrzebowała myśliwców Jasona już teraz.

– Aye, aye, ma'am.

– Przeciwnik znajduje się w skutecznym zasięgu rakiet, ma'am – zameldował Tsing. – Kapitan Parbleu ma stały namiar celu.

– W takim razie może pan otworzyć ogień, admirale.

– Aye, aye, ma'am. Ognia!

I cała 9. Eskadra Liniowa odpaliła rakiety z zewnętrznych wyrzutni.

\* \* \*

Większość rakiet zmierzających ku *Nelsonowi* została zniszczona przez skoordynowaną obronę raketową 1. Eskadry Supermonitorów, ale część z nich po prostu musiała dotrzeć do celu. Taki był rachunek prawdopodobieństwa i realia walki w przestrzeni. Ponieważ salwa była potężna, przedarło się ich sporo i wokół okrętu rozpętało się nuklearne piekło, gdy głowice detonowały kolejno na polach siłowych, przeładowując generatory jeden po drugim. A potem nie było już tarcz i następne detonacje unicestwiały opancerzony kadłub, prując i otwierając całe sektory okrętu. W olbrzymich burtach powstawały wielkie kratery o stopniowo stygnących ścianach w miejscach, gdzie mieściły się stanowiska artylerii, wręgi czy inne elementy okrętu.

Jeden z nich – czystym przypadkiem głębszy od innych – sięgnął ku opancerzonym przedziałom otaczającym pomost flagowy...

\* \* \*

– Co najmniej dziesięć trafień w główny cel! – zameldował uradowany szef sztabu Tsinga. – Tarcze przestały działać, a z przestrzelin wycieka atmosfera, sir!

– Ciężkich uszkodzeń wewnętrznych to on jeszcze nie odniósł – ocenił cicho Tomanaga. – Ale nie można mieć wszystkiego od razu.

\* \* \*

Seria potężnych wstrząsów targnęła kadłubem *Nelsona*. Po nich nastąpiła seria coraz bliższych eksplozji i rozległ się przeraźliwy dźwięk rozdieranego, zgniatanego metalu. A potem na kilka sekund rozpętało się piekło niepojęte dla ludzkich zmysłów. Większość obsady pomostu flagowego zginęła. Nawet uprząże antyurazowe nie zdołały ocalić wszystkich. A Trevayne nie dość, że nie miał swojej zapiętej, to nawet nie znajdował się w swoim fotelu...

Siła wybuchu porwała go i cisnęła na podest, na którym stał fotel admirański. Zetknięcie z metalem strzaskało mu kręgosłup, a na dodatek jakiś odłamek przebił mu skafander, co w pomieszczeniu, z którego przez solidną dziurę wylatywało powietrze, samo w sobie było śmiertelnie groźne. A Trevayne i tak miał niezwykle szczęście.

Kolejna rakietka detonowała bowiem prawie w tym samym miejscu, tyle że nie uderzyła o

kadłub, lecz eksplodowała się w przestrzeni. Rozpruty pancierz nie stanowił żadnej osłony przed promieniowaniem, które wypełniło okolice, i większość tych, którzy przeżyli pierwsze trafienie na pomoście, zginęła od niego. Fotel, za którym leżał Trewayne, osłonił go na tyle, że dawka promieniowania, jaką otrzymał, nie była śmiertelna... natychmiast.

\* \* \*

Genji Yoshinaka wiedział, że stało się coś niedobrego, gdy rozległ się dźwięk alarmu dekompresyjnego, a winda stanęła z ostrym szarpnięciem, posyłając go na ścianę. Stracił na moment przytomność, ale pozbierał się szybko. Sterowanie ręczne nie działało, a wygięte drzwi nie chciały się otworzyć. Wyjął z kabury pistolet laserowy, ustawił na ogień ciągły i wyciął sobie drogę, tracąc prawie cały zasilacz. Wykopał drzwi i po paru krokach wrócił na pomost flagowy, który przed parunastoma sekundami opuścił.

I zobaczył scenę z piekła rodem.

Wśród pogiętego i poczeriałego metalu leżały ciała i szczątki ciał. Powietrze uciekało z wyciem przez jeden duży otwór o poszarpanych ścianach i serię mniejszych. Przecięte kable wiły się niczym żywe węże, pryskając iskrami i błękitnymi błyskawicami wyładowań.

Zanim to wszystko w pełni dotarło do jego otepiałego umysłu, zadziałały odruchy wbijane do głowy jeszcze w akademii. Złapał najbliższą apteczkę i skoczył ku wyglądającej jak szmaciana lalka postaci leżącej za admiralskim fotelem. Wprawnymi ruchami sprawdził skafander i załatał rozdarcie, a równocześnie ze spokojem w głosie polecił, używając częstotliwości ratunkowej:

– Doktor Yuan ma zjawić się natychmiast na pomoście flagowym! Dwie drużyny awaryjne na pomost flagowy! Użyjcie obejścia, główne przejście zablokowane! Kapitanie Mujabi, proszę powiadomić admirała Desai, że przejmuje dowództwo. Szczegóły podam wkrótce.

Ten spokój najbardziej zaskoczył jego samego. Potem nie miał już nic do roboty, mógł tylko czekać obok ciała z dystynkcjami wiceadmirała na rękawie munduru i pokrytej mgłą twarzowej części hełmu.

Nadal klęczał koło niego, gdy przybył doktor Yuan i drużyny awaryjne.

\* \* \*

– Kolejne trafienie głównego celu, ma'am – zameldował Tomanaga. – *Nelson* traci napęd i praktycznie przestał strzelać. Proszę o pozwolenie zmiany celu.

– Udzielam.

– *Parnassus* melduje krytyczne uszkodzenia, ma'am. Prosi o zezwolenie wycofania się z walki.

– Udzielić i potwierdzić – poleciła Han, wiedząc, że superdreadnought będzie miał olbrzymie szczęście, jeśli zdoła tego dokonać w piekle, w jakie zmieniła się przestrzeń

otaczająca obie formacje.

– Admirał Iskan melduje o zniszczeniu obu niszczycieli eskortowych i prosi o dodatkowe wsparcie myśliwskie, ma'am.

– Nie dostanie go, bo nie ma wolnych myśliwców. Proszę polecić mu ustawienie okrętów za Szesną Eskadrą i skorzystanie z jej osłony.

– Aye, aye, ma'am!

– Wszystkie okręty wystrzeliły rakiety z zewnętrznych wyrzutni, ma'am.

– Przejść na ogień ciągły wyrzutni pokładowych i powoli zmniejszać dystans do przeciwnika. Przekazać rozkaz admirał Kanohe: niszczyciele mogą atakować. Rozkaz do wszystkich okrętów liniowych: przygotować się do ostrzelania z dział wyznaczonych celów.

– Aye, aye, ma'am.

– Admirale Tsing, proszę wydać rozkaz, gdy znajdziemy się w zasięgu dział.

– Aye, aye, ma'am!

\* \* \*

Sonja Desai właśnie wydawała polecenia swemu szefowi sztabu, gdy na pomost flagowy FNS *Togo* prawie wbiegł Joaquin Sandoval.

– ...proszę wziąć go w sferę. Myśliwce nie będą w nieskończoność zajęte jednostkami eskorty, a ich okręty liniowe będą się zbliżać, by zniwelować przewagę rakiet grawitacyjnych...

Sandoval nie przerywał jej, ale czekał z rosnącą niecierpliwością. Jego kuter dotarł na pokład hangarowy *Togo* już po rozpoczęciu bitwy i w krwi Sandovala krążyło więcej niż zwykle adrenaliny. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru dawać Sonji pretekstu do rugania go za naruszenie zasad wojskowej uprzejmości.

W końcu umilkła i odwróciła się ku niemu.

– Komandorze Sandoval, najlepiej będzie, jeśli wprowadzę pana w obecną sytuację – oznajmiła, nie bawiąc się w powitania. – Admirał Trevayne został poważnie ranny i wyłączony z walki, wobec czego przejęłam dowodzenie Czwartą Flotą. *Nelsona* pozbawiono tarcz i poważnie uszkodzono; w zasadzie nie nadaje się do walki. Zachował zdolność manewrową, ale to wszystko. Żeby uniknąć całkowitego zniszczenia go, możemy wziąć go w sferę. Ponieważ pomost flagowy nie istnieje, dowództwo Pierwszej Eskadry przejął kapitan Mujabi. *Olympus* został zniszczony, a *Drake* i dwa superdreadnoughty ciężko uszkodzone. Rebelianci także ponieśli straty, ale nadal się zbliżają i wkrótce znajdą się w zasięgu dział.

Sandoval przyglądał się jej osłupiały, zastanawiając się, co płynie w żyłach tej kobiety. Wyszło mu, że formaldehyd. Gdy umilkła, spytał:

– Komodor Yoshinaka, ma'am?

– Cały i zdrowy.

– W takim razie lepiej wróć do niego...



– To nie wchodzi w grę, komandorze. Nie zdoła pan tam dotrzeć kutrem ani czymkolwiek innym. Witamy na pokładzie. Proszę się dobrze przypiąć, bo na pewno będzie nami ostro rzucać!

\* \* \*

– Nie jesteśmy w stanie ich zatrzymać, ma'am! Tracą okręty i pchają się do przodu jak samobójcy, ma'am!

Magda Pietrowna spoglądała spokojnie na oficera dowodzącego myśliwcami. Komodor Huyler był dobrym oficerem i zwykle nie ulegał panice. Ale sytuacja była wyjątkowa – przeciwnik ignorował wszelkie zasady i zdrowy rozsądek, byle tylko dopaść lotniskowce. I mimo ponoszonych strat oraz wysiłków pilotów myśliwskich udawało mu się powodować coraz większe zniszczenia na ich pokładach. A dopiero wszedł w zasięg dział...

– *Parnassus* i *Copperhead* nadały Kody Omega, ma'am – zameldował w tym momencie oficer łącznościowy. – *Shiriken* melduje o stracie całego uzbrojenia artyleryjskiego.

– Komodorze Huyler, proszę skoncentrować się na ciężkich krążownikach i niszczyć je kolejno – poleciała spokojnie. – Krążownikami liniowymi musi zająć się eskorta.

– Aye, aye, ma'am!

Twarcz Huylera znikła z ekranu łączności, a Magda spojrzała na ekran taktyczny. Wiedziała, że dobrze ukrywa strach – miała w tym dużą wprawę. Sytuacja nie była jednak dobra, zaczynała być wręcz zła. Jej lotniskowce musiały pozostać w zasięgu umożliwiającym wsparcie sił głównych, gdyż inaczej Trewayne wygra. A żeby to osiągnąć, mogła zrobić tylko jedno...

Wcisnęła klawisz łączności całego Zespołu Wydzielonego i oznajmiła:

– Mówi admirał Pietrowna. Skończyliśmy się cofać, panie i panowie. Zatrzymamy ich tu i teraz albo nie wrócimy do domu. Admirał Li liczy na nas i nie zawiedziemy jej!

Przerwała połączenie, nim rozbrzmiały wiwaty. Z kamienną twarzą obserwowała na ekranie taktycznym, jak obie formacje sił głównych mieszają się, wchodząc w zasięg dział pokładowych.

\* \* \*

– I co?

Kapitan chirurg Joseph Yuan wstał i spojrział na zaniepokojonego Yoshinakę. Wokół nich uwijali się członkowie ekip ratowniczych i awaryjnych, uszczelniając ściany i sprzątając pobjowisko, jakim stał się pomost flagowy. Dopiero po ich przybyciu i zjawieniu się ekipy medycznej Genji ocknął się i zaczął się bać. Pierwszy raz, odkąd Yuan go znał, widać było, że nie do końca nad sobą panuje.

– Admirał ma złamany kręgosłup, wstrząs mózgu i liczne obrażenia wewnętrzne oraz otrzymał bardzo silną dawkę promieniowania – oznajmił Yuan. – To cud, że jeszcze żyje, ale

ten cud nie potrwa długo. Wątpię, by był w stanie go uratować zespół specjalistów w doskonale wyposażonym szpitalu. Ja nie potrafię.

Yoshinaka próbował zrozumieć to, co usłyszał, i nie bardzo mu się to udawało. Co prawda Yuan ostrzegł go, że też mógł doznać wstrząsu mózgu, ale nie bardzo go to przekonywało.

– To znaczy, że on umrze? – spytał w końcu.

– Niekoniecznie...

Na pomost weszło dwóch pielęgniarzy – jeden ciągnął, drugi pchał dziwnie odrażający obiekt. Mimo całej dołączonej doń aparatury i dodatkowych zbiorników nie dało się bowiem ukryć, że jest to solidna, metalowa trumna.

Yuan wskazał ją i wyjaśnił:

– To jego szansa. Może to nie najprzyjemniejsza perspektywa, ale jak się nie ma, co się lubi... Jeżeli szybko umieścimy go wewnątrz i dokonamy procesu hibernacji, admirał ma szansę przeżyć. Ta procedura nie daje stuprocentowej gwarancji powodzenia i zwykle poprzedza się ją starannymi przygotowaniem pacjenta, ale nie mamy na to czasu. I dlatego nie będziemy w stanie go odmrozić.

Niczego nie rozumiejąc, Yoshinaka obrzucił go spojrzeniem zarezerwowanym zwykle dla wariatów groźnych dla otoczenia.

– Jeżeli nie potrafimy go odmrozić, to po co to wszystko? – spytał łagodnie.

– Nie potrafimy go odmrozić teraz, ale możemy zatrzymać funkcjonowanie jego organizmu. Zawiesić je, inaczej mówiąc, w nieskończoność. Nauka i technika czynią cuda. Sądzę, że w niedalekiej przyszłości będzie możliwe odwrócenie efektów tej prowizorki i wyleczenie go. Nie mogę tego naturalnie gwarantować, ale... Do diabła, to jedyne, co możemy zrobić, poza staniem i patrzeniem, jak umiera!

Ostatnie zdanie dodał tonem świadczącym o tym, że los Trevayne'a nie jest mu obojętny, jak można by sądzić na podstawie zwykłych zachowań.

Pielęgniarze i para techników, którzy przybyli wraz z nimi, przygotowywali tymczasem pospiesznie komorę kriogeniczną. Jeden z nich uniósł głowę i oznajmił nagle:

– Doktorze, jego funkcje życiowe słabną.

– Cholera! – jęknął Yuan. – Już może być za późno! Pakujemy go do środka! Piorunem, ludzie, piorunem!

\* \* \*

Na słonecznej ziemskiej plaży mała dziewczynka o rudych włosach uśmiechnęła się i pomachała ręką. A komandor porucznik Ian Trevayne podbiegł do niej.

\* \* \*

Sean Remko przyjrzał się zgromadzonym oficerom swego sztabu wraz z kapitanem

flagowym i oznajmił twardo:

– Panie i panowie, nie będę się pieprzył stratami i raportami o uszkodzeniach. Naszym zadaniem jest nie dopuścić tych myśliwców do admirała, a to oznacza związanie walką, a najlepiej zniszczenie ich lotniskowców. Takie dostałem rozkazy i nie chcę słyszeć, że myśliwce to, rakiety tamto a cokolwiek jeszcze coś. Najważniejsze, że przestali się cofać i możemy ich dorwać. Rozkazy dotyczą każdego okrętu mogącego się poruszać i mającego z czego strzelać. Tego także. A jak ktoś będzie się włókł w ogonie, to osobiście urwę mu łeb z płucami! Czy to jasne?

Jego tyrada wywołała duży szok tak z uwagi na słownictwo, jak i na zjadłość, toteż kapitan flagowy dopiero po dłuższej chwili odważył się wykrztusić:

– Aye, aye, sir!

Remko rzucił mu ostre spojrzenie, przegonił resztę na stanowiska i gestem nakazał mu, by pozostał na miejscu. Kiedy nikogo nie było już w pobliżu, spytał cicho:

– Nigdy mnie pan nie lubił i nie polubił mnie pan ostatnio, prawda?

Cyrus Waldeck spojrzał mu prosto w oczy i powiedział równie cicho:

– Nienawidzę pana, sir. Ale teraz ważniejsze jest wyrżnięcie tych cholernych rebeliantów, więc będę robił, co tylko pan rozkaże, sir!

Remko wyciągnął ku niemu prawicę.

Waldeck uścisnął ją bez wahania.

\* \* \*

– Straż przednia wymusiła na naszych siłach bój spotkaniowy, sir. Admirał Pietrowna potrzebuje myśliwców, by ją powstrzymać, i nie może wysłać żadnych maszyn do wsparcia sił głównych, sir! – zameldował szef sztabu.

Konradmirał Jason Windrider spojrzał nań zimno. Z tonu Iwana wynikało, że podejrzewał Magdę o zbytnią ostrożność i miał pretensje o zatrzymywanie myśliwców, które jego zdaniem mogłaby wysłać, ryzykując trochę większe straty. Ponieważ nie znał Magdy, miał do tego prawo, ale nie oznaczało to, że Jason musiał go za to lubić. Bo on znał Magdę i wiedział, że skoro tak postąpiła, musiała widać tych myśliwców desperacko potrzebować. Poza tym była to pierwsza bitwa, w której brali udział, będąc na pokładach różnych okrętów, i dopiero teraz zrozumiał, jak trudnym doświadczeniem jest coś takiego dla kochających się osób.

A okręt Magdy, jak wynikało z danych widocznych na ekranie taktycznym, już oberwał co najmniej raz...

On sam nie miał pod rozkazami nic większego od niszczyciela czy lotniskowca eskortowego. Te pierwsze nie posiadały liczącego się uzbrojenia artyleryjskiego, te drugie w ogóle pozbawione były dział czy wyrzutni rakiet, nie licząc kilku stanowisk obrony przeciwlotniczej. Nawet gdyby rozkazy na to zezwalały, nie miał fizycznej możliwości, by jej

pomóc.

– Właśnie przechwyciliśmy rozkaz admirała Pietrowny, sir – zameldował oficer łącznościowy.

– Wysłała myśliwce pierwszego rzutu na pomoc admirała Li...

Jason zgrzytnął zębami, ale gdy się odezwał, głos miał jak zwykle spokojny:

– Proszę nadać wiadomość do admirała Pietrowny. Treść wiadomości: „Sugeruję odwołanie myśliwców i wykorzystanie ich do rozbicia straży przedniej. Wsparciem lotniczym sił głównych sam się zajmę. Windrider, bez odbioru”. Koniec wiadomości – po czym dodał, spoglądając na szefa sztabu: – Zostawiamy okręty-bazy, a z resztą ruszamy na spotkanie sił głównych.

– Między nami a jednostkami admirała Li znajdują się okręty liniowe wroga, sir – powiedział cicho Iwan. – Pierwsza fala myśliwców miała krótszą drogę i mogła wrócić po amunicję i paliwo. Aby móc wesprzeć admirała Li, musielibyśmy podejść na tyle blisko, że znaleźlibyśmy się w zasięgu wrogich rakiet. To będzie masakra, sir.

– Jeżeli admirał Pietrowna nie będzie miała swoich myśliwców, zostanie zmasakrowana, a potem to samo spotka nas i siły główne. Lepiej żeby przydarzyło się to tylko jednej grupie naszych sił, jeżeli już musi, Iwan – odparł spokojnie Jason. – A teraz dopilnuj wykonania rozkazów.

– Aye, aye, sir.

Dwadzieścia cztery napędy ożyły i ukryte wśród pola asteroidów lotniskowce eskortowe stały się widoczne dla sensorów. Dwa tuziny niewielkich i delikatnych okrętów ruszyły całą naprzód w stronę starcia tytanów, w które przerodziła się bitwa sił głównych.

Jason Windrider obserwował ekran taktyczny i z braku lepszego zajęcia zastanawiał się, czy na jego decyzję większy wpływ miała obiektywna ocena sytuacji taktycznej, czy subiektywna chęć niesienia pomocy ukochanej osobie. Przychylił się do zdania, że chodzi o to pierwsze, ale pewności nie miał... Teraz zresztą już niczego nie był w stanie zmienić, więc nie było sensu dalej się nad tym zastanawiać. Doszedł do tego wniosku w tym samym momencie, w którym napłynęły dwa meldunki:

– Jesteśmy w zasięgu rakiet wroga, sir.

– Nieprzyjacielskie okręty znajdują się w skutecznym zasięgu myśliwców, sir.

– Proszę rozkazać start wszystkim maszynom – polecił.

– Aye, aye, sir!

– Nieprzyjaciel wystrzelił rakietę w naszą stronę, sir! – zameldował szef sztabu, starając się, by zabrzmiało to beznamiętnie.

– Proszę ogłosić pogotowie dla obrony antyrakietowej – rozkazał spokojnie kontradmirał Windrider.

– Aye, aye, sir!

\* \* \*

Obie floty dzieliła minimalna odległość, a próżnię między nimi wypełniały promienie dział laserowych, nieliczne eksplozje głowic nuklearnych i wykorzystujące efekt Erlichtera wiązki fazyerów i beamerów. Pod ich ciosami znikwały tarcze siłowe, parował najgrubszy pancierz i całe sekcje ulegały dehermetyzacji. Każde trafienie siało śmierć i zniszczenie, a przy tej odległości praktycznie każdy strzał był celny. Inaczej rzecz się miała jedynie z raketami, których znaczna część ulegała zniszczeniu po drodze.

Nowe generatory tarcz znacznie zwiększyły odporność na trafienia republikańskich okrętów – superdreadnought był w stanie wytrzymać ich tyle samo co monitor ze starymi generatorami. Natomiast Czwarta Flota nadal miała przewagę tak w masie, jak i w uzbrojeniu. A raczej miałyby ją, gdyby nie myśliwce i uzbrojone w ciężkie działa laserowe niszczyciele, które atakowały flotyllami wybrane cele. Myśliwce co prawda miały dłuższą przerwę w walce, ale teraz pojawiły się ponownie i choć wiele z nich zostało zniszczonych, ich desperackie ataki odnosiły coraz większy skutek. Niszczyciele trudniej było unicestwić, choć były mniej zwrotne, ale dowódcy flotylli czy eskadr wybierali za cel już uszkodzone jednostki. A przy tak małej odległości działa laserowe stanowiły skutecznie dobijającą broń i Sonja Desai zmuszona była kierować przeciwko nim coraz więcej siły ognia potrzebnej przeciw dużym okrętom. A mimo to lista strat rosła w zastraszającym tempie...

Coraz więcej Kodów Omega pojawiało się na ekranie taktycznym i coraz więcej jednostek znikowało z niego rozszarpanych eksplozjami lub zmienionych w bezwładnie dryfujące bezbronne wraki. Na razie były to tylko pancerniki i superdreadnoughty, ale wiedziała, że to się szybko zmieni. Nikt dotąd nie widział masakry na tak wielką skalę toczonej przez tak małą odległości. Nawet najbardziej zacięte bitwy czwartej wojny międzyplanetarnej, choć brało w nich udział więcej okrętów, nie były rozgrywane z tak bliskiego dystansu – przynajmniej jeśli chodzi o okręty liniowe.

A otaczające je piekło coraz bardziej się rozgrzewało, zamiast słabnąć.

Częściowo była to zasługa zmodyfikowanych dział rebelianckich, a takich była prawie połowa na wszystkich ich okrętach. Modyfikacja dotyczyła jedynie beamerów. Rebelianckim naukowcom najwyraźniej nie udało się odkryć tajemnicy zmiennej soczewki, wymyślili jednak coś prawie równie skutecznego, co pozwalało na dłuższy strzał z takiego działa. Dzięki temu zamiast punktowego przebiccia uzyskiwało się cięcie. Niewielkie, bo zaledwie pięciocentymetrowe, ale ponieważ promień przenikał przez wszystko łącznie z elektromagnetycznym polem siłowym, dawało to nieporównanie większe siły niszczące wewnątrz trafionego okrętu niż przy klasycznym punktowym przebicciu. Jako specjalistka od uzbrojenia Sonja podejrzewała, że stało się to możliwe dzięki jakiemś innemu zastosowaniu soczewki siłowej albo też wykorzystaniu jej innych właściwości. Naukowcy z bazy Zephraim zignorowali te opcje. Te zmodyfikowane działa były najgroźniejsze dla supermonitorów, gdyż mimo małej szybkostrzelności niszczyły instalacje chronione potężnymi tarczami i

niezwykle grubym, trudnym do przedziurawienia dla fazerów pancierzem.

Beamer od samego początku budził większy strach niż jakakolwiek inna broń, a powodem był braku ostrzeżenia o niebezpieczeństwie. Człowiek stał sobie spokojnie w samym sercu okrętu i nagle odkrywał, że został poważnie ranny, bo znalazł się na drodze promienia takiego działa. Wypadki takie należały do rzadkości, jako że ludzkie ciało jest małym obiektem, biorąc pod uwagę wielkość okrętu liniowego, ale się zdarzały.

Tak jak teraz, gdy promień zmodyfikowanego beamera trafił w pomost flagowy, z którego natychmiast z wyciem zaczęło uciekać powietrze. Dwóch członków obsady mostka znalazło się na jego drodze. Jednemu prawie odcięło głowę, drugiemu rozłupało pierś. Promień sięgnął ku fotelowi Sonji, ale nie dotarł do niego. Dotarł za to do nogi Sandovala, który zwałił się nagle na pokład, stwierdzając, że prawa noga nad kolaniem trzyma się jedynie na skórze i mięśni. A ponieważ promień beamera nie jest promieniem ciepłym, rana zaczęła natychmiast obficie krwawić.

A Sandoval zaczął krzyczeć.

Sonja zareagowała, nim ktokolwiek zdołał się ruszyć. Palnęła otwartą dłoń w blokadę uprząży antyurazowej i ledwie ta puściła, zsunęła się z fotela. Z najbliższej wybebeszonej przez trafienie konsoli wyrwała jakiś kabel i założyła Sandovalowi opaskę uciskową, energicznie mocując ją na kikucie nogi.

Równocześnie zaś wezwała na pomost medyków i drużynę awaryjną.

\* \* \*

– *Adder, Coral Snake, Ortler, Thera* i *Anderson* nadały Kod Omega, ma'am – zameldował chrapliwie Tomanaga wstrząśnięty liczbą ofiar.

Han siedziała i słuchała spokojnie tej litanii, myśląc o ludziach, którzy zginęli z ręki ludzi w imię obowiązku i honoru. O prawdziwym stanie jej ducha świadczyła jedynie strużka potu spływająca po policzku. *Arraratem* wstrząsnęła kolejna detonacja i Han spojrzała na oficera operacyjnego – siedział beczynn timer na swoim stanowisku, gdyż sieć taktyczna przestała istnieć. W ogóle na pomoście flagowym było cicho i spokojnie, słychać było tylko meldunki o kolejnych stratach i zniszczonych okrętach przeciwnika. Oraz uszkodzeniach jednostki flagowej.

Do fotela podszedł Tsing Chang, pochylił się i powiedział cicho:

– Ma'am, musi pani przenieść się na inny okręt, *Arrarat* nie nadaje się już na okręt flagowy.

– Nie – odparła równie cicho.

– Kapitan Parbleu nie żyje, pozostał nam jeden beamer i dwa działa laserowe, ma'am. W tej chwili nawet do nas specjalnie nie strzelają, ale to tylko kwestia czasu. Musi pani zmienić okręt, ma'am.

– Nie – powtórzyła Han. – Miałam dotąd trzy okręty flagowe i dwa z nich straciłam. Nie

opuszczę trzeciego.

Z ekranu taktycznego zniknął właśnie symbol *Bernarda da Silvy* zniszczonego przez okręty Republiki.

– To pani obowiązek, ma’am – uparł się Tsing. – Admirał dowodzi wszystkimi okrętami, a nie tylko jednym.

– Tak? A co w takim razie z pana eskadrą, admirale?

– Zostały mi tylko dwa okręty. Oba poważnie uszkodzone i wyłączone z sieci.

– Ale nadal ma pan do dyspozycji sprawną łączność – Han wiedziała, że *Arrarat* jest skazany na zagładę, ale zarazem miała dziwne poczucie, że jej obecność odwleka to, co nieuniknione.

Zdawała sobie sprawę, że to irracjonalne, ale to przeświadczenie było silniejsze od logiki.

– I wciąż mamy sprawny napęd – dodała. – Proszę wycofać okręt z walki. Nadal będę dowodziła stąd, ale będę bezpieczniejsza, co powinno rozwiać pańskie obawy.

– Aye, aye, ma’am – Tsing spojrział na nią i nagle uśmiechnął się ciepło. – Służenie pod pani rozkazami było prawdziwym zaszczytem, ma’am.

Spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem, ale zanim zaczęła coś podejrzewać, dodał:

– Przepraszam, ma’am.

I walnął ją krótkim, mocnym ciosem w szczękę.

Głowa Han odskoczyła, a ona sama zwiśla bezwładnie w uprząży antyurazowej, tracąc przytomność. Tsing natychmiast nałożył jej hełm i uszczelnił go, po czym polecił Tomanadze, nim ktokolwiek obecny na pomoście flagowym otrząsnął się z osłupienia:

– Ma pan cztery minuty na opuszczenie okrętu, komandorze! I na zabranie jej stąd! – po czym zwolnił blokadę uprząży, złapał bezwładne ciało i wręczył je nie znośnym sprzeciwu gestem Tomanadze. – Rusz się pan, do cholery!

Ostatnie zdanie wyrwało Tomanagę ze stuporu. Skinął głową Tsingowi i pognął do windy.

– Będzie potrzebowała swego sztabu! – przypomniał sobie Tsing. – Słyszeliście?! Won mi stąd!

Sztabowcom nie trzeba było powtarzać rozkazu – większość dopiero w połowie drogi na pokład hangarowy odetchnęła z ulgą.

Tsing zaś spokojnie usiadł w fotelu Han i nacisnął znajdujący się na poręczy klawisz pokładowego systemu łączności. Gdy się odezwał, jego głos dobiegł ze wszystkich ocalałych głośników na okręcie i z modułów łączności skafandrów wszystkich członków załogi:

– Mówi admirał Tsing. Nasze uzbrojenie zostało zniszczone, dlatego zamierzam staranować najbliższy okręt przeciwnika. Załoga ma trzy minuty na opuszczenie okrętu.

Wyłączył system i polecił oficerowi łącznościowemu:

– Komandor Howell, proszę przesłać wiadomość do admirała Windridera: „Wiceadmirał

Li przynosi się ze sztabem na RNS *Saburo Yato*. Potrzebna pilnie osłona myśliwska dla jej kutra”. Gdy tylko pani ją wysła, także proszę opuścić okręt.

I pochylił się nad klawiaturą, sprzęgając stery i maszynownię z pomostem, a konkretnie z admiralskim fotelem. Zajęło mu to paręnaście sekund, po czym uniósł głowę i zamarł – cała obsada pomostu pozostała na stanowiskach.

– Panie i panowie, chyba nie zrozumieliście moich rozkazów... – zaczął spokojnie.

– Zrozumieliśmy, panie admirale – przerwała mu spokojnie Frances Howell.

Tsing popatrzył na nią, zamknął usta i kiwnął głową. Po czym spojrział na zegar wiszący na ścianie.

– Za dwie minuty, komandor Howell, chcę mieć całą naprzód – powiedział uprzejmie i wskazał na jeden z supermonitorów widocznych na ekranie taktycznym. – O, ten wygląda na sympatyczny cel.

– W rzeczy samej wygląda, sir.

\* \* \*

– Co ona robi?! – zdziwił się Windrider.

Zostało mu tylko osiem lotniskowców, ale straty wśród myśliwców też były duże, toteż załogi pokładowe, uwijając się jak w ukropie, były w stanie uzupełnić paliwo i amunicję powracającym bez dodatkowych strat. Co więcej, udało się przebić do niego dwóm eskadrom lekkich krążowników, toteż ocalałe lotniskowce dysponowały wreszcie jakąś poważniejszą obroną antyrakietową.

– Admirał Li przynosi się na inny okręt, a admirał Tsing prosi o osłonę myśliwską dla jej kutra, sir – powtórzył uprzejmie oficer łącznościowy.

– Co ona, do cholery, wyprawia?! – warknął Jason, spoglądając na huragan ognia otaczający okręty liniowe, po czym westchnął i polecił już spokojnie: – No dobrze, sprawdź, czy uda ci się znaleźć w tym zamieszaniu kogoś, komu można byłoby to zlecić.

– Aye, aye, sir!

\* \* \*

Myśliwców Carla Stonera ocalało niewiele. Zdziętkowały je maszyny rebelianckie, gdyż Magda mogła użyć ich wszystkich do obrony. Nawet Sean Remko nie zdołał przebić się przez ich osłonę i wykonać do końca rozkazu Trewayne’a. Zniszczył pięć krążowników liniowych, dwa lotniskowce uderzeniowe i trzy lotniskowce floty, ale sam także poniósł poważne straty. A myśliwców wroga i lotniskowców, na których te pierwsze mogły uzupełniać paliwo i amunicję, pozostało zbyt dużo, by niedobitki jego własnych myśliwców mogły coś przeciwko nim zdziałać.

Dlatego odesłał je do sił głównych w desperackiej nadziei, że będą lepiej współdziałać z supermonitorami niż z jego lżejszymi okrętami ku obopólnej korzyści.



Dzięki temu trzy maszyny znalazły się na tyle blisko, by ich piloci zobaczyli naprawdę rzadki obraz w boju spotkaniowym flot. Oto z pokładu hangarowego ciężko uszkodzonego i prawie nie strzelającego już superdreadnoughta wystartował kuter i pomknął ku pobliskiemu monitorowi znajdującemu się w nieporównanie lepszej kondycji.

– Zulu Leader do wszystkich – odezwał się na kanale łączności eskadry dowódca. – To musi być ktoś ważny. Załatwimy go!

– Zulu Trzy, potwierdzam.

– Zulu Sześć, gotów.

I wszystko, co zostało z eskadry Zulu, czyli dowódca i dwóch skrzydłowych, wykonało ostry skręt i rozpoczęło nurkowanie w kierunku kutra.

\* \* \*

Porucznik Anna Holbeck potrząsnęła jedynie głową, słysząc rozkaz. Ktoś najwyraźniej był w szoku albo zidiociał do reszty, skoro uznał, że w tym piekle da się odszukać coś tak małego jak kuter. I że można mu będzie zapewnić jakąś ochronę, nawet gdyby miała pełną eskadrę a nie pięć maszyn.

Ale rozkaz nie gazeta, służy nie tylko do czytania... jak głosiło stare żołnierskie powiedzenie.

– Basilisk Leader do wszystkich – powiedziała zrezygnowana. – Poszukamy tego kutra.

Pięć maszyn skierowało się w ten rejon przestrzeni, w którym miał znajdować się kuter i bliżej nieokreślona ilość rakiet, krzyżujących się wiązek laserowych i innych oraz rozmaitego autoramentu śmiecia i szczątków. Już samo latanie w takim obszarze było igraniem z losem, bo nie sposób uniknąć zagrożenia, którego się nie widzi.

– Tu Basilisk Dwa, mam kuter na wizualnej – zameldował nagle jeden z pilotów. – Ale on z kolei ma kłopoty.

– Widzę go. Siadamy im na ogony, chłopcy i dziewczęta. Tylko nie ostrzelać kutra!

\* \* \*

Piloci klucza Zulu byli tak pochłonięci kutrem, że żaden nie zauważył pięciu przeciwników zachodzących ich od tyłu. A potem żaden nie był już w stanie niczego zauważyć.

\* \* \*

– Zbliży się do nas rebeliancki superdreadnought, sir!

– No i co w tym takiego dziwnego? – zdziwił się wiceadmirał Frederick Shespar, przenosząc wzrok z ekranu taktycznego fotela na główny ekran taktyczny FNS *Suffren*.

– Jest na kursie kolizyjnym i leci całą naprzód, sir!

Shespar zbladł i spojrział na ekran wizualny. To, co nadlatywało, trudno było określić

mianem okrętu. Był to poszarpany wrak znaczący swą drogę warkoczem atmosfery, szczątków, blach poszycia i kapsułów ratunkowych. Natomiast napęd musiał mieć w pełni sprawny, bo rzeczywiście rozwijał maksymalną prędkość.

Wiceadmirałowi Shesparowi tylko sekundę zajęło zrozumienie nie mieszczącego się w kanonach nowoczesnej wojny manewru, ale przy tych prędkościach i odległościach była to decydująca sekunda.

– Nowy cel dla całej eskadry! – rozkazał. – Rozstrzelać mi to...

Nie skończył zdania, gdyż okręt Changa zderzył się prawie czołowo z jego jednostką. Supermonitory i superdreadnoughty nie są zbyt szybkie, ale mają solidną masę. Nagłe zetknięcie się ze sobą łącznie ponad sześciuset pięćdziesięciu tysięcy ton, zbliżających się z prędkością pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę wywołało naprawdę spektakularny efekt.

Słowo „eksplozja” byłoby w tym wypadku zbyt słabym określeniem.

\* \* \*

Bywają wydarzenia zbyt katastrofalne, by ludzki umysł był w stanie się z nimi pogodzić lub w pełni je pojąć. Przynajmniej natychmiast. W dotychczasowej walce w systemie Zapata zginęło nieporównanie więcej ludzi niż w wyniku staranowania *Suffrena* przez *Arrarata*, ale nie ponieśli śmierci w tak spektakularny sposób. Czy też w sposób tak celowy jak świadome samobójstwo. Potężny rozbłysk, w którym zniknęły oba okręty, wydał się wszystkim wrotami piekieł, do których nikt się jakoś nie kwapił.

I dlatego strzelanina ustała, a jednostki obu stron odsunęły się od siebie. Nieznacznie co prawda, ale za to równocześnie. Przerwa w ostrzale nie była idealna, tu i tam detonowały rakiety i odzywały się działa, ale w porównaniu ze zmasowanym ogniem sprzed paru sekund praktycznie było to zawieszenie broni.

Nie oznaczało to oczywiście zakończenia działań – gdy błąda Han Li wyszła ze służby kutra na pokład hangarowy *Saburo Yato*, na pokładach lotniskowców Magdy Pietrowny i Jasona Windridera uzbrajano i tankowano setki myśliwców, a na pokładach wszystkich okrętów ładowano do wyrzutni kolejne rakiety. Han była wstrząśnięta śmiercią Tsinga, ale panowała nad sobą. Musiała jeszcze wygrać bitwę, a na żal i rozpacz przyjdzie czas później. Podobnie jak na stosowne opłakanie go i uczczenie jego pamięci.

Kiedy wyszła z windy na pomoście flagowym, kontradmirał Stephen Butesky natychmiast wstał z fotela. Kiwnęła mu głową i usiadła, a błądy Tomanaga w milczeniu zastąpił szef sztabu na dotychczasowym stanowisku.

– Stan floty! – warknęła Han.

Tak naprawdę nie chciała go znać. Nie chciała wiedzieć, ile okrętów i ilu ludzi straciła ani też jak olbrzymie straty poniósł przeciwnik. Ale miała swoje obowiązki, a nie sposób podjąć logicznych decyzji, nie mając obrazu aktualnej sytuacji i stanu sił tak wła...

– Admirał Li! – rozległ się głos oficera łącznościowego, odrywając ją od rozmyślań.

– Tak?

– Właśnie odebrałem wiadomość od wiceadmirał Sonji Desai, ma'am. Proponuje negocjacje...

Han wytrzeszczyła na niego oczy, nie wierząc w to, co słyszy, ale odruchowo nakazała gestem przełączyć rozmowę na główny ekran łączności. Coś takiego nigdy dotąd się nie wydarzyło. Poza tym nie bardzo wiedziała, kto to w ogóle jest ta wiceadmirał Desai i co...

Nie rozpoznała twarzy, która pojawiła się na ekranie. Skafander próżniowy kobiety był zbryzgany krwią, ale najwyraźniej nie jej własną, gdyż siedziała w fotelu prosto i nie miała typowej dla rannych bladeści czy specyficznego wyrazu oczu.

– Gdzie jest admirał Trewayne? – zapytała Han, nim tamta zdążyła się odezwać.

– Admirał Trewayne został ranny i ja przejęłam dowodzenie – odparła jak zwykle z kamienną twarzą Desai. – Sytuacja w mojej ocenie jest następująca, admirał Li. Możemy kontynuować walkę aż do rozstrzygnięcia. Uważam, że ją wygram, z czym pani najprawdopodobniej się nie zgodzi. Niezależnie jednak od tego, która z nas ma rację, wygranie tej bitwy będzie sprowadzało się do tego, która z nas będzie miała dwa okręty przeciwko jednemu okrętowi przeciwniczki. Zamiast tej bezsensownej rzezi proponuję zawieszenie broni na nieokreślony czas potrzebny nam do zawiadomienia naszych rządów o zaistniałej sytuacji. Jeżeli wybralibyśmy tę możliwość, prawdopodobnie poprosilibyśmy panią o przewiezienie naszego wysłannika do Centrum. Chodziłoby o wysokiego rangą przedstawiciela Federacji, który zdałby relację bezpośrednio premierowi.

Gdy Han słuchała tych słów, jej twarz była niczym kamienna maska. Wiedziała, że Desai myli się w ocenie sytuacji – to ona zwyciężała, mając do dyspozycji myśliwce i będąc zbyt blisko, by przeciwnik mógł wykorzystać przewagę nowych rakiet. Ale miała rację co do konsekwencji dalszej walki. Lotniskowce Jasona były zmasakrowane, Magda już poniosła znacznie większe straty, niż obie zakładały, a jej własne okręty liniowe oberwały tak, że wołała o tym nie myśleć. Jak dotąd zniszczyła trzy supermonitory, a czwarty od dobrych pięciu minut nie oddał ani jednego strzału, reszta też była solidnie podziurawiona, ale nadal zdolna do walki... Wiedziała, że wygra i zmyje hańbę drugiej bitwy o Zephraim, ale nie wiedziała, czy zostanie jej dość sił, by Zephraim zdobyć... i miała świadomość, że nie wystarczy ich, by pokonać atak idący z Centrum, a opóźniany przez siły osłonowe.

Poza tym nie miała pojęcia, co z Trewayne'em. Gdyby był martwy, Desai na pewno by tego nie powiedziała, nie chcąc umacniać morale przeciwnika.

Ponieważ cisza zaczęła się zbyt długo przedłużać, powiedziała:

– Przyjęcie proponowanego przez panią rozwiązania może przekraczać zakres moich kompetencji. I jeśli się na nie zgodzę, wezmę na siebie olbrzymią odpowiedzialność.

– Dokładnie tak samo jak ja.

– Niedokładnie. Zajęliście należące do Republiki cztery systemy planetarne, które mam

rozkaz wyzwolić...

– A ja mam rozkaz odtworzyć połączenie między Planetami Wewnętrznymi a Obrzeżem. A teraz, skoro obie grzecznie wyrecytowałyśmy, co nam kazano zrobić, proponuję, byśmy wróciły do rzeczywistości. Obie tu dowodzimy i obie wiemy, że te rozkazy nie mogą zostać wykonane bez rzezi przekraczającej granice rozsądku i przyzwoitości. Mamy ślepo wykonywać bezsensowne w tej sytuacji polecenia czy poinformować nasze rządy, jak ona wygląda? W sumie sprowadza się to do kwestii, co naprawdę jest naszym obowiązkiem i wobec kogo powinniśmy być lojalni. Na to pytanie większość z nas już musiała odpowiedzieć w ciągu ostatnich paru lat, prawda?

Spojrzały na siebie i żadna nie chciała pierwsza spuścić oczu.

Han nie była do końca pewna, czy chce wygrać tę największą bitwę w historii z poczucia obowiązku, czy z nienawiści do człowieka, być może już nieżyjącego, który ją wcześniej pokonał. Pragnęła zwycięstwa, tyle że zdawała sobie też sprawę, że sława będzie niczym w porównaniu ze świadomością, że wysłała następne tysiące ludzi na śmierć, choć istniało inne wyjście...

Nie mogła też mieć stuprocentowej pewności, że wygra, gdyż oznaczało to całkowite unicestwienie przeciwnika, bo po tej rozmowie Desai nie skapituluje. A w sytuacji, w której jedna strona walczy tylko o honor, nie sposób przewidzieć jej posunięć... Nie miała pewności, czy potrafi kazać ich rozstrzelać, jeśli tego wymagałaby sytuacja. Ruyarda była w stanie, ale on zasłużył na śmierć. A Trevayne mimo wszystko wtedy nie rozstrzelał jej ludzi...

Zanim w pełni sobie to wszystko uzmysłowiła, już powiedziała:

– Doskonale, admirał Desai. Zgadzam się na pani propozycję.

Wiceadmirał Li stała w obcej kabinie z opuszczonymi bezwładnie rękoma i ściągniętą twarzą, ale jej oczy były suche. Powoli opadła na fotel i uśmiechnęła się żałośnie. Straciła w swej karierze trzy okręty, które uważała za domy, i w tej chwili wszystkim, co posiadała z rzeczy osobistych, był skafander próżniowy. Reszta przestała istnieć wraz z *Arraratem*, *Changiem* oraz dwoma i pół tysiącami ludzi.

Ukryła twarz w dłoniach, walcząc z napływającymi łzami. Chang wybrał śmierć i sposób, w jaki zginął...

Ale tysiące innych, wykonując jej rozkazy, także zginęło, mimo że wcale tego nie chcieli, a wręcz przeciwnie: chcieli żyć. A ona nie potrafiła nawet wykorzystać ich ofiary i wygrać. Nie spłaciła długu, który u nich zaciągnęła, gdy ginęli, ufając, że ich śmierć ma sens i przyczyni się do zwycięstwa.

Wyprostowała się i spojrzała w lustro – na policzkach nie było śladu łez, ale spoglądał na nią ze zwierciadła ktoś obcy. Ktoś, kto miał jeszcze sprawy do załatwienia, bo zabici i stracone zwycięstwo były już przeszłością, a ona musiała stawić czoło przyszłości.

Zaczęła wybierać kod Magdy na klawiaturze, ale nie skończyła.

Odchyliła się na oparcie fotela i przymknęła oczy. Wiedziała, że musi naradzić się z Magdą, ale jeszcze nie miała na to sił. Jeszcze nie miała...

\* \* \*

Oficerów obecnych w sali odpraw supermonitora RNS *Togo* ogarnęło dziwne otepienie. I nie był to nieunikniony skutek bitewnego szoku, ale coś znacznie głębszego.

Sonja Desai przyglądała się twarzom ludzi, którzy tyle poświęcili dla zwycięstwa i którym tego zwycięstwa odmówiono. Nie zostali pobici, ale zbyt wysoką cenę zapłacili, by wystarczyła im świadomość, że nie ponieśli klęski.

Sean Remko wpatrywał się tępo w pokład – dowiedział się, co się stało z Trewayne'em. I żadne zapewnienia nie były w stanie odwieść go od przekonania, że zawiódł swego admirała i że to wszystko jego wina.

Yoshinaka i Kirilienko spóźnili się nieco, gdyż odlecieli z *Nelsona* wraz z Sandersem, który właśnie przygotowywał się do drogi na Ziemię, ale wpraw sprawdził stan Sandovala. Dopiero gdy okazało się, że jest stabilny, zjawili się w sali odpraw.

Obecny był też Mujabi jako nowy dowódca 1. Eskadry, a raczej tego, co z niej zostało. Podobnie jak i inni, którym dane było przeżyć to piekło.

Jednym z nich był Khalis Khan i to on zareagował pierwszy:

– Chce pani powiedzieć, że mamy tu siedzieć i czekać, dopóki nie dostaniemy nowych rozkazów z Centrum, ma'am?

– Właśnie – potwierdziła Sonja. – Podobnie mają postąpić rebelianci. To podstawowy warunek utrzymania rozejmu. Oczywiście cywilne jednostki zaopatrzeniowe i medyczne oraz lekkie okręty, jak na przykład rebeliancki niszczyciel, który ma zawieźć pana Sandersa do Centrum, nie są objęte tym zakazem.

Wszyscy gapili się na nią, jakby zignorowała coś najważniejszego i najbardziej oczywistego.

Pytanie zadał Kirilienko:

– A co z admirałem... z admirałem Trewayne'em, ma'am?

W twarzy Desai nie drgnął ani jeden mięsień.

– *Nelson* jest naturalnie objęty zasadami rozejmu i pozostanie tutaj – odparła spokojnie. – Doktor Yuan zapewnił mnie, że admirał Trewayne może przebywać na jego pokładzie dowolny czas i nie będzie to miało wpływu na jego stan zdrowia, więc nie stanowi to żadnego problemu. Jakies inne pytania?

Obecni w sali delikatnie zmienili się na twarzach, jakby stanął przed nimi problem, którego nie są w stanie pojąć ani – prawdę mówiąc – nie chcą.

Kirilienko zeszytniał i otworzył usta, ale Yoshinaka złapał go pod stołem za rękę, zanim ten zdążył coś powiedzieć, i ścisnął mocno. Kirilienko nie odezwał się.

Desai zaś wstała i rzekła:

– Skoro nie ma więcej pytań, proszę przystąpić do wykonania otrzymanych rozkazów – podeszła do drzwi, zatrzymała się i spozrzała na nich raz jeszcze, a konkretnie na Seana Remkę, najstarszego rangą.

Przez moment spoglądał jej w oczy z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, po czym powoli podniósł się i zadudnił:

– Baczość!

Dopiero wtedy pozostali zaczęli przyjmować pozycję zasadniczą.

Sonja skwitowała to kiwnięciem głowy i wyszła.

Z taką samą kamienną miną dotarła do swej kabiny, minęła wyprężonego wartownika przy drzwiach, przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi. Stała o dwa kroki od nich i jej oblicze przybrało wyraz bolesnego zdumienia i niedowierzania. Coś w niej pękło i w oczach pojawił się olbrzymi, wręcz niewyobrażalny ból, a z gardła wydobył dźwięk przypominający wycie wydawane przez ciężko ranne zwierzę, nie rozumiejące, jak ktoś mógł mu sprawić taki ból. Niczym automat podeszła do łóżka, padła na nie, wtulając twarz w poduszkę, i rozplakała się.

Chwilę później drzwi bezgłośnie się otworzyły i na progu ukazali się Remko i Yoshinaka.

Stanęli jak wryci, widząc targaną spazmatycznym łkaniem postać na łóżku. Żaden z nich nigdy nie traktował jej jak kobiety i przez myśl by im nie przeszło, że jest zdolna do podobnych reakcji. Remko spojrział na Yoshinakę i chciał coś powiedzieć, ale Genji przyłożył palec do ust i potrząsnął przecząco głową.

Obaj wyszli równie bezgłośnie, zostawiając Sonję Desai pogrążoną w żalu po człowieku, którego beznadziejnie od lat kochała.

# CZEŚĆ SZÓSTA

„Dzięki Bogu, wypełniłem swój obowiązek”.

Wiceadmirał Horatio Nelson na pokładzie HMS *Victory*  
w czasie bitwy pod Trafalgarem

## Rozdział XXVI

# KONFERENCJA

Oskar Dieter przyglądał się ściągniętym twarzom członków rządu, przypominając sobie reakcje delegatów na wieść o pierwszym buncie we flocie. Teraz sytuacja była jeszcze gorsza. Co prawda nie wybuchł żaden bunt, ale Czwarta Flota w ciągu dwóch godzin bitwy poniosła większe straty, niż wynosiła całość sił, którymi dowodził admirał Forsythe kilka lat wcześniej.

Szok tym wywołany był dotkliwy – nawet Amanda Sydon siedziała cicho, blada jak wczorajszy nieboszczyk.

Westchnął i postukał kostkami palców w kryształowy blat.

– Panie i panowie, chciałbym oficjalnie potwierdzić, że w pełni zgadzam się z decyzją podjętą przez admirał Desai – oznajmił, spoglądając wymownie na marszałka Witcińskiego. – Nawet gdyby wygrała tę bitwę, straty byłyby znacznie poważniejsze, niż moglibyśmy sobie na to pozwolić. Okręty admirała Trevayne’a stanowiły najpotężniejszą naszą siłę, nie wspominając już o tym, że jedyną techniczną przewagą nad przeciwnikiem. Ewentualne zwycięstwo w tej bitwie kosztowałoby nas praktycznie całą Czwartą Flotę, a więc w żaden sposób nie byłibyśmy w stanie go wykorzystać. Gdyby natomiast przegrała, stracilibyśmy zarówno Zephrain, jak i przewagę techniczną, gdyż Republika zdobyłaby dość egzemplarzy nowego uzbrojenia, by móc w krótkim czasie rozpocząć jego produkcję.

Słuchacze nie ukrywali zaskoczenia, gdy użył określenia „Republika” zamiast „rebelianci”. W ślad za nim przyszedł strach, gdy uświadomili sobie, co oznaczałoby dla nich posiadanie przez przeciwnika nowocześniejszego uzbrojenia.

– Chciałbym zadać parę pytań marszałkowi Witcińskiemu i wiceadmirał Krupskiej – dodał Dieter tymczasem. – Po pierwsze, panie marszałku, jeśli Czwarta Flota została powstrzymana, czy to w wyniku rozejmu, czy zniszczenia, jakie są szanse powodzenia operacji „Yellowbrick”?

– Żadne – odparł ponuro zapytany. – Ktokolwiek opracowywał taktykę obrony po stronie rebelianckiej, był w tym dobry. Naprawdę dobry. Nadal nie wiem, jak się domyślili, co planujemy, ale ustawili na naszej drodze takie fortyfikacje wsparte myśliwcami, że ofensywa



utknęła po zdobyciu dwóch systemów planetarnych. Moglibyśmy zdobyć jeszcze trzy przewidziane w planie operacji, tylko że potem nie mielibyśmy czym walczyć. Jeżeli chodzi o Czwartą Flotę, całkowicie zgadzam się z pańską opinią, panie premierze. Okręty i rakiety admirała Trewayne'a były unikalne. Teraz, po zapoznaniu się z raportem wiceadmirał Desai, jestem pewien, że są przełomowym osiągnięciem w paru dziedzinach. Czwarta Flota zdołała zniszczyć prawie pięćdziesiąt procent sił rebelianckich, ale dowodząca nimi oficer doskonale przygotowała się do tej walki i zadała nam prawie równorzędne straty. Według naszych ocen, w tej bitwie zostały zniszczone okręty o łącznej masie dwunastu milionów ton. Nie uwzględnia to jednostek uszkodzonych, a wyłącznie kompletnie zniszczone. Nie wiemy, ilu ludzi poległo po stronie przeciwnej, ale Czwarta Flota straciła ich ponad czterdzieści jeden tysięcy. Mowa tu wyłącznie o zabitych, nie o rannych i zaginionych. Nie ulega wątpliwości, że nawet w przypadku ostatecznego zwycięstwa nie byłaby w stanie kontynuować natarcia, a bez tego cała operacja wybicia korytarza zakończyłaby się fiaskiem.

– Rozumiem... – powiedział spokojnie Dieter i spojrzał na Susan. – Admirał Krupska, jakie są szanse na to, że władze Republiki zdadzą sobie sprawę, iż nie jesteśmy w stanie dokończyć operacji „Yellowbrick”?

– Bardzo duże, panie premierze. Praktycznie rzecz biorąc, jest to pewne – odparła Krupska, zerkając na Sandersa. – Już samo podsumowanie naszych strat musiało uświadomić im, że nie mamy sił, by kontynuować operację. Oni także oberwali, ale nie aż tak jak my, poza tym bronić można się mniejszymi siłami.

– Rozumiem... – powtórzył Dieter. – A jak szybko są w stanie wyprodukować takie samo uzbrojenie jak to, którego użyła Czwarta Flota, skoro nie zdobyli działających egzemplarzy?

– To trudniej ocenić, ale nasi analitycy uważają, że za około osiem miesięcy będą mieli prototypy, a za rok uruchomią seryjną produkcję. Najdalej za rok, bo z danych przywiezionych przez pana Sandersa wynika, że od stworzenia uniwersalnego działa dzieli ich jedynie mały krok. W czasie bitwy na pewno zebrali masę danych, toteż najprawdopodobniej będą dysponowali tą bronią za pół roku. Dłużej potrwa, nim będą mieli rakiety z napędem grawitacyjnym, ale te akurat bardzo dobrze równoważą ich nowe generatory tarcz. Z kolei my nie posiadamy wiele konkretnych danych o ich nowinkach technicznych, gdyż użyli ich wyłącznie, odpierając atak z Obrzeża, toteż będziemy potrzebowali więcej czasu, by je skopiować. I jeszcze jedno, panie premierze: moim obowiązkiem jest poinformować rząd, że nasze oceny możliwości ich stoczni okazały się zaniżone. Sądząc z liczby nowych okrętów, które wzięły udział w bitwie o system Zapata, nawet o piętnaście procent, toteż nasza przewaga liczebna jest problematyczna.

– Dziękuję, pani admirał – powiedział poważnie Dieter i rozejrzał się po wstrząśniętych współpracownikach. – Panie i panowie, znałem już wcześniej oceny pana marszałka i pani admirał. Ich pełne raporty znajdziecie w swoich komputerach. Według najnowszych prognoz, mamy sześćdziesięciopięć procentowe prawdopodobieństwo, że w ciągu roku przegramy tę

wojnę. Jeżeli przetrzymamy dwa lata, mamy z kolei siedemdziesiąt procent szans, by ją wygrać, ale zgodnie z ocenami analityków i symulacjami komputerowymi walka ciągnąć się będzie dwanaście do piętnastu lat i przyniesie straty, przy których bitwa o Zapatę będzie wyglądała na drobną utarczkę.

W sali panowała idealna cisza. Politycy byli zszokowani, wojskowi wyglądali tak, jakby ugryźli coś, co okazało się wyjątkowo niesmaczne. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by kwestionować to, co usłyszeli.

– Myślę, że w tych warunkach – powiedział spokojnie Dieter, przyglądając się Amandzie Sydon przewodniczącej zwolennikom zbrojnego stłumienia rebelii – nie można usprawiedliwiać kontynuowania konfliktu mającego spowodować takie ofiary, jeżeli istnieje inne akceptowalne rozwiązanie. Czasami nawet zwycięstwo jest zbyt kosztowne.

Sydon rozejrzała się, ale nawet zwolennicy unikali jej wzroku. Skierowała więc wściekle spojrzenie na Dietera, ale nie odezwała się słowem, bo nie mogła powiedzieć nic sensownego.

Zaprotestował jednakże ktoś inny.

– Przepraszam, panie premierze, ale jedynym akceptowalnym rozwiązaniem jest zwycięstwo! – wybuchnął marszałek Witciński. – Operacja „Yellowbrick” powiodłaby się, gdyby rebelianci nie domyślili się, co zamierzamy, i nie wciągnęli w zasadzkę admirała Trewayne’a. Nie winię go za to; akcja została doskonale zaplanowana i przeprowadzona. Ale teraz, kiedy nas zatrzymali, wykorzystają to. Żaden szanujący się strateg nie rezygnowałby obecnie z dalszych działań!

– Doprawdy, panie marszałku? – zdziwił się uprzejmie Dieter. – W takim razie co według pana zrobią?

– Pozostawią w systemie Zapata swoje siły, dokładnie tak jak obiecali. Walczyć będą pozostałe formacje. Według naszych ocen, w bitwie wzięło udział około dziesięciu procent ich lotniskowców uderzeniowych. Reszta wraz z jednostkami Floty Granicznej i lżejszymi jednostkami pozostała nienaruszona, podczas gdy my znacznie osłabiliśmy obronę granicy, by mieć jak największe siły do ataku. Praktycznie w każdym wybranym miejscu uzyskają lokalną przewagę i pokonają nas. To powolny, ale skuteczny sposób, by zniszczyć nas system po systemie, aż w końcu doprowadzi to ich do zwycięstwa.

– To rzeczywiście byłby logiczny sposób, by wygrać – przyznał Dieter. – Tyle tylko, że oni tego nie zrobią.

– A to niby dlaczego? – zdziwił się Witciński.

– Dlatego iż nie chcą zniszczyć Federacji – odparł spokojnie Dieter.

– Nie chcą?! – prychnęła Amanda Sydon. – To po co toczą wojnę? Bo lubią?!

– Sądzę, że chcą, by zostawić ich w spokoju – powiedział Dieter i, widząc reakcję Sydon i paru innych, dodał: – Uspokójcie się i posłuchajcie. Od samego początku działanie Pogranicza było tylko reakcją na sytuację, która z punktu widzenia władz i ludzi zamieszkujących położone tam planety stała się nie do zniesienia. Najpierw próbowali

zmienić ją politycznie, gdy te próby spęły na niczym, sięgnęli do środków militarnych. Natomiast przez cały czas trwania tej wojny nie wykonali żadnego ataku w celu opanowania Planet Centrum czy Korporacji. Zajęli węzły tranzytowe, by uniemożliwić nam ataki na swoje terytorium, i na tym zakończyli działania ofensywne. Zgoda, z początku nie mieli na nie siły, ale już od dość dawna mają. Zwłaszcza w tej chwili. Rozumowanie marszałka Witcińskiego jest z wojskowego punktu widzenia słuszne, ale by zwyciężyć, Republika powinna zaatakować nas jak najszybciej, bo czas działa na jej niekorzyść. Nie będziemy się oszukiwać i wmawiać sobie, że przeciwnik nie posiada równie dobrych jak my strategów, toteż musi być tego świadomy. A czy zrobił cokolwiek? Nie, i nie zrobi. Zapytacie, skąd mam pewność? Ano stąd, że otrzymałem wiadomość od Ladislausa Skjorninga. Proponuje natychmiastowe zawieszenie broni na wszystkich frontach w celu spokojnego omówienia warunków zawarcia pokoju.

W sali kolejny raz zapadła absolutna cisza. Część obecnych wyglądała tak, jakby właśnie dostali celny cios w żołądek. Część natomiast poczęła z nadzieją czekać na dalsze słowa Dietera. Nie musieli czekać długo, gdyż dodał prawie natychmiast:

– Do wiadomości dołączono analizę sytuacji prawie identyczną z tą przedstawioną przez marszałka Witcińskiego. By jednak udowodnić dobrą wolę, Marynarka Republiki nie podejmie przez dwa standardowe miesiące żadnych działań ofensywnych. Poczekają na naszą odpowiedź. Mówiąc krótko, panie i panowie, Republika zrezygnowała z najlepszej szansy na szybkie zwycięstwo, by dowieść, że pragnie pokoju!

\* \* \*

Ladislaus Skjorning siedział w salonie pierwszej klasy liniowca pasażerskiego *Prometheus*, oglądając przez okno rosnącą coraz bardziej błękitno-białą planetę. Ostatni raz był na niej sześć standardowych lat temu, ale jej widok nadal wzbudzał wspomnienia.

Niełatwo było przekonać władze Republiki do wysłania tylu ważnych osobistości na pokładzie nieuzbrojonego statku w samo serce Federacji, ale udało mu się. Z rządem było pół biedy, Kongres ustąpił dopiero, gdy Federacja zaproponowała jako zakładnika czwartą część Battle Fleet. Dopiero ta gwarancja bezpieczeństwa delegatów przewyciężyła nieufność – wszyscy dobrze pamiętali zabójstwo Fionny.

*Prometheus* wszedł na orbitę parkingową Ziemi i Ladislaus uśmiechnął się do wspomnień. Jedną z trudniejszych decyzji ostatnich miesięcy było ustalenie miejsca rokowań pokojowych. Impas przełamał dopiero pomysł wykorzystania Szwajcarii – niewielkiego państwa, które przez jedenaście wieków zachowało neutralność i niezależność.

Niektórzy z delegatów Federacji uznali to za subtelny komplement, inni, jak Dieter, odczytali ukryte przesłanie. Można było być przyzwoitym i szanowanym człowiekiem, nie będąc obywatelem Federacji.

Rozległ się melodyjny dźwięk dzwonka i Ladislaus wstał, podając ramię Tatianie

Iliuszynie. Czekał na nich prom mający zawieźć ich do Genewy na spotkanie, które mogło wreszcie zakończyć tę wojnę.

\* \* \*

Na lądowisku w Genewie zebrał się tłum. Mimo napięcia Ladislaus uśmiechnął się, widząc reakcję Tatiany, która nigdy dotąd nie opuściła Nowej Rodiny. Po bezkresnych polach ojczyściej planety wznoszące się tu wszędzie góry musiały wydać się jej niezwykle dziwnym zjawiskiem. Wiedział, że skierowane są na nich dziesiątki, jeśli nie setki kamer, które wychwycą jej reakcję, ale cóż mógł zrobić. Przyjechała prowincjuszka do miasta i się gapi...

Zagrała orkiestra czekająca na płycie, ale w niebo nie wzbily się dźwięki ani *Ad Astra* Republiki, ani *Suns of Splendor*, czyli hymnu Federacji. Przez moment Ladislaus nie rozpoznawał utworu, a potem go olśniło i pokiwał głową z aprobatą. Utwór był naprawdę stary, ale *Battle Hymn of the Republic* doskonale pasował i do okazji, i do obu stron konfliktu.

Wśród tłumu rozpoznał Oskara Dietera i Davida Haleya, których znał osobiście, oraz marszałka Witcińskiego i Kevina Sandersa; tych dwoje zidentyfikował dzięki hologramom, które studiował, przygotowując się do negocjacji.

Uścisnął rękę Tatiany i szepnął:

– Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli zajmiesz się marszałkiem, a Sandersa zostawisz mnie.

– Dobrze. Lad. I obiecuję nie zrzekać się praw do Nowej Rodiny – zgodziła się potulnie.

– Dziewczyno, martwi mnie tylko twój brak doświadczenia, nie inteligencji.

Delegacja Federacji zatrzymała się na dole schodni prowadzącej do promu. Po obu stronach czerwonego chodnika, na którym stała, warty honorowe sprezentowały broń. Po jednej były to federalni Marines, po drugiej republikańscy. Lad żałował, że nie ma tu Magdy lub Han, byłyby pomocne w rozmowach na tematy militarne, ale niewskazane byłoby odwoływanie którejkolwiek nich z systemu Zapata, dopóki pokój nie zostanie podpisany. Admirałowi Holbeinowi trudno byłoby zarzucić głupotę, ale brak mu było inwencji charakterystycznej dla nich obu.

Westchnął i zszedł z ostatniego stopnia, stając na czerwonym chodniku.

– Panie Skjorning. – Dieter skłonił się, starannie przestrzegając uzgodnień i nie wymieniając żadnych tytułów. – Witamy na Ziemi.

– Dziękuję, panie Dieter. – Ladislaus uścisnął dłoń premiera i spojrzał mu prosto w oczy.

– Miło mi znów pana widzieć i szkoda tylko, że w takich okolicznościach. W przeszłości wygłosiłem o panu i do pana pewne ciężkie słowa. Chciałbym je teraz odwołać.

– Dziękuję. – Dieter na moment odwrócił wzrok. – To dla mnie wiele znaczy... Tak, proszę mi pozwolić dokonać prezentacji.

– Będę zaszczycony – oznajmił gładko Ladislaus.

I zaczęła się niekończąca tura prezentacji osób nieznanymi albo znanymi, ale piastującymi

nowe stanowiska. Ściskając dłonie, Lad bacznie przyglądał się twarzom, porównując reakcje przewidywane przez jego doradców z rzeczywistymi. Zanim dotarł do końca, wiedział, że specjaliści z wywiadu mieli rację: współpracownicy Dietera byli w kwestii wojny podzieleni prawie równo – połowa chciała walki, połowa pokoju.

Pozostało tylko dołożyć starań, by tych drugich przybyło...

\* \* \*

– ...całkowicie wykluczone – minister spraw zagranicznych Roger Hadad zdecydowanie potrząsnął głową. – Nawet jeśli założymy, że każda planeta, która oderwała się czy też raczej próbowała oderwać się od Federacji, jest *prima facie* członkiem waszej Republiki, w żaden sposób nie możemy zgodzić się, by jakkolwiek świat zdobyty przez was siłą stał się „naturalnym” członkiem waszej konfederacji. Sam fakt, że planeta uważana była za planetę Pogranicza przed rebe... przed wojną, nie jest wystarczającym powodem, byśmy zrezygnowali z prawa do niej i opuścili jej mieszkańców.

– Panie Hadad. – Ladislaus zaczynał tracić cierpliwość. – Byłaby to czysta prawda, gdyby nie pewien drobiazg. Nie wspomniał pan mianowicie o planetach, które nie odważyły się wystąpić z Federacji, gdyż błyskawicznie pojawiły się na nich silne garnizony wysłane po to, by temu zapobiec. Nie urodziłem się wczoraj, panie Hadad, i nie zgodzę się na żadne rozwiązanie dające podstawy do tego, by odmówić prawa do wystąpienia z Federacji każdej pragnącej tego planecie.

– Nie możemy tak po prostu opuścić mieszkańców podbitych przez was systemów, jak choćby Cimmaron! – zaprotestował Hadad.

– Mieszkańcy Cimmaron powitali nas z otwartymi ramionami, natomiast prawie doszło do rewolty, gdy zaproponowaliśmy im, że mogą wrócić do was.

– Ale...

– Panie Dieter, ten problem musi zostać rozwiązany jednoznacznie i szybko – Ladislaus miał dość Hadada, toteż sięgnął wyżej. – Nie nalegamy, by ktoś opuszczał Federację dla Republiki, ale chcemy, żeby każdy miał do tego prawo. Upieramy się także, by Republika została uznana za legalne państwo, a władze każdego państwa muszą mieć wobec swych obywateli takie same zobowiązania jak władze Federacji.

– Zgadzam się z tym stanowiskiem, panie Skjorning – oświadczył Dieter.

A Ladislaus gotów był przysiąc, że równocześnie mrugnął porozumiewawczo tym okiem, którego Hadad nie widział.

– Roger, musimy zaakceptować fakt istnienia Republiki, czy nam się to podoba, czy nie – dodał Dieter, spoglądając na tego ostatniego. – Logiczną zaś tego konsekwencją jest przyznanie, że władze Republiki mają wobec swych obywateli takie same obowiązki jak władze każdego normalnego państwa. Zgodziliśmy się też co do tego, że planety, które wystąpiły z Federacji i założyły Republikę, wchodzi bezdyskusyjnie w jej skład. Problem,

który teraz powstał, to co zrobić z planetami, które zostały dołączone do tych pierwszych w wyniku walki zbrojnej, zgadza się?

– No tak... – zgodził się niezbyt uszczęśliwiony Hadad. – Ale to nie jest takie proste. Są kwestie precedensów i...

– Tu nie ma precedensów – przerwał mu Dieter.

Hadad spojrział na niego jak na sprzedawcę śmierdzących z daleka jaj.

– Zgodnie z prawem Federacji interpretowanym tak jak dotąd secesja jest zdradą – dodał Dieter. – Teraz próbujemy zmienić istniejący stan w stan legalny, i to po fakcie. Panie Skjorning, proponowałbym przeprowadzenie plebiscytu na każdej planecie zdobytej zbrojnie przez Republikę. Każda, której mieszkańcy tak zdecydują, będzie mogła pozostać w Republice niezależnie od tego, jak się tam znalazła. Każda, której mieszkańcy będą woleli powrócić do Federacji, także będzie miała taką możliwość. Podobne plebiscyty mogą się odbyć na każdej planecie okupowanej obecnie przez Federację, ale z tego co mi wiadomo, nie ma takich poza zdobytymi w czasie ostatniej ofensywy.

– Zgadzam się na plebiscyt, panie Dieter – oświadczył Ladislaus, nie komentując ostatniego zdania, całkowicie zresztą zgodnego z prawdą.

– Dziękuję, panie Skjorning. Roger? – Dieter usiadł wygodniej, oddając w ten sposób głos Hadadowi.

Ten najwyraźniej nie był zachwycony przebiegiem rozmów, ale robił co mógł, by to ukryć.

– Dobrze, panie Skjorning – oświadczył, zapisując coś w notesie. – Zgodziliśmy się, wstępnie ma się rozumieć, że o przyszłości planet zdobytych przez Republikę zadecydują plebiscyty. To jednakże rodzi kolejny, raczej delikatnej natury problem. Widzi pan...

– Chodzi panu o połączenie między Zadkiem i... przepraszam, między Centrum i Obrzeżem wiodące przez terytorium Republiki – przerwał mu Ladislaus.

Hadad przytaknął bez słowa.

– Panie Hadad, jesteśmy gotowi gwarantować wolny i darmowy przelot wszystkim nieuzbrojonym jednostkom, statkom pocztowym i kapsułom kurierskim bez sprawdzania, co wiozą. Uzbrojone statki handlowe będą musiały poddać się kontroli, a kwestię okrętów wojennych musimy szczegółowo przedyskutować, ale sądzę, że dojdziemy do porozumienia. Logiczne wydaje mi się, by odbywały tranzyt pod eskortą naszego okrętu. Jak długo będziemy o tym wystarczająco wcześniej informowani, tak długo nie powinny pojawić się żadne problemy. Czy to pana satysfakcjonuje?

– Ee... tak. – Było to więcej, niż Hadad się spodziewał. Propozycja zaskoczyła go mile do tego stopnia, że się uśmiechnął, dodając: – Muszę przyznać, że jest to w najwyższej mierze rozsądny pomysł. Pozostaje w takim razie kwestia ostatnia: repatriacji i odszkodowań za utracone majątki.

– Nie całkiem tak, panie Hadad – sprzeciwił się Ladislaus i spojrział na Tatianę, która

dotąd rzadko się odzywała.

Teraz uśmiechnęła się, uaktywniła elektrokartę i oznajmiła rzeczowo:

– Panie Hadad, musi pan być świadom, że podstawowym problemem będzie ustalenie, czy coś w ogóle należy się prywatnym osobom tytułem odszkodowań za straty poniesione w wyniku działań wojennych. A jeżeli tak, to ile im się należy. Ten problem powstawał zawsze przy konfliktach zbrojnych i rozwiązywany bywał rozmaicie, dlatego też proponowałabym pozostawienie go do uzgodnienia specjalnie powołanej dwustronnej komisji, która zacznie obrady po zawarciu pokoju.

Hadad spojrział na Dietera, ale ten nie zareagował w żaden sposób, odchrząknął więc i przeniósł wzrok na Tatianę.

– Zgoda, ale przy jednym założeniu: prace komisji muszą zakończyć się zgodnym postanowieniem, nie mogą zostać zerwane i ciągnąć się dłużej niż trzy miesiące standardowe.

– Jestem tego samego zdania. Jeśli chodzi o repatriację, proponujemy wspólne działanie. Objęty nią zostanie każdy, kto będzie tego pragnął; możliwe będzie zarówno przeniesienie się z Republiki do Federacji, jak i odwrotnie. Repatriacja obejmować będzie fizyczne przeniesienie rodzin i własności osobistej. Jesteśmy gotowi zagwarantować spieniężenie inwestycji oraz sprzedaż nieruchomości przez powołaną do tego organizację, o ile Federacja ze swej strony zapewni to samo. Koszty repatriacji oraz wszystkich związanych z nią operacji dzielone będą po połowie między oba państwa. Czy to satysfakcjonujące rozwiązanie?

– Sądzę że tak. A z pewnością jest to propozycja zasługująca na przedstawienie na sesji Zgromadzenia. Pozostaje w takim razie sprawa rekompensat za zarekwirowanie mienia i straty spowodowane przez wojnę.

– Straty spowodowane wojną są, jak sama nazwa wskazuje, stratami poniesionymi w wyniku działań wojennych. Poszkodowany nie posiadający stosownego ubezpieczenia nie będzie w stanie ich sobie powetować. Co się zaś tyczy własności, która została zarekwirowana – Tatiana uśmiechnęła się, a Hadadowi na widok tego uśmiechu zrobiło się nagle zimno – to Republika chce postąpić sensownie. Najrozsądniejsze zaś rozwiązanie jest takie, by każdy rząd zrekompensował straty podległych mu osób fizycznych i prawnych.

I uśmiechnęła się promiennie.

Minister finansów rządu Dietera wydał odgłos podobny do charkotu agonalnego.

Hadad wyglądał, jakby piorun w niego strzelił.

A Ladislaus z trudem ukrył wesołość, widząc szeroki uśmiech posłany Tatianie przez Sandersa.

– Aaaaale wy skonfiskowaliście majątek wart ponad dwa biliony kredytów! – wrzasnęła Amanda Sydon. – Federacja zarekwirowała majątki na ledwie trzy procent tej sumy!

– Dokładnie na sześćdziesiąt siedem miliardów kredytów, podczas gdy wartość zarekwirowanych przez Republikę zgodnie z przedwojennymi zeznaniami podatkowymi wynosi dwa biliony trzysta siedemdziesiąt dwa miliardy kredytów – poinformowała ją

uprzejmie Tatiana. – Jednakże konwent konstytucyjny Republiki uchwalił w deklaracji, że własność żadnej osoby fizycznej czy prawnej należącej do Federacji nie może ulec konfiskacie czy zostać zarekwirowana, jeżeli Federacja pierwsza nie postąpi w ten sposób. Ponieważ Zgromadzenie Legislacyjne było w posiadaniu tej deklaracji, zanim uchwalono akt Sydon-Waldeck, można jedynie założyć, że Federacja świadomie sięgnęła po ten środek wojny ekonomicznej, wiedząc, jakie będą konsekwencje. I tak też nadal uważamy.

Ladislaus i Sanders spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się z pełnym zrozumieniem. A Dieter westchnął z rezygnacją, słysząc, jak Tatiana i Amanda przechodzą do szczegółów, czyli mówiąc po prostu, biorą się za łby. Tyle że to Sydon była na przegranej pozycji, i to od momentu, w którym podała wartość skonfiskowanego majątku. Wyceny w oświadczeniach podatkowych były bowiem od dawna zaniżane przez wszystkie Korporacje – ich władze doskonale wiedziały, że instytucje podatkowe Pogranicza są wobec nich bezsilne. W rzeczywistości wartość przedmiotu sporu była co najmniej dwukrotnie wyższa.

Teraz Planety Korporacji zapłacą za chciwość, i to nie tylko w ten sposób...

\* \* \*

– Cóż, myślę, że chyba się nam udało! – westchnęła Tatiana, zapadając się z ulgą w przepastny fotel. – Co prawda delegaci z Planet Korporacji darli się jak kastrowane megaovisy. Dla nich zakończenie wojny bez zysku jest niemoralne albo co, ale większości nie uzyskali. Dieter rzeczywiście zmniejszył ich wpływy.

– Ano – zgodził się Ladislaus rozparty w podobnym fotelu. – Podróż była długa i trudna, że się tak wyrażę, ale w końcu dobijamy do portu.

– Właśnie. Pójdiesz na głosowanie?

– Nie. Przysiągłem sobie, że moja noga więcej nie postanie w tym przeklętym miejscu, i dotrzymam słowa. Ty pójdiesz, a ja sobie obejrzę transmisję na żywo.

– Jesteś naszym prezydentem, skoro ty nie pójdiesz, nikt z nas nie powinien.

– Dziewczyno, to sprawa osobista, nie polityczna. – Ladislaus nawet nie otworzył oczu. – Byłem, jestem i będę uparty i nie złamię danego sobie słowa nawet dla Oskara Dietera, który zasłużył na lepsze traktowanie z naszej strony. A ty pójdiesz, bo tak trzeba.

Widać było, że jest zmęczony, dlatego nie sprzeciwiała mu się dłużej. Przyjrzała mu się za to dokładnie i dostrzegła zmarszczki i siwiznę, które przez ostatnie sześć lat niepostrzeżenie wkradły się na twarz, brodę i wąsy. Widać było, że dźwiganie odpowiedzialności za walkę Pogranicza przez tak długi czas sporo go kosztowało.

– Dobrze, Lad – powiedziała w końcu. – Ale chciałabym... Lad?

Nie odpowiedział, za to zachrapał cichutko.

Tatiana uśmiechnęła się, wstała i na palcach wyszła.

\* \* \*



Wydawało się, że delegaci wydorosleli albo dojrzeni – tak przynajmniej uznał David Haley, rozglądając się po wyjątkowo cichej i spokojnej Komnacie Światów z pewną dumą. Miotający się w początkowym okresie kryzysu delegaci uczyli się na własnych błędach i choć trwało to długo, proces zakończył się sukcesem. Czego najlepszym dowodem był fakt, że spokojnie czekali na podliczenie wyniku głosowania.

A warunki pokoju były trudne do przyjęcia, gdyż oznaczały ustępstwa w praktycznie każdej dziedzinie, choć Republika starannie unikała upokarzania Federacji. Wyjątkiem była kwestia skonfiskowanego i zarekwirowanego mienia, ale to biło w dumę nie tyle Federacji jako całości, ile Planet Korporacji. Poza tym Pogranicze miało do tego prawo – przeszło znacznie więcej niż Centrum – i w tej sprawie nie ustąpiło ani o krok. Uważał to zresztą za sprawiedliwe – choć w pewien sposób wyrównywało krzywdy i wyzysk ze strony Korporacji. Teraz pozostało jedynie przekonać się, czy Zgromadzenie podeszło do sprawy obiektywnie i zrozumiało, że proponowany traktat pokojowy jest uczciwy.

Na jego konsoli rozbłysła lampka, a na ekranie pojawił się wynik głosowania. Haley spojrzął na niego, uderzył młotkiem w podstawkę i ogłosił:

– Panie i panowie, oto wynik głosowania nad ratyfikacją traktatu pokojowego przedstawionego przez ministra spraw zagranicznych. Dziewięćset siedemdziesiąt osiem głosów za i czterysta pięćdziesiąt trzy przeciwko. Traktat został ratyfikowany!

Przez moment panowała cisza, po czym rozległ się stopniowo rosnący gwar głosów. Nie było wiwatów, okrzyków czy radości, dojście do pokoju kosztowało bowiem zbyt wielu zbyt wiele. Za to ulga była wszechobecna. Haley czuł ją nieomal namacalnie, gdy odwrócił się ku pani wiceprezydent Republiki i elegancko ucałował jej dłoń.

Dopiero w tym momencie wybuchł aplauz.

## Rozdział XXVII

### DECYZJA

Oskar Dieter wyciągnął się wygodnie na rozłożonym do połowy fotelu. Spoglądając w nocne niebo, zastanawiał się leniwie nad przewrotnością losu. Nigdy nie spodziewał się być kimś więcej niż cieniem Simona Taliaferra, a został premierem. Fakt, znacznie mniejszej Federacji, ale wyzwolonej od chaosu wojny. A Simon był już tylko przykrym wspomnieniem.

Co ważniejsze, opuścił go też duch Fionny MacTaggart, którego obecność cały czas czuł. Tak się do tego przyzwyczaił, że nagła pustka go zaniepokoiła...

Dalsze dywagacje przerwało mu delikatne chrząknięcie.

Spojrzał w bok i zobaczył Kevina Sandersa.

– Dobry wieczór, panie Sanders – powitał go zaskoczony.

– Dobry wieczór, panie premierze – odparł z lekką ironią, ale i z przyjaznym uśmiechem Sanders.

– Czemu zawdzięczam ten niespodziewany zaszczyt?

– Ciekawości. Proszę mi powiedzieć: wiedział pan, że monitoruję kanał, którym przekazywał pan wiadomości rebeliantom?

– Na litość boską: powstańcom, panie Sanders! A teraz już lepiej mówić „Republice”.

– Niech będzie Republice. Wiedział pan?

– Cóż... – Dieter przyjrzał mu się spod oka, a potem wybuchnął śmiechem, pierwszy raz, odkąd Sanders go znał. – Wiedziałem. Zorientowałem się, zanim poprosiłem pana o dołączenie do rządu i pozostawienie wywiadu Susan.

– Wiedział pan... – zmartwił się Sanders.

– A pańskie milczenie przekonało mnie, że jest pan zarówno osobą inteligentną, jak potrafiącą wykazać inicjatywę. Potrzebowałem takich ludzi, a niestety nie spotyka się ich często. Pana zaś potrzebowałem szczególnie.

– Dlatego że przewidywał pan takie zakończenie tego konfliktu i to od początku, od zgody na zostanie premierem?

Obaj wiedzieli, że było to stwierdzenie, nie pytanie.

– Mniej więcej.

– Mam nadzieję, że to pana nie zirytuje, ale przesyłanie wiadomości przeciwnikowi jest raczej dziwnym zachowaniem jak na przywódcę strony biorącej udział w wojnie.

– Chyba można to tak określić. – Dieter uśmiechnął się. – Skoro pan tego nie popierał, należało powiedzieć mi to wówczas, nie sądzi pan?

– Nie powiedziałem, że nie popieram. Natomiast chciałbym, aby zaspokoił pan moją ciekawość w jeszcze jednej kwestii.

– Jeśli tylko będę mógł.

– Dlaczego? – spytał nagle zupełnie poważnie Sanders.

– Dlatego że ktoś musiał, a ja miałem do spłacenia dług.

– Fionnie MacTaggart? – spytał miękko Sanders.

– Rzeczywiście jest pan przenikliwym człowiekiem, panie Sanders – przyznał Dieter. – Tak, Fionnie i wszystkim uwikłanym w ten konflikt, którego nie chcieli, a nie wiedzieli, jak go zakończyć. Zastanawiam się, czy Fionna zaaprobowałaby to, co zrobiłem...

Sanders spojrział na niego i uśmiechnął się.

– Jestem pewien że tak, panie Dieter. Fionna MacTaggart była wyjątkową kobietą: inteligentną, doświadczoną i pragnącą zachować pokój... ale zaaprobowałaby pańskie poczynania głównie z innego powodu.

– Jakiego?

– Miała też nader złośliwe poczucie humoru.

\* \* \*

– Cóż, Lad: pojęcia nie mam, jak tego dokonałeś, ale dokonałeś – Tatiana uniosła kielich. – Nawet kiedy byłam pewna, że nic już z tego nie będzie, tak długo stałeś nad nami z batem, aż znaleźliśmy właściwe rozwiązanie. Moje gratulacje.

Ladislaus uśmiechnął się. Miał poczucie spełnienia. Nie było to pierwsze tego typu doznanie, ale nadal sprawiało mu przyjemność. Podobnie jak świadomość, że lecą już z powrotem do domu.

– W kapitańskiej sali balowej wydają przyjęcie – powiedziała Tatiana radośnie. – To taka próba generalna przed balem zwycięstwa. Przyjdiesz?

– Nie – pokręcił głową. – Jestem zmęczony i wolę tu zostać sam na sam z myślami.

– Jak chcesz, Lad. – Tatiana była najwyraźniej przygotowana na porażkę. – Odpocznij, zasłużyłeś na to.

Pocałowała go w policzek, podeszła do drzwi i dodała miękko:

– Fionna byłaby z ciebie dumna, Lad.

Po czym potrząsnęła głową, jakby ugryzła się w język. I wyszła.

Ladislaus przyciemnił światło, pogrążając kabinę w miłym półmroku, i wyjął z kieszeni podniszczony hologram. Mimo śladów częstego oglądania było na nim wyraźnie widać rudowłosą, roześmianą dziewczynę stojącą na pokładzie łodzi obok równie roześmianego i

młodego Ladislausa Skjorninga. Długi czas przyglądał się wizerunkowi ze smutnym uśmiechem.

A potem potrzęsnał głową:

– Ano, Tatiano, dokonałem tego... – szepnął i uniósł hologram do światła. – Przepraszam, kochanie, wiem, że nie tego chciałaś, ale to wszystko, co mogłem zrobić.

\* \* \*

Magda Pietrowna uspokoiła płaczącego niemowlaka i ponownie nałala wódki do trzech szklanek. Siedzący obok niej Jason uśmiechnął się szeroko, co było nieomylnym znakiem, że ma już ostro w czubie. Natomiast nienagannie umundurowany gość wydawał się chorobliwie trzeźwy, jak długo nie zwróciło się uwagi na wyraz jego, a raczej jej oczu. Potocznie określano go mianem „maślany”.

– Ja – powiedziała admirał floty Han Li, powoli i niezwykle starannie wymawiając słowa – jestem pijana. Nigdy dotąd nie byłam pijana.

I wychyliła szklankę do dna.

– Wiem – odparła Magda, opróżniając swoją.

I natychmiast nałala ponownie.

– Myślę, że zaplanowaliście sobie mnie upić.

– A niby dlaczego mielibyśmy to zrobić?

– Bo uważasz, że to dobry pomysł. – Han czknęła. – Uważasz, że za długo duszę w sobie wiele rzeczy i że... o cholera, a jednak się kręci!

Ostatniemu zdaniu towarzyszyło gwałtowne złapanie się stołu.

– Może i tak uważam. – Magda zignorowała komentarz.

– Cóż, zdarza się, że bywasz całkiem bystra jak na białego barbarzyńcę, jak twoich przodków określali moi – wyraz twarzy Han nie zmienił się, ale w kąciku każdego oka pojawiła się jedna błyszcząca łza. – Duszę w sobie... od Cimmaron duszę... wszyscy zginęli, a ja nie. Zabawne, prawda? Zginęli wszyscy, tylko nie głupia suka, która spowodowała ich śmierć. Wszyscy... Chang... Chang-hui... bo nie potrafiłam zrobić właściwie tego, co do mnie należało – i rozplakała się wreszcie, kryjąc twarz w dłoniach.

– Han! – Magda podbiegła do niej i objęła ją. – To nieprawda! Wiesz, że to nieprawda!

– Właśnie że prawda! – załkała Han.

– To nieprawda – powtórzyła miękko Magda – ale to ty musisz głośno to powiedzieć. I musisz w to uwierzyć, by móc dalej spokojnie żyć. Pamiętaj o nich, ale nie pozwól, by przeszłość przeszkodziła ci zbudować przyszłość.

– Jaką przyszłość?! Nie ma żadnej przyszłości!

– Oczywiście że jest! – Magda roześmiała się cicho i niespodziewanie wepchnęła jej w objęcia niemowlaka trzymanego dotąd na biodrze drugą ręką.

Han odruchowo przytuliła go i dopiero potem spojrzała w dół, by sprawdzić, co trzyma.

Napotkała spojrzenie głębokich, pełnych ufności czarnych oczu i uśmiechnęła się.

– Widzisz? – spytała łagodnie Magda. – Przyszłość jest zawsze.

– Jest – szepnęła Han, już świadomie tuląc do siebie chrześniaczkę. – Masz rację, przyszłość naprawdę istnieje.

– Cieszę się, że wreszcie to do ciebie dotarło – ocenił Jason, przysiadając się do niej z drugiej strony, i dodał wspaniałomyślnie: – A skoro w końcu to przyznałaś, w nagrodę możesz ją przewinąć!

\* \* \*

– Szłoby mi znacznie szybciej z tą protezą, gdyby te cholerne konowały tylko mi na to pozwoliły! – poinformował z urazą swoich gości Joaquin Sandoval. – Jestem już wystarczająco silny, żeby znacznie więcej czasu spędzać na nogach. I wiem, co mówię, używając liczby mnogiej!

– Sie tak nie gorączkuj – warknął Sean Remko. – Zdążysz się jeszcze nabiegać.

Dla niego i dla Yoshinaki była to jedna z wielu wizyt regularnie składanych Sandovalowi, odkąd wrócili z Xanadu. Dla Sonji Desai było to pożegnalne spotkanie z jedynymi trzema osobami na Obrzeżu, które wiedziały, że posiada uczucia. Pożegnalne, bo wracała do Federacji, o czym właśnie ich poinformowała.

– Federacja i Unia Międzygatunkowa także uznały wszystkie awanse z okresu wojny domowej – dodała, widząc ich miny. – Admiralicja chce mnie widzieć... a ja stęskniłam się za Nową Terrą. A poza tym...

Uśmiechnęła się i jej rysy niespodziewanie złagodniały. Machnęła bezradnie ręką.

A potem jej oczy spotkały się z oczami Sandovala, który zrozumiał, że tym razem nie potrzeba żadnych słów.

\* \* \*

Powietrze w podziemnej sali głęboko pod głównym centrum medycznym Prescott było mroźne. Cieniutka warstwa szronu pokrywała przypominający trumnę pojemnik stojący na środku i otoczony skomplikowaną aparaturą.

Drzwi otworzyły się i weszła Miriam Ortega. Otulała się płaszczem, choć nie czuła zimna. Podeszła do pojemnika i przez długi czas stała bez ruchu. Po chwili po jej policzkach zaczęły płynąć łzy, których nigdy nie pozwalała nikomu zobaczyć, ale nadal nie odezwała się słowem.

Wreszcie wyciągnęła lekko drżącą dłoń i delikatnie dotknęła pojemnika. Dopiero wtedy westchnęła i powiedziała cicho:

– Ian, dziś rano zwołałam konwent konstytucyjny Federacji Obrzeża. Wybacz mi.

Potem cofnęła dłoń, zostawiając na boku ślad, po którym powoli zaczęły ściekać kropelki rozpuszczonego szronu na podobieństwo łez.

Westchnęła ponownie, wyprostowała ramiona, odwróciła się i wyszła.

Nim zamknęły się za nią drzwi, skraplająca się para wodna z jej oddechu zaczęła już pokrywać ślad dłoni...